

GMINNA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W SARNAKACH

Rocznik Ziemi Sarnackiej

Tom VIII

Sarnaki 2025

Zespół redakcyjny: Jolanta Chromiec, Rafał Dydycz (redaktor naczelny), Barbara Michoń, Bożena Szymańska, Agata Wasilewska, Violetta Zawadka, Rafał Zubkowicz

Projekt okładki: Andrzej Lipka

Opracowanie graficzne okładki: Violetta Zawadka, Michał Hęciak

Skład: Michał Hęciak (skład-ksiazek.com.pl)

Korekta: Jolanta Chromiec, Agata Wasilewska

Czasopismo poświęcone sprawom lokalnym Ziemi Sarnackiej, tj. dotyczącym terenu współczesnej i historycznej gminy Sarnaki. Dokumentuje bieżące wydarzenia, utrwala historię, propaguje wiedzę na każdy temat związany z najbliższą okolicą.

Zdjęcia na okładce: Grób Podczaskich na starym cmentarzu w Sarnakach: zdj. Agata Wasilewska; Dom Krykowskich w Olszynie, lata okupacji niemieckiej: zdj. ze zbiorów Ryszarda Krykowskiego; Dr Stanisław Nasiłowski – właściciel Klimczyc Fermy: zdj. ze zbiorów Agaty Wasilewskiej; Zagroda Sarnowskich, Hołowczyce-Kolonia, ok. 1940 r.: zdj. ze zbiorów rodziny Sarnowskich; Kazimierz Jaszcuk: zdj. ze zbiorów Witolda Jaszcuka; Fragment mapy z 1913 r. z nazwą „folwark Fronołów” w miejscu Fronopola: zdj. ze zbiorów Rafała Zubkowicza.

ISSN 2545–2495

Wydawca: Gminna Biblioteka Publiczna w Sarnakach
ul. Berka Joselewicza 3, 08–220 Sarnaki, tel. 83 343 65 36,
biblioteka@sarnaki.pl

Wydany przy wsparciu finansowym:
Lasów Państwowych – Nadleśnictwo Sarnaki,
oraz Gminy Sarnaki

Spis treści

Wstęp	5

OPRACOWANIA

Agata Wasilewska , Tajemnice starego cmentarza w Sarnakach	9

Rafał Zubkowicz , Franopol i Fronołów – skąd się wzięły nazwy?	63

Witold Bobryk , Zestawienie ilości ziemi potrzebnej do realizacji reformy rolnej na terenie gminy Sarnaki. Przyczynek do historii społecznej i gospodarczej zbiorowości lokalnej	81

MATERIAŁY

Marcin Urynowicz , „Studnia z której piliśmy” – czyli Sarnaki jak Tel Aviv	91

Anna Sarnowska-Żakowska , Wspomnienia mego Ojca. Krótkie wprowadzenie	127

Kazimierz Sarnowski , Niejawne zapiski do „ostatniego rozdziału”	131

Agata Wasilewska , Eugenia Dorochoicz i pensjonat nad Bugiem	163

Eugenia Dorochoicz , Pensjonat w Klimczycach nad Bugiem	169

Stanisław Dudziuk , Minione lata. Okres II wojny światowej	261

Halina Sulej , Dawne Klimczyce Ferma	315

Witold Jaszczuk , Rzewuski w czasie wojen	339

Blanka Bartoszek, Było ubogo, ale przyjemnie	
– wywiad z panią Sabiną Świć	371

STAŁE RUBRYKI

Nasi Artyści	383
Trzy łyki statystyki	393
Wydarzyło się w 2024 roku... ..	401

IN MEMORIAM

Antoni Pacyfik Dydycz 1938 – 2025	449

Wstęp

Drodzy Czytelnicy! Oddajemy w Państwa ręce kolejny, ósmy tom naszego periodyku – „Rocznika Ziemi Sarnackiej”. Publikacja ta ukazuje się w szczególnym roku – osiemdziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej, krwawego wydarzenia, które wstrząsnęło naszym światem, kontynentami i państwami, a także naszą najbliższą okolicą, miejscowościami, rodzinami i sąsiadami... Dlatego też numer, który trzymacie w rękach, ma wymiar szczególny.

Znajdziecie w nim osiem materiałów, które przedstawiają w rozmaity, wielopłaszczyznowy sposób losy pojedynczych osób na tle wielkich wojennych wydarzeń. Dotarły do nas w różnorodny sposób: opublikowane w wersji językowej niedostępnej dla szerszego grona czytelników, spisane dawno temu, skryte w domowych zakamarkach i dziś odtwarzane, a także zebrane dziś z różnych okrucich informacji. Pierwszy z nich to kolejny fragment *Księgi Pamięci Sarnak*, który w fenomenalnym tłumaczeniu przybliży nam M. Urynowicz. W tym numerze możemy przeczytać sześć wspomnień o przedwojennych Sarnakach, widzianych żydowskim okiem. Inną perspektywę na holokaust, jaki miał miejsce na naszych terenach, dają wspomnienia K. Sarnowskiego – mieszkańca Hołowczyc, który w dowód uznania za pomoc Żydom otrzymał tytuł Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata. Również w Hołowczycach mieszkał w czasie wojny S. Dudziuk, którego wspomnienia zawiera kolejne opracowanie, a swoisty „hołowczycki tryptyk” zamykają wspomnienia urodzonej i wychowanej w tejsze miejscowości S. Świć. Jej wspomnienia w formie wywiadu to owoc pracy naszej najmłodszej autorki, uczennicy miejscowej szkoły podstawowej, B. Bartoszek. Pełne ciekawostek o wojennych i powojennych Rzewuszkach są natomiast fragmenty książki W. Jaszcuka. Optykę osoby z zewnątrz, z „wielkiego

świata”, przedstawiają wspomnienia E. Dorochowicz, która jako jedna z pierwszych poznała możliwości naszego regionu i od końca lat trzydziestych prowadziła pensjonat w Klimczycach. Autorka w fascynujący sposób ukazuje początki zainteresowań turystycznych nadbużańską okolicą, a także kontrast między życiem miejskim a rzeczywistością ówczesnej wsi – na ten obraz nakładają się wojenne losy naszych okolic. Inną perspektywę na wojenne losy Klimczyc i okolic daje nam H. Sulej, emerytowana nauczycielka i współwłaścicielka gospodarstwa sadowniczego.

Poza wspomnianymi materiałami mamy trzy opracowania naukowe, otwierające rocznik. W pierwszym z nich A. Wasilewska opisuje historię tzw. starego cmentarza w Sarnakach – jego początki niknące w mrokach XIX wieku, kolejne dzieje oraz okres zapomnienia, który nastąpił wraz ze zmianami własnościowymi, aż wreszcie do czasu renowacji i przywrócenia pamięci o nim w świadomości mieszkańców na początku XXI wieku. Początku XX wieku sięga natomiast artykuł R. Zubkowicza, w którym tworzy on fascynującą, bogato udokumentowaną narrację o pochodzeniu nazwy Fronołów. Szczególnie wart jest on polecenia wszystkim miłośnikom tego uroczonego podlaskiego zakątka, którzy od lat wypoczywają tam z dala od wielkomiejskiego gwaru i zgiełku. Jako trzeci artykuł znajdziemy publikację W. Bobryka, stanowiącą przyczynek do powojennych losów mieszkańców Sarnak i okolic.

Pierwszy z trzech stałych punktów w naszym Roczniku, czyli materiał statystyczny, w tym roku poświęcony został zmianom w inwentarzu żywym hodowanym przez mieszkańców gminy na przestrzeni jednego wieku. Kolejnym stałym punktem jest przybliżenie lokalnych artystów, tym razem ukazane są sylwetki dwóch kobiet: B. Ciecieri i J. Waszczuk, które pomimo wielu obowiązków rodzinnych i zawodowych znalazły czas na rozwijanie swych pasji artystycznych. Trzecim ze stałych punktów jest kronika, gdzie uważny czytelnik może znaleźć informacje o ważnych wydarzeniach, jakie miały miejsce na terenie naszej gminy w ciągu minionego roku.

W ostatnim z materiałów natomiast spełniamy smutny obowiązek pożegnania bpa A. P. Dydycza (1938–2025), wybitnego rodaka pochodzącego z Serpelic, który mimo licznych obowiązków znajdował czas, aby wspierać działalność naszego Rocznika.

Redakcja

Agata Wasilewska

Sarnaki

ORCID: 0009-0003-0055-6076

Tajemnice starego cmentarza w Sarnakach

Streszczenie

Cmentarz to miejsce spoczynku, grzebania zmarłych. Cmentarz kościelny, parafialny uważany jest za miejsce święte, powinien więc być pobłogosławiony. Na pamiątkę tego błogosławieństwa stawia się krzyż. W historii parafii Sarnaki pojawiają się cztery cmentarze katolickie. Dwa z nich zyskały miano starych.

Pierwszy tak nazywany był pierwotnie cmentarzem przykościelnym istniejącym wokół kościoła parafialnego sprzed niemal 600 lat. Przestał spełniać swoją rolę wraz z wybudowaniem drugiego kościoła w 1816 roku, przy którym zaczęto grzebać zmarłych. Z czasem na terenie byłego cmentarza posadzono sad, który istniał jeszcze wiele lat po II wojnie światowej. Drugi stary cmentarz został założony między 1826 a 1843 rokiem, według moich przypuszczeń około 1830 roku, gdy po powstaniu listopadowym w wyniku epidemii cholery zmarło bardzo dużo osób. Chodziło o odizolowanie mieszkańców Sarnak od ofiar zarazy i miejsca pochówku. Powstał wtedy cmentarz około pół kilometra za miastem, przy drodze w kierunku wsi Grzybów.

Drugi cmentarz przykościelny nie był nigdy nazywany starym, chociaż przestał funkcjonować wraz z utworzeniem nekropolii za miastem, pod Grzybów. Ten z kolei zyskał miano starego po uruchomieniu w połowie 1855 roku cmentarza pod Chybów, co znowu zbiegło się z falą zachorowań na cholere i wielu ofiar śmiertelnych w wyniku choroby. Ten cmentarz istnieje do dziś i jest wciąż użytkowany. Był wielokrotnie powiększany. W 2025 roku zbudowano nowe ogrodzenie, wykonane tradycyjnie z kamienia polnego.

Stary cmentarz niszczał przez dziesiątki lat aż do początku XXI wieku. W 2007 roku rozpoczął się proces przywracania go pamięci potomnych i odbudowywania szacunku do zmarłych przodków. Odnowione zostały dwa grobowce rodzinne

i dwa nagrobki, które przetrwały upływ czasu. W centrum cmentarza stanął nowy, poświęcony krzyż. Znalazł tam miejsce również odnowiony krzyż, który cudem uniknął zagłady. Od 2010 roku rośnie tu dziewięć Dębów Pamięci poświęconych ofiarom Zbrodni Katyńskiej. Warto o nim pamiętać.

Słowa kluczowe: cmentarz, cmentarz przykościelny, cmentarz grzebalny, nekropolia, teren poświęcony, pochówek, groby, grobowce, Dęby Pamięci, kościół, świątynia.

Cztery cmentarze w Sarnakach

Pierwsze cmentarze powstawały na terenie wokół kościoła, stąd nazwa cmentarz przykościelny. Groby nie były trwałe. Po pewnym czasie, gdy zapełniło się miejsce na pochówki, wracano do tych wcześniejszych i w miejscu poprzedniego grobu chowano innego zmarłego. Kości odsłonięte przy kopaniu składano najpierw w jednym miejscu (w kostnicy¹), następnie chowano ponownie w zbiorowym grobie. Cmentarz musiał być ogrodzony i każdy proboszcz miał obowiązek zadbać o to, jak również o wygląd i stan cmentarza oraz budowli stojących na nim. Stąd w sporządzanych inwentarzach czy w protokołach wizytacji kanonicznych pojawiają się informacje na temat cmentarza parafialnego.

Ten najstarszy cmentarz w Sarnakach, przykościelny, już dawno nie istnieje. Znajdował się wokół pierwszego kościoła, pobudowanego około 1430 roku, na obszarze dzisiejszego ogrodu między organistówką a plebanią. Ponad 200 lat po założeniu cmentarza znalazł na nim miejsce wiecznego spoczynku ks. Wojciech Strus, proboszcz parafii Sarnaki od 1648 roku, zamordowany w połowie roku 1657 przez wojska szwedzkie lub przez Kozaków, którzy niszczyli i rabowali Podlasie podczas potopu

¹ Kostnica, ossuarium – to mogło być pomieszczenie, gdzie przechowywano szczątki ludzkie przed ich ponownym pochowaniem do ziemi.

szwedzkiego². W 1729 roku zmarł proboszcz sarnacki, ks. Kacper Kobyleński, on także spoczął na tym cmentarzu³.

Pierwsze informacje znajdujemy w *Opisie kościoła parafialnego w miejscowości Sarnaki i otaczającej go zabudowy* z 1803 roku⁴. Ograniczają się one do opisu usytuowania trzech wejść na poświęcony teren i wyglądu jego ogrodzenia. Dowiadujemy się więc, że cmentarz był ogrodzony „tarcicą w słupy drewniane nałożone”, jedno wejście znajdowało się „od ulicy prowadzącej z miasta Sarnaki do Chybowa, drugie przy szpitalu dla ubogich⁵ i trzecie od rezydencji plebana, wszystkie jednocześnie”. Z prawej strony od wejścia na cmentarz znajdowała się dzwonnica zbudowana z drewna i belek, „pokryta gontami i z powodu starości podparta ze wszystkich stron belkami drewnianymi, mimo to podupadła”. Całe ogrodzenie w złym stanie, potrzebowało „nowej budowy”. Obwód cmentarza wynosił 100 sążni (około 190 m)⁶. Niewiele zmieniło się, gdy w 1812 roku sporządzano inwentarz kościoła⁷ na okoliczność objęcia parafii przez ks. Pawła Wolskiego⁸.

² J.W. Nowosielski, *Kronika parafii Sarnaki*, Sarnaki 1995, s. 8. Po śmierci ks. Strusa proboszczem został ks. Stanisław Rosochacki. Jesienią 1657 r. w wyniku zarazy po przejściu wojsk szwedzkich wymarli niemal wszyscy mieszkańcy Sarnak, a ks. Rosochacki swoje uzdrowienie przypisywał cudowi za wstawiennictwem Matki Bożej z sarnackiego obrazu, znajdującego się wówczas w głównym ołtarzu.

³ Tamże, s. 31.

⁴ Archiwum Parafii Sarnaki (dalej APSar.), *Descriptio Ecclesiale Parochialis in Oppido Sarnaki et rerum ad Cam perlinenlium*. b.p.

⁵ Budowane przy kościołach szpitale parafialne były raczej przytułkami dla ubogich, kalek, sierot, wdów, starców, ludzi samotnych. Źródłem utrzymania podopiecznych była jałmużna i dochody z nieruchomości. Ich obowiązkiem była posługa w kościele oraz modlitwa za dobrodziejów. Szpital w Sarnakach miał dwie izby i dwie komory dla ubogich, podłogi z ubitej ziemi, w każdej izbie dwa okna z małymi szybami i piec do ogrzewania i pieczenia chleba, słomą kryty. W 1812 r. drewniane ściany były spróchniałe, gliną oblepione, a cały budynek w tak złym stanie, że „reparacji niegodny”.

⁶ Zakładając, że kościół stał w centrum w czworokątnego (prostokątnego) cmentarza, powierzchnia tegoż mogłaby wynosić około 0,23 ha. Wielkość obecnego starego cmentarza to pow. 0,27 ha.

⁷ APSar., *Inventarium Ecclesiae Parochialis Ritt. Latinum Oppidio Sarnaki* z 19.07.1812 r. b.p.

⁸ Ks. Paweł Wolski (1770 Pietrusy par. Hadynów–1842 Sarnaki), s. Stanisława Wolskiego i Barbary z Wolskich. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1795 r. i został skierowany na wikariat do Sarnak, gdzie proboszczem był ks. Jan Błoński. W latach 1810–1811 zastępował proboszczą, następnie ponad pół roku był komendariuszem (administratorem), a od 19.07.1812 do 04.08.1841 pełnił funkcję proboszczą parafii Sarnaki. Był również wicedziekanem janowskim. Ostatni rok życia spędził jako rezydent w parafii. Za jego kadencji erygowano Diecezję Janowską czyli Podlaską

Ogrodzenie wykonane z żerdzi, wyplatane patykami, wejścia bez bram. Kolejna informacja pochodzi z 1826 roku⁹. Cmentarz ten już jest nazywany starym, „na którym kościół dawniej stał, od probostwa i gościńca aż do szpitala drzewem, a od szpitala aż do lamusa z chrustu w koły dębowe w słupy oplecionem oparkaniony. Grobów żadnych nie masz, ciała zaś zmarłych chowają się na cmentarzu przy kościele, któren jest opodal za miastem”. Po jakimś czasie w parkanie przy gościńcu zrobiono bramkę z tarcic, o czym wspomina się w *Inwentarzu kościoła* z 1843 roku¹⁰. Na tym cmentarzu, dawno już nieczynnym, jako ostatni spoczął w 1842 roku ks. Paweł Wolski, który całe swoje kapłańskie życie spędził w Sarnakach i życzeniem jego było być pochowanym przy pierwszej świątyni. W 1859 roku¹¹ dowiadujemy się, że cmentarz, na którym „zwłoki śp. Księdza Pawła Wolskiego byłego proboszcza pochowane”, już w ogóle nie istniał, a na jego miejscu znajdował się „ogród fruktowy plebański”¹². Szkoda, że nie ma tu więcej informacji na temat grobu ks. Wolskiego¹³, dzięki którym potomni mogliby go upamiętnić. Prawdopodobne miejsce jego pochówku oznaczone jest krzyżem przy bramie plebanii, kilka razy już wymienianym na nowy.

(1818), a także wybudowano nowy kościół w Sarnakach (1816), wyświęcony pod koniec 1819 r. przez ks. Wolskiego na mocy upoważnienia bpa Łukasza Lewińskiego z 30.11.1819. Na chórze kościelnym stał pozytyw szkatulny o pięciu głosach.

⁹ APSar., *Opisanie kościoła parafialnego mieście Sarnakach i wszystkich rzeczy do niego należących, z 1826 r.* b.p.

¹⁰ Tamże, *Inwentarz kościoła Sarnackiego przy introdukcji X. Pawła Kempieńskiego spisany z roku 1843.* b.p.

¹¹ Tamże., *Inwentarz kościoła parafialnego obrządku łacińskiego w miasteczku Sarnakach, z 11.10.1859 r.* b.p.

¹² Zamiana byłego cmentarza na sad lub ogród uprawny była usankcjonowana przepisami, patrz: „Wiadomości Diecezjalne Podlaskie”, Nr 4–5, 1926, s. 132.: „Na zwiniętym cmentarzu miejsca niezajęte na pomniki, po upływie 5 lat, mogą być z upoważnienia władzy duchownej zasadzone drzewami owocowymi lub ogrodowiznami, albo też zasiewane, głębsze jednak kopanie gruntu nie może być dozwolone aż po latach 40”.

¹³ Parafia sarnacka była dosyć uboga, co przewija się w różnych dawnych dokumentach, ale upamiętnienie długoletniego proboszcza mogłoby być podjęte. W 1859 r. właścicielami majątku Klimczyce, z prywatnym miastem Sarnaki, byli Podczascy. Przeprowadzali różne inwestycje w swoich włościach, mogliby wybudować jakiś trwały nagrobek księdzu, który zmarł zaledwie 17 lat wcześniej, więc miejsce jego grobu na pewno było jeszcze znane. Zaledwie przed czterema laty (1855) postarali się o godne miejsce pochówku w kościele dla zmarłego seniora rodu.

Na ślady innych grobów nie natrafiono, chociaż w związku z podłączeniem plebanii do wodociągu czy gazociągu prowadzone były wykopy¹⁴.

W 1816 roku nowy właściciel dóbr Klimczyce, hrabia Stanisław Ossoliński, mąż Rozalii Butlerówny, pobrał nowy kościół, w pewnym oddaleniu od poprzedniego, za miastem – jak napisano w dokumencie z 1826 roku, ale w lepszej lokalizacji, na wzniesieniu terenu. Nowy cmentarz przykościelny zaczął funkcjonować prawdopodobnie wraz z oddaniem do użytku świątyni, a może dopiero po jej poświęceniu. Informację o nim mamy dopiero z 1826 roku¹⁵: „Ten jest wedle kościoła naokoło drzewem w słupy wkładanem oparkaniony. Wniście wielkie na cmentarz jest od miasta, do którego drzwi z tarcic dwuskrzydlate na zawiasach i krukach żelaznych osadzone, zamykają się drągiem drewnianym skoblem żelaznym opatrzone. Po lewej stronie tego wejścia jest mała furtka z tarcic, zawiasami, krukami żelaznymi i klamką obwarowana. Z boku także od probostwa druga bramka dwuskrzydłata, jedna połowa zabita, a druga podobnież zawiasami, krukami żelaznymi i klamką opatrzona. Trzecia zaś jest od domu organisty, z tejże strony ze wszystkim temże opatrzeniem jak pierwsze dwie”.

Gdy władze carskie zaproponowały, że udzielą parafii pieniędzy na uporządkowanie i powiększenie cmentarza, ks. Wolski odmówił, aby nie dopuścić urzędników carskich do jakiegokolwiek wglądu w życie Kościoła. Wiadomo było, że z tych pieniędzy trzeba będzie się rozliczyć, dlatego pismem z 16 stycznia 1828 roku odpowiedział, że parafianie tej pomocy nie chcą i sprawozdań przed rządem carskim składać nie będą. I to pomimo, iż utrzymanie cmentarza stanowiło poważny wysiłek i generowało koszty dla parafii. Zgodnie z przepisami, na ten cel przeznaczone było *pokładne cmentarzowe*, czyli fundusze uzyskane od wiernych przy pogrzebach, ale w Sarnakach kwoty te okazały się niewystarczające.

¹⁴ Ks. Z. Borkowski, *Cmentarz miejscem wdzięczności*, Sarnaki 2005, s. 35.

¹⁵ APSar., *Opisanie kościoła parafialnego... z 11.10.1859 r.*

Zaniechano więc pobierania pokładnego¹⁶, gdyż członkowie dozoru kościelnego zobowiązali się „sami cmentarz utrzymywać i oparkaniać”¹⁷.

Kolejny dokument, z którego uzyskujemy informacje o sarnackich cmentarzach, powstał w roku 1843¹⁸, gdy proboszczem został ks. Paweł Kępiński¹⁹. Okazuje się, że pierwszy cmentarz jaki był, taki dalej jest, natomiast na cmentarzu przykościelnym znajdują się dwa nagrobki: „jeden z kamienia ciosowego nad zwłokami Szymona i Joanny małżonków Baderów, drugi zaś nad zwłokami śp. Szymona Kosińskiego murowany”. Poza tym „grobow żadnych nie ma, ciała zmarłych chowają się na cmentarzu, któren jest w polu od miasta” – to obecny stary cmentarz.

W latach 1852–1856 w parafii, chociaż nie we wszystkich wioskach, odnotowano zwiększoną liczbę zgonów, co było następstwem zarazy – panowała epidemia cholery. Jej ofiarą padł najpewniej dziedzic dóbr Klimczyce i Sarnaki, pułkownik byłych Wojsk Polskich, Kawaler Krzyżów Wojskowych, Joachim Podczaski, który zmarł po długiej i ciężkiej chorobie²⁰ 3 lutego 1855 roku. Został pochowany w podwójnej trumnie (zapewne zewnętrzna była metalowa) w podziemiu kościoła „za szczególnym pozwoleniem Namiestnika Królestwa zgodnie z wnioskiem Komisji Rządowej (...) na ręce Wgo Naczelnika Powiatu Bialskiego przesłaniem, z zabronieniem wszakże chowania nadal czyich zwłok w tychże grobach”. W głównej nawie wymurowano dla niego grób, do którego prowadziły schody, przykryte z wierzchu drzwiami z dwoma żelaznymi uchwytyami

¹⁶ J.W. Nowosielski, *Gospodarka parafii Sarnaki 1795–1865*, Sulejówek–Sarnaki 2009, s. 26, 27. Pokładne nie było pobierane od 1820 do 1876 r.

¹⁷ Tamże, s. 25.

¹⁸ APSar., *Inwentarz kościoła Sarnackiego... z 19.07.1812 r.*

¹⁹ Ks. Paweł Kępiński (1809 Stoczek Łukowski–1895 Sarnaki), s. Macieja Kępińskiego i Katarzyny z Miturskich. Świecenia kapłańskie przyjął w 1834 r. Oficjalnie był proboszczem w Sarnakach w latach 1843–1859, ale już od marca 1858 parafią zarządzał administrator, ks. Andrzej Wojewódzki. Ks. Kępiński pozostał w Sarnakach jako rezydent. Opuścił plebanię i zamieszkał w pokoiku przy rodzinie swego siostrzeńca Franciszka Cybulskiego, pradziadka jednego z najstarszych strażaków w Sarnakach Wincentego Cybulskiego. Służył pomocą duszpasterską trzem kolejnym proboszczom. Żył 86 lat, z tego 61 w kapłaństwie. Jest pochowany w głównej alei na cmentarzu parafialnym w Sarnakach.

²⁰ Podobno Joachim Podczaski już kilka lat wcześniej przewlekle chorował, więc może jego śmierć zbiegła się w czasie ze skutkami epidemii.

w kształcie kółek²¹. Podłoga w kościele była drewniana. W *Inwentarzu kościoła* z 1859 roku²² odnajdujemy zapis: „W miejscu środkowym kościoła znajduje się grób sprzed kilku lat wymurowany, w którym spoczywa ciało śp. Joachima Podczaskiego pułkownika byłych Wojsk Polskich dziedzica dóbr Klimczyce z przyległościami i patrona czyli kolatora kościoła Sarnackiego”.

Od dawna już nie wiadomo, w którym miejscu znajduje się ten grobowiec. W 1905 roku podczas generalnego remontu kościoła, przeprowadzonego przez ks. Jana Krzewskiego, drewniana podłoga została wymieniona na posadzkę cementowo-terakotową²³. Miejsce pochówku zostało ukryte pod posadzką. Przetrwała tablica epitafijna poświęcona pamięci pułkownika Podczaskiego, umieszczona niegdyś na ścianie kościoła pod chórem²⁴.

W 1859 roku cmentarz przy kościele miał „wejście wielkie od miasta, drugie wejście mniejsze od strony probostwa” oraz był „opasany murem z kamieni i cegły”. Dokładniejszy opis znajdujemy w dokumencie z 1882 roku²⁵. Prostokątny cmentarz miał 124 łokcie długości i 74 łokcie szerokości, obsadzony był dokoła dzikimi, starymi już drzewami, ogrodzony murem z kamieni zwyczajnych (głazów) układanych na wapno, pokrytym daszkiem z cegły na cement. Bramę i dwie furtki od strony frontowej stanowiła murowana dzwonnica z 1874 roku, od strony wschodniej znajdowała się furtka sztachetowa sosnowa pomalowana farbą olejną na czerwono, umocowana na dwóch zawiasach, zamykana na haczyk, ale już w złym stanie. Od strony południowej, za ścianą absydową kościoła, stały dwa pomniki. Ścieżka do procesji wąska. „Cały cmentarz przykościelny z ogrodzeniem utrzymywany w porządku wzorowym”. A poza ogrodzeniem

²¹ APSar., *Visitatio Generalis Ecclesiae Parachialis Sarnacensis*, z 03.10.1862 r. b.p.

²² Tamże, *Opisanie kościoła parafialnego...* z 11.10.1859 r.

²³ A. Wasilewska, *Ks. Jan Krzewski (1866–1918) – 100. Rocznica śmierci*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2019, t. 2, s. 68.

²⁴ Tablice obecnie są zdemontowane, znajdują się w podziemiu nowego kościoła.

²⁵ APSar., *Inwentarz Kościoła i Probostwa r.l. w Sarnakach sporządzony na dniu 24 lipca/5 sierpnia 1882 roku przez Księdza Józefa Ostalowskiego Dziekana Dekanatu Konstantynowskiego, przy oddaniu w zarząd wyżej wspomnianej parafii Księdzu Edwardowi Podbielskiemu od księdza Adama Jana Sadowskiego*. b.p.

cmentarnym, z frontu kościoła, „ogródek zasadzony drzewami i krzewami dzikimi”. To jest teren od głównej bramy (ul. Kilińskiego) do dzwonnicy.

W 1920 roku ogrodzenie dookoła kościoła, wykonane z polnego granitu, fugowane, z ceglanym wierzchem, zostało odrestaurowane. Wewnątrz ogrodzenia rosły 32 drzewa, w tym kilka starych do usunięcia, „bo z gałęziami suchymi nie są ozdobą”²⁶: klony, parę lip i dwie akacje. W parkanie od wschodu, między drzewami, znajdowała się zbudowana przez ks. Krzewskiego „grota Lourdes’owska ułożona z kamienia na cement i mensa ołtarzowa, a w grocie statua z piaskowca, pięknego dłuta, Niepokalanej Maryi”. Plac od strony północnej, wspomniany wyżej ogródek, przed dzwonnica, o wymiarach 44 na 23 metry, zasadzony klonami, lipami, akacjami i kilkoma świerkami, od drogi ogrodzony był ażurowym parkanem z piaskowo–cementowej cegły pomiędzy słupkami, schodzącym w tarasy, od wikariatu płotem z drewnianych sztachet.

Obecnie może wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, że teren przy drewnianym kościele z 1816 roku w przeszłości był cmentarzem²⁷. W okresie międzywojennym była to wiedza powszechna. Jan Kondracki w maju 1923 roku zapisał: „Odprawia się niedzielna suma w Sarnakach. Część pobożnych wyległa na cmentarz, gdzie malowniczymi grupami rozrzucona, gwarzy, flirtuje raczej niż się modli. Potężne klony otaczają zwartym kołem kościół i cmentarz. U dołu parkan kamienny, od góry gąszcz zieleni zasklepił kościół, cmentarz i wiernych, odgradzając je od reszty świata tak szczelnie, że poza szczebiotem niebosiężnych skowronków i powiewem muzycznego wiatru, grającego na liściach drzew – żaden inny odgłos tu nie dochodził ani poza obręb miejsca poświęconego głos modlitw nie wybiegał”²⁸.

Zbierająca w latach 1852–1856 śmiertelne żniwo cholera wymusiła założenie nowego miejsca pochówku. Czwarty z kolei cmentarz znajdował

²⁶ Tamże, *Inwentarz fundi instructi parafii Sarnaki*, z 01.12.1920 r. b.p.

²⁷ Z czasem na cmentarzu przykościelnym pozostały tylko dwa wspomniane w tekście nagrobki Baderów i Kosińskiego. Co się stało ze szczątkami pochowanych tam niegdyś ludzi, nie wiem.

²⁸ J. Kondracki, *Kronika wydarzeń sarnackich, społecznych, towarzyskich, rodzinnych i przeżyć osobistych 1918–1923, 1925–1937*, brak miejsca i daty wydania, s. 182.

się po prawej stronie gościńca niedaleko wsi Chybów, w odległości jedna czwarta wiorsty (ok. 270 m) od kościoła, w tamtym czasie w polu za miastem. Jako pierwszego w dniu 24 sierpnia 1855 roku pochowano na nim 31-letniego Jana Pióro z Chybowa, zmarłego dzień wcześniej²⁹. Ponieważ cmentarz został założony w czasie grasującej cholery, prawdopodobnie nie był on przez pewien czas zatwierdzony urzędowo i musiał jeszcze trochę poczekać na solidne ogrodzenie³⁰. Ponad 10 lat cmentarz nie był ogrodzony, a jedynie opasany rowem. Na początku lutego 1864 roku spoczął na nim ostatni burmistrz Sarnak, Wiktor Uzdowski. Jego nagrobek zachował się do tej pory. W tymże 1864 roku cmentarz został ogrodzony drewnianym parkanem nakrytym oczapami, a dwa lata później powiększony³¹.

W 1871 roku parafię objął ks. Adam Sadowski³². W pierwszej kolejności zajął się remontem starej plebanii i kościoła, w następnym zaczął robić porządki cmentarzu: „parkan drewniany okalający cmentarz grzebalny przy drodze do Chybowa wiodącej” został podbity kamieniami, bo „pod podwalinami swobodnie nierogaczna wchodziła” na jego teren. Ponadto cały cmentarz podzielono na sześć kwater, poprzeryzano graczanymi ulicami, a całość obsadzono drzewkami. Z trzech stron drzewka się przyjęły, ale od południa wyschły na piaszczystym gruncie i trzeba było nasadzenie powtórzyć³³. Groby ziemne, tylko „jeden murowany

²⁹ J. W. Nowosielski, *Kronika parafii Sarnaki 1430–1945*, maszynopis 1995, s. 61. Akt zgonu Jana Pióro nosi nr 137, a zgonów w 1955 r. było 187.

³⁰ Tenże, *Gospodarka parafii Sarnaki...*, s. 26.

³¹ APSar., *Inwentarz kościoła i probostwa r.l. w Sarnakach. Sporządzony w dniu 4/16 grudnia 1871 r. przez Księdza Józefa Pruszkowskiego Dziekana Dekanatu Konstantynowskiego przy oddawaniu w Zarząd wyżej wspomnianej Parafii Księdzu Adamowi Sadowskiemu*. b.p.

³² Ks. Adam Sadowski (1842–1909 Warszawa), święcenia kapłańskie 1866. Proboszcz parafii Sarnaki w latach 1871–1882. Za jego kadencji zostały zlikwidowane karczmy w Grzybowie, Rzewuszkach, Lipnie, Bindudzie, Rozwadowie, Chlebczynie i w Kózkach, skasowano targi w niedzielę, powstała biblioteczka parafialna, chór na 2 i 3 głosy, powołano 12 kółek żywego różańca. W 1874 r. wybudowano dzwonnice na trzy dzwony, na górze pod Sarnakami ustawiono figurę św. Jana Nepomucena (górkę św. Jana). W 1875 r. car zlikwidował kościół unicki na Podlasiu. W 1880 r. podczas odpustu zwałił się filar w kościele, w związku z czym dokonano remontu i drobnej przebudowy kościoła. W 1881 r. pobudowano dom przedpogrzebowy z polnego kamienia.

³³ J. W. Nowosielski, *Kronika...*, s. 69.

z cegły pomnik nad murowanym grobowcem”. W południowo–wschodniej części wydzielono i odgrodzono miejsce na pochówek dla nieochrzczonych dzieci, innowierców i samobójców. Od wschodu znajdowała się główna brama na żelaznych zawiasach, wykonana z sosnowych desek, zamykana na skobel i zwyczajną klamkę. Była jeszcze furtka na żelaznych zawiasach od północy, zamykana na klamkę. Jak zapisano w *Inwentarzu* z 1871 roku, „stan ogrodzenia bardzo liche, godzien tylko ognia”. Deski próchniały, płot rozpadał się ze starości i wciąż brakowało środków finansowych. Dlatego zaczęto gromadzić kamienie na wykonanie porządnego ogrodzenia.

Powstało ono dopiero w 1895 roku, za administracji ks. Edwarda Podbielskiego³⁴, finansowane ze składek parafian i z ich pomocą dla murarzy. Kosztorys opiewał na kwotę 1021 rubli 15 kopiejek³⁵. Wykonane było z kamienia polnego murowanego na wapno, na nim daszek z cegły kładzionej na cement. Brama dwuskrzydłowa z drzewa dębowego, łączonego w kratę z kwadratów, zwieńczona drewnianym krzyżem, po obu stronach furtki wykonane podobnie jak brama, pomalowane na czarno, góra na biało. Brama i furtki wzmocnione między murowanymi czterema filarami, nad filarami i furtkami sklepienie z cegły, nad bramą go nie ma. Filary murowane z kamienia, po brzegach z cegły. Brama na żelaznych zawiasach, zamykana na żelazne kluczyki kowalskiej roboty. Całość przedstawiała się imponująco – co możemy stwierdzić i dzisiaj. Ogrodzenie miało długość 230 łokci i szerokość 125 łokci, obejmowało teren cmentarny z trzech stron, z tyłu nie było ogrodzenia. Wokół niego posadzono drzewa. Na cmentarzu groby były kopane według określonego porządku, w kolejności pochówków. Dlatego groby bliskich członków rodzin powstawały tam, gdzie akurat wypadała kolej na pochówek, często

³⁴ Ks. Edward Podbielski (1841 Krzeczkowo Mianowskie–...), s. Piotra Podbielskiego i Ludwiki Lasockiej. Świecenia kapłańskie w 1868 r. Proboszcz parafii Sarnaki (1882–1900). Za jego kadencji w latach 1882–1885 wybudowano nową, murowaną plebanię, w 1891 zakupione zostały 10–głosowe organy. Poza tym wykonane zostały remonty parkanów przy dwu cmentarzach i w kościele.

³⁵ Ks. Z. Borkowski, *Z dziejów parafii i duszpasterstwa w Sarnakach*, Sarnaki 2006, s. 42.

w różnych, odległych miejscach cmentarza³⁶. Wyjątkiem były groby rodzinne, grobowce, ale na takie mogli sobie pozwolić ludzie zamożni. Tymczasem jednak groby były w większości ziemne, oznaczone wysokimi, drewnianymi krzyżami. Nagrobków murowanych, z żelaznymi krzyżami tylko kilka. Był też krzyż upamiętniający poświęcenie cmentarza w 1895 roku po jego ponownym powiększeniu. W różnych miejscach, w sposób nieuporządkowany, rosły drzewa. Alejek wyznaczonych nie było³⁷, chociaż poprzedni proboszcz takowe wyznaczał.

Tymczasem nadeszła I wojna światowa. W listopadzie 1918 roku z wielkimi honorami pochowano trzech peowiaków, poległych w walce z Niemcami, a wkrótce potem proboszcza ks. Jana Krzewskiego³⁸. Następstwem wojny były choroby zakaźne, które w latach 1918–1923 spowodowały wielką śmiertelność wśród parafian³⁹: tyfus plamisty, dur brzuszny, hiszpanka, ospa. W 1920 roku pochowano na cmentarzu w Sarnakach około 40 żołnierzy Wojska Polskiego, którzy polegli w okolicy podczas walk z bolszewikami – większość leży w Grobie Nieznanego Żołnierza. W zbiorowej mogile pochowano też około 30 żołnierzy bolszewickich⁴⁰.

³⁶ Na cmentarzu w Sarnakach znajdziemy jeszcze sporo przykładów, że np. mąż zmarły w czasie wojny leży w ostatniej alejce od strony Chybowa, a żona zmarła w latach 70. w nowszej części na wzgórku.

³⁷ APSar., *Inwentarz fundi instruktii*, z 1899 r. b.p.

³⁸ Ks. Jan Krzewski (1866 Stara Wieś k/Siedlec–1918 Sarnaki), s. Andrzeja Krzewskiego i Apolonii z Harasimów. Świecenia kapłańskie przyjął w 1888 r. W latach 1900–1918 był proboszczem w Sarnakach. Za jego kadencji, na mocy ukazu o tolerancji religijnej, do parafii w Sarnakach zapisało się ok. 2500 unitów z pobliskich wiosek. Założył lub rozwinął: Bractwo Różańcowe, Bractwo Szkaplerza NMP, Bractwo Trzeciego Zakonu, Bractwo Trzeźwości, kółka żywego różańca i inne. Angażował się w działalność społeczną: założył bibliotekę parafialną, brał udział w otwieraniu szkół ludowych z ramienia Polskiej Macierzy Szkolnej, z jego inicjatywy powstało kółko rolnicze „Skiba Sarnacka”, Stowarzyszenie Mleczarskie „Walka”, Zakład Wyrobów Cementowo–Piaskowych Spółki Sarnackiej, Kasa Oszczędnościowa. Sprowadzał instruktorów, organizował wystawy rolnicze, był inicjatorem i propagatorem zakładania sadów.

³⁹ W 1918 r. zmarło 160 osób, w 1919 – 234 osoby, w 1920 – 181 osób, w 1921 – 132 osoby, w 1923 – 124 osoby.

⁴⁰ J.W. Nowosielski, *Ziemia Sarnacka 1900–1920*, Warszawa 2013, s. 194–195.

Cmentarz kolejny raz powiększono za administracji ks. Jana Krzewskiego. W 1920 roku zajmował on przestrzeń o długości 195 metrów i szerokości 156 metrów. Od gościńca był oddzielony skwerem z sosny, brzozy i świerków mających do 30 lat⁴¹. Kamienny mur otaczał go z trzech stron: od wschodu, zachodu i północy, część od południa została później tymczasowo ogrodzona kamieniami, gdyż „inwentarz i nierogaczna Chibowiaków dokuczały mogiłom”. Na grobach było dużo drewnianych krzyży, stał też „krzyż świadek benedykcji”, czyli poświęcenia nekropolii. Pojawiło się kilkanaście pomników z piaskowca, granitu polnego, cementowych i murowanych z cegły. Z czasem przybywało drzew porastających teren cmentarza, zwłaszcza akacje rozrastały się, tworząc zarośla akacjowe, a na prośby proboszcza o uporządkowanie nie bardzo reagowano⁴².

W 1942 roku proboszczem został ks. dr Bolesław Kulawik⁴³. Korzystając z przeprowadzanej komasacji gruntów, znacznie powiększył cmentarz. Zadbał o ogrodzenie, poszerzył alejki, a główną w 1943 roku obsadził świerkami, dzięki czemu cmentarz w Sarnakach jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Są tu pochowani księża: Paweł Kępiński, Jan Krzewski, Ludwik Kulaszyński, Bolesław Kulawik i Władysław Śledziwski. Najstarsza osoba świecka zmarła w wieku 107 lat.

⁴¹ Obecnie jest to plac i parking przed głównym wejściem na cmentarz. Jeszcze w pierwszej dekadzie XXI w. rosło tam sporo drzew, chociaż trudno teraz powiedzieć, czy były to te same drzewa, o których mowa wyżej.

⁴² APSar., *Inwentarz fundi instructi parafii Sarnaki*, z 01.12.1920 r. b.p.

⁴³ Ks. kan. dr Bolesław Kulawik (1905 Czeladź k. Sosnowca–1972 Siedlce) s. Adama i Magdaleny z Kulawików. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1930 r. we Francji, gdzie spędził kilka lat. W 1935 r. ukończył Instytut Katolicki w Paryżu i uzyskał dyplom doktora nauk ekonomicznych, społecznych i politycznych. W 1937 r. inkardynowany do Diecezji Siedleckiej czyli Podlaskiej. Działacz „Caritas”. W latach 1942–1968 proboszcz w Sarnakach. Za jego kadencji przeprowadzono remont kościoła, ufundowano sygnaturkę do kościoła i 3 nowe dzwony (Stanisław – 740 kg, Maria–Bolesław – 580 kg, Antoni – 220 kg, sygnaturka – 45 kg), uporządkowano i powiększono cmentarz grzebalny, powstała kaplica w Mierzwicach (1952–1955). Przyczynił się do uruchomienia przystanku kolejowego w Sarnakach (1946) oraz powstania na początku lat 60. Przetwórni Owocowo–Warzywnej w Sarnakach, zatrudniającej ok. 300 osób. Pochowany na cmentarzu w Sarnakach.



Fot. 1. Sadzenie świerków w głównej alei cmentarza pod Chybowem, leśnicy z ówczesnego nadleśnictwa sadzą drzewa z inspiracji ks. kan. Bolesława Kulawika (stoi w centrum), obok księdza stoi nauczycielka Helena Erchardowa z synem Gustawem. Sarnaki, ok. 1943 r.

Geneza starego cmentarza

Największą tajemnicą są data i okoliczności powstania nekropolii zwanej starym cmentarzem w Sarnakach. Dawniej był nazywany cmentarzem „pod Grzybów”. Znajduje się on poza zabudowaniami, w bok od ul. Kilińskiego w kierunku na Grzybów. Z dwóch stron graniczy z zabudowaniami gospodarczymi sąsiadów cmentarza, od zachodu i północy rząd brzoź oddziela go od sadów i pól uprawnych. Prowadząca do niego krótka, porośnięta trawą droga gminna, bez nazwy, bierze swój początek naprzeciw ul. Spokojnej. Cmentarz zajmuje powierzchnię 2700 m² (27 arów).

Nie znamy dokładnej daty jego założenia. W dokumentacji będącej w posiadaniu Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Warszawie Delegatura w Siedlcach znajduje się informacja, iż powstał około 1820 roku, ale to informacja błędna.

W latach 1795–1809 Sarnaki znajdowały pod zaborem austriackim, następnie weszły w skład Księstwa Warszawskiego, które przetrwało do 1815 roku, było zależne od cesarza Francji Napoleona I. Ustrój Księstwa Warszawskiego został określony nadaną przez Napoleona konstytucją zwaną Kodeksem Napoleona, który wszedł w życie w roku 1808. W oparciu o zawarte w nim przepisy parafie winny były przenieść cmentarze poza granice miejscowości, a więc nie chować zmarłych w obrębie cmentarza przykościelnego. Podyktowane to było głównie względami higienicznymi, sanitarnymi, ale także, aby każdy zmarły posiadał swój własny grób. Obowiązkiem władz lokalnych było ogrodzenie cmentarza, posadzenie na nim drzew, niedopuszczenie do działań uwłaczających godności zmarłych. Realizacja tych przepisów w praktyce przeciągała się nieraz znacznie. Tak było w przypadku Sarnak.

Jak wspomniano wyżej, w 1816 roku pobudowany został nowy kościół parafialny w Sarnakach. Wówczas znajdował się on poza terenem miasta. Wokół niego powstał cmentarz. Grzebano na nim ludzi w mogiłach ziemnych, nieoznakowanych, które z czasem ulegały zatarciu. Jedynie bogaci mogli liczyć na godne miejsce pochówku, co było potwierdzone kamiennym nagrobkiem. Do tej pory na sarnackim cmentarzu przykościelnym, na tyłach prezbiterium starego kościoła, stoją dwa nagrobki z początku XIX wieku: Joanny i Szymona Baderów z 1827 roku oraz Szymona Kosińskiego z 1828 roku.

W cytowanym już *Opisaniu Kościoła...* z 1826⁴⁴ roku jest mowa o tylko dwu cmentarzach przykościelnych: tym pierwszym, jeszcze istniejącym fizycznie, ale już nieużywanym i tym aktualnym przy nowym kościele. W *Inwentarzu kościoła...* z 1843⁴⁵ roku wymienia się trzy cmentarze. Pierwszy ma nawet nową bramkę w płocie zrobioną, może dlatego, jest tam dość świeża mogiła zmarłego rok wcześniej proboszcza ks. Pawła Wolskiego. Pewnie czasem ktoś tam zajrzy i odmówi „wieczny odpoczynek”. Nikt jednak nie pomyślał, aby mu wystawić trwały nagrobek. Drugi cmentarz przy kościele też już nieużywany. „Trzeci cmentarz jest

⁴⁴ APSar., *Opisanie kościoła parafialnego...* z 1826.

⁴⁵ Tamże, *Inwentarz kościoła ...* z roku 1843, b.p.

w polu, na którym ciała zmarłych chowają się, w odległości od kościoła o pół wiorsty (niewiele ponad pół kilometra), oparkanienia potrzebujący”.

To jest pierwszy ślad obecnego starego cmentarza. Powstał on między 1826 a 1843 rokiem. Kiedy dokładnie – nie wiadomo. Co było głównym motywem przeniesienia cmentarza poza miasto oprócz obowiązujących przepisów? Nie wiemy. Może brak miejsca przy kościele? Czy może inna przyczyna? Między rokiem 1826 a 1830 w parafii umierało średnio 76 osób rocznie. W latach 1830–1833, a więc w okresie powstania listopadowego i tuż po nim, gdy ludność została dotknięta epidemią cholery, rocznie umierało średnio 97 osób, najwięcej w 1832 roku – 104 osoby. Sporo. W wielu miejscowościach powstawały w tym czasie tzw. mogiłki⁴⁶, gdzie w zbiorowych grobach poza wsiami chowano zmarłych na zakaźne choroby. Może więc przeniesienie pochówków poza miasto zostało wymuszone przez pojawienie się zarazy w okolicy. W związku z tym można pokusić się o wniosek, że kierując się względami sanitarnymi i respektując obowiązujące przepisy odnośnie zakładania cmentarzy poza granicami miejscowości, obecny stary cmentarz założono około 1830 roku.

W uzasadnieniu decyzji Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Warszawie o uznaniu starego cmentarza za zabytek nieruchomy województwa mazowieckiego czytamy, że „Cmentarz założony w I poł. XIX w. (ok. 1820 r.) stał się miejscem pochówku rodziny Podczaskich – ostatnich właścicieli Sarnak i ich pracowników. (...) Jest przykładem niewielkiego cmentarza rodowego. Stanowi także świadectwo historii tych okolic”⁴⁷.

Z tym ostatnim zdaniem zgadzam się w całości. To jest świadectwo historii, zarówno parafii, jak i całej okolicy. Uważam natomiast, iż

⁴⁶ Przykładem mogilek jest wzgórze z krzyżem, usypane nad zbiorową mogiłą na skraju wsi Kózki, w kierunku Bindugi. W latach 70. XX w. podczas budowy asfaltowej drogi rozkopano część tego wzgórza, odsłaniając kości ludzkie. Mówi się o cmentarzu epidemicznym w Rzewuszkach, który już nie istnieje. Wiadomo również o istnieniu mogilek w Starych Hołowczycach i w Mierzwicach, które z kolei mogły być cmentarzami wiejskimi dla ludności unickiej czy prawosławnej, należącej do parafii w Mielniku za Bugiem.

⁴⁷ *Decyzja Nr 526/2009 w sprawie wpisania zabytku do rejestru zabytków*, Warszawa, dn. 19.05.2009 r. – kopia w posiadaniu autorki.

pozostałe informacje nie są w pełni zgodne z prawdą. Jak wykazano wyżej, w 1826 roku nie było go jeszcze.

Z analizy dokumentów inwentaryzujących co pewien czas majątek parafii wynika, że był to cmentarz parafialny założony za czasów jednego z właścicieli dóbr Klimczyce, którzy poprzedzali Podczaskich na tych włościach.

W 1832 roku właścicielem dóbr klimczyckich, na które składały się folwarki w: Klimczycach, Chlebczynie, Grzybowie, Sarnakach i Rozwadowie oraz wsie: Binduga, Bużka, Chlebczyn, Grzybów, Klimczyce, Kózki, Lipno, Rzewuszki i miasteczko Sarnaki, a także części gruntów w Chybowie i Rozwadowie, będących w szachownicy z własnością drobnoszlachecką, został hrabia Jan Łubieński, zakupiwszy go na licytacji od uwikłanego w długi hrabiego Stanisława Ossolińskiego. Jeszcze w tym samym roku przekazał zakupiony majątek swemu kuzynowi, hrabiemu Stanisławowi Krasińskiemu⁴⁸, wnukowi hrabiego Stanisława Ossolińskiego po jego jedynej, nieżyjącej już, córce Emilii z Ossolińskich Krasińskiej. Żaden z nich nie spoczął na sarnackim cmentarzu. Miejsce wiecznego spoczynku znaleźli tam natomiast parafianie sarnaccy: włościanie z wsi należących do majątku Klimczyce, szlachta i włościanie z Chybowia, Rozwadowa i Terlikowa, katolicy mieszkańcy Mierzwic, Hołowczyc, Płaskowa, Zabuża. Niestety, ich groby nie zachowały się.

Pierwszym z Podczaskich, który został pochowany na starym cmentarzu, był Bronisław syn Joachima, który zmarł w 1887 roku. Dużo wcześniej zmarła żona dzierżawcy majątku Zabuże, Otolia Egierszdorf, której miejsce pochówku w 1852 roku wskazuje prosty nagrobek z piaskowca. Kilkanaście lat później, w 1867 roku, prawdopodobnie pochowany tu został jej mąż Andrzej Egierszdorf. W takiej sytuacji trudno chyba mówić o cmentarzu rodowym. Chociaż z drugiej strony, trochę dziwne jest to, że nowy cmentarz funkcjonował już od wielu lat, a Podczascy wybierają stary. Dlaczego? Nie było tu ich przodków ani nikogo z rodziny. Może chcieli właśnie na tej popadającej w zapomnienie nekropolii zaznaczyć

⁴⁸ T. Dobrowolski, *Dobra Sarnacko-Klimczyckie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, t. 5, 2022, s. 20–21.

swoje istnienie na sarnackiej ziemi? Ich rodzinny grobowiec jest najbardziej okazały. Nie mogli przewidzieć, że przyszłość będzie tak niełaskawa dla tego miejsca.

O Podczaskich i Egierszдорfach na tym cmentarzu garść informacji dalej.

Stary cmentarz [prawie] zapomniany

Wiosną 1840 roku w Dzienniku Urzędowym Guberni Podlaskiej⁴⁹ ukazało się ogłoszenie o licytacji „na oparkanie cmentarza grzebalnego w Sarnakach”. Zatwierdzony przez Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia anszług (kosztorys) opiewał na sumę 2128 złp. Wadium wynosiło 212 złp 24 grosze. Termin licytacji wyznaczono na 7 kwietnia. Co ciekawe, w ogłoszeniu zaznaczono, iż „starozakonni do licytacji tej przypuszczeni nie będą”. Ciekawe też jest, czy licytacja się odbyła, a jeżeli tak, dlaczego nie przyniosła spodziewanych efektów.

Okazuje się bowiem, że w 1843 roku, kiedy stary cmentarz był jeszcze najnowszym cmentarzem, nie posiadał on ogrodzenia⁵⁰. Dopiero po jakimś czasie dookoła zbudowano mur kamienny, który w lepszym lub gorszym stanie przetrwał prawie 100 lat. Co pewien czas trzeba go było reperować, czego ślady znajdujemy w *Kronice parafii Sarnaki*: w 1876 roku, za ks. Adama Sadowskiego „zreperowano cały parkan cmentarza dawno już założonego, będącego przy drodze do Grzybowa, który był zupełnie zaniedbany – dorobiono tam nową sztachetową bramę i obsadzono cmentarz drzewkami, robotę murarską wyżej wspomnianą dopełnił Stanisław Niedanowski”⁵¹.

W *Inwentarzu Kościoła i Probostwa* z 1882 roku, podsumowującym niejako działalność ks. Sadowskiego jako proboszcza, czytamy, że „drugi cmentarz grzebalny zwany starym położony w stronie zachodniej, od kościoła odległy 2/3 wiorsty, od mieszkań ludzkich 1/2 wiorsty. Długość jego wynosi łokci 85, szerokość łokci 75, figura prostokątna. Co się tyczy

⁴⁹ „Dziennik Urzędowy Guberni Podlaskiej”, Nr 11/1840, s. 134; Nr 12 /1840, s. 144.

⁵⁰ APSar., *Inwentarz kościoła ... z roku 1843*.

⁵¹ J.W. Nowosielski, *Kronika ...*, s. 74.

krzyża świadczącego o benedykcji⁵² cmentarza, nie ma pewności, prawdopodobnie nie istnieje. Drzew dzikich zaledwie kilka się znajduje. Miejsce dla nieochrzczonych, innowierców i samobójców oddzielone⁵³ w stronie północnej cmentarza. Obecnie ciała zmarłych na tym cmentarzu nie grzebie się, z wyjątkiem nader rzadkich wypadków. Pomników murowanych znajduje się trzy, utrzymane są w porządku. Ogrodzenie tego cmentarza stanowi mur z kamieni zwyczajnych układanych na wapno, pokryty daszkiem z cegły. Brama wchodowa umieszczona w ścianie wschodniej zrobiona z desek sosnowych na żelaznych zawiasach, zamykana na skobel i kłódkę. Furtek żadnych nie ma. Ścieżki nie utrzymuje się. Stan ogrodzenia jest w stanie dobrym. Na żadnym z cmentarzy kaplicy nie ma”⁵⁴.

Z zapisów tych wynika, że niemal 30 lat po utworzeniu nowego cmentarza pod Chybowem na starym od czasu do czasu dokonywano pochówków. Szkoda, że akta metrykalne nie zawierają takiej informacji, gdzie zmarły został pochowany.

Jednym z wymienionych pomników jest na pewno ten poświęcony Otolii Egierszdorf. Czy do pomników zaliczono również grobowiec, gdzie prawdopodobnie znajdowało się ciało jej męża? Dlaczego nie przetrwały dwa inne pomniki?

Siedem lat później proboszcz ks. Edward Podbielski zlecił odnowienie zniszczonego kamiennego muru na cmentarzu przy drodze do Grzybowa, co w 1889 roku wykonał częściowo kamieniarz Józef Maksymowicz za 9 rubli 22,5 kopiejek, a dokończył Błażej Rozumski za 7 rubli 87,5 kopiejek⁵⁵.

Odkąd jednak zaczęto grzebać zmarłych na nowym cmentarzu pod wsią Chybów, stary cmentarz znajdował się w coraz gorszym stanie.

⁵² Benedykcja – modlitwa kapłańska z obrzędem poświęcenia, tj. ze znakiem krzyża św. i kropieniem święconą wodą, błogosławieństwo.

⁵³ Było to miejsce niepoświęcone. Być może informacja o rzadkich przypadkach pochówków na tym cmentarzu dotyczyła właśnie nieochrzczonych (przede wszystkim dzieci zmarłych przed chrztem lub urodzonych martwo), innowierców i samobójców.

⁵⁴ APSar., *Inwentarz Kościoła i Probostwa...* z 1882 r.

⁵⁵ J.W. Nowosielski, *Kronika ...*, s. 84.

W 1920 roku w *Inwentarzu parafii* zapisano: „Na zachodniej stronie miasteczka Sarnak, przy drodze prowadzącej od drogi Grzybowskiej do kolejowej stacji Platerowa jest drugi, dawny cmentarz, od wielu lat nieużywany do grzebania, oparkaniony kamiennym, w dobrym stanie parkanem, z daszkiem ceglanym, w części uszkodzonym, z bramą drewnianą, potrzebującą zamienienia nową bramą. Na tym cmentarzu jest kilka pomników z piaskowca. Wojny na obydwu cmentarzach uszkodzeń nie wyrządziły”⁵⁶. I znowu szkoda, że nie wymieniono osób upamiętnionych tymi pomnikami – do naszych czasów przetrwały tylko dwa: Otolii Egierszdorf i Marianny Góreckiej. Nie wymienia się też dwóch grobowców, które istnieją do dziś.

Teren starego cmentarza był w tym czasie już mocno zaniedbany. Od czasu do czasu ktoś tam zaglądał z czystej ciekawości. Tak wspomina wizytę na cmentarzu w lipcu 1922 roku sarnacki kronikarz Jan Kondracki:

„Upał dzisiaj straszny. Nie umniejsza go suchy południowy wiatr, ale go zwiększa. Na tak zwanym starym cmentarzu leżę pod rozłożystą sosną i pocę się. Jest godz. 10 rano.

Na cmentarzu tym już nie chowają od dawna. Kwadratową jego powierzchnię porosły chwasty i zioła, groby pozapadały się i teraz już nie poznasz, gdzie była mogiła. Na środku rosną olbrzymie krzaki bzu, otaczające sosnę koślawą i krzyż wielki drewniany, stary. Prócz tego krzyża jest jeszcze tylko jeden, nie mniej stary i grobowiec z czerwonej cegły.

Zszedłem po schodkach i przez kratę w drzwiach zajrzałem do środka. Stały tam trzy czy cztery trumny metalowe. Dalej mrok nie pozwolił mi nic dojrzeć.

Tylko dwa krzyże i jeden grób rodzinny pozostał. Poza tym kilka sosen, polna grusza w jednym rogu i rozłożysta wierzba w bramie.

Cmentarz okolony jest parkanem z kamienia wysokości około półtora metra, przykryty resztkami cegieł u góry. W szpary między cegłami wiatr naniósł piasku i ziemi, a także nasion różnych traw, które z wiosną wystają

⁵⁶ APSar., *Inwentarz fundi instructi parafii Sarnaki*, z 01.12.1920 r.

do wysokości łokcia. Każdy powiew wiatru przynosi tu głucho dudnienie wiatraka, które ginie w narastającym poszumie drzew na cmentarzu.

Nad zwłokami pochowanych tu ludzi, a raczej nad szczątkami ciał, porosły zielska i rośliny różne. Na powierzchni nie ma nawet śladu ich bytności, w ziemi pewnie tleją szerniałe kości. Szczęły ich ciała, o które tak za życia dbali, którym tak dogadzali, ich umysły, którymi się tak szczycili, ich ideały, za które walczyli całe życie, a nawet padli.

Zmarniało wszystko i tylko garstka popiołu albo czyn pozostał z ich istnienia. Leżą prochy w oczekiwaniu strasznego sądu, wsłuchane w dalekie odgłosy, na dalekiej powierzchni ziemi. Leżą już teraz nieznane, bez obawy o losy świata. Nie wzruszysz ich niczym, żadnym nieszczęściem, nie zbudzisz ich żadnym odgłosem, nie poruszysz żadną siłą. Śpijcie spokojnie, niech ta ziemia, pod której ciężarem leżycie, będzie wam lekką”⁵⁷.

Grobowiec z czerwonej cegły to miejsce spoczynku rodziny Podczaskich. W kwietniu 1921 roku został w nim pochowany ppor. Bronisław Podczaski, Kondracki mógł widzieć trumnę młodego żołnierza. W niedługim czasie po wizycie Kondrackiego na cmentarzu, w listopadzie 1922 roku do rodzinnego grobu złożono ciało Józefa Augustyna Podczaskiego, ojca Bronisława. I były to ostatnie pochówki na starym cmentarzu.

Czytając opis Kondrackiego, trudno nie odnieść wrażenia, że nikt już wtedy nie dbał o to miejsce. W zaroślach i wysokiej trawie niewidoczny był drugi grobowiec ani dwa nagrobki. Przykre to musiało być dla żałobników, którzy uczestniczyli w pogrzebach dwóch ostatnich Podczaskich, których rodzina ponad pół wieku władała największym majątkiem w parafii Sarnaki.

Brak dbałości nie oznaczał bynajmniej całkowitego opuszczenia cmentarza. Coraz to ktoś pojawiał się na nim, ale nie w trosce o pogrzebanych tam dawno temu ludzi. W latach trzydziestych, podobnie jak kilkadziesiąt lat później, obrzeża cmentarza i wokół grobowców porastały

⁵⁷ J. Kondracki, dz. cyt., s. 77.

gęste krzaki zdziczałego bzu. Gdzieś tam jeszcze rosły pojedyncze drzewa. Niewielka odsłonięta przestrzeń zarosła trawą i ziołami traktowana była jak łąka, którą kosił i zbierał z niej siano kościelny. Na cmentarz zaglądali czasem żydowscy chłopcy, którzy zachodzili w to miejsce wypić pół litra i zjeść kiełbasę, co zdarzało się widzieć młodemu wówczas Wincentemu Cybulskiemu⁵⁸. Tuż przed wojną ktoś włamał się do grobowca Podczaskich, zrywając blaszane pokrycie dachu i wybijając cegły w sklepieniu, zapewne w celach rabunkowych. Drewniane trumny zostały pootwierane, metalowa, zalutowana, nosiła ślady po próbach jej otwarcia, ale pozostała nienaruszona. Szkodę zauważył mający w pobliżu swoje pole Teodor Cybulski, ojciec Wincentego. Od razu zgłosił to na posterunek policji i zawiadomił proboszcza, ks. Aleksandra Zarembę. Policja i ksiądz obejrzelni uszkodzony grobowiec, ale wobec niewykrycia sprawców postanowiono po prostu zamurować dziurę. Teodor Cybulski był murarzem, więc wykonał tę pracę, potem przykrył naprawione sklepienie blachą „i tak to stało do końca wojny prawie”⁵⁹.

W 1941 roku Niemcy, szykując się do wojny z Rosją, kazali rozebrać parkan przy starym cmentarzu⁶⁰ i przeznaczili kamienie na budowę drogi w kierunku Bugu, do Mierzwic.

Mówiło się czasem, że podczas ostatniej wojny schronienie wewnątrz grobowca znajdowali ukrywający się przed Niemcami Żydzi. Być może tak było. Po zakończeniu działań wojennych wojsko (KBW⁶¹) zdemolowało grobowiec w poszukiwaniu broni, jakoby ukrytej przez partyzantów. Zostało wtedy rozbite wejście do grobowca, trumny otwarte, wszystko wewnątrz porozwalane. Nikt tego potem nie uporządkował i tak zostało⁶². Być może podobny los spotkał drugi grobowiec, gdyż w jego wnętrzu także widać było porozrzucane kości ludzkie.

⁵⁸ Relacja Wincentego Cybulskiego, fragment wywiadu z 2015 uzyskany od Rafała Zubkowicza.

⁵⁹ Tamże. Jest też wersja, że sprawcami włamania do grobowca byli Żydzi, podobno odbył się proces sądowy i zostali skazani.

⁶⁰ Rozebrali też część ogrodzenia cmentarza pod Chybowem, zniszczyli cmentarz żydowski.

⁶¹ KBW – Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, formacja wojskowa działająca w latach 1945–1965, powołana do walki z tzw. podziemiem reakcyjnym, antykomunistycznym.

⁶² Relacja Wincentego Cybulskiego, dz. cyt.

Na początku lat 60. XX wieku młody mieszkaniec sarnackiego dworu, wiedziony ciekawością, zaglądał do grobowca Podczaskich. Zapamiętał, że w otwartej trumnie z lewej strony widział leżącą kobietę w aksamitnej sukni, z trumny zwisała pozbawiona skóry ręka kobiety. W trumnie z prawej strony leżał mężczyzna w galowym ułańskim mundurze⁶³. Wskazuje to na młodego Bronisława Podczaskiego.

Cmentarz na długie lata popadł w zapomnienie. Dopiero ks. Władysław Śledziwski⁶⁴, proboszcz w latach 1968–1986⁶⁵, zainteresował się tym miejscem. Zlecił ogrodzenie terenu cmentarza drutem kolczastym, wejście chroniła furtka z metalowych elementów, osadzona w cementowych słupkach. I zaczął organizować procesje na ten cmentarz w Dzień Zaduszny, poleciwszy wyciąć przedtem przejście wśród zarośli. Po jego śmierci „z każdym rokiem cmentarz ten starzejąc się niszczał, zarastał gąszczem niepożądanych krzewów i traw, tym bardziej, że od dawna nie grzebano tu zmarłych, zaniechano więc procesji”⁶⁶. A cmentarz podlegał dalszej dewastacji. Musiało upłynąć trochę czasu, aby ktoś znowu zainteresował się tym miejscem.

W 2007 roku, za proboszczowania ks. Andrzeja Oleszczuka⁶⁷, postanowiono przywrócić szacunek miejscu wiecznego spoczynku dawnych parafian sarnackich. Z inicjatywy młodego kościelnego Mariusza Dudziuka

⁶³ Relacja Krzysztofa Przesmyckiego z 2012 r., przekazana przez Stefana Domańskiego.

⁶⁴ Ks. prał. Władysław Śledziwski (1917 Liw–1986 Sarnaki), s. Wojciecha Śledziewskiego i Scholastyki z Rogalskich. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1944 r. Za jego kadencji pobudowano kaplicę w Lipnie, rozbudowano kaplicę w Mierzwicach, w Litewnikach zaadoptowano drewniany dom na kaplicę. W pamięci wielu zapisał się szczególną pobożnością. Uczestniczył w wielu pielgrzymkach na Jasną Górę, przewodził pielgrzymkom z Sarnak do Leśnej Podlaskiej, poprowadził pielgrzymkę z Sarnak do Kodnia. Wprowadził do parafialnej tradycji procesję na stary cmentarz w Dniu Zaduszny oraz procesję na cmentarz grzebalny w oktawie Wszystkich Świętych.

⁶⁵ A. Wasilewska, *Kto śpiewa, dwa razy się modli. O organistach, organach i chórze w parafii Sarnaki*, Sarnaki 2020, s. 106.

⁶⁶ Ks. Z. Borkowski, *Cmentarz ...*, s. 36.

⁶⁷ Ks. Andrzej Oleszczuk (1960 Wólka Komarowska–2016 Miedzna), s. Kazimierza Oleszczuka i Heleny z Orłowskich. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1986 r. Proboszcz parafii Sarnaki w latach 2004–2008. Ukończył Podyplomowe Studia z Zakresu Konserwatorstwa i Zabytkoznawstwa Sztuki Kościelnej na Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu, napisaniem pracy dyplomowej. Zob. ks. A. Oleszczuk, *Kościół Parafii Rzymskokatolickiej w Sarnakach*, 2006, mps [kopia w posiadaniu autorki].



Fot. 2. Grobowiec Podczaskich w ruinie, na zewnątrz leży metalowe wieko trumny, na pierwszym planie stos wyciętych gałęzi, 2007 r.

i sołtysa Marka Pióro w maju zaczęto karczować krzaki i wycinać drobne drzewka samosiejki na cmentarzu. Odsłonił się wówczas widok dwóch zbezczeszczonych grobowców. W odpowiedzi na apel proboszcza w pracach tych brało udział kilku parafian, którym ta sprawa leżała na sercu.

Jak się szybko okazało, była to trochę syzyfowa praca, gdyż bez bardzo szybko odrastał z pozostawionych w ziemi korzeni. W niedługim czasie znowu trzeba było wycinać odrosty.

Artykuły prasowe

W maju 2007 roku w *Słowie Podlasia* ukazał się artykuł⁶⁸, w którym czytamy: „Grobowce ziejące rozbitymi trumnami, w których walają się

⁶⁸ J. Makaruk, *Odsłonięte groby porażają*, „Słowo Podlasia” nr 21/2007.



Fot. 3. Grobowiec Egierszдорfów w ruinie, w odrostach bzu leży fragment nagrobka Otoli Egierszдорf, o ścianę grobowca oparty krzyżyk znaleziony w zaroślach, 2007 r.

ludzkie szczątki – taki widok zobaczyli pracujący przy oczyszczaniu cmentarza w Sarnakach. Dopóki opuszczoną nekropolię pokrywał gęszcz krzewów, nie było tego widać. Od kilku tygodni trwa mozolne porządkowanie.

O tym, że w Sarnakach jest nie jeden, a cztery cmentarze, powoli zapominano. O starym cmentarzu, którego teren wciąż pozostaje w gestii tamtejszej parafii, przypomniał proboszcz Andrzej Oleszczuk. Ksiądz kilkakrotnie ogłaszał informację o planowanych porządkach, a chętni brali udział w sprzątaniu. Do tej pory usunięto krzaki na większej części liczącego 27 arów cmentarza. Dzięki temu odsłonięte zostały dwa obszerne grobowce.

– Następnym etapem prac powinno być zabezpieczenie tych grobów. Koniecznie! – nie ma wątpliwości Mariusz Dudziuk, kościelny z Sarnak, który z kilkoma sąsiadami bierze udział w porządkach.

Mieszkańcom Sarnak znany jest przede wszystkim jeden cmentarz, z uwagi na położenie od lat nazywany „pod Chybowem”. Spoczywają tam zmarli, o których wciąż się pamięta, zapala świece, przynosi kwiaty. Co do tego, kto spoczywa na starym cmentarzu, istnieją wątpliwości. Daty na zachowanych nagrobkach wskazują, że był on czynny w latach, kiedy istniał już cmentarz użytkowany obecnie”⁶⁹.

W listopadzie tego samego roku gazeta ponownie opublikowała artykuł o starym cmentarzu: „Pisaliśmy w maju o dramatycznym stanie starego cmentarza w Sarnakach. Artykuł uderzył w czułą strunę. W maju na starym cmentarzu katolickim rozpoczęła się wycinka krzaków. Kiedy džungla została wytrzebiona, światło dzienne ujrzały dwa wymurowane z cegły grobowce. Zawalone dachy, a przede wszystkim rozbite wejścia i ślady dewastacji wewnątrz wystawiały nie najlepsze świadectwo żyjącym.

Grobowiec, który wówczas zaprezentowaliśmy na zdjęciu, dziś wygląda zupełnie inaczej. Zamurowana krypta nie straszy wyszczerbioną czeluścią, sklepienie przykryte nowym dachem, a nowa tabliczka z granitu głosi: „Grób rodziny Podczaskich”. Całość wieńczy krzyż, który parę miesięcy temu wałał się na ziemi.

Odnowiona mogiła kryje szczątki siedmiu członków rodziny Podczaskich, do czasów uwłaszczenia właścicieli prywatnego miasta Sarnaki i kilku okolicznych wsi. Może właśnie dlatego grupa osób, którą najbardziej zbulwersowało zdjęcie zamieszczone w naszej gazecie, zajęła się nim w pierwszej kolejności. Jeden dał drewno i cegły, drugi blachę, inny dołożył parę groszy i własny czas. Proboszcza Andrzeja Oleszczuka zapytali tylko o zgodę na rozpoczęcie prac i zaprowadzili, kiedy wszystko było gotowe. Ten obiecał, że w dzień Zaduszny na cmentarz pójdzie procesja, pierwsza po przeszło 20 latach. Miejmy nadzieję, że teraz o grobach swych przodków ludzie już nie zapomną”⁷⁰.

Temat starego cmentarza i jego porządkowania pojawił się także w lokalnym miesięczniku *Gazeta Łosicka*. Rafał Zubkowicz napisał:

⁶⁹ Tamże.

⁷⁰ Tenże, *Dziedzice spoczywają w pokoju*, „Słowo Podlasia” nr 45/2007.

„Bzy, które porastały stary cmentarz w Sarnakach, kwitły i pachniały pięknie. Co z tego, kiedy płatanina gałęzi i odrośli stanowiła niemożliwy do przebycia busz. Dopiero, kiedy w maju tego roku rozpoczęto wycinanie krzaków, okazało się, że gęstwina kryje na wpół zniszczone grobowce.

Ludzie, którzy społecznie poświęcili swój czas na wycinanie krzaków, odkryli dwa pojedyncze nagrobki i dwa wymurowane z cegły grobowce z zawalonymi dachami, a przede wszystkim z rozbitymi wejściami. Zdewastowane trumny i szczątki ludzkie przemieszane z tym, co wiatr i ludzie nanieśli do wewnątrz, nie wystawiały żyjącym najlepszego świadectwa.

Wycinkę prowadzono w maju. Kiedy wieść o odkrytym na nowo cmentarzu rozeszła się szerzej, m.in. za sprawą artykułu w lokalnej gazecie, coraz więcej osób zaczęło tam „zaglądać”. Wśród nich takie, które przejęły się tragicznym losem szczątków zmarłych przed dziesiętkami lat.

Okazałszy z grobowców kryje, a w zasadzie kryć powinien, zwłoki 7 członków rodziny Podczaskich, do czasów uwłaszczenia w 1864 r. właścicieli majątku Klimczyce, w skład którego wchodziło prywatne miasto Sarnaki i kilka okolicznych wsi. Odnaleziona pośród trumien klepsydra potwierdziła, że jako ostatni spoczął pomiędzy bliskimi Józef Podczaski zmarły 18 listopada 1922 r. (za życia był zarządcą majątku w Hruszniewie).

Inicjatywa remontu grobowców zrodziła się społecznie i w taki sposób jest realizowana. Żaden z tych, którzy zdjęci troską i elementarnym poczuciem przyzwoitości zaangażowali się w działania, nie wie, aby na starym cmentarzu spoczywali jego krewni. Nie to akurat przyświecało ich intencjom. Obyło się też bez angażowania jakichkolwiek instytucji, proszenia o fundusze i pomoc; kilkanaście osób, którym nie zależy też na popularności, służy pracą, materiałami, a kiedy trzeba portfelem⁷¹.

⁷¹ Najbardziej zaangażowani w 2007 r. byli: Marian i Wojciech Broniszowie, Barbara Czarnocka, Ewa Czekanowska, Stefan Domański, Mariusz Dudziuk, Ada i Jerzy Gryclowie, Jan Jakubiński, Wiesław Mikiciuk, Janusz Nowosielski, Janusz Ostrowicz, Marek Pióro, Andrzej Wasiluk, Rafał Zubkowicz. W 2008 r. dołączyli Wiktor Rytel i Jarosław Mikiciuk.

W pierwszej kolejności wyremontowano właśnie grobowiec Podczaskich. Zamurowana krypta nie straszy już wyszczerbioną czeluścią, sklepienie przykrywa nowy dach, a na najwyższą z wieżyczek wrócił krzyż, który jeszcze niedawno walał się na ziemi. Dzieło przypieczętowała nowa tabliczka z granitu: „Grób rodziny Podczaskich”.

Drobne naprawy wykonano też przy grobie zmarłej 98 lat temu Marianny Góreckiej. W przyszłym roku zacznie się remont drugiego z grobowców i zapewne jeszcze szereg innych działań zmierzających do utrzymania terenu w porządku. Niedawno, 2 listopada, w Dzień Zaduszny, po raz pierwszy od dwudziestu paru lat na cmentarz znów poszła procesja. Ten i ów powodowany pamięcią o zmarłych przyniósł i zapalił znicz pamięci⁷².



Fot. 4. Odnowiony grobowiec Podczaskich, 2007 r.

⁷² R. Zubkowicz, *Spoczywają w pokoju*, „Gazeta Łosicka” nr 11/2007, s. 16–17.

Historia działań związanych z renowacją starego cmentarza

Grobowiec rodziny Podczaskich został wyremontowany we wrześniu 2007 roku. Zamurowano wejście, uzupełniono braki. Do prac murarskich wykorzystano 65 starych cegieł, pochodzących z rozbiórki starego domu w sarnackim „getcie”. Następnie wymieniono drewnianą konstrukcję dachu i przykryto ocynkowaną blachą, która została pomalowana czerwoną farbą. Zakończeniem prac było zasypanie dołu po schodach wiodących niegdyś do grobowca.

W październiku, podczas spotkania proboszcza z przedstawicielem grupy zaangażowanych społeczników ustalono, iż przywrócona zostanie dawna tradycja procesji na stary cmentarz w Dzień Zaduszny. Poza tym ekipa, która wyremontowała grobowiec rodziny Podczaskich, zajmie się remontem drugiego grobowca, natomiast proboszcz zobowiązał się do wykonania prac porządkowych na cmentarzu przy pomocy sprzętu zmechanizowanego, zasiania trawy oraz do ogrodzenia cmentarza siatką metalową po wykonaniu wszystkich prac. Planowano również w następnym roku postawić tam krzyż i od nowa wyświęcić cmentarz.

W ostatnią niedzielę października ksiądz proboszcz ogłosił, że po mszy św. o godz. 11.30 na stary cmentarz przy drodze do Grzybowa uda się procesja. Tym samym przywrócona zostanie tradycja corocznych procesji w Dzień Zaduszny, wprowadzona przez ks. prałata Władysława Śledziewskiego. Poprosił też mieszkańców wsi Klimczyce i Klimczyce–Kolonii o wykonanie prac porządkowych na starym cmentarzu. Na ten apel odpowiedziała Małgorzata Jakubowska z Klimczyc–Kolonii, wysyłając trzech pracowników, którzy siekierami i sekatorami wycinali krzaki i zarośla, oczyszczali drogę do cmentarza, na koniec wywieźli nagromadzone gałęzie i odpady.

W Dniu Zadusznym w 2007 roku odbyła się pierwsza po ponad 20 latach procesja na uporządkowany stary cmentarz. Przewodniczył jej ks. Andrzej Oleszczuk z wikariuszami ks. Grzegorzem Wierzbickim i ks. Januszem Bolewskim. Uczestniczyło około 100 wiernych.

Niestety, ks. Oleszczuk w połowie roku 2008 został przeniesiony do innej parafii i nie zdążył podjąć obiecanych działań.

W 2008 roku odremontowano drugi zachowany grobowiec, wykorzystując starą cegłę rozbiórkową i znalezioną wewnątrz grobowca. Wymieniono drewnianą konstrukcję dachu, który przykryto ocynkowaną blachą. Został także wykonany nowy krzyż metalowy, gdyż nie znaleziono starego. Oprócz tego odnowiono nagrobek z piaskowca Otolii Egierszdorf, tablicę nagrobną Marianny Góreckiej, osadzono w kamieniu znaleziony w krzakach metalowy krzyż. Po zakończeniu wszystkich prac Wojciech Bronisz wraz z pracownikami firmy JAWOMAT wywieźli z cmentarza odpady blachy, niewykorzystane cegły i gruz budowlany oraz uporządkowali teren.

Przed Świętem Zmarłych ponownie odbyło się spotkanie z proboszczem, ks. Jakubowiczem⁷³, w celu przekazania informacji o zakończeniu prac remontowych na starym cmentarzu. Ksiądz zapewnił, że dawna tradycja procesji na stary cmentarz w Dzień Zaduszny będzie kontynuowana po mszy św. o godz. 11.30. Obiecał ponadto sprawdzić w Urzędzie Konserwatora Zabytków, czy stary cmentarz jest zamieszczony w rejestrze zabytków. Jeżeli nie, wystąpi z wnioskiem o jego umieszczenie, bo jest to jednym z podstawowych warunków pozyskania środków finansowych na odtworzenie ogrodzenia, uporządkowanie terenu i zieleni oraz drogi dojazdowej.

W Dniu Zadusznym odbyła się druga procesja na stary cmentarz. Przewodniczył jej proboszcz ks. Andrzej Jakubowicz z wikariuszami ks. Grzegorzem Wierzbickim i ks. Krzysztofem Domaraczeńko. Ponownie uczestniczyło w niej około 100 osób.

⁷³ Ks. prał. dr Andrzej Jakubowicz (1959 Międzyrzec Podlaski), s. Karola i Reginy z Harasimiuków, doktor teologii pastoralnej, święcenia kapłańskie 1984, wikariusz par. Sarnaki 1991–1992, dziekan dekanatu Sarnaki od 2005 r., proboszcz parafii Sarnaki od 2008 r. Za jego kadencji został zbudowany nowy kościół w Sarnakach (2012–2020). Za swoje dokonania (nie tylko w Sarnakach) otrzymał: Srebrny Krzyż Zasługi (2008), złotą odznakę *Za opiekę nad zabytkami* (2008), *Krzyż Papieski* Diecezji Drohiczyńskiej (2010), medal *Mater Verbi* redaktora naczelnego tygodnika Niedziela (2011).

Rok 2009 był znaczący w nowej historii starego cmentarza. Członkowie nowo powstałego Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej⁷⁴ postanowili kontynuować prace nad przywróceniem staremu cmentarzowi właściwej rangi i szacunku oraz utrzymania go w godnym stanie. Podczas spotkania przedstawicieli TMZS z proboszczem uzyskali jego zgodę na prowadzenie prac renowacyjnych i porządkowych. Dowiedzieli się również, że w maju tego roku cmentarz z inicjatywy proboszcza został wpisany do rejestru zabytków województwa mazowieckiego⁷⁵, co w przyszłości nie ułatwiło społecznikom działań.

W tym czasie Towarzystwo przystąpiło do ogólnopolskiego projektu „Katyń – ocalić od zapomnienia”, którego celem było uczczenie ofiar zbrodni katyńskiej poprzez posadzenie dębu pamięci każdemu z zamordowanych⁷⁶. Okazało się bowiem, że z Sarnakami związanych było kilka osób, które poniosły śmierć w wyniku tej zbrodni. Optymalnym miejscem, gdzie można byłoby umieścić dęby, wydawał się stary cmentarz. Byłaby to szansa całkowitego uporządkowania go i nadania mu nowego znaczenia jako Miejsca Pamięci Narodowej.

Do końca 2009 roku trwały różnego rodzaju spotkania i rozmowy na temat planowanego posadzenia tam Dębów Pamięci, planów renowacji i ogrodzenia cmentarza, perspektyw jego zagospodarowania oraz możliwości zdobycia funduszy na to przedsięwzięcie. Inż. Gustaw Erchard, syn jednego z upamiętnionych oficerów WP, przygotował aż sześć koncepcji renowacji terenu cmentarza. Z czasem okazało się to wszystko niewykonalne, przede wszystkim ze względów finansowych.

Prace porządkowe w 2010 roku rozpoczęły się z końcem kwietnia. Znowu była wycinka gałęzi i krzewów, usuwanie korzeni drzew i krzewów przy pomocy koparki⁷⁷, rozdrabnianie wyciętych gałęzi

⁷⁴ Towarzystwo Miłośników Ziemi Sarnackiej zostało zarejestrowane w KRS w grudniu 2008 r.

⁷⁵ *Decyzja ...*

⁷⁶ Inicjatorem i koordynatorem programu jest Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza pod honorowym patronatem Prezydenta RP.

⁷⁷ Wynajem koparki sponsorowali: Marian Bronisz (właściciel tartaku w Sarnakach), Barbara Czarnocka (pracownik naukowy, Warszawa), Włodzimierz Czarnocki (USA), Robert Czekanowski (właściciel wytwórni zniczy w Rozwadowie), Stefan Domański (pracownik

i ich palenie, usuwanie zabetonowanych metalowych słupków dotychczasowego ogrodzenia, kamieni, korzeni i pieńków z pola drogi, przez co uzyskano możliwość przejazdu pojazdami, wyrównanie drogi dojazdowej⁷⁸. W sierpniu na wykarczowanym i splantowanym terenie, z prawej strony od wejścia, ponowiono prace porządkowe, które polegały teraz na ręcznym wybieraniu pozostałych korzeni oraz kamieni i ich wywożenie. Wzięli w tym udział członkowie Towarzystwa, nieraz z rodzinami⁷⁹.

Na początku września zamontowano dziewięć tablic katyńskich na symbolicznych nagrobkach, wykonanych w zakładzie Marka Mazurka w Drażniewie. Z Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych przyznana została niewielka dotacja celowa na wykonanie tablic przy Dębach Pamięci, wsparcie finansowe wpłynęło także z Nadleśnictwa Sarnaki, ze Starostwa Łosickiego, ze sklepu „Groszek”, od radnych Gminy Sarnaki, od sołtysów i osób indywidualnych. Część tablic ufundowali potomkowie upamiętnianych oficerów.

Uroczystość posadzenia 9 Dębów Pamięci odbyła się 17 września 2010 roku, o czym będzie mowa w następnym „Roczniku Ziemi Sarnackiej”.

Nieco wcześniej, w przeddzień święta Wojska Polskiego, tj. 14 sierpnia na grobowcu rodziny Podczaskich na starym cmentarzu w Sarnakach

Polferu w Woźnikach), Jerzy Grycel (lekarz na emigracji), Andrzej Jędrzejuk (właściciel tartaku w Grzybowie), Jarosław Mikiciuk (policjant komendy stołecznej w Warszawie), Wiesław Mikiciuk (emerytowany policjant z Sarnak), Kazimierz Sasin (były nauczyciel, sadownik z Sarnak), Waldemar Steleżuk (właściciel koparki z Sarnak), Irena Szpura (emerytowany urzędnik, Hołowczyce), Agata Wasilewska (wicedyrektor ZS w Sarnakach).

⁷⁸ Wsparcia w pracach przygotowujących do uroczystości posadzenia Dębów Pamięci udzieliли: Nadleśnictwo Sarnaki (koparka, pług, pracownicy), Powiatowy Zarząd Dróg w Łosicach (rozdrabniacz gałęzi, pracownik), Waldemar Steleżuk (koparka), właściciel tartaku z Grzybowa Andrzej Jędrzejuk (dwa ciągniki z przyczepami), Wiktor Rytel (kultywator), sołtys Marek Pióro (brony ciągnikowe), Stanisław Nowosielski z Sarnak (sprężynówka i brony), Przedszkole Samorządowe w Sarnakach (pracownik gospodarczy), Urząd Gminy (pracownicy fizyczni), Zespół Szkół w Sarnakach (pracownicy obsługi), Małgorzata Jakubowska (pracownicy fizyczni).

⁷⁹ Prace porządkowe przed uroczystością wykonywali ręcznie: Stefan Domański, Anna Kuźmich z synami, Dariusz Łubko, Wiesław Popławski, Wiktor Rytel z synami, Krzysztof Lewczuk, Agata Wasilewska, Violetta Zawadka, ponadto Mariusz Dudziuk, Mirosław Lipiński, Anna Jurzyk.

została zamontowana⁸⁰ tablica poświęcona pamięci ppor. WP Bronisława Podczaskiego. Ufundowano ją staraniem Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej w 90. rocznicę Cudu nad Wisłą w 1920 roku. Poświęcenie tablicy nastąpiło dopiero 17 września podczas uroczystości sadzenia Dębów Pamięci.

Wiosną 2011 roku rozpoczął się kolejny etap prac porządkowo–renowacyjnych. Jego celem było usunięcie pozostałych karp, korzeni i kamieni oraz wyrównanie terenu po lewej stronie od wejścia, wytyczenie alejek, utworzenie trawnika, obsadzenie granic cmentarza drzewami, ogrodzenie całości. W ostateczności jednak ogrodzenie i alejki, nawet już wstępnie wytyczone, nie powstały – zadecydowały względy finansowe i wymagania konserwatora zabytków.

Temat ogrodzenia był podejmowany kilkakrotnie, rozważano różne projekty. Niektóre nie uzyskały zgody konserwatora zabytków, np. ogrodzenie siatką metalową. Sugerowany przez konserwatora kamienny mur na wzór pierwotnego był zbyt drogi, ogrodzenia drewnianego nie zaakceptowali członkowie Zarządu TMZS jako mało praktycznego (drewno wymagałoby częstej konserwacji).

Podczas pracy koparki 31 maja 2011 odsłonił się przy wejściu na cmentarz nieznaną grobowiec. Z poczynionych pobieżnie pomiarów (130 na 250 cm) wynikało, iż prawdopodobnie był to grobowiec pojedynczy. Tuż za nim rośnie potężna wierzba, której korzenie spoczywają na sklepieniu grobowca, przerastając między ceglami w głąb. Wewnątrz osunięta ziemia, w żółtym piachu widać było drewniane fragmenty zapewne trumny. Jeszcze tego samego dnia na cmentarzu pojawił się zawiadomiony przez A. Wasilewską konserwator zabytków z siedleckiej delegatury Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Warszawie. Nadzieja na podjęcie jakichś prac archeologicznych nie ziściła się. Konserwator wprawdzie wyraził zgodę na delikatne, ręczne odsłonięcie grobowca, ale radził go po prostu zasypać z powrotem. Tak też zrobiono,

⁸⁰ Montaż tablicy wykonał nieodpłatnie kamieniarz Henryk Hajko z Sarnak, brat Eugeniusza Hajki.



Fot. 5. Procesja na stary cmentarz w Dniu Zadusznym, modlitwa przy poświęconym we wrześniu 2011 r. krzyżu, 2011 r.

ale dopiero w 2015 roku. Członkowie Towarzystwa nie byli w stanie podjąć się przycięcia konarów wierzby, aby nie zniszczyć grobowca. Na wynajęcie fachowej firmy nie mieli funduszy.

We wrześniu 2011 roku kontynuowano prace porządkowe: zabronowanie lewej strony cmentarza, następnie oczyszczanie jej przez ręczne zbieranie i usuwanie korzeni, cegieł i kamieni, koszenie odrostów bzu, wywóz śmieci. Podobnie jak wcześniej, wykonywali to członkowie TMZS⁸¹. Uwieńczeniem tych prac było postawienie w centralnym punkcie cmentarza dużego dębowego krzyża⁸², co miało miejsce w połowie września. Wkrótce odbyło się uroczyste poświęcenie tego krzyża.

⁸¹ W pracach porządkowych uczestniczyli: Stefan Domański, Mariusz Dudziuk, Antoni Makarski, Wiktor Rytel z synem, Agata i Tadeusz Wasilewscy, Violetta Zawadka, Robert Zawistowski.

⁸² Ofiarodawcą dębu był Antoni Makarski z Sarnak, członek TMZS. Ścięcie, przewiezienie i suszenie drzewa na terenie tartaku zapewnił bezpłatnie Marian Bronisz, właściciel tartaku w Sarnakach. Stolarz Henryk Wawryniuk z Chlebczyna, również członek TMZS, wykonał krzyż. Przy betonowaniu stalowej konstrukcji krzyża pracowali: Stefan Domański, Andrzej Wasiluk, Wojciech Wedziuk. Przy stawianiu krzyża pracowali: Marian Bronisz, Stefan

W latach 2012–2019 po mszy św. za ojczyznę 11 listopada do tego krzyża procesjonalnie, pod przewodnictwem duszpasterza, przychodzili mieszkańcy, władze samorządowe, przedstawiciele instytucji lokalnych, poczty sztandarowe szkoły i jednostek OSP. Po modlitwie w intencji poległych i pomordowanych za wolność ojczyzny śpiewano hymn narodowy, przy krzyżu składano kwiaty i zapalano znicze, wygłaszano okolicznościowe przemówienie.

Pod koniec października 2011 roku wyprostowano przechylony w bok nagrobek Marianny Góreckiej, stojący obok grobowca Podczaskich⁸³. Procesja w Dzień Zaduszny pod przewodnictwem ks. prałata Andrzeja Jakubowicza, w asyście wikariusza ks. Łukasza Suszki, która miała miejsce kilka dni później, była bardzo uroczysta. Wzięło udział około 100 parafian, w tym dzieci szkolne i młodzież gimnazjalna. W kolejnych latach liczba uczestników wyraźnie się zmniejszyła.

W kwietniu 2014 roku posadzonych zostało około 50 świerków wzdłuż części granicy wschodniej oraz na całej długości granicy południowej starego cmentarza (od podwórka i wzdłuż zabudowań gospodarczych sąsiadów cmentarza). Miały one w przyszłości stworzyć żywy, zielony płot. Na szybciej rosnące tuje konserwator zabytków nie wyraził zgody⁸⁴. Z powodu suszy i słabej ziemi, mimo podlewania, większość sadzonek uschła. W 2015 roku były nowe nasadzenia, oprócz świerków posadzono cis, jałowiec i sosnę. Sytuacja powtórzyła się – większość sadzonek nie przetrwała. Przez kilka kolejnych lat w miejsce tych, które uschły, sadzone były nowe drzewka lub krzewy. Nie sprzyja im jednak coroczna długotrwała susza, która pojawia się już na wiosnę. Podlewanie jest utrudnione, gdyż na cmentarzu nie ma dostępu do wody, trzeba było przynosić od

Domański, Ignacy Kłykociński, Antoni Makarski, Wiktor Rytel, Andrzej Wasiluk, Andrzej Wawryniuk, Henryk Wawryniuk, Marek Wawryniuk. Dokumentacja fotograficzna: Agata Wasilewska.

⁸³ Prostowanie nagrobka wykonali: S. Domański, A. Makarski i H. Wawryniuk. Dokumentacja fotograficzna: A. Wasilewska.

⁸⁴ Tuje nie pasowały do charakteru cmentarza, powinny być posadzone rodzime gatunki drzew. Za pozwolenie od wojewódzkiego konserwatora zabytków na posadzenie drzew na granicy cmentarza Towarzystwo Miłośników Ziemi Sarnackiej zapłaciło 82 zł.

sąsiadów. Nasadzeniami i opieką nad drzewkami zajmował się Krzysztof Lewczuk, z wykształcenia leśnik. On też przez kilka lat dbał o posadzone dęby, które nawoził, zmieniał paliki, wykonywał podkrzesanie, sprawdzał, czy nie zagrażają im jakieś szkodniki bądź choroby. Obecnie dęby nie wymagają już szczególnej troski, rosną i rozwijają się w swoim tempie. Z kolei część drzew, które miały stanowić zielony płot, głównie sosny, ładnie się rozwinęły, pozostałe rosną słabiej, niektóre całkiem uschły.

W czerwcu 2016 roku umieszczono na starym cmentarzu odremontowany stary krzyż, znaleziony kilka miesięcy wcześniej na nieużytkowanej jeszcze części cmentarza parafialnego pod Chybowem.

Na początku 2017 roku, w wyniku żmudnej kwerendy okazało się, że Józef Burzyński, upamiętniony Dębem Pamięci i pamiątkową tablicą, uniknął śmierci z rąk NKWD. Bezzasadne więc było pozostawianie tablicy z jego nazwiskiem jako ofiary zbrodni katyńskiej. Tablicę przeszlifowano, umieszczając na niej nazwisko por. Jana Jasiukiewicza. Kameralna uroczystość odsłonięcia tablicy odbyła się 19 sierpnia 2017 roku.

Z inicjatywy TMZS ufundowana została granitowa tablica nagrobna z wyszczególnieniem imion i nazwisk osób pochowanych w grobowcu Podczaskich. Tablicę, wykonaną w Zakładzie Betoniarsko–Kamieniarskim Eugeniusza Hajko, zamontował na grobowcu właściciel zakładu w dniu 5 czerwca 2017 roku⁸⁵.

W 2022 roku ufundowano tablicę na krzyż, z napisem: „Poległym, pomordowanym, prześladowanym za wiarę i ojczyznę – społeczeństwo”.

W 2025 roku w drukarni wielkoformatowej Globart Print w Białymstoku⁸⁶ wykonana została tablica informacyjna, którą umieszczono po prawej stronie od wejścia na stary cmentarz. Zawiera ona podstawowe dane o cmentarzu i znajdujących się na nim obiektach.

⁸⁵ W montażu pomagał Stefan Domański. Dokumentacja fotograficzna: A. Wasilewska.

⁸⁶ Tablicę zasponsorowała firma Globart Print, dzięki uprzejmości pochodzącego z Sarnak Damiana Wawryniuka, który zajmuje jedno z kierowniczych stanowisk w tej firmie. Koszt tablicy wyniósł 2400 PLN.

W 2019 roku po raz pierwszy nie odbyła się procesja na stary cmentarz w Dzień Zaduszny i od tego czasu zaniechano jej.

Co skrywa grobowiec rodzinny Podczaskich

Grobowiec rodziny Podczaskich, zbudowany z czerwonej cegły, jest bardzo charakterystyczną budowlą na starym cmentarzu. Zdobia go trzy kolumny – sterczyny w kształcie słupów. Dwie mniejsze, zakończone czapą, znajdują się po obu stronach krypty grobowej. Środkowa, umieszczona w szczycie sklepienia grobowca, jest większa i posiada wnękę, w której w 2010 roku umieszczono tablicę poświęconą pamięci ppor. Bronisława Podczaskiego. Na jej szczycie osadzony jest metalowy krzyż, zwieńczony koroną cierniową z kolczastego drutu, kowalskiej roboty. Dawne wejście do grobowca obramowane półkoliście wymurowanymi ceglami.

W stylu grobowiec jest bardzo podobny do głównej bramy cmentarza pod Chybowem, zbudowanej w 1895 roku. Wydawałby się całkiem prawdopodobne, że oba obiekty powstały mniej więcej w tym samym czasie. Jednakże grobowiec powstał wcześniej, może jeszcze za życia Bronisława Podczaskiego seniora, którego śmierć poprzedziła długa i ciężka choroba⁸⁷. Na pewno istniał już w styczniu 1890 roku⁸⁸, więc najpóźniej powstał jesienią 1889 roku.

Grobowiec ten stoi z tyłu cmentarza, tuż przy granicy z sadem, oddzielony od niego rzędem wysokich brzoź. Pierwotnie do piwnicy grobowej prowadziło kilka schodków w dół, a wejście było zabezpieczone kratą i drewnianymi drzwiami⁸⁹, które posiadały u góry małe okienko. Kiedyś, jeszcze w latach 60., można było przez nie zajrzeć do środka i dostrzec stare, rozpadające się trumny. Według ks. Zdzisława

⁸⁷ Nekrolog Bronisława Podczaskiego, „Kurier Warszawski” nr 158/1887, s.5.

⁸⁸ Nekrolog Pelagii Domańskiej, tamże, nr 17/1890, s.6.

⁸⁹ O schodkach i kracie wspomina Jan Kondracki w cytowanym wyżej fragmencie swoich kronikarskich zapisków.

Borkowskiego⁹⁰ jedna miała odsunięte wieko, „zapewne rękami ciekawskich”⁹¹.

Fragmety drewnianej zakończonej łukiem futryny drzwiowej znaleziono w grobowcu podczas prac remontowych. Wewnątrz znajdowało się siedem trumien z doczesnymi szczątkami członków rodziny Podczaskich: sześć dużych i jedna mała, dziecięca. Ustawione były piętrowo, cztery trumny na specjalnym stojaku na górze, pod nimi dwie duże i jedna mała. Niektóre miały specjalne zabezpieczenia, to znaczy na zewnątrz wykonane z blachy cynowej, z zamkiem i kluczykiem do ich otwarcia, wewnątrz natomiast z drewna. W tym czasie wszystkie były otwarte.

Widok tych trumien w mrocznym wnętrzu starego grobowca, na zarośniętym bzem i samosiejkami cmentarzu, budził dreszczyk emocji u kolejnych pokoleń okolicznych mieszkańców, którzy nieraz przedzierali się przez zarośla, aby zerknąć do środka. Nierzadko zaglądali tam uczniowie miejscowej szkoły, będący na wagarach lub szukający mocnych wrażeń. Na cmentarz przychodziły czasem miejscowe dzieci, aby się bawić w gąszczu zarośli.

Niestety, zaglądali także wandalę, co można wnioskować z zastanego widoku: w otwartych trumnach leżały „szczątki ludzkie przemieszane z tym, co wiatr i ludzie nanieśli do wewnątrz”⁹². Metalowe wieko jednej z trumien leżało na zewnątrz grobowca jeszcze na początku lat dwutysięcznych.

Jak wspomniano wyżej, w 2007 roku grobowiec ten został gruntownie odrestaurowany i opatrzony granitową tablicą z napisem: „Grób rodziny

⁹⁰ Ks. prał. Zdzisław Borkowski (1937 Zaolszynie–2018 Zaolszynie), s. Jana i Marianny z Krasuskich, święcenia kapłańskie 1961, proboszcz parafii Sarnaki 1986–2003. Za jego kadencji do szkół wróciła religia (1990), w Litewnikach Nowych powiększono kaplicę (1990), parafianie licznie uczestniczyli w spotkaniu ekumenicznym z Janem Pawłem II w Drohiczynie (1999), wprowadzono comiesięczne nabożeństwo do Matki Bożej Szkaplerznej. Jest autorem książek: *Cmentarz miejscem wdzięczności* (2005), *Z dziejów parafii i duszpasterstwa w Sarnakach* (2006), *Święty Stanisław BM Patron Polski i wielu parafii* (2009), *Duszpasterska pomoc katechetyczna* (2010) oraz materiałów do katechez z dziećmi. Pochowany na cmentarzu w rodzinnej parafii Zembry.

⁹¹ Ks. Z. Borkowski, *Cmentarz ...*, s. 36.

⁹² R. Zubkowicz, *Spoczywają ...*, s. 16.

Podczaskich”. W 2010 umieszczono na nim tablicę epitafijną poświęconą pamięci bohatera wojny polsko–bolszewickiej w 1920 roku, ppor. Bronisława Podczaskiego. W 2017 roku przybyła granitowa tablica, na której wypisano imiona i nazwiska pochowanych członków rodziny Podczaskich wraz z datami ich życia oraz zaznaczeniem pokrewieństwa.

Czyje zatem prochy znajdują się w odnowionym i zamurowanym grobowcu z czerwonej cegły?

Majątek Klimczyce, w skład którego wchodziło prywatne miasto Sarnaki i kilka okolicznych folwarków, w 1847 roku kupili Józefa z Chudzyńskich i Joachim Podczascy. Przyjechali do Klimczyc z dwoma synami: 18–letnim Bronisławem i 5–letnim Emilianem. Osiem lat później Joachim Podczaski⁹³ zmarł i jako człowiek zasłużony został pochowany w podziemiach starego kościoła w Sarnakach. Spadkobiercą majątku został starszy syn Bronisław Podczaski⁹⁴.

W kilka miesięcy po śmierci ojca młody dziedzic ożenił się z Franciszką Katerla⁹⁵ z Woźnik. Mieli pięcioro dzieci, jedna córka zmarła jako nastolatka⁹⁶. Bronisław był bardzo dobrym gospodarzem i światłym człowiekiem, dbał o rozwój swoich włości, wprowadził nowoczesne metody gospodarowania, hodowli, upraw. On jako pierwszy spoczął w tym miejscu na starym cmentarzu, na którym już dawno zaprzestano pochówków⁹⁷. Na tablicy epitafijnej, umieszczonej niegdyś w starym kościele, widnieje napis: „Ś.P. **Bronisław Podczaski** syn Joachima pułkownika B.W.P.⁹⁸ i Józefy z Chudzyńskich małżonków Podczaskich

⁹³ Joachim Podczaski (1788 Kamień par. Gąbin–1855 Klimczyce), były płk WP, uczestnik powstania listopadowego. Na ścianie przy wejściu do starego kościoła w Sarnakach znajdowała się poświęcona mu tablica epitafijna. Obecnie zdemontowana.

⁹⁴ Prawną właścicielką majątku była wdowa po Joachimie, Józefa Podczaska. Oficjalnie przekazała go w spadku starszemu synowi w 1859 r.

⁹⁵ Matką Franciszki z Katerłów Podczaskiej była Józefa z d. Kuczyńska, siostra Aleksandra Kuczyńskiego, prapradziadka Beaty Ostrowskiej Harris z hr. Ostrowskich z Korczewa.

⁹⁶ Aleksandra Podczaska (1858 Klimczyce–1875 Warszawa) – pochowana w Warszawie na Powązkach.

⁹⁷ Pierwszy pochówek na nowym cmentarzu pod Chybowem odbył się 22 sierpnia 1855 r., czyli w pół roku po śmierci Joachima Podczaskiego, ojca Bronisława.

⁹⁸ BWP – Byłych Wojsk Polskich.

dziedzic dóbr Klimczyce zasnął w Bogu 8 czerwca 1887 r. przeżywszy lat 56. Był najlepszym synem, mężem, ojcem i obywatelem. Pokój jego duszy. Prosi o pobożne westchnienie”. Pogrzeb odbył się 11 czerwca.

16 stycznia 1890 roku w folwarku Sarnaki zmarła siostra Józefy Podczaskiej, 92-letnia wdowa **Pelagia Domańska** z Chudzyńskich, mieszkająca przy najmłodszym synu Bronisława i Franciszki, Zygmuncie Jakubie Podczaskim. Pochowano ją cztery dni później w grobie rodzinnym, jak napisano w nekrologu.

Wczesną wiosną następnego roku, 31 marca, w Klimczycach Starych czyli w siedzibie rodowej zmarła w wieku 84 lat seniorka rodu, **Józefa Podczaska**, dożywająca swoich lat przy wnukach, Józefie Podczaskim z żoną Julią z Kamińskich i niezamężnej córce Jadwidze Podczaskiej. Pochowano ją na starym cmentarzu 2 kwietnia 1891 roku.

Kolejny pochówek miał miejsce dopiero w styczniu roku 1900, a dotyczył nieżywo urodzonej córki właściciela majątku i folwarku Sarnaki, Zygmunta Jakuba Podczaskiego i jego żony Elizy z Moniuszków.

9 grudnia 1904 roku w majątku Woźniki zmarła **Franciszka z Katerlów Podczaska**, wdowa po obywatelu ziemskim, jak ją określono w nekrologu. Eksportacja zwłok do kościoła parafialnego w Sarnakach odbyła się w poniedziałek 12 grudnia, zaś w dniu następnym o godz. 11 odprawiono nabożeństwo żałobne, po którym nastąpił pochówek „w grobach rodzinnych na cmentarzu miejscowym⁹⁹”.

W kwietniu 1921 roku Józef Augustyn Podczaski, ostatni właściciel majątku Klimczyce, a wówczas administrator dóbr Hruszniew hrabiny Kazimiery Florentyny Bröel-Plater, pochował w rodzinnym grobowcu swego 24-letniego syna **ppor. Bronisława Podczaskiego**, dzielnego żołnierza, który latem poprzedniego roku zginął w walce z bolszewikami.

Tenże **Józef Podczaski**, syn Bronisława i Franciszki Podczaskich, żył tylko 59 lat i zmarł w Warszawie 18 listopada 1922 roku. Pochowany został we wspólnym grobowcu na starym cmentarzu w Sarnakach jako ostatni z rodziny, we wtorek 21 listopada 1922 roku, po uprzednim odprawieniu

⁹⁹ Nekrolog Franciszki Podczaskiej, „Kurier Warszawski” nr 342/1904, s.7.

nabożeństwa żałobnego w kościele Zbawiciela przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie. Podczas remontu grobowca odnaleziono klepsydrę z jego nazwiskiem.

Podsumowując, w grobowcu zostali pochowani przedstawiciele trzech pokoleń rodziny Podczaskich, właścicieli dóbr Klimczyce w II połowie XIX wieku: Józefa z Chudzyńskich, żona Joachima i pierwsza właścicielka włości, jej syn Bronisław z żoną Franciszką z Katerłów, wnuk Józef Augustyn oraz dwoje prawnuków, czyli nieżywo urodzona córka Zygmunta Jakuba i ppor. Bronisław Podczaski syn Józefa. Miejsce wiecznego spoczynku znalazła tam również siostra Józefy Podczaskiej, owdowiała Pelagia Domańska.

Pamięci ppor. Bronisława Podczaskiego

Bronisław Podczaski był starszym z dwojga dzieci Józefa Augustyna i Julii z Kamińskich. Urodził się w rodzinnym dworze w Klimczycach Starych 5 września 1896 roku, a ochrzczony został 12 grudnia w sarnackim kościele. Ojcu, który przywiózł dziecko do kościoła parafialnego w sobotnie popołudnie, towarzyszyli jego brat Zygmunt Podczaski właściciel dóbr Sarnaki oraz Jan Siodłowski ekonom folwarku Sarnaki. Na rodziców chrzestnych poproszono lokaja służącego w Klimczycach Starych, Jakuba Rozmoszcza i Katarzynę Kwiecińską, córkę ekonoma dóbr Klimczyce. Chrztu dopełnił proboszcz ks. Edward Podbielski.

Gdy miał 12 lat, wysłano go do prywatnego Gimnazjum Podlaskiego w Siedlcach¹⁰⁰ z polskim językiem wykładowym, skąd po trzech latach został przeniesiony do Szkoły Handlowej im. Tomasza Niklewskiego¹⁰¹ w Warszawie, gdzie uczył się przez 5 lat. Gdy w 1916 roku zakończył naukę, miał już 20 lat, a kraj był ogarnięty wojną. Bronisław zatrudnił

¹⁰⁰ Obecnie jest to I Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa w Siedlcach.

¹⁰¹ Prywatne Gimnazjum i Liceum Męskie im. Tomasza Niklewskiego w Warszawie przy ul. Złotej 58.

się jako praktykant w majątku hrabiny Grabowskiej, właścicielki dóbr Domaników i Turzynów¹⁰², gdzie pracował przez dwa lata.

Latem 1918 roku porzucił pracę, aby wstąpić jako ochotnik do nowo tworzącego się Wojska Polskiego. Zgłosił się Szkoły Podchorążych w Ostrowiu Łomżyńskim (obecnie: Ostrów Mazowiecka), a ukończywszy ją w maju 1919 roku w stopniu podporucznika, przydzielony został do 41 pułku piechoty, przemianowanego wkrótce na 41 Suwalski Pułk Piechoty. W tym czasie trwały już walki z bolszewikami, bowiem wojna polsko-bolszewicka rozpoczęła się w styczniu–lutym 1919 roku.

Młody oficer, ppor. Bronisław Podczaski, trafił na front, brał udział w wielu bitwach i potyczkach jako dowódca II plutonu.

4 sierpnia 1920 roku, w czasie marszu z Zambrowa w kierunku Ostrowi Mazowieckiej, dowodził swoim plutonem w składzie 2 kompanii 41 pp, który znajdował się w straży przedniej batalionu. Będący w dużej przewadze liczebnej bolszewicy usiłowali przeciąć szosę, a wówczas 1 i 2 kompania otrzymały rozkaz, aby odeprzeć atak bolszewicki pod wsią Kalinowem. Ppor. Podczaski został trafiony strzałem w głowę i zginął na miejscu. Pozostawiono go na polu walki, podobnie jak wielu ciężko rannych.

Informacja o jego śmierci dotarła do rodziny ponad miesiąc później, gdyż dopiero 29 września „Kurier Warszawski” wydrukował następującą informację: „Bronisław Podczaski, podporucznik 41 pułku strzelców Suwalskich, przeżywszy lat 23, zginął dnia 4–go sierpnia 1920 roku śmiercią bohaterską, na polu chwały, w walce z najeźdźcą bolszewickim, pod wsią Kalinową, ziemi Łomżyńskiej. Msza święta za spokój Jego duszy odbędzie się dnia 30–go b.m. w kościele Karmelitów (Krak. Przedm.) o godz. 10–ej rano. Na ten smutny obrządek zapraszają krewnych, znajomych i życzliwych ojciec, siostra i rodzina”¹⁰³.

W styczniu 1921 roku dowódca pułku mjr Stanisław Juszczański złożył wniosek o odznaczenie Bronisława Podczaskiego krzyżem srebrnym *Virtuti Militari* 5 klasy. Jednak w wykazie Kawalerów Orderu *Virtuti*

¹⁰² Obecnie obie miejscowości leżą w województwie wielkopolskim, w powiecie kołskim, w gminie Chodów.

¹⁰³ Nekrolog Bronisława Podczaskiego, „Kurier Warszawski” nr 319/1920, s. 6.

Militari za wojnę 1918–1921 brak nazwiska ppor. Podczaskiego. Z kolei w marcu 1921 roku złożony został wniosek o nominację po śmierci na stopień porucznika. W uzasadnieniu podano, iż był bardzo dzielnym i odważnym oficerem i bezwarunkowo zasługiwał na ten awans¹⁰⁴. Brak jest dokumentów potwierdzających, czy nominacja nastąpiła.

Wiosną 1921 roku ojciec przywiózł ciało swego syna do Sarnak i pochował w rodzinnym grobie na starym cmentarzu. Na tę okoliczność został sporządzony akt zgonu następującej treści: „Działo się w mieście Sarnakach, dnia dwudziestego pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku o godzinie dwunastej w południe. Stawili się Józef Podczaski administrator dóbr Hruszniew lat pięćdziesiąt pięć i Władysław Dr. Hr. Dunin Borkowski starosta lat czterdzieści sześć mający obydwaj z Hruszniewa i oświadczyli nam, iż w dniu czwartym sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego roku na terenie wsi Kalinowa powiatu Ostrowskiego Ziemi Łomżyńskiej padł w boju Polaków z bolszewikami porucznik Bronisław Podczaski kawaler lat 24 liczący syn Józefa i Julii z Kamińskich małżonków Podczaskich, stały mieszkaniec tutejszej gminy. Po przekonaniu się naocznie o zejściu Bronisława Podczaskiego, który padł w obronie ojczyzny Polskiej, akt ten stawającym przeczytany, przez nas i przez nich podpisany”¹⁰⁵. Pod aktem podpisał się proboszcz ks. Ludwik Kulaszyński oraz obaj zgłaszający.

Fakt pochówku w Sarnakach tego dzielnego młodego oficera, poległego w chwalebnych okolicznościach, zgłoszonego do uhonorowania pośmiertnie najwyższym odznaczeniem wojskowym, którego zwłoki trzeba było ekshumować po paru miesiącach od śmierci i przetransportować na odległość około 100 km (wg dzisiejszego stanu dróg) – upoważnia do stwierdzenia, że dla ludzi z tej sfery groby rodzinne to było coś niebywale ważnego¹⁰⁶.

¹⁰⁴ <https://wbh.wp.mil.pl/pdfviewer/?f=c/scans/VM/I.482.96-9531.pdf> dostęp 15.08.2025 r.

¹⁰⁵ APSar., Akt zgonu Nr 49/1921.

¹⁰⁶ Na cmentarzu parafialnym w Ostrowi Mazowieckiej znajduje się mogiła zbiorowa kryjąca szczątki 54 żołnierzy poległych w tej samej bitwie co Bronisław Podczaski.

W 2010 roku, w 90. rocznicę wojny polsko–bolszewickiej, zamontowano na grobowcu pamiątkową tablicę o treści: „PAMIĘCI ppor. WP Bronisława Podczaskiego (1896–1920) poległego w wojnie polsko–bolszewickiej w dn. 4.08.1920 r. we wsi Kalinowo gm. Ostrów Maz. spoczywającego w tym grobie. Towarzystwo Miłośników Ziemi Sarnackiej w 90 rocznicę Cudu nad Wisłą 15.08.2010”. Poświęcił ją ks. bp Antoni Dydycz podczas uroczystości sadzenia Dębów Pamięci w dniu 17 września 2010 roku, a uroczystości odsłoniły Bożenna Łopatniuk i Małgorzata Jakubowska, mieszkanki Klimczyc–Kolonii (dawne Klimczyce Stare).



Fot. 6. Grobowiec rodziny Podczaskich, 2021 r.



Fot. 7. Tablica epitafijna poświęcona pamięci ppor. Bronisława Podczaskiego, 2021 r.

Grobowiec Egierszdorfów

Niewielki, skromny i nieoznakowany grobowiec, stojący niedaleko wejścia na cmentarz, przez długie dekady był tak bardzo skryty w otaczających go zaroślach, głównie bzu, że umykał uwadze odwiedzających cmentarz. Nie wspomina go Jan Kondracki, opisujący w 1922 roku swoje wrażenia z pobytu tutaj. Nie jest wymieniany w dokumentach parafialnych.

Zbudowany jest bardzo prosto, dwuspadowy blaszany daszek przykrywa kryptę grobową. Od dawna brak było tabliczki z nazwiskiem. Do wnętrza wiodło kilka schodków. Podczas prac remontowych w 2008 roku znaleziono w nim resztki dwóch drewnianych trumien o niedużych rozmiarach, co może wskazywać na pochówek dzieci. Jednak jedna z czaszek miała wymiary jak u dorosłego człowieka, co zaprzeczałby pochówek samych dzieci. Nie ma pewności, że są to wszystkie szczątki pochowanych tam osób, że nic nie zostało wyjęte z grobu. Ponadto wewnątrz grobowca znajdowały się zniszczone elementy nagrobka Otolii Egierszdorf, a obok niego, wśród odrastających gałęzi bzu, leżał większy fragment tego nagrobka z inskrypcją: „na wieczną pamiątkę żalu ś.p. Otolij z Knytlów Egierszdorff. Żyła lat 40 Zmarła d. 1^{go} Lutego 1852 przywiązany Mąż pomnik ten stawia prosi o pobożne westchnienie do Boga”.

Ten mąż to Andrzej Egierszdorf, dzierżawca majątku Zabuze co najmniej od 1842 roku¹⁰⁷. Zmarł w Zabuzu 10 czerwca 1867 roku jako dzierżawca folwarku rządowego Zabuze, majątku poproboyszczowskiego w mieście Sarnaki i folwarku poseminaryjnego janowskiego Klonowniczka, o czym poinformowali Kazimierz Kurowski, wicedzierżawca majątku poproboyszczowskiego w Sarnakach i miejscowy organista Michał Piasecki, zgłaszając śmierć Egierszdorfa w kancelarii parafialnej¹⁰⁸.

Domniemywać więc można, iż w tym grobowcu spoczywają członkowie rodziny Egierszdorffów, a przynajmniej Andrzej Egierszdorf. Czy również jego żona, skoro obok znajdował się poświęcony jej pomnik? Grobowiec prawdopodobnie wystawił starszy syn Andrzeja i Otolii, Zygmunt Józef Egierszdorf, który pod koniec lat 50. XIX wieku odbywał praktyki jako agronom w majątku Bronisława Podczaskiego (w folwarkach Chlebczyn, Klimczyce)¹⁰⁹, a później pracował razem z ojcem w Zabuzu. Być może uhonorował w ten sposób oboje rodziców, ale to tylko domysły. Możliwe

¹⁰⁷ W 1842 r. w Zabuzu urodził się Stanisław Franciszek Jerzy Egierszdorf, syn Andrzeja i Otolii z Knytlów.

¹⁰⁸ APSar., Akt zgonu Nr 34/1867.

¹⁰⁹ J. W. Nowosielski, *Majątki ziemskie prywatne im rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, red. S. Kordaczuk, Siedlce 2006, s. 129.



Fot. 8. Odnowiony grobowiec Egierszdorfów, obok nagrobek Otolii Egierszdorf, 2008 r.

też, że z inicjatywą budowy grobowca wystąpił Leopold Egierszdorf¹¹⁰, który przejął dzierżawę majątku Zabuże po zmarłym Andrzeju, a tym samym przejął źródło rodzinnych dochodów.

Grobowiec został wyremontowany w 2008 roku. Dach na grobowcu Egierszdorfów był kilka razy odmalowywany.

Dwa nagrobki

Nagrobek wykonany z piaskowca, w formie prostego krzyża na cokole, stoi przy grobowcu Egierszdorfów i upamiętnia Otolię Egierszdorf, o czym była mowa wyżej. Fragmenty krzyża z piaskowca, pochodzące z tego pomnika, zostały uzupełnione o brakujące elementy w zakładzie

¹¹⁰ R. Zubkowicz, *Mieszkańcy Mielnika gwałt czynią. XIX-wieczny konflikt o pastwiska na Trojanie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2020, t.3, s. 89.

kamieniarskim Marka Mazurka w Drażniewie, za co właściciel zakładu nie pobrał należności, traktując to jako swój osobisty wkład w remont starego cmentarza.

Po przeciwnej stronie grobowca znajduje się spory kamień polny, a w nim osadzony jest niewielki metalowy krzyżyk. Nie jest to żaden nagrobek. Krzyżyk został znaleziony podczas porządkowania terenu cmentarza i z szacunku dla symbolu chrześcijaństwa umieszczony w kamieniu. Takie krzyżyki, kute przez rodzimych kowali, często wieńczyły wysokie drewniane krzyże zarówno cmentarne, jak i te przydrożne.

Drugi nagrobek stoi obok grobowca rodziny Podczaskich. Wykonany jest w formie metalowego krzyża osadzonego na murowanym postumencie z czerwonej cegły, nawiązującym w stylu do sąsiedniego grobowca. Na metalowej tablicy przymocowanej do postumentu zapisano: „Marjanna Górecka zmarła 22 lutego 1909 r. przeżywszy 88 lat”. Była to matka chrzestna Józefa Augustyna Podczaskiego i pewnie jego niania. Nie wyszła za mąż. Zmarła w folwarku Hruszniew, gdzie Józef Podczaski pracował



Fot. 9. Nagrobek Marianny Góreckiej, 2016 r.



Fot. 10. Nagrobek Ottilii Egierszdorf na tle wierzb rosnącej przy wejściu na cmentarz, 2020 r.



Fot. 11. Kamień z osadzonym krzyżykiem znalezionym na cmentarzu, 2016 r.

jako administrator majątku. Spoczęła obok swoich pracodawców, wśród których spędziła całe życie.

Krzyże na starym cmentarzu

Obecnie na cmentarzu znajdują się dwa krzyże. Nie przetrwał ten, o którym w 1922 roku sarnacki kronikarz Jan Kondracki zamieścił w swoim pamiętniku informację, że pośrodku starego cmentarza, w sąsiedztwie pojedynczej sosny stał „krzyż wielki drewniany, stary” otoczony olbrzymimi krzakami bzu. Niektórzy ludzie wspominają, że jeszcze wiele lat po ostatniej wojnie jakiś krzyż był widoczny pośród porastających niemal cały teren cmentarza drzew i krzewów. Czy to ten z początku XX wieku? Gdzieś w pobliżu znajdował się drugi stary krzyż, ale także nie ma po nim śladu.

Obecnie w centrum cmentarza stoi wysoki, dębowy krzyż, postawiony w 2011 roku. Pomysł jego postawienia pojawił się już w 2007 roku, po odrestaurowaniu grobowca rodziny Podczaskich. Miał on być poświęcony wszystkim, którzy oddali swoje życie za ojczyznę. Należało jednak najpierw uporządkować w miarę możliwości teren cmentarza, co nastąpiło przed uroczystością posadzenia Dębów Pamięci dla ofiar zbrodni katyńskiej w 2010 roku. Po tym wydarzeniu powrócił temat krzyża.

Ośmiometrowy dębowy krzyż, na którego ramionach został wyryty napis: *Deo et Patriae* (Bogu i Ojczyźnie), został uroczyście poświęcony 18 września 2011 roku przez ks. prałata Leona Pawluka, po uprzednim odprawieniu mszy świętej w kościele w intencji poległych i pomordowanych w obronie Ojczyzny. Następnie złożono kwiaty i zapalono znicze przy krzyżu oraz przy Dębach Pamięci i grobowcu Podczaskich. W uroczystości udział wzięły poczty sztandarowe OSP z Hołowczyc, Rzewuszek i Serpelic oraz poczet Zespołu Szkół w Sarnakach, księża pracujący w parafii Sarnaki – ks. prał. Andrzej Jakubowicz i ks. Walery Tomaszewski, władze samorządowe, oświatowe, młodzież szkolna i liczne grono mieszkańców. Uroczystość zorganizowało Towarzystwo Miłośników Ziemi Sarnackiej. Wyprowadzenie sztandarów z cmentarza zakończyło część oficjalną. Goście zostali zaproszeni na poczęstunek w stołówce Zespołu Szkół, gdzie długo jeszcze dzielono się wrażeniami.

W 2017 roku odnowiono krzyż¹¹¹, a w 2022 roku ufundowano tablicę z napisem: „Poległym, pomordowanym, prześladowanym za wiarę i ojczyznę – społeczeństwo”.

Drugi krzyż pierwotnie znajdował się na cmentarzu parafialnym pod Chybowem. Usytuowany był prawdopodobnie w środkowej części darowizny gruntowej, o którą ówczesny proboszcz, ks. kanonik dr Bolesław Kulawik, powiększył nekropolię w latach 40. XX wieku. Stary dębowy krzyż z tajemniczym napisem: *Panie Boże, nie pamiętaj nieprawości ojców naszych*, został odnaleziony podczas prac porządkowych

¹¹¹ Głównym wykonawcą był Henryk Wawryniuk, pomagali Stefan Domański i Mieczysław Daniluk, dokumentacja fotograficzna: A. Wasilewska.



Fot. 12. Uroczystość poświęcenia krzyża na starym cmentarzu, 2011 r.



Fot. 13. Tablica na krzyżu, ufundowana w 2022 r.



Fot. 14. Stawianie drugiego krzyża na starym cmentarzu, 2016 r.

prowadzonych w listopadzie 2015 roku¹¹². Zniszczony i zapomniany, pozbawiony pasyjki, ze zbutwiałymi ramionami, leżał powalony w zaroślach porastających nieużytkowaną część cmentarza. Za wiedzą i zgodą księdza proboszcza przewieziono go na prywatną posesję, gdzie został poddany renowacji, aby następnie znaleźć swoje miejsce na starym cmentarzu. Remont krzyża i odnowienie napisu wykonał stolarz Henryk Wawryniuk, konstrukcję nośną do umocowania krzyża przygotował Andrzej Wasiluk¹¹³. W dniu 18 czerwca 2016 roku krzyż został zainstalowany¹¹⁴. Stoi przy grupie wysokich lip w pobliżu grobowca Podczaskich.

Ciekawostką jest zachowana oryginalna w swej treści inskrypcja na krzyżu: *Panie Boże, nie pamiętaj nieprawości ojców naszych*. Pojawiło się kilka hipotez, co też to może oznaczać, do jakiej sytuacji nawiązywać, a to z kolei ma związek z okolicznościami wystawienia tego krzyża przez ks. Kulawika.

Jeśli powstał na przełomie lat 50/60 XX wieku, napis mógłby nawiązywać do sytuacji, gdy ziemia подарowana przez parafian na powiększenie cmentarza została w latach 60. odebrana parafii przez państwo. Mógłby także dotyczyć jakiegoś konfliktu, o którym teraz nic nie wiemy.

A może jest to świadek benedykcyj, czyli poświęcenia cmentarza w latach czterdziestych, a napis ma charakter bardziej uniwersalny, nawiązujący do czasów wojny lub tuż po wojnie, gdy działo się wiele złego również na naszym terenie. Dotychczas nie udało się rozstrzygnąć tej zagadki.

Wpisanie starego cmentarza w rejestr zabytków nie przyniosło spodziewanych korzyści, przeciwnie, pociąga koszty i ogranicza możliwości. Należy podkreślić, że fundusz Towarzystwa zasilają co pewien czas darowizny od Nadleśnictwa Sarnaki. To bardzo ułatwia prowadzenie

¹¹² Prace porządkowe na cmentarzu parafialnym wykonywał Mariusz Dudziuk i on znalazł zniszczony krzyż. Powiadomił o tym S. Domańskiego, członka TMZS. Towarzystwo zdecydowało o podjęciu remontu krzyża i umieszczeniu go później na starym cmentarzu.

¹¹³ W betonowaniu konstrukcji stalowej pomagali: Mirosław Lipiński, Mariusz Dudziuk i Stefan Domański.

¹¹⁴ W montażu krzyża uczestniczyli: Stefan Domański, Andrzej Wasiluk, Henryk Wawryniuk oraz Mieczysław Daniluk i Mirosław Lipiński. Dokumentacja fotograficzna: A. Wasilewska.



Fot. 15. Widok na stary cmentarz „od tyłu”, 2020 r.

różnych działań. Od 2009 roku cmentarz ten znajduje się pod opieką grupki społeczników¹¹⁵, skupionych w Towarzystwie Miłośników Ziemi Sarnackiej. Dbają oni o to, by był godnym miejscem pochówku naszych przodków i miejscem pamięci narodowej. Od lat systematycznie kilka razy w sezonie koszona jest trawa¹¹⁶ na całej powierzchni cmentarza, aby nie dopuścić do ponownego zarośnięcia tego terenu. Dzięki temu nie ma żadnych drzewek samosiejek ani odrastających krzaków. Przed Dniem Wojska Polskiego i przed Świętem Zmarłych kupowane są znicze i zapalne przy dębach, grobowcach i nagrobkach. Czasami przyjeżdżają potomkowie niektórych upamiętnionych oficerów czy policjantów,

¹¹⁵ Obecnie oprócz członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej nikt nie wykazuje troski o utrzymanie cmentarza. Do 2019 roku wielkim wsparciem była młodzież gimnazjalna, która pod opieką nauczyciela Rafała Dydycza zawsze przed Wszystkimi Świętymi wygrabiwała liście, sprzątała, zapalała znicze.

¹¹⁶ Koszty koszenia w ciągu jednego sezonu wynoszą 800–1000 zł.

zostawiają znicz, kwiaty. Cmentarz odwiedzają też inne osoby, zainteresowane lokalną historią.

Naprawdę warto odwiedzić czasem to miejsce, zamyślić się nad zmiennością kolei losu i kruchością ludzkiego życia. Tu szumią drzewa i śpiewają ptaki, ale bzy już nie kwitną.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Parafii Sarnaki:

- *Descriptio Ecclesiae Parochialis in Oppido Sarnaki et rerum ad Cam perlinentium* z 1803 r.
- *Inventarium Ecclesiae Parochialis Ritt. Latinum Oppidio Sarnaki* z 19.07.1812 r.
- *Opisanie kościoła parafialnego w Mieście Sarnakach i wszystkich rzeczy do niego należących*, z 25.11.1826 r.
- *Inwentarz kościoła Sarnackiego przy Introdukcji X. Pawła Kempzińskiego spisany z roku 1843go.*
- *Inwentarz kościoła parafialnego obrządku łacińskiego w miasteczku Sarnakach, przy Introdukcji, z Dnia 11 Października 1859 roku odbytej Księdza Andrzeja Wojewódzkiego Spisany.*
- *Visitatio Generalis Ecclesiae Parochialis Sarnacensis Per Illustrissimum Excellentissimum Ac Reverendissimum Dominum Benjamin Petrum Paulum Szymański (...), z 3 października 1862 r.*
- *Inwentarz kościoła i probostwa r.l. w Sarnakach sporządzony w dniu 4/16 grudnia 1871 roku przez Księdza Józefa Pruszkowskiego Dziekana Dekanatu Konstantynowskiego przy oddawaniu w zarząd wyżej wspomnianej Parafii Księdzu Adamowi Sadowskiemu.*
- *Inwentarz Kościoła i Probostwa r.l. w Sarnakach sporządzony na dniu 24 lipca/5 sierpnia 1882 roku przez Księdza Józefa Ostalowskiego Dziekana Dekanatu Konstantynowskiego, przy oddaniu w zarząd wyżej wspomnianej parafii Sarnaki Księdzu Edwardowi Podbielskiemu, od księdza Adama Jana Sadowskiego.*
- *Inwentarz fundi instrukti*, z 1899 r.
- *Inwentarz fundi instructi parafii Sarnaki*, z 01.12.1920 r.

– Księgi metrykalne za lata: 1842, 1852, 1855, 1867, 1887, 1890, 1891, 1896, 1900, 1921, 1922.

Źródła niedrukowane

Nowosielski J.W., *Kronika parafii Sarnaki 1430–1945*, Sarnaki 1995 mps.

Ks. Oleszczuk A., *Kościół Parafii Rzymskokatolickiej w Sarnakach*, Toruń 2006 mps.

Opracowania i artykuły

Ks. Borkowski Z., *Cmentarz miejscem wdzięczności*, Sarnaki 2005.

Ks. Borkowski Z., *Z dziejów parafii i duszpasterstwa w Sarnakach*, Sarnaki 2006.

Dobrowolski T., *Dobra Sarnacko–Klimczyckie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej” 2022, t. 5.

Kondracki J., *Kronika wydarzeń sarnackich, społecznych, towarzyskich, rodzinnych i przeżyć osobistych 1918–1923, 1925–1937*, brak miejsca i daty wydania.

Makaruk J., *Dziedzice spoczywają w pokoju*, „Słowo Podlasia” nr 45/2007.

Makaruk J., *Odsłonięte groby porażają*, „Słowo Podlasia” nr 21/2007.

Nowosielski J.W., *Majątki ziemskie prywatne i rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, Siedlce 2006.

Nowosielski J.W., *Gospodarka parafii Sarnaki 1795–1865*, Sulejówek–Sarnaki 2009.

Nowosielski J.W., *Ziemia Sarnacka 1900–1920*, Warszawa 2013.

Sarnowski K., *Czas przeszły dokonany*, Siedlce 2004.

Wasilewska A., *Ks. Jan Krzewski (1866–1918) – 100. Rocznica śmierci*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2019, t.2.

Wasilewska A., *Kto śpiewa, dwa razy się modli. O organistach, organach i chórze w parafii Sarnaki*, Sarnaki 2020.

Zubkowicz R., *Spoczywają w pokoju*, „Gazeta Łosicka” nr 11/2007.

Zubkowicz R., *Mieszkańcy Mielnika gwałt czynią. XIX-wieczny konflikt o pastwiska na Trojanie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2020, t.3.

Relacje:

Cybulski Wincenty, relacja z 2015 r.

Przesmycki Krzysztof, relacja z 2012 r.

Netografia

<https://wbh.wp.mil.pl/pdfviewer/?f=/c/scans/VM/I.482.96-9531.pdf>

Prasa:

„Kurier Warszawski” nr 158/1887, 17/1890, 342/1904, 319/1920.

„Wiadomości Diecezjalne Podlaskie” Nr 4-5/1926.

Agata Wasilewska – emerytowana nauczycielka SP w Sarnakach, regionalistka, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej, członek Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łosickiej, autorka licznych artykułów dokumentujących lokalną historię oraz kilku książek o tematyce regionalnej.

Rafał Zubkiewicz

Sarnaki

ORCID: 0009-0001-1078-3243

Franopol i Fronołów – skąd się wzięły nazwy?

Streszczenie

Artykuł wyjaśnia prawdopodobną genezę powstania nazw dwóch miejscowości w gminie Sarnaki: Franopola i Fronołowa. Przedstawia teorię, że o ile pierwsza nazwa może być formą upamiętnienia imienia właścicielki dóbr, o tyle druga to prawdopodobnie efekt pomyłki.

Słowa kluczowe: toponimia, kolej Siedlce–Bołogoję.

Franopol i Fronołów to stosunkowo najmłodsze miejscowości w okolicach Sarnak. Skąd się wzięły obie nazwy i czy czasem jedna nie pochodzi od drugiej?

Franopol to nazwa wsi na położonej na północ od linii kolejowej Siedlce – Czeremcha. Fronołów to oficjalna nazwa przystanku kolejowego zlokalizowanego w obrębie wsi Mierzvice–Kolonii. Przyjęła się także jako określenie osiedla wypoczynkowego, które wyrosło w sąsiedztwie kolei na bazie wcześniejszych pracowniczych ośrodków wypoczynkowych i dziś *de facto* liczy wielokrotnie więcej domów niż zabudowania stałych mieszkańców Mierzwic–Kolonii. Oba toponimy – tj. Franopol i Fronołów – pojawiły się dopiero na przełomie XIX/XX w. Artykuł to próba wyjaśnienia, skąd wzięły się obie nazwy.

Jako pierwsza pojawiła się nazwa Franopol, oznaczająca folwark w dobrach klimczyckich. Od niej zaczniemy więc nasze rozważania.

Powstanie folwarku

Folwark w miejscu obecnego Franopola powstał po reorganizacji, którą w dobrach klimczyckich przeprowadził Bronisław Podczaski (żył w latach 1829–1887). Wszedł on formalnie w posiadanie klucza klimczyckiego w 1859 r., cztery lata po śmierci swego ojca Joachima. Bronisław wdrożył bardzo znaczące usprawnienia w gospodarstwie, polegające m.in. na scaleniach i wymianach gruntów. Jedną z najpoważniejszych inwestycji było przeniesienie zabudowań folwarku Chlebczyn, pierwotnie zlokalizowanego w pobliżu obecnej stacji kolejowej Sarnaki. Nie jesteśmy pewni, czy stało się to przed, czy już po uwłaszczeniu (1864), choć skłaniać się można ku temu, że właśnie uwłaszczenie i przekazanie na własność części ziem w ręce chłopów stało się bezpośrednio impulsem do zmiany. Uwłaszczenie oznaczało m.in. konieczność rozdzielenia i wytyczenia granic prywatnych gruntów oraz nadanych chłopom serwitutów od tych ziem, które pozostały własnością Podczaskich. Nowe usytuowanie było o tyle bardziej korzystne, że wypadało w centralnej części ziem folwarcznych¹. W opisie folwarku z roku 1880 znajdujemy informację o znajdujących się w nim ośmiu murowanych budynkach².

Tak jak regulacje uwłaszczeniowe mogły być impulsem do przeniesienia folwarku, tak zmiana jego lokalizacji niewątpliwie przyczyniła się do zmiany nazwy. Nowe gospodarstwo Podczaskich odsunęło się o ok. kilometr od wsi Chlebczyn. Rozluźnieniu uległy też relacje wsi i folwarku. Po uwłaszczeniu ustała zależność feudalna, w myśl której mieszkańcy Chlebczyna byli zobowiązani do odrabiania pańszczyzny w tym konkretnym folwarku.

¹ Więcej o powstaniu nowego folwarku zob. J. W. Nowosielski, *Majątki ziemskie prywatne i rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, red. S. Kordaczuk, Siedlce 2006, s. 128–131.

² T. Dobrowolski, *Dobra Sarnacko–Klimczyckie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2022, t. 5., s. 23. Autor porównuje charakterystykę folwarku Chlebczyn z 1832 r. (jeden drewniany budynek) z opisem z 1880 r., dochodząc do wniosku, że inwestycje są pokłosiem przenosin folwarku.

Kiedy jednak folwark Chlebczyn stał się Franopolem? Źródłem, które rzuca światło na proces zmiany nazwy, są akta metrykalne, w których odnotowywano miejscowość narodzin, zgonów i małżeństw. Tam nazwa „folwark Franopol” pojawia się dopiero po raz pierwszy 18 stycznia 1890 r. Choć nie ostatecznie, bo jeszcze pół roku później znajdziemy folwark Chlebczyn³. Najprawdopodobniej proces zmiany nazwy nie odbył się na drodze decyzji urzędowych i trzeba było czasu, by nowe określenie utrwaliło się. Możliwe, że wcześniej nazwę stosowali sami Podczascy, do których należał folwark, a dopiero potem przyjęła się w okolicy.

Sprzedaż Franopola

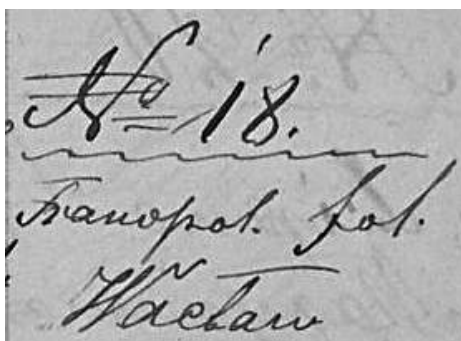
Bronisław Podczaski zmarł w 1887 r. Gdy jednak zmarła Józefa Podczaska (1891), nestorka rodziny i matka Bronisława, rozpoczęła się stopniowa rozprzedaż dóbr. Pierwsza transakcja polegała na rozparcelowaniu ziem folwarku Franopol i sprzedaży go 22 gospodarzom. Doszło do niej już w 1891 r.⁴

Nowi właściciele prawdopodobnie obejmowali wytyczone kolonie w różnym czasie. W aktach chrztu parafii sarnackiej Franopol jako wieś pojawia się po raz pierwszy pod datą 15 stycznia 1893 r., ale cztery kolejne akty z tego roku (ostatni z 22 października) wymieniają „folwark Franopol”. W późniejszych latach odnotowywano już tylko wieś⁵.

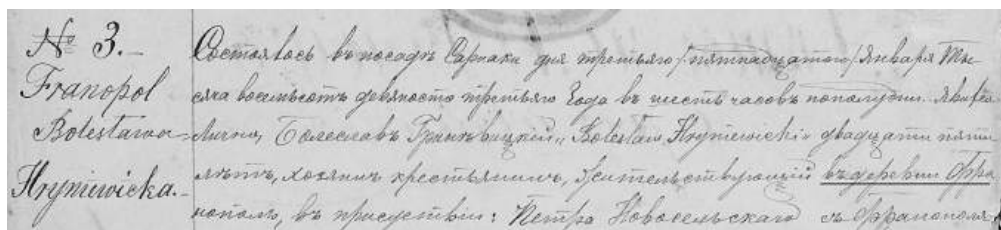
³ Zob. Archiwum Państwowe w Lublinie (APL), Akta stanu cywilnego Parafii rzymskokatolickiej w Sarnakach (APSar.), 1916/24 Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1888; 1916/25 Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1889; 1916/26 Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1890; 1916/27 Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1891.

⁴ T. Dobrowolski, dz. cyt., s. 29.

⁵ W 1893 r. wieś Franopol jest wymieniona 15 stycznia, folwark: 12 lutego, 11 maja, 31 sierpnia i 22 października. W aktach chrztu z w 1894 r. wieś Franopol pojawia się 8 kwietnia i 22 kwietnia. Zob. APL, APSar., 1916/29. Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1893, 1916/30 Księga urodzeń, małżeństw i zgonów 1894.



Fot. 1. Fragment aktu chrztu z parafii w Sarnakach z 5 lutego 1892 r., w którym mowa jest o „folwarku Franopol”.



Fot. 2. Fragment aktu chrztu z parafii w Sarnakach z 15 stycznia 1893 r. W tym przypadku po raz pierwszy pojawia się „wieś Franopol” (wyraz деревня w spisanej po rosyjski treści).

Skąd nazwa?

Nasza teza jest taka, że Bronisław Podczaski nazwał przeniesiony folwark od imienia swojej żony Franciszki z d. Katerla (1835–1904). W XIX w. dość popularne było nadawanie nowo zakładanym osadom folwarcznym nazw odimiennych z końcówką -pol (od greckiego ‘polis’). W niedalekiej okolicy spotkamy np. folwarki Wandopol (w sąsiedztwie Konstantynowa), Mariampol (opodal Leśnej Podlaskiej). Ale z nazwą Franopol są też pewne problemy.

W 1909 r. ukazało się drukiem rosyjskie zestawienie statystyczne dotyczące powiatu konstantynowskiego. Co ciekawe, w obrębie gminy Chlebczyn nie znajdujemy Franopola, ani jako wsi, ani folwarku. Jest za to spora wieś „Wasilewo”, o nazwie nigdy wcześniej nie spotykanej w okolicy. Co to za miejscowość? Jedyne możliwości to właśnie Franopol,

co potwierdzają podawane w opracowaniu odległości do urzędów i instytucji. Wieś zamieszkiwały wówczas 262 osoby wyznania rzymsko-katolickiego (porównywalnie z Grzybowem czy Rzewuszkami, innymi wsiami w dawnych dobrach klimczyckich)⁶.

Nazwę „Wasilewo” wskazującą na miejscowość w gminie Sarnaki spotkaliśmy tylko i wyłącznie w tym jednym źródle. Tak jak nie pojawiła się wcześniej, tak nie pojawia się w późniejszych źródłach. Czy wobec nazwy Franopol w ostatnich latach panowania rosyjskiego podejmowano celową próbę zmiany nazwy? Np. dlatego, że w ówczesnym powiecie konstantynowskim był już folwark o nazwie Franopol, w gminie Swory⁷.

Jadąc do Węgrowa malowniczą trasą przez Drohiczyn, dotrzemy do Wasilewa, Szlacheckiego bądź Skrzyszewskiego. Wystarczy skręcić w prawo tuż za Bugiem, we... Frankopolu! Tak jak i dziś, tak na początku XX w. był to powiat sokołowski. Zbieżność wydaje się na tyle nieprzypadkowa, by domyślać się pomyłki wynikającej ze skojarzenia obu nazw podczas ręcznego zestawiania danych (zresztą Frankopol i niedaleki Ignacopol to kolejne przykłady odimiennych nazw folwarków).

Przenieśmy się teraz do kolejnej „miejscowości” w gminie Sarnaki, której nazwa zaczyna się od litery „F”. Czyli do Fronołowa. (Znajdujące się tu zabudowania są częścią wsi Mierzvice Kolonia, stąd cudzysłów). Czy tu również mogło dojść do pomyłki?

Czy istniał inżynier Fronołów?

Powtarzana w okolicy wieść głosi, że nadbużańską stacyjkę – a po dekadach również tutejsze osiedle domów wypoczynkowych – nazwano od nazwiska budowniczego mostu na rzece. Może się to wydawać dosyć prawdopodobne, gdyż nazwa Fronołów brzmi na Podlasiu obco i zdecydowanie

⁶ *Svidienja o nasielennych miestnoscach konstantinovskogo ujezda*, red. N. Wołżyn, Siedlce 1909.

⁷ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, t. II, Warszawa 1881 s. 404. Słownik podaje też istnienie jeszcze jednego, nieznanego nam Franopola w gminie Kornica. Zachowujemy wstrzeźliwość z podawaniem tej informacji, gdyż jest to bodaj jedyne miejsce, gdzie można na nią natrafić.

przypomina brzmienie rosyjskiego nazwiska. Miejscowym i sympatykom wypoczynku nad Bugiem ten wywód etymologiczny przypadł do gustu. Był i cokolwiek nobilitujący: rosyjski inżynier musiał być naprawdę kimś ważnym, skoro zasłużył na upamiętnienie go w nazwie stacji. Choć nikomu nieznany, Fronołow wypadał też znacznie lepiej i bardziej intrygująco niż np. *mierzwa*, która dała początek nazwie Mierzwic.

Pochodzenie Fronołowa od rosyjskiego nazwiska wydawało się być tym bardziej prawdopodobne, że taką właśnie etymologię ma nazwa niedalekiej stacji Platerów (pierwotnie Platerowo). Choć powstała w pobliżu folwarku o nazwie Pasieka, a najbliższa jej wieś to Kamianka, otrzymała miano od nazwiska hrabiów Platerów, właścicieli ziemskich z Hruszniewa, do których należała Pasieka. Lokalna wieść głosi, że Platerowie mieli czynić starania o lokalizację stacji w obrębie swoich dóbr, a nawet nieodpłatnie przekazać grunty pod stację. Tej wersji nie udało się potwierdzić w dokumentach.

Niestety, inżyniera nazwiskiem Fronołow nigdzie nie znajdujemy. A jako konstruktora mostu dostępne źródła wymieniają rosyjskiego inżyniera Ławra Proskurjakowa⁸.

Fronołowa nie znajdujemy również wśród budowniczych. W prasie z lat 1903–1906 pojawiało się szereg doniesień nt. budowy linii kolejowej i przeprawy przez Bug. Zgodnie z ich treścią budowę siedleckiego odcinka kolei i mostu na Bugu prowadziła firma Rohna i Zielińskiego⁹.

⁸ Nazwisko Proskurjakowa pojawia się w doniesieniach prasowych. Jednak dr R. Dmowski zaznacza, że nie ma 100-procentowej pewności co do autorstwa projektu. Dmowski w sposób zdecydowany zdementował lokalny mit „inżyniera Fronołowa”. Niestety, jak podaje R. Dmowski, dokumentacja budowy linii kolejowej Siedlce–Bołogoje, przechowywana w archiwach rosyjskich, jest póki co niedostępna. Zob. R. Dmowski, *Fakty i mity o moście we Fronołowie*, cz. I, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2020, t. 3, s. 120–123. Jedyny materiał w polskich archiwach, którego opis (tytuł jednostki archiwalnej) jednoznacznie wskazuje, że dotyczy interesującej nas linii, nie zawiera szczegółów nt. budowy samej kolei (APL, Rząd Gubernialny Siedlecki, 118/1211, *O postrojke Bologoje Sédleckoj żeleznoj dorogi*). Jest to zbiór korespondencji w sprawie wywłaszczenia gruntów prywatnych.

⁹ Leonard Rohn zmarł 21 września 1905 r. w Siedlcach, gdzie nie dokończył budowy dworca kolejowego. Był współpracownikiem firmy założonej przez brata Stanisława Rohna, a po jego śmierci (1896) prowadził przedsiębiorstwo robót kesonowych. Stanisław Rohn był znanym przedsiębiorcą końca XIX w.: wybudował kilkanaście mostów na Narwi, Bugu, Prypoci

Jako „podwykonawcę” robót ziemnych i budynków zaangażowano przedsiębiorstwo należące do Niewiadomskiego i Rogozika. Rohn wykonał przyczółki, filary i kesony mostu. Części stalowe to efekt pracy fabryki „K. Rudzki i spółka”¹⁰ – znakomitej polskiej fabryki budującej mosty na terenie całego Imperium Rosyjskiego¹¹.

Kolej, a przede wszystkim stalowy most na Bugu, były w tamtym czasie wyjątkową w okolicy inwestycją. Niewątpliwie wiele mówiono na jej temat, co przy braku rzetelnej wiedzy, mogło rodzić plotki i przyszłe legendy o inżynierze Fronołowie¹².

Jak przebiegała budowa mostu? Rozpoczęła się w 1903 r. Tak o niej pisano w „Kurjerze Warszawskim” z września 1903 roku: *Najtrudniejszymi i najkosztowniejnymi robotami na kolei Siedlce–Bologoje są wielkie mosty na Bugu, Wilji, Berezynie, Niemnie, Dźwinie Zachodniej itd. Wobec tak*

i Horyniu. Prowadził także budowę linii tramwajowych i kanalizacji w Warszawie. „Przegląd Techniczny” nr 39/1905, s. 476.

¹⁰ Warszawska firma metalurgiczna, założona przez Konstatnego Rudzkiego (zm. 1899), z zakładem produkcyjnym w Mińsku Mazowieckim. Jedno z największych przedsiębiorstw technicznych w Imperium Rosyjskim. W szerokim profilu działalności na przełomie XIX/XX w. znalazła się produkcja i montaż mostów kolejowych, m.in. na trasie Kolei Warszawsko–Terespolskiej, linii Siedlce–Połock, ale też w głębi imperium rosyjskiego, w tym największy w Azji most nad Amurem w Chabarowsku o długości 2598 m, złożony z dwudziestu przęseł, wyprodukowanych w Mińsku Mazowieckim i przewiezionych 12 tys. km koleją do miejsca montażu. Szerzej: M. Ekiel–Jeżewska, J. Biliszczuk, P. Jeżewski i J. Sylwestrowicz, *O Fabryce Rudzkiego w Mińsku Mazowieckim i wytwarzanych przez nią mostach*, Mińsk Mazowiecki 2023. Konstanty Rudzki jest patronem ulicy w Mińsku Mazowieckim i zdaniem autora jeśli ktokolwiek miałby zostać upamiętniony w nazwie mostu, to właśnie on.

¹¹ „Kurjer Warszawski”, nr 14/1905, dodatek poranny, s. 3. Roboty na siódmym dystansie kolei Siedlce–Bologoje w granicach Królestwa Polskiego wykonała tutejsza firma techniczna inżynierów Niewiadomskiego i Rogozika. (...) Na dystansie siódmym, którego naczelnik budowy urzęduje w Siedlcach, zbudowano stacje w granicach Królestwa Polskiego Przymordy, w pow. siedleckim, Platerowo na granicach dóbr hr Platera około osady Łosice, w pow. konstantynowskim, wreszcie Nurzec. (...) Most na Bugu, zbudowała pod wsią Maćkowicze firma Rohna i Zielińskiego z Warszawy. W innym miejscu „Kurjer Warszawski” pisał, że firma Rohna wybudowała pięć z dziewięciu ówczesnie istniejących mostów na Bugu. Zob. „Kurjer Warszawski” nr 38/1905, s. 2.

¹² Podobną legendę autor słyszał w gronie rodziny nt. nazwy Hołowczyce. Miała pochodzić od nazwiska rosyjskiego generała Hołowacza. W historii wsi rzeczywiście pojawia się „rosyjski generał”, ale nie jako założyciel, lecz właściciel, obdarowany w XIX w. tutejszym folwarkiem przez cara. Generał nie nazywał się jednak Hołowacz, a Nirod, o czym w dalszej części artykułu.

*olbrzymich mostów, których koszt budowy obliczono na 13 milionów rubli, utworzono specjalny komitet budowy mostów, niezależnie od budowy toru*¹³.

W październiku 1904 r. ukończono już jeden przelot, po którym mogły przejeżdżać pociągi robocze. Drugi pozostawał w fazie montowania¹⁴. W listopadzie opuszczano górne wiązania na stałe filary. Przyglądała się tej operacji grupa studentów Politechniki Warszawskiej, których przywieziono celowo, aby zapoznali się budową¹⁵. Na przełomie 1904 i 1905 r. odbyła się inspekcja z udziałem delegatów z Petersburga: *pociąg dyrekcyjny po raz pierwszy przeszedł przez nowy most na Bugu, który aczkolwiek w szczegółach niewykończony, już może służyć komunikacji prawidłowej*¹⁶.

W 1906 r. odbył się oficjalny odbiór linii kolejowej, na który zaproszono korespondenta „Kurjera Warszawskiego”. Fragmenty jego obszernej relacji warto przytoczyć.

Za Platerowem kolej połocka napotyka rzekę Bug, bardzo szeroką i splawną w tem miejscu. Należało więc przerzucić most. Jest on żelazny, kratowy, trzyprzęsłowy, budowy lekkiej dla oka, na potężnych filarach murowanych, a pomimo to solidnej. Wiązania żelazne dwóch połów mostu wiążą się bardzo harmonijnie w jedną całość na długości 135 sążni. Podłoga mostu całkowicie deskami pomiędzy szynami wybita, tak, że nie tylko przejść, ale i przejechać możnaby po nim końmi, gdyby tylko pozwoliły żelazne ogromne pancerne dwustronne wierzeje u każdego wylotu umieszczone, normalnie jednak narozcież otwarte. (...) Most ten

¹³ „Kurjer Warszawski” nr 253/1903, s. 6. Z notatki dowiadujemy się, że budowa mostu na Bugu rozpoczęła się z końcem zimy lub z początkiem wiosny – a więc już w 1904 r. – miała być układane podkłady i szyny na linii kolejowej.

¹⁴ „Kurjer Warszawski” nr 278/1904, s. 3. O stanie zaawansowania budowy mostu dowiadujemy się z notatki prasowej, relacjonującej przebieg „zjazdu kolejowego”. 6 października uczestnicy zjazdu odwiedzili budowę mostu nad Bugiem. Do 15:00 oglądali budowę, a w drodze powrotnej odwiedzili mińskie zakłady firmy Rudzki i Spółka, gdzie powstawała konstrukcja stalowa mostu.

¹⁵ „Gazeta Polska” nr 303/1904, s. 2.

¹⁶ „Kurjer Warszawski” nr 2/1905, s. 2.

wspaniały, z każdej strony dwoma okazałymi murowanymi czworobokami z boków zakończony – przenosi linię kolejową dalej na północ¹⁷.

Nie było też właścicieli ziemskich o nazwisku podobnym do „Fronołowa”, którzy podobnie jak Bröel–Platerowie, mogliby się wystarać o usytuowanie stacji w ich dobrach. Stacja powstała na gruntach folwarku Mierzvice, który należał wówczas do Zofii Kirpiczewej. Była ona spadkobierczynią księcia Aleksandra Niroda, który w 1867 r. otrzymał na własność kilka folwarków na Podlasiu nadbużańskim oraz fragmenty lasów. Wszystkie razem określano w dokumentach jako „majorat Hołowczyce”. Kirpiczewa mieszkała w Petersburgu, folwark wydzierżawiając rodzinie Zieleniewskich. Wywłaszczenie odbyło się na mocy ukazu z 2 sierpnia 1902 r.¹⁸ Za 19,43 ha gruntu właścicielka otrzymała 4774,14 rubli¹⁹.

Inny trop, który podnosili miłośnicy dzisiejszego Fronołowa, wskazuje na możliwość nazwania stacji na cześć któregoś z bohaterów wojny, jaką Rosja stoczyła z wojskami Napoleona w 1812 r. W setną rocznicę w tym duchu przemianowano stację Wołkowysk II na Bagrationowsk, upamiętniając tym samym gen. Piotra Bagrationa, zmarłego w wyniku ran odniesionych pod Borodino. Ta teza upada, gdyż Fronołów jako nazwa pojawił się wcześniej, bo w 1909 r.

A może błąd na mapie?

Zagadkę pomagają wyjaśnić rosyjskie mapy wojskowe, drukowane w latach 1912–13. Mamy do dyspozycji dwie takie mapy, o różnej skali. Na obu nazwa Fronołów (Фроноловъ) pojawia się w miejscu naszego... Franopola!

¹⁷ „Kurjer Warszawski” nr 92/1906 r, s. 2. Dodajmy także, że autor korespondencji wymienił nazwisko naczelnika budowy kolei, którym był Władimir Timofiejew–Riasowski. Upada więc i podejrzenie, że to nie konstruktor mostu, a urzędnik odpowiedzialny za budowę został upamiętniony nazwą stacji.

¹⁸ *Imienny Ukaz Najwyższy z dn. 2 sierpnia 1902 r. o wywłaszczeniu gruntów i majątków potrzebnych do zbudowania drogi żelaznej Siedlce–Bologoje*. [w:] *Zbiór Praw Gubernij Królestwa Polskiego za Wiek XX*, wyd. S. Godlewski, 1902, t. 4. (półrocze 2), s. 58.

¹⁹ Sąd Rejonowy w Siedlcach, Zamiejscowy VIII Wydział Ksiąg Wieczystych w Łosicach, księga wieczysta dóbr Hołowczyce, *pismo Ministerstwa Komunikacji z 5 marca 1905 r.*

Brzmienie obu nazw jest stosunkowo podobne. Jeszcze bardziej podobne się stają, gdy uwzględnimy reguły wymowy nieakcentowanych samogłosek w języku rosyjskim. Фроноловъ należałoby w zasadzie przeczytać jako ‘Franołów’. Nazwę w takim brzmieniu zdarza się zresztą usłyszeć w okolicy, a w latach 20. XX w. właśnie w tej postaci była oficjalnie zapisywana²⁰. Obie nazwy miałyby więc ten sam rdzeń Frano–, ale odmienną końcówkę.

Czy to pomyłka kartografa, czy może celowa zmiana? Może nazwa Franopol wybitnie razila jakiegoś carskiego urzędnika? Pamiętamy wszak nie do końca wyjaśnioną próbę przemianowania Franopola na Wasilewo.

Bardziej prawdopodobne jest, że doszło do pomyłki. Może znaczenie miało powszechne występowanie w okolicy końcówki –ów w okolicznych nazwach, jak Chybow, Grzybów czy Rozwadów. Zresztą ten ostatni to najbliższy rzekomego „Fronołowa” zaznaczony na mapie folwark. W niedalekiej odległości zdarzają się też inne błędy na rosyjskiej mapie, np. rzeczkę Sarenkę opisano jako ‘Sarnaki’.

Stacja kolejowa

Jak wspomnieliśmy, znamy dwie rosyjskie mapy, na których oznaczono Fronołów–Franopol. Pierwsza jest w skali 1:84 000 (tzw. dwuwiorstówka). Zaznaczono tu odciek linii kolejowej Siedlce–Bołogoje oraz stację kolejową Platerów. Choć drukowano ją w styczniu 1913 r., nie jest w pełni aktualna. Na mapie widoczna jest już linia kolejowa, ale bez nadbużańskiego przystanku Fronołów (choć ten już wówczas istniał). Jeszcze bardziej nieaktualne jest określenie rzekomego „Fronołowa” (faktycznego Franopola) jako folwarku. Pamiętamy wszak, że folwark w tym miejscu przestał istnieć w latach 1893–94. Takie sytuacje nie

²⁰ *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej opracowany na podstawie wyników Pierwszego Powszechnego Spisu Ludności z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych*, t. 4, województwo lubelskie, Warszawa 1924, s. 45. W gminie Sarnaki odnajdujemy „stację Franołów”, przy której we wrześniu 1921 r. zamieszkiwało 28 osób oraz istniejący jeszcze „tartak Franołów” z 83 mieszkańcami (zapewne pracownicy z rodzinami).

dziwią. Sto kilkadziesiąt lat temu mapa była efektem wieloletniej pracy. Linie kolejową wkreślono po prostu na istniejący podkład kartograficzny.



Fot. 3. Fragment rosyjskiej mapy w skali 1:84 000 (tzw. dwuwiorstówka). Autorzy mylnie opisali na niej Franopol jako Fronołów.

Choć mapę w skali 1:126 000 (trzywiorstówka) wydrukowano wcześniej, bo w kwietniu 1912 r., to co ciekawe przystanek kolejowy Fronołowo został na niej zaznaczony. Konkretnie jest to peron, rampa (rosyjski skrót Пл. należałoby rozwinąć jako ‘платформа’). Gdzie zaznaczono ten przystanek? Niemal w bezpośrednim sąsiedztwie Fronołowa, czyli Franopola.

Występowanie obok siebie nazw folwark i przystanek Fronołowo nie pozostawia wątpliwości, że nazwa przystanku pochodzi od wcześniejszej – choć w odmienny sposób zapisanej – nazwy folwarku i wsi. Dlaczego jednak na mapie ulokowano przystanek kolejowy w sąsiedztwie Franopola? Może to być odzwierciedlenie niezrealizowanych planów powstania stacji kolejowej w Sarnakach. Choć nie znamy



Fot. 4. Fragment rosyjskiej mapy w skali 1:126 000 (trzywiorstówka). Mylnie opisano na niej Franopol jako Fronolów, a w sąsiedztwie zaznaczono przystanek kolejowy o takiej samej nazwie.

oficjalnego projektu budowy linii, ale mamy kilka niezależnych wzmianek na ten temat.

Pierwsza pochodzi z „Kurjera Warszawskiego”, w którym w 1904 r. napisano: *W obrębie guberni siedleckiej kolej przecina powiaty: siedlecki na przestrzeni wiorst około 28 i konstantynowski wiorst około 32, i ułatwi komunikację osadom: Mordy w powiecie siedleckim, oraz Łosice i Sarnaki w konstantynowskim, przy których urządzone zostaną stacje* (podkr. RZ)²¹.

Druga wzmianka została podana niezależnie w sarnackiej „Księdze pamięci”: *Jak opowiadali inżynierowie, stacja miała być w samych Sarnakach, lecz hrabia Plater, który niezmiernie pragnął, by stacja była blisko jego centrali, podarował duże tereny w odległości 5 km od miasteczka i tam zbudowano stację kolejową, którą nazwano od jego imienia*

²¹ R. Dmowski, *Jak kolej dotarła do Sarnak*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2019, t. 2, s. 102–103. Artykuł zawiera wzmiankę o stacji w Mielniku, od którego linia kolejowa jest odległa o 7 km. Gdy publikowano notatkę, w końcu 1904 r., most na Bugu był niemal gotowy.

Platerowem. W dalszym ciągu jest mowa o bezskutecznych zabiegach społeczności żydowskiej, by jednak stację ulokować w pobliżu Sarnak²².

Na co warto zwrócić uwagę, do przystanku na mapie prowadzą dwie drogi z folwarków należących niegdyś do Podczaskich, z Sarnak (w momencie budowy kolei wciąż istniał) i Franopola.

Ostatecznie stacja w Sarnakach powstała dopiero pół wieku później. Znacznie wcześniej powstała za to stacja Fronołów. Wydaje się więc wysoce prawdopodobne, że nazwy stacji projektowanej pierwotnie w okolicy Sarnak i Franopola użyto do nazwania przystanku, który ostatecznie powstał parę kilometrów dalej.

W tym miejscu warto przyrzeć się stacji Nurzec, otwartej już w momencie budowy magistrali siedlecko-bołogojskiej. Do wsi o tej nazwie ze stacji jest w prostej linii aż 6,5 km. Stację nazwano Nurzec, mimo że nieco ponad kilometr dzieli ją od Żerczyc, dużej wsi z parafialną cerkwią.

Nie ma wątpliwości, że lokowanie stacji kolejowych względem istniejących miejscowości, a w ślad za tym i ich nazewnictwo, nie było priorytetem twórców linii. Kolej powstawała w ekspresowym tempie, miała charakter strategiczny, ważny z punktu widzenia strategii wojennej. Jej twórcy nie brali pod uwagę korzystnego skomunikowania miejscowości na trasie²³.

Mapy rosyjskie służyły jako podstawa nieco późniejszych map austriackich (*Karte des Westlichen Russlands*, arkusz M32 Siemiatycze). Mapy miały zmienioną skalę na 1:100 000 i opis w alfabecie łacińskim. Mapa wydrukowana w 1914 r. powtórzyła nazwę Fronołów – zapisaną przez ‘o’ – w miejscu Franopola. Stacji kolejowej między Platerowem

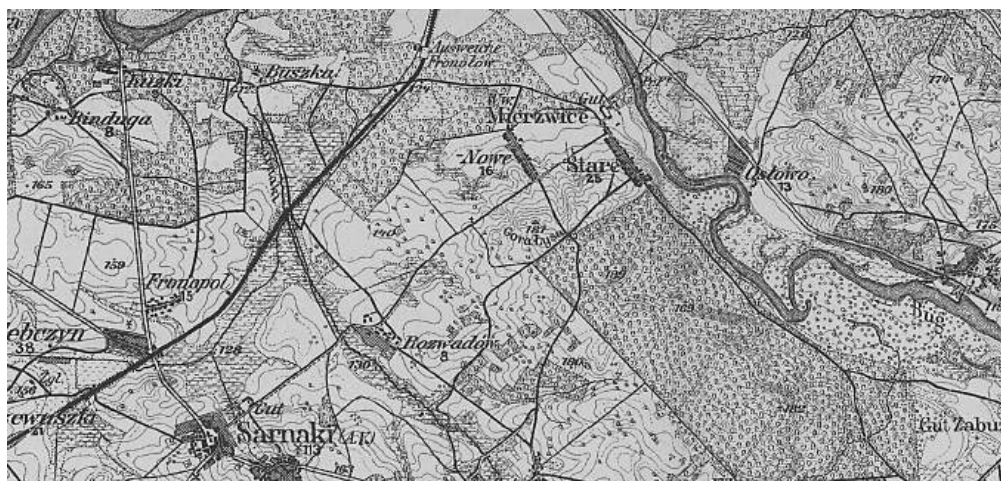
²² Sz. Zejerman, *Powstanie i rozwój Sarnak*, (tłum. i opr. M. Urynowicz), „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2022, t. 5, s. 65. Oryginalny materiał powstał w języku hebrajskim i ukazał się w *Księdze pamięci Żydów Sarnak (Sefer Zikaron leKehilat Sarnaki)*, Hajfa 1968, s. 27–39). O lokalnych staraniach o stację w okolicy Sarnak podejmowanych przed I wojną światową wspomina też sarnacki pamiętnikarz Jan Kondracki (*Kronika wydarzeń sarnackich społecznych, towarzyskich, rodzinnych i przeżyć osobistych 1918–1923, 1925–1937*, brak daty i miejsca wydania, s. 371). Mowa jest nawet o komisji, jaką udało się sprowadzić na miejsce. Wizytatorzy opowiedzieli się za powstaniem stacji, do czego, jak wiemy, nie doszło. Autor nie podaje, czy zdarzenie miało miejsce na etapie budowy kolei, czy później.

²³ R. Dmowski, *Jak kolej...*, s. 103.

a Bugiem na niej nie zaznaczano. Wydrukowana w 1915 r., zawierała już poprawną sytuację. Znajdziemy na niej i wieś Franopol, i właściwie usytuowaną stację Fronołów. Po niemiecku określono ją jako *Ausweiche*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „mijanka”.



Fot. 5. Niemiecka mapa drukowana w 1914 r. Powtarza błędną nazwę Franopola jako Fronołów. Brak na niej przystanku kolejowego we Fronoławie.



Fot. 6. Niemiecka mapa drukowana w 1915 r. Franopol został oznaczony właściwie (z zaznaczeniem zabudowy wiejskiej). We właściwym miejscu znalazł się przystanek kolejowy Fronołów.

Przystanek kolejowy nad Bugiem

Jedną z przyczyn kartograficznego zamieszania z Fronołowem mogła wynikać z faktu, że tutejszy przystanek formalnie uruchomiono dopiero w kilka lat po oddaniu do użytku linii kolejowej. Fronołowa nie wymienia jeszcze kolejowy rozkład jazdy na rok 1909. Ale dzięki notatce w „Kurjerze Warszawskim” wiemy, że pierwsze pociągi zaczęły zatrzymywać się nad Bugiem właśnie w 1909 r.: *Zarząd Kolei Nadwiślańskich niniejszem podaje do wiadomości, że położony między stacjami Platerowo–Nurec, przystanek Fronołowo z dniem 1 (14) września 1909 r. zostaje otwarty dla przewozu pasażerów bez bagażu, w komunikacji miejscowej i z obliczeniem opłaty za całą przestrzeń między wzmiankowanymi taryfowymi stacjami*²⁴.

W dniu, kiedy nastąpił pierwszy zaplanowany postój we Fronołowie, gazeta pisała: *Na przystanku Fronołowo, na oddziale wykłowskim kolei nadwiślańskich na 57–ej wiorście od 14–go b.m. [wrzesień] ustanowiono postój minutowy dla pociągów pocztowych i towarowych*²⁵. Stację Fronołowo znajdujemy też w rozkładzie z 1912 r. Na stacji zatrzymywały się cztery pociągi, dwa jadące w kierunku Siedlec i dwa w kierunku Czeremchy²⁶.

Kształt tego rozkładu prowokuje pytanie, na które nie znamy odpowiedzi: coż takiego spowodowało, że czwartą stacją na 83–kilometrowym odcinku kolei między Siedlcami a Czeremchą został właśnie Fronołów? Czwartą, bowiem w rozkładzie widoczne są jedynie Przymordy (dziś Mordy), Platerowo i Nurzec.

Możliwe, że po budowie mostu pozostała tutaj mijanka, o której wzmiankują niemieckie mapy, nazywając w ten sposób stacyjkę. Poważne przedsięwzięcie inżynierskie wymagało wszak dowożenia i wyładunku materiałów. Gdy nie było mostu, pociągi, które docierały tu od strony Siedlec musiały wracać w tym samym kierunku. Elementy tej

²⁴ „Kurjer Warszawski” nr 236/1909, s. 11.

²⁵ „Kurjer Warszawski” nr 254/1909, s. 4.

²⁶ *Rozkład jazdy pociągów pasażerskich na kolejach żelaznych w Królestwie Polskim i przylegających. Sezon zimowy obowiązujący od dnia 15/28 października 1912 r.*, s. 62.

infrastruktury mogły dać początek niewielkiej stacyjce. Ale w jakim celu, zanim utworzono np. stację Siemiatycze, pociągi zatrzymywały się na nadbużańskim pustkowiu?

Wiemy, że już przed I wojną światową do położonych nad Bugiem Mierzwic zjeżdżali letnicy z gubernialnych wówczas Siedlec. Kilkanaście rodzin kwaterowało w prywatnych domach²⁷. Czy to wystarczający powód, by na minutowy postój zatrzymywały się tu pociągi pasażerskie i pocztowe, również poza sezonem letnim? Już bardziej prawdopodobne wydają się dojazdy bądź dostawy zaopatrzenia dla załogi strzegącej mostu. Co było rzeczywistą przyczyną otwarcia przystanku we Fronołowie, na razie nie wiemy.

Na koniec dodajmy jeszcze, że zamieszanie z nazwami miejscowości na przełomie XIX/XX w. mogło się zdarzyć ze względu na niższy ówczesnie poziom standaryzacji i oficjalnych indeksów nazw miejscowych.

Bibliografia:

Archiwalia:

Archiwum Państwowe w Lublinie

118 Rząd Gubernialny Siedlecki, sygn. 1211.

1916 Akta stanu cywilnego Parafii rzymskokatolickiej w Sarnakach, sygn. 24, 25, 26, 27, 29, 30.

Sąd Rejonowy w Siedlcach Zamiejscowy VIII Wydział Ksiąg Wieczystych w Łosicach, księga wieczysta dóbr Hołowczyce.

Dokumenty drukowane:

„Rozkład jazdy pociągów pasażerskich na kolejach żelaznych w Królestwie Polskim i przylegających. Sezon zimowy obowiązujący od dnia 15/28 października 1912 r.

²⁷ „Głos Podlasia” nr 42/1911, s. 6–7. Z artykułu wynika, że letnicy ściągali jedynie do Mierzwic. Tam zmuszeni byli *dusić się w niskich szczupłych chatach włościan*.

Imienny Ukaz Najwyższy z dn. 2 sierpnia 1902 r. o wywłaszczeniu gruntów i majątków potrzebnych do zbudowania drogi żelaznej Siedlce–Bołogoje. [w:] *Zbiór Praw Gubernij Królestwa Polskiego za Wiek XX*, wyd. S. Godlewski, 1902, t. 4.

„Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej opracowany na podstawie wyników Pierwszego Powszechnego Spisu Ludności z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych”, t. 4, województwo lubelskie, 1924.

Opracowania:

Dmowski R., *Jak kolej dotarła do Sarnak*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2019, t. 2.

Dmowski R., *Fakty i mity o moście we Fronoławie, cz. I*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2020, t. 3.

Dobrowolski T., *Dobra Sarnacko–Klimczyckie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2022, t. 5.

Ekiel–Jeżewska M., Biliszczyk J., Jeżewski P. i Sylwestrowicz J., *O Fabryce Rudzkiego w Mińsku Mazowieckim i wytwarzanych przez nią mostach*, Mińsk Mazowiecki 2023.

Kondracki J., *Kronika wydarzeń sarnackich społecznych, towarzyskich, rodzinnych i przeżyć osobistych 1918–1923 1925–1937*, brak daty i miejsca wydania.

Nowosielski J. W., *Majątki ziemskie prywatne i rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, red. S. Kordaczuk, Siedlce 2006.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, t. II, Warszawa 1881.

Svidienja o nasielennych miestnoscach konstantinowskogo ujezda, red. N. Wołżyn, Siedlce 1909.

Zejerma Sz., *Powstanie i rozwój Sarnak*, (tłum. i opr. M. Urynowicz), „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2022, t. 5.

Prasa:

„Gazeta Polska” nr 303/1904.

„Kurjer Warszawski”, nr 253/1903; 278/1904; 2/1905; 14/1905; 38/1905; 92/1906; 236/1909; 254/1909.

„Głos Podlasia” nr 42/1911.

„Przegląd Techniczny” nr 39/1905.

Rafał Zubkowi cz – leśnik, pracuje w Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych. Autor kilkudziesięciu artykułów o tematyce regionalnej, poświęconych przede wszystkim okolicom Sarnak.

Witold Bobryk

**Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy
w Białymstoku**

IV Liceum Ogólnokształcące

im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Siedlcach

ORCID: 0000-0002-8009-5016

Zestawienie ilości ziemi potrzebnej do realizacji reformy rolnej na terenie gminy Sarnaki. Przyczynek do historii społecznej i gospodarczej zbiorowości lokalnej

Streszczenie

Reforma rolna, przeprowadzona zgodnie z zasadami określonymi w Manifeście Lipcowym Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, zmieniła nie tylko strukturę agrarną wsi polskiej, ale również spowodowała przebudowę społeczną państwa. Proces jej wprowadzania budził emocje polityczne, tym bardziej, że toczył się w cieniu walki sowieckiego aparatu terroru z podziemiem niepodległościowym. Sama reforma, wbrew deklaracjom, miała wydźwięk propagandowy. Obietnica nadania chłopom ziemi, jak również zachowania prywatnej własności gospodarstw rolnych, uspokoić miała ludność obawiającą się wprowadzenia sowieckiego modelu gospodarczego na wsi. Tworzenie pięciohektarowych gospodarstw, których właściciele ledwo mogli utrzymać się, pozwalało liczyć w niedalekiej przyszłości na łatwiejszy przebieg kolektywizacji. W Archiwum Państwowym w Siedlcach zachowało się zestawienie ilości ziemi potrzebnej do realizacji reformy rolnej na terenie gminy Sarnaki, której granice odbiegają od dzisiejszych. Dokument ten unaocznia nam skalę zapotrzebowania, jakie należało spełnić, aby zrealizować zapowiedź polityczną zmian, mającą na celu pozyskanie przynajmniej części społeczeństwa. Dane w zestawieniu stanowią punkt wyjścia do dalszych badań nad zmianą stosunków własnościowych na terenie gminy Sarnaki.

Słowa kluczowe: wieś, reforma rolna, struktura gospodarcza, struktura społeczna, ustrój państwa.

Wraz z upływem czasu często nie pamiętamy o zmianach, jakie zaszły w naszym otoczeniu pod wpływem przemian politycznych, oddziaływających na życie kolejnych pokoleń. Na ogół też nie doceniamy znaczenia kwestii gospodarczych, które mają olbrzymi wpływ na egzystencję ludności zarówno w makro, jak i mikro skali. Nadmierne skupianie się na wydarzeniach politycznych, z pominięciem kontekstu ekonomicznego i społecznego, zawęża pole widzenia. To kwestie gospodarcze wielokrotnie determinują działania polityków, którzy uwzględniając w swoich programach zagadnienia socjoekonomiczne, mogą liczyć na poparcie społeczne. W 1992 roku Bill Clinton, kandydujący w wyborach prezydenckich pod hasłem „Gospodarka głupcze” (ang. *The economy, stupid*), pokonał Georga Busha, który w czasie swojego urzędowania odnotował znaczące sukcesy w polityce międzynarodowej, ale zbagatelizował narastające w kraju problemy ekonomiczne, budzące obawy wielu Amerykanów¹. W Rosji bolszewicy zdobyli masowego poparcia zawdzięczali krótkiemu programowi politycznemu – „pokój narodom, ziemia chłopom, fabryki robotnikom”². Idea gruntownych zmian w sferze gospodarczej, oznaczająca przebudowę struktury społecznej, pogrzebała dotychczasowy porządek polityczny.

Podobnie budowa nowego ustroju politycznego w Polsce, która rozpoczęła się latem 1944 roku, po sforsowaniu przez Armię Czerwoną Bugu³, wiązała się z potrzebą uzyskania poparcia społecznego, aby uniknąć konieczności prowadzenia masowego terroru. Temu celowi służyła realizacja reformy rolnej, zapowiedzianej w ogłoszonym 22 lipca 1944 roku Manifestie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Na terenach wyzwolonych parcelację majątków miano przeprowadzić niezwłocznie, „aby przyspieszyć odbudowę Kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi”⁴. W dokumencie tym określono zasady, na jakich

¹ P. Jenkins, *Historia Stanów Zjednoczonych*, tłum. A. Oksiuta, Kraków 2009, s. 325–326.

² M. Heller, *Historia Imperium Rosyjskiego*, tłum. E. Melech, T. Kaczmarek, Warszawa 2002, s. 730.

³ A. L. Sowa, *Historia polityczna Polski 1944–1991*, Kraków 2011, s. 18; K. Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Poznań 1990, s. 66.

⁴ *Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego*, „Rocznik Lubelski”, 1959, t. 2, s. 11.

miały zmienić się stosunki własnościowe, pozwalające przekształcić strukturę agrarną, a w konsekwencji zburzyć dotychczasowy porządek społeczny. Obietnica nadania chłopom ziemi, jak również deklaracja zachowania prywatnej własności gospodarstw rolnych, uspokoić miała opinię publiczną obawiającą się wprowadzenia sowieckiego modelu gospodarczego na wsi⁵.

Szczegółowe zasady reformy rolnej Polski Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego określił w dekreście z 6 września 1944 roku. W celu przebudowy ustroju rolnego utworzono Państwowy Fundusz Ziemi, którym zarządzał kierownik Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych. Przymusowej parcelacji, za wyjątkiem województw zachodnich, podlegały majątki ziemskie o powierzchni powyżej 50 ha. Właściciele ich pozbawiono również inwentarza żywego, budynków gospodarczych wraz z wyposażeniem oraz dworów. W zamian mogli otrzymać pięciohektarowe „gospodarstwo rolne poza obrębem wywłaszczonego majątku”, bądź pobierać zaopatrzenie miesięczne w wysokości uposażenia urzędnika państwowego VI grupy, które w określonych przypadkach mogło być wyższe⁶. Uzupełnienie dekretu „O przeprowadzeniu reformy rolnej” stanowił dekret z 12 grudnia 1944 roku „O przejęciu niektórych lasów na własność Skarbu Państwa”, na mocy którego upaństwowiono lasy prywatne powyżej 25 ha⁷.

Wprawdzie w dekreście Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego umieszczono zapis, że „Ustrój rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy”, to decyzja o wielkości nadziałów przekreślała tę deklarację. Przyjęto, że obszar „dla gospodarstw rolnych nie może być większy od 5 ha ziemi średniej jakości”. Decyzja ta miała wydźwięk propagandowy, ponieważ większa liczba osób mogła otrzymać przydział ziemi z parcelowanych majątków. Jeden z lokalnych działaczy ludowych stwierdził, że na gospodarstwie tej wielkości nie można być ani

⁵ A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014, s. 97–98.

⁶ Dz. U. 1944 nr 4, poz. 17, *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej*.

⁷ Dz. U. 1944 nr 15, poz. 82, *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 12 grudnia 1944 r. o przejęciu niektórych lasów na własność Skarbu Państwa*.

gospodarzem ani parobkiem, z tego powodu, że ten pierwszy nie będzie miał możliwości wyżywienia rodziny, a drugi – czasu, aby pójść na zarobek⁸. Słabe gospodarstwa, których właściciele ledwo mogli utrzymać się, pozwalały liczyć w niedalekiej przyszłości na łatwiejsze wprowadzanie modelu sowieckiego na wsi. Zmiana polityki rolnej w Polsce nastąpiła we wrześniu 1948 roku, wkrótce po przyjęciu przez Kominform (Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych) rezolucji o kolektywizacji rolnictwa w państwach bloku wschodniego⁹.

Zgodnie z zapowiedzią ogłoszoną w Manifeście Lipcowym, celem reformy rolnej była zmiana stosunków własnościowych, polegająca na upelnorolnieniu gospodarstw małorolnych oraz tworzeniu nowych gospodarstw dla bezrolnych, robotników i pracowników rolnych, a także drobnych dzierżawców. W obu przypadkach wielkość ich miała wynosić 5 ha¹⁰. W dekrete określono, że „Obszar nowoutworzonych gospodarstw, jak również obszar, do którego mają być powiększone gospodarstwa karłowate, winien być uzależniony od jakości gleby i stosunku miejscowego zapotrzebowania ziemi do będącego do dyspozycji zapasu ziemi, przy czym wszyscy uprawnieni do korzystania z reformy rolnej otrzymają nadziei w granicach powiatu.” Bezrolnym w celu zagospodarowania miano przekazać również żywy i martwy inwentarz przejęty podczas parcelacji. Po pięciu latach wojny liczba zwierząt hodowlanych w gospodarstwach folwarcznych uległa znaczącemu spadkowi, co w wielu przypadkach nie zapewniało uzyskania odpowiedniego wsparcia materialnego. Rolnicy w ramach reformy nie dostali ziemi za darmo. Cenę ustalono w wysokości przeciętnego rocznego urodzaju z otrzymanego areалу. Nabywcy mogli „płacić w naturze żytem albo w gotówce podług ceny żyta na wolnym rynku”. Przy otrzymaniu ziemi mieli wpłacić 10% ceny kupna. Bezrolni mogli uzyskać odroczenie tej opłaty na trzy lata. Pozostałą należność rozłożono na raty. W przypadku małorolnych okres spłaty wynosił 10 lat, a bezrolnych – 20. Chłopom,

⁸ H. Słabek, *Dzieje polskiej reformy rolnej 1944–48*, Warszawa 1972, s. 74.

⁹ A. L. Sowa, *Historia polityczna Polski...*, s.120–123.

¹⁰ *Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego...*, s. 11.

którzy z braku zapasów ziemi nie mogli otrzymać odpowiedniej wielkości użytków rolnych, zapewniono możliwość zamiany niesamodzielnego gospodarstwa na pięciohektarowe gospodarstwo położone na ziemiach zachodnich. Gospodarstwa utworzone na podstawie dekretu o reformie rolnej, poza wyjątkowymi przypadkami, nie mogły być „w całości lub w część dzielone, sprzedawane, wydierżawiane i zastawiane”¹¹.

W zespole Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Siedlcach, znajdującego się w zasobach Archiwum Państwowego w Siedlcach, zachowało się zestawienie ilości ziemi potrzebnej do realizacji reformy rolnej na terenie gminy Sarnaki¹². Granice tej jednostki administracyjnej, ukształtowane u progu niepodległości¹³, odbiegały od dzisiejszych. W jej skład oprócz Bindugi, Bużki, Chlebczyna, Chybowia, Franopola, Fronołowa, Grzybowa, Klimczyc, Kózek, Mierzwic – Starych i Nowych, Płaskowa, Rozwadowa, Rzewuszek, Sarnak oraz Terlikowa wchodziły miejscowości należące obecnie do gminy Platerów: Kamianka, Kisielew, Lipno, Mężenin, Michałów i Pasieka (Nowodomki)¹⁴. Podczas pierwszego spisu powszechnego ludności, przeprowadzonego 30 września 1921 roku, na terenie gminy Sarnaki odnotowano dziewięć folwarków: Klimczyc Adamów, Klimczyc Górne, Klimczyc Marianka, Klimczyc Słowików, Mężenin, Michałów, Mierzvice Stare, Płasków i Sarnaki¹⁵. Opublikowane materiały nie zawierają jednak informacji na temat wielkości ich areалу.

W wykazie nieruchomości ziemskich przekraczających obszar 50 ha, których lasy zostały włączone w obręb dzisiejszego Nadleśnictwa Sarnaki, według stanu na 1944 rok, uwzględniono tylko majątki w Klimczycach Górnych i Michałowie Kolonii. Pierwszy z nich liczył 127,80, a drugi

¹¹ Dz. U. 1944 nr 4, poz. 17, *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej*.

¹² Archiwum Państwowe w Siedlcach, Powiatowy Urząd Ziemski w Siedlcach 1944–1947, sygn. 31, k. 1–4.

¹³ A. Wasilewska, R. Zubkowicz, *Historia i współczesność Gminy Sarnaki*, Sarnaki [2015], s. 71.

¹⁴ W. Bobryk, *Struktura wyznaniowa ludności na terenie gmin Hołowczyce i Sarnaki w świetle spisu powszechnego z 1921 roku*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2023, t. 6, s. 51–52.

¹⁵ *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej. Opracowany na podstawie wyników pierwszego powszechnego spisu ludności z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych*, t. 4, Województwo lubelskie, Warszawa 1924, s. 45.

49,80 ha. Powierzchnia lasów wynosiła odpowiednio 36,90 i 8,00 ha. Gospodarstwo w Michałowie Kolonii, należące do Stanisława Kocota¹⁶, zgodnie z prawem nie kwalifikowało się zarówno do parcelacji, jak i upaństwowienia lasu. W ewidencji nieruchomości ziemskich podległych dekretowi z 6 września 1944 roku o przeprowadzeniu reformy rolnej majątku tego nie odnotowano¹⁷. W przypadku folwarku w Klimczycach Górnych, stanowiącym własność Michała Łopatniuka, występuje w źródłach rozbieżność co do wielkości posiadanego areалу. Według jednych przekazów jego powierzchnia wynosiła 127,80, a według innych – 129,00 ha¹⁸.

„Wyjątkowo długo – jak zauważył Rafał Zubkowicz – toczyła się sprawa upaństwowienia majątku Sarnaki, należącego do rodziny Przesmyckich”¹⁹. Pozostały po nich dwór, w którym mieści się siedziba Nadleśnictwa Sarnaki, państwo przejęło dopiero w 1962 roku²⁰. Wyjaśnienie kwestii związanych z liczbą majątków podlegających parcelacji wymaga zbadania spraw własnościowych w okresie międzywojennym, szczególnie w kontekście realizacji reformy rolnej uchwalonej 2 grudnia 1925 roku przez Sejm²¹.

W skład Gminnej Komisji Reformy Rolnej w Sarnakach, jak w piśmie z 19 października 1944 roku wójt Franciszek Pietruczuk poinformował władze powiatowe, weszli: Alfons Kłykociński z Chybowa, Wacław Sadło z Bużki i Karol Sylwesiuk z Kolonii Klimczyce²². Zestawienie sporządzili pracownicy Powiatowego Urzędu Ziemskiego na podstawie spisów, które władze gminne przeprowadziły w poszczególnych wsiach²³. Wykazy gospodarstw wiejskich niepełnowymiarowych przesłał wójt Franciszek

¹⁶ R. Zubkowicz, *Nadleśnictwo Sarnaki. Z dziejów lasów nadbużańskich*, Sarnaki 2016, s. 230.

¹⁷ M. D. Bednarski, *Z dziejów reformy rolnej w Lubelskiem w latach 1944–1946*, „Wschodni Rocznik Humanistyczny” 2004, t. 1, s. 234.

¹⁸ Tamże; R. Zubkowicz, *Nadleśnictwo Sarnaki...*, s. 230–231.

¹⁹ R. Zubkowicz, *Nadleśnictwo Sarnaki...*, s. 229.

²⁰ Tamże.

²¹ Dz. U. 1926 nr 1, poz. 1, *Ustawa z dnia 28 grudnia 1925 r. o wykonaniu reformy rolnej*.

²² Archiwum Państwowe w Siedlcach, Powiatowy Urząd Ziemski w Siedlcach 1944–1947, sygn. 31, k. 108 b.

²³ Tamże, k. 7–108, 109–145.

Pietruczuk²⁴, a spis bezrolnych jego następcą na stanowisku wójta gminy Sarnaki – Jan Nikoniuk²⁵. W przypadku gospodarzy małorolnych odnotowywano obszar ich gospodarstw, wyszczególniając: ziemie orne, łąki, pastwiska, lasy i nieużytki. Rejestrowano również budynki wchodzące w skład gospodarstwa. Podawano jednocześnie stan rodziny oraz liczbę osób pracujących w gospodarstwie z określeniem ich wieku oraz pokrewieństwa²⁶. W zestawieniu włościan objętych programem upelnorolnienia, w zależności od wielkości posiadanego areалу, podzielono na dwie grupy. Do pierwszej z nich zaliczono właścicieli gospodarstw karłowatych, liczących poniżej 2 ha. W drugiej znaleźli się gospodarze małorolni, którzy posiadali areał ziemi mieszczący się w przedziale pomiędzy 2 a 5 ha²⁷.

Na terenie gminy Sarnaki odnotowano 196 gospodarstw karłowatych, których obszar całkowity wynosił 235,17 ha. Na upelnorolnienie ich miano przekazać 744,83 ha. Gospodarstw małorolnych było 298 o łącznej powierzchni 916,99 ha. W tym przypadku na realizację tego celu potrzebowano 573,01 ha. Programem upelnorolnienia planowano objąć 494 gospodarstwa. Na ten cel potrzebowano 1 317,84 ha. W zestawieniu uwzględniono 257 bezrolnych, którym trzeba było zapewnić 1 282 ha. Łączna liczba gospodarzy i bezrolnych zakwalifikowanych do otrzymania ziemi w ramach reformy rolnej wynosiła 751. Realizacja tego zamierzenia wymagała przekazania im 2 602,84 ha²⁸.

Zestawienie ilości ziemi potrzebnej do realizacji reformy rolnej na terenie gminy Sarnaki stanowi jedynie punkt wyjścia do dalszych badań nad zmianą stosunków własnościowych. Reforma rolna zmieniła nie tylko strukturę gospodarczą, ale również społeczną. Proces ten nie przebiegał jednak spokojnie, powodując napięcia na tle politycznym. Świadczą o tym losy dwóch powojennych wójtów, którym przyszło realizować założenia reformy na terenie gminy. Pierwszy z nich, Franciszek Pietruczuk, żołnierz Batalionów Chłopskich, w obawie o swoje życie pod koniec 1944 roku

²⁴ Tamże, k. 108 b.

²⁵ Tamże, k. 108 a.

²⁶ Tamże, k. 7–108, 109–145.

²⁷ Tamże, k. 1–4.

²⁸ Tamże.

zrezygnował ze stanowiska i opuścił teren gminy. Po nim wójtem został Jan Nikoniuk, członek Polskiej Partii Robotniczej, przed wojną działacz Komunistycznej Partii Polski, który z takiego samego powodu po roku złożył dymisję i wyjechał w koszański²⁹, gdzie zamieszkał na stałe. W 1974 roku za swoją długoletnią działalność społeczno-polityczną został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy³⁰.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Państwowe w Siedlcach, Powiatowy Urząd Ziemski w Siedlcach 1944–1947, sygn. 31.

Źródła drukowane

Dz. U. 1926 nr 1, poz. 1, *Ustawa z dnia 28 grudnia 1925 r. o wykonaniu reformy rolnej*.

Dz. U. 1944 nr 15, poz. 82, *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 12 grudnia 1944 r. O przejęciu niektórych lasów na własność Skarbu Państwa*.

Dz. U. 1944 nr 4, poz. 17, *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej*.

Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, „Rocznik Lubelski”, 1959, t. 2. *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej. Opracowany na podstawie wyników pierwszego powszechnego spisu ludności z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych*, t. 4, *Województwo lubelskie*, Warszawa 1924.

Wysokie odznaczenia dla działaczy ruchu robotniczego, „Głos Słupski” z 5 stycznia 1974, nr 5.

Opracowania

Bednarski M. D., *Z dziejów reformy rolnej w Lubelskiem w latach 1944–1946*, „Wschodni Rocznik Humanistyczny” 2004, t. 1.

²⁹ A. Wasilewska, R. Zubkowicz, *Historia i współczesność...*, s. 73.

³⁰ *Wysokie odznaczenia dla działaczy ruchu robotniczego*, „Głos Słupski” z 5 stycznia 1974, nr 5, s. 3.

- Bobryk W., *Struktura wyznaniowa ludności na terenie gmin Hołowczyce i Sarnaki w świetle spisu powszechnego z 1921 roku*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2023, t. 6.
- Heller M., *Historia Imperium Rosyjskiego*, tłum. E. Melech, T. Kaczmarek, Warszawa 2002.
- Jenkins P., *Historia Stanów Zjednoczonych*, tłum. A. Oksiuta, Kraków 2009.
- Kersten K., *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Poznań 1990.
- Leder A., *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014.
- Słabek H., *Dzieje polskiej reformy rolnej 1944–48*, Warszawa 1972.
- Sowa A. L., *Historia polityczna Polski 1944–1991*, Kraków 2011.
- Wasilewska A., Zubkowicz R., *Historia i współczesność Gminy Sarnaki*, Sarnaki [2015].
- Zubkowicz R., *Nadleśnictwo Sarnaki. Z dziejów lasów nadbużańskich*, Sarnaki 2016.

Witold Bobryk – doktor historii, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, nauczyciel w IV Liceum Ogólnokształcącym im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Siedlcach, związany z Instytutem Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy w Białymstoku, członek Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego w Polsce. Zajmuje się historią Kościołów wschodnich w Europie Środkowej, polityką wyznaniową państwa i naukami pomocniczymi historii.

Zapotrzebowanie na ziemię w gminie Sarnaki w celu realizacji reformy rolnej

Miejscowość	Bezrolni		Karlówaci (gospodarstwa do 2 ha)				Małorolni (gospodarstwa od 2 do 5 ha)				Łącznie bezzrolni, karłowaci i małorolni		
	Liczba rodzin	Zapotrzebo- wanie ziemi w ha	Liczba rodzin	Obszar posiadanej ziemi w ha	Zapotrzebo- wanie ziemi w ha	Liczba rodzin	Obszar posiadanej ziemi w ha	Zapotrzebo- wanie ziemi w ha	Liczba rodzin	Obszar posiadanej ziemi w ha	Zapotrzebo- wanie ziemi w ha		
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12		
Binduga	-	-	1	1,50	3,50	6	20,25	9,75	7	21,75	13,25		
Bużka	2	10	5	4,04	20,96	12	39,71	20,29	19	43,75	51,25		
Chlebczyn	2	10	6	6,50	23,50	6	20,82	9,18	14	27,32	42,68		
Chybow	-	-	22	25,80	84,20	12	33,60	26,40	34	59,40	110,60		
Franopol	2	10	10	11,50	38,50	18	48,00	42,00	30	59,50	90,50		
Grzybów	3	15	16	21,83	58,17	24	71,84	48,16	43	93,67	121,33		
Kamianka	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-		
Kisielew	30	150	26	33,40	96,60	62	201,10	108,90	118	234,50	355,50		
Klimczyce	-	-	1	1,00	4,00	1	2,50	2,50	2	3,50	6,50		
Klimczyce Kolonia	5	25	-	-	-	2	7,50	2,50	7	7,50	27,50		
Kózki	29	145	-	-	-	-	-	-	29	-	145		
Lipno	9	45	3	4,56	10,44	8	28,49	11,51	20	33,05	66,95		
Mężenin	9	45	17	22,39	62,61	30	85,55	64,45	56	107,94	172,06		
Mężenin Kolonia	-	-	1	1,50	3,50	9	28,15	16,85	10	29,65	20,35		
Michałów	6	30	2	2	8,00	4	10,30	9,70	12	12,30	47,70		
Mierzvice Kolonia	2	10	4	5,95	14,05	-	-	-	6	5,95	24,05		
Mierzvice Nowe	5	25	6	8,42	21,58	22	62,50	47,50	33	70,92	94,08		
Mierzvice Stare	15	75	8	10,38	29,62	19	64,34	30,66	42	74,72	135,28		
Pisiska-Nowodolniki (obecnie Platerów)	7	35	23	17,42	97,58	2	5,13	4,87	32	22,55	137,45		
Płosków	1	5	5	5,23	19,77	8	24,26	15,74	14	29,49	40,51		
Płosków Kolonia	3	15	8	10,36	29,64	6	17,66	12,34	17	28,02	56,98		
Rozwadów	1	5	-	-	-	1	3,00	2,00	2	3,00	7,00		
Rzewuski	3	15	7	9,90	25,10	8	23,11	16,89	18	33,01	56,99		
Samaki	123	615	19	23,61	71,39	29	89,73	55,27	171	113,34	741,66		
Terlików	-	-	6	7,88	22,12	9	29,45	15,55	15	37,33	37,67		
Razem	257	1285	196	235,17	744,83	298	916,99	573,01	751	1149,16	2602,84		

Podstawa: Archiwum Państwowe w Siedlcach, Powiatowy Urząd Ziemi w Siedlcach 1944–1947, sygn. 31, k. 1–4.

Marcin Urynowicz
IPN Warszawa

„STUDNIA Z KTÓREJ PILIŚMY” – czyli Sarnaki jak Tel Aviv

W kolejnej odsłonie edycji *Księgi Pamięci Sarnak*¹ spisanej przez ocalałych z pożogi II Wojny Światowej lokalnych Żydów prezentowanych jest sześć kolejnych wspomnień², bardzo różnych pod względem rozmiaru i charakteru. Są to: 1) *Studnia z której piliśmy*, Ester Grunowicz (od którego pierwszych słów, zgodnie z tradycją hebrajską, wzięty został też tytuł prezentowanego w tym numerze artykułu); 2) *Kłótnia w miasteczku*, Gitl Plat, 3) *Niecodzienny gość* oraz 4) *Nie da się zapomnieć*, oba autorstwa Arie Tenenbojma 5) *Wielki Jarmark*, Dawid Fajersztejn; 6) *Drobne przedsięwzięcia przemysłowe*, Szraga Zajerman.

Najkrótsze z nich mieszczą się zaledwie na połowie, lub niewiele więcej, strony. Najdłuższy liczy stron osiem. W sumie zajmują 17 stron oryginału (s. 66–69 oraz 80–93). Wyróżnić też można różne ich rodzaje. Od typowo sentymentalnych, które zaliczyć można by do kategorii psychologii społecznej, przez poruszające tematykę historii społecznej i społeczno–politycznej, po zagadnienia typowo gospodarcze, lub jak kto woli społeczno–gospodarcze. Ich wartością, oprócz opisów ogólnych i naświetlenia zjawisk mało lub prawie wcale nieznanymi, jest to, że występuje w nich wiele postaci, z czego większość, jak się wydaje, całkowicie anonimowych w polskiej literaturze historycznej na

¹ *Sefer Zikaron leKehilat Sarnaki*, red. D. Szuwał, Hajfa 1968.

² Wcześniejsze, wszystkie opublikowane w „Roczniku Ziemi Sarnackiej” i tego samego autora co artykuł niniejszy, to: *Żydowska Księga Pamięci Sarnak. Dlaczego warto czytać*, 2021, t. 4, s. 81–100; *Powstanie i rozwój Sarnak według Księgi Pamięci Sarnackich Żydów*, 2022, t. 5, s. 49–76; *Dwa obrazy Sarnak w dwudziestoleciu międzywojennym* z „*Księgi Pamięci Sarnak*”, 2023, t. 6, s. 137–148; „*Sarnaki, moje żydowskie Sarnaki, któż mógłby Ciebie zapomnieć!*” *Dzieciństwo i lata młodości we wspomnieniach Pesacha Perlmana, Ester Grunowicz i Sary Ruwel*, 2024, t. 7, s. 323–346.

temat miasteczka i regionu. Ewentualnie są to postacie znane jedynie pod swymi nazwiskami, notabene czasami nieco inaczej zapisywanymi po polsku i w jidysz, tu zaś występujące pod swymi przydomkami, tak bardzo niegdyś popularnymi wśród ludności żydowskiej i polskiej. Czasami są to osoby, które tylko w ten sposób mają szansę zaistnieć na kartach historii i w pamięci ludzkiej. Któż bowiem słyszałby np. o Hindzie Szkop, której jedyną zasługą było to, że w budynku do niej należącym założono pierwszą nowoczesną piekarnię w Sarnakach? Pytanie tym bardziej zasadne, jeśli uwzględnimy, że nawet nazwisko jej założyciela nie jest znane, bowiem w pamięci wspominającego przetrwał jedynie jego, jakże naturalny w tym wypadku przydomek, „Piekarz”. Albo czy byłaby szansa, by na karty historii trafiła obdarzona niedoskonałym wzrokiem żona właściciela gręplarni, Fajga–Brajncze, której cechą charakterystyczną było to, (jak żartobliwie komentowane jest to w tekście), że w określonych sytuacjach jej wzrok pogarszał się proporcjonalnie do osiągniętych z tego powodu korzyści.

Tekstem ze wspomnianej, pierwszej kategorii, psychologii społecznej, wydaje się być wspomnienie Ester Grunowicz o stojącej na rynku studni. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to dla niej zwykłe miejsce. W jej pamięci otacza je jakiś rodzaj piękna i czaru, tajemniczości i tęsknoty. Spotyka się tam słoneczny dzień i księżycowa noc, upalne lato i mroźna zima, bez troskie dzieciństwo i pierwsze kroki w dorosłość, lata nastoletnie, jak się można domyślać pierwsze, rodzące się uczucia. Studnia i stojąca przy niej pompa, jak sama autorka pisze, pozostały na zawsze w pamięci jej pokolenia „choć mieszkamy teraz w Izraelu”. Kiedy pojawiła się na tamtejszej plaży i zobaczyła dzieci bawiące się w te same zabawy, jakie ona знаła spod sarnackiej studni: „Obrazy dzieciństwa powróciły i przemknęły mi przed oczyma, przypominając przeżycia tych dawno minionych dni”. Siłą jej wyobraźni woda z sarnackiej pompy stała się równoznaczna z morskim żywiołem, zaś zalegający dookoła piasek i błoto z rozgrzaną śródziemnomorską plażą. W ten sposób Sarnaki stały się dla niej symbolicznym odpowiednikiem Tel–Avivu.

W ten sposób piękna, ale jednak peryferyjna z geograficznego punktu widzenia, polska miejscowość, stała się odpowiednikiem jednej z najnowocześniejszych metropolii na świecie, przez wiele lat stolicy nowo powstałego państwa. Trudno o miasto, a tym bardziej miasteczko, włączając w to miejscowości w samym Izraelu i na całym świecie, któremu takie porównanie nie dawałoby powodów do dumy. Czy zatem Sarnaki drugim Tel-Avivem? Kto wie? Może kiedyś? W każdym razie jeśli dziś mieszkaniec Sarnak spotka mieszkańca Tel-Avihu, to nie ma najmniejszych powodów do kompleksów, przeciwnie, zawsze może mu powiedzieć: „Bez nas, nie byłoby i was”. I nie będzie to wyłącznie alegoria, wszak był taki czas, kiedy dźwięk języka polskiego był powszechny, szczególnie wśród elit. Studnia i pompa opisane przez Ester Grunowicz to bez wątpienia jedno z tych miejsc, które, o ile Sarnaki będą miały kiedyś możliwość zadbania należycie o swą historię społeczną, winny zostać odpowiednio upamiętnione.

Idąc dalej tym śladem, do kategorii historii społecznej zaliczyć trzeba tekst Gitl Plat (z domu Jurberg), zamieszkałej po wojnie w Izraelu w miejscowości Krijat Chaim, zatytułowany *Kłótnia w miasteczku*. Jest to krótkie wspomnienie o pojedynczym wydarzeniu, zapamiętanym, jak wszystko na to wskazuje, z perspektywy dziecka, a dotyczącym przybycia pewnego, nie wymienionego z imienia ani nazwiska, nauczyciela religijnego. Żydowska społeczność Sarnak podzieliła się wówczas na dwa przeciwne sobie obozy: tych, którzy chcieli, aby człowiek ów pozostał oraz tych, którzy się temu sprzeciwiali. Spór ten, z pozoru dziwny, bo co komu zależy, czy jedna zaledwie osoba pozostanie w miejscowości czy nie, łatwiej zrozumieć, o ile weźmie się pod uwagę jego, nie od razu widoczny, wymierny kontekst finansowy. Jak się bowiem okazuje, nie chodziło o samą, świeżo przybyłą, postać, ale o funkcję publiczną, jaką miałyby pełnić. Chodziło o kogoś, kogo umownie nazwalibyśmy „podrabinem”, pomocnikiem rabina lub też „rabinem od spraw podstawowych”. Wiązało się to rzecz jasna z zatrudnieniem takiej osoby przez Gminę Żydowską, a co za tym idzie, oczywistym podniesieniem składki gminnej, jaką należało płacić. Co ciekawe, antagonizm w tej sprawie rozkładał

się w znacznej mierze wedle płci. Kobiety, jako bardziej praktyczne w zakresie gospodarstwa domowego, okazywały się być częściej przeciwnie pozostaniu tegoż nauczyciela, z kolei mężczyźni, jako bardziej zainteresowani kwestiami religijnymi, częściej popierali jego pozostanie.

Ostatecznie sprawa rozwiązała się poniekąd sama z uwagi na pożar, jaki strawił znaczną część miasteczka w roku 1927, co (tu przyczynek do badań kulturowo–antropologicznych) zgodnie uznano za karę zesłaną z niebios za kłótnię w tej kwestii. W tej sytuacji nie było już nie tylko atmosfery do zatrudniania nowego pracownika Gminy Żydowskiej, ale przede wszystkim środków finansowych, które trzeba było teraz skierować na pomoc pogorzelcom i odbudowę infrastruktury.

Powyższy tekst, poza wszystkim innym, pokazuje też, że jakkolwiek w literaturze wspomnieniowej silna jest tendencja do idealizowania przeszłości, a co za tym idzie także miejsc i ludzi z nią związanych, to jednak w rzeczywistości nie brakowało też problemów, szczególnie tych związanych z życiem codziennym, a jeszcze bardziej sytuacjami nadzwyczajnymi. Świetnie z tym korelują dwa kolejne teksty, oba autorstwa Arie Tenenbojma, *Niecodzienny gość* oraz *Nie da się zapomnieć*. Ten pierwszy, podobnie jak wspomnienie Gitl Plat, mówi o przybyciu do Sarnak nieznanego. Inny jednak jest czas i okoliczności. Rzecz dzieje się blisko 10 lat wcześniej, tuż po zakończeniu I wojny światowej i w pierwszym okresie odzyskania przez Polskę niepodległości. Nieznajomy też tym różni się od swego następcy, że nie zamierza zostać w Sarnakach. Przeciwnie. Jako zadeklarowany syjonista chce wrócić do Palestyny, gdzie zdążył już wcześniej wyemigrować i zamieszkać, ale jako poddany rosyjski został deportowany przez władze tureckie i przesłany do Niemiec, skąd przedostał się do kraju urodzenia, Polski. Podobnie jednak jak w poprzednim wypadku, znika on z Sarnak w gwałtownych okolicznościach. Otóż na początku czerwca 1919 roku (najprawdopodobniej 5 czerwca, w czwartek wieczorem) odbyło się spotkanie poświęcone dyskusji o Palestynie, w którym brał on udział i które zakończyło się interwencją jakiejś formacji wojskowej polskiej (w tekście nazywanej żandarmerią). Jak to się wówczas, w sytuacji wojennej, często zdarzało, każde nielegalne

zgromadzenie nieznane władzom wojskowym traktowane było jako podejrzane lub wrogie. W efekcie kilka osób aresztowano, a pozostali ratowali się ucieczką gdzie kto mógł, w tym także gość spotkania, który najprawdopodobniej kontynuował swój powrót na wschód, w stronę Palestyny, bo do miasteczka już nie wrócił.

Wątek wojenny, choć tym razem ograniczony już do samej społeczności żydowskiej, pojawia się także w drugim wspomnieniu Arie Tenenbojma. Jego treść jest przede wszystkim sentymalna, podobna w tonie do tego, co pisała Sara Ruwel (*Młode lata*)³, ale tym razem akcja rozgrywa się 20 lat później, po ataku niemieckim i rosyjskim na Polskę we wrześniu, lub co bardziej prawdopodobne już po zakończeniu działań wojennych, w październiku 1939. Przerażona wydarzeniami społeczność żydowska, znowu podobnie jak we wspomnieniu Gitl Plat, dzieli się na dwa zwalczające się obozy. Teraz nie chodzi jednak o tę czy inną, obcą, jednostkę, ale o całą, własną, społeczność. Jedni twierdzili, że trzeba natychmiast uciekać na stronę sowiecką, drudzy zaś oponowali i obstawali przy pozostaniu wszystkich na miejscu. Namiętność sporu, o co jakże łatwo w obliczu grozy okupacji hitlerowskiej, doprowadziła nieomal do rozwiązań siłowych. Ta część, która optowała za pozostaniem, próbowała siłą powstrzymać uciekających. Co dokładnie się działo i jakie przybrało to oblicze nie wiadomo, autor konstatuje jedynie: „(...) obóz, który był za pozostaniem na miejscu, stał się agresywny i siłą chciał przeszkodzić drugiemu obozowi opuszczać miasteczko. Na szczęście jednak, mimo ich wysiłku ten plan się nie powiódł”. Jest to notabene zupełnie nieznany epizod roku 1939, o którym, jak się wydaje, autor wspomniał dość przypadkowo.

Wspomniany wyżej „epizod” wojenny to nie jedyny, jak się wydaje, szczegół wspomniany tylko niejako przy okazji przez tegoż autora. Innym, o jakim pewnie każdy Sarnaczanin wie lub którego może nawet doświadczył na własnej skórze, jest ten związany z rodzinnym miasteczkiem. Chodzi tu konkretnie o pytanie „Skąd jesteś?” i decyzja, co na to odpowiedzieć!

³ Zob. M. Urynowicz, *Sarnaki, moje żydowskie Sarnaki*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2024, t. 7, s. 344–345.

Autor pisze następująco: „Kiedy ktoś pyta mnie skąd pochodzę, zaczynam się jąkać: – No..., z Siedlec! ... Lub też mówię: – Z Siemiatycz, koło Buga. No bo jak tu teraz zaczynać wyjaśniać, że pochodzę z małego jak wioska miasteczka, które zwie się Sarnaki!”. Nie brzmi znajomo? Przypuszczać można, że i mieszkańcy większych aniżeli Sarnaki miejscowości miewali podobne dylematy. Jak widać problem ponadczasowy, niezależny od sytuacji, pochodzenia czy wyznania Sarnaczanina.

Dwa ostatnie teksty, jakkolwiek poruszają kwestie społeczne i także mają tendencję do upiększania przeszłości to jednak koncentrują się głównie na trudnej rzeczywistości ekonomicznej okresu międzywojennego. Pierwszy, Daniela Fajerszteina, opowiada o dorocznym jarmarku w Sarnakach, który gromadził sprzedawców, mniejszych i większych, z całej okolicy, a nawet regionu. Było to duże, choć jednorazowe, wydarzenie w życiu miasteczka. Stanowiło z jednej strony istny przegląd handlu i rękodziela całej „ziemi sarnackiej”, dający impuls do wymiany towarowej i możliwość nabycia długo poszukiwanych, lub po prostu tańszych, produktów, dla wszystkich biorących w nim udział. Z drugiej zaś dawało bez wątpienia znaczący zastrzyk gotówki przeciętnym mieszkańcom osady (nie tylko tym prowadzącym na co dzień działalność gospodarczą), którzy na różne sposoby starali się na tym wydarzeniu zarobić, chociażby poprzez oferowanie gościom swoich wypieków czy innych dóbr, na które mieli nadzieję znaleźć chętnych.

Prócz wymiaru czysto ekonomicznego tak duże wydarzenie miało zarazem swoje oblicze społeczne i kulturowe, co zresztą znalazło swoje odzwierciedlenie w tym, co pisze autor. Uwydatnia to bowiem forma wspomnień składająca się na różnego rodzaju scenki, z których każda to szansa na rozwinięcie tematu, swoisty obrazek do namalowania, a może i kiedyś, z uwagi na plastyczny opis postaci i akcji, nawet do przedstawienia w formie filmu. Czytelnik sam się o tym przekona podczas lektury.

Upředzając zarazem pytania i zdziwienie, należy się tu wytłumaczenie, dlaczego treść wspomnień Fajerszteina pojawia się w niniejszym numerze mimo, że tekst ten gościł już na łamach „Rocznika Ziemi

Sarnackiej”⁴. Otóż zasadniczym motywem było to, że pierwotna publikacja była tłumaczeniem z angielskiego oryginału spisane w jidysz. Innymi słowy, najpierw tekst przetłumaczono z jidysz na angielski, a dopiero potem z angielskiego na polski. Oba te tłumaczenia były bardzo dobre, nie ma co do tego wątpliwości. Tym niemniej każde dodatkowe tłumaczenie stanowi pewnego rodzaju interpretacyjne zniekształcenie. Nie jest to bynajmniej wina tłumacza. Jak wiadomo bowiem, w każdym języku pewne pojęcia lub choćby nazwy przedmiotów można wyrażać na różne sposoby, czasami zupełnie unikalne lub też dające w kolejnym języku możliwość wyboru kilku kolejnych nazw, definicji, wyrażań, co wcześniej czy później skutkuje odbiegnięciem od tego, co w oryginale. Tutaj zaś obok filtru języka angielskiego wpływ mógł mieć także ojczysty język tłumaczki (hiszpański). Ponadto tłumaczenia wymuszają swoiste skróty myślowe lub przeciwnie, rozwinięcia, dające w kolejnym przekładzie pole do jeszcze innej interpretacji. Wszelkie więc zaistniałe tutaj rozbieżności z oryginałem są jak najbardziej zrozumiałe i być może w innych przypadkach nie odczuwano by takiej potrzeby powrotu do oryginału, ale to nie jest ten przypadek. Chodzi bowiem o dość szczególną sytuację, w której pomimo odmienności kulturowej Polaków i Żydów, nie mówimy tutaj o dwóch ludach żyjących w odmiennych państwach i posługujących się dwoma, nie mającymi żadnych powiązań językami. Przeciwnie. Rzecz dzieje się w Polsce, Polacy i Żydzi, chcąc nie chcąc czerpią do pewnego stopnia ze wspólnego źródła, a niektóre nazwy, definicje i pojęcia są podobne lub wręcz identyczne. Ponadto, język polski i żydowski, jakkolwiek na zewnątrz sprawiający wrażenie dwóch odrębnych światów, posiadają unikalną, intymną więź. To wszystko powoduje, że niezwykle ciężko się pogodzić z dodatkowym, obcym filtrem, w tym wypadku angielskim, który w niczym nie pomaga, a jedynie zaciemnia obraz znany i swojski. Uważny czytelnik znajdzie całą masę różnego rodzaju, niezawinionych, bo wynikających jedynie z pośrednictwa językowego,

⁴ Zob. Daniel Feiersztein, *Wielki jarmark*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2020, t. 3, s. 163–172.

delikatnych zniekształceń i szybko zda sobie sprawę, jak ważny był powrót do oryginału⁵.

Drugi tekst gospodarczy, ostatni w tym zestawieniu, to pod niektórymi względami najistotniejsze wspomnienie niniejszego artykułu. Stanowi on bowiem formę kalejdoskopowego przeglądu po niektórych przedsiębiorstwach drobnego i średniego rozmiaru, jakie zdaniem Szragi Zejermana, autora wspomnień, stanowiły niejako koło zamachowe gospodarki Sarnak. W pierwszej kolejności mówi o sarnackich młynach, opisując jednak tylko dwa z nich, Ezriela [Azriela] Rozenbauma i Jankiela Sztajnberga [Szteinberga]. Wspomina zarazem o trzech widzianych patrząc od zachodniej części miasta, których szczyty tworzyły charakterystyczną dla Sarnak linię, z czego jeden zlokalizowany był już w sąsiedniej wiosce, Chybowie⁶. Następnie opisuje bodaj najbardziej znane przedsiębiorstwo sarnackie, czyli lokalny browar, a właściwie nie tyle sam browar, co jego znaczenie dla dziesiątek rodzin żydowskich, które dzięki niemu miały swoje utrzymanie. Jak z opisu wynika, chrześcijańskiego właściciela browaru łączyły ze społecznością żydowską nie tylko znakomite relacje gospodarcze, na których obie strony korzystały, ale także głęboka życzliwość wyrażająca się w prywatnych pożyczkach właściciela dla swoich żydowskich pracowników i kontrahentów. Co warto podkreślić, ale co też trudno zweryfikować, Józef Szummer, właściciel browaru, miał zatrudniać wyłącznie Żydów, dzięki czemu kilkadziesiąt rodzin miało zapewniony stały, całoroczny dochód.

Było to dobrodziejstwo, bowiem nie wszystkie przedsiębiorstwa, jak podkreśla Szraga Zajerman, mogły to samo zaoferować swoim pracownikom,

⁵ Jest to tym bardziej uzasadnione, że tekst ten, za niedługo, czytać będą zapewne kolejne pokolenia, które nie będą już znały rzeczywistości związanej z tradycyjnym życiem na wsi i w małym miasteczku. Zmiany cywilizacyjne zachodzą tak szybko, że prawdopodobnie to, co dla obecnych czytelników będzie się wydawało jeszcze oczywiste i znajome, dla ich dzieci i wnuków będzie już niezrozumiałe i będzie wymagało sprawdzenia w jakimś źródle. Wówczas kwestia precyzji języka może mieć kluczowe znaczenie. Korygujemy więc ten tekst nie tylko dla siebie, ale też dla ułatwienia pracy tym, którzy przyjdą po nas.

⁶ Jak te dwa opisywane mają się do owych trzech, nie jest wyjaśnione. Wedle monografii Sarnak młynów w samym miasteczku i okolicy było znacznie więcej. Por. A. Wasilewska, R. Zubkiewicz, *Historia i współczesność Gminy Sarnaki*, Sarnaki 2015, s. 25.

a nawet właścicielom. Przykładem olejarnie i gręplarnie. Opisuje on cztery olejarnie, z których tylko dwie były całoroczne. Wspomina też ich właścicieli. Pierwsza i największa mieściła się na rynku, działała cały rok, a jej właścicielem był Mosze Olejarnik⁷. Druga należała do Mosze Zilbermana i działała jedynie w sezonie. Trzecia powstała w roku 1920, funkcjonowała cały rok, a jej właścicielem był Dawid Apelbaum⁸. Czwarta z kolei mieściła się w młynie Rozenbauma i, co ciekawe, choć była najnowocześniejsza, to właśnie z tego powodu nie odniosła sukcesu. Dlaczego? O tym czytelnik dowie się już z lektury artykułu.

Podobnie było z gręplarniami⁹, czyli miejscami, gdzie dokonywano wstępnego oczyszczenia i rozczesania wełny owiec (niegdyś bardzo popularnych na wsi jako podstawowe źródło wełny), tak by była ona gotowa do przędzenia (co jeszcze 100 lat temu odbywało się głównie w domach). Takowe istniały w Sarnakach trzy, z czego tylko jedna była całoroczna. „Główna gręplarnia” funkcjonowała u Avrahama Mordechaja Kite¹⁰ i to ona działała przez cały, lub prawie cały, rok. Swe powodzenie zawdzięczała przede wszystkim swemu położeniu (na rynku) oraz udogodnieniom dla klientów, w tym dużemu placowi, gdzie można było zajeżdżać furmanką z towarem, a w czasie oczekiwania na wykonanie usługi (na ogół było tam zawsze kilka osób) pójść, zaopatrzyć się w miejskich sklepikach. Dwie pozostałe funkcjonowały jedynie w sezonie, a więc głównie jesienią i zimą. Jedna położona była „na drodze, którą idzie się do pociągu” (w kierunku Platerowa) i należała do Szmula Kalmana Melameda¹¹, zaś druga na jakiejś „wąziutkiej uliczce” nie wymienionej z nazwy, u Szimona

⁷ Jak wszystko na to wskazuje, był to Mosze Brukman, bowiem „Olejarnik” bez wątpienia jest tutaj przydomkiem a nie rzeczywistym nazwiskiem tej osoby. Por. Tamże, s. 20.

⁸ Tożsamy zapewne z „Epelbaumem”. Por. Tamże, s. 99.

⁹ Słowo „gręplarnia, gręplowanie” pochodzi najprawdopodobniej od niemieckiego „krepeln”, a jego polskim odpowiednikiem jest „zgrzeblanie”, czyli inaczej proces rozczesywania.

¹⁰ Także tutaj wygląda na to, że mamy do czynienia z przydomkiem, a nie nazwiskiem. Co jednak owo „Kite” miałoby dokładnie oznaczać, nie wiadomo. Jeśli miałoby się wywodzić z hebrajskiego, co jest jak najbardziej prawdopodobnie, to wówczas wskazywałoby na osobę o jakimś stopniu kalectwa, poddaną amputacji, a więc byłby to inwalida np. bez ręki, nogi itp.

¹¹ Melamed – nauczyciel, także więc to jest najprawdopodobniej przydomkiem, a nie rzeczywistym nazwiskiem tej osoby.

stolarza, o przydomku „Sos”. W obu nie było miejsca, by przystanąć furą i w obu nadzorem nad maszynami do gręplowania zajmowały się głównie żony właścicieli.

Najwięcej wśród drobnych przedsiębiorstw wymienianych przez Szrage Zajermana było piekarni. Na początku XX wieku, jeszcze przed I wojną światową, nalicza on osiem takich zakładów, aczkolwiek w większości prymitywnych, działających starymi, domowymi metodami. Dopiero pojawienie się pewnego przybysza, zwanego Perecem Piekarzem¹² wymusiło zmiany. Założył on bowiem tzw. niemiecką piekarnię, która stała się niezwykle popularna wśród mieszkańców Sarnak, głównie z powodu kajerek, w których wszyscy się rozsmakowali. Inne piekarnie musiały się dostosować do nowych oczekiwań klientów lub upadały. Spośród tych, które sobie poradziły, były m.in. piekarnie Falika Morgenszterna i Mendla Zajermana. W efekcie liczba piekarni, jak się wydaje, uległa zmniejszeniu. Pod koniec lat dwudziestych funkcjonowało ich zapewne jedynie pięć¹³.

Powyższe teksty, wraz z tymi, które opublikowano w numerze ostatnim („Rocznik Ziemi Sarnackiej” t. 7), składają się na rozdział drugi *Księgi Pamięci Sarnak* zatytułowany „Styl życia”¹⁴. Stanowi to zarazem naturalne przejście do części kolejnej, omawiającej przedwojenne życie instytucjonalne i polityczne, z którym, miejmy nadzieję, czytelnik zapozna się w kolejnych numerach. Tym samym, w przybliżeniu, przetłumaczono i opublikowano już 1/4 całej *Księgi Pamięci*. Wyjątkiem są jedynie teksty o charakterze typowo literackim, wiersze i opowiadania, które z uwagi na to, że stanowią, choć czasami jak najbardziej opartą na faktach, ale jednak, fikcję literacką, wyłączono z dotychczasowych prac translatorskich. Na zaprezentowanie tej sfery twórczości sarnackich Żydów i zarazem fragmentu *Księgi Pamięci*, przyjdzie jeszcze czas.

¹² Tak więc po raz kolejny poznajemy jedynie imię „Perec” oraz przydomek „Piekarz”.

¹³ Zob. A. Wasilewska, R. Zubkowicz, dz. cyt., s. 25.

¹⁴ Pierwszym rozdziałem był, także z nazwy, „Rozdział wprowadzający” (s. 15–40).

Estera Grunowicz, z domu Munczaż¹⁵

STUDNIA Z KTÓREJ PILIŚMY

Kilka metrów od naszego domu mieściła się studnia¹⁶ (der plomp [pompa, jid. MU]), pokryta nieheblowanymi deskami. Na jej końcu widniała pompa – kawał metalu zwieńczony na górze ostrą czapą, nieco jak kapelusz, który obsadzony był na [ruchomej] osi. Pompa ta miała ramię zakończone kulą o rozmiarze zbliżonym do głowy dziecka, które pompowało wodę z głębin studni.

Większość Żydów korzystało z tejże studni, bowiem mieściła się ona w centrum miasteczka, a więc tam, gdzie mieszkali.

Nieraz w przeddzień świąt Pesach roznosiła się po mieście plotka, że Polacy wrzucali do wody resztki chleba. Aby więc być pewnym, że woda jest zdatna do picia, korzystano wtedy tylko z tej pompy jako jedynej posiadającej zamknięte wieko¹⁷.

Latem w okolicy studni [z powodu pompowanej i noszonej wody] gromadziły się kałuże wodne, a jako że ulice nie były utwardzone, ziemia w pobliżu stawała się błotnista. Dla nas dzieci było to świetne miejsce do zabawy, gdzie przy użyciu wszelakiego rodzaju sprzętu wynoszonego z domu budowaliśmy wieże i domy oraz piekliśmy ciastka z piasku. Bawiliśmy się tam rzecz jasna na bosaka.

¹⁵ Niewykluczone, że nazwisko „Munczaż”, wymawiane w oryginale bardziej jak „Mynczaż” pochodzi od słowa „mincerz” (niem. Münzer), oznaczającego rzemieślnika wyrabiającego monety. W arkuszach ocen miejscowej szkoły powszechnej odnotowanych jest 14 uczniów o nazwisku „Moncarz”, a w wykazie mieszkańców gminy 29 osób o tym nazwisku.

¹⁶ Studnia znajdowała się w rynku, od obecnej ul. Kolejowej. Wybudowana w 1825 r.

¹⁷ W czasie świąt Pesach (przypadających na ogół w okolicy chrześcijańskiej Wielkanocy) w tradycji żydowskiej nie wolno jeść ani korzystać z wszystkiego, co posiada w sobie zakwas, a więc przede wszystkim chleba. Stąd taka reakcja społeczności. Notabene, biorąc pod uwagę proporcje demograficzne w Sarnakach oraz niewielką orientację Polaków w religii i zwyczajach żydowskich, owa plotka wydaje się bardziej odzwierciedlać różnego rodzaju stereotypy w postrzeganiu Polaków przez Żydów, aniżeli zachowanie tych ostatnich. Nie można też wykluczyć zwykłych żartów i psot ze strony tych członków społeczności żydowskiej, którzy czy to dla zabawy, czy to dla odciążenia swoich lokalnych, niewielkich studzien w okresie przedświątecznym, kiedy zużywano więcej niż zwykle wody, rozpuszczali specjalnie tego rodzaju pogłoski.

W czasie zachodu słońca metal [pompy] przybierał fioletowy kolor. [Już po zmroku] w pogodną noc, kiedy księżyc spokojnie unosił się na niebie, jego kolor był szary i był widoczny z daleka [stanowiąc punkt orientacyjny dla idących]. Inaczej jednak sprawa się przedstawiała w pochmurne [bezksiężycowe] noce, wówczas musieliśmy drogi szukać niemal po omacku. Pamiętam, że często, kiedy słyszeliśmy kogoś przy studni [już po zmroku], otwieraliśmy drzwi, by smugi światła wyszły na zewnątrz i w ten sposób pomagaliśmy osobie czerpiącej wodę.

Gdy świt zaczynał rozjaśniać niebo, przy studni zjawiali się mężczyźni przychodzący po wodę dla swoich żon. Byli to ludzie bogobojni, spieszący się na modlitwę, a potem do pracy. Niektórzy przychodzili z jednym wiadrzem, inni z dwoma wiszącymi na końcach drąga [zakładanego na barki]. Dwaj nosiciele wody, Berele i Beinisch, dostarczali wodę do domów osób zamożnych.

Zupełnie inaczej rzecz przedstawiała się zimą. Miasto pokryte było puchem śniegu, ramię studziennej pompy owinięte było białym [śniežno-lodowym] szalem zaś górujące nad nim kapeluszowate zwieńczenie wyglądało niczym peruka. W mroźne noce, kiedy mieszkańcy odpoczywali zawinięci w kołdry, pompa zamarzała i z rana nie dawało się pompować wody. Ludzie jednak znali tajemnicę. Jeden z sąsiadów zagotował wodę i polewał wrzątkiem kapeluszowatą „czapę” topiąc lód. Pompa się rozgrzała i woda znów zaczęła płynąć.

W takie zimowe dni woda wokół studni zamarzała, a ludzie smagani wiatrem szli przebiegającą obok ścieżką, stąpając ostrożnie jakby chodzili po linie, bo każdy nieostrożny krok mógł skutkować utratą równowagi. Kiedy jednak minęli ten niebezpieczny teren, szli już po miękkim śnieżnym dywanie. Zdarzały się mimo to jednak przypadki, że ludzie poślizgnęli się na lodzie, upadali na ziemię, a woda z wiader rozlewała się na nich. Niektórzy nawet łamali rękę lub nogę. Kiedy byliśmy dziećmi, takie wypadki wydawały się nam śmieszne. Kiedy jednak dorośliśmy, czuliśmy inaczej i było nam przykro, gdy coś takiego miało miejsce.

Wraz z początkiem wiosny śnieg stopniał, a na pompie pozostały tylko krople wody błyszczące w słońcu. Wokół studni widać było błoto.

Wieczorami, kiedy wracaliśmy po spacerze do domów, zawsze zatrzymywaliśmy się przy tej pompie – tak by się napić, jak też by jeszcze trochę porozmawiać. Szczególnie kiedy my, chłopcy i dziewczęta, zaczęliśmy spacerować razem. Bardzo wtedy pokochaliśmy to miejsce. Tam w naszych głowach przewijały się nasze dziecięce marzenia. Tylko pompa znała nasze najgłębsze sekrety i nigdy ich nikomu nie wyjawiała.

Od tamtego czasu upłynęło już dużo wody. Studnia nadal znajduje się w tym samym miejscu. Jednakże Żydzi nie piją już z niej wody, w pobliżu nie bawią się żydowskie dzieci, młody Żyd nie ślizga się na lodzie, a ręka żydowska nie trzyma pompy, zmrożonej lodem zimą i rozgrzanej słońcem latem. Czuję teraz [z daleka], nawet bardziej aniżeli wówczas, naturalne piękno tego miejsca.

Studnia ta [i pompa], choć mieszkamy teraz w Izraelu, pozostaje wryta w naszej pamięci. Kiedy pierwszy raz spacerowałam plażą w Tel-Awivie, widziałam dzieci bawiące się na piasku w te same zabawy, w które my bawiliśmy się przy studni w naszym mieście. Obrazy dzieciństwa powróciły i przemknęły mi przed oczyma, przypominając przeżycia tych dawno minionych dni.

Gitl Plat (Jurberg) (Krijat Chaim)

KLÓTNIA W MIASTECZKU

Kiedy na myśl przychodzi nasze rodzinne miasteczko Sarnaki, przypominam sobie owe kłótnie, jakie miały miejsce w niemalże każdym domu odnośnie pewnego podrabina¹⁸, który skądś przybył i chciał się tutaj osiedlić.

Kłótnie owe polegały na tym, że część gospodarzy chciała, aby ów podrabin pozostał w miasteczku, podczas gdy pozostała część uważała, że

¹⁸ Nie chodzi o „podrabina” w sensie formalnego urzędu, ale wspomnianego już wcześniej tytułu „mojre-hojroe”, czyli kogoś kto w prostszych sprawach i nauce mógł zastępować rabina, ale nim nie był.

jeden rabin w zupełności wystarczy. Kłócono się o to w prawie każdym domu. Dzieci z własnymi rodzicami się spierały, a żony kłóciły się z mężami. Kobiety utrzymywały, że nawet jednego rabina w miasteczku ciężko jest utrzymać, bo wśród mieszkańców więcej jest żebraków niż bogaczy.

W Bejt–HaMidraszu miały miejsce takie kłótnie i krzyki, że można było myśleć, że tam toczy się prawdziwa bójka.

Ów podrabin zamieszkiwał u mojego stryjka Josła Nuskesa. Nawet u nas w domu, moja matka, Gisze–Leja, zwykła powtarzać mojemu ojcu, Fajwłowi Nuskes, aby nie mieszał się w sprawy gminy żydowskiej, bowiem moja matka była za tym, aby ów podrabin pozostał w miasteczku.

Kłótnie te trwały aż do wybuchu pożaru w roku 1927¹⁹, po którym podrabin wyjechał z Sarnak. Pożar ten kojarzono bowiem z tą kłótnią wierząc, że to kara od Boga, i że to przez ten brak zgody prawie połowa Sarnak spłonęła.

Arie Tenenbojm (Ramat–Gan)

NIECODZIENNY GOŚĆ

Niczym wędkarz, który zapuszcza wędkę w morzu, by złapać złotą rybkę, próbuję wyłowić z morza zapomnienia złote epizody. I jakże słodkie one były, owe epizody, owe wydarzenia i lata, które przeminęły i nigdy już nie wrócą!

O jednym takim epizodzie chcę tutaj opowiedzieć.

Lato 1919, po zakończeniu wielkiej wojny światowej i po rozpoczęciu mniejszej wojny polsko–bolszewickiej. Wędrowały wówczas przez kraj masy ludzkie pozbawione dotychczasowych domów, oberwanych, bosych, rodzimych koczowników. Nasz miejscowy Bejt–HaMidrasz zawsze [wówczas] był wypełniony różnego rodzaju biedakami, a my,

¹⁹ Pożar, o którym mowa, wybuchł w sierpniu 1927 r. Czytamy o nim m.in. w opracowaniu J. Makaruka, *Sarnaki w b. powiecie konstantynowskim*, Sarnaki 2004.

chłopcy z chederu, staraliśmy się im pomóc czym mogliśmy, tak by mieli choć kilka groszy czy coś do jedzenia. Pewnego razu, a był to tydzień Szawuot²⁰, dostrzegliśmy naszym chłopięcym zmysłem, że między zgromadzonymi w Bajt–HaMidrasz biedakami jest jeden, który choć w szmatach i strzępach, bosi i na pół goły, z niesamowitym zarostem i szramą na czole – to jednak można odnośnie niego wyczuć coś dziwnego, coś co odróżniało go od wszystkich pozostałych. Z twarzy, otoczonej dziko zarośniętą brodą, uśmiechała się para czarnych, skrzących oczu.

My chłopcy szybko dowiedzieliśmy się nielicznych szczegółów o tej osobie. Był to młody człowiek z miasteczka pod Warszawą, który w Polsce uczęszczał do szkoły rolniczej i jeszcze przed pierwszą wojną światową wyjechał do Palestyny, pracując w Riszon LeCijon²¹ przy produkcji wina. Po wybuchu wojny został on, jako obywatel rosyjski, deportowany przez władze tureckie i wylądował ostatecznie, jako jeńiec wojenny, w Niemczech. Kiedy pracował w Niemczech, w kopalni węgla, spadł mu na głowę kawałek węgla i stąd ta szrama na czole.

Zaraz o tym niezwykłym międzynarodowym wędrowcu dowiedzieli się miejscowi syjoniści. Syn rabina (który wkrótce zginął z rąk polskich żołnierzy), jedyny na ten czas w miasteczku, który swobodnie mówił po hebrajsku (w najdrobniejszym szczególe²²), już nie odstąpił od niego i stale prowadził z nim długie rozmowy, którym my, chłopcy z chederu, przysłuchiwaaliśmy się z wielkim zainteresowaniem. Niewiele z tego rozumieliśmy, ale przecież wiedzieliśmy, że rozmowa toczy się o Ziemi Izraela.

Młodzież syjonistyczna postanowiła wykorzystać obecność tegoż gościa z Ziemi Izraela, który notabene zadeklarował, że bez przerwy

²⁰ Szawuot – święto w tradycji żydowskiej, tzw. Święto Tygodni (Chag HaShavuot), zwane popularnie „Żydowskimi Zielonymi Świątkami”, rozpoczynające się 50 dni po święcie Pesach (tzw. Żydowska Wielkanoc). Rozpoczyna się 6 dnia miesiąca Siwan, przypadającego na maj i/lub czerwiec kalendarza gregoriańskiego.

²¹ Miasto w Izraelu założone w roku 1882, położone ok. 8 kilometrów na południe od Tel–Avivu i stanowiące czwarte co do wielkości miasto w państwie (rok 2017, liczba ludności ok. 260 tys.).

²² W oryginale mowa o znakach diakrytycznych, które pomagają znać właściwą wymowę danego słowa. Ich znajomość to poziom nie tylko mówcy, ale wręcz eksperta językowego.

myśli o wyrwaniu się na wschód, a jego jedynym celem jest ponowne dotarcie do brzegów Syjonu. Na zakończenie świąt Szawuot zorganizowali spotkanie wieczorne, tak by mógł na nim wystąpić ich gość. Miał to być wieczór poświęcony dyskusji, z prawem do zabrania głosu także przez przeciwników [idei syjonistycznej]. My chłopcy wiele pomagaliśmy przy organizacji tego spotkania.

Na zakończenie świąt Szawuot sala „Związku Syjonistów” była już jasno oświetlona. Przyszli nie tylko syjoniści, ale także ich przeciwnicy. Po radosnym wystąpieniu gościa – którego ciężko było poznać, ponieważ ogolony i ubrany w ludzkie odzienie wyglądał całkiem inaczej – rozwinęła się długa dyskusja, w której udział wzięli także miejscowi bundyści, dla których Ziemia Izraela była trefna, jak dla religijnych Żydów – wieprzowina. Dyskusja się przeciągnęła do późnych godzin po północy i dalej by się tak ciągnęła, gdyby nie nagły krzyk: „Żandarmi!”.

Nastąpiło duże zamieszanie. Uciekano przez drzwi, wyskakiwano przez okna. Naszemu przemienionemu gościowi, któremu groziłyby całkiem poważne konsekwencje na wypadek schwytania, udało się zniknąć. Nazajutrz wcześniej rano opuścił miasteczko, zapewne w kierunku na wschód.

Jednakże żandarmi, pod których wyłączną władzę poddane było nasze miasteczko, zatrzymali i aresztowali grupę syjonistów. Były to pierwsze godziny polskiej niepodległości, czas owianych smutkiem Hallerczyków²³, znanych z wydarzeń w Pińsku²⁴, czas obcinania żydowskich bród wraz

²³ Nazwa od gen. Józefa Hallera (1873–1960), dowódcy tej formacji, zwanej także „Błękitną Armią” od koloru mundurów. Była formacją tworzoną we Francji od roku 1917 i uznana za samodzielną, sojuszniczą, armię polską. Żołnierze wywodzili się głównie spośród jeńców zbiegłych z armii austriackiej i niemieckiej oraz z polonii amerykańskiej. Przybyła do Polski wiosną 1919 roku i odegrała znaczącą rolę w walkach o niepodległość II RP. Znana była ze swych narodowych, nacjonalistycznych poglądów oraz antysemityzmu zaczerpnięto głównie z ideologii bardzo wówczas rozpowszechnionej w Europie Zachodniej oraz w USA.

²⁴ Chodzi o rozstrzelanie 35 osób, uczestników spotkania, najprawdopodobniej mającego zezwolenie (konieczne z uwagi na zakaz zgromadzeń w czasie wojny), o czym nie wiedzieli żołnierze, którzy tej zbrodni dokonali podejrzewając, że chodzi o osoby wspierające armię bolszewicką. Tak czy inaczej nie uczyniono tego, co konieczne aby zorientować się co do charakteru zgromadzenia i wyrok śmierci wydano niesłusznie. Miało to miejsce 5 kwietnia 1919 roku. Odbiło się szerokim echem w prasie zachodniej i spowodowało wysłanie do Polski specjalnych komisji mających za zadanie badanie takich wypadków. Najbardziej znanym

z kawałkami skóry. Naszym syjonistycznym młodzieńcom, których chciano już wysłać do twierdzy w Brześciu²⁵, groziły bardzo poważne konsekwencje, a może nawet śmierć. Z wielkim wysiłkiem i za okupem ledwie udało się wyrwać ich z wilczych łap.

Arie Tenenbojm

NIE DA SIĘ ZAPOMNIEĆ

Kiedy ktoś pyta mnie, skąd pochodzę, zaczynam się jąkać: – No..., z Siedlec! ... Lub też mówię: – Z Siemiatycz, niedaleko Buga.

No bo jak tu teraz zaczynać wyjaśniać, że pochodzę z małego jak wioska miasteczka, które zwie się Sarnaki!

A przecież było to miasteczko takie samo jak inne: z synagogą, z Bejt-HaMidrasz, z wieloma chasydzkimi sztibłami, z rabinem, z nauczającymi jak rabini (choć nie będącymi rabinami)²⁶, z dwoma szojchetami [rzeźnikami rytualnymi opłacanymi przez gminę żydowską], którzy zawsze między sobą prowadzili „zimną wojnę” – poza [rzecz jasna] ich gorącą i krwawą wojną ze światem kur²⁷ – także z przewodniczącymi dozoru [gminnego], w wybór których niejednokrotnie mieszał się nawet wójt albo i starosta.

rezultatem pobytu takiej komisji, amerykańskiej, jest tzw. *Raport Morgenthau'a* (od nazwiska przewodniczącego: Henry Morgenthau, senior).

²⁵ W twierdzy w Brześciu nad Bugiem (obecnie Białoruś) znajdowało się bardzo ciężkie więzienie. Najbardziej znane jest ono z tzw. procesu brzeskiego (1931–1932), to jest sfinansowanej sprawy sądowej przeciwko posłom opozycji, których rząd sanacyjny uznał za przygotowujących zamach stanu).

²⁶ W oryginale „mojre-hojroe” – tego rodzaju tytuł nosił i wykonywał zawód nauczyciela religijnego m.in. ojciec Baszewisa Singera.

²⁷ Szojcheci najczęściej zajęci byli zabijaniem drobiu jako taniego i stosunkowo dostępnego mięsa. Większe zwierzęta, jak owce czy krowy, rzadko były zabijane z uwagi tak na czas, jaki był potrzebny, by wyrosły, jak też z uwagi na ich wysoką cenę oraz przydatność w gospodarstwie.

A do tego taka droga młodzież – podzielona na wszystkie partie polityczne – tak jak było to we wszystkich innych polsko-żydowskich miastach i miasteczkach.

Kłótni w gminie żydowskiej także nie brakowało. Ostatnia sprzeczka, jaka poróżniła i podzieliła miasteczko na dwa walczące obozy, wywołana została w roku 1939 z powodu rozbieżności opinii: uciekać do Siemiatycz czy nie uciekać? Uciekać za Bug czy nie uciekać?

Żle się działo, kiedy obóz, który był za pozostaniem na miejscu, stał się agresywny i siłą chciał przeszkodzić drugiemu obozowi opuszczać miasteczko. Na szczęście jednak, mimo ich wysiłku, ten plan się nie powiódł. Mniej więcej połowa miasteczka uciekła i w ten sposób uratowała się od wysiedlenia do Treblinki. Niektórzy jednak z tych gorących „nowych opiekunów” sami w ostatniej chwili zmądrzeli i szybko się oddalili, ratując w taki sposób swe życie przed hitlerowskimi bandytami.

Drogie miasteczko Sarnaki! Któż Cię wspomni, kto będzie o Tobie pamiętał? Przez to, że jesteś takie małe i tak skromne, nie masz przecież żadnych oskarżycieli ani sędziów [po swojej stronie]! Poza Żydami z okolicznych miasteczek: Mord, Łosic, Siemiatycz – żaden z polskich Żydów nie zna nawet Twojego imienia.

Twoich kilkuset Żydów zostało zagazowanych w Treblince. Twój cmentarz został zaorany, a wiosną i latem kołysz się tam, na tłustej ziemi, złote łodygi pszenicy²⁸. Twoja drewniana synagoga dawno już została poszarpana i zdemontowana, tak że nawet miejsca tego poznać się nie da. W Twoim murowanym Bejt-HaMidraszu mieszka teraz wąsaty goj. Na Twoim placu targowym gojskie przekupki sprzedają jaja i kury, a chrześcijańscy handlarze zbożem handlują żytem i pszenicą.

Któż Cię wspomni, miasteczko Sarnaki, oprócz tych kilku uratowanych cudem Żydów, niegdyś Twych mieszkańców? Oni Cię pamiętają i nigdy nie zapomną.

²⁸ Cmentarz zaorany i uprawiany – to stwierdzenie może dotyczyć tylko niewielkiego fragmentu od strony zachodniej, o który cmentarz został powiększony. Większa część pozostała jednak w stanie, jaki dziś znamy i nigdy nie podlegała uprawie rolnej.

Daniel Fajersztajn (Moszaw Liman²⁹)

WIELKI JARMARK

Wielki jarmark, jaki zwykł się odbywać rokrocznie w Sarnakach jesienną porą³⁰, nie był jeszcze jednym jarmarczkiem [podobnym] do tych, jakie z większym lub mniejszym powodzeniem organizowano w miasteczku co tydzień.

Ów wielki jarmark był [prawdziwym] wydarzeniem w życiu miasteczka i całej sąsiedniej okolicy. Tysiące ludzi, kupców i chłopów, zwykło się zjeżdżać do Sarnak z miast i miasteczek oraz [małych] wiosek. Całe miasteczko przedstawiało wówczas sobą jedno wielkie ludzkie mrowisko. Dla mieszkańców, Żydów i nie-Żydów, jarmark ten miał wielkie znaczenie gospodarcze.

— — —

Jest jesień (Polacy zwykli byli uważać tenże okres za najpiękniejszy w roku i zwali go: „złotą polską jesienią”). Słoneczne dni straciły swą ostrość. Słońce wciąż świeciło, lecz już nie paliło. Temperatura stawała się łagodniejsza.

Jesienne wiatry postręcały żółte liście z gałęzi [drzew]. Wieczory stawały się chłodniejsze, a ludzie zaczynali już potrzebować cieplejszych ubrań. Pola pokrywały się żółtymi łysinami po skoszonych zbożach, które leżały już powiązane w snopy w chłopskich stodołach lub w wielkich stertach. Gdzieniedzie na polach widziało się jeszcze zielone pasy po

²⁹ Moszaw Liman – osada rolnicza w północno-zachodnim Izraelu, pół kilometra od wybrzeża Morza Śródziemnego. Powstała w roku 1949 w miejscu wyburzonej wioski arabskiej Az-Zib, która decyzją rezolucji nr 181 ONZ z dnia 29.11.1947 miała znaleźć się w państwie palestyńskim, jednak na skutek toczzonej wojny izraelsko-arabskiej została zajęta i zasiedlona przez zdemobilizowanych żołnierzy żydowskich. Początkowo nazywała się „Cahal” (skrót od nazwy: „Siły Obronne Izraela”) na cześć wojska izraelskiego, jednak w roku 1959 zmieniono jej nazwę dla uczczenia amerykańskiego senatora pochodzenia żydowskiego, Herberta Lehmana (1878–1963).

³⁰ Najprawdopodobniej chodzi o jarmark we wtorek po wspomnieniu św. Łukasza, tj. po 18 października. Miasteczko Sarnaki miało przywilej na organizację sześciu jarmarków we wtorki, kolejno: po św. Agnieszce, po Niedzieli Środopostnej, po św. Wojciechu, po św. Stanisławie, po św. Michale, po św. Łukaszu.

niewykopanych kartoflach. W nizinach, w pobliżu rzek i [innych] źródeł wody, bieleły się wielkie, soczyste głowy kapusty. W sąsiedztwie, na wielkich płachtach, suszył się len. Krajobraz zapowiadał nadchodzącą zimą.

U chłopa w spichlerzu zebrana została jego całoroczna praca. I każdy chłop rachował sobie, co potrzebuje dla siebie i domowników, co jest mu niezbędne dla bydła i koni, a co może sprzedać, by zakupić sobie konieczne narzędzia rolnicze, ubrania, buty i wszystko, co trzeba mieć do kolejnych żniw.

Z zakupem tym gospodarz czekał na wielki doroczny jarmark.

Przygotowania wedle kolejności

Pierwszymi, którzy szykowali się do jarmarku, byli szewcy. Około 10 rodzin w miasteczku trudniło się wyrobem niskiej jakości obuwia i sprzedawało je na targach i jarmarkach.

Na pierwszym miejscu pośród szewców byli członkowie rodziny Nuskego. Było to kilku braci, z których żadnego nie nazywano po nazwisku, lecz wedle imienia ojca: Zalman Nuske, Fajwl Nuske i tak dalej. I wszyscy oni byli szewcami wyrabiającymi obuwie i sprzedającymi je na jarmarkach.

Ci wszyscy wyrabiający niskiej jakości obuwie szewcy prowadzili małe warsztaty, w których pracowały prawie wyłącznie [ich] własne rodziny: [na przykład] ojciec z synem. Rzadko kto zatrudniał obcego robotnika, czeladnika. Przeto przygotowanie obuwia na wielki jarmark wyłącznie własnymi rękoma nie było łatwą pracą. Dlatego właśnie szewcy jako pierwsi zaczęli się przygotowywać do wielkiego jarmarku.

A kiedy szewcy mieli więcej pracy, widać to było także u wykrawaczy skór, jakkolwiek ci ostatni byli w lepszym położeniu, bowiem nie polegali oni wyłącznie na tych niskonakładowych szewcach z ich „chodakami” i niezbyt chętnie wykonywali dla nich pracę. Zaczynało się bieganie za wykrawaczami: „Arcie, zrób mi tę robotę!” Odpowiada Arcie: „Jutro”. A jutro znów odpowiada on tak samo. I tak mijały „jutra”, a wiązka skór zalegała gdzieś na półce i czekała na „jutro”...

W końcu nadchodziło „jutro” i cholewy wysztukowane wedle wszystkich wynalazków i fachowych kombinacji były już gotowe. I oto stoją one przed oczami wszystkich przechodniów i wygrzewają się na jesiennym słońcu po tym, jak zostały nieźle oklepane szewskim młotkiem, aby się nie marszczyły, nie fałdowały, tylko trzymały fason... A one, to jest buty, musiały być takie, by poddawać się naciskowi prawidła, do którego szewc jeszcze dodał kliny, i miały się rozciągać, rozszerzać, tak aby rozlazła od całorocznego chodzenia boso noga chłopca, wraz z onucami, łatwo w nie wchodziła przy ich mierzeniu.

Po wykończeniu butów i podbiciu ich podkówkami wiszą one przed oczami³¹ i czekają na dzień wielkiego jarmarku w Sarnakach.

Drugimi, którzy zaczynali się szykować na jarmark, byli koniuchowie³². Wypełniali oni stajnie szkapami i co wieczór prowadzili je na rynek i wypróbowywali w biegu. Biegące konie wzbijały na piaszczystym rynku gęsty kurz. Wrzawa podnoszona przez konie, ich właścicieli i koniuchów, była wielka, lecz nikomu to nie przeszkadzało. Przeciwnie. W miasteczku robiło się weselej. Przysłuchiwano się żartom koniuchów i śmiano się. Mieli oni bowiem swój własny żargon, jak na przykład: „Patrz no, toż ona pisze po rusku”! Co oznaczało, że koń płacze nogi podczas biegu. Lub też: „Ta figa to miga, nie biega jeno śmiga”³³ i tym podobne przysłowia. Wszystko to razem robiło wrażenie dobrze wyreżyserowanego spektaklu, przy którym spędzało się kilka godzin.

Kramarze przygotowywali nowy towar na półkach. A co nie mieściło się na półkach, upychało się pod stołem. Wypełniało się tym domy.

Po kramarzach zaczynali się szykować [nierytualni] rzeźnicy, handlarze zbożem itd. Zebranie pieniędzy przed jarmarkiem na wielkie robienie zakupów nie należało do łatwych zadań. „Jarmark” zaczynał się już w przeddzień jarmarku. To jest bieganie za kredytem, po miłosierny datek, po przysługę – każdy wedle swego zawodowego zajęcia i potrzeb.

³¹ W tekście oryginału błędnie: „uszami”.

³² Koniuch (doglądający koni np. w folwarku, pastuch koni) tu pracownik handlarza końmi.

³³ Wyrażenie nieprzetłumaczalne. Dosłownie „O patrz jaki figiel, idzie jak odmawianie psalmu” [tzn. tak szybko – MU].

Tylko mała garstka Żydów stała na boku i nie „jarmarkowała”. To byli ci zajmujący się sprawami religijnymi w miasteczku. Rytualny rzeźnik, nauczyciele ze szkółek religijnych i inni. Kontynuowali oni swą świętą pracę, nauczali dzieci, zajmowali się świętą Torą³⁴ – jakby w ogóle żadnego jarmarku na świecie nie było.

Nowe oblicze miasteczka

Dzień przed jarmarkiem był gorączkowy. Rodzili się wówczas nowi kupcy, którzy przez cały rok do tej pory nie wspólnego z handlem nie mieli. Trwały przygotowania – ktoś tam [szykował] wypieki, ktoś inny słodycze, a jeszcze inny napitki, aby nazajutrz wystawić stoliczek na rynku i nieco pohandlować.

Około 4 po południu pojawiały się na rynku pierwsze fury obładowane towarem, przykryte plandekami, a pod nimi widziało się kufry, skrzynki i paczki. Byli to siemiatyccy kupcy konfekcyjni. Wokół nich zaczynał się zbierać podekscytowany tłumek, najpierw dzieci, a potem dorosłych, by przypatrzeć się pierwszym gościom jarmarcznym.

I rzeczywiście. Zaraz przystępowali oni do wznoszenia swoich konstrukcji. I już pierwsze konfekcyjne stragany stały w rzędzie, jedno obok drugiego. Niebawem przybywali też bednarze na wysokich drabiniastych wozach załadowanych beczkami, dzieżami, wiadrami i innymi bednarskimi wyrobami. I tak na jarmark, z różnorodnymi towarami, przybywali kolejno jedni po drugich.

Pojawiali się także zupełnie obcy ludzie, bez żadnego towaru, z pustymi [rękoma] i chodzili sobie od jednego straganu do drugiego z nikim nie rozmawiając. Robili wrażenie psów zwiadowczych tropiących właściwe miejsce i czas dla swojego handlu...

Każdy z miasteczka, i duży i mały, przychodził na rynek popatrzeć na nowe stragany z towarem i na nieznanych ludzi. Dzięki tym

³⁴ Tora – pięcioksiąg Mojżesza obejmujący 5 pierwszych ksiąg biblijnych (Księga Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczba i Powtórzonego Prawa). Potocznie chodzi o wszystkie święte księgi Judaizmu.

porozstawianym stoiskom tworzyły się nowe ulice. Miasteczko było nie do poznania! Sarnaki otrzymywały nowe oblicze, zmieniały się zupełnie.

Do miasteczkowych [Żydów], którzy jeszcze nie ukończyli przygotowań do jarmarku, należeli piekarze i szynkarze. U piekarzy kominy nie odpoczywały. Przed wieczorem, kiedy powietrze stawało się nieco wilgotniejsze, niekończący się dym z piekarskich kominów, który dotychczas ciągnął się w górę do nieba, teraz zaczynał się rozprzestrzeniać w dół i wypełnił całe powietrze do oddychania. Nic dziwnego – na tak skoordynowaną akcję pracuje bez ustanku 8 piekarni! Wyliczmy ich imiona, tak jak ich zwano w miasteczku: [piekarnia] Mendel Serls³⁵, Zastępca³⁶, Rivkele Chaim Notes, Izrael Icchak Koza, Przysięgający³⁷, Falik³⁸, Gedalia Chłopkower i Herszl Fiszel. Byli także nieoficjalni piekarze³⁹ i wszyscy oni piekli na jarmark wyłącznie białe wypieki, chały, strucle i tym podobne. Czarne pieczywo w tym czasie zupełnie nie schodziło. Chłop w swoim domu je codziennie czarny chleb, więc kiedy przyjeżdża na jarmark z żoną i dzieckiem, funduje im białe wypieki...

Do szynkarzy przybywały wielkie beczki piwa z browaru Szummera⁴⁰, skrzynki z butelkami piwa dostarczano do każdego szynku. W coś bardziej konkretnego (wódkę) i w zakąski zaopatrzono się już wcześniej. Obecnie chodziło o to, by rozstawić jak najwięcej stołów i krzeseł dla pijących.

³⁵ Zapewne wspomniany wcześniej Mendel Zajerman.

³⁶ Nie wiadomo, o co chodzi, być może był to przydomek bez większego znaczenia, a być może reprezentował on gdzieś społeczność żydowską lub piastował godność czyjegoś zastępcy i stąd ta nazwa, którą można także tłumaczyć jako „przedstawiciel, reprezentant” lub właśnie „zastępca”.

³⁷ Der vicharus (jid.) תורכיו רעד – słowo z języka hebrajskiego, które w zależności od kontekstu może mieć różne znaczenia. W tym wypadku najprawdopodobniej chodzi o pojęcie z zakresu „zawierania przymierza”, stąd „przysięgający”, jako ten, który składa przysięgę i dotrzymuje zawartej umowy.

³⁸ Wspomniany wcześniej Falik Morgensztern.

³⁹ Tzn. działający nielegalnie, czyli bez wykupionego zezwolenia na działalność gospodarczą.

⁴⁰ Chodzi oczywiście o Józefa Szummera (1868–1938), po śmierci którego browarem zajmował się jego brat, Hipolit Tytus, zapewniając utrzymanie wdowie, Marii Szummer (z domu Szulc, 1876–1948). Por. https://www.pieniazek.com/GDPieniazekNJP_PL/706.html oraz https://www.pieniazek.com/GDPieniazekNJP_PL/735.html (dostęp z dnia 23.01.2025). Po więcej informacji: J. W. Nowosielski i R. Zubkowicz, *Piwo z Nadbużańskiego Podlasia. Browar Szummera w Sarnakach, Międzyrzec Podlaski (Pivaria)* 2006.

Zapadła noc. Miejskie dzieci rozeszły się, każde do swego domu. Pozostali tylko dorośli, tak przyjezdni, jak i miejscowi. Stali w kupkach i rozprawiali na głos o jarmarku prawie całą noc. Przy tym żartowano, naśmiewano się z tego czy tamtego, i śmiano się, śmiano.

Później w nocy, kiedy grupki te się rozpadły, widziano na rynku tylko młodzież miejscową i przyjezdną z sąsiednich miasteczek, którzy tu zawarli znajomości z nowymi kolegami i spacerowali dookoła.

Przeptyw sprzedających i kupujących

Całkiem wcześniej, kiedy miasteczko się budziło, było ono nie do poznania w porównaniu z wyglądem, jaki miało jeszcze poprzedniej w nocy. Przez noc i we wczesnych godzinach porannych zjechali się jeszcze kolejni kupcy i pozajmowali place ze swoimi towarami.

Nadjechał siemiatycki kupiec szkła – gruby człowieczek z żółtą bródką, czerwoną twarzą i takim też karkiem. Przy jego brzuchu zwisał łańcuszek od zegarka, a obok przytwierdzona była sakiewka na pieniądze. Z wielkiego drabiniastego wozu wypakował swe towary: szklanki, talerze, miski, serwisy, lampy naftowe itd. Wszystko to wystawił na szerokim placu obok wozu. W jego sąsiedztwie drugi sprzedawca wystawił emaliowe artykuły: garnki, miski, czajniki, kanki itd. Dalej zaś stały porozstawiane puste tymczasem stoły i ławy czekające na towar, jakiego kupcy nie zdążyli jeszcze dowieźć.

Na rynku, obok sklepów Fiora⁴¹ i domu Mendla Zajermana, wzniesli swoje stragany świniarze. Wisiały tam całe połówki świńskiego tłuszczu (słonina), wielkie połacie „boczku”⁴², kiełbasa, szynka i inne mięsa. Obok każdego straganu stał na piecyku kociołek, w kształcie samowara, z którego dobywał się dym. I nie [był to] całkiem miły zapach, który się stamtąd rozprzestrzeniał. Żydzi nie znosili tego zapachu i unikali miejsca, gdzie stali świniarze. Z każdą kolejną godziną coraz więcej kupców zajmowało miejsca, aż cały rynek pokryty został straganami, prowizorycznymi

⁴¹ Najprawdopodobniej nazwisko właściciela.

⁴² Słowo polskie zapisane alfabetem żydowskim.

budkami, stoiskami itd. Starzy i młodzi chodzili od stoiska do stoiska i z ciekawością oglądali kupców i ich towary. Dygoczące [z emocji] dzieci prosiły swe mamy, by kupiły im nową zabawkę i coś słodkiego ze stoisk.

Pierwszymi kupcami na jarmarku byli miejscy gospodarze. Jako pierwsi wychodzili na rynek, by wyszukać co ładniejsze sprzęty domowe: serwisy, szklane misy itd. Były to towary, które szybko się wyprzedawały.

Około 10 rano zaczynali przybywać chłopi z wiosek – jedni na wozach, inni pieszo. Na „gościńcu” ciągnęły się długie rzędy furmanek, jedna za drugą. Jakby jakiś obóz militarny poruszał się w jedną stronę – do miasta. Na każdej furmance znajdowały się produkty z własnego gospodarstwa, jakie chłopi wieźli na sprzedaż. Przybycie na jarmark i przebicie się przez zatłoczony rynek trwało kilka godzin. Więc chłopi zajmowali miejsca bez porządku, chaotycznie, gdzie się dało.

O przejściu [na wprost] między chłopskimi furmankami nie było mowy. Trzeba było kluczyć albo skakać przez wozy. W handlu to jednak nie przeszkadzało. Kupcykowie już wiedzieli, kto i co ma do sprzedania. Już przy wjeździe do miasteczka chłopskie fury były obmacywane przez handlarzy i handlarki, którzy spieszyli się, by być pierwszymi odbiorcami tych produktów, które były najbardziej chodliwe.

Również gospodyniom domowym udawało się wybadać chłopski rynek, dotykając każdej torby i koszyka na chłopskim wozie. Część towaru leżała na widoku, przed oczami, jak [np.:] kury, gęsi, indyki i inne. Gęsi, przyzwyczajone do wiejskiej ciszy i do wody, wyciągały swoje długie, spragnione szyje i rozkrzykiwały się z oburzeniem, przebijając cały jarmarczny hałas.

Towary i ciekawostki

W południe, kiedy słońce znajdowało się pośrodku nieba, ogrzewając ziemię i wszystko, co na niej, swymi strzelistymi promieniami, zdawało się, że także sama natura bierze udział w jarmarku.

Szedłem wówczas [na rynek] w sam jego środek. Jakkolwiek nie była to duża przestrzeń, to jednak – z powodu przeszkód [stojących na drodze]

oraz ciekawostek przyciągających oko – wydawał się on dużo większy niż był. Głód obejrzenia wszystkiego, co było na jarmarku, był silniejszy aniżeli przeszkody. Plątając się zatem od jednego straganu do drugiego, okrążałem go całego.

Od strony północno-wschodniej otoczone jajami, masłem, serem i kurczakami, siedziały na wozach gospodynie z wiosek. Ich stosunek do kupujących nie należał do grzecznych, odzywały się z nerwowością i podejrzliwością. Po jarmarku kręcili się złodzieje i oszuści, więc chłopki na każdego klienta patrzyły z nieufnością. Dopiero po sprzedaniu całego towaru, kiedy chłopka sama stawiała się klientem oraz zakupiła do gospodarstwa co potrzebowała, pozostałe pieniądze zawiązywała w chustce i uspokajała się, odzyskując [zwykłą] chłopską dobroduszość.

Mężczyźni zaś, chłopci, sprzedawali zboże, kartofle, kapustę itp. To, co sprzedali sami, zanosili do domów [klientów]. Kartofle szybko się sprzedawały, bowiem każdy Żyd przygotowywał sobie kartofle na zimę. W każdej żydowskiej izbie, do której byś wszedł tego dnia, mógłbyś znaleźć wzgórek kartofli wysypany na środku, [zalegający tam] do czasu, aż znajdzie się dla niego właściwe miejsce.

Prawdziwy jarmark trwał jednak w południowej części rynku. Jak się tam przyszło, nie było wiadomo, gdzie najpierw zwrócić swoje oczy. Na każdym kroku – stoisko z innym towarem. I wszyscy sprzedający chórem nawołujący kupujących, reklamujący swoje towary i zaklinający się na wszystko, co można, że tylko jego towar jest najlepszy.

Większa część chłopów zdążyła już do tego czasu sprzedać swoje produkty i znajdowała się teraz między kupującymi przy wszystkich straganach. Przy obuwiu, przy zakupie zimowej odzieży, sprzętów domowych, słodkości – wszystko wszak, co oczy widzą, trzeba mieć.

Największym powodzeniem cieszył się jeden sprzedawca, wokół którego zbierali się żydzi i chrześcijanie. Na stole w rynku stał dziwny jegomość, którego przyodziewek, postawa i zachowanie nie były normalne. Wszystko na nim było artystycznie umalowane. Jedną ręką sprzedawca ów podnosił jakąś dziwną rzecz, prezentował ją zaciekawionemu tłumowi, potem szybko drugą, trzecią, aż w jego rękach znajdowało się całe 12

różnych przedmiotów. Wówczas obwieszczał on, że to wszystko oddaje on za jedyne 1 złotych. Sprzedawszy jeden komplet za złotówkę zaczynał od nowa. Owe okazje składały się z chusteczek do nosa, sznurowadeł, igieł, szpilek itd. Tłumek wokół wciąż wzrastał, podziwiając sposób, jak zręcznie jegomość ten czynił to wszystko. Szczególnie podobało się to młodzieży, która patrzyła na to jak na dobry spektakl.

Jeszcze więcej zainteresowania wśród młodzieży wywoływały różnorodne gry i stoliki loteryjne z najróżniejszego rodzaju fantami, które zajmowały osobny kącik na jarmarku. To była atrakcja dnia. Spróbuj szczęścia albo zmierz się w rywalizacji o najwyższą wygraną – to podniecało młodzież.

W karczmie...

Chłopi w średnim wieku i starsi nie szukali takich emocji. Sprzedawszy nieco produktów, naharowawszy się cały dzień, serce zaczynało dręczyć, a na duszy robiło się markotnie – zbierają się więc po kilku dobrych kompanów i idą do szynku „Do Ajzyka” lub innego.

W szynku tym goście ci obsłużeni byli sprawnie i od ręki. Na stoliku wyrastała butelka wódki wraz ze szklaneczkami wedle ilości gości, jacy usadowili się przy stoliku, przynoszono zakąski – a towarzystwo nie dawało się prosić...wypijając szklaneczkę i zaraz kolejną. A jak zaczęło wyzierać dno butelki, to wyrastała kolejna na stoliku. Kiedy już kończono trzecią i czwartą szklaneczkę, rozwiązywały się języki, nastroje się rozpalaly, głowy stawały się cięższe i zaczynały się dyskusje. Początkowo cicho, potem coraz głośniejsze. Ci jednak, którzy całkiem nie stracili głów, liczyli rachunek i szybko opuszczali szynk.

Handlarze końmi rozpoczynali swój handel we wczesnych godzinach porannych. Najpierw doprowadzali na rynek pojedyncze konie, lecz później, gdy schodziło się więcej kupujących, po wypiciu głębszego „na zdrowie”, pojawiali się w hałasie i zamieszaniu wraz z całym swym żywym towarem. Konie były dobrze odżywione. Specjalnie już kilka dni

przed jarmarkiem dostawały większe porcje. Wyuczono je też wcześniej jak stawiać nogi, kiedy ktoś chce je wypróbować w biegu.

W tym ostatnim szczególnie specjalizował się nasz przyjaciel z młodości, Srole Gorfinkl – wysoki, szczupły, z długimi nogami, stale kręcący się wokół koniuchów. Na każdym jarmarku był on objeżdżaczem, który wyprowadzał konie i wypróbowywał je w biegu, tam i z powrotem. Po takiej pokazowej jeździe zaczynało się targowanie z klientem na głos z poklaskiwaniem dłońmi. A jeśli kupiec nie chciał dać żądanej ceny, próbowano mu wmówić tańszego konia. „Srole, daj no tu tylko tego kasztana!” – wykrzykiwał handlarz i zaraz koń taki stał gotów do biegu.

Po każdym sprzedanym koniu wypijano kieliszek. Chłopi pili, lecz oni, żydowscy koniarze, nie przekraczali miary. Trzeba przecież [dalej] handlować, trzeba zarabiać, w domu czeka kobieta z dziećmi. Pito więc rozumnie...

Około 2–ej po południu zaczynał się powrót do domów na wsi.

Najpierw pojedynczy chłopi, potem więcej, aż na chłopskiej części rynku zaczęło się przersedzać, a przejście między furami robiło się łatwiejsze.

Północna strona miasteczka całkowicie opróżniała się z chłopskich furek, za to południowa wyglądała jak po bitwie: tu – nieco straganów, tam – ogołocone stoliki i ławki.

Ostatni kręcili się po rynku pijani, tacy co to się upili, by wszczynać awantury, bić Żydów, i tacy, co pajacowali wywołując śmiech. Każdy pijak odgrywał swoją rolę i udawał się do domu.

Obcy kupcy po spakowaniu swoich towarów zaprzęgali konie – i dla bezpieczeństwa na drogach – puszczali się w podróż do domu grupami.

Szraga Zeyerman (Chajfa)

DROBNE PRZEDSIĘBIORSTWA PRZEMYSŁOWE

Od młyna wiatrowego do młyna motorowego

Kiedy szło się do miasteczka od strony zachodniej, już z odległości 3 kilometrów widać było 3 młyny wiatrowe, które przypominały trzy wieże rozstawione na długiej linii pod kątem 45 stopni⁴³. Młyn, który stał w kącie miasta, idąc od strony Łosic zaraz przy drodze, rzucał strach na przechodzących swym hałasem wywołanym kręceniem się 4 wielkich skrzydeł podczas silnego wiatru. Dwa pozostałe młyny stały w drugiej części miasteczka, w wiosce Chybowo.

Ów pierwszy młyn od pierwszych lat [swego istnienia] należał do Żydów, chociaż zatrudniony był tam zawsze nieżydowski młynarz⁴⁴, aby móc mieć w szabat. Można powiedzieć, że w tamtych czasach młyny wiatrowe były jedynymi zaopatrującymi w mąkę żydowską i chrześcijańską ludność w całej okolicy. Każdy młyn musiał posiadać także mąkę pszeniczną⁴⁵. Jakość mąki pszenicznej nie była najwyższa, a więc sprowadzano mąkę z rejonów Wołynia, którą zwano „mąką kreczmańską”⁴⁶. Kto tylko mógł sobie na to pozwolić, kupował na szabatową chałkę tę lepszą mąkę.

⁴³ Autor odwołuje się tutaj do znaków diakrytycznych języka hebrajskiego, a konkretnie terminu „szurek” (inaczej „kubuc”) oznaczającego trzy kropki w równej linii ustawione pod skosem, które czyta się jako „u”.

⁴⁴ Brak informacji pozwalających ustalić jego tożsamość.

⁴⁵ Młyny były z jednej strony przedsiębiorstwami usługowymi, w których można było zmielić własne zboże, z drugiej zaś miejscami dystrybucji i sprzedaży mąki. Ponadto początkowo osoba przywożąca zboże do zmielenia nie otrzymywała mąki z własnego zboża, a jedynie mąkę już gotową, a więc ze zboża nieznannej jakości, ewentualnie sypano wspólnie zboże wszystkich aktualnie przybyłych, co skutkowało wydawaniem „mieszanki” mącznej ze zbóż różnych właścicieli.

⁴⁶ W oryginale „kreczmatker mel”. Co to dokładnie znaczyło, nie udało się wyjaśnić. Nazwa może pochodzić od miejsca lub od słowa w jidysz „kreczme”, czyli karczma.

W roku 1910 wybudowano w miasteczku trzypiętrowy murowany młyn⁴⁷, którego wyposażenie zostało już urządzone wedle ówczesnego wyposażenia: trzy pary walców z kilkoma parami kamieni i wielki motor napędzany ropą. Klekotanie motoru słychać było daleko aż na odległość kilku kilometrów.

Właścicielem młynu był chrześcijanin. Nie zajmował się on jednak handlem, a jedynie mielił zboże, zwożone przez chłopów. Młyn ożywił handel zbożem w miasteczku. Także właściciele wyszynków oraz rzemieślnicy odczuli smak ożywienia gospodarczego. Przybywało wielu chłopów mieć swoje zboże, przywozili oni więc też nieco zboża na handel, a na swoje potrzeby dokonywali w mieście zakupu różnych produktów. Także rzemieślnicy dzięki chłopom mieli zlecenia. Wzrost obrotów był doprawdy widoczny we wszystkich branżach.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej, kiedy Niemcy okupowali miasteczko, chrześcijański właściciel młyna nie mógł się porozumiewać z Niemcami i przekazał młyn warendę żydowskiej rodzinie Wiśnia, którzy zawodowo zajmowali się fachem młynarskim i byli w stanie porozumiewać się z Niemcami. Okupanci wprowadzili karty na chleb dla ludności żydowskiej i także chłopci nie mogli mieć w młynie zboża bez pozwolenia władz. To był doprawdy cud, że młyn dostał się wówczas w żydowskiej ręce. Dzięki temu nie wiadano, co to głód w miasteczku.

W roku 1916 młynarz Wiśnia zmarł, a młyn przejęła rodzina Rozenbaumów, która go później odkupiła. Młyn stał się własnością Ezriela Rozenbauma w 50% oraz pana Szaje z synem Mosze⁴⁸, także w 50%. Prawie cała rodzina Rozenbaumów była zatrudniona przy młynie.

Rodzina Rozenbaumów więcej już się zajmowała sprzedażą zboża i mąki i nie była zależna od pracy [okolicznych] chłopów. Młyn pracował

⁴⁷ Zgadza się to z danymi z jedynej monografii Sarnak Rafała Zubkowicza i Agaty Wasilewskiej, gdzie jako przybliżoną datę podaje się rok 1912, zob. A. Wasilewska, R. Zubkowicz, dz. cyt., s. 20.

⁴⁸ Wymienieni Szaja i Mosze również należeli do rodziny Rozenbaumów. W Lubelskim Dzienniku Wojewódzkim nr 11 z 15 czerwca 1937 r. ukazało się obwieszczenie dotyczące planów uruchomienia zakładu energetycznego przy młynie Szaji i Sruła Moszka Rozenbaumów. Tamże, s. 25.

w wielkim zakresie na okrągło. Młyn dostarczał mąkę dla całej okolicy, a od czasu do czasu wysyłał wagony mąki do większych centrów miejskich. Z tego względu młynowi potrzebne były większe ilości zboża, co zmusiło właścicieli do płacenia wyższych kwot. Miasteczko stało się znane ze swych dobrych cen za zboże, a to skutkowało dużym obrotem handlowym dla całego miasteczka.

Z czasem młyn poddany został dużym zmianom. Wstawiono nowe motory i zamontowano nowe wyposażenie dla produkcji oleju. W roku 1932 młyn otrzymał też koncesję na wytwarzanie energii elektrycznej, dzięki czemu całe miasto rozbliśło światłem.

Młyn wybudowany z uporu

Drugi młyn motorowy utworzył żydowski właściciel ziemski Jankiel Sztajnberg. W roku 1921 Sztajnberg przywiózł swe zboże do młyna Rozenbauma i zażądał, aby dano mu mąkę z jego własnego zboża, które zostało odpowiednio oczyszczone. Kiedy nie chciano spełnić jego prośby⁴⁹, powiedział: „Jeśli tak, to zbuduję sobie własny młyn!”.

Jako że odznaczał się ogromnym uporem, zabrał swoje zboże i wrócił z nim do domu obwieszając, że bierze się za budowę młyna. Bez zwłoki zabrał się do pracy i wkrótce jego młyn był gotowy. Wprowadzono tam zasadę, że każdy, kto chce swoje zboże mielić osobno, może po przybyciu poczekać i otrzymać mąkę ze swojego zboża. Odbiło się to szerokim echem w całej okolicy i młyn ten zawsze pełen był chłopów, którzy przybywali, aby zmielić swoje własne zboże i z niego otrzymać mąkę.

⁴⁹ Jak wspomniano we wcześniejszym przypisie, w tamtym czasie popularne było przyjmowanie zboża i wydawanie od razu gotowej mąki, z wcześniej zmielonego innego zboża. Wbrew pozorom było to dość logiczne i praktyczne rozwiązanie. Z jednej strony właściciel zboża nie musiał czekać na zakończenie procesu mielenia, z drugiej młyn można było uruchamiać tylko wówczas, kiedy się to opłacało z uwagi na dostateczną ilość zboża do zmielenia (taka racjonalność była jeszcze bardziej widoczna w przypadku młynów wiatrowych, których praca zależna była od warunków pogodowych).

Praca w chrześcijańskim browarze

Idąc do miasteczka od strony pociągu już z daleka dawały się zobaczyć wielkie, czerwone, ceglaste kominy browaru. Na przybyłych czyniło to wrażenie, jakby miasteczko posiadało fabrykę. Browar ten był jedynym w całej okolicy i żywił dziesiątki żydowskich rodzin. Nie tylko robotników, którzy byli w nim zatrudnieni, wśród których byli prawie wyłącznie Żydzi, lecz także w dziesiątkach okolicznych miasteczek, gdzie wszystkie bary i restauracje spoczywały w żydowskich rękach i gdzie smaczne piwo z Sarnak było bardzo rozpowszechnione.

Właścicielem był chrześcijanin z kręgów kupieckich⁵⁰, który swoim żydowskim klientom dawał najlepsze możliwe warunki, tak aby na jego piwie mogli dobrze zarobić i nie brali piwa z innych browarów. Poza pieniędzmi, jakie żydowscy przedsiębiorcy i klienci byli mu winni za pobrany towar, zwykł on jeszcze pożyczać im gotówkę np. na wyprawienie wesela dzieciom. Nie mówiąc już o miejscowych, sarnackich szynkarzach, którzy dzięki jego pomocy budowali domy i organizowali dzieciom wesela. Także wszystkie produkty, jakie potrzebne były dla browaru, kupował on wyłącznie u Żydów. Nawet swoje pola dawał warendę żydowskiemu ogrodnikowi. Doprawdy, dla wielu żydowskich rodzin browar ten był źródłem utrzymania.

Olejarnia pracowała cały rok

W czterech olejarniach działających w miasteczku wyciskano olej ze wszystkich rodzajów ziaren do tego zdolnych. Dwie z tych olejarni były prymitywnie urządzone, a zbudowane zostały jeszcze pod koniec XIX wieku.

Były to wielkie drewniane budynki z drewnianym wyposażeniem. Mielenie ziaren odbywało się za pomocą konia, który miał zakryte oczy i który poruszał się w koło po dużym okręgu⁵¹, wprawiając w ruch walce

⁵⁰ Chodzi oczywiście o browar wspomnianego wcześniej Józefa Szummera.

⁵¹ Chodzi o kierat, bardzo popularny dawniej na wsi.

mielące ziarna. Zmielone ziarna wysypywano na specjalny okrągły kamień, na którym spoczywał górny kamień młynny. Tu znowu zaprzęgano konia z zakrytymi oczyma, który obracał tenże [górny] kamień na zmielonych ziarnach i rozgniatał je na miazgę. Następnie miazgę tę podgrzewano w kotle obracanym nad ogniem. Kiedy z kotła szła już para, zdejmowano go z ognia i wkładano w zwykłe płótna⁵². Potem podkładano go pod długie, grube, cztero-kanciaste kłocze ze śrubami, które dwoje ludzi obracało za pomocą długich drągów. Kłocze wyciskały olej, który spływał do podstawionych poniżej garnków.

Pierwsza i największa olejarnia działała u Mosze Olejarnika [Brukmana]. Jego olejarnia znajdowała na środku rynku i miała też duże podwórze, na które zajeżdżały dziesiątki fur z chłopami przywożącymi swoje ziarna do wyrobu oleju. W czasie kiedy musieli czekać, mogli sprzedawać sklepikarzom swoje produkty [rolne]. Jego olejarnia działała przez okrągły rok, bowiem nie polegał on wyłącznie na pracy chłopów⁵³. Sam skupował ziarna na olej i prowadził jego sprzedaż w dużych ilościach, żywiąc olejem Sarnaki przez cały rok, a także sprzedawał do okolicznych miasteczek.

Druga prymitywna olejarnia zbudowana w tym samym systemie to była olejarnia Mosze Zilbermana, albo, jak go też zwano, „Mosze z punktem”. Uruchamiał on olejarnię jedynie w sezonie zimowym, w okresie „postu”, kiedy bardzo dużo chłopów potrzebowało mieć i wycisnąć olej. Latem musiał on szukać innej pracy. Wówczas objeżdżał okoliczne wsie i wstawiał szyby.

Trzecią olejarnię zbudowano w roku 1920 jako budynek murowany, urządzony bardziej nowocześnie. Kiedy zaś pojawiła się elektryczność w mieście, to jej właściciel, Dawid Apfelbaum [w literaturze jako Epelbaum], sprowadził walce, które wyciskały olej już siłą prądu elektrycznego. Pracował on w swej olejarni prawie przez cały rok, bowiem

⁵² Technika tłoczenia oleju polegała na umieszczaniu uzyskanej miazgi w płóciennych workach i wygniataciu z niej na różne sposoby oleju. Płótno zatrzymuje części stałe.

⁵³ To jest na sezonowości upraw rolnych dostarczanych przez okolicznych rolników.

także on zajmował się sprzedażą oleju i nie chciał być zależny wyłącznie od pracy chłopów.

Czwarta olejarnia mieściła się w młynie Rozenbauma, który był już wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia. Ale właśnie z tego powodu chłopci nie chcieli tam wyciskać oleju. Twierdzili oni, że u prymitywnej konkurencji wyciskany olej jest po prostu smaczniejszy. Z tego względu olejarnia zajmowała się niemal wyłącznie wyciskaniem oleju na sprzedaż w okolicznych miasteczkach.

Gręplarniany⁵⁴ impuls ekonomiczny

Trzy gręplarnie także istotnie pomogły w polepszeniu zarobków w miasteczku. Prawie przez całą zimę ludzie w wioskach nie mieli pracy. Tamtejsze kobiety zajmowały się więc przędzeniem nici z owczej wełny i wyrabianiem z tego materiałów dla siebie.

Owe trzy gręplarnie były doprawdy zawsze zarzucone pracą przez kobiety ze wsi, które przynosiły swoją surową wełnę celem obróbki. Od wczesnego rana do późna w nocy zwykły one siedzieć i czekać na swą kolej, by móc dostać się do maszyny i przepuścić przez nią swoją wełnę. Główna gręplarnia znajdowała się u „Avrahama Mordechaja Kitie”⁵⁵ i [podobnie jak niektóre w/w olejarnie] także pracowała niemal przez cały rok. Po pierwsze, także znajdowała się prawie na środku rynku i również posiadała podwórze, na które chłopci mogli zajeżdżać furami tak, by w czasie gręplowania pójść zaopatrzyć się w sklepikach. Tam pracą zajmowali się ludzie, którzy pomagali przepuszczać wełnę przez maszynę.

Gręplarnia Szmula Kalmana Melameda⁵⁶ była za to na ulicy, którą jedzie się do pociągu⁵⁷. Nie było tam miejsca dla przyjeżdżających fur,

⁵⁴ Gręplarnia – miejsce pierwszej obróbki wełny, np. owczej, gdzie jest ona czyszczona, rozczesywana, mieszana, rozluźniana. Chodzi o możliwe równoległe ułożenie włókien wełny, co pomaga w wyrabianiu, przędzeniu z niej nici, a to już gotowy materiał, z którego mogą powstawać materiały na użytek codzienny, np. ubrania, koce, narzuty itp.

⁵⁵ Być może nie było to jego prawdziwe imię i nazwisko, skoro zapisano w cudzysłowie.

⁵⁶ Wygląda na to, że „Melamed” [nauczyciel] – to w tym wypadku jedynie przydomek.

⁵⁷ W opisywanym czasie stacja kolejowa była w Platerowie, chodzi więc o drogę do Platerowa.

a pracą zajmowała się tam wyłącznie żona mełameda, Fajge–Brajncze, która nie była w stanie pomóc chłopom obracać maszyną oraz lekko niedowidziała, szczególnie jeśli coś [z towaru] ukryło się w maszynie i mogło powodować, że dużo wełny pozostawało w wielkich, żelaznych grzebieniach, którą właściciele [gręplarni] zwykli co wieczór sobie wyjmować dla siebie jako: „znalezione nie kradzione”. Z tego względu gręplarnia ta nie przyciągała zbyt wielu klientów, a jedynie tych bez wyjścia, kiedy wszystkie inne gręplarnie miały już pracy na cały dzień i którym nie opłacało się wracać do domu, a przez to byli zmuszeni szukać jakiegokolwiek miejsca dla załatwienia swojej sprawy.

U stolarza Szimona [o przydomku] „Sos” gręplarnia była w wąziutkiej uliczce, gdzie w ogóle nie dawało się wjechać furą. Także tutaj tylko jego żona zajmowała się nadzorem nad pracą, ale pomagać w żaden sposób nie mogła. To była główna przyczyna, dlaczego ta gręplarnia pracowała tylko zimą w szczytowym sezonie, zaś latem stała pusta, bez pracy, a zarobku szukano w stolarstwie. Przez pewien czas Szimon stolarz⁵⁸ był sołtysem w miasteczku, więc gmina⁵⁹ wypłacała mu skromne uposażenie, a on dorabiał sobie na boku, żeby się utrzymać.

Te trzy małe przedsiębiorstwa w okresie zimowym były codziennie odwiedzane przez dziesiątki rodzin z wiosek, które musiały czekać nieraz cały dzień. Czekający zachodzili więc do barów coś zjeść i się napić, zakupywali także produkty potrzebne im zimą w domu.

Nowa piekarnia słynęła z kajzerek

Do roku 1909 obecnych w miasteczku 8 piekarni prowadzonych było w prymitywny sposób. Ciasto wyrabiane było w okrągłych dzieżach, zaś ciasto pszeniczne na chały wyrabiane było w drewnianych, podłużnych nieckach. Pieczono wszystko w zwykłych piecach. Pogłębiona wiedza

⁵⁸ Nie można wykluczyć, że było to także jego nazwisko, chociaż wszystko wskazuje na przydomek.

⁵⁹ Tu zapewne chodzi o gminę Sarnaki, nie zaś o gminę żydowską. Z opowiadań mieszkańców Sarnak wynikało, że w miejscowości było dwóch sołtysów, polski i żydowski. Każdy odpowiadał za sprawy swojej społeczności.

w tym zakresie nie istniała. Każda Żydówka mogła zrobić sobie taką piekarnię. I rzeczywiście, jak tylko w miasteczku było jakieś nieżydowskie święto albo „odpust”⁶⁰, jarmark, wypieki robiono w każdym domu i wychodzono z towarem na ulicę.

[Pewnego dnia] pojawił się szczupły człowiek – zwano go Perecem Piekarzem [Perec der Beker] – i w murowanym domu Hindy Szkop powstała niemiecka piekarnia. Wiele osób specjalnie chodziło, aby zobaczyć ten niezwykle widok, jak Perec Piekarz siedząc na dole⁶¹ wysypuje świeże kajzerki z pieca. Kajzerki wkładane były do pieca na długich deskach, które następnie studziły się na zewnątrz.

Całe miasteczko biegło do niego kupować chleb, bułki, chałki. Pozostałe piekarnie, chcąc nie chcąc, nie były w stanie konkurować i zaczęły upadać. Dwie największe, prymitywne piekarnie, Falika Morgenszterna i Mendla Zajermana, nie miały wyjścia i musiały wymienić swoje starodawne urządzenia na ten sam system, jakim posługiwał się Perec Piekarz. Ludność miała wielką radość z tych świeżych kajzerek, ze smacznych chałek i chleba wypiekanych w nowoczesnych piecach na parze, gdzie ciasto zagniatane było w długich, wielkich skrzyniach.

Takie te wszystkie małe przedsiębiorstwa produkcyjne miały wielkie znaczenie dla żydowskiego społeczeństwa i tworzyły miejsca pracy dla miejscowych kupców i rzemieślników. Antysemici nie byli w stanie wydrzeć ich z żydowskich rąk.

Marcin Urynowicz – dr, pracownik Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie, współpracownik Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego. Współpracownik Żydowskiego Instytutu Historycznego, badacz historii Żydów obszaru południowego Podlasia i wschodniego Mazowsza. Autor czterech artykułów w „Roczniku Ziemi Sarnackiej” dotyczących historii sarnackich Żydów.

⁶⁰ Słowo polskie zapisane alfabetem żydowskim.

⁶¹ Pozycja taka przy wyjmowaniu pieczywa musiała wynikać z konstrukcji pieca, którego otwór był być może podwyższony.

Anna Sarnowska-Żakowska

Wspomnienia mego Ojca. Krótkie wprowadzenie

Prezentowane na kolejnych stronach wspomnienia mojego ojca, Kazimierza Sarnowskiego (1923–2017), urodzonego w Hołowczycach–Kolonii, wiosce leżącej nieopodal Sarnak, powstały pod koniec jego bogatego życia. Spisał je w 2010 r., jako dopełnienie i uzupełnienie wydanej w 2004 r. książki wspomnieniowej „Czas przeszły dokonany”¹. Dotyczą one pomocy udzielanej przez rodziców autora, Mariannę i Stanisława Sarnowskich, kilku osobom narodowości żydowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej, na przełomie 1942/1943 roku.



Fot. 1. 19-lletni Kazimierz Sarnowski w domu w Hołowczycach–Kolonii, autor prezentowanych wspomnień, na kilka miesięcy przed wydarzeniami, które opisał. Lipiec 1942 r.

¹ K. Sarnowski, *Czas przeszły dokonany*, red. S. Kordaczuk, Siedlce 2004.

Ojciec, żołnierz Armii Krajowej, z wykształcenia ekonomista, z zamiłowania bibliofil, był niemal do końca życia sprawny intelektualnie. Prowadził bardzo bogatą korespondencję z różnymi osobami, m.in. z jednym z Ocalałych z Holokaustu – mieszkańcem Sarnak, Szymonem Szonszajnem. Zachowany w archiwum rodzinnym zbiór, liczący przeszło sto czterdzieści listów z lat 1951–2003, jest świadectwem głębokiej przyjaźni zapoczątkowanej w tych nieludzkich czasach. Z pewnością korespondencja ta przyczyniła się do utrwalenia w pamięci adresata obrazów z przeszłości. Prezentowany tekst zawiera kilka fragmentów listów od Szymona wysłanych z Izraela. Dla zachowania pierwotnej formy wypowiedzi Autora, zostały one umieszczone w przypisach.

Pierwotnie „Zapiski...” były przeznaczone wyłącznie dla członków rodziny: własnych dzieci, wnuków oraz potomków jedynej siostry, Heleny Izdebskiej, stąd zawarty w tytule przymiotnik „niejawne...” Autor wyjaśnił we wstępie powody decyzji o niepublikowaniu materiałów do roku 2030. Obchody 70. rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim i towarzyszące jej dyskusje w prasie, radio i telewizji na temat roli Polaków w ratowaniu osób narodowości żydowskiej, niejednokrotnie budujące negatywną opinię, że to Polacy są najbardziej antysemitycznym narodem, sprawiły, że Kazimierz Sarnowski zmienił pierwotne stanowisko i dopisał Aneks. Za namową członków rodziny podjął decyzję, by maszynopis wspomnień przekazać do działu rękopisów Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie. Uczynił to za pośrednictwem swojej córki (mojej siostry) Marii Staniszewskiej, kustosa Muzeum Teatralnego w Warszawie. Kilka miesięcy później otrzymał od pracownika Instytutu, p. Aleksandry Bańkowskiej podziękowanie z informacją o przyjęciu relacji do Archiwum ŻIH-u (numer akcesji 15/2013). W piśmie z 16 października 2013 r. można przeczytać: „Jest to niezwykła opowieść, bardzo szczerza i bardzo prawdziwa. Na ile się orientuję, takich relacji jest bardzo niewiele – mamy sporo zeznań osób uratowanych, zaś zeznania osób pomagających Żydom bardzo często są ogólnikowe i nie zawierają takich detali, jak np. opisana przez Pana narada rodzinna

w sprawie zorganizowania codziennej pomocy ukrywanym. Również opisanie kontekstu powojennych stosunków jest ogromnie ważne²”.

Zanim nadeszła odpowiedź z ŻIH-u, Ojciec za namową drugiej mojej siostry, Małgorzaty Żbikowskiej, w lipcu 2013 r. zgodził się, by zareagować na apel Radia Maryja, w sprawie przekazywania wszelkich relacji dotyczących ratowania ludności pochodzenia żydowskiego przez Polaków. Siostra przesłała „Niejawne zapiski...” do Torunia, wraz z własnym świadectwem – wspomnieniem o dziadkach Sarnowskich, prowadzących bardzo pobożny, skromny i surowy tryb życia. Rok po śmierci taty, w 2018 r. podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej, Małgorzata z własnej inicjatywy zostawiła wspomnienia Ojca w zwiedzanym Instytucie Yad Vashem. Stało się to początkiem procesu badawczego historyków z Izraela. Jego uwieńczeniem stało się postanowienie Rady ds. Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przy Instytucie Pamięci Narodowej Yad Vashem, przyjęte na posiedzeniu w dniu 6 sierpnia 2019 r., o odznaczeniu Marianny i Stanisława Sarnowskich oraz ich syna Kazimierza Medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Tytuł i medal przyznano w dowód uznania, że „z narażeniem własnego życia ratowali Żydów prześladowanych w latach okupacji hitlerowskiej. Imiona ich uwiecznione będą na honorowej tablicy w Parku Sprawiedliwych wśród Narodów Świata na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie”. Uznano, że rodzina z Hołowczyc–Kolonii udzieliła pomocy ośmiu osobom: Icchakowi Rozenbergowi, Lejb Ariel Rozenbergowi, Motylowi Rozenbergowi, Sepselowi Rozenbergowi, Arie Libermanowi, Szymonowi Szonszajnowi, Welwelowi Włodawerowi, Icchakowi Włodawerowi. Medal wraz z dyplomem honorowym, datowanym na dzień 18 sierpnia 2020 r., z powodu pandemii został wręczony kilkanaście miesięcy później. 15 grudnia 2021 r. odebrali je potomkowie Marianny i Stanisława Sarnowskich podczas uroczystej ceremonii, której organizatorem była Ambasada Izraela w Polsce oraz Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Wśród uhonorowanych były jeszcze dwie inne polskie rodziny. Oprócz oficjalnych gości

² Pismo, które K. Sarnowski otrzymał z ŻIH-u w październiku 2013 r.

oraz potomków Sprawiedliwych obecni byli na uroczystości podlascy historycy–regionaliści, znawcy tematu: Pan Marek Jerzman, autor okolicznościowych artykułów prasowych, oraz Pan Rafał Zubkowicz, który wyszedł z inicjatywą opublikowania „Niejawnych zapisków do ostatniego rozdziału...” w „Roczniku Ziemi Sarnackiej”. Pragnę Panom oraz całej Redakcji serdecznie podziękować za taką możliwość.

W stosunku do oryginalnego, tekst został poddany nieznacznej redakcji i uzupełniony przypisami, które wyjaśniają bądź uściślają pewne zagadnienia.

Kazimierz Sarnowski

Niejawne zapiski do „ostatniego rozdziału”

Pisząc przed kilkoma laty wspomnienia z minionych lat, świadomie zrezygnowałem z szerszego omówienia działalności charytatywnej moich rodziców w okresie II wojny światowej, bowiem wspomnienia dotyczyły głównie mojej osoby. Podczas naszych spotkań rodzinnych nigdy nie wspominałem o tym, że Rodzice przez kilka miesięcy ukrywali rodzinę Icka Rozenberga i jego krewnego Arie Libermana. W niniejszych zapiskach pragnę opisać, jak do tego doszło. Podjęta w tej sprawie decyzja wymagała odwagi, bowiem w świetle nazistowskich przepisów groziła za to kara śmierci i represje w odniesieniu do członków rodziny, a także najbliższych sąsiadów.

Pragnę więc podzielić się tym ze swymi najbliższymi jeszcze „za dni naszych”, z zachowaniem poufności wobec szerszego grona. Moim życzeniem jest, aby to, co ujawniam, nie było nigdzie publikowane do roku 2030. Żyjemy bowiem w czasach nacjonalistycznej pogardy wobec osób udzielających pomocy Żydom podczas ostatniej wojny. U wielu naszych rodaków, zwłaszcza na Podlasiu Zachodnim, panuje przekonanie, że udzielana pomoc nie wynikała z dobrego serca, ale z wyrachowania. W niektórych przypadkach występująca zawiść uzasadniona jest tym, że wielu Żydów, uratowanych od zagłady, po wojnie zachowywało się nieprzyzwoicie. Szczególnie dotyczy to tej grupy, którzy przeżywali wojnę w Związku Radzieckim i powrócili do kraju, angażując się do służb bezpieczeństwa. Na przykład mieszkający do września 1939 r. we Franopolu k. Sarnak Dawid Kornhendler, urodzony w 1917 r., powrócił z Rosji Sowieckiej w 1944 r. w stopniu majora WP (porucznika, przyp. red.), jako wysoki funkcjonariusz

UB³. Był postrachem wielu swych rówieśników. Między innymi groził Zygmuntowi Baranowi⁴: „My się jeszcze spotkamy...” Nie wszyscy z uratowanych Żydów, którzy wyjechali na Zachód (często okreśną drogą), zachowało wdzięczność wobec swych dobroczyńców, dzięki którym przeżyli wojnę.

Do czasu wojny w osadzie Sarnaki zamieszkiwało ok. 1500 osób, w tym ok. 80% stanowili Żydzi. Nieliczna grupa Polaków zamieszkiwała obrzeża osady i zajmowała się rolnictwem. W społeczności żydowskiej najliczniejszą zbiorowość stanowili drobni rzemieślnicy, zajmujący się pokątną działalnością rzemieślniczo-usługową. Wielu prowadziło małe sklepiki, przeważnie branży żywnościowej. Jedynie trzy sklepy można było uznać za bogato zaopatrzone. Był to sklep „monopolowy” niejakiego Bira⁵, magazyn branży metalowej, prowadzący m. in. sprzedaż drobnych narzędzi rolniczych i garnków kuchennych oraz sklep materiałów tekstylnych Frydmana. Ten ostatni, rok przed wojną, przeniósł się do Drohiczyzna. Większość mieszkańców Sarnak stanowiła biedota żydowska, nie mająca stałego zatrudnienia. Niektórzy z nich zajmowali się handlem obnośnym (jak Kielman⁶, Rojska, Żelazo), skupem jaj i drobiu od rolników na wsi. Za zamożniejszych Żydów sarnackich uchodziło dwóch właścicieli młynów

³ W rzeczywistości Kornhendler został przerzucony do Polski w stopniu porucznika w celu prowadzenia działalności dywersyjnej w Armii Ludowej. Po wojnie posługiwał się zmienionym nazwiskiem Adam Kornacki i jeszcze w 1944 r. rozpoczął służbę w Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego PKWN. Kierował Wojewódzkim Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach, był wiceszefem WUBP w Poznaniu, Szczecinie i Wrocławiu. Przeszedł do wojskowej służby wywiadowczej. W 1958 r. wydany z wojska w stopniu podpułkownika. W 1969 r. wyjechał do Niemiec (RFN), występując kilkakrotnie w Radiu Wolna Europa.

⁴ Zygmunt Baran to kolega autora z Hołowczyc-Kolonii. Obaj byli żołnierzami ZWZ i Armii Krajowej.

⁵ Ajzyk Bir był właścicielem sklepu w rynku, przy ul. B. Joselewicza.

⁶ W relacjach polsko-żydowskich okresu międzywojennego charakterystyczne było posługiwanie się w określaniu żydowskich sąsiadów wyłącznie imionami. Polacy, słysząc obce, niezrozumiałe imiona, nie zawsze identyfikowali, czy mają do czynienia z imieniem, czy z nazwiskiem. Imieniem jest m.in. Kielman. Samymi imionami w określaniu Żydów z Sarnak i okolic posługuje się Kazimierz Sarnowski również w kolejnych akapitach jeszcze kilkakrotnie. Imionami są Nysel („bracia Nysel”), Einoch (Einoch Szerajzen, mleczarz z Mierzwic), Zelman (szewc), Aron (krawiec), Jenta (krawcowa). Te same imiona – a także nazwiska – bywają różnie zapisywane. Jest więc i Sepsel i Szepszel. Autor używał różnej formy zapisu nazwiska Rozenbaum/Rosenbaum oraz Szejnberg/Sztejnberg.

gospodarczych – Azrjel Rozenbaum⁷ i Icek Rozenberg. Pierwszy z nich na dwa lata przed wojną w swoim młynie zainstalował urządzenia prądotwórcze niskiego napięcia, zapewniając oświetlenie dla całej osady. Oprócz wymienionych młynarzy, do grupy osób zamożniejszych w miasteczku można by zaliczyć Buciego Szonszajna, właściciela dobrze prosperującej piwiarni, jego brata Szolko – cukiernika i wytwórcy smaczków lodów oraz napojów orzeźwiających, restauratora – Cukiera, a także właściciela ubojni rytualnej, posiadacza małej olejarni i gręplarni wełny owczej. Do lepiej sytuowanych Żydów sarnackich można zaliczyć także jedynego rolnika w tej okolicy – Jankiela Sztejnberga, który posiadał kilkuhektarowe gospodarstwo rolno-sadownicze. Staraniem Jankiela wybudowany został ok. 1923 r. parowy młyn gospodarczy, zlokalizowany na obrzeżach osiedla, od strony Rozwadowa. Młyn ten przekazał Jankiel swej córce, zamężnej z Ickiem Rosenbergiem, jako wiano. Dobrze powodziło się także jednemu ogrodnikowi w Sarnakach, który wraz z synem Srulem uprawiał ogród warzywny i prowadził detaliczną sprzedaż owoców i warzyw. Nieźle prosperowali bracia Nysel, prowadzący handel zbożem. W Mierzwicach niejaki Einoch prowadził sezonową mleczarnię i wyrób serów twarogowych. Na brak klientów w zakresie fryzjerstwa nie narzekał Szymon Szonszajn, syn piwosza Buciego.

Większość rzemieślników żydowskich żyła w ubóstwie. Niektórzy z nich wędrowali po okolicznych wsiach, poszukując ewentualnych usługobiorców (m.in. Kielman oraz Rojska, Żelazo zajmowali się handlem obnośnym i skupem jaj u rolników w okolicznych wsiach). Dało się zauważyć ubogiego szklarza, dźwigającego na specjalnych nosiłkach, zawieszonych na plecach, duże tafle szkła okienne. Mógł on „na poczekaniu” świadczyć usługi u poszczególnych rolników. Do moich rodziców często zgłaszał się szewc Zelman i krawiec Aron, aby przyjąć odpowiednie obstalunki. Nie raz korzystaliśmy z ich ofert. Należy stwierdzić, że usługi świadczone przez rzemieślników żydowskich zazwyczaj były wykonywane terminowo i solidnie. Różne artykuły żywnościowe moi

⁷ Faktycznie zakład energetyczny w Sarnakach uruchomili na przełomie lat 1936/37 Szaja Rozenbaum oraz Sruł Moszko Rozenbaum.



Fot. 2. Klasa szkolna (IVa) Heleny Sarnowskiej, starszej siostry Kazimierza. Na odwrocie Helena wypisała nazwiska 29 dzieci (wszystkich jest 31), a wśród nich 13 Żydów. Są to m.in. Lejbko Zylbernagiel, Ejdl i Endla Kapłanówne, Endla Zejerman, Maria Dimentman, Sura Mandelbaum, Ryfka i Sura Szonszajnowne, Esta Feldman, Fryma Fajgenbaum i Ryfka Lancman.

rodzice kupowali przeważnie u Icka Wajsmiana, a materiały ubraniowe nabywali u niejkiej Jenty (krewnej i sąsiadki Wajsmiana). Zboże męł ojciec u I. Rozenberga, zazwyczaj otrzymując mąkę dobrej jakości. Tak wyglądała sytuacja ekonomiczna sarnackich Żydów i nasze relacje z nimi do czasu drugiej wojny światowej.

Już trzeciego dnia wojny (w niedzielę) lotnictwo niemieckie dokonało nalotu na Sarnaki. Dwie bomby małego kalibru eksplodowały na obrzeżach osady, przy drodze do Rozwadowa, a trzecia bomba wybuchła przy ulicy Kościelnej, w pobliżu zabudowań Tydego i domu Szapirów, gdzie mieścił się warsztat naprawy rowerów, raniąc śmiertelnie młodą Żydówkę, nowo poślubioną żonę fryzjera Szymona Szonszajna. Nalot ten spowodował, że niektórzy Żydzi na parę dni przenieśli się na wieś. Jankiel Sztejnberg,

wraz z restauratorem Cukierem i jego małymi dziećmi przyjechali wozem konnym do rodziny Sarnowskich na kolonii Hołowczyce, gdzie pobyli przez dwa dni. Lotnictwo niemieckie nadal przez wiele dni próbowało zniszczyć most kolejowy na Bugu we Fronołowie.

Duży niepokój u ludności polskiej i żydowskiej zaznaczył się w drugiej połowie września 1939 r., podczas zbliżania się do stolicy wojsk niemieckich oraz niespodziewanego napadu na Polskę Rosji Sowieckiej. Zaznaczyło się groźne niebezpieczeństwo upadku Państwa Polskiego. Wkrótce został zawarty kolejny układ niemiecko–rosyjski w sprawie rozbioru Polski i utworzenia wspólnej granicy na Bugu i Sanie. Rozpoczęła się masowa ucieczka Żydów sarnackich za linię Bugu. Do najbliższych miasteczek za Bugiem: do Siemiatycz, Drohiczyna i Ciechanowca, a także dalszych miejscowości przesiedlali się Żydzi z Sarnak. Trwało to do końca listopada 1939 r., tj. do czasu tzw. „zamknięcia granicy” stref. Po tym terminie dokonywano tylko cichych przepraw łodzią, pod osłoną nocy, przez umówionych przewoźników. Natomiast z tamtej strony Bugu, na stronę zachodnią, pozostającą pod okupacją niemiecką, przybywali liczni Polacy. W Sarnakach m.in. osiedlił się Stanisław Marciniak, pochodzący z Pińska, zwany „Pińszczakiem”. Prowadził on sklepik z artykułami żywnościowymi. Zajmował się także fotografią. Według mego szacunku za Bug przepравиło się z Sarnak ok. 1000 Żydów, tj. 2/3 ogółu stałych mieszkańców. Przeważnie uciekali ludzie młodzi – chłopcy i dziewczęta, oraz młodociani wraz z rodzicami. Na miejscu pozostali przeważnie ludzie starsi, pamiętający Niemców sprzed I wojny światowej. Do tych należał m.in. Bucio Szonszajn. Pozostał na miejscu także sędziwy rabin Abraham Kac. Natomiast jego trzech synowie, córki Buciego, syn i córka Szolki i wielu innych przesiedliło się na Wschód. Wyjechała również rodzina I. Wajsmiana, gdzie przeżyła wojnę.

Żydzi pozostający w Sarnakach pod okupacją niemiecką mieli zakaz oddalania się od swych siedzib, byli zobowiązani do świadczenia pracy przymusowej, na przykład do odśnieżania dróg. Byli nękani różnymi podatkami. Były to dla nich pierwsze niedogodności. Najgorsze miało nastąpić nieco później. Fryzjer Szymon Szonszajn otrzymał „przepustkę”



Fot. 3. Kazik Sarnowski na rowerze, prawdopodobnie w Sarnakach na ul. Kolejowej

i nakaz dochodzenia dwa razy w tygodniu do Platerowa. Miał obowiązek strzyżenia i golenia zakwaterowanych tam żandarmów oraz funkcjonariuszy Gestapo. W dni wolne chętnie obsługiwał Polaków, przeważnie kolegów szkolnych. Nie było jeszcze wydzielonego getta (specjalnie wyodrębnionej dzielnicy miasteczka). Przeważnie zamieszkiwali we własnych domach. Niektóre domy były niezamieszkałe. Niejaki Pająk z Chłopkowa zajął i prowadził restaurację po Cukierze. W 1943 r. został on, wraz czterema młodymi Polakami, rozstrzelany przez Niemców z nieznanych powodów.

22 czerwca 1941 r., w pierwszym dniu inwazji niemieckiej na Wschód, w wyniku nalotu sowieckiego lotnictwa na Sarnaki i zrzucenia bomb zapalających, spłonęła ponad połowa żydowskich domów mieszkalnych. Wybuchł wielki pożar, który ogarnął rynek i całą ulicę Berka Joselewicza, z głębokim zapleczem, w kierunku południowo-zachodnim. Wszystko spłonęło do cna. Pozostały tylko szczątki kominów i kłęby blach z pokryć dachowych. Wszyscy pogorzelcy zostali dokwaterowani do budynków

ocalałych od ognia. Wnet oznaczono tymczasową (niestrzeżoną) strefę tzw. getta, położoną na zachód od spalonego rynku, w kierunku szkoły powszechnej, częściowo zajętej przez wojsko niemieckie. Na początku października 1942 r. rozeszła się pogłoska, że wkrótce getto sarnackie będzie zlikwidowane, a jego mieszkańcy przeniesieni do Łosic bądź do Siedlec, miejsc ściśle strzeżonych⁸. Musiało to zaniepokoić znękanych Żydów. Wielu z nich obmyślało sposoby ukrycia się, celem uniknięcia owej „przeprowadzki”.

W połowie października w niedzielę, gdy ojciec wracał z kościoła, zatrzymał go Icek Rozenberg, stojący w pobliżu swej posesji, przy młynie i zaprosił do swojego mieszkania. Chyba poczęstował sznapsem. Powiedział, że chciałby przeprowadzić poufną rozmowę. Zapytał, czy ojciec byłby skłonny przez pewien czas przechować go u siebie, wraz z trójką synów. Zapewniał, że w pełni pokryje koszty utrzymania. Ojciec wyjaśnił, że żona jest słabego zdrowia i nie wie, czy będzie w stanie podołać temu zadaniu. Musi wpierw przeprowadzić naradę rodzinną i da odpowiedź za dwa dni. Radził Ickowi, aby przeprowadził on podobny sondaż także z innymi gospodarzami, gdzie w razie konieczności nagłego opuszczenia kryjówki u nas, mógłby się przenieść do innego gospodarza. Jeszcze tego samego dnia podjęliśmy naradę rodzinną (oboje rodzice z moim udziałem), na której poddawaliśmy rozważaniom następujące problemy:

- miejsce i sposób zorganizowania kryjówki;
- potrzeby aprowizacyjne, sposób i rodzaj podawanych posiłków;
- problem zwiększenia częstotliwości pieczenia chleba;
- możliwości uzupełnienia pieczywa poprzez zakupy zewnętrzne;
- zachowanie ścisłej tajemnicy wobec innych członków rodziny;
- warunki szybkiej ewakuacji podopiecznych w przypadku zagrożenia, itp.

⁸ Faktycznie getto w Sarnakach zostało zlikwidowane w dwóch etapach. W maju 1942 r. większość mieszkańców przesiedlono do Mórd i Łosic. 22 sierpnia zlikwidowano oba getta, pieszko przepędzając mieszkańców do Siedlec, skąd bezpośrednio wysłano ich do Treblinki. Do jesieni w Sarnakach pozostawiono obóz pracy (podobny obóz istniał w Łosicach), przetrzymując w nim ok. kilkadziesiąt osób, zatrudnionych na stacji kolejowej w Platerowie. W Sarnakach zostali również Rozenbergowie, właściciele młyna vis-a-vis dworu. Rodzina Rozenbergów nie została zmuszona do przesiedlenia się na teren getta.

Miałem wówczas ukończone 19 lat i byłem już zaprzysiężonym członkiem wojskowej konspiracji niepodległościowej. Rodzice liczyli się z moim stanowiskiem w tej złożonej sprawie. Wszyscy byliśmy jednego zdania, że należałoby pomóc w przetrwaniu nieszczęsnym Żydom, ale trzeba to tak przeprowadzić, aby ustrzec się zagłady całej rodziny własnej, by nie narazić też na represje sąsiadów. Byliśmy wyczuleni na to, aby nie dopuścić do popełnienia jakichś błędów w trakcie przygotowań do urządzania kryjówki, a także podczas przechowywania podopiecznych nie dawać pretekstu okupantom do przeprowadzania u nas rewizji (np. w przypadku powstania zaległości w realizacji obowiązkowych kontyngentów dostaw zboża i innych produktów). W toku wymiany myśli na poszczególne problemy doszliśmy do następujących wniosków:

- damy czasowe schronienie dla Icka i jego trzech synów na okres około trzech miesięcy, z możliwością ewentualnego nieznacznego przedłużenia;
- należy włączyć Icka i ewentualnie jego starszego syna do budowy schronu;
- ma on zapewnić sobie schroniska rezerwowe u innych gospodarzy i zachować zdolność niezwłocznego opuszczenia kryjówki u nas, w wypadku zagrożenia;
- posiłki, szczególnie obiadowe, będą jednodaniowe, z przewagą dań mącznych, zupy – przeważnie jarzynowe, w miarę możliwości z wkładką mięsną niekoszerną, śniadania i kolacje będą składały się przeważnie z mleka i zup bądź kompotów, z przydziałem pieczywa wg potrzeb;
- miski oraz łyżki będą myte i przechowywane przez konsumentów. Celem uniknięcia „namiarów” z zewnątrz, naczynia zbiorcze pokarmów (garnki) podczas przenoszenia do schronu będą ukryte w wiadrze lub koszyku;
- podczas pieczenia chleba w piecu domowym ja będę służył Mamie pomocą w trakcie jego miesienia (po dodaniu mąki do tzw. rozczynu chlebowego).



Fot. 4. Marianna i Stanisław Sarnowscy, rodzice Kazimierza. Zdjęcie z ok. 1965 r.

Po dwóch dniach ojciec spotkał się z Ickiem i dał mu odpowiedź pozytywną. Przedstawił mu też uwarunkowania realizacji tegoż. Nadmienił, że nie jesteśmy w stanie zapewnić możliwości utrzymania „schroniska” na czas nieokreślony, np. do końca wojny, z uwagi na słabe siły żony (która nie będzie mogła liczyć na ich pomoc w sprawach kulinarnych). Podkreślił konieczność zapewnienia przez podopiecznych możliwości rychłej przeprowadzki, w razie ewentualnego zagrożenia. Nadmienił przy tym, że zalega jeszcze z dostawą trzech kwintali zboża kontyngentu, nakazanego przez gminę. Sołtys ostrzegał, że przewidziane jest „komisyjne sprawdzanie”, czy wszystkie zboże zostało wymłócone. Dotyczyło to gospodarzy zalegających z realizacją kontyngentu.

Icek dziękował za uwzględnienie jego trudnej sytuacji. Zapewniał, że ma wstępnie uzgodnione także inne miejsca do ewentualnego przekwaterowania. Mówił, że nie może poddać się przymusowemu ewakuowaniu przez Niemców do innego getta (do Łosic), co miało nastąpić „lada dzień”. Powiedział, że przedstawione warunki w pełni odpowiadają mu. Na poczet „wsadu” na zakwaterowanie przekazał 50 kg mąki pszennej i ok.

100 kg mąki żytniej na chleb. Wyrównanie za koszty miesięcznego utrzymania miały być regulowane sukcesywnie. Z własnej inicjatywy wpłacił 250 zł na zakup trzech kwintali owsa, jako najtańszego zboża, na uregulowanie zaległego wymiaru kontyngentu. Uzgodniono, że następnego dnia o świcie zgłosi się on wraz z synem do pomocy przy budowie schronu, który będzie budowany w stajni, według wskazań gospodarza.

Tato zgromadził odpowiednią ilość desek i żerdzi potrzebnych do wykonania schronu, ja zaś przygotowałem ze swoich „zapasów” – przejętych w ubiegłym roku po Niemcach – belę papieru woskowanego, nadającego się do uszczelnienia pułapu i boków tegoż przybytku, w wykopie stajni. Zgodnie z umową zjawił się Icek z dwoma synami: najstarszym Lejbkiem (moim rówieśnikiem i kolegą szkolnym) i młodszym o dwa lata – Motylem, oraz niezapowiadany wcześniej Arie Libermanem z Łosic, urodzonym w 1923 r. krewniakiem Icka, który miał być włączony do ich rodziny ukrywających się. A więc przybyła jeszcze jedna osoba do zakwaterowania i wyżywienia. Pracując na zmiany, pod kierownictwem Taty wykopali w stajni głęboki na ok. 2,5 m dół⁹. W każdym rogu wykopu umieszczone zostały filary w postaci słupów nośnych, przy których dokonano oszalowania oraz uszczelnienia ścian i sufitu wykopu. Ułożono podłogę i wykonano stosowną „kosmetykę”. Schron posiadał dwa przedziały. Po jednej stronie podłużnej zostały wykonane trzy poziome legowiska do spania, a po drugiej stolik i schowek na naczynia kuchenne i zapas wody oraz ława do siedzenia. Wydzielony został kącik na przechowywanie bagażu ręcznego. Wejście do schronu o wymiarach ok. 75x75 cm znajdowało się w sąsiedniej przybudówce (kurniku). Owo wejście było niezamykane. Służyło także do cyrkulacji powietrza. W kurniku, obok wejścia do schronu, zawsze znajdował się uszykowany kłęb słomy do ewentualnego zasłonięcia w przypadku zagrożenia. Jednakże korzystanie z owej „przysłony” przez dłuższy czas, np. przez ponad godzinę, mogłoby spowodować duszności. Było to dużą niedogodnością w przypadku konieczności dłuższego korzystania z owej „przysłony”.

⁹ Autor podaje, że schron miał wymiary 4,5 na 5 metrów (czyli 22,5 m²), co wydaje się aż nadto nieprawdopodobne.

Rozenbergowie przenieśli się do nas 28 października 1942 r., wyprzedzając o dwa dni zapowiadaną przez Niemców przymusową wywózkę Żydów z Sarnak. Zagospodarowanie schronu odbyło się sprawnie. Lokatorzy byli zadowoleni z pomysłowego wykorzystania powierzchni „mieszkalnej” w schronie. Na górnej półce leżakowej spoczywał senior – Icek, na środkowej sypiali razem dwaj synowie Motyl z Sepselem, a na samym dole Lejbko z Libermanem. Nie było warunków na urządzenie pięciu oddzielnych miejsc sypialnych. Wolna ławka przy stoliku służyła do siedzenia w ciągu dnia oraz do spożywania posiłków. Było wiele pochwał dla gospodyni za urozmaicanie smaczków w postaci zup jarzynowych i różnego rodzaju barszczów.

Ta „cieplarniana” atmosfera już po pierwszych kilku dniach uległa pogorszeniu, gdy niespodziewanie, pośród nocy (bez uprzedniego porozumienia się z gospodarzem) zgłosiło się do naszych „podopiecznych” dwóch wnuków Jankiela Szejnberga. Byli to bracia Włodawerowie: Welwel (18 lat) i Icchack (16 lat), którzy przybyli do Sarnak już po wywiezieniu stąd Żydów. Przyjechali z Warszawy, po udanej ucieczce z tamtejszego getta. Przez parę dni błądzili po lesie, w okolicach kolonii płoskowskich, korzystając ze wsparcia innych Żydów pochodzących z Sarnak, którzy tam się ukrywali. Jeden z tamtejszych Żydów, zaprzyjaźniony ponoć z Ickiem Rozenbergiem (ich wujkiem) poinformował chłopców o miejscu ukrywania się rodziny I. Rozenberga. Człowiek ten udzielił im szczegółowych wyjaśnień, jak się dostać na kolonie hołowczyckie. Gdy tu dotarli, spytali jednego z gospodarzy, gdzie mieszka pan Sarnowski. Taką „legendę” dawali przybysze na nasze dociekania, jak to się stało, że dotarli do nas, skoro nigdy przed tym nie byli w tej okolicy. Wyjaśnienia chłopców na ten temat były pokrętne i nieprzekonywujące. Nie mogło to nie niepokoić gospodarzy. Byliśmy przekonani, że musiał ich ktoś przeprowadzić do nas, znający dobrze te okolice. Ojciec w rozmowie z Ickiem wyraził swoje nieukontentowanie z zaistniałej sytuacji. Ten przeproszał i zapewniał, że za kilka dni sprawa zostanie rozwiązana. Przypuszczał, że uda się mu przenieść chłopców gdzie indziej. Ojciec wskazywał, że w ten sposób pogarszają się ich warunki bytowe (nadmierne „zagęszczenie”

schronu, zwiększanie potrzeb aprowizacyjnych, głównie chleba). Nurtował nas problem, czy nie została naruszona tajemnica miejsca pobytu Icka Rosenberga. Schron nie był przystosowany do tego, aby zamieszkiwało w nim więcej jak pięć osób. Pobyt braci Włodawerów przedłużał się. Trwał ponad dwa tygodnie.

Rozenbergowie, po odbyciu narady ze swymi współtowarzyszami niedoli, wspólnie doszli do przekonania, że bracia Włodawerowie powinni przenieść się do lasu. Rezolutni chłopcy bez desperacji przyjęli owe postanowienie. Imponowała mi ich zdecydowana, chwacka postawa. Chciałem im jakoś pomóc. Podpowiadałem więc, że na budowę schronu – ziemianki najbardziej nadaje się gęsto zadrzewiona enklawa młodego lasu, o bujnym podszyciu, zwana Płoszczą. Powinni w biały dzień zwiedzić ten teren i wybrać miejsce na schron. Gdy mieli już zrobione wstępne rozpoznanie terenu, mogli przystąpić do realizacji. Przydzieliłem im niezbędne narzędzia pracy (siekierę i dwa szpadle) oraz duże płyty cienkiej papy i arkusz papieru woskowanego, na uszczelnienie pułapu schronu. Następnym razem, przed przeprowadzką zabrali ze sobą wiązkę słomy, dla wymoszczenia podłoża schronu. Mogli poruszać się w dzień, bez obawy spotkania się z innymi ludźmi. Podchodzili do lasu mało uczęszczaną dróżką. Czuli się tam względnie bezpieczni. Przychodzili do nas przez kilkanaście dni po prowiant i zapasy wody. Udało się im nawiązać kontakt także z innym mieszkańcem Kolonii Hołowczyce. Napisali bardzo obszerny list do swego kuzyna Bluma zamieszkałego w Brooklynie w USA, z opisem swej niedoli. List ten wraz z niektórymi dokumentami pozostawili u mnie, z prośbą, abym to wysłał pod wskazany adres w przypadku, jeśli nie uda się im doczekać wolności i końca wojny. Nie mogłem odmówić im tej przysługi. Podziwiałem ich zaradność życiową. Szczerze polubiłem tych chłopców. Ich optymizm na nadejście lepszych czasów zmalał, a trudności spotęgowały się, gdy nastała zima i ziemia została pokryta śniegiem. Każde wyjście i dojście do schronu pozostawiało ślady. Nie wiem, dlaczego podjęli decyzję dołączenia do grupy Żydów ukrywających się w lasach Płoskowszczyzny. Przenieśli się tam pod koniec 1942 lub na początku 1943 roku.

Hitlerowcom łatwo udawało się wykrywać ziemianki Żydów ukrywających się w lasach. Urządzali liczne oblawy. Wykryli schrony żydowskie w lasach Płockowszczyzny, gdzie zastrzelono kilkunastu Żydów sarnackich, w tym braci Włodawer z Warszawy. W lasach mierzwickich odnaleźli kryjówkę tamtejszego mleczarza Einocha i zamordowali go. A zdawało się, że zbliża się koniec wojny. Siły oręża niemieckiego z każdym miesiącem słabły, ale jeszcze trzymały się mocno. Zaostrzał się terror i trwało polowanie na Żydów.

Resztki Żydów z Sarnak przesiedlono do Łosic i Mord, a następnie do Siedlec, skąd stopniowo byli przewożeni do miejsca zagłady w Treblince¹⁰. Niektórzy z nich w ostatniej chwili przed „przesiedleniem” ratowali się ucieczką. Kilkunastoosobowa grupa mężczyzn i kobiet będących w średnim wieku, tej krytycznej nocy (przed wywózką) schroniła się w samotnie stojącej stodole Józefa Szummera, na gruntach pod Chlebczynem. W grupie tej znalazł się również Szymon Szonszajn¹¹. Doszedł on do wniosku, że w wieloosobowej grupie są nikłe możliwości przetrwania. Postanowił oddalić się. Samotnie udał się do Edmunda Miłkowskiego w Sarnakach, gdzie zabawił dwie doby. Później poszedł do innego swego kolegi szkolnego, który nie odmówił

¹⁰ Autor łączy likwidację getta sarnackiego (maj) z likwidacją obozu pracy (listopad 1942 r.) Patrz przypis nr 6.

¹¹ Szymon Szonszajn tak opisuje te dramatyczne chwile: *27 listopada 1942 roku mieli się Żydzi skoncentrować w trzech miastach – Warszawa, Siedlce i Lublin. Niemcy ogłosili, że w tych miastach będą mogli Żydzi żyć swobodnie. Ale ja przestałem Niemcom wierzyć i postanowiłem uciec z getta. Poszedłem do [gospodarza], który mieszkał koło cmentarza żydowskiego. On mnie przyjął, ale nad ranem, gdy usłyszał strzały i krzyki Niemców, którzy pędzili Żydów do pociągu, do Platerowa, to się przestraszył i kazał mnie natychmiast odejść. Ponieważ był jasny dzień, udało mnie się go przekonać, aby mnie pozwolił wejść na strych stodoły, która była niewykończona, tak, że gdyby mnie ktoś odkrył, to on by za to nie odpowiadał, bo każdy mógł tam wejść. Gdy przyszedł w nocy, [...] znalazł mnie prawie zamarzniętego. Po wlaniu kilku gorących szklanek mleka do moich ust, przyszedłem do siebie. I wtedy zaczęła się moja tragiczna wędrówka. Pewnej nocy znalazłem się bez sił, mokry, zabłocony pod oknem Helenki. Stałem około godzinę, drżący z zimna i ze strachu i patrzyłem, jak ona przedzie na kołowrotku. Gdy zauważyłem, że zamierzają iść spać, zastukałem w okno. Edward wyszedł i zabrał mnie do mieszkania. Wtedy pierwszy raz zabłysnęła we mnie nadzieja, że mogę przeżyć i tego nigdy nie zapomnę. Wiedziałem, że są jeszcze ludzie o litościwym sercu. Dalszy ciąg jest Ci znany, bo mój los był po największej części związany z Waszą rodziną, czego nigdy nie zapomnę.*

mu pobytu przez 24 godziny. I tak rozpoczęło się jego „kolędowanie” po znajomych przez kilka miesięcy, nim znalazł stałą kwaterę. Jak sam mi opowiadał – nikt przed nim nie zamykał drzwi. Wszędzie mógł tam ponownie zajrzeć po pewnym czasie. Wkrótce zjawił się u mego szwagra – Edwarda Izdebskiego w Rozwadowie. Izdebscy mieszkali wówczas bardzo skromnie. Dysponowali mieszkaniem jednopokojowym, do którego była dobudowana obora ze stajnią. Samotnie stojąca duża stodoła nie była w pełni wypełniona słomą lub sianem, gdzie byłaby możliwość ukrycia gościa. Do dyspozycji dla przybysza mogli zaproponować jedynie strych nad obórką¹². Tam, przez szczeliny desek szczytowych mógł prowadzić obserwacje przedpoła. Przez środek podwórza Edwarda przechodziła „pozaplanowa” droga, skracająca pętlę gościńca i drogi przekątnej do Fronołowa. Mógł tam wówczas rozpoznać niejedną znajomą twarz przejeżdżających tą drogą. Tamtędy przeważnie jeździli niemieckie podwozy z Fronołowa do Sarnak po piwo, eskortowane przez uzbrojonych grenzschutzów¹³. Mógł niekiedy z ukrycia oglądać ich. Szymon był zawsze schludnie ubrany i ogolony. Nosił długą jesionkę, która służyła mu często za kołdrę.

Nie znaliśmy się jeszcze z nim osobiście, gdy pod koniec listopada 1942 roku przyprowadził go do nas Edward Izdebski. Obaj nie wiedzieli, że przetrzymujemy rodzinę Icka Rozenberga. Poczęstowaliśmy Szymona kolacją i zaproponowaliśmy przespanie się na sianie w stodole. Taki „podróżny”, zagrzebany głęboko w sianie mógł nie tylko się skryć, ale również dobrze znosić niską temperaturę, ogrzewając się wydychanym

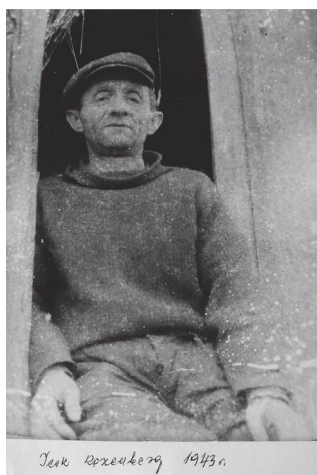
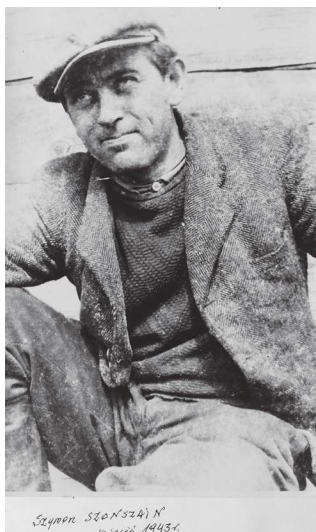
¹² Helena i Edward Izdebscy byli wówczas rodzicami trójki małych dzieci. W liście do Kazimierza z 18 grudnia 1982 r. Szymon Szonszajn tak opisuje jeden z noclegów w Rozwadowie: *Kochany, piszę ten list w czterdziestą rocznicę opuszczenia naszego domu, kiedy leżałem nad biedną oborą Izdebskich, kiedy to Twoja siostra Halinka [właśc. Helenka] dzieliła się ze mną każdym kęsem chleba, którego do syta nie było w domu i tego nigdy nie zapomnę. Opowiadałam mojej żonie, a teraz to aktualne, że w nocy w Wigilię Bożego Narodzenia, przyniosłeś mnie kawałek upieczonego zająca, którego ty sam złapałeś w sidła na Płoszczu. Na takich i tym podobnych opowiadaniach przechodzą nam wieczory.*

¹³ Grenzschutz po niemiecku oznacza straż graniczną. Niemiecka straż graniczna strzegła granicy na Bugu, która do lata 1941 r. dzieliła Generalne Gubernatorstwo od ZSRR, a następnie od obwodu białostockiego, włączonego bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej.

powietrzem. Odprowadzając gościa na spoczynek, musiałem pouczyć psa, aby poznał przybysza i nie robił hałasu. Pies przyjaźnie machał ogonem, co oznaczało, że dobrze zrozumiał o co chodzi. Rano, gdy przyniosłem posiłek naszym podopiecznym, poinformowałem Icka, jako lidera grupy, że w stodole przebywa Szymon „Bucio”. Tak go powszechnie nazywano od imienia ojca. Spytałem, czy ma chęć zobaczenia się z nim. Odpowiedział, że chyba będzie lepiej, jeśli Szymon nie dowie się, że oni przebywają u nas. Uznałem, że jest to realistyczne stanowisko ze strony Icka. Okazało się, że nie były to szczere słowa. Spotykali się oni potajemnie zawsze, kiedy tylko Szymon przychodził do nas. Do końca nie ujawniali tego wobec gospodarza. Była to podwójna konspiracja, czyli „konspiracja w konspiracji”.

Warto odnotować jeden z przypadków pobytu u nas Szymona. Było to w listopadzie lub w grudniu 1942 roku, kiedy przechowywaliśmy Rozenbergów. Późno wieczorem zjawił się zmarznięty Szymon. Nie zdejmując płaszcza, usiadł sobie przy palącym się kominku, dokładając do niego drewna. Chciał się trochę ogrzać. Mama krzątała się przy kuchni, przygotowując mu jakiś poczęstunek. Wtem zaszczeakał pies i słyhać było kogoś wchodzącego do przedsionku. Trzeba było natychmiast ukryć Szymona, więc wprowadzono go do małej, nieogrzewanej spiżarki, znajdującej się obok kuchni. Nie było z niej innego wyjścia. Przyszedł kum Domański¹⁴, który długo gawędził nie zabierając się do wyjścia. Po jakimś czasie kum spytał, czy może u nas przenocować, bo obawia się aresztowania za niezrealizowane w pełni dostawy zboża na kontyngent. Czy można odmówić sąsiadowi tej przysługi? Ale wszyscy martwiliśmy się, jak wyprowadzić z komórki Szymona. Tata przyniósł do mieszkania snop słomy, aby zrobić posłanie, ale kum nadal gawędził. Gdy wreszcie pan Domański wyszedł, aby załatwić potrzeby fizjologiczne, wykorzystano ten moment, aby wypuścić Szymona do przedsionka. Skrył się on za drzwiami. Po ciemku obaj panowie rozminęli się. Szymon oddalił się zmarznięty i bez poczęstunku.

¹⁴ Sąsiad rodziców autora.



Część Żydów ukrywanych w gospodarstwie Sarnowskich. Z uwagi na ryzyko, jakie niesła pomoc Żydom, jej dokumentowanie było niezwykle rzadkie. Stąd unikalny charakter fotografii. Wykonał je w 1943 r. Kazimierz Sarnowski: Fot. 5. Szymon Szonszajn; Fot. 6. Icko Rozenberg; Fot. 7. Motyl Rozenberg; oraz sfotografowani wspólnie Fot. 8. Icko i Motyl Rozenbergowie.

W 1943 r. ogłoszono zarządzenie gauleitera lubelskiego¹⁵ o obowiązku odbycia rocznej Służby Budowlanej przez mężczyzn urodzonych w 1923 r. Z powołaniem na to zarządzenie otrzymałem na początku maja z Urzędu Pracy (Arbeitsamtu) wezwanie do stawienia się w dniu 25 maja w Radzynie, celem odbycia wspomnianej służby. Wynikało z tego, że moja przymusowa praca w charakterze robotnika leśnego nie zwalniała mnie z zaciągu do owej formacji. Toteż przerwałem pracę w lesie i postanowiłem zlekceważyć owe „wezwanie”. Aby zapobiec ewentualnym represjom wobec rodziców, Ojciec wniósł do Arbeitsamtu podanie o zwolnienie mnie z pracy w lesie, jako że jestem niezbędny do pomocy w gospodarstwie rolnym, celem wywiązywania się z realizacji wyznaczonych kontyngentów zboża i innych produktów. Nic nie wspomniano w podaniu o wymyślonej przez okupanta Służbie Budowlanej. Nie było takich podobnych zarządzeń w innych okręgach Generalnej Guberni. Na wniesione podanie Ojciec nie otrzymał odpowiedzi. Ja również nie miałem żadnych ponagleń lub zapytań, dlaczego nie zgłosiłem się do Radzyna. Niemniej trzeba było się liczyć z możliwością ścigania mnie. Początkowo za każdy dzień nieobecności w pracy nadleśnictwo naliczało 20 zł kary grzywny, której nie uiszczaliśmy wyjaśniając, że w tej sprawie zostało wniesione podanie do urzędu pracy i czekamy na rozstrzygnięcie. Dość uzasadniony był niepokój Ojca. Spotęgowało go jeszcze zwierzenie sołtysa – Szymona Rybaczuka, który uchodził za człowieka bardzo bojaźliwego wobec tyranii Niemców. Sołtys w rozmowie z Ojcem, niby poufnie, nadmienił, że doszły go słuchy, że Stanisław zbyt często dokonuje rozmaitych zakupów w mieście. Mogłoby to wskazywać, że dożywia jakichś konsumentów... Ktoś musiał to podpatrzeć...? Takiego niby to „ostrzeżenia” nie można było lekceważyć. Faktycznie ojciec dość często – nieraz dwa razy w tygodniu – jeździł wozem konnym do Sarnak, aby dokupić u zaprzyjaźnionych piekarzy parę bochenków chleba. Nie nadążaliśmy z pieczeniem go we własnym zakresie. Przy odżywianiu „domowników”

¹⁵ Hołowczyce-Kolonia, rodzinna wieś autora wspomnień, w czasie okupacji niemieckiej przynależała wraz z gminą Hołowczyce do dystryktu lubelskiego. Gmina Sarnaki była częścią dystryktu warszawskiego.

Dacie kiedy tylko będę,
 jak długo będę żył.
 o miłości twojej nigdy nie zapomnę,
 a za to dobrze zapłacić może
 jedynie tylko Bóg.
 Szepuł Rozenberg
 Wschronie, dnia 9 II 1943 r.

Aby przedko przyszedł Panie Boże
 życie. Kres naszej biedoty.
 Lepszą przyszłość Kieoty.
 Myśl o Tobie bez przerwy niezapominając
 w wolnej chwili Tobie oddana
 w gesty naszej wszędzie.
 Również Twoja zasługa będzie
 życie szczęśliwe. Niech Ci
 prosi o to wszędzie
 Rodzina Rozenbergów,
 Liberman i Włodawer.

Wschronie
 9 II 1943

Karty pamiątki, na których w lutym 1943 r. świadectwo wdzięczności dla Kazimierza Sarnowskiego odnotowali Rozenbergowie Fot. 9., a także Arje Liberman i bracia Włodawerowie Fot. 10.

rozmaitymi zakupami jarzynowymi było duże zapotrzebowanie na uzupełnianie posiłków pieczywem. A jak wiadomo – pieczywo świeże bardziej smakuje i więcej się go konsumuje. Była duża niewiadoma, jak postąpi okupant z tymi, co nie zgłoszą się do Służby Budowlanej. Zapaliły się aż dwie żarówki ostrzegawcze, do czego należało się ustosunkować, aby nie zostać zaskoczonym.

Wydaje się, że dobrze zrozumiał to również Icek Rozenberg, gdy oświadczyliśmy, że zachodzi konieczność rychłego ich przeniesienia do innego gospodarza. Dobiegała druga dekada maja 1943 r. Zbliżał się krytyczny dla nas 25 maja. Trzeba było działać.

Nasi podopieczni mieli na uwadze Mierzvice Stare. Była to bardzo ryzykowna decyzja z ich strony. W tej nadbużańskiej wsi, w budynku szkoły powszechnej, mieściła się placówka straży granicznej. Było tam zakwaterowanych kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Zwykle po wsi krążyło wielu pograniczników. Icek przed wyprowadzeniem od nas dał ojcu przyrzeczenie, że nigdy nie powie nikomu o przechowywaniu się u nas przez kilka miesięcy. Nie wiem, czy dotrzymał słowa wobec swych przyszłych dobroczyńców. Tylko do nas miał pełne zaufanie i nie ukrywał, dokąd się przeprowadza. My również nikomu z rodziny nie ujawnialiśmy faktu świadczenia bezinteresownej pomocy udzielanej Żydom sarnackim. O siedmiomiesięcznym pobycie u nas Icka Rosenberga z synami dowiedziała się moja siostra Helena ze szwagrem dopiero po wojnie. Wymagały tego zasady konspiracji.

Przeprowadzka Icka do Mierzwic została przeprowadzona w połowie maja 1943 r. Przez siedem i pół miesiąca pięcioosobowa grupa Żydów znajdowała się pod naszą opieką. Icek wcześniej nie uprzedził nowego gospodarza o terminie swego przybycia z rodziną. Mogło to stanowić dla niego duże zaskoczenie. Icek ze zrozumiałych względów nie mógł dotrzeć do Mierzwic. Swoje zamierzenia opierał na ubiegłorocznym porozumieniu. Nie było wiadome, czy są jeszcze aktualne. Chodziło o Jana Radzikowskiego, z zawodu kowala, szanowanego mieszkańca Mierzwic. Jego gospodarstwo znajdowało się na skraju wsi od strony północnej. Przylegało do Kolonii Mierzvice. Było oddalone ok. 150 metrów od

strażnicy. A więc wchodzili w „jaskinię lwa”... Icek ani nikt z jego grupy nie znał dobrze drogi od nas do Mierzwic. Zaoferowałem więc swą pomoc w postaci przewodnika. Byli już spakowani i gotowi do przeprowadzki. Każdy z nich miał płócienną torbę z osobistymi rzeczami i zmianą bielizny. Przed wyruszeniem w drogę odbyłem z nimi małą naradę, uzgadniając zasady poruszania się grupy w terenie. Zapowiedziałem, że będę szedł pierwszy, za mną w odległości około trzech metrów powinien iść Icek, za nim gęsiego jego synowie, według starszeństwa. Na końcu grupy powinien znajdować się Arie Liberman. Muszą dobrze uważać na prowadzącego. Jeśli ja zatrzymam się i podniosę rękę do góry – wszyscy mają się zatrzymać, a jeśli przykucnę – to wszyscy bezszelestnie kucają bądź kładą się na ziemi. Wyruszyliśmy w drogę, kiedy zapadł już lekki zmierzch. Jeszcze w naszej olszynie, służącej za pastwisko dla bydła, dokonałem sprawdzianu zasad poruszania się grupy podczas przemieszczania się w terenie. Weszliśmy na nieuczęszczaną o tej porze ścieżkę, prowadzącą do gęsto zalesionego zagajnika, zwanego Płuszczą. Później szliśmy połą drogą, na obrzeżach tego lasu, od strony północnej, wreszcie weszliśmy na otwarty teren gościńca, prowadzącego z Hołowczyc do Mierzwic. Mijaliśmy samotnie rosnący ponad stuletni dąb z krzyżem. Gościniec, którym wędrowaliśmy, prowadził do środka wsi Mierzvice, przepoławiając ją. Z uwagi na to, że po wsi mogły poruszać się patrole straży granicznej, do zabudowań J. Radzikowskiego należało przejść przez pole, poza budynkami gospodarczymi mieszkańców. Przypominałem o tym Ickowi, nakazując szybkie i bezszelestne poruszanie się. Dotarliśmy się do utwardzonej drogi (bruku), prowadzącej z Sarnak do Mierzwic, przy której po przeciwnej stronie drogi przylegała posiadłość Radzikowskich. Zbliżając się do końca wsi, gdy były już widoczne kontury budynków, zatrzymaliśmy się na chwilę przykucnięci, aby upewnić się, czy nie ma nikogo w pobliżu. Panowała zupełna cisza. Szybko więc przeskoczyliśmy tę drogę, docierając do parkanu otaczającego posesję. Po ciemku odnalazłem furtkę i całą grupą znaleźliśmy się na podwórku Radzikowskich. Na szczęście nie było psa i nie spowodował on hałasu. Schroniliśmy się w zadaszonej otwartej drwalni. Uważałem, że moja

rola jako przewodnika skończyła się. Na pożegnanie uścisnęliśmy sobie dłonie. Icek podziękował mi za sprawnie przeprowadzoną „akcję”. Ja zaś życzyłem im szczęśliwego przeżycia wojny. Przez zasłonki okien domu Radzikowskich prześwitywały skąpe promienie światła lampy naftowej. Radziłem Ickowi, aby upewnił się, czy nie ma tam w mieszkaniu kogoś obcego. Lepiej będzie, gdy zapuka lekko w okno, aby wywołać gospodarza i się z nim rozmówić. Szybko wycofałem się z obejść tego gospodarstwa, bacząc, aby mnie ktoś nie zauważył. Wracalem tą samą drogą. Niebawem byłem w domu.

Następnego dnia, z samego rana przystąpiliśmy z ojcem do likwidacji schronu. Przez wiele godzin usuwaliśmy szalunki i całe „umeblowanie” kryjówek. Trzeba było donieść z zewnątrz ziemię dla wypełnienia wykopu, ubić naniesioną ziemię, po czym na wolne miejsce nanieść obornik i ponownie urządzić tam stanowisko dla drugiego konia. Zauważyłem, że wewnętrzna ściana kurnika, tuż nad byłym wejściem do schronu zmieniła swój naturalny odcień, była brązowo-szara. Należało więc tę część ściany lekko rozjaśnić poprzez staranne umycie mydlinami.

Nie upłynęło nawet dziesięć dni od czasu wyprowadzenia się podopiecznych i nie odetchnęliśmy jeszcze po wzmożonych wysiłkach, gdy rozpoczęły się nowe kłopoty. Rankiem, gdy Ojciec wszedł do stodoły, by przygotować koniom obrok, niespodziewanie zastał tam Icka z synami (bez Libermana). Zmartwiony wielce Icek informował, że nie może skorzystać z wstępnie umówionego schronienia się w Mierzwicach i musi szukać innego lokum. Udało się mu umieścić tylko Libermana. Prosił więc, aby mogli tu pozostać przez parę dni. Ojciec współczując kłopotom Icka oświadczył, że dalszy ich pobyt u nas staje się bardzo niebezpieczny, ponieważ syn przerwał pracę przymusową w lesie i nie zgłasza się do Służby Budowlanej. Z każdym dniem może nastąpić rewizja policji. Istniejący schron został zlikwidowany, a w stodole za mało jest słomy, w której można byłoby się skryć. Radził, aby niezwłocznie rozpoczął rozmowy z innymi rolnikami w Kolonii Hołowczyce. W toku rozmowy Rozenberg oświadczył, że ma zamiar udać się na rozmowę z Józefem Kasjaniukiem (za rzeczką Rozwadówka). Przeprowadzona rozmowa

przyniosła pozytywne rezultaty. Następnego dnia mogli się przenieść do tego gospodarza. Do Rozenbergów został dołączony Szymon Szonszajn. Tam przeżyli do końca sierpnia 1944 r., tj. do czasu wkroczenia na te tereny wojsk Związku Radzieckiego.

Dopiero po wojnie informował mnie Szymon, że u Radzikowskiego w Mierzwicach przebywali Rozenbergowie zaledwie jedną lub dwie doby. Gospodarz oświadczył im, że nie widzi możliwości zapewnienia im schronienia. Po prostu obawiał się represji Niemców w przypadku wykrycia. Nie mając innego wyjścia, zaryzykowali cichy „przeskok” do sąsiada Ludwika Daniluka na Kolonii Mierzvice. Gospodarstwo to było również blisko położone przy strażnicy Niemców. Przez szpary stodoły widywali przechodzące patrole pograniczników. Daniluk oświadczył, że może zapewnić schronienie tylko dla jednego Żyda. Wybór padł na Arie Libermana. Przeżył tam do końca sierpnia 1944 r. Po wyjściu z ukrycia Liberman wyjechał do Łosic, gdzie objął młyn gospodarczy, należący do jego ojca. Natomiast młyn Rozenbergów w Sarnakach został zburzony wraz z mieszkaniem przez Niemców w 1944 r., gdy zbliżała się linia frontu.

Z garstki Żydów sarnackich przeżyło pod okupacją niemiecką – oprócz rodziny Icka Rozenberga – zaledwie kilkanaście osób. Byli to: A. Liberman, Szymon Szonszajn, syn ogrodnika o imieniu Srul Szulmajster, były robotnik browaru. Jeden samotny Żyd przechował się u nauczycielki Tomaszukowej. Nie wiem, gdzie przechowywała się sympatia Szymona Szonszajna, z którą ożenił się po wojnie. W Związku Radzieckim przeżyli chyba wszyscy tutejsi „emigranci”. Wielu z nich nacerpiało się głodu i chłodu. Sklepiarz Icek Wajsman pisał do mojego ojca w 1945 r. z dalekiego Władywostoku. Zapytywał, co u nas słychać. Może oczekiwał też jakiegoś wsparcia? Pośleliśmy mu 3 kilogramy cebuli i trochę fasoli, chociaż o nic nie prosił. Nie potwierdził jednak odbioru przesyłki i więcej już nie pisał. Ci, którzy przeżywali okupację niemiecką dzięki pomocy udzielanej przez Polaków, byli wystraszeni i zamknięci w sobie. Młody ogrodnik Srul podjął służbę w Milicji Obywatelskiej. Wkrótce zginął w potyczce z tworzącym się oddziałem partyzanckim Władysława Łukasiuka, ps. „Młot”. Członkowie MO w Sarnakach zostali „służbowo”

włączeni do pomocy funkcjonariuszom NKWD, którzy przeprowadzali obławę na „Młota”. Doszło do potyczki na skraju lasu w pobliżu Kisielewa. Poległo wówczas kilku enkawudzystów¹⁶.

Szymon Szonszajn wprowadził się do swego rodzinnego mieszkania nad piwiarnią i nie angażował się do polityki. Chciał nadal zajmować się rzemiosłem fryzjerskim. Długo jednak nie mieszkał w swoim domu. Po jakimś czasie okna jego mieszkania zostały ostrzelane z broni maszynowej przez nieznanego sprawcę. Icek Rozenberg próbował robić „interes” przy organizowaniu dostaw mąki na warszawską Pragę. Waław Radzikowski, syn Jana z Mierzwic, ożeniony w Sarnakach (być może w porozumieniu z Ikiem) objął grunty rolne i sad po Jankielu. Wkrótce pobudował dom mieszkalny i stodołę na tej posesji. Rozeszła się plotka, że „zbogacił się na Żydach”. Ponoć nieznani „cwaniacy” nałożyli na Radzikowskich pewną kwotę „cichej kontrybucji” za niesłuszne jakoby „zbogacenie się”. Tak relacjonował mi kolega Waław. Nie znam bliżej tej sprawy, ponieważ w tym czasie zamieszkiwałem na terenie Pomorza Zachodniego.

Szymon Szonszajn, przestraszony ostrzałem jego domu, razem z Rozenbergami wkrótce przenieśli się do Łosic, a następnie do Łodzi, gdzie zamierzali jakoś urządzić się. W Łodzi gromadziła się dosyć liczna kolonia Żydów. Pod koniec 1945 r. obaj zamieszkiwali już w Gdańsku. Szukali sposobu emigracji na Zachód. Dzięki zawartym znajomościom z Rosjanami, organizującymi przesiedlanie Niemców z ziem zachodnich do rosyjskiej strefy okupacyjnej, udało się im przedostać do Berlina Wschodniego, skąd „przeskoczyli” aż do Monachium, gdzie osiedlili się na dłużej. Z relacji Szymona wynika, że Icek Rozenberg niebawem ożenił się. Jego żoną została Żydówka pochodząca z Francji, z którą wyjechał do Paryża. Jeszcze gdy mieszkali na Pomorzu, zmarł średni syn Icka

¹⁶ Potyczkę milicjantów z oddziałem „Młota” opisuje J. W. Nowosielski (*Konspiracja w okolicach Sarnak 1939–1953*, Sulejówkę–Sarnaki 2001, s. 67–68). Do starcia doszło, gdy milicjantów wysłano do zabezpieczenia gręplarni w Mężeninie. Kazimierz Sarnowski w oryginalnym tekście błędnie podał nazwisko milicjanta. W rzeczywistości był to Sruł Szulmajster (nie Liberman). Szulmajster zginął na skraju wsi. Józef Kostecki, drugi z milicjantów, zdołał uciec i dostał się na Kolonię Klimczyce, gdzie został rozstrzelany. NKWD pojawiło się na miejscu dopiero następnego dnia. Nikt z enkawudzystów nie zginął.

– Motyl. Był to najbardziej rezolutny chłopiec z rodziny Rozenbergów. Nie znam okoliczności jego śmierci. Natomiast najmłodszy syn Icka – Sepsel w Niemczech rozpoczął naukę w zakresie szkoły średniej. Wraz ze swym bratem Moszkiem w 1948 r. wyjechali do USA. Tam Sepsel zrobił maturę i ukończył studia w zakresie filologii rosyjskiej. W latach sześćdziesiątych minionego stulecia wykładał język rosyjski na jednej z wyższych uczelni amerykańskich. Zmarł w 1968 r. na raka gardła. Z relacji Zofii Radzikowskiej (żony Wacława) z Sarnak wynika, że około 1965 r. przyjechał raz do Sarnak. Chyba chodziło mu o uzyskanie urzędowego potwierdzenia ich zamieszkiwania w Sarnakach? Jednakże nie usiłował dotrzeć do moich Rodziców¹⁷. Może za bardzo się spieszył? Faktem jest, że po wyjeździe za granicę żaden z Rozenbergów, a także Liberman nigdy nie odezwali się do nas korespondencyjnie, co bardzo bulwersowało pocziwego Szymona. Ten, który w sumie może ze trzydzieści razy przenocował w stodole i skorzystał z jakichś posiłków, stale pamiętał o naszej rodzinie i miał wiele słów uznania za ich spolegliwość. Bardzo ubolewał, gdy dowiedział się o przedwczesnej śmierci Edwarda Izdebskiego. A też miał swoje kłopoty. W Niemczech, w Monachium, po czteroletniej chorobie zmarła jego druga żona. Miała chyba niedowład układu krążenia naczyń obwodowych. Pisał, że był to skutek ukrywania się podczas okupacji niemieckiej¹⁸. Gdy tylko dotarł do wolnego Izraela, na początku lat pięćdziesiątych listownie dziękował swoim opiekunom polskim z okolic Sarnak, m.in. moim Rodzicom. Stale dopytywał się o mnie. Przysłał Rodzicom typową skrzynkę

¹⁷ W rzeczywistości Sepsel Rozenberg odwiedził Sarnaki w sierpniu 1962 r. podczas jakiejś oficjalnej podróży do Warszawy, wynajął taksówkę i dotarł do rodzinnej miejscowości. Krótka relacja z kilkugodzinnej wizyty została opublikowana w Księdze Pamięci (*Sefer Zikaron leKehilat Sarnaki*, Hajfa 1968, s. 310–312). Przeczytamy w niej o odwiedzinach na zdewastowanym cmentarzu, rozmowie, jaką odbył na rynku nt. nieobecności Żydów w Sarnakach i wizycie w rodzinnym gospodarstwie. Okres ukrywania się (1942–44) S. Rozenberg streścił jako „dwuletnią tułaczkę po lasach”.

¹⁸ Mowa o drugiej żonie Szymona Szonszajna, w zachowanej korespondencji jest tylko jedna wzmianka. W liście z marca 1952 r. Szymon Szonszajn pisze do S. M. Sarnowskich o śmierci swojej żony: *W Palestynie jestem trzy lata, jestem sam bez rodziny, bez siostry z rodzicami. Żona moja umarła w Niemczech, chorując cztery lata. Przekłète życie w lasach hołowczyckich zgryzło jej młode życie.*

pomarańczy. Paczka, nadana w porcie Jaffa, nadeszła w idealnym stanie. Było to „wydarzenie” szeroko komentowane w rodzinie. Nawiązaliśmy korespondencję, utrzymywaną przez wiele lat, aż do jego śmierci. Gdy jego szwagier, Jochel Szapiro wraz z żoną Sarą (siostrą Szymona, oboje przeżyli wojnę w Związku Radzieckim), jechali w latach osiemdziesiątych z wycieczką z Izraela do Warszawy, obligował ich do odwiedzenia mnie. Nie bacząc na koszty wynajęli w Warszawie taksówkę i przyjechali do nas, do Sochaczewa. Pogadaliśmy trochę przy kawie, nie spiesząc się. Szapiro w 1939 r. odbywał służbę wojskową w 80 Pułku Piechoty w Słonimie w województwie nowogródzkim. Dostał się do niewoli sowieckiej i odpokutował parę lat w zagłębiu węglowym w Kołymie. Po paru latach przybył do Niemiec, skąd wyjechał do wolnego Izraela. Zapraszali mnie w odwiedziny do siebie. Sympatyczni ludzie. Szymon był już na emeryturze. Mieszkali w miasteczku Giwatajim niedaleko Tel Awiwu, podobno w ładnym bloku, otoczonym rabatami pełnymi róż i innego kwiecia. Szymon pisał, że poświęca dużo czasu na pielęgnację tych rabat. Wkrótce po przyjeździe do Izraela ożenił się po raz trzeci. Jego żoną była Adela Krochmal, pochodząca z Drohobycza. Była absolwentką tamtejszego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły, gdzie rysunku uczył ją słynny Bruno Schulz. Adela była „sekretarką” Szymona, wyręczając go w prowadzeniu korespondencji ze mną. Pisała bardzo interesujące listy. Gdy tereny Podola zajęli Niemcy, (po czerwcu 1941 r.), przez prawie trzy lata ukrywała się w młynie w Drohobyczu, w którym pobudowano sztuczną ścianę. Nie głodowali, ale mieli bardzo małą powierzchnię „mieszkalną”. Wspomagała ich jakaś rodzina ukraińska, zarządzająca młynem.

Szymon, znając z autopsji działalność charytatywną moich Rodziców w odniesieniu do jego współbraci, zamierzał na ich cześć posadzić pamiątkowe drzewko „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. Zapytywał, czy wyrażamy na to zgodę. Tata odpowiedział na to, że dla nas najważniejszą sprawą jest jego wdzięczność... Nie chce się chwalić, że chciał ludziom pomagać w ich nieszczęściu, jakie przyniosła wojna i reżim nazistowski. Powtórzyłem to Szymonowi. W tej sytuacji parę lat

później dał mi swoje „oświadczenie świadka”, potwierdzone notarialnie, które załączam. W jednym z listów pisał do mnie Szymon, że dając wyraz swej dezaprobaty wobec postawy braku wdzięczności Rozenbergów dla swych dobroczyńców w czasie wojny, zlekceważył i nie wziął udziału w jednym ze spotkań z Moszkiem, po jego pierwszym przyjeździe z wycieczką do Izraela.

Oświadczam, że w ustnej umowie zawartej przez naszego ojca z Ickiem Rozenbergiem nie zobowiązaliśmy się, że będziemy ich ukrywać do końca wojny. Była to umowa bezterminowa, ale na „pewien czas”, dokąd będziemy w stanie to robić. Chodziło o kondycję fizyczną Mamy, która była słabowita. Nie miała wiele sił na utrzymywanie kilku „podopiecznych”... Wpłaty okresowe (miesięczne), jakie wnosił Rozenberg, nie stanowiły pełnego pokrycia rzeczywistych kosztów utrzymania. Były to wpłaty symboliczne. Od Szymona i innych ludzi będących w potrzebie nigdy nie oczekiwaliśmy żadnej zapłaty. Inaczej nie mogło być. Wypowiedzenie kwatery Rozenbergom nastąpiło po ponad siedmiu i pół miesiącach ich ukrywania, w czasie gdy narastało realne niebezpieczeństwo. Nie było ono wymyślone. Znali oni dobrze wytworzoną sytuację. Wszyscy mieliśmy sporo szczęścia, że się udało...

Od Szymona otrzymałem w wojnę wieczne pióro „Pelikana” ze złotą, 14 karatową stalówką, a po wojnie, za pośrednictwem Szapirego – doskonały zegarek marki „Seiko”, który jeszcze posiadam. Zechcę go przekazać któremuś z wnuków. Pióro dobrze mi służyło przez wiele lat. Jedno skrzydełko pióra obłamało się, gdy składałem nim swój podpis w USC w Warszawie, w październiku 1951 r. Uszkodzoną stalówkę tegoż pióra dodałem jako złom do innych części biżuterii, zamawiając obrączki ślubne w zakładzie złotniczym w Warszawie.

Integralną częścią tej notatki jest notarialny zapis Szymona Szonszajna, jako „oświadczenie świadka”.

Pisano we wrześniu 2010 r.

**Aneks. Informacje uzupełniające do zapisków z 2010 r.
do „ostatniego rozdziału”**

Nadmieniam, że owe „Zapiski” były adresowane wyłącznie do moich potomków, by poznali to, co dotyczyło moich rodziców, a szczególnie ich zaangażowania na rzecz pomocy niektórym Żydom z Sarnak, w okresie zniewolenia hitlerowskiego.

Moi rodzice byli właścicielami średniorolnego gospodarstwa wiejskiego, usytuowanego w bezpośrednim sąsiedztwie większej enklawy lasów państwowych, w znacznym oddaleniu od dróg bardziej uczęszczanych. Sprzyjało to intymności życia sąsiadów, osiadłych na kilkuhektarowych gospodarstwach rolnych. Oboje rodzice – Maria i Stanisław Sarnowscy – byli ludźmi spokojnymi, czułymi na niedolę innych.

Zgodnie z życzeniem rodziców, nie miałem zamiaru rychłego upowszechniania informacji o ich udziale w akcji niesienia pomocy ludności żydowskiej podczas okupacji niemieckiej. Jak wiadomo, wymagało to z ich strony dużej odwagi, a także rozważań, aby utrzymać to w ścisłej tajemnicy. Nigdy też nie chępli się tym i nie byli skłonni, już po wojnie, do przyjmowania jakichkolwiek wyróżnień czy podziękowań.

List zarządu (Kombatanckiego) ZBoWiD, skierowany do Stanisława Sarnowskiego, z prośbą o przekazanie informacji nt. pomocy Żydom, pozostał bez odpowiedzi. Rodzice nie wyrazili także swej zgody na zapytanie Szymona Szonszajna z Izraela, czy mógłby wystąpić z wnioskiem o nadanie im medalu pamiątkowego oraz posadzenie drzewka „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Ojciec mój gest Szymona skwitował słowami: „lepiej niech będzie zakryte, to co było ukryte”.

Do zapisków napisanych w 2010 r. zajrzałem dopiero po kilkunastu miesiącach, na wiosnę 2013 r., kiedy to w mediach szeroko omawiano i czczono siedemdziesiątą rocznicę żydowskiego zrywu w warszawskim Getcie, wywołanego przez bohaterów bojowników żydowskich. Podjęli nierówną walkę z barbarzyńskim okupantem, „chcieli umierać godnie”.

Często w mediach, zwłaszcza elektronicznych, podaje się, że pomoc Polaków udzielana Żydom podczas okupacji niemieckiej była

niedostateczna. A czy ze strony „możnych tego świata” oraz sił militarnych koalicji antyhitlerowskiej była zdecydowana wola, aby upokorzyć krwiożerczych hitlerowców i nie dopuścić do Holokaustu? Polskie Państwo Podziemne podjęło wysiłek, aby poinformować świat o zbrodniach hitlerowskich dokonywanych na Żydach w okupowanej Polsce. W tym celu wysłało swojego dobrze przygotowanego delegata do prezydenta USA – Jana Karskiego. Został on przyjęty przez prezydenta i złożył mu obszerny raport o zbrodniczym niszczeniu przez okupanta niemieckiego Żydów w Polsce oraz w całej podbitej Europie. Niestety, raport ten nie spowodował przełomu w strategii militarnej koalicji antyhitlerowskiej. W proteście przeciwko stanowisku Aliantów wybitny polityk i gorący patriota żydowski Szmul M. Zygielboim popełnił samobójstwo. W liście pożegnalnym do prezydenta RP W. Raczkiewicza pisał m.in.: „nie mogę żyć, gdy resztki narodu żydowskiego w Polsce, którego jestem przedstawicielem, są likwidowane”.

Być może udział Polaków w ratowaniu Żydów byłby bardziej powszechny, gdyby nie groziła za to kara śmierci. A czy ktoś policzył, ilu Polaków zostało za to straconych? Należy mieć świadomość, że w społeczeństwie polskim nie zabrakło ludzi odważnych, gotowych nieść pomoc potrzebującym, nawet w grożącej sytuacji utraty własnego życia. Uważam więc, że w tak złożonej sytuacji politycznej rodzice moi dokładali wielkich starań, by dopomóc przynajmniej niektórym, znanym sobie obywatelom pochodzenia żydowskiego. Nie potrafili odprawić Icka Rozenberga, samotnego ojca trzech synów. Zapewnili im kryjówkę i utrzymanie na okres prawie siedmiu miesięcy. Szczególnie duży był wysiłek mojej słabowitej mamy. Dokładała ona starań, aby jej podopieczni nie byli głodni. Jak mogła urozmaicała menu. Była doskonałą specjalistką w sprawach gastronomicznych. Z przyczyn oczywistych nie mogła korzystać z pomocy ukrywających się osób. Do maja 1943 r. bezpieczeństwo Rozenbergów nie było u nas zagrożone. Dokładaliśmy starań, aby w niczym nie podpaść względem okupantów, m.in. w wywiązywaniu się z nakładanych kontyngentów i obciążeń podatkowych. W maju 1943 r. nastąpiło poważne zagrożenie i zaszła konieczność przeprowadzki

„lokatorów” w inne miejsce. Okazało się, że „umowy” zawarte przez Ickę z gospodarzami w Mierzwicach zdezaktualizowały się. Udało się umieścić tam tylko jedną osobę (Libermana).

Icek Rozenberg z trzema synami po paru dniach powrócił do nas. Nastąpiło to, gdy schron u nas został już zlikwidowany. Trzeba było szybko przeprowadzić rozmowy z innymi zaufanymi gospodarzami (m.in. z Józefem Kasjaniukiem w Kolonii Hołowczyce). Czas naglił.

Ja – Kazimierz Sarnowski – nie zgłosiłem się do Służby Budowlanej i przerwałem pracę przymusową w lesie. W domu rodziców w każdej chwili można było spodziewać się rewizji, co na szczęście nie nastąpiło. Częste (cotygodniowe) wypieki chleba we własnym piecu oraz zwiększone zakupy dokonywane przez ojca musiały kogoś zainteresować. Sołtys powtórzył to ojcu w rozmowie ostrzegawczej, typu „mówiono mi...” A więc zaistniały aż dwie przesłanki dla realnego niebezpieczeństwa – tak dla ukrywanych osób, jak i ukrywających. Zlekceważenie przez Syna gospodarzy wezwania do Służby Budowlanej oraz domysły, dla kogo Stanisław Sarnowski gromadzi zapasy żywności? Tych faktów nie można było lekceważyć. Nasi lokatorzy nie negowali tego. Dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że ich korabl w każdej chwili może zatonać. Jakoś dogadali się z Kasjaniukiem, u którego przeżyli ponad rok – do czasu wkroczenia na te tereny wojsk polskich i Związku Radzieckiego. Znalazł tam także stałe miejsce Szymon Szonszajn.

Po wojnie, dzięki zaradności Rozenbergów, udało im się przedostać do zachodniej strefy okupacyjnej. Na jakiś czas osiedlili się w Monachium, a stamtąd mogli emigrować do Francji, USA bądź wolnego Izraela. Z nieznanych mi powodów nikt z rodziny Ickę Rozenberga, a także Liberman, nigdy nie nawiązali żadnej korespondencji ze swoimi opiekunami z czasów okupacji.

Zupełnie inaczej zachował się Szymon Szonszajn – ten, który tylko sporadycznie przychodził do nas i korzystał z noclegów w chłodnawej stodole. W zasadzie najmniej otrzymał z tego, co pozostali, otoczeni szczególną opieką.



Fot. 11. Szymon Szonszajn z żoną Adelą w Izraelu, ok. 1962 r.

Szymon, gdy tylko przybył do wolnego Izraela, korespondencyjnie dziękował wszystkim, którzy pomogli mu w okresie wojny. Prowadziłem z nim przez wiele lat ożywioną korespondencję. Po jego śmierci zamieściłem w Dodatku Świątecznym „Gazety Wyborczej” z dn. 31.01.2006 r. wspomnienia. Tak się złożyło, że podałem tam błędną datę jego urodzenia. Korzystałem bowiem z dawnych notatek, nie sięgając do późniejszych swoich dokumentów. Powinno być 5.06.1910 – tak jak podał on sam w notarialnym „Zeznaniu świadka”. Tę datę należy uznać jako prawidłową, wszak chodzi przecież o tego samego Człowieka. Mea culpa.

Dobrze się stało, że w Warszawie powstaje Muzeum Historii Żydów oraz istnieje Żydowski Instytut Historyczny. Tam więc – do Działu rękopisów – zamierzam przekazać w formie depozytu swoje niektóre dokumenty i zapiski dotyczące dziejów pewnej przyjaźni i powojennych losów niektórych Żydów z Sarnak.

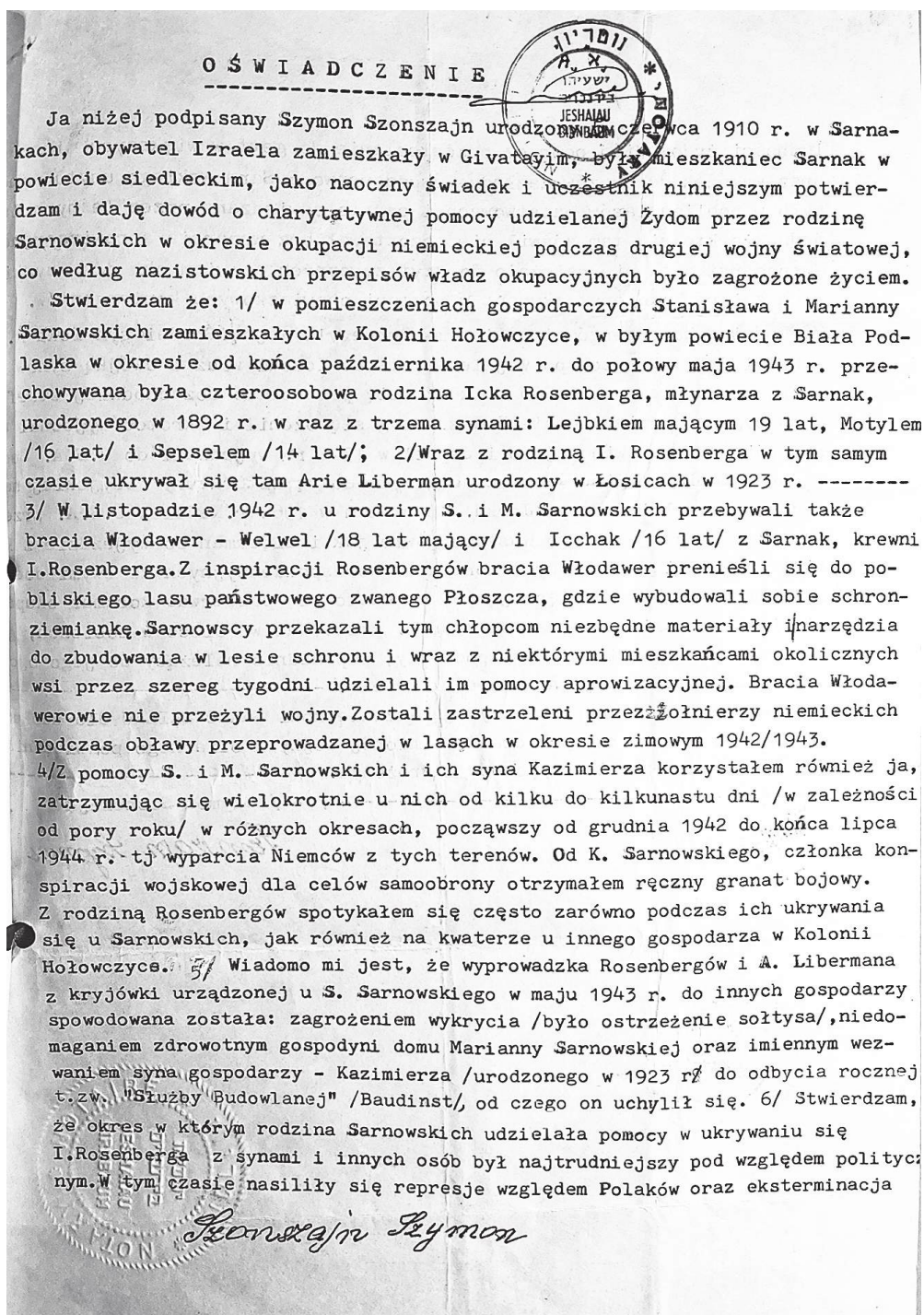
Na całość depozytu składa się:

- kserokopie moich Zapisków (rodzinnych), tj. 25 kart maszynopisu,
- zbiór rozmaitych dokumentów, łącznie 29 kart (w tym kserokopie oryginalnych dokumentów, zeznania świadka – złożonego przez Szymona Szonszajna w Biurze Notarialnym Izraela w dn. 12.10.1993 oraz 30.08.1993),
- aneks (kserokopia maszynopisu, 3 strony).

Do sfinalizowania tej sprawy upoważniam dwie swoje córki:

Marię Staniszewską (starszego kustosza Muzeum Teatralnego w Warszawie) zamieszkałą w Warszawie oraz Annę Sarnowską-Żakowską zam. w Sochaczewie.

29 maja 2013 r.



Fot. 12. Pierwsza strona oświadczenia Szymona Szonszajna

Agata Wasilewska

Eugenia Dorochowicz i pensjonat nad Bugiem

W 1916 roku właściciel majątku Puczyce, dr Stanisław Nasiłowski, zakupił część folwarku Klimczyce zwaną Klimczyce Ferma¹, z zamiarem urządzenia tam sanatorium przeciwgruźliczego², głównie z myślą o chorych dzieciach. Klimczyce posiadały dobry mikroklimat, otoczony starodrzewem dwór klimczycki znajdował się w pięknym miejscu nad Bugiem. Warunki sprzyjały utworzeniu uzdrowiska. Doktor zgromadził sporo sprzętu i narzędzi medycznych koniecznych do prowadzenia tej działalności i przeniósł do Klimczyc zakupiony w Bacikach Średnich³ dawny dwór myśliwski nazywany pałacikiem, aby przygotować jak najwięcej miejsc sanatoryjnych. Jednak niespodziewana śmierć 26 grudnia 1925 roku uniemożliwiła doktorowi realizację tego projektu. Majątek klimczycki przejął w drodze spadku jego młodszy brat Michał Nasiłowski. W pierwszych latach gospodarowania w Klimczycach wynajmował budynki mieszkalne Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego⁴ na kolonie letnie dla dzieci z Warszawy. Opiekę nad kolonistami sprawowały osoby zatrudnione przez ministerstwo.

Na początku lat 30. ubiegłego wieku kierowniczką kolonii i opiekunką dziewcząt była młoda nauczycielka Zofia Pełczyńska, wychowawcą Stanisław Dobrowolski, którzy wkrótce zawarli związek małżeński. W kolejnych latach Zofia Dobrowolska prowadziła funkcjonujący

¹ J.W. Nowosielski, *Majątki ziemskie prywatne i rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, Siedlce 2006, s. 148.

² K. i J. Samusikowie, *Dwory i pałace pogranicza. Klimczyce*, <http://www.dworypogranicza.pl/index.php/dwory/284-klimczyce> (dostęp: 26.02.2021).

³ Właścicielem majątku Baciki był wówczas hr. Henryk Ciecierski (1864–1933) – ziemianin podlaski, patriota, podróżnik, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej, autor „Pamiętników”.

⁴ Tak wynika ze wspomnień Eugenii Dorochowiczowej.

w okresie letnim pensjonat rodzinny, zorganizowany przez Michała Nasiłowskiego w miejsce kolonii. W 1937 lub 1938 roku do współpracy zaprosiła kuzynkę swego męża, Eugenię Dorochowicz.

Na potrzeby pensjonatu udostępniano pokoje w dawnym dworze Podczaskich i w pałacyku myśliwskim oraz dobudowane do kasztelu w miejscu dawnej oranżerii. Kuchnia i pomieszczenia gospodarcze mieściły się w oddzielnym budynku stojącym obok dworu. Produkty żywnościowe, jak warzywa, owoce, mięso drobiowe pochodziły w większości z własnego gospodarstwa. W majątku był duży sad i ogród warzywny, hodowano sporo drobiu, uprawiano zboża, ziemniaki, później jeszcze kukurydzę. We własnym lesie zbierano grzyby, jagody. Od miejscowego pszczelarza Wiktora Oreszczuka kupowano miód, zaś mleko u sąsiada posiadającego spore stado krów – Grzegorza Sołtana. Po sól, cukier, mięso, kaszę, środki czystości wyprawiano się do Siemiatycz. Przeprawa przez Bug promem Sołtana w Klimczycach. Niezawodnym środkiem komunikacji po najbliższej okolicy była furmanka na żelaznych kołach, zaprzęzona w jednego konika. Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się w Platerowie⁵.

W pensjonacie stałe zatrudnienie w sezonie znajdowała młodzież z pobliskich wiosek, głównie z Klimczyc i Bindugi, np. z rodzin Stefaniuków, Mateuszków, Kostaruków, Szoplików. Okazjonalnie pracowali jeszcze inni: kobiety ze wsi, mężczyźni. Była to dobra okazja nie tylko do zarobienia pieniędzy i wsparcia swoich rodzin, ale także sposobność nauczania się wielu rzeczy nieznanych w środowisku wiejskim.

Poza tym przez cały rok dwór zatrudniał kilka osób służby domowej i do prac gospodarskich.

W tym czasie majątek Michała Nasiłowskiego był mocno zadłużony, a niepłacącego należności właściciela nachodził komornik. Dziedzic zaproponował kupno części majątku Eugenii Dorochowiczowej, która zdecydowała się sfinalizować transakcję. Zapłaciła część ustalonej kwoty, resztę miała spłacać przez 10 lat. Sprowadziła do siebie matkę. Plany pokrzyżowała wojna.

⁵ Stacja kolejowa w Sarnakach zaczęła funkcjonować dopiero w 1946 r.

Eugenia Bibianna Dorochowicz była córką pochodzącego z Warszawy Leonarda Dobrowolskiego i jego żony Antoniny z Kamińskich. Urodziła się 2 grudnia 1900 roku w Żbikowie⁶, gdzie jej ojciec pracował jako ślusarz w warsztatach kolejowych Warszawsko–Wiedeńskiej Drogi Żelaznej. Miała zaledwie dwa lata, gdy ojciec zmarł, a matka została z dwojgiem maleńkich dzieci i trzecim, które przyszło na świat pół roku później. Jakiś czas potem wdowa wyszła powtórnie za mąż, urodziła się przyrodnia siostra Eugenii, wspomинana w pamiętniku Lila.

Ojczym pochodził z Kresów, miał majątek za Boryslawiem, w pobliżu miasteczka Berezyna. Gdy dzieci podrosły nieco i trzeba je było posłać do szkół, majątek został wydzierżawiony, a rodzina około 1912 roku przeniosła się do Mińska (obecnie na Białorusi). Eugenia przez dwa lata była uczennicą rosyjskiego gimnazjum w Mińsku. Gdy wybuchła I wojna światowa, szkoły przez półtora roku nie działały. Kontynuacja wykształcenia nie była prosta. Jesienią 1915 roku utworzona została szkoła polska zorganizowana przez Macierz Szkolną, przemianowana później na Gimnazjum im. Emilii Plater. Mieściła się w kilku prywatnych domach, przez trzy lata przenoszona z miejsca na miejsce. Latem 1918 roku władze oddały szkole budynek dawnego gimnazjum. Nauczycielkami były przeważnie ziemianki, księżniczki. Na przykład historię w klasie piątej wykładała księżna Potocka. Rysunku przez rok uczył malarz Kazimierz Strzeмиński. W lipcu 1920 roku Eugenia wraz z matką i siostrą uciekły przed zbliżającym się wojskiem bolszewickim z Mińska do Łomży. Ojczym już nie żył, brat zaciągnął się do polskiego wojska. Podczas walk toczących się w pobliżu miasta zatrudniła się jako pielęgniarka–ochotniczka w łomżyńskim szpitalu św. Ducha.

Maturę zdała tuż po zakończeniu działań wojennych i podjęła studia na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. Niestety, nie dokończyła, rezygnując z nich na rzecz ppor. rez. Stanisława Dorochowicza, byłego uczestnika wojny z bolszewikami. Poślubiła go około 1925 roku albo nawet wcześniej. Stanisław Dorochowicz był jej

⁶ Obecnie jest to dzielnica Pruszkowa.

kuzynem, na tyle bliskim, że musieli od biskupa otrzymać dyspensę na ślub. I aby on mógł dokończyć swoje studia na wydziale chemii, ona podjęła pracę nauczycielki w Latowiczu⁷. Na początku małżeństwa przeżyła osobistą tragedię, bo jej synek urodził się jako wcześniak i nie przeżył. Kolejnych dzieci nie było.

Mieszkali w Warszawie w 5-pokojowym mieszkaniu służbowym przy ul. Dworskiej 25, niedaleko gazowni miejskiej, w której pracował Stanisław Dorochołowicz, w cywilu inżynier chemik. Eugenia prowadziła dom, dbała o ogród, miała oranżerię. Interesowała się zdrowym odżywianiem, wraz z dyrektorem organizowała kursy gotowania na gazie dla żon pracowników gazowni.

Krótko przed wybuchem II wojny światowej Stanisław wyjechał do Hajnówki, gdyż zaoferowano mu pracę w tamtejszych Zakładach Sucheja Destylacji Drewna, a Eugenia przygotowywała się do przeprowadzki na Podlasie. Wtedy pojawił się pomysł wyjazdu do Klimczyc i pomocy w prowadzeniu pensjonatu. *Byłam zaskoczona propozycją żony Stacha⁸. Nie bardzo mi się uśmiechała praca w pensjonacie. Ale ostatecznie będę na wsi. Nie miałam żadnej roboty, więc może się zdecyduję. Ciekawa jestem, co na to powie mój pan i władca, Stach⁹?* – pisała we wspomnieniach z tego okresu, spisanych w wiele lat po wojnie.

Wspomnienia, z których drukujemy fragmenty dotyczące pobytu w Klimczycach–Kolonii¹⁰, urywają się nagle w maju 1940 roku. Nie wiadomo, czy była dalsza część, zapewne tak.

Nie wiemy, kiedy dokładnie Dorochołowicze wyjechali z Klimczyc do Warszawy i jak przebiegały ich wojenne losy. Na podstawie wspomnień można wysnuć wniosek, że transakcja zakupu części majątku nie została potwierdzona notarialnie, dlatego po wojnie Eugenia Dorochołowicz już tutaj nie wróciła. Zresztą, zmieniły się okoliczności.

⁷ Relacja Alicji Dobrowolskiej z 08.09.2025 r.

⁸ Stach – tu: Stanisław Dobrowolski, brat stryjeczny Eugenii.

⁹ Stach – tu: Stanisław Dorochołowicz, mąż Eugenii.

¹⁰ Wspomnienia Eugenii Dorochołowicz do druku przygotowała A. Wasilewska za zgodą Alicji Dobrowolskiej, bratanicy autorki.

Majątek Klimczyce Fermaomal nie uległ nacjonalizacji, „uratowały” go słabej klasy ziemie¹¹.

Nie istniała już także część zabudowań – dawny dwór Podczaskich i stojąca obok oficyna, w której mieściła się kuchnia, około 1942 roku zostały rozebrane z inicjatywy właściciela, Michała Nasiłowskiego. Przewidywał on, że losy wojny się odwrócą, Niemcy przegrają, a na nasze tereny wkroczą Rosjanie. Nie chciał im udostępniać swojej siedziby. W tym czasie Dorochowiczów już tu nie było.

W 1945 roku wyjechali do Wrocławia, gdzie inżynier Dorochowicz¹² został zatrudniony w gazowni miejskiej jako zastępca dyrektora. Zamieszkali w willi przy ul. Kasprowicza 90. W tamtym okresie



Fot. 1. Franciszka Marciniuk, Eugenia Dorochowicz i Feliks Marciniuk, Mężenin 1987. Ze zbiorów Alicji Dobrowolskiej.

¹¹ Relacja Haliny Sulej z 04.11.2024 r.

¹² Stanisław Dorochowicz (1894–1961) – przed wojną był członkiem Zrzeszenia Gazowników i Wodociągowców Polskich, po wojnie członkiem Polskiego Zrzeszenia Gazowników, Wodociągowców i Techników Sanitarnych. Pisał artykuły do miesięcznika „Gaz, woda i technika sanitarna”. W 1946 r. został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi „za działalność powojenną przy utrwaleniu demokratycznych form państwowości polskiej” [Monitor Polski nr 81 z 04.06.1947, s.1].



Fot. 2. Eugenia Dorochowicz z Franciszką i Feliksem Marciniukami, Mężenin 1987. Ze zbiorów Alicji Dobrowolskiej.

przysposobili dwóch chłopców: Andrzeja i Ryszarda. Stanisław Dorochowicz zmarł wiosną 1961 roku w wieku 67 lat. Eugenia żyła 96 lat i niemal do samego końca była bardzo żywotną osobą. Jako pionierka we Wrocławiu, aż do śmierci należała do Towarzystwa Miłośników Wrocławia, w którym aktywnie działała.

Przez długi czas w okresie letnim przyjeżdżała na nadbużańskie Podlasie, odwiedzała Janinę i Adama Krykowskich, potem ich córkę Halinę Sulej, mieszkających w kasztelu, ale zatrzymywała się u zaprzyjaźnionej rodziny Marciniuków – jej dawna ulubiona służąca Franciszka chętnie ją gościła.

Miała wiele pasji: dużo czytała, pisała książki (nieopublikowane) oraz artykuły na temat wychowania dzieci do „Gazety Wrocławskiej”, malowała akwarelą nadbużańskie krajobrazy, pisała ikony. Jej pasją była genetyka, prowadziła prywatne badania na ten temat.

Zmarła we Wrocławiu 20 marca 1996 roku. Oboje z mężem pochowani są na cmentarzu Wrocław Osobowice.

Eugenia Dorochowicz

Pensjonat w Klimczycach nad Bugiem

W niedługim czasie znalazłam się w Klimczycach. Podróż odbywała się koleją, trasą przez Sulejówek. Wreszcie dojechałyśmy z panią Zofią do Platerowa. Tam czekała furmanka. I zaczęła się jazda po wybojach, kamieniach, dołkach i górkach. Raz jeden bok furmanki górował i groził wywrotką, raz drugi w odwrotną stronę. Ani kawałka szosy. To była zupełnie wiejska droga. Ominawszy kilka wsi o przycupniętych do ziemi niskich chatach krytych słomą, dojechalismy do Klimczyc.

Wyszedł nam na spotkanie siwy, z długą brodą, wysoki, dość krępowy, starszy pan. Trzymał w ręku patyk. Po prezentacji mnie i pana usiedliśmy na ławeczce, aby nieco odpocząć po podróży odbytej furmanką. Pan Michał Nasiłowski¹³ bardzo się ucieszył naszym przyjazdem. Od razu wtajemniczył nas w swoje nieszczęście, jakie go spotkało niespełna miesiąc temu. Akurat na 15 maja znaleźli jego syna Waldemara¹⁴.

– O tam, w tej wieżycze na belce wisiał. Zupełnie przypadkowo Joasia¹⁵ poszła na strych. Cztery dni szukaliśmy go. Omal nie spadła ze schodów, tak się przestraszyła.

Słuchałam tej opowieści jak bajki o żelaznym wilku.

– Kłopotów miałem co niemiara. Policja. Dochodzenia. Ksiądz nie chciał pochować na cmentarzu. Żona dotychczas nie zdaje sobie sprawy.

¹³ Michał Nasiłowski (1870–1953) – młodszy brat dra Stanisława Nasiłowskiego (1862–1925), właściciela majątku Puczyce i majątku Klimczyce Ferma, po jego śmierci odziedziczył Klimczyce. Jest pochowany na cmentarzu w Ruskowie, obok grobu swego ojca Jana Nasiłowskiego. Druga żona Michała, Elżbieta z Głodkowskich (1887–1943) leży na cmentarzu w Sarnakach.

¹⁴ W akcie zgonu Waldemara Nasiłowskiego data śmierci 2 czerwca 1938.

¹⁵ Joanna Krypska (1893–1975) – gospodyni Michała Nasiłowskiego, później mieszkała w Bindudze.

Stale zapytuje, gdzie Waldek. Nie była na pogrzebie. Nie widziała go w trumnie.

– Dlaczego? – spytałam.

– Coś się jej pomieszało w głowie – odpowiedział – i to już wcześniej, przed jego śmiercią.

– Ile miał lat?

– Siedemnaście.

– Siedemnaście – powtórzyłam.

Młody człowiek, do życia, odbiera sobie życie. Cóż to za tragedia rozgrywała się w jego duszy? Musiała być jakaś przyczyna. Nie mógł dać sobie rady ze sobą. Co on myślał, zakładając sobie pętlę na szyję? Bardzo dziwna sprawa, bardzo – zakończyłam swoje rozmyślanie.

Pan Nasiłowski zapalił swego cybucha, o którym myślałam, że to kij na psa.

– Takie nasze życie – zakończył – mam żonę, która jest pomyłona. Syn się powiesił. Drugi młodszy gania po polu. Ani go zapędzić do szkół, ani do roboty. Nie poszczęściło mi się drugie małżeństwo. Tak, to tak.

Nadeszła gosposia pana Nasiłowskiego i poszliśmy na herbatę. Zaś później trzeba było pomyśleć o spaniu. Więc się rozeszliśmy.

– Gdzie pani wynalazła ten ośrodek? – zapytałam panią Zofię.

– To ministerstwo. Tu była kolonia dla dzieci. Ja byłam kierowniczką. Tu jest olbrzymi pałac. I kuchnia oddzielna. Tam urzędowaliśmy. Ja mieszkałam w pałacu myśliwskim, o tu, gdzie urządzimy spanie. Wszystko jest w ruinie. Nie daj Boże deszcz, trzeba biegać z balią lub miednicą i podstawiać. Dachy ciekną. Pokryte blachą, ale dziedzic nie ma pieniędzy na zalutowanie i szparami woda przecieka. Gdzie piliśmy herbatę, to jest kasztel. Prawdopodobnie dawna strażnica, może jeszcze piastowska¹⁶. Przed połączeniem z Jagiellonami. Podobno pierwsi byli Sapiehowie¹⁷.

¹⁶ Kasztel nie był dawną strażnicą, chociaż jego wygląd mógł takie skojarzenia dawać. Został zbudowany za czasów Podczaskich w stylu neogotyckim jako murowana oficyna dworska, z tyłu była oranżeria.

¹⁷ Sapiehowie nie byli właścicielami dóbr Klimczyce. Chodzi raczej o Butlerów, do których klimczycki majątek należał od 1674 r. do połowy XVIII w. W 1757 r. Rozalia Butlerówna poślubiła Antoniego hr. Ossolińskiego i wniosła mu w posagu dobra Klimczyckie

Później Ossolińscy. Zaś ostatni Podczascy. 150 lat temu postawili tu, stoi do dziś figura Matki Bożej. Piękna, kuta w piaskowcu. Renesansowa. Park stary. Lipy grube, we trzech nie obejmiesz. Roje pszczół latem.



Fot. 1. Występy dzieci kolonijnych na schodach dworu w Klimczycach, z lewej budynek kuchni z okrągłą basztą, lata 30. XX w. Ze zbiorów Ryszarda Krykowskiego.

– Jestem bardzo zadowolona, że mnie pani namówiła na przyjazd tutaj. Okolice piękna. Z dala widzę błysk rzeki – powiedziałam.

– To Bug. Granica piastowska. Niedaleko na drugim brzegu jest Drohiczyn. Stolica Podlasia. Zupełnie zrujnowana. Kościół nad samym brzegiem, tylko jedna ściana od głównego ołtarza. Pośrodku nawy rośnie brzoza. Nic z dawnej świetności. Po rozbiorach niszczała aż do zupełnego upadku – tłumaczyła mi pani Zofia.

– Najpierw muszę sprowadzić Franciszkę – powiedziała potem pani Zofia – ona nam zorganizuje kuchnię. Czeka nas masa roboty. Dziewczyny zwołać, poustawić łóżka, stoły, stołki. Dziś pójdziemy jeszcze nad Bug.

I obejrzymy park. Zaś jutro od samego rana robota. Bo zaczną się zjeżdżać. Kucharka będzie pojutrze.

Pan Nasiłowski czekał na ganku. Poszliśmy lipową aleją nad Bug. Dwie aleje wysadzone po bokach lipami prowadziły do samego Bugu.

– Kto przed panem miał ten majątek? – zagadnęłam pana Nasiłowskiego.

– To był klucz kilku majątków. Od Platerowa po Mężenin, Rusków i Sarnaki. Najpotężniejsi byli Sapiehowie¹⁸. Berlinkami¹⁹ zjeżdżano, raczku²⁰ podpływano pod zbocze. Drzewo spławiano Bugiem do Wisły i dalej do Gdańska. Pani Sapiehowa jest założycielką obecnego parku na wzór angielski. Siedziała w Londynie i przysyłała rozkazy, co jak ma być posadzone. Gdzie ma być ławeczka, gdzie stawek. Pośrodku stawu była mała wysepka, na której był wilk i wył. Takie mieli fanaberie. Przyjeżdżała tylko na lato. Zimę spędzała we Włoszech lub w Londynie.

Później byli Ossolińscy. Jeszcze gospodarowali nieźle. Berlinki stały po zboże, drzewo spławiano. Po rozbiorach kupili Podczascy²¹. I zaczęli rozparcelowywać²². Mój brat kupił resztówkę. Planował założyć tu sanatorium, ponieważ jest tu bardzo dobry klimat. Piachy, woda, lasy sosnowe. Ten park wspaniały. Pech chciał, że wkrótce po przyjeździe tutaj zmarł nagle. I ja odziedziczyłem po nim.

¹⁸ Historia majątku Klimczyce opowiadana przez Michała Nasiłowskiego niezbyt zgodna z faktami. Patrz: T. Dobrowolski, *Butlerowie i ich związki z Podlasiem i Sarnakami*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2021, t. 4, s. 7–33; tenże, *Dobra Sarnacko–Klimczyckie*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2022, t. 5, s. 7–32; J.W. Nowosielski, *Majątki ziemskie prywatne i rządowe na terenie parafii Sarnaki w XIX wieku*, [w:] *Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej*, Siedlce 2006, s. 125–156.

¹⁹ Berlinka – płaskodenny statek rzeczny (dawniej żaglowy).

²⁰ Określenie niejasne.

²¹ Majątek Klimczyce wraz z miastem Sarnaki w 1847 r. kupiła Józefa Podczaska, żona płk. Joachima Podczaskiego, który wkrótce porzucił wojsko i zajął się gospodarowaniem. Kolejnym właścicielem był ich syn Bronisław, któremu cały majątek zawdzięcza rozkwit. Zmarł w 1887, ponad 20 lat po uwłaszczeniu chłopów, w wyniku którego spora część majątku przeszła na własność włościan, przyczyniając się do zadłużenia i zubożenia właściciela. Po jego śmierci podupadający majątek odziedziczyli synowie Zygmunt i Józef Podczascy oraz ich siostra Jadwiga.

²² Parcelacja i wyprzedaż dóbr rozpoczęły się po śmierci seniorki rodu Józefy Podczaskiej, babki Zygmunta i Józefa, w 1891 r.

Moja historia to zupełnie co innego. Miałem Puczyce po rodzicach. Trochę studiowałem rolnictwo. Ale jestem szalawila. Handlowałem i przeważnie traciłem na handlu. Żona pierwsza umarła. Zostawiła dwoje dzieci. Syn skończył szkołę leśniczą i pracuje w nadleśnictwie u hrabiego Humnickiego²³. Córka była w szkole w Łodzi. Tam się zakochała i wyszła za mąż. Przyjechała z mężem do Klimczyc. Dałem jej pięć hektarów nad Bugiem, postawili domek i gospodarują. Mają dwoje dzieci. O, widzi pani, tam na prawo. Domek z gliny i chlew dla świń. Aby złapać trochę grosza, prowadzi mały pensjonat. Dwie rodziny przyjeżdżają z Warszawy.

Moja obecna żona jest córką młynarza. Była bardzo gospodarna. Ale zaniemogła od dwóch lat, więc musiałem wziąć gospodynię. Zaś Joasia ma dwóch synów. Straszy trochę mi pomaga. Mam konia jednego, dwie krowy, trochę kaczek. Żyje się. Ale gotówki nie ma. Majątek zadłużony w hipotece. Stale najeżdża komornik. Złapię trochę gotówki za wynajęcie tych domów na pensjonat, załagodzę komornika. I znowu bieda przez zimę.

Doszliśmy do rzeki. Brzeg był piaszczysty. Po drugiej stronie ciągnęły się łąki i pastwiska. Stado krów stało w wodzie po kolana. Nachyliłam się nad wodą, aby sprawdzić ciepłotę. Jeszcze trochę chłodna. Niedługo święty Jan, będzie najdłuższy dzień. Woda się ociepli, będziemy się kąpać. Łazienka wymarzona.

Dalej brzegiem rosły kępy wikliny, zaś jeszcze dalej piękne, wysmukłe topole o trzęsących się liściach.

– Proszę zobaczyć, smardze – nachyliłam się, aby zerwać.

– Mam chusteczkę czystą, nazbieramy smardzy. Będzie obiad – zdecydowała pani Zofia.

– Na jesieni zobaczy tu pani pełno gąsek szarych. Całe beczki można solić. Kiedyś żona soliła. I w lipcu, po wymoczeniu z soli, prużyła w smalcu.

Wracaliśmy drugą aleją, również wysadzaną po bokach lipami. Na skraju parku stało kilka dziewczyn. Widocznie czekały na panią Zofię.

²³ Ignacy Humnicki – właściciel majątków Rusków, Czuchów. W latach 30. XX w. Bogdan Nasiłowski, syn Michała, pracował jako leśniczy w dobrach Rusków.

Szybko rozeszło się o naszym przyjeździe. Rozradowane dziewczęta witały nas. Najśmielsza była Franciszka.

– Dobrze, że pani przyjechała. Czekaliśmy z niecierpliwością – odezwała się pierwsza – niektóre mówiły, że latoś pani nie przyjedzie.

– Moja Franiu, sprowadzisz dziewczęta mocne, bo robota będzie ciężka i dużo. Uwijać się będziecie musiały. Pomyć okna, poodkurzać.

– Zrobi się, zrobi. Już mam mocne i chętne. Aby robota była. Przednówek lata ciężki.

Były bardzo radosne. Spieszyło im się do owej ciężkiej roboty. Nazajutrz o szóstej stało sześć dorodnych dziewczyn. Franciszka przodownica. Każda zajmowała jak największą przestrzeń, aby jeno zarobić. Aby pani była zadowolona.

Nim przyjechali goście, pensjonat był gotów na przyjęcie. Każda dostała pokój do utrzymania w nim czystości. I te same osoby obsługiwały przy stole. Nadzór nad wszystkimi miała Frania.

Dwory już od kilku lat łątały budżet majątku, przyjmując gości. Od czerwca w „Kurierze Warszawskim” czytało się ogłoszenia: *Pięknie położony dwór przyjmie gości na miesiące letnie. Ceny przystępne. Las, woda, jagody w lesie i grzyby. Zachęcały do wyjazdów z miasta. Toteż w niejednym dworku od lipca do września roiło się od gości. Gospodarze ścieśniali się z całą rodziną lub nawet w stodole, aby przyjąć jak najwięcej. Bo to była żywa gotówka.*

Za całodzienne wyżywienie brano od jednej osoby 4 złote 85 groszy. Było różnie. W niektórych dworkach płacono 3 złote od osoby. Obiad z trzech dań, podwieczorki, kolacja bezporcjowa – każdy najadł się do woli.

Początek temu zwyczajowi dali zapraszani na lato goście – krewni właścicieli. Tacy krewni po wspaniale spędzonym lecie wyjeżdżali obładowani walizami prowiantów, suszonych grzybów, wędliny. Właścicielka wpychała, co mogła, aby tylko na przyszły rok przyjechali. Co prawda, nie liczyła, ile ją to kosztowało: i ta wędlina, i grzyby. To było w domu, w spiżarni i nieraz trzeba było wyrzucić, bo się zepsuło. Ale było świeże znów.

Przyszło lato, napełniały się słoiki i butelki, wianki grzybów suszonych, marynowanych, powideł, konfitur, miodu. Wina z porzeczek stały balony od lat. Soki malinowe, wiśniowe, żurawinowe, brusznicowe. Maku całe worki, orzechów laskowych, śliwek suszonych. Te specjały były swoje. Płody ziemi, sadu i lasu. Niektóre gospodynie herbaty nie kupiły. Tylko dla gości była kupna. Swoi pili obierki z jabłek trochę przyrumienione. Liście malin świetne. Maliny suszone na poty. Lipa na poty. A mięta również, kiedy boleści chwycą. Jagody czarne suszone od biegunki. Grypa nie chwyciła. Doktor był rzadkością.

I tak się zaczęło od krewnych. Później wproszony gość krewnych lub znajomy znajomych. Niektóre dwory broniły się przed obcymi. Aż wreszcie zaczęto dawać ogłoszenia w gazetach. Nasiłowski z początku swoje pałace wynajmował dla kolonii letnich. Jedynie latem było to możliwe. Jeżeli nie padało. Bo dachy przeciekały coraz bardziej.

Pani Zofia Dobrowolska przyjechała do Klimczyc jeszcze jako panna. Z mężem poznała się w Klimczycach. Stanisław Dobrowolski był opiekunem chłopców, a ona dziewczynek. I zaraz tejże jesieni Stanisław oznajmił swej matce i ojcu, że się żeni. Zaskoczenie i konsternacja. Z kim? Dlaczego tak nagle? Więc pierwszego października²⁴ o dziewiątej rano oznajmił: jeśli rodzice sobie życzą, mogą być na ślubie jego z panną Zofią Pełczyńską, dziś o dziewiątej.

Stało się. Bez żadnych wstępnych znajomości. Pobrali się. Tyle wiedziałam od stryjenki.

Przyjechała kucharka pani Borkowska. Niesamowicie gruba, ledwo się ruszała. Obrośnięta tłuszczem po dziurki w nosie. Pani Zofia uspokajała mnie, że świetnie gotuje. Ojciec jej był kucharzem na dworze cesarza Mikołaja.

– Gdzie ją pani wynalazła? – spytałam.

²⁴ W akcie ślubu Stanisława Dobrowolskiego z Zofią Pełczyńską występuje data 30.10.1934.

– Z rekomendacją od zakładu św. Józefa²⁵. Bierze 150 złotych miesięcznie.

W ten sposób zostałam dozorczynią pani Borkowskiej. Klucze od spiżarni należały do mnie. Układałam menu i kosztorysy. Goście przyjeżdżali całymi rodzinami. Matki z dziećmi przebywały po dwa miesiące, ojcowie połowę.

Pewnego dnia zahaczył mnie pan Nasiłowski. Czy nie miałabym ochoty kupić jego majątek?

– Widzę, że pani zna się na hodowli drobiu. Wyleczyła pani moje kaczątko. Obmyśliłem dogodne warunki zapłaty. Mam obciążoną hipotekę, pani przejmie długi. Ja z gospożą zajmę dwa pokoje i ona (pani Zofia) będzie miała dwa. Pani zajmie pierwsze piętro w kasztelu. Na dole kuchnia i pokój dla służby. Proszę pomyśleć. Na przyszły rok ma pani pensjonat na sto osób. Pani Dobrowolska już ostatni rok. Mąż pani w Hajnówce. Może dojeżdżać do Klimczyc. Szosa prowadzi przez Siemiatycze. Tylko kawałek bocznej drogi.

– Tak nagle taka propozycja. Muszę się zastanowić. Poradzić. Może brat przyjedzie, zobaczy ziemię. On jest rolnikiem ze szkołą ukończoną w Białokrynicy²⁶. Napiszę.

– Dobrze, proszę napisać. Warunki takie: zapłacicie obecną ratę komornikowi, byle nie najeżdżał. Krowy pani sprzedam, jedynie litr mleka dziennie dla mnie i dla żony. Konia również pani weźmie. Niedrogo wezmę. Cała ziemia do sprzedania. Jedynie sad przy mnie. Bo muszę jeszcze syna wykształcić. Pani na zimę przyszykuje dużo prowiantu, bo jest z czego. Same grzyby do późnej jesieni. Do pensjonatu mleko można brać od Sołtana. Dla siebie dwie krówki wystarczy. Czerwona rasa daje tłuste mleko. Karmione brukwią. Mleko jak śmietanka.

Napisałam najpierw do żony mojego brata. Aby postawiła karty i napisała mi, co ona w nich widzi. List przyszedł niebawem. Napisała mi,

²⁵ Zakład św. Józefa, związany z Towarzystwem Pielęgnowania Chorych św. Józefa, mieścił się przy ul. Hożej 80 róg Plater 18 w Warszawie, zajmował się pomocą ubogim kobietom.

²⁶ Państwowa Średnia Szkoła Rolnicza w Białokrynicy k. Krzemieńca, obecnie na Ukrainie.

że koło mnie kręci się bardzo miły starszy pan i proponuje dobry interes. Abym kupiła na raty dziesięcioletnie jego majątek.

Chce jedynie do końca życia mieszkać w Klimczycach – myślałam o gospodarzu – Nie chce mieszkać u dzieci. Dwoje najstarszych dzieci pierwszej żony już spłacone. Jedynie najmłodszy Staś jest przy nim.

Wówczas napisałam, żeby brat przyjechał i zobaczył ziemię i całe gospodarstwo. Brat przyjechał ze swoim synkiem Zbyszkciem. Obejrzał dokładnie zabudowania, łąki, ziemię. Było 54 hektary. To są piachy szóstej i piątej klasy. Plaża nad Bugiem. Park przepiękny.

– Z ziemi żyć nie będziesz. Nawet świnki nie uchowasz, nie ma czym karmić. Zresztą lepiej gotową kupić niż trzymać służbę do świń. Nawet dwie krowy to za dużo. Jedną a dobrą, mleczną. Ja dla siebie bym tego nie kupił. Ale ty przy pomocy swego męża możesz się pobawić w rolniczkę. Tu trzeba włożyć duży kapitał. Konia trzeba dokupić, w parku mogą chodzić indyki, które lubisz hodować. W dole jest kawałek ziemi na ogród, zaś reszta piachy. Kartofle się udadzą. I żyto.

Wieś Klimczyce prawdopodobnie kiedyś należała do dworu. Klimczyce Ferma²⁷, położone o trzy kilometry od wsi, były niegdyś wielkim dworem. Spławiano drewno. Flisacy płynęli latem kilometrami. Rozlewiska rzeki szerokie. Po zimie łąki zalewane wodą. Ziemia, piasek. Jedynie żyto i ziemniaki się udawały.

Domów było cztery, właściwie pięć.

Pierwszy kasztel. Budynek murowany, jednopiętrowy o dwóch wieżyczkach. Na pierwszym piętrze dwie olbrzymie izby. Za kasztelem podobno była kiedyś oranżeria, w której dojrzewały ananasy. Dziś wybudowano 10 małych pokoików dla celów pensjonatowych. Pod izbami pierwszego piętra kuchnie. Pod każdą wieżyczką wejście

²⁷ Klimczyce Ferma to część rozparcelowanego folwarku Klimczyce, zakupiona w 1916 r. przez dra Stanisława Nasiłowskiego, po jego śmierci drogą spadku przeszła na własność Michała Nasiłowskiego. Pomimo iż tutaj znajdowała się główna siedziba dawnych właścicieli, nie było to centrum majątku. Największą część stanowiły Klimczyce Górne.

z długim korytarzem i schody na pierwsze piętro do dużych izb o trzech weneckich oknach²⁸.

Drugi budynek drewniany, rozłożysty, o olbrzymich pokojach, z gankiem od wjazdu i po drugiej stronie budynku oszklonym gankiem. Dom ten pokoi miał jedenaście. Jeden pokój o powierzchni siedem metrów na jedenaście. W pokojach klepka dębowa biała i czarna, układane we wzory. Nazywany był pałacem.

Obok murowany budynek kuchenny²⁹ z okrągłą wieżyczką, z wejściem krętymi schodami do obszernej izby. Możliwe, że tu sypiała służba. Z prawej strony wejście do izby ze zlewozmywakami i odpływem wody. Pralnia lub łazienka dla mycia służby. I od południa wejście do dużej, obszernej kuchni ze spiżarnią. Przy ścianie, dwa metry na dwa duży piec do pieczenia chleba i ciasta.

Był jeszcze jeden budynek, zwany pałacem myśliwskim. Podobno przewieziony z lasu po hrabim Ciecierskim³⁰. Duży, jednopiętrowy, z gankiem oszklonym. Był zrobiony z grubych belek poskręcanych śrubami. Belki jasne. Ściany pokryte wyżłobionymi deskami.

Jeszcze był mały domek o ośmiu pokoikach. Na skraju sadu, pomiędzy sadem a parkiem. Wejście z ganku. Na ganku po bokach ławki.

Zimą te wszystkie domy stały puste. Dopiero latem się ożywiały, kiedy dziedzic wynajął. Przeważnie na kolonie letnie dla dzieci.

Park miał 4 hektary. Lipy 500–letnie. Graby i różny drzewostan. W parku stała figura Matki Bożej, wykuta z piaskowca. Postawiła ją Józefa Podczaska w roku 1852. Napis na cokole głosił o tym: „Aby Matka Najświętsza błogosławiła mieszkańcom i właścicielom tego majątku”³¹.

Za kasztelam rozciągały się zabudowania folwarczne. Tuż obok kasztelu najpierw wymurowana wędzarnia. Dalej mieszkania, kuchnia

²⁸ Okna weneckie – tutaj: posiadają szyby umieszczone w łukowatych otworach.

²⁹ Pod budynkiem kuchni był zbudowany tunel, obmurowany w formie łuku cegłą, wiodący w kierunku Buga, jego odgałęzienie prowadziło w kierunku kasztelu. W 1945 r. był w nim Ryszard Krykowski wraz ze swoim ojcem. Info: Ryszard Krykowski 04.03.2015 r.

³⁰ Pałacyk myśliwski z Bacik, odkupiony od hr. Henryka Ciecierskiego (1864–1933), właściciela majątku Baciki. Obecnie w posiadaniu jednej z rodzin w Klimczycach–Kolonii.

³¹ Napis na cokole kapliczki brzmi: „Matko, błogosław mieszkającym tu”.

z pokojem. Chyba dla oborowego. Później duży kurnik. Dalej spichlerz ze skrzyniami na zboże. Do spichrza przylegała obora. Duża, można było pomieścić ze 20 krów. W poprzek podwórza przylegający do budynku z oborą świniuszniak. Też duży, 10 świń mógł pomieścić. Dalej stajnia i wozownia. Zaś na samym końcu podwórza olbrzymia stodoła. Na siano i zboża.

Budynki folwarczne były w stanie dobrym, mocne, z kamienia i cegły. Te kamienie i cegły mogłyby wiele opowiedzieć o historii przewijających się przez Klimczyce właścicieli i dzierżawców.

Z Sarnak i Platerowa przechodziła droga do Klimczyc wsi i dalej do Bindugi i Kózek, przez Klimczyce dwór po prawej stronie pałacu. Po lewej pola i w głębi błyskała niebieskim kolorem rzeka Bug, do której prowadziły dwie aleje wysadzone lipami. Jedna alejka prosta od ganku pałacu aż do samej rzeki. W lewo nad samym brzegiem wysokie, niebotyczne topole o wiecznie trzęsących się liściach, po prawej stronie szeroka plaża z białym, drobnoziarnistym piaskiem.

Pierwszego września przyjechał mój mąż i przywiózł mi pieniądze na zapłacenie zadatku na ziemię, krowy i konia. Drugiego dokupiłam młodziaka Lalusia. Śliczny koń półarab, półanglik. Jeszcze nie miał pięciu lat, za 500 złotych.

W ten sposób zamiast jechać do Hajnówki, pozostałam dziedziczką na Klimczycach.

Pan Nasiłowski chodził ze mną po polach i doradzał mi, gdzie co będę mogła zasiać i zasadzić.

Jeszcze we wrześniu przyjechała do mnie z polecenia doktora pani Fromowa z córeczką. Siedząc jeszcze na wozie zaczęła się tłumaczyć, że ona wie od doktora, że Klimczyce są cudowne i musi pobyć z córeczką chociaż jeden miesiąc. Dziewczynka była po zapaleniu płuc. Przyniesiono ją na rękach do domu. Słabiutkie to było, blade.

I tak się zaczęło od pierwszego dnia. Postanowiłam wzmocnić dziewczynkę sokiem z marchwi i jabłek. Codziennie musiała wypijać pełną

szklankę soku z marchwi i jabłek. Po dwóch tygodniach przyjechał ojciec dziewczynki.

– Pani jest cudotwórczynią – rzekł na powitanie rozradowany. Dziewczynka wybiegła sama na spotkanie ojca. Kolorki i oczy jej błyszczące. – Myślałam, że jeszcze leżysz – cieszył się zdrowiem jedynaczki.

Jesień była piękna. Przebywali do śniegów.

Po wyjeździe pani Fromowej przeniosłam się do jej pokoju. Franciszka pytała mnie:

– Pani się nie boi spać w tym pokoju? Na wieżyczce powiesił się Waldek.

– Moje dziecko, czego mam się bać? Jemu musiało być bardzo źle na ziemi, jeżeli sam sobie przerwał nić życia.

Odmawiam różaniec i za niego. W tej wieżyczce pod nim urządziłam łazienkę. Nie boję się umarłych, boję się żywych. Przez kilka dni Franciszka spała ze mną w pokoju, później przyjechał mój mąż i nic się nie stało.

– Pójdziemy do kościoła, pójdę na grób, aby Bóg mu przebaczył to jego samowolne zejście z tego świata.

W niedzielę pojechaliśmy razem z panem Nasiłowskim, aby się przedstawić proboszczowi sarnackiej, to znaczy naszej parafii³². Pani Zuzu nie należała do wierzących, więc jej nie zabraliśmy. Tadeusz, stajenny pana Nasiłowskiego, przybiegł zapytać, czym chcemy jechać.

– Oczywiście, że naszą podlaską karetą – odpowiedział pan Nasiłowski. *Kareta*, pomyślałam sobie.

– O, widzi pani, jaka jest ta nasza karetka? Niesie jak na resorach. Przekona się pani, że na nasze drogi jedynie karetka, o czterdziestu ośmiu oknach.

Siedzenie pośrodku wozu, wypchany worek słomy. Rzeczywiście, świetnie się bujało i przy nierówności drogi nie groziło przewróceniem.

Po drodze dowiedziałam się, że nie potrzebuję się zwierzać pani Zuzu z naszych projektów.

³² Proboszczem parafii w Sarnakach w latach 1933–1942 był ks. Aleksander Zaremba.

– Oni oboje się przechytzają. Obmyślaliby stale, jak mnie oszukać, nabrać. Nie miałbym spokoju. Chcę dojechać spokojnie do końca mojego życia. Z dziećmi nie chcę. Tamten w Ruskowie nie ma dzieci, ale jest taki sam despota jak ja. Kłóciłibyśmy się stale. Córka ma już swoje, ale nie wieczór, więc będzie jeszcze. Nie wytrzymam. Postanowiłem oddać pani, za spłatę długów hipotecznych. Sad da mi gotówkę na bieżące potrzeby, gosposia wyhoduje kilka kaczek. Od pani dostanę dwa litry mleka. Gazetę opłacę i co mi więcej trzeba? Mam już sześćdziesiątkę.

Dojechaliśmy do Sarnak.

– Proszę zobaczyć, jaką mamy dzwonnice – chwalił się pan Nasiłowski.

Po nabożeństwie poszliśmy do księdza. Tam było już paru parafian, więc po prezentacji krótkiej obiecaliśmy wstąpić w tygodniu. Wyruszyliśmy z powrotem.

– Chce pani wstąpić na cmentarz? To niedaleko.

– Co było powodem tej tragedii? – zapytałam wreszcie, gdy wracaliśmy.

– Nie przypuszczałem, że tak to się skończy. Trochę jestem winny sam. Widzi pani, on był bardzo nieśmiały. Tu również nie było dziewcząt dla niego. Nigdzie nie chodził, do sąsiadów żadnych, nie wyjeżdżał do miasta. Kisił tutaj.

– Ukończył jaką szkołę? – spytałam.

– Nie, nic, nawet powszechnej. Czytać umiał, dawałem mu gazetę. Nie lubił czytać. Wałęsał się po polach, nie interesując się absolutnie niczym. I potem on się powiesił. Chyba cały tydzień wisiał, bo nikomu do głowy nie przyszło tam go szukać.

Z ciężkim sercem wracałam do Klimczyc. Nie mogłam zrozumieć. Siadło mi ciężarem na sercu. Nasiłowski był twardy. Nic go nie obchodziło. Grunt to kaczka na talerzu. Po tym kielich pieprzówki i spać. Po obiedzie ucinał drzemkę. Po drzemce gazeta i spacer. Taki miał rozkład dnia i niezmiennie przestrzegał go.

Zaś Klimczyce były piękne. Gdzie się nie ruszyć, otaczała nas samych krasa. Rano, kiedy biegłam do kuchni, na polance przed pałacem kwitły

rumianki, dzwoneczki, trawka łązka. Ptaki śpiewały jedno przez drugich. Modrzewie o zawieszonych kropelkach rosy. Z daleka niebiesko-szara wstęga Bugu. Wszystko to było tak piękne, tak słodkie. Rozmarzało i budziło najwspanialsze myśli. Żegnałam się wówczas i zaczynałam mówić różaniec. *Matko Najświętsza, cóż to za piękny świat nas otacza. Boże, „czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary”* – powtarzałam za Janem Kochanowskim. *Dzięki Ci, Boże, za to, że pozwoliłeś mi przeżyć, posmakować uroki tej naszej ukochanej ziemi.* Byłam w uniesieniu, szczęśliwa.

Miałam 37 lat, nie byłam młódką. Całe otoczenie przemawiało do mnie. Każdy kwiatek pieścił moje oczy. Chciałoby się uklęknąć, objąć ramieniem, wzlecieć nad czubki drzew. Wypełniona pięknem parku, wstępowałam do kuchni rozradowana i szczęśliwa. Dziewczęta, trochę jeszcze zaspane, witały pogodnym „dzień dobry”. Pani Borkowska siedziała na swoim miejscu, pilnie bacząc, aby wszystko było jak należy.

Śniadanie o ósmej już było z głowy. Obiad należało zaczynać. I tak było dzień w dzień. Aż do ostatniego sierpnia. Wtedy nastała cisza. Ucichło bieganie dziewcząt. Jedynie zostałam ja i moja Franciszka.

Pojechaliśmy z dziedzicem, jak go tutaj nazywano, do rejenta. Przekazawszy mu polecenie wydobycia dokumentów o zadłużeniu, obejrzelśmy miasteczko Siemiatycze.

Za czasów dawnej świetności Siemiatycze należały do książąt Jabłonowskich. Dziś była to miejscina mała, biedna, gdzie Żydzi trzymali prym w handlu i wszelkim pośrednictwie. Pośrodku stały drewniane budki gęsto przy sobie stojące. Były to sklepy z wszelkim towarem. Dziegieć, śledzie i mydło. Dość różnorodny towar mieścił się na półkach tych sklepików, do których za poły marynarki wciągał Żyd, zachęcając do kupna. Miasteczko było wybrukowane kocimi łbami. Trzęsło na nich niesamowicie, czyniąc przy tym hałas. Na peryferiach parę domów murowanych. Przeważnie żydowskich. Poozdabianych kolorowymi głowami pod okapem. Kościół prawie za miastem, naprzeciw cerkiew. Ludność katolicka, prawosławna i żydowska. Żydzi mieli też swoje bożnice.

– Do wiosny mamy spokój. Sporo czasu upłynie, nim on wyciągnie wszystkie dokumenty – powiedział pan Nasiłowski. – Trzeba jechać i do Łosic, i do Białej Podlaskiej, i do Siedlec. Od śmierci brata nie zaglądano do tych dokumentów. Wszystko figuruje na brata, zwłaszcza księgi wieczyste.

Zajrzeliśmy jeszcze do jednego sklepu spółdzielczego i powróciliśmy do Klimczyc.

Dziedzic oprowadzał mnie po swoim majątku, wtajemniczając, gdzie i co należy siać i sadzić.

– Już od dziś jest pani dziedziczką – zaśmiał się – ja będę tylko doradcą.

– Nie jestem dziedziczką, bo nie dziedziczę. Tylko użytkownikiem ratalnym. Bo ratami będę wchodziła w posiadanie.

– Zresztą, czy to jest ważne? „Wszystko jedno jak zwał, byle się dobrze miał”.

– A ja się tutaj świetnie czuję – odpowiedziałam.

Byliśmy nad Bugiem. Spostrzegłam w olszynie całe gromady główek szarych grzybów.

– Czy one są jadalne? – spytałam.

– Chyba tak.

– Nazbieram i spróbuję. Można będzie nasolić na zimę i na lato.

– Niech pani uważa, mogą być trujące.

Przyniosłam kilka, kazałam sparzyć i udusić. Przed spożyciem uprzedziłam gospozię, aby przygotowała mleko. Jeżeli zrobi mi się niedobrze, napiję się mleka i zrzucę. Rozniosło się po wsi, że ta nowa najadła się trujących grzybów. Ale znalazła się stara kobieta, która uspokoiła. Są to szare gąski. W lesie są zielone, a w olszynie, na odkrytym polu, szare. Było po strachu.

Nazbieraliśmy pełne kosze szarych gąsek. Później przyszykowałam opieńków, których była niezliczona ilość w parku, już pod śniegiem one przytulone do pni drzew rosły. Mieliśmy pełno śliwek, jabłek, gruszek.

Spółdzielczy sklep był mi dostawcą, zostałam członkiem spółdzielni, od razu wpłacając pięć udziałów.

Poznałam też i sąsiadów. Najpierw przyszedł pan Sołtan³³, zaofiarował mi mleko. Czterdzieści krów pasło się na pastwisku. Mleko po 8 groszy za litr. Dobrze, będę brała 20 litrów, ale to dopiero od czerwca.

Później zjawił się pan Goławski³⁴, młody, wesoły człowiek. Ten tylko po sąsiedzku, dla znajomości. Na ostatek pan Krykowski³⁵, zięć pana Nasiłowskiego.

– Jestem najbliższym sąsiadem pani. O tam, pod laskiem, nad samym Bugiem mój domek. Wszystko z gliny. Nawet niewypalanej. Żona też przyjdzie, jeno się z dziećmi upora. Mamy dwójkę. Jeszcze za małe.

Wreszcie przybył najważniejszy, Oreszczuk³⁶. Wsiowa mądrała. Na wszystkim się znał. Był doradcą pana Nasiłowskiego. Wkrótce stał się moją prawą ręką. W wielu sprawach radziłam się ja jego. Miał brata pszczelarza³⁷, od którego kupowałam miód.

Pan Nasiłowski radził się Oreszczuka, ale czy robił tak, jemu to było tylko wiadomo.

W każdym razie Oreszczuk był pośrednikiem w sprawach najemnych między mną a kobietami ze wsi. Znał je najlepiej, wiedział, która jest uczciwa, której można powierzyć jaką pracę. Miałam z nim wielką wygodę. Furmanki po gości też on organizował.

Kupca z koniem nastreczył mi Oreszczuk. Za 500 złotych polskich nabyłam młodego araba. Nie miał jeszcze pięciu skończonych lat. Był

³³ Grzegorz Sołtan (1889–1973) – posiadał duży majątek, część jego ziemi znajdowała się za Bugiem. Jako jedyny w Klimczycach posiadał prom, miał też kilka łódek. Wykorzystywał je na potrzeby własnego gospodarstwa (przewożenie ludzi, sprzętu rolniczego, zbiorów), a także świadczył usługi innym osobom. W czasie wojny zaangażowany w pomoc innym. Po wojnie musiał sprzedać ziemię za Bugiem ze względu na domiar podatków – info. Olgierd Religioni, 10.09.2025 r.

³⁴ Zygmunt Goławski (1910–1993) – rolnik, sadownik z Klimczyc–Kolonii, uczestnik akcji wydobycia niewybuchu rakiety V2 w maju 1944 r.

³⁵ Adam Krykowski (1904–1978) – mąż Janiny z Nasiłowskich (1908–1983), po wojnie zamieszkali w kasztelu. Obecnie mieszka tam ich córka Halina Sulej z synem Ryszardem.

³⁶ Najprawdopodobniej był to Polikarp Oreszczuk (1882–1962) – rolnik z Bindugi. Po śmierci starszego brata Wiktora przejął jego pasiekę. Obecnie jego wnuk Józef wraz z żoną Marią kontynuują tradycje pszczelarskie.

³⁷ Wiktor Oreszczuk (1871–1953) – mieszkał w Bindudze, prowadził pasiekę na 40 uli, które sam budował. Utrzymywał się ze sprzedaży miodu. Nie założył rodziny. Cieszył się szacunkiem i sympatią.

śliczny, lewa noga nad kopytem biała i biała gwizdka na czole. Oswoiłam go, dając mu kawałki cukru z ręki. Nie był on czystej rasy, ale był piękny, o wysokich nogach, krótkim kształtnym tułowi. Ambitny. Ciągnął niemal cały wóz, kiedy jego kompan kasztan puszczał popręgi luźno. Jego nie można było dotknąć batem, za to kasztana trzeba było poganiać.

I tak w krótkim czasie moje gospodarstwo urosło. W kuchni urzędowała Lucynka³⁸. Do pokoju miałam Franię³⁹. Stanisław doglądał koni i krów. Indyczki też były. Kur już miałam ze dwadzieścia.

Sprowadzono Józefa Iwaniuka⁴⁰. Zbudował on piękny trzypiętrowy kurnik. To znaczy budynek był, jedynie wewnątrz po lewej stronie grzędy, po prawej klatki wyścielone słomą z otworami i drabinkami do wejścia dla kur. Na każdym piętrze wąska deska przed klatkami. Kury i indyczki siedziały na grzędzie, zaś jaja znosiły w klatkach. To była moja pierwsza inwestycja, o której bajano we wsi.

Na wiosnę 1939 roku dopiero była robota na całego. Kupiłam kilka sosnowych pni, narznęliśmy desek. Porobiliśmy mostki ze schodkami na brzegu Bugu. Jeden schodek na schodzenie do kajaków. Były i kajaki, pięć sztuk. I jedna olbrzymia łódź „Reda”. Dwanaście osób pomieściło się. W parku stoliki i ławeczki dookoła. I dwie świątynie dumania, ze skrzynkami na płozach do wywożenia nieczystości ze świątyń.

Na tydzień przed przyjazdem gości personel przechodził przeszkolenie. O ósmej był gong. Dziewczęta przynosiły dzbanki z kawą do stołowego. Wszystko odbywało się tak, jak za bytności gości. Sprzątały pokoje, nosiły wodę, szykowały do obiadu. Ubrane w fartuszki, w czepeczkach z koroneczkami.

³⁸ Emilia Lucjanna Krasuska (1912–1993) – wcześniej osierocona przez rodziców, musiała zarobić na swoje utrzymanie, m.in. służyła w klimczyckim dworze, później była pokojówką, kucharką w pensjonacie Eugenii Dorochowicz. W marcu 1940 r. wyszła za mąż za Jana Szoplika z Bindugi i przeniósł się do jego domu. Słynęła z umiejętności kulinarnych.

³⁹ Franciszka Kasproicz (1916–1997) – po mężu Marciniuk, ulubiona służąca Eugenii Dorochowicz. Mieszkała w Mężeninie. Jej córka Danuta Walczuk mieszka w Bindudze.

⁴⁰ Józef Iwaniuk (1889–1965) – rolnik z Bindugi, zajmował się również stolarstwem.

Starszą była Franciszka. Ona doglądała, pilnowała kucharki, aby na czas było gotowe jedzenie: śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacja. O dziewiętnastej było po wszystkim.

Dwie dziewczyny były do zmywania naczyń. Cztery do pomocy kucharce. Do pieczenia chleba i ciasta odstąpił mi dziedzic swoją gospozię. Dwa razy w tygodniu wypiekała chleb i ciasto, placek z kruszonką. Pokojówek było sześć. Każda miała po dziesięć rodzin do obsługi.

Umówiliśmy się z dziewczętami, że płacić im będę po 10 złotych miesięcznie. One zaś od gości dostaną po 5 procent od sumy, którą mi będą wpłacać goście za cały pobyt w pensjonacie. 5 procent od 120 złotych, które pobierałam od każdej osoby, czyniło 6 złotych od jednej osoby. Zaś od dziesięciu 60 złotych, za dwa miesiące każda miała po 120 złotych, zależało to, z ilu osób składała się rodzina. Jeżeli z pięciu osób, to miała więcej. Dzieci do dwunastu lat płaciły połowę. Więc za dziecko dostawały 3 złote.

Chciałam, aby każdy pensjonariusz poczuwał się do obowiązku zapłacić za trud ciężkiej pracy, którą ponosiły dziewczęta.

Za używanie leżaka, kajaka, konną jazdę pobierałam opłaty oddzielnie. Piłka była do użytku ogólnego. Zaś rakiety do tenisa i piłki opłacano od osoby, za godzinę po 50 groszy od osoby.

Plac tenisowy był urządzony w miejscu sadzawki. Rozrzucono ziemię z wysepki, położono dreny dookoła placu, ławeczki na zboczach i można było grać w największy upał. Drzewa parkowe otaczały cały plac, przepuszczając światło i rzucając cień. Drugi plac był osłonięty świerkami, tam grano w siatkówkę.

Nie ogłaszałam w gazecie o moim pensjonacie. Sami moi znajomi i przyjaciele zjeżdżali się. Parę osób było obcych, którzy byli znajomymi moich przyjaciół. Zabrakło mi miejsca, tak dużo osób chciało być u mnie. Dwóch panów z radia umieściłam w stodole. Przyjechali i uprosili o to miejsce. Byli zapaleńcami łowienia ryb. Jedna z dziewczyn nosiła im obiad nad Bug.



Fot. 2. Wycieczka łodzią po Bugu – takimi łodziami mogli płynąć wczasowicze z pensjonatu w Klimczycach do Drohiczyna. Ze zbiorów Danuty Walczuk.

W lipcu zorganizowaliśmy wycieczkę łodziami i kajakami do Drohiczyna. Kurczaki pieczone. Samowary dwa. Ciasto z kruszonką. Na kolację z powrotem. Pan Michalski, historyk, objaśniał nam dzieje tej ziemi. Kościół na wysokim brzegu⁴¹, resztki murów. Jedna ściana za ołtarzem jeszcze stała. I posadzka pokryta trawą. Olbrzymie drzewo, brzoza rosła pośrodku ruin. Poszliśmy zwiedzać resztki stolicy. Była to raczej wieś. Zupełnie zaniedbana. Ożywiały ją jedynie roczne jarmarki. Zjeżdżali się wówczas z jednej i drugiej strony Bugu. Musieliśmy wracać, bowiem pod prąd było dużo ciężiej płynąć. Dwóch ludzi sznurami ciągnęło łodzie z powrotem. Na kolację zdążyliśmy. To była cudowna wycieczka.

Na drugą wycieczkę, do Mielnika, pojechaliśmy furmankami. Pojechaliśmy, bo pan Michalski zaproponował nam obejrzenie starej baszty. Sam był ciekaw zobaczyć, jak wygląda dawna strażnica Rzeczypospolitej.

⁴¹ Chodzi najprawdopodobniej o ruiny kościoła w Mielniku, a nie w Drohiczynie – autorka pomyliła miejsca, w Drohiczynie było kilka kościołów i żaden nie był zniszczony tak jak ten stojący na wysokim brzegu w Mielniku.

Więc zamówiliśmy 10 fur drabiniastych i jazda do strażnicy. Uciechy było niemało. 10 fur wyładowanych mieszczuchami, którzy trzęsą się na wozach, by obejrzyć trochę rozwalonych cegieł i kawałek muru.

Oreszczuk kiwał głową i mrugał okiem na takie dziwo. Było co oglądać. *Jużci, ludzie z miasta niezupełnie mają poukładane w głowach. Tyli grosza* – medytował, poganiając swoje konie.

On był głównodowodzącym wszystkich wycieczek, furmanek na przyjazdy i odjazdy gości klimczyckich. On godził się z chłopami na przejazd. On sam brał pieniądze od gości i sam wypłacał. Więc nic dziwnego, że zamyślił się nad ilością grosza wyrzucanego bez potrzeby.

Zaś ci, którzy wsiadali na wóz, mieli roześmiane twarze od ucha do ucha. Czyż to nie uciecha? Wóz wysoki, naładowany sianem, pachnie, aż w nosie wierci. Wgramolić się na siedzenie, upchane i przykryte kilimem, potrzebowało nie lada sprawności i zręczności. Jeszcze młodzież dawała sobie prędejszą radę.

– Jurek, trzymaj mocno – woła Zosia, stawiając nogę na kole. I już Zosia siedzi, jakby królowa na wysokim pod niebo siedzeniu, patrząc na wszystkich stojących obok wozu z góry. Woła woźnica na niespokojne konie, trzyma lejce naciągnięte z całej siły. One zaś, cięte przez kąśliwą muchę, nie mogą spokojnie ustać. Prr, prr!

I niestety, Zosia z siedzenia fik! Nogi do góry, głowa na dół. I Jurek z Jędrkiem łapią lecącą Zosię z wozu. Wszyscy zaś aż posiadali na trawie z tej uciechy. Śmieli się długo i teraz, i potem długo w czasie jazdy. Może jeszcze nieraz wspominają.

Starsi zaś panie i panowie stali bezradnie koło wozu. Bo jak tu wejść, czego się chwycić? Za koło niebezpiecznie, bo wóz ruszy. Sztachety wozu za wysoko. Od tyłu również nie da rady. Nawet stołek za niski. Przyniesiono drabinę z ogrodu. Dwóch trzymało drabinę, aby się nie chybotą, dwóch konia za pysk. Zaś panowie profesorowie wyższych nauk i dyrektorzy szkół i seminarium, szli po drabinie, kurczowo trzymając się szczebli. W duchu myśleli: *Diabli nadali z wycieczką. Można kark skręcić.*

Siedzenia znów były za wysokie. Oreszczuk upewniał, że się uleżą. Z powrotem nie będą takie, bo konie w czasie postoju zjedzą połowę. Wszyscy trzymali się wozu kurczowo, pamiętając „salto mortale” Zosi.

A kiedy wóz za wozem ruszał i konie zaczęły parskać – *Zdrów! Zdrów!* – wołano konikom. Zaturkotały koła. Jedni przycichli, bo pierwszy raz jechali wozem, drugich wesołość opętała. Wszyscy zaczęli się trząść. Ktoś kogoś szturchnął niechcący. Czyjaś głowa stuknęła o ramię sąsiada. Koniki rażno biegły, brzuchy, wypchane owsem, trawiły.

Niektórzy dziwili się, skąd zalatuje zapach amoniaku i nawozem ze stajni. Konie odwijają ogony i upuszczają obfite porcje gorącego dania, smakołyk dla wróbli. Przy głośnych dźwiękach wychodzących gazów.

Oreszczuk uśmiechał się pod nosem i mruczał:

– Napasły się owsa, to gazują. Żadnego uważania. Państwo niezwykczajne, w nosie wierci.

Ja mu do ucha odpowiadałam:

– Nie szkodzi, będą pamiętać wycieczkę.

Na wsiach, przez które jechaliśmy, myślano, że to wesele jedzie, tyle wesołości było. Kurz unosił się za nami pod same niebo. Ile niejeden najadł się strachu, że wóz się wywróci. *Oj, oj*, krzyczeli. Albo, kiedy w las wjechali, gałęzie coraz przez głowę. Trzeba schylać się nisko. Albo przez plecy, którzy tyłem siedzieli. *Hop, hop* – na jeden bok wołano. *Uwaga, jedziemy w dół!* A teraz *hop*, do góry!

Skrzypienie wozu, zapach siana i to, co szło od koni, chłód lasu lub niemożliwy gorący upał od słońca. Całe morze niebieskości nad głową, zieleń przetykana złotem sterczącej szczotki tryska. Radość, wesołość na wszystkich twarzach. Byliśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. Zupełną niespodzianką i przeżyciem nie lada był przejazd przez Bug. Niektórzy spoglądali ze strachem, czy aby nie zatoną. Starsi rozmawiali z przewoźnikiem. Czy mocny, jak dawno zbudowany ten prom? Czy nie było wypadku zatonięcia? Jaka w tym miejscu głębokość Bugu?

– Głęboki to jest – odpowiadał przewoźnik spokojnie – ale za to wąski – pocieszał, wypisując kwity za pobrane za przejazd pieniądze.

Niektórzy mieli ochotę zostać, bo a nuż coś się stanie. Zwłaszcza matki z dziećmi. Pani pułkownikowa Kownacka gotowa była wyrzec się oglądania Mielnika i baszty. Synuś nie chciał o tym słyszeć. Więc rada nierada weszła na prom, żegnając się ukradkiem. Po dwie furmanki przewoził. Wszyscy odetchnęli, kiedy ostatni wóz zjeżdżał z promu.

Basztę, górującą nad Mielnikiem, widzieliśmy czekając na przeprawę. Prom prawdopodobnie pamiętał odległe czasy. Jeszcze Tatarzy się nim przeprawiali albo i nasze rycerstwo idąc na Krzyżaków.

Kiedyś baszta stała nad samym Bugiem. Dziś Bug zmienił swoje łóżysko i u stóp wysokiej góry, na której stała strażnica, baszta, rozciągało się rozległe pastwisko, upstrzone plamami leżących spokojnie krów przeżuwających pokarm.

Zajechaliśmy na rynek. Potem piechotą, boczną uliczką na górę pod basztę. Musieliśmy wejść pod sam mur. Każdy pragnął zerknąć okiem, by przekonać się, jak daleko sięga horyzontu. Pan Michalski tłumaczył, jak to strażnicy dniem i nocą czuwali. Czuwali, wypatrując wroga. Przez małe okienko u szczytu baszty wypatrywali⁴². Sienkiewicz o tym pisał w Trylogii. Więc zaczęli przypominać, w którym tomie, gdzie jest to opisane?

Po dość trudnej wspinaczce dotarliśmy do celu podróży. Młodzi i dzieci były pierwsze. Wśród nich był taki, który pierwszy z najpierwszych dotknął mury baszty. I zaraz zaczęły się spory, kto właściwie? Bo biegło wielu, a sędziego zabrakło na miejscu. Jeden się potknął i uskarżał, że góra zbyt stroma i trawa, wyskubana przez pasące się kozy, nie dawała nogom oparcia. Zbyszek miał najdłuższe nogi, wszystkich wyprzedził. Zaś Jurek, syn pułkownika, uważał, że on z urzędu powinien być pierwszy. Danek zaś upewniał, że gdyby nie ta trawa i nie potknięcia, z pewnością zdystansowałby wszystkich. Trochę na serio, trochę na żarty spierali się. Nim starsi, sapiąc i ocierając pot z czoła, dotarli po wielu

⁴² Baszta w Mielniku – chodzi o pozostałości murowanej kapliczki pw. Aleksandra Newskiego, zbudowanej w 1865 r. dla uczczenia ocalenia cara Aleksandra II, rozebranej w 1927 r. Do czasów współczesnych ocalał jej fragment (węgiel). Jest to popularne miejsce widokowe w Mielniku.

odpoczynkach na sam czubek wzgórza, młodzi zdążyli obejść już basztę z aparatem fotograficznym i uwiecznić basztę i szybko-wspinaczy.

Widok, rozciągający się od miejsca, w którym staliśmy, był bardzo piękny. Niebieskoszara wstęga Bugu. Po lewej stronie wąski pas złota-wożółtego piasku. Prawy brzeg wysoki, urwisty, wyraźnie ukazywał warstwy ziemi. Hen, jak okiem sięgnąć, zielone łąki. Dalej pola pocięte szachownicą w różne kolory. Miejscami złote plamy po życie i pszenicy. Wszystko otoczone czarną wstęgą lasu. Nad całym widokiem niebiesciutkie niebo aż po horyzont. Takie samo, jak rzeka niebieska.

Staliśmy urzeczeni pięknem rozciągającym się przed naszymi oczami. Nad naszymi głowami strzelała ku górze baszta. Głębokie okrągłe okna strażnika patrzyły na ten sam widok. Sięgały dalej, były wyżej o jakieś 15 metrów. Znow powstała sprzeczka: jedni, że ma 15 metrów, inni, że 20. Trudno było sprawdzić, bo schody i lewy bok baszty były już zniszczone. Staruszek, który pilnował kóz i patrzył na nas zdziwionym okiem, po co nas tu lichy przyniosło, objaśnił panu Michalskiemu, że to Niemcy rozwalili tę basztę w 1914 roku.

Pan Michalski podsunął nam myśl o strażniku, który przez otwory u góry baszty śledził bacznie, co się dzieje na linii horyzontu. Tak, tak, najmniejsza zmiana, nieznaczný ruch w oddali powodował niepokój i trwogę. Bito na alarm. Kotły, bębny głośiły, że wróg się zbliża.

Patrząc na rozległy widok, przytulone kępy zielonych krzewów, na stogi siana i kopki żyta, zdawało się nam, że w ciszy tej pięknej chwili tam gdzieś w oddali czai się, sunie ku nam zdradliwy, chytry, żądny krwi wróg. Nie trwało to długo. Baszta stała spokojnie, cisza niezmacona, ani jednej chmurki na niebie. Słońce błyskało ku nam złotem i żarem.

Zmęczeni, spoceni, radzi wypoczynkowi, usiedliśmy pod samą basztą. Oparliśmy plecy o chłodny mur. Wygłodzony żołądek upominał się o swoje prawa. Więc każdy, trzymając w garści śniadanie, powracał do rzeczywistości. Pan Michalski wspomniał, że takich strażnic już zostało niewiele.

Kiedy wracaliśmy, pan Michalski spróbował mnie namawiać, abym uprosiła Oreszczuka o nadłożenie dwóch kilometrów w bok za Mielnik.

Od razu pojęłam, o co chodzi. W karczmie, do której wstąpiliśmy, aby napić się piwa, pan Michalski wypytywał karczmarza, gdzie mieszka garncarz. Niedaleko co prawda. Ale w taki upał, dwa kilometry? Wcale nie podobał się ten projekt Oreszczukowi. Konie zmęczone. Mucha dokucza. Przejechały już siedemnaście i jeszcze te dwa. A właściwie cztery, bo i z powrotem.

– Mój panie Oreszczuk, zrozumcie, pan profesor musi kupić garnuszki z tych okolic. Właśnie stąd, z Podlasia. Najlepiej u garncarza.

Oreszczuk znów się dziwował: też ma co kupować? Garnki gliniane.

Uśmiechałam się do Oreszczuka i zaczęłam:

– Żebyście widzieli, ile on ma tych garnuszków. Przeróżnych. Kocha się w tych garnuszkach wsioowych. Całe życie zbiera je. Po całej Polsce. Dołożymy furmanom po dwa złote. Zgoda? – pytałam.

– Tyle pieniędzy dla głupiego garnka. Z gliny – mruczał i poszedł do gospodarzy, aby im powiedzieć. Pieniądz ma swoją wymowę. Zgodzili się.

Jeszcze godzinę daliśmy koniom na odpoczynek, co pozwoliło zwiedzić jedyną rzecz wartą oglądania, kościół. Nieduży kościółek miał u wejścia przepiękną, koronkową latarnię. Ksiądz miejscowy objaśnił, że ręcznie kuta, pamięta bardzo odległe czasy. Poza tym miasteczko prawie puste, wszyscy w polu. Jedynie dzieciarnia na podwórkach i na drodze bawiła się w piasku. Psy przestraszone hałasem przejeżdżających furmanek ujadły nam na pożegnanie.

Garncarz zupełnie zgłupiał. Stojąc przed swoją furtką przekonał się, że cała gromada furmanek zatrzymuje się przed jego domem. Rozkupiliśmy wszystkie garnuszki, miseczki, kogutki przygotowane na targ. Zaś najwięcej ucieszony był pan Michalski, bo powiększył swoje zbiory. Powiększyły się o parę okazów sztuki ludowej. Garncarz zaś miał o czym opowiadać wszystkim swoim ziomkom, jak to z miasta ludzie przyjechali do niego po garnki. Jak chwalili, że takie piękne. A specjalnie jeden starszy pan nie mógł się nachwalić.

Wracaliśmy przez las, wesoło śpiewając. Była to udana wycieczka.

– Pani – odezwał się Oreszczuk pewnego ranka. Czekał na mnie siedząc na ławeczce przy placu do tenisa. – Deszczu trza. Fasola zakwitła, strączki się nie zawiązują. Taka susza, ziemia jak popiół. Gryka zakwitła pięknie, ale ziarnka coś nie widać.

Szliśmy w stronę pałacu.

– Co u pani w radio słyszać? – wreszcie zagadnął – coś nie bardzo dobrze.

Spojrzałam na Oreszczuka.

– Bądźcie spokojni. U nas wojny nie będzie. Wiecie, że byłam w marcu w Warszawie. Mam kuzyna w oddziale drugim⁴³, oni mają doskonały wywiad. Specjalnie pojechałam do nich, aby się dowiedzieć. Zapewnili mnie, że mogę spać spokojnie. Przede wszystkim minister spraw zagranicznych zawarł układ o nieagresji. Po drugie mamy układ z Anglią i Francją. A to jest gwarancja. Nie jesteśmy sami. Mamy sojuszników. Nie wywalabym tylu pieniędzy, gdybym nie wiedziała na pewno. Musiałam usłyszeć z pewnych ust. Zaś kuzyn mój ma wysokie stanowisko w oddziale drugim, jest wywiad tajny o Niemcach. Kuzyn zapewnił mnie, że Niemcy z nami wojny nie zaczną. Przede wszystkim na naszych szosach nie przejadą ich czołgi. Po drugie te czołgi to jest dużo przesady. A po trzecie podobno te czołgi są z dykty. Dlatego dopiero od nich pojechałam na Nalewki⁴⁴ na zakupy. Sami wiecie, ile kosztowało mnie przywiezienie tak olbrzymiej ilości materiału. Całe bele kupiłam na ziemniaki. I to jest materiał na materace, solidny, mocny. A firanki, a zasłony, a nakrycia do stołu? I w spółdzielni w Siemiatyczach tyle szkła? Wieźliście sami. Na niepewne kupowałabym? Dopiero, kiedy zapewniono mnie, że wojny nie będzie. Dopiero wówczas zaczęłam kupować i sprowadzać. Zresztą byłam i u brata swego. I on zapewnił mnie, że wojny z Niemcami nie będzie. Co prawda, jest powołany do wojska. Ale to tylko manewry. Strachy na Lachy – zakończyłam.

⁴³ Przedwojenny „Oddział Drugi”, nazywany także „Dwójką” – to Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (od 1928 r. Sztabu Głównego), główny organ polskiego wywiadu, zajmujący się m.in. wywiadem wojskowym, kontrwywiadem, kryptologią, dywersją oraz studiami nad obcymi siłami zbrojnymi w latach 1918–1945.

⁴⁴ Ul. Nalewki – słynna ulica handlowa w żydowskiej dzielnicy Muranów w Warszawie.

Słońce świeciło jasno, niebo było niebiesciutkie. Pszczoły uganiały się za miodem. Lipy oblepione rojami pszczoł.

– To wszystko przeniosą do waszych ulów, a ja później kupię od was miód.

– Taka kolejność rzeczy. Lato miodu będzie – odpowiedział mi Oreszczuk.

– To proszę zamówić 40 kilogramów dla mnie.

– Dobrze, dobrze, będzie pani miała.

I ciemna chmura o wojnie się rozeszła. Pan Oreszczuk wrócił do domu zupełnie udobruchany. Byłam zupełnie spokojna. Zebraliśmy od sąsiadów składki na LOPP⁴⁵. Na początek listy wstawiłam 2,00 złotych dla przykładu i zachęty. Oddaliśmy sołtysowi. Mąż ofiarował pensję 600 złotych. Co można było więcej zrobić? Mamy wojsko, mamy dowódców, rząd, niech oni się martwią.

Podświadomie czułam niepokój. Chociażby pożar Głównego Dworca⁴⁶. Piękny, rzeźbami zdobiony. Czy to nie był „*tonkij namek na tołsoje obstojatelstwa*”⁴⁷?

Pod wieczór poszłam do świetlicy posłuchać dziennika wieczornego. Wszyscy zbieraliśmy się po kolacji. Uspokajał nas rząd, że wojny nie będzie. Dyplomatyczne stosunki są jak najlepsze. Minister radziecki podobno był w Polsce. Proponował układy. Beck odmówił w myśl tradycji

⁴⁵ LOPP – Liga Obrony Powietrznej Państwa, założona w 1923 r., przemianowana w 1924 r. na Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

⁴⁶ Budowany w okresie międzywojennym Warszawski Dworzec Główny, choć nigdy nie ukończony, należał do najnowocześniejszych w ówczesnej Europie. Znajdował się pomiędzy ul. Marszałkowską i E. Plater, wzdłuż Al. Jerozolimskich. Pożar wybuchł 6 czerwca 1939 r. ok. godz. 6.30 rano, w porze szczytu komunikacyjnego. Pasażerowie zmuszeni byli wysiąść na wcześniejszych przystankach i dotrzeć do miejsca pracy tramwajami, autobusami lub pieszo. Informacja o zdarzeniu rozeszła się szybko, pojawiły się pogłoski o sabotażu. Ustalono, iż przyczyną pożaru była iskra w wadliwym agregacie do spawania. Z ogniem walczyło ok. 260 strażaków, jeden zginął w czasie akcji, kilku było ciężko rannych. Premier Składkowski odznaczył Krzyżami Zasługi 62 strażaków. Obiekt ucierpiał także w wyniku nalotów niemieckich we wrześniu 1939 roku. Po zajęciu stolicy, władze okupacyjne naprawiły uszkodzenia i oddały go do użytku w prowizorycznej formie. W tych okolicznościach dworzec pełnił funkcję do czasu Powstania Warszawskiego, po czym został wysadzony przez Niemców w powietrze.

⁴⁷ *Tonkij namek* ... (ros.) – znak, subtelna sugestia, wskazówka, dotycząca poważnej sytuacji.

Piłsudskiego. Piłsudski co prawda już nie żył, ale animozja jego do Rosji tkwiła głęboko w sercach Polaków. Żadnego przymierza, żadnej pomocy z tamtej strony.

Niezapomniana wojna o Kijów, hańbiąca ucieczka, utrata całej Białorusi. Raczkiewicza obietnica, że tylko na cztery miesiące opuszczamy Mińsk. Tylko na cztery miesiące. Zaś w jakim popłochu opuszczaliśmy. Ja miałam 19 lat, brat mój miał 16. Cały rok tłukł się po Białorusi. W kalesonach uciekli ze stodoły. Omal ich nie złapali. Po roku tułaczki przybył do domu. Ubranie z niego musiano spalić, bo wszy. Później starania o szkołę. Spóźniony był o rok cały. I to wszystko moja matka wytrzymała. 38 lat i troje dzieci. Najmłodsza po drugim mężu sześć. I teraz, kiedy już się ustatkowaliśmy, brat miał dwóch synów i trzecie w drodze (bratowa była w ciąży), matka mogła spokojnie siedzieć u mnie. I teraz to wszystko znów ma się wywrócić? Nie było to możliwe. Boże, ustrzeż nas od złego – myślałam, układając się do snu.

Na drugi dzień rano, koło południa, przybyła wycieczka Juwentusiaków⁴⁸ do Klimczyc. Z księdzem Detkensem⁴⁹. Jednocześnie przysłała do mnie pani Wójtowiczowa⁵⁰, przynosząc mi dwie sztuki lnianego płótna. Była ona mieszkanką Mężenina, żoną tamtejszego sołtysa. Płótno było piękne, cieniutkie. Po jeden złoty za metr.

– Pani Wójtowiczowa, proszę przynieść jeszcze jedną sztukę płótna, my to załatwimy.

I tak się stało. Przyniosła nazajutrz i ksiądz Detkens cieszył się podarunkiem.

⁴⁸ Katolickie stowarzyszenie Juventus Christiana skupiało inteligencką młodzież katolicką, działającą w ramach duszpasterstwa akademickiego. Prowadził je ks. Edward Detkens. Eugenia Dorochowicz w przeszłości należała do tego stowarzyszenia, знаła ks. Detkensa.

⁴⁹ Ks. Edward Detkens (1885–1942) – duszpasterz środowisk akademickich w Warszawie, w czasie II wojny światowej prześladowany za swoją działalność duszpasterską, w marcu 1940 zatrzymany przez Gestapo, więziony na Pawiaku, następnie w Sachsenhausen i w Dachau. Zginął w komorze gazowej w czerwcu 1942 r. Papież Jan Paweł II w Warszawie 13 czerwca 1999 r. beatyfikował go w grupie 108 polskich męczenników.

⁵⁰ Antonina Wójtowicz (1889–1972), jej mąż Jan (1881–1971) był sołtysem wsi Michałów-Kolonia, położonej między Klimczycami-Kolonią a Mężeninem.

Wieczorem urządziliśmy ognisko. Naznosiliśmy dużo drewna i gałęzi, obsiedliśmy dookoła ognisko na trawie. I popłynęły pieśni. „Płonie ognisko”, „Bo kto wie, bo kto wie, kiedy znowu ujrzę cię” było ostatnią piosenką przed rozstaniem z Juwentusiakami. Rano wyruszyli do Platerowa, by powrócić do Warszawy. Siedem kilometrów na młode nogi nie było za wiele. Jedynie ksiądz Detkens jechał kareta podlaską, pożegnawszy się serdecznie ze wszystkimi, a specjalnie z gospodynią Eugenią Dorochowiczową i jej mężem.

– Czy ty widziałas – zapytał mnie mąż – jak się ksiądz przyglądał spacerom mrówek na ścieżce albo w oborze krowom? Przemiły kapłan. Prawdziwy sługa boży.

Moja matka coraz mię nagabywała:

– Nie zostawiaj kluczy od spiżarni. Wyniosą ci wszystko.

Odpowiadałam:

– Nie martw się, muszę zarobić i na złodzieja, i na podatek.

Pamiętam, że raz siedzę przy stole. Dziewczęta posprzątały wszystko po zupie. I nie widzę, aby niosły półmiski z drugim daniem. Postawiły salaterki z marchewką i zniknęły. Idę do kuchni, pytam Frani:

– Dlaczego nie niesiecie cielęciny?

Frania zmieszana, odpowiada po cichu:

– Pani starsza schowała do spiżarni całe mięso.

– Co takiego? – wołam – gdzie klucze? mamó!

– Masz, masz – odpowiedziała matka. – Tyle mięsa! To zgroza, całego cielaka na jeden raz! – mamrotała, wychodząc z kuchni.

Już od pierwszego sierpnia chodziła za mną i nagabywała, abym dała jej 150 złotych na kupno parki prosiaków.

– Mamusiu – odpowiadałam – ja nie będę się paprała z hodowlą świń. Wolę kupić na wsi, to mi się lepiej opłaca. Hodowla opłaca się wówczas, jeżeli się nastawić na dużą ilość, chociażby dziesięć. Jak u Krykowskich.

Matka nie ustępowała.

– Nic nie wiadomo. Jeżeli wybuchnie wojna, Niemcy natychmiast kolczykują i nie kupisz wówczas. Ja nie ustąpię, musisz mi dać. I pojedę z Oreszczukiem do hodowli.

Dałam te 150 złotych, pojechali, przywieźli parkę. Ale jedno prosię nie wytrzymało i zdechło. W sierpniu były upały, jechali w południe, słońce prażyło niemiłosiernie, przegrzało się i klops. Została mi jedna świnka. Tamtą zakopaliśmy.

W końcu sierpnia 1939 roku nadeszła depesza. Do mnie. Bratowa Zosia Dobrowolska nie żyje. To był grom. Dwudziestego piątego pogrzeb. Boże drogi, co on zrobi z dziećmi? Dlaczego umarła?

To było czwarte dziecko. Pierwszy się im zmarnował. Brat był inżynierem do spraw rolniczych w powiecie stołpeckim. Tam poznał Zosię. Była nauczycielką. Przyszedł krach, zabrakło pieniędzy i pozwalano w kółkach rolniczych w całym powiecie. W 1931 roku przyjechali z kresów stołpeckich do Przemyśla. Mieszkali razem z bratem Zosi u jej rodziców, bo Lolek⁵¹ był bez pracy. Zaczął się kryzys w Polsce. I właśnie dziecko, Wiesio, złapało gruźlicę od brata Zofii. Zapalenie opon mózgowych i koniec. To były straszne czasy. Zostawił wówczas mój brat żonę u rodziców. Mieli własny domek z ogródkiem. I przyjechał do nas szukać jakiejkolwiek pracy. Tak. Jakiejkolwiek. Pamiętam, że chwycił się sprzedaży pralek. Kupiłam od niego. Była to beczka z pokarbowanej blachy i na kiju kociołek do góry dnem. Wewnątrz tego kociołka był drugi mniejszy na sprężynie. Przy uderzeniu powodował ruch wody i w przeciągu 20 minut wyjmowało się 20 prześcieradeł czystych. Przypomniało mi się, jak moja gosposia z początku gderała na mnie, po co to kupiłam. Zaś kiedy wyjęła po 20 minutach z beczki czyste prześcieradła, przyznała mi rację.

⁵¹ Lolek – Leonard Dobrowolski, brat Eugenii Dorochowicz.

Mąż został na gospodarstwie. Na niego nie bardzo liczyłam. Nie znał się absolutnie. Był chemikiem. Tylko w tej dziedzinie zabierał głos. Majątek i cały pensjonat leżał na mojej głowie. To była moja domena.

Pożegnałam swoich pensjonariuszy i pojechałam do Warszawy. W Warszawie spotkała mnie moja siostra. Do taksówki była przeolbrzymia kolejka.

– Co się stało, że tak dużo ludzi przyjechało?

– Jedni przyjeżdżają, inni wyjeżdżają – odpowiedziała mi.

Wreszcie wsiadłyśmy, by jechać na Dworzec Gdański do Legionowa. Jechałyśmy powoli w tłumie sunących, wypełnionych walizkami taksówek. Patrzyłam przez okno taksówki. Piękna była Warszawa. Z mocą ciągnęła moje oczy ku sobie. Jadąc przez most Kierbedzia, po zapchanej taksówkami ulicy, spojrzałam na Zamek Królewski. Tak pięknie wyglądał, oświetlony reflektorami. Jaśniał w złotych snopach promieni i wyraźnie odbijał od granatu ciemnego nieba. Niedawno skończone odnowienie. Błyszczał nową szatą, wyraźnie rysując swe kontury. Taksówka sunęła powoli. Miałam dość czasu, aby oczami przesunąć po komnatach zamku. Nie przypuszczałam, że to moje ostatnie odwiedziny, że widzę go w tak pięknej szacie po raz ostatni. Że grozi mu zagłada.

– Popatrz, Liluś, jak ładnie odnowili.

Kościuszkowskie Wybrzeże lśniło złocistą wstęgą autostrady, po której migały podobne robaczkom świętojańskim pędzące tam i z powrotem samochody.

W Legionowie zastaliśmy już matkę Zosi i siostrę. Moja matka też już była, zajęta się dziećmi. Zbyszek miał osiem lat, Andrzej trzy. Malcy nie zdawali sobie sprawy, co się stało. Oni byli dumni, bo ich matkę zabrali samochodem.

Matka Zosi opowiadała, że zmarła pisała do niej listy, aby przyjechała do niej na poród. Ona się bardzo bała wojny. I nie trzeba się temu dziwić. Mąż jej był w wieku poborowym. Od marca przebywał w wojsku w Modlinie. Więc dobrze wiedziała, że pierwszy wystrzał oznacza wyjazd jej męża i ojca jej dzieci na front. Brat pracował w LOPP. Był

spadochroniarzem⁵², głównym inspektorem spadochroniarstwa w Polsce. Ponieważ miał wykształcenie rolnicze, w wojsku był aprowizacyjnym.

Odbył się uroczysty pogrzeb na Bródnie. Pułkownik Wolszlegier⁵³, major Mazurek – bezpośredni przełożony brata. Masę wojskowych, koledzy. Nasz stryj Stefan z żoną. Przez całą mszę św. klęczałam, nie mogąc sobie uświadomić, iż jest to pogrzeb mojej bratowej. Zmarłej w trzydziestym pierwszym roku życia. Zofia Dobrowolska zmarła na 6 dni przed rozpoczęciem II wojny światowej. Na pogrzeb swój zgromadziła całą rodzinę męża, swoją, przyjaciół, znajomych. Odprowadziliśmy ją na miejsce wiecznego spoczynku. Było to spotkanie, na którym wiele osób widziało się po raz ostatni w życiu.

Szłam na samym końcu konduktu ze stryjem i stryjenką.

– Czy to naprawdę będzie wojna? – spytałam stryja – ledwo złapałyśmy taksówkę na dworcu wschodnim. Tłok, ścisk, jakby się paliło.

– Ludzie zawsze lubili panikę. Jednocześnie początek roku szkolnego. Więc koniec sierpnia, początek września.

– Może wstąpisz do nas, Geniu? – zapytała stryjenka.

– Nie mogę, zostawiłam na opiece pokojówki cały pensjonat. Muszę wracać popołudniowym pociągami. Drugiego dziś nie będzie. Konie zamówione, przyjadą po mnie. Może innym razem, przyjadę specjalnie.

Po złożeniu kondolencji bratu, matce Zosi i siostrze, ucałowaniu chłopaków opuściłam cmentarz. Spieszyłam się, bowiem do Dworca Wschodniego był kawałek, ja miałam tylko godzinę czasu do odejścia pociągu.

Zdążyłam. Przyjechałam do Platerowa. Konie czekały.

⁵² Leonard Dobrowolski (1903–1975) – w latach 1936–1939 był głównym instruktorem spadochronowym w Samodzielnym Referacie Spadochronowym Zarządu Głównego LOPP.

⁵³ Płk Jan Tadeusz Wolszlegier (1891–1959) – dowódca wojsk balonowych w II RP. W okresie wojny polsko-bolszewickiej był dowódcą batalionu, który wchodził w skład I Pułku Aeronautycznego i brał udział w walkach jako piechota. W dniach 02–07.08.1920 pułk walczył w okolicy Sarnak. W alei głównej cmentarza parafialnego w Sarnakach znajduje się grób jednego z żołnierzy tego pułku, kpr. Zygmunta Kamińskiego (1896–1920), studenta Uniwersytetu Warszawskiego. W Grobie Nieznanego Żołnierza na sąsiedniej alei leży kilkunastu poległych „aeropiechurów”.

– Stanisławie, coś mi się zdaje, że Lalus kuleje – odezwałam się.

– Coś złapał musi w drodze. Trzeba do kowala.

– Wstąpimy zaraz. Po drodze.

Dobrze się stało, bo miał gwoździa w kopycie, który go uwierał.

– Ale pani ma oczy urocze. Ledwo wsiadła do wozu i od razu zauważyła.

– Oko pańskie konia tuczy – odpowiedziałam zadowolona, że tak szybko zlikwidowaliśmy problem, że mego Lalusia już noga nie boli.

Przyjechaliśmy, dziewczęta obstały nas. Zauważyłam ciszę.

– Już po obiedzie? – spytałam Franciszkę.

– Nie. Nikogo nie ma. Wszyscy wyjechali. Jak tylko pani wyruszyła do Platerowa, zaraz posłali po furmanki do Klimczyc i do Mężenina. Spakowali się i dziś rano po śniadaniu odjechali.

– Jak to odjechali? Zostawili pieniądze?

– Nie. Powiedzieli, że przyślą pocztą.

Tego się nie spodziewałam. Było jeszcze sześć dni do końca sierpnia. To było zdumiewające. Tak raptem wyjechać! I wszyscy razem!

Wszystkie dziewczęta były na procencie. Czekaliśmy do końca wakacji, aby obliczyć. Ponieważ to byli moi znajomi, koleżanki jeszcze ze szkoły średniej, z Juwentus, ze studiów, parę osób byli to znajomi znajomych. Nie, to było nie do uwierzenia. Na przykład sędzia miał zapłacić za sierpień za trzy osoby dorosłe i dziecko w końcu miesiąca.

Za używanie kajaków, za leżaki, za konną jazdę, za ekstra sok z marchwi dla dzieci, codzienna szklanka. Moja Joasia tyle natarła i przesączała. Ani jedna z sześćdziesięciu paru osób nie miała uregulowane na czysto. To było gorzej niż straszne.

Jak ja to wyegzekwuję? Nie mam do wszystkich adresów. Świetnie się im udało. Wystrychnęli mnie na dudka. Cały mój dochód diabli wzięli. Z lipca zostało mi parę złotych, bo na bieżąco regulowałam opłaty za mleko, mięso, masło.

Jeszcze nie ma wojny, a już mnie dotknęła.

– Niech się pani nie martwi, obiecali wszyscy, że przyślą zaraz po pierwszym. Mówili, że książki muszą kupować. Że na pewno przyślą i dla nas.

Nie wypada nic innego, jak te parę dni poczekać. Zobaczymy.

– Jestem głodna, zjem najpierw obiad. Później coś uradzimy.

Dziewczęta były rade. Ciekawe było to, że żadna się nie zmartwiła. Tak były ufne w obietniczki swoich gości. Mój mąż był również rozbrajająco wesoły. Nikomu nie przyszło do głowy, aby ktokolwiek mógł nie dotrzymać słowa.

Jeszcze w sierpniu pojechaliśmy z gosposią do Siemiatycz. Ponieważ dla niej wystarczyło mi pieniędzy, więc się z nią rozliczyłam. Pan Nasiłowski prosił mnie, abym z nią pojechała kupić dla niej palto na zimę. Zarobiła przez lato 120 złotych. Pojechaliśmy. Powoził nam Tadeusz, mój nowy woźnica. Przebyliśmy promem u Sołtana Bug i jechaliśmy przez wieś o nazwie Turna Stara.

– O, proszę pani, bójka była w tym roku. Jednego nożem 24 razy dźgnęli – odezwał się do mnie Tadeusz.

– Dlaczego? – spytałam.

– Było wesele. Turna jest Ruskich. Chłopaków się uzbierało. On był od Lachów. Zmówili się i rozpoczęła się bójka.

– To wy się bijecie z nożami?

– No chyba. Inaczej nie honor.

Roześmiałam się.

– Dlaczego? – znów spytałam.

– Bo widzi pani. Jak który przyjdzie na naszą stronę, to my go poturbujemy. Jak pójdzie od nas do nich, to oni go pobiją.

– Skąd ta nienawiść? – pytałam, nie mogąc zrozumieć powodu tych bójk. – Wiesz, Tadeusz, ja się ciebie będę bała. Jeszcze mnie pobijesz.

Spojrzał na mnie i się roześmiał.

– Nie, panią nie. My tylko między sobą. Oni są Ruscy, to my ich. My jesteśmy Lachy, to oni nas. Utrzymujemy tradycje sienkiewiczowskie.

Dopiero to mię zastanowiło. Nie myślałam, że Sienkiewicz odegra tak znamienne rolę nad Bugiem.

– A czytałeś Trylogię? – zapytałam.

– No chyba – spojrzał na mnie prawie zadziornie – w siódmej klasie szkoły powszechnej⁵⁴. Pani nam czytała, bo była tylko jedna książka w bibliotece.

Spojrzałam uważniej na tę głowę o rozwichrzonych włosach. Stała między nami nie sympatii. Jedno słowo: Sienkiewicz, tradycja. Już się go nie bałam. Gospośia słuchała naszej rozmowy.

I dojechaliśmy do Siemiatycz. Prosto na rynek, do żydowskich sklepików. Potargowaliśmy się trochę, pooglądaliśmy. I kupili palto na wacie, przyozdobione futrzanym kołnierzem. Ciepłe majtki, grube zimowe pończochy i materiał na sukienkę. Gospośia rozradowana swoimi zakupami, powróciła obciążona paczkami.

W spółdzielni zakupiłam dziesięć kilogramów cukru, pięć mydła. Gospośię czekało pranie.

Mieliśmy jeszcze trzy dni sierpnia. Dziewczęta posprzątały, kucharka miała mniej roboty. Obiad był na porę jak zawsze. Zasiadliśmy razem z dziewczętami do stołu, gdzie parę dni temu było gwarno, pospieszno, gorąco.

Wreszcie rozliczyłam kucharkę i odprawiłam, nie miała już nic do roboty. Dla nas mogła gotować obiad Lucynka w kuchni w kasztelu. Mialiśmy więc urlop. Obrusy pozdejmowane. Stoły pozostawiane, łóżka poprzenoszone do jednego pokoju w pałacu myśliwskim, poustawiane.

Żyto było sprząnięte. Na kartofle jeszcze za wcześnie. Przyniesiono od Czuryły truskawki do posadzenia. Zaorano kawałek ziemi od strony południowej parku przy alejce. Dziewczęta posadziły 100 krzaków truskawek. Płaciłam po 5 groszy za jeden krzaczek.

Pogoda była przepiękna. Deszcz był potrzebny, bardzo potrzebny. Słońce od rana do zmierzchu świeciło i grzało. Niebo czyste, niebiesciutkie.

Nadjechał nasz listonosz. Przywiózł gazety, „Kurier Warszawski”. Usiedliśmy na ganku.

⁵⁴ Jedyna szkoła siedmioklasowa w okolicy była w Sarnakach, uczęszczali do niej nawet uczniowie z Mężenina.

– Będzie wojna, panie Sakowski? – zagadnęłam.

– Tak jakby się zanosí – odpowiedział – jesteśmy przygotowani. Już od marca pobrano do wojska.

– Tak, tak, wiem. Mój brat już od marca jest w wojsku. Ale on nie wróżył wojny. Niedawno go widziałam na pogrzebie mojej bratowej. Wielu wojskowych widziałam i pułkowników. Nie zauważyłam żadnej trwogi na ich twarzach. Spokojni, dumni. „Nie damy ani guzika” – powtórzyłam – Rydz to dzielny wódz. On prowadził nasze wojsko do Kijowa. Rząd przestrzegał, abyśmy nie robili paniki. Nie wykupywali w sklepach. Ja zupełnie nie mam zapasów. Sól mam tylko bydlęcą.

Genowefa miała ukończoną szkołę podstawową. Sypała przysłowiami i wierszami jak z rękawa. Niezwykle dowcipna. Do każdej pracy brała się bez szemrania. Oszczędność miała zakodowaną we krwi. Lubiła zbierać śmietankę i schować w lodowni. U nas krowy, karmione rzepą pastewną i sieczką obsypywaną otrębami kukurydzianymi, miały mleko tłuste, żółte. Genowefci szkoda było skarmiać mleko bez zbierania śmietanki. Stąd nasze nieporozumienia. Z początku nie wiedziałam o jej przedsiębiorczości. Ale kiedyś będąc w lodowni – piwnicy, zauważyłam garnek w kącie, przykryty snopkiem słomy, pełen śmietany.

– Genowefa, co to za gar śmietany za snopkiem? – spytałam wieczorem.

– Już pani wypatrzyła – odburknęła – nie można nic schować. Skąd ja wezmę masło dla pana, jak nie ubieram śmietany? Pani by wszystko rozpaskudziła. Muszę chować. Ja tu jestem gospodyni. I ja muszę tak się rządzić, aby niczego nie zabrakło dla państwa.

– No dobrze, dobrze. Bardzo mi się to podoba – odpowiedziałam.

– Pani masła nie lubi, ale pan musi jeść chleb z masłem. A teraz idą takie czasy, że nic nie wiadomo. Może Niemcy mleko zabiorą.

Pewnego razu stanęłam na progu kuchni. Dziewczęta były tak zaafektowane dyskusją, którą prowadziły, że nie zauważyły mnie, stojącej w drzwiach. Perorowała jak zwykle Genowefa.

– Ona jest niemożliwa – mówiła w ferworze – dziś znowu spod ręki złapała mi kawał słoniny. Stale mi coś ginie. Dobrze, że nie wie, gdzie chowam uwędzone kurczaki. Istna złodziejka.

– O kim mówicie? – odezwałam się wreszcie.

– O Marysi Stefaniukowej. Nie można jej zostawić samej w kuchni. Tylko patrzy, czy ktoś nie widzi. Dziś znowu złapała mi spod ręki – dodała Genowefka.

– Moje dziewczynki. Spójrzcie tylko na nią – odezwałam się – jest blada i wychudzona. Widocznie w domu jest bardzo krucho. Matka jej, kiedy ona wraca od nas, pyta: *nie przyniosłaś mi czego? Samaś się najadła, a chorej, starej matce nic?* I zaklęła z cicha. *Tam wszystkiego dość. Tu ani kawałka słoniny. Bez omasty muszę.*

Marysia stała za drzwiami i słuchała tego, co pani mówi. Wreszcie wyszła z ukrycia i powiedziała:

– Zupełnie tak, jakby pani słyszała. Codziennie matka mi wyrzuca, jak nic nie przyniosę. Jak był pensjonat, to zawsze łatwiej było. Bom i ciasta kawałek przyniosła. I cukru trochę. Masła porcyjkę, jak ktoś zostawił. Teraz się urwało. A matka woła i nieraz mnie za włosy wytarga. Już zupełnie ze złości szerniała – dokończyła Marysia.

Idąc z Franciszką na podwórze, spytałam ją:

– Powiedz mi, Franiu, czemu oni są tacy biedni. Przecież Klimczyce wieś nie jest biedna. Mają pięcioro dzieci. Wszyscy zdolni, pracowici. Stasiek porobił mostki na brzegu Bugu. Każdą robotę wykonuje starannie. I stoliki z ławkami w parku. A ta ubikacja z wózkiem od tyłu to jego pomysł. Więc dlaczego rodzice są w biedzie?

– Proszę pani, to długa historia. Ludzie pamiętają, że oni byli gospodarzami na całą wieś najbogatsi. Mieli 25 morgów. Podobno żyli nad stan. Ojciec lubił gości. Przyjmowali, gościli i po trochu zaczęli sprzedawać morgi po rodzicach. Dziecisków sporo, kilkoro umarło. Zostało pięcioro. Teraz ojciec pasie gromadzkie krowy. Podobno krowę przywiązuje do nogi, bo mu się nie chce biegać za nią. Do tego doszło. Jedni pazurami ziemię orzą, aby jeno dokupić morgę. Inni z lenistwa już nie mają do sprzedania nawet poduszki. A już najgorsze, że starzy lubili popić. I to ich

zgubiło. Oboje jedno przez drugiego wynosili z domu, aby złapać grosz i do Żyda po wódkę.

Więc to dlatego w zimie przychodzą po ziemniaki na odrobek. W tym roku w zimie wzięli garnek ogórków kiszonych. Wszystko awansem na odrobek w lecie.

Wiedziałam, że Frania ma się do Staśka. Ładny chłopak, wysoki, miał niebieskie oczy. I zdolny do wszystkiego. Każdą robotę mu powierzona wykonał bez zastrzeżeń.

29 sierpnia słuchaliśmy komunikatów rano. Mobilizacja. Wyraz ten uderzył w nas. Wojna. Znaczy, wojna. Mąż mój postanowił jechać do Warszawy. Zaraz. Już. Oreszczuk go odwiózł do Platerowa. I nastąpiła złowroga cisza. Czekaliśmy na coś nieokreślonego, strasznego, które czało się tam, na zachodzie. Od Niemców.

Zapewnienia, gwarancja, układy ulotniły się. Stała przed nami rzeczywistość.

Mobilizacja.

Idą na wojnę nasze dzieci. Idą na krwawy bój.

Mobilizacja – chodziło za mną. Co prawda, jeszcze nie wojna. Groza wisiała nad naszymi głowami. Gdzie się podział spokój do niedawna wygłaszany z radia? Guzika nie damy. O ten guzik tyle rabanu. Wojsko się mobilizuje. Zabrzmiął złoty róg.

Oreszczuk nie miał radia u siebie w domu, więc przyszedł do nas i zasiedliśmy na ganeczku. Nikt nie miał odwagi przerwać ciszy. Pan Nasiłowski puszczał kłęby dymu ze swego cybucha. Oreszczuk również skręcał z bibułki swoją machorkę. Siedzieliśmy w zadumie, patrząc na bezchmurne niebo.

Był to 31 sierpnia. Jeszcze 24 godziny był spokój, pewność, pewność siebie, pewność w siłę armii.

1 września wczesnym rankiem, koło godziny piątej, obudziło mnie pukanie w okiennicę.

– Co powiecie, Stanisławie? – spytałam, uchylając okno.

– Proszę pani, samoloty latają – odpowiedział mi nieco strwożony głos.
– Tak mi się zdaje, że chyba od fronołowskiego mostu rzucają bomby.

– Co takiego?

– Samoloty, pewnikiem niemieckie. Rzuciły bombę na most we Fronołowie.

– E, bajki. Widzę, że się Stanisławowi troi – machnęłam ręką – to na pewno nasze. Patrolują albo ćwiczą.

Wyszłam na ganek, psy mnie obskoczyły, starając się w podskokach dosięgnąć mojej głowy i lizać mię po twarzy. Poszliśmy w stronę budynków gospodarskich. Prowadziliśmy rozmowę na temat wizyty samolotów.

– Tu niedaleko jest most na rzece Bugu⁵⁵ – tłumaczył mi Stanisław – więc może na ten i na drogę do Hajnówki. Ale po co rzucają bomby tutaj, przy wschodniej granicy? – medytował dalej, idąc obok mnie, Stanisław.

Mnie też zastanowiło to samo co Stanisława zagadnienie. Dzień zapowiadał się piękny, ani jednej chmurki na błękitnym niebie.

– Widział Stanisław znaki?

– Nie można było dojrzeć. Bardzo wysoko leciały. Tylko warkot dochodził. Indyczki pierwsze zauważyły. Zadarły główki, zaczęły popiskiwać, aby małe się pochowały. Same zebrały się w gromadę i krążyły na trawniku. O tu – wskazywał miejsce – i ciągiem popiskiwały. Małych ani widać. Jakie to przemyślnie i mądre. Myślałem, że jastrzębia dojrzały na niebie. Nastroszyły pióra, rozpostarły skrzydła i dalej krążyć w kółko. Krzyczały coraz głośniejsze. Mnie się zdawało, że szykują się do ataku. Piszczą, skrzeczą, ściągają uwagę na siebie. One jastrzębia wyczują z daleka.

– Jeżeli się pomyliły? – zagadnęłam – co wówczas Stanisław powie? Przecież się nie znają na znakach państwowych.

– Jaka to mądrość u tego ptaka – powtarzał uparcie – stare same wychodzą do ataku, dzieci swoje pochowały w krzakach i stale cicho przemawiają: *siedźcie, siedźcie tam cichutko, moje skarby, jeszcze łobuz*

⁵⁵ Chodzi o most kolejowy we Fronołowie. Naloty niemieckich bombowców we wrześniu 1939 r. nie uszkodziły mostu.

nie odjechał. Uważajcie, aby was nie pochwycił. My się tu zaraz z nim rozprawimy. Wy tam cicho, ani piśnijcie.

– O tak, proszę pani. Matki i ojcowie do boju, dzieciiska bezpiecznie schowane. Siedziały te maleństwa przytulone do ziemi. Ani widać, ani słyszać. Wszedłem w krzaki, rozglądam się. Patrzę tu i tam. Gdzie się te maleństwa pochowały? Omal nie rozdeptałem, tak się do ziemi przytuliły. Stulone siedziały koło pieńków, przy drzewach, pod krzaczkami, główki wtulone pod skrzydła, tylko oczka wystraszone błyszczały.

– Macie rację, Stanisławie. Indyczka jest najlepsza matka. Jest mądra, ostrożna i cierpliwa. Nie ma wśród ptaków lepszej matki. Ona nie pozwoli dotknąć jedzenia, dopóki sama nie spróbuje. Można by się wiele nauczyć od niej. Niepisane ich prawa, zawsze obowiązujące. Zastanawia mnie jednak to, co mówicie o tych samolotach. Na razie nie mówcie nikomu. Po co denerwować? Dokładnie nie wiemy jakie, może nasze. Może to jakieś specjalne manewry. Zaś bomba... – zastanawiałam się, co powiedzieć – mogła być rzucona w jakimś celu i przez nasze samoloty. Przed paru dniami byłam w Warszawie. Wiecie o tym. Byłam na pogrzebie mojej bratowej. Co prawda, trudno w czasie pogrzebu rozmawiać o wojnie. Zapewniam was, Stanisławie, nie szerzcie paniki, na pewno jest to fałszywy alarm. Widziałam tam wielu wojskowych, lotników. Generał Berbecki⁵⁶, pułkownik Wolszlegier, cały LOPP! Mój brat jest spadochroniarzem. Pierwszym z cywilów, który skoczył z samolotu. Ich spokojne twarze nie mówiły o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Zresztą, radio codziennie co nam mówi? Nie damy guzika. Słuchamy komunikatów. Czyżby wprowadzali nas w błąd? Nie ma dnia, żeby nie wspomniano o panice. Żeby nie szerzyć. Żeby zachować spokój. Więc co mamy robić? Musimy słuchać. Musimy wierzyć. To jest nasz rząd. Powiem wam jeszcze jedno. Żegnając się z bratem, spytałam: *Jak myślisz, będzie wojna?* Machnął ręką i odpowiedział mi stanowczym pewnym głosem:

⁵⁶ Gen. Leon Berbecki (1874–1963) – żołnierz, legionista, generał brygady, inżynier, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej, I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, prezes Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, w czasie II wojny światowej w stopniu gen. brygady w niewoli niemieckiej, od 1946 r. mieszkał w Gliwicach.

Nie martw się, śpij spokojnie. Niemcy z nami wojny nie zaczną. Zresztą, gdyby coś takiego nastąpiło, będziemy się bronić. Jesteśmy dostatecznie przygotowani.

Jeszcze jedno, żeby was, Stanisławie, uspokoić. W czerwcu przed urządzeniem pensjonatu w Klimczycach pojechałam do Warszawy. Właśnie, aby się upewnić, czy te pogłoski mają sens. Mój kuzyn, Stanisław Szachno⁵⁷, pracuje w Ministerstwie Wojska Polskiego. Otóż on mnie zapewniał, że Niemcy z nami wojny nie zaczną. Po pierwsze, nie mają tak dużo czołgów jak głoszą reklamy. Po drugie, dla czołgów potrzebne są drogi utwardzone. Szosy, drogi bite, szosy bite, autostrady, takich dróg u nas brak. Po trzecie, te ich czołgi podobno są z dykty. Jeszcze jedna rzecz bardzo ważna. Mamy bardzo dobry wywiad. Wiemy, co w trawie piszczy. Miłe stosunki nas łączą z Niemcami. Polowania, wizyty. Nie widzieliście, Stanisławie, fotografii? Razem z Ribbentropem nasz prezydent w jednych saniach w Puszczy Białowieskiej. Więc mi się wydaje, że niepotrzebnie się denerwujemy – przekonywałam też samą siebie. – I jeszcze jedno. Czy to możliwe, aby w dniu pierwszym września o piątej rano przyleciały aż tu, na fronołowski most rzucać bombę? Mają dosyć miejsca bić się tam, przy zachodniej granicy. Zaś tu do nas wojna nie dojdzie. Niemożliwe. Już dziś nad Bugiem samoloty niemieckie? Po co by psuli most na Bugu? Mają dosyć mostów na Wiśle. Nie, Stanisławie – upewniałam – zresztą dowiemy się wkrótce. Radio nam powie. I mój mąż pojechał do Warszawy, przywiezie najświeższe wiadomości. Jest piąta, za godzinę idziecie spać, Stanisławie. Już śniadanie przygotowane. Idźcie spokojnie spać. Nas wojna nie dosięgnie – zakończyłam naszą rozmowę.

Stanisław uspokojony poszedł spać po nieprzespanej nocy.

Poranek był piękny, powietrze pachniało rosą. W parku ptactwo się kotłowało. Fruwały, świergotały. Nie była im w głowie wojna. Dla nich zbliżała się jesień. Po wychowaniu dzieci należało przygotować się do odlotu i zebrać zapasy na zimę.

⁵⁷ Stanisław Szachno–Romanowicz (1900–1973) – kapitan Wojska Polskiego, historyk, orientalista, turkolog, archiwista, kryptolog. W czasie II wojny światowej służył w Polskich Siłach Zbrojnych we Francji, później w Wielkiej Brytanii. Do Polski nie wrócił.

Było cicho, spokojnie i zupełna pewność, że wojny nie będzie. Roboty było pełno. Zabrakło czasu na rozmyślanie o samolotach. Dzień mijał wypełniony troską o zasolenie grzybów, których w Klimczycach była moc. Wieczór nadchodził i zachęcał do odpoczynku. Nic nie stanęło na przeszkodzie.

Jak zawsze zasiedliśmy na ganeczku do wieczornej rozmowy. Gromady ptactwa nakarmione. Wszystko układało się do snu. Pan Nasiłowski i ja siedzieliśmy po kolacji i czekaliśmy na powrót mego męża z Warszawy. Nikt z nas nie spieszył się przerwać ciszy panującej dookoła. Każdy z nas myślał o zagadkowej wizycie samolotów. Że to mogą być samoloty niemieckie, nie mogło się mieścić w naszych głowach.

Nadszedł i Oreszczuk, gospodarz z Bindugi. Liczył sobie 70 lat⁵⁸. Czytać i pisać nie umiał. Ale mądry był, ho, ho. Po przywitaniu się z nami usiadł opodał na schodku i zaczął skręcać bibułą papierosa. Długo sobie kopcili swoje papierosy. Pan Nasiłowski długiego cybucha, Oreszczuk machorkę. Kłęby dymu unosiły się w dal. Cisza trwała dalej. Wreszcie po wypuszczeniu wielu kłębow dymu Oreszczuk zaczął:

– Co pani powie na te samoloty?

– Widział je pan, panie Oreszczuk?

– Com nie miał widzieć? Byłem akurat na polu. Poszedłem na łąkę. Rankiem jest dobrze orać.

Spojrzałam niespokojnie na mówiącego. On zaś powoli cedził:

– Ano, patrzę w górę, coś mi śmiga w słońcu. Trajkocze jak w tartaku. Przykryłem oczy z czoła, zadzieram łeb do góry. Błyszczące to takie, bielutkie, pod samym niebem, ledwo dojrzałem. Musi być trzy, może ze cztery, a może i pięć. Konia odwiązuję. Jak nie trzaśnie! Anim się obejrzał, leżę na ziemi. Myślałem, że mnie zabiło. Żem zmarł albo ranny. Patrzę w stronę mostu. Nic nie widać, jeno dym i kłęby piachu w powietrzu. Dopiero jak cała kurzawa opadła na ziemię, zobaczyłem, że most stoi.

⁵⁸ Eugenia Dorochowicz oceniała wiek rozmówcy po wyglądzie. Oreszczuk faktycznie nie miał jeszcze 60 lat, ale mógł sprawiać wrażenie starszego, nosił „sumiaste” wąsy.

Celowali w most, nie trafili. Zniosło w bok. Dołów było pięć. Widać pięciu je zrzuciło. Wielgachne te dołki, że niejedna stodoła w nie wlezie.

Splunął w bok na trawę i siedział zamyślony. Patrząc na mnie, pociągał machorkowego papierosa. Zapach gryzącego dymu dochodził do mnie i miałam wrażenie, że razem z dymem wkręca mi się do mózgu czarna chmura. Siedzieliśmy dalej, każdy z ciężkimi swoimi myślami. Nie miałam odwagi przerwać złowrogiej ciszy. Żadna odpowiedź nie pasowała.

Spokój, idący od parku, od z dala widniejącej rzeki, łąki pokryte mgłą, nakazywały milczenie. Moja poranna pewność już przestała mnie utwierdzać. To było niemożliwe. A jednak było zupełnie potwierdzone, że jest możliwe. Ten fakt potwierdzał słuszność stanu. Nie pasował wczorajszy dzień do dzisiejszego. Przemożna moc odwracała kartę naszego spokojnego, cichego życia. Leżeliśmy w gruzach powaleniu.

Dziedzic Nasiłowski puszczał coraz większe kłęby dymu. Wpatrywał się w daleki horyzont, czekając odpowiedzi jedynie stamtąd. Wreszcie wydmuchał resztki przed siebie, wytrząsnął popiół i zabrał się do czyszczenia cybucha. Spojrzałam w jego stronę. Twarz mu poczerwieniała, nos posiniał, niebieskie oczy, zawsze jasne, pociemniały i nabrały wyrazu oczu dziecka, które za chwilę się rozplacze. Wyjął z kieszeni olbrzymią kraciastą chustę i długo wycierał nos, okulary. I znów ani słowa.

Ja również nie miałam ochoty do rozmowy. Więc siedzieliśmy w głębokiej zadumie. Oreszczuk odezwał się wreszcie. Musiał wyrzucić z siebie ten ciężki balast:

– Konia to mi tak zestrążyło, że galopem popędził do stajni. Jakem przyszedł do niego, to jeno się oglądał za siebie i trzęsło go. Co pani na to? – znów mnie zagadnął.

Nie znajdowałam ani słowa. Pustka była w mej głowie. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Jeśli chodzi o wojnę z Niemcami, chodziły słuchy. Już od marca bowiem brat mój był powołany. Słyszeliśmy śpiewanie od toru kolejowego, śpiewali żołnierze powołani. Młodzi, silni, pewni. Słyszeliśmy, dochodziło do nas. W marcu, kwietniu echem szło po polach i lasach to śpiewanie.

Mnie ono przypominało czternasty rok. Odległy czas. Niewolo nasza. Tak samo niosło echo śpiewki żołnierskie. Zew okrutnej wojny. Tak jak wówczas budziły smutek, lekką trwogę. Wojna przynosiła zawsze uszczerbek ludzki. I po tej, i po tamtej stronie ginęli ludzie. Ludzie młodzi. Jeden zostawiał żonę, inny matkę. Jeden zostawiał dzieci przy żonie, inny siostrę i braci młodszych. Po to ginęli jedni, aby inni mogli żyć. Tak się z tym wszyscy pogodzili. Nikomu nie przyszło do głowy zaprzeczyć temu porządkowi. Tor udeptany milionami ofiar. Bez protestu szli na mięso armatnie.

Oreszczuk nie miał w domu radia. Prawie co wieczór, chyba że robota była pilna, i w sobotę, i w niedzielę przychodził dowiedzieć się, co mówią w radio i co wyczytał w gazetach pan Nasiłowski.

Dziedzic Nasiłowski był biegły w sprawach polityki. Miał on najwięcej czasu, praca w polu go nie obowiązywała. Wertował gazety, Kurier Warszawski. To nic, że nazwiska obce, francuskie, angielskie przekręcał. W polityce obcych państw orientował się świetnie. Pamiętał doskonale każde przemówienie. Pamiętał, jakie pakt i umowy były zawarte z nami. Wiedział dobrze, skąd może grozić nam agresja. Gdzie zawiąło nad naszym państwem niebezpieczeństwo. Często miewał zastrzeżenia co do posunięć politycznych, nie zgadzał się, oponował. Spać nie mógł po przeczytaniu jakiejś wiadomości z gazet. I może nawet ten stary człowiek miał rację. Siedząc bowiem z dala, nie miał żadnego interesu ani ambicji na punkcie zaszczytnych stanowisk, mógł słusznie wywnioskować wyniki poczynąń międzynarodowych, międzypaństwowych. Nieraz przysłuchując się dyskusji pana Nasiłowskiego z moim mężem, wyobrażałam sobie ich przy szachach. Oni przesuwali państwa, króli, żołnierzy jak pionkami na szachownicy świata.

– O, widzi pan inżynier. Czy nie miałem racji?

– Owszem – odpowiadał mój mąż. Przy tym uśmiechaliśmy się dyskretnie, bo Chamberlain na pewno by się nie domyślił, jeśliby usłyszał wymówione swoje nazwisko, że to o nim mowa. Mniejsza z wymową. Trudno, nie znał języków obcych. Najważniejsze, że sprawy rządów obcych państw i sprawy Polski leżały mu na sercu. Mawiał często, że

chłopom się krzywda dzieje. Tyle razy obiecywano poprawę i stale nie dochodziło do skutku. Był niezwykle oburzony na ostatnie rządy naszej sanacji. Zwłaszcza bolało go uwięzienie Witosa i wielu innych polityków. Był przeciwnikiem Piłsudskiego. Ostatnie rządy pułkowników potępiał bez pardonu.

Ja zaś byłam do pewnego stopnia ignorantka. Polityka była mi obcą dziedziną. Nie lubiłam tej gałęzi wiedzy. Ponieważ w pewnym czasie studiowałam historię, więc wiedziałam, że do sedna prawdy dochodzi się dopiero po przebrzmieniu wszystkich fanfarów, szumnie granych przez polityków i nie tylko. Osąd historii też jest ważny. Dopiero po wielu latach ocenia się dobre lub złe skutki poczynań. Pewne poczynania odbijają się gorzko. Pójście na Kijów dopiero się odbija. Jeszcze nikt nie obliczył strat, które poniosła Polska w drugim roku odzyskanej niepodległości. To był tak głupi, nierozważny krok. Czyśmy zyskali cokolwiek? Oddaliśmy Mińsk i nie odbierzemy już nigdy. Mocarstwowa Polska triumfowała bardzo krótko w głowach zapaleńców. Trzeba było oddać i to, cośmy pieścili przez niespełna 20 lat. Nikt nie przypuszczał, że nad naszymi głowami zawisła groza niesprawiedliwości we własnym narodzie. Chłopi, chłopi wyobcowani, żyjący na pograniczu nędzy. To był wrzód, który nabierał ropą.

Politykę można porównać do kokonu jedwabnika. Owija się nitka, owija. Cały spryt polega na tym, żeby w porę kokon sparzyć. Unieszkodliwiona larwa ginie. Zaś my rozwijamy piękną, mocną nić. Zresztą, niech już oni się gryzą i sami wsadzają do wody. Chcę żyć i szukam prawdy.

Nieraz to, co było z bliska złe, okazało się po kilku wiekach dobre, nawet zbawienne. Tam z góry wygląda to inaczej niż od nas z dołu. Stąd nieporozumienia w życiu, w polityce. Oskarżenia, że wyprowadzasz w pole, śmiertelna obraza. Czy nie wielbimy Bolesława Chrobrego, że potrafił wyprowadzić w pole? Kadłubek napisał: „Był chytry, szczerwany jak lis”. Czy to wyprowadzenie w pole nie zostawiło nam Psiego Pola? Czy obecna reklama, propaganda nie jest tym samym? Polityka ma podwójne dno.

Pierwszy września 1939 roku dobiegał końca. Godzina dziewiąta wieczór. Już tylko trzy godziny dzieliły od następnego dnia. Wskazówki wszystkich zegarów posuwały się miarowo, znacząc sekundy, minuty, godziny. Pan Nasiłowski wyjął swój stary, olbrzymiej wielkości zegarek i spojrzał. Machinalnie spojrzałam na swój. Jedyne szmer wkładanego do kieszeni zegarka zakłócił niezmąconą ciszę. Nasze myśli biegły w jednym kierunku. Czekaliśmy na powrót mego męża.

Te bomby spuszczone o wschodzie słońca na most fronołowski... Wiadomość, rano zignorowana przeze mnie, zaczęła mnie niepokoić. Tak jak struna na cymbałach Jankiela, brzęczała mi nad uchem fałszywym tonem. Nagromadzone zdarzenia ostatnich dni, mój pobyt w Warszawie, pogrzeb bratowej, nagły wyjazd męża z powodu ogłoszonej mobilizacji, pustka w Klimczycach z powodu panicznej ucieczki wczasowiczów. I te bomby dzisiaj. To wszystko nie mieściło się w głowie.

Wyjeżdżając na dwa dni 25 sierpnia do Warszawy zostawiłam Klimczyce pełne gwaru, wesołych zabaw. Nikt nie wspominał o wyjeździe. Zostawiłam 60 osób. Po powrocie zastałam jedynie podziękowania, pożegnania i obietnice wyrównania rachunków za pobyt po pierwszym wrześniu.

Byłam trzy dni temu w Warszawie. Byłam w Legionowie. Oglądałam stolicę naszą w całej krasie. Nie tak dawno, bo zaledwie przed paru dniami przyjechałam na Dworzec Wschodni wieczorem. Pociąg z Platerowa do Warszawy przychodził o dwudziestej. Dawno nie widziałam tak wyładowanego pociągu. Jak z olbrzymiego worka wysypała się ciżba przyjezdnych. Podniecenie i nerwowość na twarzach. Gorączkowy pośpiech. Niecierpliwość przy oddawaniu biletów. Moja siostra czekała na mnie u wejścia na peron. Wyszliśmy na ulicę. O wciśnięciu się do tramwaju nie było co marzyć. Miałam ciężką walizkę. Zdobyć taksówkę też niełatwo. Wszyscy wołali o taksówkę. Wszyscy uparli się jechać taksówką. Wszyscy mieli ciężkie walizki i po prostu jeden drugiemu zabierał sprzed nosa upatrzoną taksówkę. Wreszcie szczęśliwym trafem złapałyśmy. O przejechaniu szybko na Dworzec Gdański też nie było

mowy, bowiem cała szerokość ulicy była wypchana pojazdami i ani pomyśleć o wyminięciu kogokolwiek.

Oreszczuk zaś twierdzi uparcie, że to były samoloty niemieckie i oni rzucali bomby. Był o tej porze na łące. Co prawda, bardzo wysoko lecieli, nie dojrzał znaków. Zaś nasi nie rzucaliby bomb na nasz most. Może to jakaś pomyłka? Bez przerwy gadałam, mój mąż słuchał, jadł i nie odzywał się.

– Co, mobilizacja – zaczęłam z innej beczki – wzięli cię do wojska?

– Nie. Nie potrzebują – krótka odpowiedź – ten rocznik już niepotrzebny. Zgłosiłem się na ochotnika. Powiedzieli, że mają dosyć poborowych. Bohaterów im nie trzeba.

Znów mnie poderwało:

– Przecież wyraźnie wpisany był twój rocznik na ogłoszeniu.

– Ogłoszenie co innego, a sierżant, który zapisywał, twierdził co innego. Tłok był taki przed biurem werbunkowym, że dopchać się nie było można. Myślałem, że będę musiał nocować na podwórzu.

I znów ani słowa o wiadomościach. *Widocznie mają dosyć wojska* – medytowałam. To mnie nawet uspokoiło. *Jeżeli do wojska nie biorą, jeżeli nawet tłok w biurze mobilizacyjnym, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Strach ma wielkie oczy. Trwożymy się niepotrzebnie.* Spojrzałam ufnie w okno. Słońce zachodziło nieco krwawo. Cisza panowała w sadzie. Pszczoły poszły dawno spać.

– Jak przyjechałeś? – spytałam z chrypką w głosie.

– Pociągiem towarowym, osobowe już nie idą.

Spojrzałam na męża. Dopiero teraz zauważyłam bladość twarzy i zmęczenie w oczach.

– Jak to nie idą?

– Na razie wstrzymane, bo panika nie do opisania. Ludzie uparli się naraz podróżować w dniu wybuchu wojny. W Rembertowie nad torami kolejowymi latały samoloty niemieckie. Na fabrykę pocisków rzucili kilka bomb. Są zabici i ranni. Nad Warszawą latały cały dzień. Słyszeliśmy

wybuchy bomb. W kilku miejscach się paliło. Dobrze, że jeszcze toru nie zburzyli. Nie mógłbym powrócić.

Poczułam gorycz w ustach i pustkę w głowie. Nie miałam ochoty iść na ganek. Za wiele wiadomości, stanowczo za wiele.

Pan Nasiłowski i Oreszczuk doczekali się powrotu mego męża. Do późna w nocy gawędzili. Ja zaś siedziałam sama, przygnieciona tym, co mi powiedział mąż. Gwiazdy tak jak wczoraj na niebie pobłyskiwały. W parku panowała głęboka cisza. Ziemia pachniała rosą. Pierwszy września skończył swe obfite w zdarzenia życie. Godzina dwudziesta trzecia.

W tym dniu człowiek złamał prawo ludzkie. Z szatańskim uśmiechem wtargnął w życie narodu. Z jaką myślą rzucał bomby? Co mu przyświecało w momencie wsiadania do samolotu, niosącego śmierć, nieszczęście i zagładę? Kto tu bardziej zawinił? Czy ten, kto budował plany samolotu? Czy ten, kto obmyślał dzieło śmiertelności? Czy ten, kto zebrał wszystko do kupy, aby za jednym tylko słowem wydać rozkaz? Każdy z nich odrywał swe myśli od matki, żony, dziecka, by nieść zagładę tam, gdzie również była matka, żona i dziecko. Możliwe, że już kilka samolotów strącono. Więc już kilku nie żyje. Bomby rozbiły domy. Rodziny zostały bez dachu. Może dom stał się mogiłą? Co to jest? Co to ma znaczyć? Po co to?

Wtuliłam głowę w ramiona. Zdawało mi się, że tam w czarnej głębi lasu stoi ktoś i celuje we mnie.

4 września jeszcze było szaro na dworze, gdy obudziła mnie moja Franciszka.

– Proszę pani, przyjechali jacyś państwo, wozem z Mężenina. Mówią, że do pani.

– Do mnie o tak wczesnej porze? Pociągi nie idą. Oni przyjechali. Kto to taki?

– Dwie panie i dwóch panów – objaśniła Frania.

Ubrałam się powoli i wyszłam na ganek. Istotnie, u wylotu parku stał wóz wyładowany walizkami, obok wozu cztery osoby zupełnie mi

nieznajome. *Jakaś pomyłka*, pomyślałam. I podeszłam bliżej. Wszyscy zwrócili twarze w moją stronę i niemal chórem powiedzieli:

– My do pani.

– Do mnie? – spytałam zdziwiona tym oświadczeniem.

Wysunęła się starsza pani, za nią zbliżył się też pan w tym samym wieku, co pani. Zaczęli na zmianę jedno przez drugiego informować.

– Jesteśmy z Warszawy. Wyjechaliśmy dwa dni temu. Jesteśmy strasznie pomęczeni. Ludzie na dworcach nocują. Szosy wyładowane pojazdami, przejechać trudno. Ludzie idą pieszo. Pociągi wstrzymane. Niosą toboły i dzieci na plecach. Katastrofa. Panika nie do opisania. Tego nerwy nie wytrzymują. Warszawa cała w płomieniach. Dzień i noc naloty, bomby bez przerwy. Ranni, zabici. Tego nerwy nie wytrzymują – powtarzał w kółko pan, wycierając śnieżnobiałą chustką załzawione oczy. – Podobno rząd już wyjechał. Wojska w rozsypce. Katastrofa zupełna.

Kładli mi swoje troski do głowy. Ja zaś słuchałam tych wiadomości, nie mogąc się połapać, czego ode mnie chcą. Patrzyłam na ich przerażone twarze. *Panikarze*, przemknęła mi myśl. Spojrzałam na wystraszone oczy stojącej obok mnie Frani. Już by dali spokój tym wiadomościom.

– Więc, proszę pani – znów zwracali się do mnie – postanowiliśmy wyjechać na wieś, aby przeczekać tę burzę – zakończyła opowiadanie przyjezdna starsza pani. Mąż zaś jej, ocierając pot z czoła, powtarzał uparcie:

– Tego nerwy nie wytrzymują. Proszę ulitować się nad wygnańcami ze stolicy. Nie mogliśmy tam dłużej zostać. Byliśmy w Mężeninie, ale tam nikogo nie zastaliśmy. Właścicielka wyjechała, służba w rozsypce. Nie ma z kim mówić.

Byłam w kropce. Słuchałam rzucanych zdań. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

– Proszę pani – zaczęłam – mój pensjonat jest czynny jedynie latem. Zapasów, według instrukcji rządu, nie zrobiłam. Co dam wam jeść? Mieszkanie jest. Pokoje są wolne. Możecie się ulokować.

– Myśmy zrobili zapasy. Wszystko zostawiliśmy – podchwycił starszy pan. – Co się w tej kochanej Warszawie teraz dzieje, pani sobie nie wyobraża.

Jesteśmy tacy zmęczeni. Jechaliśmy samochodem ciężarowym. Spać, spać i zapomnieć o tym, co się widziało – powtarzał, patrząc błagalnymi oczami na mnie. Abym nie zwlekała i otworzyła gościnne pokoje.

– Jeżeli nie będziecie grymasić – odpowiedziałam – to trudno, muszę się z państwem podzielić tym, co mam. Franiu – zwróciłam się do mojej starszej pokojowej – zaprowadź do pałacu. Tam jest najcieplej, chociaż pieców nie ma. Wóz może zajechać przed ganek.

– My przed zimą wyjedziemy – pospieszył z informacją młody człowiek, który stał opodal i nie wtrącał się do rozmowy.

– Pani pozwoli, że się przedstawimy – zaczęła starsza pani. – Jestem Zofia Leśniowska, autorka wielu powieści z francuskiego, tłumaczka. Mój mąż...

– Henryk Leśniowski – przedstawił się straszny pan – poeta legionowy. Zapoznany – uśmiechnął się przy tych słowach – Nasza córka Zofia Leśniowska. I jej narzeczony, Włodzimierz Jarema.

Poszliśmy w stronę pałacu. Ja z kłopotem nie lada. Spora gromada do wyżywienia. Reszta towarzystwa zadowolona. Rada panującej ciszy, odpoczynkowi.

Zapoznany poeta legionowy (jego własne słowa, często powtarzane) przysunął się do mnie i cichym głosem zaczął mnie prosić, abym ich starych umieściła w tym domu, gdzie sama mieszkam. Koniecznie, ale to koniecznie! On, stary człowiek prosi, abyśmy jego żonę wzięli pod swoje skrzydła.

– Młodzi – wskazał na córkę – mogą mieszkać w pałacu. Ja marzę o zwykłym domu – znów wracał do swych niedawnych wspomnień – pragnę ciszy i spokoju, zapomnienia – kładł mi do ucha.

Chodziło mi po głowie, że ten starszy pan chce wyrzucić cały balast ciężkich wspomnień z siebie i wtłoczyć mi do głowy.

– Proszę się nie obawiać tego słowa pałac – zaczęłam wyjaśniać – dziś temu domowi, w którym chcę was ulokować, została tylko nazwa. Proszę spojrzeć w tamtą stronę. O tam, ten biały budynek. Tam, dokąd zajechał wóz z walizkami.

– Pani pozwoli, że nasze walizki zostaną na wozie i umieścimy je tam, gdzie pani mieszka.

Byłam zaskoczona uporem starszego pana. Dla świętego spokoju skinęłam głową na zgodę.

– Tam gdzie ja mieszkam, są o wiele mniejsze pokoje. Skoro już tak konieczne pan sobie życzy.

Przystanęliśmy koło ganku pałacu, przyglądając się temu obszernemu budynkowi o jedenastu pokojach i dwóch oknach zamurowanych na pamiątkę zmarłych właścicieli. Zdziwieni byli, że nosi tak szumną nazwę.

Frania z człowiekiem zanosili walizki, my zaś na chwilę pozostaliśmy przy swoich myślach.

– Istotnie, bardzo mnie dziwi, że nazywa się pałacem – odezwał się trochę sarkastycznym tonem młody człowiek.

Spojrzałam w stronę mówiącego. Patrzyły na mnie zimne, z lekką pogardą, szare oczy. Poczułam ostrze tego spojrzenia. Powoli odpowiedziałam:

– Nie wgłębiałam w to, dlaczego tak się nazywa. Ten, kto budował go, nie przypuszczał, że ta nazwa nie będzie się nam podobać. Proszę do środka. Mam wrażenie, że obszerność tego domu, jego piękno, zrehabilituje nazwę. Naprawdę pokoje jego potrafią zmieścić wiele osób. Proszę spojrzeć na posadzki. Co za dąb, jakie klepki. Czarne i białe.

Po twarzy młodego człowieka przebiegał nerwowy tik. Z wyniosłą miną wstępował na ganek. Usłyszałam, jak mówił do córki pp. Leśniowskich:

– W Mężeninie pałac, w Platerowie pałac i tu pałac.

Zaśmiali się oboje. Mnie zaś przeszył ten szyderczy śmiech obrazy.

Poczekaj, smarkaczu, życie ci przytrze rogów. Nadejdzie chwila, kiedy i tobie ktoś tym samym bryźnie. Tylko czy przy tym twoim zadufaniu, swojej głupocie, cokolwiek wybudujesz? – myślałam.

Pan Leśniowski wreszcie zabrał głos.

– Istotnie, pani ma rację. Pokoje są piękne, jasne. Tyle światła. Posadzki jeszcze niezniszczone. Posadzki godne pochwały. Jak w zamku.

– Proszę zobaczyć, w pokoju dziedziczki układane w piękne wzory – odpowiedziałam.

– Tu będę mieszkać – podchwyciła panna Leśniowska.

– Bardzo proszę – rzuciłam uprzejmie. Spojrzałam na młodszego pana, właśnie przyglądał się pięknie rzeźbionym drzwiom.

– Te dwa okna dlaczego zamurowane? – spytał zapoznany poeta legionowy.

– Był tu taki zwyczaj, tradycja rodzinna, że po zgonie głowy domu zamurowywano jedno okno – informowałam.

– Ten dom mieści w sobie 11 pokoi. Najmniejszy ma powierzchni sześć na siedem metrów. Jeszcze widnieją ślady kominka. W czter-nastym roku Niemcy nie dali rady wyrwać żelaznych, kutych rusztowań. Jedynymi śladami świetności komnat jest ich rozmiar. Sala balowa liczy jedenaście przez siedem. Zaś reszta pokoi po osiem metrów na dziewięć. Prowadzą do tego budynku cztery wejścia. Najskromniejsze wschodnie od kuchni. Kuchni w tym domu nie było, kuchnia jest obok w oddzielnym budynku. Dwa ganki i weranda od strony parku. Wysokość ścian pałacu trzy i pół metra.

– Tak, słusznie, powietrza dość w tych pokojach – zaznaczył starszy pan.

– Mury pół metra szerokości. Grube, mocne. Wytrzymały już niejedną nawałnicę.

Młodzi pozostali w swoim pokoju. Resztę towarzystwa prowadziłam do swego domu. Frania umieściła już tam ich walizki. Woźnica czekał na zapłatę. Pani Leśniowska spytała mnie, ile należy zapłacić człowiekowi, który ich przywiózł.

– Państwo się nie umówili? – spytałam.

– Tak jakoś zapomnieliśmy – odparli oboje.

– Walizek było osiem i czworo państwa – powiedział chłop.

– Myślę, że 10 złotych to aż za dużo – podchwycił pan Leśniowski.

Pani Leśniowska podała chłopu drżącą ręką 10 złotych. Ten nawet nie wyciągnął ręki. Spojrzał na pieniądze i odezwał się:

– Nie, proszę pani. Ja tego nie wezmę. Całą noc jechałem, koniom zmachał, sam bez jedzenia. To za mało. Pociągi nie idą.

– Cóż robić? Nie tyle straciliśmy już. Następnym razem będziemy się umawiać.

Czułam, że mieli żal do mnie za mój skrupulatny obrachunek. W kuchni dziewczęta śmiały się. Frania im opowiedziała, jak chcieli chłopa okpić.

– Pani nasza nie dała. Wyliczyła dokładnie każdy kilometr.

Lucynka, moja gosposia, dyktator w kuchni, nie pochwaliła mego kroku.

– Chytrusy. Na pewno panią oszukają, jeżeli chłopa chcieli nabrać.

Śmiałam się z Lucynki. I pocieszałam ją, że się nie dam.

– Tak jak z tymi gośćmi, co byli latem – nie dawała za wygraną Lucynka. – Pojechali i tylko listy zostawili. Skorzystali, że pani miała zmartwienie i wyjechała. To oni zaraz się obejrżeli i hajda w drogę.

– Lucynko, dajże spokój. Pojadę do Warszawy i zobaczysz, że przywiozę kupę pieniędzy. To są moi przyjaciele i dobrzy znajomi. Co powiesz, kiedy przyślą pieniądze?

– Rękę dam sobie uciąć, że nie przyślą. Pociągi nie chodzą.

– Przeżyjemy i tak – ucięłam dyskusję. – Nie narzekaj. My tu spokojnie siedzimy, jak u Pana Boga za piecem. Bomby nie lecą na głowę. Oni tam w strachu. Może zabici.

– Ale po co ci tu przyjechali? Będą nas objadać – gderała, nieprzejednana.

– Wystarczy i dla nas, i dla nich. Będziemy oszczędniej gospodarować – tłumaczyłam jej – indyki już spore, możesz tłuc.

– Cukru nie mamy – podchwyciła – już się kończy, nawet soli zabraknie. Nie kazała pani robić zapasów, to wyjdzie wszystko.

– Uwzięłaś się na mnie i straszysz – odpowiedziałam bez przekonania. – Nie narzekaj, może być gorzej.

– Tfu, tfu, na psa urok – splunęła Lucynka za siebie – co też pani mówi?

– Gorzej, to nie zupełnie. Ja tylko tak, abyś nie gderała, bo zostaniesz starą panną.

Lucynka udobruchała się, strach jej odleciał.

– Jutro pójdziesz do swego wuja i poprosisz, aby zostawił nie dwadzieścia, a czterdzieści kilogramów miodu.

– Nie szkoda to dla tych darmozjadów z Warszawy? – wróciła do dawnej myśli Lucynka nieprzejednana.

– Coś ty się uwzięła od pierwszego dnia na tych biedaków, których bomby wypłoszyły spod własnego dachu?

– Zobacz pani, jakie oni grymaśni.

– Skąd ty to wiesz? – zapytałam zaciekawiona.

– Bo podobne z twarzy do tamtej, no, do tej paniusi z Lulusiem.

– To co innego. Dziecko wymaga godziny. Ona była taka, bo za dzieckiem świata nie widziała. Więc widzisz, że czasem racja.

– Najwięcej mnie złościło, kiedy tu przychodziła z tym swoim zegarkiem. Diabli mnie brali. Włazi taka paniusia do kuchni, oczami strzela po garnkach, żeby wypatrzyć co niedobrego. I woła: *Franiu, już pierwsza dochodzi, obiad Lulusiowi!*

Przyglądałam się Lucynce, jak świetnie naśladowała głos i gesty pani Muttermilchowej. Dziewczyny się śmiały.

– Czy nie miałam racji? – pyta mnie Lucynka. – Złość mnie brała, alem w sobie trzymała: *Jeszcze dość czasu* – mówię. *Jeszcze pięć minut* – mówi ona. Nie tylko Lulusia mamy na głowie. *Na moim pensjonatowym jeszcze dziesięć minut* – mówię, żeby ją rozzłościć. *Mnie pani zegarek nic a nic nie obchodzi. Mam swój czas.* Ona tylko po kątach strzygła oczami. Raz tu powiedziała, że u nas w kuchni nie ma much, że to bardzo dobrze.

– Więc nie była taka zła – podchwyciłam. – Nawet Frania z Mężenina powiedziała nam, że dostała od niej amerykańską sukienkę, szalik i 20 złotych. Ej, Lucynko, Lucynko. Widzę, że niepotrzebnie gderasz.

– Ale żeby pani widziała, jaka ona wymagająca. Ile wody musiała Frania nanosić. Raz ciepła, raz zimna. Przed jedzeniem mycie, po jedzeniu mycie. Tego swego Lulusia bezwzględnie musztrowali. I nie tylko, stale patrząc na godzinę. Podług godziny Luluś wstawał. Podług godziny kładł się spać. Najlepiej, jak się dziecko chowa jak chce – zakończyła Lucynka – Spać mu nie wolno było, kiedy chciał i ile chciał. Wszystko wyliczone według godziny. Fanaberie i tyle. Najlepiej, mówię, jak dziecko robi to, co samo chce – powiedziała z przekonaniem. – Kto by tam na wsi godziny pilnował?

– Może najlepiej, Lucynko. A może i niekoniecznie – odpowiedziałam. – Widzisz, pani sędzina jest Amerykanką. Wychowana za

granicą. Na drugiej półkuli ziemi naszej. Tam życie zupełnie inaczej płynie. Bez przestrzegania ściśle punktualności ona sobie życia już nie potrafi wyobrazić. Jest do tego przyzwyczajona. I tak wychowuje swoje dziecko, jak ją wychowali. Żyjąc spokojnie bez pośpiechu, przy tempie, gdzie obowiązuje raczej słońce (bo kto na wsi ma zegarek?) nie potrafimy wyobrazić sobie, jak żyją tam.

Do nas przychodzą pociągi dwa razy na dobę, tam co dziesięć minut. Mamy zwyczaj przyjeżdżać na stację na kilka godzin przed odejściem pociągu. Mamy dużo czasu. Czekamy, nudzimy się, niecierpliwimy. Nieraz cała poczekalnia jest pełna. Pomyśl teraz i podlicz. Ile te czekające osoby zrobiłyby roboty, gdyby przez ten czas miały w ręku chociaż na drutach robótkę. Przypuśćmy, że w Platerowie pomieści się 200 osób. Czekaj dwie godziny. Dwa razy dwieście to czyni czterysta godzin. 400 godzin podzielone przez 24 czyni ile? 16 dób i 16 godzin. Ile można wykonać różnej roboty przez ten czas? Nie tracą ani sekundy. Otóż za granicą ludzie umieją cenić czas. Nie tracą ani sekundy. My narzekamy na brak pieniędzy, oni narzekają na brak czasu.

– Teraz to pewnikiem na porę Lulusiowi gotuje, kiedy bomby lecą na głowę.

– Nie bądź złośliwa, Lucynko. To, co oni teraz przeżywają i nas dotyczy, i nas boli.

– Bo mnie złość bierze, że pani sobie wzięła kłopot na głowę – dodała Lucynka zawstydzona.

– Czasem nie można inaczej – tłumaczyłam – nie zapraszałam ich. Obiecali przed zimą wyjechać. Niepotrzebnie się denerwujesz.

Wyszłam. W kuchni zawrzało. Po kolei wszystkie dziewczęta zaczęły dogadywać swoje uwagi o nowych gościach. Jest to zwyczaj na wsi. Każdy przyjezdny z miasta musi przejść przez ogień krytyki mieszkańców.

Nie byłam ciekawa sądu, jaki wydawały. Jakkolwiek Lucynce w duchu przyznawałam rację. Rzeczywiście, po dwóch miesiącach goszczenia sześćdziesięciu osób, o różnych wymaganiach, grymasach, należał się nam odpoczynek. Jeszcze z panią Muttermilch nie był największy kłopot. Pilnowała co prawda punktualności, jednak cieszyła się bardzo

z każdej potrawy. Umiała docenić nasze wysiłki. Ona jedna poznała się na surówkach. Ona jedna zachwyciła się soczkami z marchwi. Przecież na odjezdnym poszła do kuchni pożegnać Lucynkę, bo wdzięczna jej była za dobre dietetyczne gotowanie. Wszyscy twierdzili, że kompoty należy gotować. Jedynie pani Muttermilch stanęła po naszej stronie twierdząc, że owoc zalany przegotowanym syropem jest najzdrowszy, bo zawiera nie zabite witaminy.

Stanęła mi przed oczami główka ślicznego chłopczyka, właśnie Lulusia. Piękne jasne loki. Olbrzymie niebieskie oczy, mądrze patrzące. Musztrowała mamusia, to prawda, ale dziecko było przemile. Nie widziałam grymasów. Nie słyszałam sprzeciwu. Chętnie szedł na spacer. Również i o swej porze spać. Dziwiło mnie, że nie potrafił bawić się klockami. Nie tupał, gdy go myto. Nie grymasił przy jedzeniu. Jadł, co mu dano. Lucynka nie miała czasu przyjrzeć się Lulusiowi przy jedzeniu. Była zajęta w kuchni.

Dobrze, że nie przypomniałam o innych dzieciach. Dopiero byłoby narzekania. Lucynka zapomniała, ile nam kurcząt rozpędzili po lesie i parku. Ona mi nie daruje, przypomni przy innej okazji, innym razem. Może jeszcze rachunki każe wystawić za straty – uśmiechnęłam się do siebie. Mamusie przeproszały i groziły palcem syneczkom. Zaś syneczkowie z procami w ręku uganiaли się za ptakami. Bawiło ich to, że kurczęta piszczwały.

Inne pocieszały, że z czasem minie ta dziecinada. Mamusie były bezradne. Nie umiały sobie poradzić z synkami. Każda miała tysiące pomysłów. Każdy pomysł był genialny. Czy można przewidzieć, co uroi sobie taka główka? Na musztrowanie i pilnowanie godziny pani Muttermilchowej patrzyły niespokojnym wzrokiem. Były zgorszone. *Biedny Luluś, zupełnie, zupełnie nie ma swobody* – biedowały. *Jak można tak znęcać się nad swoim dzieckiem* – mawiały po cichu. *On jest po prostu za grzeczny* – mawiała pułkownikowa, której synek był pierwszym do każdej psoty.

Kto miał rację: Lucynka czy mamusie? Czy może wreszcie ja, która płaciła za te wszystkie straty. Czy pani Muttermilchowa? Bezradność

matek rozbrajała. Dzieci się cieszyły, że kurczęta uciekały. Rzucali w nie piachem, grudką ziemi i patykami.

Po wyjściu z kuchni natknęłam się na oboje państwa Leśniowskich. Pan Leśniowski uprzejmie dziękował, że pozostawiłam ich w Klimczycach.

– Cóż to za odpoczynek! Cicho tu i spokojnie. Nie możemy się nacieszyć pobytem, przyjazdem tu. Naprawdę, bez przesady. Szczęśliwy los nami kierował. Ciekawi nas ogromnie, czyje to dobra.

– Klimczyce zmieniały właścicieli – odpowiedziałam. – Ostatni dziedzice to Podczascy. Od Podczaskich kupił tę resztówkę z parkiem pan Nasiłowski, brat tego, który tu jest. Otóż brat pana Nasiłowskiego miał zamiar pobudować tu sanatorium, bowiem jest bardzo dobry tutaj klimat. Nagle zmarł i odziedziczył po nim brat Michał Nasiłowski. Zaś ja urządziłam tu pensjonat i od dwóch lat jestem właścicielem reszty tej resztówki. Sam gospodarować nie może z powodu swego wieku.

Szliśmy szeroką aleją przez park. Wysoko nad naszymi głowami przebłytkiwało niebo małymi skrawkami.

– Park założony według wzorów angielskich. Na dużej połaci ziemi posadzono i drzewa różnego gatunku, i krzewy przeróżne, i polanki wśród nich. Sadażawka również była. Ja zrobiłam w niej tenis. Mogli goście w czasie upału grać. Dziś Klimczyce są małą fermą. Park, sad, kawałek łąki i orne pola oraz duży kawał plaży nad Bugiem, gdzie rosną przepiękne topole i wiklina.

– Więc pani jest niedawno?

– Tak, gospodaruję trzeci rok⁵⁹. Przed trzema laty mieszkałam w Warszawie na Dworskiej przy gazowni warszawskiej. Miałam tam również i część parkową, i ogród. Mieliśmy tam pięciopokojowe mieszkanie służbowe. Wracając do Klimczyc, to przypadek zrządził, że tu jestem. Mój stryjeczny brat miał tu mały pensjonacik. Dla odpoczynku przyjechałam. Pan Nasiłowski namówił mnie na pozostanie tu, bowiem,

⁵⁹ Rozbieżność dat – wspomnienia rozpoczynają się datą 15 maja 1938 r. gdy Eugenia Dorochowicz podczas imienin swojej ciotki otrzymuje propozycję przyjazdu do Klimczyc. Powyższa rozmowa toczy się na początku września 1939 roku, więc nie może to być trzeci rok pobytu. Chyba że p. Dorochowicz przyjechała do Klimczyc w 1937 r., a spisując wspomnienia po latach pomieszała daty.

jak on twierdzi, mam duże wyczucie wsi i potrafię gospodarować. Ja zaś skorzystałam z propozycji, bo wieś Kocham i dobrze mi tu.

– My zaś przed samym wybuchem wojny swój dom sprzedaliśmy – zaczął pan Leśniowski – to wielkie szczęście, że zdążyliśmy – mówił z radością w głosie. – Sprzedaliśmy naszą kamienicę i po dwóch tygodniach wybuchła wojna. Może już leży w gruzach.

– *To się cieszy ten, który kupił* – przemknęło mi przez głowę.

– Zapasy nasze przepadły. Trudno się z tym pogodzić. No, cóż robić, siła wyższa. Mamy szczęście jednak, trafiliśmy do pani. Na wsi można jeszcze żyć – pocieszał siebie. – Jestem poetą, chcę pani ofiarować swoją książkę – podał mi niedużą książeczkę w płóciennym oprawie. – Jeśli pani łaskawa, proszę przeczytać.

– Dziękuję panu – odpowiedziałam nieco zaskoczona tak szybkim obrotem znajomości – bardzo chętnie przeczytam. Nadchodzi jesień, długie wieczory. Będzie sporo wolnego czasu. Jestem panu wdzięczna, bo coś nowego się przyda.

– Ja bym pragnął, aby pani zaraz przeczytała – odpowiedział – jestem ciekaw pani zdania. Jest to poezja, moje credo życiowe – cedził mi do ucha swoje wywody filozoficzne. Starał się być miły do przesady.

Obie z jego żoną słuchałyśmy, mam wrażenie, nie bardzo uważając na treść jego słów. Żeby nie było niegrzecznie, uważałam tyle, byle móc jako tako z sensem odpowiedzieć tak lub nie. Przez cały czas naszej rozmowy miałam przed oczami scenę z chłopem, która mi jeszcze nie wyszła w pamięci.

– Więc – wtrąciłam – dobrze, jeszcze dziś przeczytam.

– Jaka pani uprzejma – złapał mnie za rękę, aby pocałować.

Wcale mi to nie przypadło do gustu. *Co za dureń*, pomyślałam. Zdawało mi się, że dotknęłam ręką śliskiej skóry gada. Pani Leśniowska milczała, cierpliwie słuchając wywodów swego męża. Ja zaś miałam ochotę wyrwać się z tego towarzystwa. Czulałam spisek tych dwojga. *Po co on mi wciska to swoje credo? Wcale nie jestem ciekawa. Już trochę wyrobiłam sobie zdanie o idei, którą żyjesz, mój panie. Bardzo przewidywające credo. Sprzedać kamienicę w przededniu wojny. Kazać się wozić*

dziesiątki kilometrów za 10 złotych. Ciekawe, co będzie dalej? Czy aby nie okaże się, że Lucyńska ma rację? – zastanawiałam się.

– W tej książce znajdzie pani ciekawy wiersz, pisany na kolanie. Byłem w sejmie i złapali mnie legioniści, abym tak na poczekaniu, ad hoc, coś na cześć Piłsudskiego. Miałem natchnienie i od razu, przez pół godziny, napisałem im. Dali mi czek na 500 złotych. Jaka to piękna suma – spytał z uśmiechem.

– To duża suma – odrzekłam.

– Właśnie na pierwszej stronie znajdzie go pani, ten piękny, natchniony wiersz – informował mnie, zachwycony sobą i wszystkim, co mi mówił. – Mam medal 10-lecia. I krzyż zasługi – legitymował się.

– Bardzo mi przyjemnie obcować z zasłużonymi – odpowiedziałam.

– Moja żona też pisze. Tłumaczy z obcych języków. Zna sześć języków. Spojrzałam w jej stronę.

– Tak. Tłumaczę. I z rosyjskiego. Pani prawdopodobnie czytała moje tłumaczenia. Najchętniej tłumaczę z francuskiego, ponieważ ten język jest mi najlepiej znany. Wychowywałam się i urodziłam we Francji.

Przytaknęłam, że czytałam. Chciałam odchodzić, gdy pan Leśniowski spytał:

– Gdzie się pani zaopatruje w świeże mięso?

Przystanęłam i oniemiałam na sekundę.

– Dotychczas w Siemiatyczach, a teraz nie wiem. Jeszcze nie wiem – i zawróciłam.

– Jeszcze jedno słowo – wołał, przyspieszając kroku – ja mogę jadać jedynie białe mięso: cielęcinę, drób. I wszystko smażone na maśle. Mam chorą wątrobę. Bardzo panią przepraszam – odezwał się pokornie, wyciągając rękę.

Nie zauważyłam ruchu jego. Odpowiedziałam:

– To się zgadza, mamy przeważnie indyki. Zaś o przyrządzaniu potraw ma pojęcie moja gosposia. Świetna kucharka, która zna kuchnię dietetyczną. Dotychczas ode mnie wszyscy wyjeżdżają zdrowi.

I znów zawróciłam do swej pracy, zostawiając oboje w parku. *To dopiero nudziarz*, pomyślałam. Nie byłam ciekawa poezji pana Leśniowskiego. Obeszłam park i książkę zaniiosłam do biblioteki.

Dopiero upłynęło sześć dni II wojny światowej. Radio ogłaszało o nalotach.

– Uwaga! Uwaga! – dźwięczało złowrogo w naszych uszach. – Nadchodzi! Samoloty nieprzyjacielskie przekroczyły nasze granice!

Muszę szczerze przyznać, że nieczęsto widziano mnie przy aparacie radiowym. Nie mogłam słuchać. Siedzieć bezpiecznie w pokoju lub na ganku, patrząc w czyste niebo, roztaczający się widok spokojnego życia wsi i myśleć, że tam nadlatują samoloty, wrogie, złe, nieludzkie. W samolotach siedzą młodzi ludzie o ludzkich sercach i rzucają bomby na bezbronnego człowieka. Każdy huk oznacza śmierć, kalectwo i kupę gruzów ze stojącego przed sekundą domu. W tym domu mieszkało kilkanaście rodzin. Może kilkadziesiąt. Żyli, pracowali, mieli swoje radości i smutki, pragnienia i dążenia. Dzieci ich rosły. Kochali te swoje skarby. Czekali na wiek dojrzały swoich pociech.

I jedna sekunda. Jedno złowrogie położenie ręki. Odrywa się śmiertelne narzędzie. Bomba leci z zawrotną szybkością. Całą energią uderza w dom. W dom, który nic nie zawinił. Nikomu. Ani temu, który naciska spust bomby. Ani temu, który budował samolot. Ani temu, kto wymyślił to śmiertelne narzędzie. Gdzie jest równowaga sił? Za co? Kto wyhodował taką zawziętość, nienawiść, chęć zniszczenia? Za co zamieniła w gruzy i grób nadzieję, pracę i życie?

Nie mogłam słuchać głosu mówiącego z głośnika. Kiedy zbliżała się godzina komunikatu, szłam do swoich kurek, indyków lub w pole. Zupełnie mi wystarczało to, co później pilnie słuchający, po komunikacie opowiadali, komentowali, krytykowali. Trwało to do późnego wieczora.

Młody człowiek, narzeczony panny Leśniowskiej, w klapie swej marynarki miał wpięty znaczek legionowy. Wspominał, że jest z pierwszej brygady. Opowiadał, jak się odbył 6 sierpnia zjazd w Krakowie. Ostatni

w 1939 roku. Mówił nam pan Jarema o postanowieniach zapadłych na tym zjeździe. O tym sławnym guziku, którego ponoć nie oddamy. Zjazd tegoroczny był liczny, bardzo liczny. Wszystkie brygady. I ta pierwsza, i czterdziesta czwarta. Odbywał się programowo. I bankiet był. Bo jakże inaczej? Na pewno wspaniały. Uderzali wszyscy obecni ręką po szabli przy boku. Pięści zaciśnięte świadczyły o zapale. Kochajmy się – huczało. Puchary po brzegi wypełnione.

Młody człowiek miał lat powyżej czterdziestki. Ponieważ uchodził za narzeczonego młodsiutkiej panny Leśniowskiej, więc zaliczyłam go do młodych. Nie tylko był zasłużonym legionistą. Miał powierzony w Ministerstwie Spraw Wojskowych odcinek propagandy. Tak, tak, propagandy. Świetnie propagował, ale nie to, do czego był przeznaczony i za co mu pieniądze płacili.

W częstych dyskusjach po każdym obiedzie i kolacji nie brałam udziału. Jako gospodyni mogło mi się wyrwać niejedno przykre słowo dla gości, którzy już zaczynali nie liczyć się z nami, zwłaszcza pan Jarema, pewien naszej przegranej. Jakkolwiek nie podobało mi się, o czym opowiadał, zwłaszcza sposób, w jaki to czynił, unikałam zaczepki.

No bo że nieszczęście, to prawda. Że wojna, nikt temu nie winien. Że Warszawa waliła się w gruzy, nie było to przewidziane. Ale naród krwawił, i to bardzo mocno. To należy uszanować. Żołnierz nasz. Nasz żołnierz okrył się bohaterstwem. Komunikaty mówiły o tym. Nie wyszczególniały. Kto jak potrafił, przeczuwał, domyślał się, przeżywał.

Co prawda, w Klimczycach nie słyszeliśmy huku opadających bomb. Było cicho i spokojnie. Tak pięknej pogody we wrześniu nie pamiętano od dawna. Dzień w dzień słońce od rana. Na niebie ani jednej chmurki, żeby chociaż mały wiaterek. Aż po krańce horyzontu czysty lazur nieba.

Przypominam sobie, co mówiła mi moja przyjaciółka, kiedy pytałam o wojnę. Czy to możliwe, aby Niemcy z nami zaczęli wojnę. Zapewniała mnie, że wie na pewno od męża swego, że jeżeli będą deszcze padały, to ani jeden czołg nie ruszy po naszych drogach. Ugrzęźnie na naszej błotnistej drodze. Przecież nie mamy bitych utwardzonych dróg. Nie wszędzie można dojechać szosą. To był jedyny nasz ratunek. Dykta

rozmoknie i czołg się rozleci. I samoloty zależne od pogody. Jeżeli deszcz, mgła, pole widzenia ograniczone. Ani startować, ani lądować...

Tak, tak. Czekaliśmy deszczu. Deszczu nie było ani kropelki przez całe lato. Wrzesień był bezdeszczowy, słońce prażyło od rana do wieczora.

Mnie zaś diabli brały. Nieraz rzucałam złym okiem w stronę pana z legionowym znaczkem w klapie. *Takiś mądry – myślałam, słuchając jego opowiadań – Teraz wszystko potępiasz. Wyśmiewasz się z poczynąń Rydza, opowiadasz bajki o jego pochodzeniu. Czy to jest ważne? Dykteryjki, kawały o naszych wielkościach w rządzie pleciesz. Zakulisowe konszachty, intrygi. Słuchać hadko.* Pan Leśniowski mitygował go czasem. Zapoznany poeta legionowy miał czulsze sumienie. *Uważaj, jeszcze za wcześnie płuć na rękę, która niedawno żywiła.*

W dyskusjach, tak jak ja, nie brała udziału córka państwa Leśniowskich. Piękna szatynka o dużych, niebieskich oczach, rozmarzonych. Spoglądała na otoczenie pytająco. *O co wam chodzi? Czego się kłócicie? Strzelają. Dajcie spokój, tak pięknie jest na świecie. W parku tak cicho. Jedyne słyszać brzęczenie pszczoł i śpiew ptaków. Niebiesko–szara wstęga Bugu namawia, aby wziąć wiosło do ręki. I płynąć, płynąć po spokojnej fali. Zanurzyć wzrok za linię horyzontu. I marzyć o szczęściu. Po co zakłócacie spokój?* – mówiły jej piękne oczy. Przyjemnie było spoglądać na tę młodą twarz. Biła od niej ufność i wiara, że co starsi postanowią, musi być dobre, więc właściwie te dyskusje i sprzeczki są zbędne.

Uśmiechała się do mnie w chwilach napięć dyskusyjnych i miałam wrażenie, że chętnie położyłaby rękę na ustach siedzącego obok niej pana Jaremy, by przerwać jego ostre, złośliwe i bezwzględne słowa. Dobrze, że sala, w której dochodziło do wymiany zdań, do ostrych ścięć, miała obszerne wymiary, bo miałam czasem wrażenie, że gromadził się w niej dynamit. Pan Jarema rzucał nim w nas.

Codzienna świeża porcja wiadomości, przynoszonych z Mężenina, bowiem nasze radio odmówiło posłuszeństwa, akumulator się wyczerpał, była wygłaszana z pianą w ustach. Nie wiem, może mi się tylko zdawało, może dlatego, że mnie bardzo bolało. Każda wiadomość o nalocie, wyliczanie, ile domów zburzono, brak wody w Warszawie, trupy na

ulicach. Zarządzenie prezydenta Starzyńskiego, aby wszyscy mężczyźni wyszli z miasta. Podobno szosa na Brześć zawałona samochodami. Przejechać, przejść trudno. Wszystko, wszystko, o czym mówił, waliło w nas biczem po grzbiecie.

Waliła się w gruzach ukochana Warszawa. Zaś pan Jarema wyliczał skrupulatnie wszystkie miasta nawiedzone nalotami. I często rzucał pytania nam, strzelając oczami wściekłość, z pasją, zaciętością.

– Gdzie są samoloty? Podobno z Białej (Podlaskiej) ani jeden samolot nie wyruszył – rzucał, patrząc z ironią w nasze oczy.

– Jak to nie wyruszył? – odezwał się pan Nasiłowski. – Przecież mieliśmy przygotowane. I o lepszych lotników trudno w innym kraju.

Ja i mój mąż z wdzięcznością spojrzeliśmy na mówiącego. No bo czy nieprawda? Czy nie braliśmy pierwszych nagród na Challengerach [zawodach lotniczych]? Żwirko i Wigura zginęli. To prawda. Ale Bojan i inni? Zaś nagrody z Luksemburga, które przywiózł zespół Pielęgniarek Czerwonego Krzyża z Dobrowolskim⁶⁰, pierwszym inspektorem spadochroniarstwa w Polsce? Wzięli pierwszą, drugą i czwartą nagrodę. Może tak jest w tej chwili, że Niemcy są górą. Zawsze tak jest. Napadający pierwszy wygrywa.

– Cha, cha, cha – zachłysnął się śmiechem pan Jarema – zawsze umiecie znaleźć tłumaczenie.

– A ja panu mówię – znów podjął pan Nasiłowski. – Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

– Cha, cha, cha – śmiał się pan Jarema coraz głośniej – cała wasza mocarstwowość leży w gruzach – przeplatał swój szatański śmiech

⁶⁰ 30 lipca 1938 roku w Luksemburgu odbył się zjazd Medycyny Sanitarnej, któremu towarzyszył konkurs samolotów sanitarnych. W skład polskiej ekipy, startującej pod znakiem PCK, wchodziły m.in. trzy wojskowe samoloty sanitarne i patrol skoczków spadochronowych w składzie: instruktor LOPP Leonard Dobrowolski oraz pielęgniarki – wicedyrektor szkoły Jadwiga Węgorzewska i uczennica Irena Markiewicz. Polki były jedynymi kobietami wśród ekip uczestniczących w pokazie. Za udany występ zostały nagrodzone srebrnym pucharem Luksemburskiego Czerwonego Krzyża oraz otrzymały odznaki instruktorów spadochronowych.

<https://www.wmpp.org.pl/en/pielengniarki-na-frontach/ii-wojna-%C5%9Bwiatowa/spadochroniarki.html>

zdaniami, które nas raniły – wojna z Niemcami, nie mając ani jednego czołgu! – dogadywał.

Wszyscy ponuro milczeli, powoli zajadając obiad. Zaś głos pana Jaremy rozchodził się tryumfalnym echem po olbrzymiej sali, donośnym echem.

Pan Nasiłowski sapał coraz głośniej. Obcierał coraz częściej siwe wąsy i brodę. Twarz mu czerwieniała. Jego niebieskie oczy nabierały wyrazu dziecka, które za chwilę się rozpłaczę.

– Samoloty. Phi! – niemal wołał w zapędzie pan Jarema – śmieszna zabawka, którą Niemcy posiadają. Wojsko niemieckie jest uzbrojone po czubek nosa. Zresztą, oni nas bombami zarzucają.

I tak bez przerwy. Codziennie. Musieliśmy się bronić przed zarzutami, którymi obrzucał wszystko, co nasze. Ze szczególną przyjemnością podkreślał nasze niedociągnięcia. Nie mogłam zrozumieć, co nim powoduje, dlaczego pan Jarema uparcie nas gnębi. Dlaczego bryzga nam w oczy mocarstwowością. Dlaczego drażni go nasza ufność w poczynania rządu. Już naprawdę było nie do wytrzymania to, kiedy odbierał nam nadzieję w odwagę i bohaterstwo naszego żołnierza.

Ciężko było w takich chwilach. Przecież on wiedział, że mówi do ludzi, którzy nie byli legionistami. Zwykli obywatele, którzy z ufnością i wiarą przyjmowali to, co donosiły gazety. Ani nas kto pytał. Ani się nas radził, co trzeba robić.

Pożyczka narodowa była. Tośmy podpisali. Pożyczka LOPP-owska była. Nie znalazł się taki, który odmówił. *Więc o co chodzi panu Jaremie?* – uparcie wierciło mi w głowie. I kiedy zamyśliłam się nad tym wszystkim, usłyszałam szeptem wypowiedziane mi do ucha słowa: *Poznać przyjaciela w biedzie.*

Zastanowiło mnie to. Pani Leśniowska również mało wtrącała się do rozmowy. Widocznie jednak i ją wyprowadziły słowa pana Jaremy z równowagi, jeśli powiedziała mi to. A więc była po mojej stronie. Mnie zaś zaczynało to drażnić coraz więcej. Bo kto miał prawo narzekać, jeśli nie my? Zwykli szarzy obywatele? Jeślibyśmy mieli pretensje do rządzących, byłoby to wytłumaczone.

Ale pan Jarema? Legionista. Z pierwszej brygady. Zaufany. Propagandzista w Ministerstwie Spraw Wojennych. To bardzo wielkie słowa. Szerokie i zaszczytne pojęcie. Nosił w klapie znaczek legionowy. Dźwigał na ramionach prestiż i honor brygady. On był patriotą. Czy nieprawda? Kto dzierżawił siłę i moc patriotyzmu? Kto wygrywał pierwsze skrzypce? Kto pilnował nas, zwykłych szarych obywateli, byśmy klaskali zgodnie?

Wieczorem piątego września przyszedł fornal Iwaniuk i oznajmił mi, że odchodzi ze służby. Siedzieliśmy starym zwyczajem na ganku i Oreszczuk był również obecny. Tłumaczył mi fornal, że musi iść do domu, do dzieci i żony. Że nie może być tak daleko poza domem. Co prawda, mówiły mi w kuchni dziewczęta, że wspominał coś już o tym. Mnie się nie chciało w to wierzyć. Jesień nadchodziła, pole czekało. Przygotowań do zimy nikt jeszcze nie zdążył poczynić. U mnie sporo roboty leżało odłogiem. Już rano przeszył mnie niepokój. Co będzie, kiedy zostanę bez tak ważnej pomocy?

Fornal stał z czapką w rękę. Powtarzał, że niespokojny czas. Musi iść do domu. Wiedziałam, że rozumie, jaką krzywdę mi wyrządza, bo jakoś stale patrzył w bok. O tym, co najważniejsze, nie wspominał.

Dziedzic siedział cicho, Oreszczuk kręcił papierosa.

Było mi trochę przykro. *Jakże tu zostać bez tak ważnej pomocy? Kto go zastąpi?* – myślałam. Westchnęłam głęboko i cóż, nie oponowałam. Skoro musi? Trudno zatrzymywać.

– Dobrze, Stanisławie. Jutro rano obliczymy się za czas, który przepracowaliście. Będziemy musieli sami sobie radzić.

Wreszcie dziedzic sapnął i odwrócił się do mnie:

– Jak to? Puszcza go pani? A pole niezaorane. Kto zaorze?

– Żyto trzeba siać – dorzucił Oreszczuk.

– Koniczyna w polu. Nie, to niemożliwe. Roboty jesienne kiedy skończy, dopiero wówczas może iść – to znowu dziedzic.

– A dzieci jego? – spytałam. – Czy są z matką?

– Tak – odpowiedział mi – ale teraz może być różnie. Wojna, niespokojny czas, muszę iść do nich – tłumaczył.

Patrzyłam niepewnie to na Oreszczuka, to na mówiącego fornala. Dziedzic znów wybuchnął:

– Pani popiera sabotaż! Przecież to zwykła dywersja! Panikę będzie tu szerzył! Jaki niespokojny czas? – pytał, a twarz stawiała się coraz czerwieńsza – pole nieobsiane! Nie rozumiesz, co to znaczy? Głód, głód. Rozumiesz? Nam nie wolno myśleć o niespokojnym czasie! My tu, nasze psie prawo pole obsiać! Ziemia każe, ziemia woła. Ziemia musi być najpierw obsłużona! – i stukał zawzięcie łaską w podłogę na ganku – nie, żadne moce nie zwalniają nas z tego obowiązku!

Oreszczuk patrzył na mnie, uśmiechał się z lekka. Ja nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie wiedziałam, po czyjej stronie on stanął.

Więc spytałam, kiedy dziedzic przerwał mowę:

– Czy nie możecie jeszcze kilka dni zostać? Orki będzie na trzy dni. Konieczną pomożemy wszyscy, to się zwiezie przez dzień. Jak myślicie, Stanisławie?

– Nie, nie mogę – odpowiedział – za dwa dni może się wiele zmienić, nie dostanę się do domu. Moja żona mieszka w Mielniku, po tamtej stronie za Bugiem. Stąd 17 kilometrów. Nim dojdę, minie dzień, bo z kuferkiem nie będę mógł prędko iść. Jeżeli Buga nie będzie można przejść, jak się dostanę do nich? I jak oni będą żyć beze mnie?

– Co wy też, Stanisławie, mówicie? – zaczęłam się denerwować – za dwa dni nie będzie można przechodzić przez Bug? Dlaczego? Kto nam zabroni?

– Nie wiadomo – odpowiedział spokojnie – na wojnie różnie bywa.

– Hm – mruknęłam niemal z gniewem – jeżeli tak, to trudno, skoro nie możecie w żaden sposób zostać. Będziemy musieli sami sobie poradzić.

Spojrzałam na Oreszczuka. Uśmiechał się, ale nic nie mówił.

– Ja bym prosił panią o pieniądze, bo na noc chcę iść – znów zwrócił się do mnie.

Nie było rady. Poszłam do mieszkania i przyniosłam należność za przepracowany czas. Nawet nie policzył, schował za koszulę pieniądze i pożegnał się. Siedzieliśmy mroczni po jego odejściu, bez słowa.

Do Mielnika z Klimczyc jest 17 kilometrów pięknej drogi wzdłuż Bugu. Jedzie się przez wieś o tej samej nazwie, potem przez Bindugę, Kózki. Dalej droga sosnowym lasem. Mielnik leży na wschodniej stronie rzeki, trzeba się przeprawić promem. W tych stronach mostów nie uświadczysz wiele. Jedyne fronołowski i to dla pociągów na wschód jadących. Zaś przeprawiać się trzeba i w Klimczycach, i w Bindudze, i dalej w Mielniku. Jedyne promem. Niedawno, bo przed dwoma tygodniami, byliśmy w Mielniku. Przyjemne wspomnienia odżyły. Tak niedawno byliśmy z wycieczką. I znów wróciły słowa fornała: *Jak nie będę mógł się przeprawić przez Bug?*

Na następny dzień przyszedł do nas sołtys. Obnosił nakaz odstawienia koni na pobór. Więc nadzieja stąpiła w moje serce. Skoro biorą konie, potrzebne są wozy, uprzęż. Nie jest znów tak źle. Ktoś tam widocznie myśli o obronie. Ktoś organizuje. Ktoś wydaje rozkazy. Ucieszyło nas to, że nasze konie są potrzebne, że będą służyć.

Oreszczuk zabrał moje konie i razem ze swoim poprowadził do gminy. Wieczorem otrzymałam kwit. Kasztan poszedł do artylerii. Mocny, silny koń będzie ciągnął armaty. Wóz również nowy, mocny. Dostałam kwit i na wóz. Później jeszcze zbierano siano. Po kilku dniach trzeba było odstawić zboże, później fasolę i groch. Więc przy obiedzie tego dnia była gorąca wymiana zdań.

My triumfowaliśmy. Cieszyliśmy się jak małe dzieci. Ten spełniony obowiązek, te kwity koły nasz niepokój. Zaś ci przyjezdni, ci nasi goście, a zwłaszcza ten pan ze znaczkiem legionowym w klapie mocno sobie podrwiwał. My czepialiśmy się każdej najdrobniejszej oznaki istnienia jeszcze porządku i władzy, jak tonący brzytwy się chwyta.

Pan Nasiłowski już nie do gości, ale wprost do siebie mówił:

– Sołtys jutro przyjedzie po nowy zsymp. Skoro sołtys urzęduje, znaczy wszystko idzie według planu. Czego ten gówniarz się rzuca?

Ja zaś zupełnie nie rozumiałam, dlaczego pan Jarema złości się i miota na nas, na naszą ufność i wiarę w dobre poczynania naszych władz. Czy on coś wiedział, co będzie? Czy przeczuwał? Może jego pragnienia nie

zgadzały się z naszymi? Może zależało mu, aby było inaczej niż my pragnęliśmy? Z tonacji jego głosu i sposobu wygłaszania dla nas przykrych wiadomości o stanie, w jakim się kraj znalazł, raczej radość biła, że jest coraz gorzej. Każdą naszą nadzieję obrzucał celnie faktami, które niestety miały miejsce. Jedyne my chcieliśmy widzieć w innym świetle.

Pan Nasiłowski miał rację. Sołtys przyszedł na drugi dzień rano. Pytał, kto u nas mieszka. Czy znamy tych ludzi? Skąd przyjechali? Bo oni chodzą po wsiach i w Mężeninie, i w Klimczycach kupują masło, słoninę i opowiadają straszne rzeczy. Że Niemcy opanowali już całą Polskę, że będzie straszna niewola, popieczętują ludzi i będą wywozić. Kobietom na lewym policzku, mężczyznom na prawym.

Po usłyszeniu relacji sołtysa mąciło się nam w głowie.

– *Po co oni to robią? Diabły wcielone* – myślałam – *Jaki mają cel w sianiu tych okropnych wiadomości? Przecież to nieprawdopodobne. Ludzi wywozić. Dokąd? Po co? Za co? Na co? Piekło spuściło z łańcucha. My naiwni słuchamy. Musimy słuchać tych wieści i żyć dalej. To okropne.*

Chłopcy ze wsi przychodzili do nas. Iwaniuk, Stefaniuk, Pradyszczuk⁶¹. Po prostu z pretensją do mnie. Dlaczego ich nie powołali do wojska? Albo innym razem: co słyszać w radio? Albo: gdyby choć parę granatów, to ani jeden samochód nie przemknąłby się szosą na Brześć.

– Wiedziecie co, chłopcy? Na drugą wojnę przygotowujemy się sami. Pokupujemy armaty i sami będziemy bronić naszego kawałka ziemi.

Coraz w innym miejscu wzniesano pożary. Nam zaś nie wolno było gasić. Siemiatyczne płonęły. Sarnaki spalone⁶². Na Platerów rzucono kilka bomb. Tak dzień po dniu przechodził, przynosząc coraz gorsze, coraz straszniejsze, niepokojące wieści.

⁶¹ Marian Pradyszczuk (1915–1987) – sąsiad Nasiłowskich, syn Grzegorza Pradyszczuka, właściciela części folwarku Klimczyce nazwanego Klimczyce Słowiki. Zaangażowany w działalność konspiracyjną w czasie wojny.

⁶² W pierwszych dniach września 1939 r. na Sarnaki spadło kilka niemieckich bomb, powodując uszkodzenie kostnicy przy kościele, wypadnięcie szyb z okien. Strat w ludziach nie było. Duży pożar wybuchł 22.06.1941 r. w wyniku nalotu sowieckiego lotnictwa na Sarnaki w pierwszym dniu inwazji niemieckiej na Wschód. Od bomb zapalających spłonęła większość żydowskich domów w Sarnakach.

Oreszczuk zaprzągnął mego konia ze swoim, zaorał pole pod żyto. Sprzątnął koniczynę. Zasiał. Parę razy przypomniiał, że mąkę należy namleć. Bo jeżeli Niemcy przyjdą, to przede wszystkim wezmą się za młyny. Raz omal nie doszło do kłótni między mną a Oreszczukiem. Kiedy znów przypomniiał o Niemcach, rzuciłam się ze złością:

– Zabijcie świniaka i czekajcie na nich z ucztą. Co wam się stale troi, że Niemcy tu przyjdą? Nie, po stokroć nie! Doprowadzacie mnie do szału! Tu na pewno nie przyjdą! Zresztą, jeżeli i to nastąpi, na pewno ich wypędzimy!

Wszyscy obecni przy moich słowach tylko pokiwali głowami. Chcieli mi wierzyć. Ale fakty coraz mocniej przekonywały, że nie mam racji.

Zaś w Klimczycach był spokój. Cisza. Było dobrze. Raz jeden samoloty przeleciały tuż nad czubkami drzew. Było to w czasie obiadu. Wszyscy wybiegli na ganek. Zadarli głowy. Przysłaniają oczy. Widać lotnika. Wychyla głowę. Zauważyli nas i jeszcze raz nad głową olbrzymi ptak mechaniczny tuż, tuż. Przelecieli, narobili hałasu. My zaś staliśmy długo i nie wiedzieliśmy, czy to nasze, czy niemieckie. Znaków nikt nie zauważył.

W Klimczycach było dobrze. To prawda bezsprzeczna. Kto je widział, kto o nich słyszał? Piękne są. Warto zobaczyć. Tam się człowiek dobrze czuje. Jeżeli chcesz poratować zdrowie, jedź do Klimczyc. Do Klimczyc nad Bugiem. Trzy godziny jazdy pociągiem od Warszawy. Trzecia stacja za Siedlcami. Z Platerowa 7 kilometrów drogi niewygodnej, wyboistej, gdy sucho. Błotnistej po sam brzuch konia w czasie deszczu. Warto zaryzykować, najeść się trochę strachu, gdy wóz przechyla się na bok, że już, już leżymy w rowie. A jednak wóz podlaski nie jest wywrotny, napędzi jedynie strachu i nic. Wozy tam robią długie, mniej wywrotne. Siedzenie pośrodku, między pierwszą a drugą parą kół. Raczej łagodnie huśta. Mamy wrażenie, że jedziemy w kołysce. Omijamy dwie wsie: Kisielew i Lipno. Dalej las sosnowy. I jesteśmy u celu. Kawalek drogi jedziemy po skrzypiącym żwirze. Żwir podwieziony na szosę. Kamienie i piasek po bokach drogi. Kazano przywieźć, mieli budować drogę.

Kto rozumiał dobrodziejstwo drogi bitej, pospieszył, nawiózł. Spore przyzmy leżą. Każda ferma wzdłuż swego pola ułożyła przyzmy. Więc leżą i czekają. Mówi się o nich za każdym przejazdem drogą.

Las sosnowy, pachnący żywicą. Sosny wysokie pod samo niebo. Grube, szeroko rozkładają swoje korony. Ceglano-brązowe pnie błyszczą bursztynem. Zaś na dole, na mchu gdzieś szyszki leżą i pełno igliwia, u stóp wiekowych dębów i sosen, pod krzaczkami i obok. W deszczowy rok grzybów nie wyzbierać. Same prawdziwki. Stoją w brązowych kapeluszach na mocnych, grubych nóżkach. Często można spotkać tuż obok całą rodzinę grzybią. Wielka radość dla zbierających. Hop, hop! Co tu grzybów!

Rydze zajęły cały zagajnik sosnowy. Siedzą w trawie, przycupnięte do ziemi, umorusane w piasku. Lubią grunt piaszczysty. I ciepło. Dlatego często są robaczywe. Kapelusze z rondem figlarnie wywiniętym, kochają kolor ceglasto-zielonkawy, więc się w ten kolor stroją. Całe gromady jeden przy drugim siedzą, czekają na szczęśliwego znalazcę.

W październiku i potem do późnej jesieni można całe kosze wynosić i solić w beczkach zielone gąski. Są smaczne i zdrowe. Ani jedna robaczywa. Bowiem chłód jesienny już zakończył żywot robakom, zaś gąski wytrzymują nawet przymrozki. Zielone gąski w lesie, szare w topolinie nad Bugiem, niezliczona ilość w wiklinie, na plaży. Pierwszy śnieg zdobi kapelusze szerokie i słonko, gdy przygrzeje, główki są pełne srebrzystej wody. Solone na zimę, układane w beczkach warstwami, przekładane selerem pokrojonym w plastry. Po wymoczeniu latem smakują jak świeże.

Tuż za lasem pola klimczyckie. Niedużo tego pola. Przeważnie piach. Więc i droga podobna do plaży. Koła wozu grzęzną, gdy sucho, w piachu. Po deszczu nieco lżej.

Gruby, z kamienia, żwiru i wapnia mur otacza 18-morgowy sad. Chłuba i duma dziedzica Nasiłowskiego. Dwa tysiące drzew. Jabłka przeważnie zimowe: renety, antonówki. Węgierki przy niedużym stawku. Za sadem park. Wysoka ściana zieleni pnie się ku górze. Owiewa chłodem. Przyświeca małymi skrawkami, turkusem nieba.

Stajemy z zadartą głową pod wiekowymi lipami. Wzrok pragnie dosięgnąć wierzchołków. Drzewa rosną obok siebie gęsto, związane gałązkami. Graby rozłożyste, klony czerwone, topole strzeliste. Gdzieniegdzie dęby stare. I lipy, lipy. Piękniejszych nie widziałam. Stare, grube, niebotyczne. I w pięciu nie objąć. Jedna spróchniała, pomieścić może wewnątrz cztery osoby. Trzeba to zobaczyć, gdy w lipcu zakwitną. Huczą gawędą niezliczonych ilości pszczołek. Zapach rozpylonego złota w powietrzu unosi się daleko poza park. Trudno opisać, nie mieści się w słowach. Trzeba usiąść na ławce pod lipą i wciągać w płuca delikatny, płynący ku nam słodki, odurzający zapach miodu.



Fot. 3. Obraz Eugenii Dorochowicz z cyklu Podlasie: Bug. Własność Danuty Walczuk.

Hiobowe wieści przychodziły z dnia na dzień. Rząd wyjechał. Zostaliśmy bez rządu. Jarema triumfował. Biesił się. A myśmy truchleli.



Fot. 4. Obraz Eugenii Dorochowicz z cyklu Podlasie: Polska droga, z 1979 r. Własność Danuty Walczuk.

Wreszcie postanowili iść za Bug. Frania, ta mniejsza⁶³, która obsługiwała państwa Leśniowskich, szepnęła mi któregoś ranka:

– Proszę pani, oni mają całą walizkę pieniędzy. Wszystko po sto złotych.

– Oni sprzedali przed samą wojną swoją kamienicę, stąd te pieniądze – odpowiedziałam zdumionej Frani.

Prosilili młodszy państwo Leśniowscy, aby mogli zostawić jedną swoją walizkę. Zgodziłam się i włożyliśmy walizkę do szafy w świetlicy. Uregulowali za pobyt, zapłacili Franciszce dużej i małej. Dopilnowałam tego i odprowadzeni do granicy majątku, poszli na wieś Klimczyce. Dużo było przy tym wykrzykników „niech żyje Polska”.

Nad wieczorem wrócili, ku niemałej uciechu dziewcząt. Śmiały się w kuchni co niemiara.

⁶³ Franciszka Szoplik (1920–2007) – pochodziła z Bindugi. Przed wojną pracowała w pensjonacie, w czasie wojny u Krykowskich. Po wojnie wyszła za mąż za Juliana Częstochowskiego z Drażniewa i tam zamieszkała.

– Musimy kupić konia i wóz.

Pan Jarema się zakręcił, poszedł na wieś i przyprowadził konia z wozem. Legionista, pan Jarema, widocznie dobrze przejrzał walizkę pana Leśniowskiego. Dopiero teraz zrozumiałam jego zbożne intencje. No i pan Leśniowski przedstawił mi się w innym świetle. Dziewczęta po ich wyjeździe poszły sprzątać ich pokój. I co się okazało? W kącie, w śmieciach znalazły order 10-lecia, krzyż zasługi i znaczek legionowy.

Przenocowali jeszcze jedną noc i na drugi dzień rano pakowali się na wóz, zabierając zostawioną walizkę, co mnie niezmiernie ucieszyło.

Pan Jarema woźnica, obok panna Zofia. Na drugim siedzeniu starzy. Dziarsko machnął batem po zadzie konia. Koń ruszył z kopyta i po zjechaniu ze wzgórka rażno przeskoczył drogę i prosto na łąkę zawrócił. Aniśmy się obejrżeli, jak wszyscy razem z walizkami leżeli w rowie. My z mężem i panem Nasiłowskim staliśmy na wzgórzu. Oni leżeli w rowie z kupą walizek porozrzucanych obok. Koń zaś urwał się i pogalopował do swojej stajni.

Teraz to już i my śmieliśmy się do łez. Pan Nasiłowski nie mógł się uspokoić. To było wspaniałe widowisko. Najgorsze było w tym, że wóz się rozleciał. Tylne koła odpadły. Teraz główny bohater miał co robić. Należało iść po konia, naprawić wóz, dopiero wówczas w drogę jechać. Ale bez bata, bo ten koń nie lubił poganiania batem.

Po kilku dniach przyszli nowi goście. To był Dreszer, brat polskiego generała Dreszera⁶⁴, który zginął w samolocie nad Gdynią. Dopiero z nim mogliśmy porozmawiać o sytuacji. Nieciekawa była relacja pana Dreszera. Ale najpierw poprosił o wodę, musieli się umyć. Później o jakąkolwiek koszulę, bo jego była sfatygowana i brudna. Szli kilka dni z Warszawy. Oczywiście, otrzymał koszulę mojego męża, jedynie za szczupły kołnierzyk, który przewiązał sobie sznureczkiem. Przyszli do stołowego odświeżeni i zasiedliśmy do obiadu.

⁶⁴ Gen. dywizji WP Gustaw Orlicz-Dreszer (1889–1936) – zginął w katastrofie lotniczej nad Zatoką Gdańską w lipcu 1936 r.

– Proszę nam wszystko dokładnie opowiedzieć – prosiłam pana Dreszera.

Pan Dreszer był sekretarzem „Strzelca”. Była to organizacja legionowa, również bliska formacji, którą organizował swego czasu Piłsudski.

– Nie będę owijał w bawełnę – powiedział pan Dreszer – idziemy w ciężką niewolę. Wieś musi się skupić koło kościoła. My z panią Jadwigą idziemy do Wilna, później na Kłajpedę. Jestem redaktorem, będę oglądał i wszystko, co zobaczę, opisywał. Wojna będzie długa i ciężka.

– Czy to prawda, że naczelny wódz opuścił Polskę?

– Tak, niestety. Na razie wyjechał do Brześcia, później do Zaleszczyk i na Rumunię – odpowiedział mi – i rząd, i prezydent, i Składkowski.

– Wszyscy wyjechali? – zapytałam. Jeszcze mi brzęczą w uszach zapewnienia. Słuchaliśmy w radio. Komunikaty zapewniały o naszej sile. Jeszcze miesiąc nie minął od momentu, gdy słuchaliśmy w skupieniu i odchodziliśmy z zadowoleniem, że wszystko gra, że jesteśmy przygotowani. *Co się stało? Kto nawalił?* – pytałam uparcie.

– Proszę pani. Czołg na dwa lata przed śmiercią Marszałka Piłsudskiego został pokazany na podwórzu sejmu. Piłsudski nie zezwalał na budowę takiego sprzętu. On był pewien, że Niemcy z nami wojny nie zaczną.

– A te walki z ludowcami, Brześć, Bereza? To dla kogo było? Kogo straszili? Walka z własnym społeczeństwem widzę, że jest dużo łatwiejsza niż z wrogiem. Ale wyszliśmy na durni – zakończyłam. – Nie, to jest nie do pomyślenia. To zupełnie jak czeska firma „Napaskudzili i uciekli”. A ja do żołnierzy skaczę i wyrzucam im, że już przestali wojować. Był tu jeden. Prowadził konie do swego domu, parę pięknych koni. Mówię mu: *To już skończyliście wojnę?* On mi na to: *Ja nie dowódca. Jak nie ma komu dowodzić, rozkazywać, to co ja sam mogę zrobić?* I poszedł. W przeciągu jednego miesiąca zawaliło się. Polska była mocarstwem. Polski nie ma mocarstwowej. Żadnej.

– Nie ma wyjścia. Teraz skupić się koło plebanii. Muszą państwo przetrwać. Nie będzie łatwo. Jeśli pani pozwoli, odpoczniemy jeden dzień i dalej do Wilna.

Zostaliśmy sami. I to był najgorszy dzień. Nie chciało się nic, absolutnie nic. Już i płakać trudno. Bo i po co? Wszystko legło w gruzach. Jak na urągowisko słońce świeciło. Ani jednej chmurki.

Przychodziły wiadomości o bohaterskiej postawie żołnierza. Westerplatte nappełniało nas dumą. Poczta Gdańska wyciskała łzy. Boże, Boże, za co my płacimy? To było niepojęte i nie zgadzało się z logiką. Wreszcie nadeszła wiadomość, że 28 września Warszawa skapitulowała. Nastał mrok, czarna noc niewoli. Pustka.

Przyszła dziewczyna z Warszawy i zaczęła w kuchni opowiadać o okropnościach, które działy się w Warszawie. Warszawa leży w gruzach. Brak wody, chleba i trupy leżą pod gruzami. Komunikacja przerwana, wagony tramwajów w poprzek ulic. Wiele osób chodzi i szuka swoich najbliższych koło gruzów. Jeden wielki grób. Ona różnymi sposobami jechała. Trochę szła pieszo. Pociągi nie idą. Niemcy już weszli do Warszawy. Zebrali Żydów do uprzątnięcia ulic. Mają na rękawach opaski z gwiazdą. Chodzą czwórkami po ulicy i śpiewają: *Nasz Hitler złoty nauczył nas roboty*.

Słoneczne lato odchodziło od nas, następowała coraz ciemniejsza rzeczywistość.

Myśmy kopali ziemniaki, bo mrozek zaczął pokrywać szronem pola. Trzeba było się spieszyć. Zima nadchodziła. Koło 13 października śnieg spadł na pola.

Musiałam pomyśleć o zapłacie dziewczętom. Pomyślałam: *skoro będzie tak ciężko, po co mi pensjonat? Po co mi naczynia, obrusy, łóżka? Rozdam dziewczętom, będą one miały*. Zwołałam wszystkie i zakomunikowałam im o swoim postanowieniu.

– Idźcie do domu, przyjeżdżajcie z wozami i zabierzcie, moje kochane, co mam. Wyposażę was każdą w pensjonatowe urządzenia. Zgadzacie się?

– Tak, tak, proszę pani – odpowiedziały chórem.

– Wobec tego szybko, jeszcze dziś, niech ojcowie przyjadą.

Tak i się stało. Każda otrzymała: wazę do zupy, sześć łyżek, sześć noży, sześć widelców, łyżeczek, obrus, stół na cztery osoby, łóżka dwa, sienniki,

krzesła, szafę. W ogóle całkowite wyposażenie panny na wydaniu. Kiedy odjechały z tym dobytkiem, byłam spokojna, że nie dzieje im się krzywda.

Jedynie Nadzia nie otrzymała należności. Była zza Buga. Poszła do domu, długo nie wracała, do czasu, kiedy Bug stał się granicą. Między Białorusią a Polską. I jeszcze jedna dziewczyna została za Bugiem. Była to pomyłona Marysia.

Z nią była dziwna historia. Miała chyba już po trzydziestce. Przyszła do mnie i prosiła o jakąkolwiek robotę. Byle mieć chociaż na kawałek chleba. Był to czas, kiedy u mnie dorastały indyki. Stado było spore, tak coś około 400 sztuk. Wzięłam ją do pasienia indyków. Wypędzała do parku i baczyła, aby się nie rozchodziły. Dziewczyny donosiły jej jedzenie. Cały dzień pasła je. Dziewczęta opowiadały o niej dziwne rzeczy. Że wieczorem przed kładzeniem się spać wyjmowała malutkie koszulki z węzła. Całowała i pieściła. To znów innym razem płakała. I przepraszała kogoś.

Otóż ona otrzymała zapłatę i poszła do Siemiatycz kupić sobie buty na zimę. Również nie wracała. Co prawda już mi nie była potrzebna, bo indyki mogły chodzić po polu i łące same.

Pewnego dnia przybiegły do mnie moje dziewczęta i z trwogą opowiedziały, iż bolszewicy byli w Ruskowie. Trzeba pochować ubrania, bo zabierają. I należy się schować. Może u kogoś na wsi. Słuchałam zdumiona.

– Ja się chować przed nikim nie będę, nie zrobiłam nikomu nic złego. Jeżeli się będę chowała, to znaczy, że coś wisi na mnie. Że jestem winna. Nie, moje drogie. Nie chowam się.

Jeszcze nie skończyłyśmy dyskusji, czy mam się chować, gdy nadjechał samochód, z którego wysiadło trzech bolszewików w papachach kozackich.

– *Zdrawstwujićie*⁶⁵.

– *Zdrawstwujićie* – odpowiedziałam po rosyjsku.

⁶⁵ Dzień dobry.

Dziewczęta otoczyły mnie kołem, niemal trzymając się mego kożuszka.

– Proszę pani, proszę pani, co teraz będzie?

– Zobaczymy – odpowiedziałam.

– Gdzie *pomieszczyk*⁶⁶? – zapytał mnie jeden, widocznie najstarszy.

– Ja – odrzekłam.

– *Kak choziąjka? Chorosza? Niczewo nie winowata? Prosi*⁶⁷ – zapytał dziewcząt.

I wówczas się popisałam.

– Słuchajcie, dziewczynki – było ich pięć – jeżeli ja jestem niedobra, jeżeli was skrzywdziłam i winna jestem cośkolwiek której, to powiedzcie mu. On zrobi ze mną porządek – czekałam, co nastąpi.

Ten najwyższy z zezowatym okiem spojrzał na mnie i zapytał jednego, który był z nimi:

– *Czto ona goworit*⁶⁸?

Zapytany odpowiedział:

– *Ona goworit, czto onie mogut z niej ciepier poszczytatsia. Jeśli była niechorosza*⁶⁹.

– *Iż, kakaja umnica*⁷⁰.

I na tym strachu się skończyło. Pojechali. Później nadjechała cała konnica. Rozłożyli się w parku. I powiedzieli, że będą nocować. Sześciu oficerów i jeden pułkownik.

– *Czto eto za pcicy*⁷¹ – zapytali mnie.

– *Eto indziuki*⁷² – odpowiedziałam.

– *Ty nam zdziałaj obied iz nich. Podożdziem. Dziesiać sztuk*⁷³.

Jeszcze kuchnia pensjonatowa była czynna, więc szybko zwołaliśmy indyki. Zarznąli, oskubali i upiekli.

⁶⁶ Dziedzic.

⁶⁷ Jak gospodyni? Dobra? W niczym nie zawiniła? Pytam.

⁶⁸ Co ona mówi?

⁶⁹ Ona mówi, że one mogą teraz poskarżyć się na nią. Jeśli była niedobra.

⁷⁰ Jaka uczona.

⁷¹ Co to za ptaki?

⁷² To indyki.

⁷³ Zrób nam obiad z nich. Poczekamy. Dziesięć sztuk.

W stołowym kazałam nakryć piękny biały obrus, nakrycie dwa talerze, szklanki do wina. Lampka przed obrazem Matki Bożej paliła się. Pokojowa Frania, w białym fartuszu i czepeczku na głowie i jeszcze dwie tak samo ubrane, obsługiwały. Niech wiedzą, jak w polskim dworze obsługują. Jeden z nich odezwał się:

– *Zowi choziajku. Puskaj z nami budiet*⁷⁴.

Przybiegła do mnie:

– Proszę pani, oni chcą, żeby i pani była na obiedzie.

– Dobrze, idę.

Usiadłam na końcu stołu, na honorowym miejscu.

Naleliśmy wina do szklaneczek i podaliśmy dziesięć indyków. Najgorsza sprawa, ani rusz ukroić, trzymając widelcem. Wówczas rozłamali po połówce, trzymając nóżkę indyka.

– *Poczemu ty nie kuszajesz*⁷⁵? – zapytał jeden z oficerów.

– *Potomu, czto siewodnia jeść piatnica*. U nas jest post. *Miasa nie jedzim*⁷⁶ – odpowiedziałam zdziwionemu oficerowi.

– *A poczemu zdies lampoczka garit*⁷⁷? – znów zapytał inny oficer.

– *Potomu, czto eto ikona Matci Bożej*⁷⁸ – odpowiedziałam.

– *U nas tolko staryje babuszki molatsa w ugolkie. My uże etowo obyczaja nie znajem*⁷⁹ – usłyszałam odpowiedź.

– *U was niet Boga. Staryje pomniat. No, maładyje uże sowsiem nie znajut. Pozabyli. Ili o Bogu nikto im nie goworil*⁸⁰ – zaznaczyłam.

– *U nas wsie cerkwi zakryty. Kościoły toże*⁸¹ – odpowiadano mi.

– *Nie gowori sliszkom mnogo*⁸² – usłyszałam od pułkownika, który nic nie mówił.

⁷⁴ Wołaj gospodynię. Niech pozwoli do nas.

⁷⁵ Dlaczego ty nie jesz?

⁷⁶ Dlatego, że dzisiaj jest piątek. U nas jest post. Mięsa nie jemy.

⁷⁷ A dlaczego tutaj pali się lampeczka?

⁷⁸ Dlatego, że to jest obraz Matki Bożej.

⁷⁹ U nas tylko stare babki modlą się w kąciku. My już tego zwyczaju nie znamy.

⁸⁰ U was nie ma Boga. Starzy pamiętają. No, młodzi już całkiem nie znają. Zapomnieli. Albo nikt im o Bogu nie mówił.

⁸¹ U nas wszystkie cerkwie zamknięte. Kościoły także.

⁸² Nie mów zbyt dużo.

Na drugi dzień zobaczyłam, jakie były skutki noclegu żołnierzy w parku⁸³. Wszystkie snopki niemłóconego zboża były rozwleczone po całym parku. Pozbieraliśmy starannie. Zaś co się wysypało, powschodziło na wiosnę.

Jeszcze jedna wizyta bolszewików. Zajechał samochodem kapitan i zażądał, abym mu dała świnię. Mówię mu, że nie mam dorosłej. Mam tylko czteromiesięcznego prosiaka. Proszę, niech zobaczy. Był u mnie pan Krykowski, sąsiad, zięć pana Nasiłowskiego. Idziemy do mnie oglądać moją świnkę. Po prawej stronie pan Krykowski, po lewej kapitan. Zwracam się półgłosem do pana Krykowskiego:

– Niech pan się modli, żeby nie zauważył pana chlewów.

Wiedziałam, że ma 12 świń do sprzedania, ponieważ on hodował świnię na sprzedaż. No cóż, wypuścili moją świnkę na podwórze. Była zbyt mała na jego potrzeby.

– *Niet, twojej nie zabieru – powiedział – Znajesz, czto ja ciebie skażu? Pojeżdżaj k'nam. Dadzim ciebie imienie. Budziesz choziajniczat*⁸⁴.

– *Znajesz, towariszcz kapitan, ja nie mogu k'wam pojechać, potomu, czto u was Boga niet*⁸⁵.

I na tym się skończyło. Pojechał szukać.

Jeszcze jedna wizyta była. Przyjechał oficer z samochodami. Zapytał, czy mam łóżka. Powiedziałam, że owszem, jeszcze są.

– *Nu, tak my zabierom eci krawaci w gospital*⁸⁶.

– *Bieri*⁸⁷ – odpowiedziałam.

Całe szczęście, że już dziewczęta były zaspokojone. Miałam 60 łóżek. Wystarczyło i dla bolszewików.

– *Znajesz czto, ty skaży, kto imiejet swini? Togda twojej nie zabieru*⁸⁸.

⁸³ Jeśli autorka dobrze zapamiętała, że wizyta tej grupy czerwonoarmistów miała miejsce w piątek, to musiało to być 22 września.

⁸⁴ Nie, twojej nie zabiorę. Wiesz, powiem ci coś. Przyjedź do nas. Damy ci majątek. Będziesz gospodarować.

⁸⁵ Towarzyszu kapitanie, wiecie, że nie mogę pojechać do was, bo u was nie ma Boga.

⁸⁶ Zabieramy te łóżka do szpitala.

⁸⁷ Biercie.

⁸⁸ Wiesz co, ty powiedz, kto ma świnię? Wtedy twojej nie zabiorę.

– *Etogo ja skazać nie mogu* – odpowiedziałam – *wo pierwych sama nie znaju, bo wtórych byłaby sama swinia. Idzi i iszczi*⁸⁹.

No cóż, wypuścili moją świnkę na podwórze. Była zbyt mała na jego potrzeby.

– *Pojedu dalsze iskat. Znajesz, ty pojeżdżaj k'nam. Dadzim ciebie imienie. Budziesz choziajniczat*⁹⁰.

– *U was niet Boga, nie mogu*⁹¹ – zaśmiałam się.

Przyjechał jeszcze jeden bolszewicki oficer. Miał za sobą kilka samochodów. Wypytuje mnie, co to za majątek. Mówię mu, że latem przyjeżdżają z miasta ludzie odpoczywać. Że to jest pensjonat. Dacza.

– *Czto eto takoje dacza*⁹²?

Tłumaczę mu, jak mogę. Widzę, że nic nie rozumie. Odjechał. Za chwilę wraca i mówi:

– *Poczemu ty mnie nie skazała, czto imiejesz krawati*⁹³?

– *Razwie ty mienia spraszyl o krawati*?⁹⁴ – odpowiadam.

– *Nu, tak ja ciebie zabieru*⁹⁵.

– *Bieri*⁹⁶ – odpowiedziałam.

I resztę, które zostały, zabrali. Zostawili mi jedynie leżaki.

Już później więcej nie widziałam bolszewików. Granicę na Bugu zrobili⁹⁷. Po tamtej stronie strzegł bolszewik. Po tej chodzili Niemcy.

Wieczorem tego dnia, w którym był kapitan po świnkę, zapytałam mego męża:

⁸⁹ Tego powiedzieć nie mogę. Po pierwsze sama nie wiem, po drugie sama byłabym świnia. Idź i szukaj.

⁹⁰ Pojadę dalej szukać. Wiesz, przyjedź do nas. Damy ci majątek. Będziesz gospodarować.

⁹¹ U was nie ma Boga, nie mogę.

⁹² Co to jest dacza?

⁹³ Dlaczego nie powiedziałeś mi, że masz łóżka?

⁹⁴ Czyżbyś ty mnie pytał o łóżka?

⁹⁵ No to ja ci zabieram.

⁹⁶ Bierz.

⁹⁷ 28 września 1939 r. podpisano tzw. II Pakt Ribbentrop–Mołotow, zwany „Traktatem o granicach i przyjaźni III Rzesza – ZSRS”, w wyniku którego na Bugu wyznaczono granicę pomiędzy terenem okupowanym przez Rosjan a Generalną Gubernią, utworzoną dekretem Hitlera z 12 października 1939 r.; uzgodnienia w sprawie granic trwały do 4 października 1939 r.

– Czy wiesz, co mi powiedział ten kapitan, kiedyśmy szli oglądać świnkę? Powiedział mi, że pogrzeb Piłsudskiego kosztował Polskę osiem milionów złotych. Zupełnie zgłupiałam, kiedy to usłyszałam. Spytałam go: *Otkuda wy znajecie?*⁹⁸, a on na to: *My wsio znam. Tolko wy niczewo nie znali*⁹⁹. Że musiał kosztować, to na pewno. Przecież cała trasa, wstrzymano pociągi, kiedy przejeżdżał pociąg z trumną.

– Na Wawel chyba też musieli opłacić – rzekł mój mąż w zadumie – Czołgów nie robili, bo nie pozwolił. Kiepsko było z naszą polityką. Cieszyn też wrzodem, Czesi nam nie darują. Hitler wcisnął nam, abyśmy cicho siedzieli, a teraz zabrał i nas, i Cieszyn. Bolszewicy się z nas śmieją. I mają rację, guzika nie damy.

Kiedy się uspokoiło z bolszewikami, pomyślałam o zabraniu naszych walizek z ukrycia. Mówię do Franciszki:

– Pójdziemy zabrać. Moją walizkę ty chowałaś. Idziemy.

Jest nad oborą w słomie. Zabraliśmy. Dalej szukamy walizki męża, nie ma. Chowała ją Lucynka. Wołać Lucynkę. Niech przyniesie, gdzie schowała. Niestety, Lucynka walizki nie przyniosła. Męża bielizna i garnitury przepadły. Jeszcze jedna strata.

Wreszcie nadjechali i Niemcy. Pierwszy olbrzymi samochód. Dwóch Niemców z monoklami w oku. Pytają, po jakiemu chcemy rozmawiać: po francusku czy po niemiecku. Odpowiadam, że po francusku. Świetnie, mówimy po francusku. Niedługo zabawili. Pojechali. Następny transport już z żołnierzami. Jeden bardzo wysoki, zupełnie Krzyżak. Mówi, że u mnie będzie straż graniczna. Należy opróżnić moje mieszkanie. Zajmą cały dom. Przyśle mi sołtysa, aby zorganizował służbę do sprzątanego całego domu. Pierwsze piętro i parter. W niedługim czasie przyjadą żołnierze graniczni.

Musiałam zabrać swoje rzeczy i przenieść się do małego domu, gdzie mieszkał dziadek z chorą żoną i synem Stasiem. Dom dla Niemców wysprzątały kobiety ze wsi. Cekał na przyjazd. Jakoś długo nie zjeżdżali.

⁹⁸ Skąd to wiecie?

⁹⁹ My wszystko wiemy. Tylko wy nic nie wiecie.

Aż tu pewnego dnia przyjeżdża cała rodzina wysiedlonych z Pomorza. Dziesięć osób: ojciec, matka i ośmioro dzieci. Gdzie ich pomieścić? W pałacu nie ma pieców. W myśliwskim pałacyku ogromne pokoje, również ani jeden piec nie jest czynny. A już wieczór i dzieci chcą spać. Decyduję się oddać na tymczasem kuchnię wysprzątaną dla Niemców. Myślę, chociaż na parę dni. Później może im się coś uda zrobić gdzie indziej. Byli bardzo szczęśliwi, bo mieli ciepło. Kuchnia obszerna, napalili pod blachą, napili się herbaty i poszli spać. Ubrać i nakarmić, oto jakie polecenie dostałam od wójta¹⁰⁰. Dobrze, że miałam koce bajowe. Dałam każdemu i mówię, niech matka uszyje kurtki. Tylko to mam.

Jeszcze pierza indyczego leżało sporo. Powypychało się sienniki, porobiło pierzyny, poduszki. Maszyna do szycia była. Dałam nici. I jakoś biedę przykryliśmy. Dostałam wykaz, co mam dać tym ludziom do jedzenia. Więc na osobę jeden litr mleka, pół kilograma słoniny, po kilogramie mąki, kartofli, kapusty. Spiżarnia moja zaczęła się opróżniać.

Rojno było na podwórzu. Kury i gęsi już się zbierały. Indyki zaś Marysia spędzała z sadu. To była pora rzucenia moim wychowankom kukurydzy. Kiedy sprowadzałam kukurydżę z Poznania, nie myślałam, że tak mi się przyda.

– Zobacz, Franiu, jak one jedzą z apetytem to ziarno.

Indyki, widząc mnie na podwórzu, biegły z krzykiem. Wiedziały, jaki przysmak im rzucę. Woda w korytkach pod ścianą kurnika. Całe ptactwo uwijało się dziobać. Lubiałam przyglądać się, kiedy ta cała gromada schylonymi główkami chwytала dorodne ziarno kukurydzy. Całe moje królestwo. Bo i pies przyszedł na łańcuchu. Miał przeprowadzony od stodoły do lipy, stojącej przed kasztelem, drut, na którym sześciometrowy łańcuch był uczepiony na kołku. Pies był postrachem całej okolicy. Dzięki temu nikt nie śmiał wejść na podwórze. Zaś Reksio pozwalał kurce znosić jajka w swojej budzie. Koty też kręciły się koło nóg. Miałam ich troje:

¹⁰⁰ Tadeusz Przesmycki (1898–1974) – wójt gminy Sarnaki w latach 1932–1944, ostatni właściciel majątku Sarnaki. Po wojnie mieszkał z rodziną w Gdańsku. Jego żona Melania była nauczycielką.

dwa kocury i jedna czarna kotka. Kotka była przywieziona z Warszawy. Murzynka jej było na imię.

To nie jest prawda, że koty przywiązują się do miejsca. Moja Murzynka urodziła się w gazowni. Wychowywał ją pies, foksterier. Kiedy jej matka wychodziła do ogrodu, Lalus pakował się kosza i spał z malutkim kotkiem, grzejąc malucha swym ciałem. Mój Lalus był wychowany z kotką, matką Murzynki. Kiedy Birka dojrzała, zauważyliśmy, że wdzięczy się do Lalusia. Chodzi koło niego, szturcha go noskiem, kładzie na podłodze. Lalus nic, wcale nie zwracał uwagi na karesy wdzięczącej się kotki. Kiedy zobaczyła, że nic nie wyjdzie z jej karesów, wyszła do ogrodu i nie było jej kilka dni w domu. Kiedy urodziły się kociaki, Lalus zajrzał do kosza, w którym leżała kotka. Powąchał kociaki, później kotkę, polizał małego, zaś kotka ani drgnęła. Pozwoliła Lalusiowi lizać jej dzieci.

U mnie w Klimczycach jeden raz było tak. Kotka miała kocięta. Leżała z małymi w koszu od bielizny. Wylęgło się gąsiątko. Reszta jaj dopiero się wykluwała. Myślę, dam kotce, niech je ogrzeje. Podłożyłam gąsiątko kotce. Ona je powąchała i zaczęła podsuwać mu sutki pod dziób. Kochana moja koteczka. Zrozumiała mnie. Gąsiątko było przy kotce, dopóki nie wykluła się reszta jaj. Tylko indyczka nie da podejść nikomu do jej dzieci. No i gęś jest pazerna, zaraz dziobie. Zaś kiedy dorosną, zgodnie dziobią ziarna.

– Wiesz, Franiu, zostawię 10 kilogramów ziarna kukurydzy. Widzę, że się opłaci. Trochę roboty z nią jest, ale jakie plony! Mamy inspekty. Zasieję w lutym, w maju posadzimy, tak jak w tym roku.

W tym roku zrobiłam wszystko tak, jak w „Plonie” napisane. Posialiśmy w lutym. Przed tym trzeba było tydzień moczyć ziarno, aby pręcej wschodziło. W lutym posiane pod przykryciem grubymi matami. W marcu już wschodziło. Zaczęliśmy odkrywać maty, kiedy słońko zaczęło mocno przygrzewać. W połowie maja sadzonki wyrosnięte do 30 centymetrów. Ostrożnie wyjmowaliśmy z inspektów i w odstępach 30-centymetrowych sadziliśmy rząd od rzędu o 60 centymetrów. Sadzonki były zasadniczo wyższe od 30 centymetrów. Sadzone w ziemi dość głęboko, aby mogły

wypuścić korzenie przybyszowe. Kiedy się zielsko pokaże, oborać rzędy. Kukurydza wyrosła na dwa i pół metra wysoka. Kolby długie po 30 centymetrów, a nawet dłuższe, po cztery na jednej łodydze. Była to cukrówka o białym dużym ziarnie.

To był wspaniały eksperyment. Ziarno nadawało się na mąkę. Śruta była na osypkę dla konia, krów, świń. Osypka do ziemniaków. Na ziarnie tuczyły się indyki i kury, i gęsi, i kaczki.

Jeszcze jeden eksperyment z „Plonu”. Na placu, gdzie była udeptana ziemia (był to plac pod siatkówkę, zaorany bez nawozu), posadziłam słonecznik rosyjski. Również rzędy jeden metr na metr. Później podsypałam każdą sadzonkę saletrą wapniową. Wyrósł mi na schwał. Na całą okolicę słychać z tych słoneczników. Z daleka było widać żółto kwitnące olbrzymie talerzyska, średnica od 30 do 35 centymetrów. Myślałam, jeśli wojna przyjdzie, narobię słonecznikowego oleju. Nie będzie kłopotu ze smażeniem placków ziemniaczanych. Cały październik i listopad łuszczyliśmy. Wszystkie dziewczęta się zleciały. Było wesoło. Tylko sobie ucho odziębiałam.

Na placu tenisowym posadziłam dynie. Też posypałam saletrą. Całą wozownię wypełniliśmy olbrzymimi dyniami. Po dwie osoby musiały znosić dynie z wozu. Wszyscy sąsiedzi brali dynie do wyrobu dżemów. Wspaniała surówka z borówką brusznicą. Jeszcze kawałek pieczonego indyka, żyć nie umierać. Taka pycha, palce lizać.

I to wszystko zdmuchnięte. To był wiatr nie lada, wiał ze wściekłością siarczystej wichury, wymiatając śmiecie z każdego zakątka.

Już myślałam, że Niemcy nie przyjadą. Bo cały miesiąc mijał, a ich nie widać. Mieszkanie było wysprzątane, ale moja spiżarnia jeszcze nieprzeniesiona. Płonna była moja nadzieja.

2 grudnia sunęły przez sad wozy z żołnierzami, na końcu samochód z Krzyżakiem, który był poprzednio. Zaraz poszłam, aby wytłumaczyć, dlaczego kuchnia jest zajęta. Niemiec się oburzył i powiedział mi, że on

jedzie do Bindugi¹⁰¹, za godzinę wraca. Ma być wszystko uprzątnięte. I zapytał mnie, czy wiem, co to jest sabotaż.

– Oczywiście, że wiem – odpowiedziałam.

Przeprowadziliśmy Szopińskich do pomieszczenia przy oborze, zaś dziewczęta zaraz zaczęły szorować podłogę. Dobrze miałam dziewczęta. Tak się uwijały, że w mig było wszystko wysprzątane.

Dwudziestu żołnierzy rozlokowało się na górze w pokojach. Sierżantowi pokazałam swoją spiżarnię na górze przyrzekając, że zaraz rano wszystko zabierzemy. Sierżant dał mi swoje słowo, że nic nie ruszą. W spiżarni tej były na drążkach boczki wędzone, szynki. Kasza w workach. Cukier. Kawa nieupalona. Właściwie to był łubin z Syberii przywieziony, który wspaniale imitował kawę po upaleniu. Zarówno zapach jak i goryczka przypominały kawę. Ja dostałam kilka ziarenek na wiosnę. Posadziłam i teraz miałam cały worek kawy. Garnki kamienne dżemów. Część moich zapasów miałam w piwnicy i to mnie uratowało. Bowiem na drugi dzień, kiedy poszłyśmy po moje zapasy do spiżarni, była już pusta. Oburzona powiedziałam sierżantowi:

– Pan mi dał swoje słowo, że tu nic nie będzie ruszone.

Uśmiechnął się jedynie na moje oburzenie. W niedługim czasie przysłał mi dwóch żołnierzy, abym im dała naczynia do gotowania, talerze i miednice. Wówczas posłałam szybko na wieś, aby kobiety przyniosły swoje stare miednice i zabrały nowe, zostawiając swoje dla Niemców. Co mogłam, wymieniłam, aby im nie dać nic nowego.

Jeszcze jesienią doszła mnie wiadomość, że zmarł Frani ojciec. Miała cztery siostry. Jedynym do pracy w polu był ojciec. Frania musiała iść za męża. Był potrzebny do gospodarstwa chłop. Postanowili w rodzinie Franciszki, że ona musi iść za męża. Chłopaków, którzy kręcili się koło niej, było sporo. Wiem, że sercu najbliższy był Stasiek Stefaniuk, brat tej Marysi, która przyznała się do podbierania słoniny. Ale on nie mógł się z Franią żenić. Musiał rodziców wspomagać. Starszy jego brat Józik

¹⁰¹ W budynku szkoły w Bindudze była utworzona komendantura niemieckiej straży granicznej, Grenzschutz. Żołnierzy nazywano pogranicznikami.

był żonaty i mieszkał oddzielnie. Najpoważniejszym i najstateczniejszym kandydatem był Feliks Marciniuk. Wrócił z wojska, gospodarzył z ojcem. Był dość zamożny, miał półtora hektara ziemi. Zdecydowano, że Frania pójdzie za Marciniuka.

Wreszcie postanowiłam pojechać do Warszawy. Dwie dziewczyny pojechały ze mną. Zabrałyśmy kilka indyków, trochę masła i hajda do Warszawy. Dopiero teraz zobaczyłam, co się stało z moją kochaną Warszawą. Przede wszystkim tramwaje nie szły. Trzeba było na Świętokrzyską drałować pieszo. Kilka domów rozwalonych.

– Psiakrew – wyrwało mi się – Zostawili nas. Jak te bezańskie psy błądzą po ulicach.

Strach mnie ogarnął. Po prostu biegłam na Świętokrzyską. *Matko Najświętsza, ratuj!* Dochodzimy do Nowego Świata. Widzę dom rozwalony. Wchodzimy przez bramę. W oficynie dom stoi. *Chwała Bogu*, myślę. *Zobaczę moją Liluchnę*. I rzeczywiście. Dzwonimy. Otwiera drzwi moja siostra. Słowa więzły mi w gardle. Nie mogłam nic mówić. Dziewczęta patrzyły na mnie, nie widziały mnie nigdy płaczącej. A mnie ślęzy ciekły ciurkiem po twarzy.

Fela¹⁰² i Frania postawiły walizki.

– To dla pani – mówią, aby przerwać moje rozczulenie.

– Wiesz, Liluś, szłam całą drogę i klęłam. Widziałam uczniów, chyba niemieckich, jak szkicowali te ruiny po bombie.

– Uważaj, Geniu, Niemcy aresztują. Im się zdaje, że my na nich mówimy psiakrew. Obok pod dziewiętnastym siedziała na gruzach kobieta i wołała swego syna, który prawdopodobnie zginął pod gruzami. Przeklinała Hitlera. Przyszli i zabrali ją. Już chyba nie będzie przeklinać więcej. Dobrze, że nie słyszeli twoich słów.

Pojechałam na Koło do stryjostwa. Dom cały. Ale państwo wyjechali 4 września – odpowiedziano mi. Pojechałyśmy do Legionowa. Babcia

¹⁰² Feliksa Szoplik (1920–2001) – pochodziła z Bindugi, służyła we dworze, pomagała w kuchni pensjonatu i w obsłudze gości, po wojnie wyszła za mąż za Władysława Lewczuka z Kózek.

z wnukami mieszkała w innym mieszkaniu, na parterze. Wzięła mniejsze, bo brat był w niewoli, zaś mieszkanie na Bałtyckiej było za drogie. Chłopcy nie zdawali sobie sprawy ani z wojny, ani nawet ze śmierci swojej matki. Starszy miał siedem lat, młodszy trzy latka. Zostawiłyśmy i tu walizkę z mięsem i powróciłyśmy do Warszawy.

Żydzi masowo jadą na wieś i przechodzą przez Bug do Rosji. Przyglądałam się poprzebieranym za chłopki Żydówkom, w kożuszkach i chustkach na głowie. Bardzo były zdenerwowane. Chodziły po wagonie. Nie mogły usiedzieć. Stacja docelowa była Platerowo. To było najbliżej Bugu. Wysypało się ich sporo z wagonów, wszyscy zaniepokojeni, podenerwowani, z lękiem w oczach.

Chłopi zwiedzieli się, że Żydzi przyjeżdżają. Było sporo furmanek oczekujących. 10 złotych od łebka brali. Obsiadło każdą furmankę po kilku Żydów.

Po nas przyjechał koniem Józik, więc szybko opuściliśmy ten przykry widok zastraszonych, przygnębionych Żydów.

– Wszystko to wali do Sołtanów – odezwał się Józik. – On ich przewozi na tamtą stronę promem. Ale on nie bierze pieniędzy¹⁰³.

Kiedy Niemcy zlikwidowali prom, wówczas Sołtan już tylko w nocy przewoził kupioną ode mnie „Redą”. Była to łódź na 12 osób. Tak było, dopóki Bug nie zamarzł. Później przechodzili po głębokim śniegu, przewożąc na saneczkach swój dobytek.

Pewnego razu przyszedł do mnie Żydek i przywiózł list od mego brata. Brat wy dostał się z obozu w Działdowie na skutek sieroctwa swoich dzieci. Prosił mnie, abym temu Żydowi ułatwiła przedostanie się przez Bug. Śnieg wówczas był na metr głęboki. Ścieżki nieprzedeptane. Zawołałam Józika.

– Poprowadź go bliżej Bugu, pokaż, w którą stronę ma iść. Niech ci z góry zapłaci.

¹⁰³ Grzegorz Sołtan jako właściciel promu pobierał jakąś opłatę za przewóz, to była usługa, którą uczciwie wykonywał. – info. Olgierd Religioni, 10.09.2025 r.

Poszedł Żydek. Ale był taki zestraszony, że kilkakrotnie się cofał. Niemcy go zobaczyli i zabrali wszystko to, co miał wszyte w podszewkę. Później puścili, ale nie pozwolili iść za Bug.

Jeszcze raz miałam zajście z Żydami. Dwóch Żydów i jedna Żydówka, jacyś bogaci kupcy, przyszli do mnie i prosili, abym poszła do komendanta straży i wyjednała dla nich przepustkę do powrotu do Warszawy. Ona, Żydówka, dostała zapalenia pachwiny na skutek przechodzenia przez wysokie zasy śniegu. Uprzedzałam, że z tego nic nie będzie, że nie dadzą. Ale oni tak prosili, że zgodziłam się pójść.

Przychodzę do Zajferta, był to zastępca komendanta. Umiał mówić po polsku. I wyłożyłam sprawę, że Żydówka jest chora, że nie może się ruszyć, tak boli ją pachwina. Proszą o przepustkę na pociąg do Warszawy. Na to mi odpowiada Zajfert:

– Oni wysysali krew z was, a pani teraz dla nich prosi o przepustkę? Nie, nie mogę dać.

Wróciłam z niczym. Józik ich odwiózł sankami do najbliższej wsi.

Ta zima była i mroźna, i śnieżna. Śnieg był wysoki na przeszło metr. Musieliśmy tunele przekopywać między domami. Najcieplej było w kuchni pensjonatowej. Toteż tam najczęściej siedzieliśmy. Przychodził do moich dziewcząt jeden Niemiec, który mówił po polsku. W czasie bezwojennym był fryzjerem. Z Sudetów pochodził. Fela była najodważniejsza. Mówi do niego:

– Co zrobisz, jak tu przyjdą wojska francuskie? Tylko ich patrzeć.

Niemiec pyta:

– Co ze mną zrobicie?

– Będziemy do was strzelać – odpowiadam.

– I do mnie? – pyta Niemiec.

– Nie, do ciebie nie – mówię.

Uśmieliśmy się co niemiara z takiego przypuszczenia. Ale naszego wojaka już więcej nie widzieliśmy. Przenieśli go do Ruskowa.

Nasz koń Lалуś miał powodzenie. Myśmy już kończyli cukier, a on codziennie otrzymywał od komendanta kostkę cukru. Saneczkami

wyjeżdżał komendant na inspekcję do innych posterunków. U nas była główna kwatera.

Niemcy zdybali u Łopatniuków śliczną sarenkę. Zabrali ją i przenieśli do Klimczyc. Śliczne to stworzenie, oswoiła się i szła do ręki.

Genowefa spytała komendanta, czy nie mógłby on pożyczyć swojej gazety dla mojego męża. *Owszem*, odpowiedział. Dał jej „Raich” i „Volkischer Beobachter”. Więc już mój mąż miał nad czym śleć. I wiedział, co się dzieje na froncie. Niestety, ani Anglia, ani Francja nie ruszały nam na pomoc. Nie chcieli się bić o nasz korytarz. Nastawała coraz czarniejsza z najczarniejszych nocy. Pomimo tych hiobowych wieści z gazety niemieckiej, zwłaszcza z „Volkischer Beobachter”, myśmy w głębi duszy żywili nadzieję, że stanie się coś, co wyprowadzi nas z tej otchłani.

Zaś mnie coraz bardziej zaczynała boleć głowa. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Nigdy mnie przedtem tak nie bolała. Nie rozumiałam przyczyny tego bólu. W aptece można było dostać proszki z krzyżykiem, więc całe pudełka wykupywałam. Po osiem proszków dziennie zazywałam. Mąż gderał, więc brałam ukradkiem, gdy tylko poczułam ból. Prawdopodobnie zaziębiłam głowę, siedząc w przeciągu, kiedy łuskałiśmy słonecznik. Było jeszcze ciepło, siedziałam pośrodku izby, zaś na przestrzał były okna otwarte. I to przez cały październik. Dogodziłam sobie. Nie lubiłam żadnego nakrycia głowy. Wszystko razem się złożyło. I przygnębienie sytuacją, i zaziębienie.

Śnieg sypał nieustannie. Nikt nie mógł się przedostać przez zwały śniegu. Była to ułatwiona robota dla Niemców. Żydzi przestali już zupełnie przechodzić przez Bug. Takiego śniegu nie pamiętano od dziesiątków lat.

Przechodząc koło kuchni pensjonatowej, usłyszałam śmiechy dziewcząt i wychodzącego z kuchni żołnierza. Zawróciłam i weszłam.

– Co was tak rozweseliło? – pytam dziewczęta.

One zaś nie mogą mówić, tylko się śmieją. Widzę, że pośrodku kuchni stoją dwa wiadra pełne mojej kawy. Na wierzchu pływają duże kawały boczku, zmieszane pół na pół z grochem. Zrozumiałam. Niemcy wzięli moją kawę za groch. Ugotowali, obficie okrasiwszy kawałkami boczku

i szynką, zabraną mi wówczas pierwszego dnia. I co się okazało? Że ani w ząb jeść nie mogą, takie to gorzkie. Łubin nie dał się jeść. Musieli odnieść z powrotem. Uciechę miałyśmy nie lada. Dziewczęta rozniosły ten fakt po całej wsi.

Czasem odwiedzał nas Oreszczuk. Pogawędziliśmy z nim. On kiwał głową, że bieda będzie, że Niemcy chodzą po wsi i wykupują słoninę, jajka. Odwiedzają jednego Niemca, który został w czternastym roku w Kózkach. Już zupełnie zapomniał mówić po niemiecku. Ożenił się z tutejszą. Chociaż wieś pamiętała, że był obcy.

Chłopcy również przychodzili do mnie. Żalowali, że nie poszli do wojska.

– Gdybyśmy mieli karabiny, to żaden Niemiec nie przeszedłby szosą na Siemiatycze.

W marcu zaczynał śnieg topnieć. Strugi wody spływały aleją do Bugu. Szykowała się duża powódź. Takie masy śniegu. Czy Bug połknie? Lody zaczęły pękać. Ruszyła kra. I dopiero wówczas ujrzeliśmy pływających na krach zamarzniętych ludzi, siedzących na swoich walizkach, tłumoczkach. To był straszny widok. Siedział ten człowiek skulony, kra nim rzucała, dopóki nie zagłębił się w wodzie. Całe łąki, aż po same Siemiatycze, ogromny bezmiar wody. Pana Krykowskiego zabudowania otoczone dookoła wodą. Zbijał tratwy, aby przewozić swój dobytek. Klimczyce stały na wysokim wzniesieniu, nie było obawy. Ale pola całe w wodzie.

Moje gąski popłynęły za daleko i prąd rzeki znosił je na prawy brzeg. Stałam nad brzegiem i wołałam co sił: pylusie, pylusie! One biedne, co podpłyną na środek rzeki, prąd je znosi. Wołałam na moje pylusie. Wreszcie przemogły prąd i przypłynęły do mnie. Już cały dobytek był na promie, ale woda nie podeszła do domu. Pan Krykowski stał na promie, dopóki woda nie zaczęła opadać.

Wody długo opadały. Musieliśmy czekać na posadzenie kukurydzy, która już wyrosła, aż do maja. W parku zakwitły sasanki, prymule żółte. Indyczki się niosły. Zbierałam jajka pod sadzonki. Wiosna w całej krasie. Drzewa w sadzie kwitły.

Zbliżał się maj. U mnie zawsze było odprawiane majowe. Dziewczęta schodziły się ze wsi. Jedna intonowała całą litanię do Matki Najświętszej. Miała silny głos. Przyszła do mnie, aby się dowiedzieć, czy będziemy odprawiać.

– Oczywiście, że tak. Zapytam jedynie komendanta, bo chodzenie do dwudziestej pierwszej.

Poszłam do komendantury. Pytam, czy można. Oczywiście, że tak, ale przed ustalonym czasem muszą się rozejść do domu. To znaczy do dwudziestej pierwszej ma być cisza.

– Dobrze, możesz opowiedzieć na wsi. Majowe będzie. Nie na dworze pod figurą, tylko w dawnej naszej świetlicy urządzimy ołtarz.

Po paru dniach zaczepiają mnie żołnierze.

– *Frau inżyniera. Haben sie Licht*¹⁰⁴?

– *Nein, ich habe kein Licht*¹⁰⁵ – odpowiadam.

– *Bitte*¹⁰⁶ – i wyciąga z kieszeni grubą świecę. Drugi to samo czyni.

– *Danke schon*¹⁰⁷ – mówię do Niemca.

W ten sposób uzbierałam dziesięć świec grubych jak moja ręka. Wystarczyłoby na cały miesiąc. Wreszcie nadszedł pierwszy maja. Przyszło sporo dziewczyn i kobiet. Ubraliśmy stół zielenią. Obraz Matki Najświętszej Częstochowskiej i dwie grube świece pośrodku stołu, przykrytego białym obrusem.

Kiedy odśpiewaliśmy całą litanię i zaczęliśmy śpiewać „Pod Twoją obronę”, jeden szloch wyrwał się nam z piersi. Później zaśpiewaliśmy jeszcze „Boże, coś Polskę”. Kilku Niemców stało na ganku. Spojrzałam na nich. Stali spokojnie, słuchając. Widocznie nie rozumieli. I tak przez cały maj 1940 roku odprawiane było nabożeństwo majowe. Świece Niemcy dostarczali. Ale „Boże, coś Polskę” zaintonowała nasza śpiewaczka tylko raz.

¹⁰⁴ Pani inżynierowo, czy ma pani świecę?

¹⁰⁵ Nie, nie mam świecy.

¹⁰⁶ Proszę.

¹⁰⁷ Dziękuję bardzo.

Na polu, gdzie miałam posadzić ziemniaki, cały maj stała woda. Dopiero w czerwcu można było zaorać. Mówię do Oreszczuka:

– Posadzimy w tym szlamie ziemniaki. Zobaczymy.

Dałam każdej dziewczynie patyk długości 60 centymetrów, na taką odległość kazałam sadzić. I pilnowałam, aby nie gęściej sadziły. Oreszczuk twierdził, że ziemię marnuję.

– Na jesieni zaproszę pana na konsultacje. Bez nawozu sadzimy. Wystarczy tylko ten szlam, co woda naniosła.

[W tym miejscu niespodziewanie urywają się wspomnienia.]



Fot. 5. Spotkanie w Klimczycach nad Bugiem. Pierwszy z prawej Michał Nasiłowski, z lewej (z papierosem) Adam Krykowski, w centrum dr Stanisław Podwójcic z żoną, z drugiej jego strony Janina Krykowska. Klimczyce, ok. 1948 r. Ze zbiorów Ryszarda Krykowskiego.

Stanisław Dudziuk

Minione lata Okres II wojny światowej



Stanisław Dudziuk urodził się w 1910 roku w Hołowczycach. Będąc na emeryturze napisał obszerne wspomnienia zatytułowane: „Minione lata 1914-1992”, w których opisuje swoje życie na tle wydarzeń historycznych i przemian społecznych, poczynając od wczesnego dzieciństwa, poprzez zdobywanie wykształcenia, pracę, okres służby wojskowej, wojnę – aż do emerytury i przemian ustrojowych w Polsce na początku lat 90. Do druku wybraliśmy fragmenty związane z II wojną światową. Losy i przeżycia autora były udziałem wielu mieszkańców naszego terenu,

przybliżają nam naszą lokalną historię.

Obrona twierdzy brzeskiej

Pod koniec sierpnia 1939 roku nastąpił pobór koni i wozów do armii, czyli mówiąc językiem fachowym wojskowym, nastąpiła mobilizacja materiałowa – w przeciwieństwie do Niemiec, które oparły się o pancerną. W gospodarstwie rodzinnym po wielu latach dorobiono się dobrego konia pociągowego właśnie w tym okresie, no i ten koń został zabrany przez wojsko. Gospodarstwo zostało pozbawione siły pociągowej, która była podstawą egzystencji. Trzeba było aż półtora roku, ażeby zdobyć się na

kupno konia, któremu znowuż nie było dane dłużej pracować jak przez pół roku, bo wtedy druga armia, niemiecka, zarekwirowała go na swe potrzeby.

Ostatnie dni sierpnia wydawały się zwiastować coś niezwykłego. Na kilka dni przed końcem sierpnia baterie przeciwlotnicze obsadziły most we Fronołowie nad Bugiem celem obrony przed nalotem lotniczym. Jak się potem okazało, most nie był bombardowany przez Niemców, widocznie w przewidywaniu, że im się przyda w dalszych operacjach wojennych. Przecieki z gminy sygnalizowały o mającym nastąpić zarządzeniu powszechnej mobilizacji, co stało się 30 sierpnia. Zgodnie z rozplakowanym zarządzeniem wyruszyłem 31 sierpnia do jednostki, do 6 Batalionu Saperów w Brześciu. Udałem się najpierw do stacji kolejowej Platerów, gdzie już byli inni zmobilizowani. Oczekując na pociąg w Platerowie, widzieliśmy transporty jadące w kierunku zachodnim, załadowane wojskiem, końmi, sianem, wozami oraz innym sprzętem, tak jak w czasie I wojny światowej. Na stacjach kolejowych po drodze do Brześcia wsiadali kolejni rezerwiści. W godzinach wieczornych przybyliśmy przez Czeremchę do Brześcia.

Piękne dni sierpniowe, jak również i większa część września, sprzyjały zarówno agresorowi w jego poczynaniach, jak i dla zmobilizowanych. W Brześciu sporządzono ewidencję i podzielono na kompanie, umundurowano, zakwaterowano. Nie spotkałem znajomych z czynnej służby ani z ćwiczeń rezerwy. Nowi, nieznani, a jak podobni do tamtych. Dnia 1 września w godzinach popołudniowych została zbombardowana twierdza, bomba trafiła w kasyno oficerskie, nie wyrządzając większych szkód. Kilku wystraszonych oficerów przybiegło na nasz plac koszarowy i opowiedziało o wyniku zbombardowania kasyna. Nie był to duży nalot, bo zrobiły to zaledwie dwa samoloty, widocznie w celu zasiania paniki. A więc to już fakt, że wojna się rozpoczęła.

Będąc małym chłopcem, a raczej młodym, często zagadywałem ojca, ażeby mi opowiadał o swoich przeżyciach wojennych z pierwszej wojny i słuchałem z dużą ciekawością. Już nie było ojca, gdyż zmarł w 1937 roku.

W wyniku porządkowania spraw mobilizacyjnych w naszym batalionie zostałem przydzielony do sztabu jednostki, do działu gospodarczego, jako

pomoc oficera żywnościowego. Oficer ten, porucznik rezerwy nazwiskiem Mojzych, pochodzący z Kresów Wschodnich, człowiek inteligentny, skromny, odnosił się do mnie z pewnym szacunkiem, bez stosowania drylu wojskowego. Zaistniała zupełnie inna sytuacja, niepodobna do tej koszarowej w czynnej służbie – była to już wojna i widział we mnie prawą rękę, dużą pomoc. Dostałem pęk kluczy od magazynu żywnościowego, w którym znajdowały się podstawowe produkty, jak chleb, mąka, kasza, połcie słoniny solonej, smalec, groch, fasola oraz różne przyprawy do potraw. Ponadto był stóg siana i słomy poza rejonem twierdzy.

Należy mieć na uwadze, że w tych pierwszych dniach września nasza jednostka mobilizowała inne jednostki wojenne, które kwatrowały w okolicznych wsiach poza twierdzą i całe zaopatrzenie czerpały z naszego batalionu jako z bazy. Pracy było bardzo dużo, do tego stopnia, że z trudem dawałem radę, zaopatrując tysiące żołnierzy każdego dnia. Po kilku dniach przydzielono mi do pomocy podchorążego rezerwy po szkole oficerskiej w Modlinie. Był to chłopak inteligentny, lecz w sprawach zaopatrzeniowych nie był tak obrotny jak wymagała potrzeba. Z każdym dniem nasilała się praca i stawała się gorączkową, ponieważ wydarzenia na froncie postępowały błyskawicznie. Na Brześć od strony Prus Wschodnich nacierała armia pancerna marszałka Guderiana, która zaatakowała Brześć i twierdzę około 12 września. Na moją prośbę przydzielono mi do pomocy kaprała rezerwy z Białegostoku nazwiskiem Golc. Był to Żyd bardzo obrotny i z miejsca odczułem dużą pomoc. Momentalnie zorganizował samochód ciężarowy i dowoził do magazynu zaopatrzenie z Intendentury z Brześcia, a ja tylko rozdzielałem na jednostki. Magazyny intendenckie znajdowały się na skraju Brześcia od strony wschodniej, przy ul Jagiellońskiej. Były oddalone około 4 km od twierdzy. Tyle było żywności, że już nie ważyliśmy, lecz na oko w przybliżeniu wydawano na jednostki, aby przędzej.

W sztabie w dziale zaopatrzeniowym była sekcja oficera materiałowego, obsadzona przez oficera rezerwy, który pochodził z Kresów. Był to przystojny brunet i stale bardzo smutny. Prawdą jest, że w tym czasie trudno było zdobyć się na wesołość, lecz w tym przypadku był

to wyjątek szczególny. Po dwutygodniowym obcowaniu z nim zauważyliśmy postępującą siwiznę połowy włosów. Tak ciężkie przeżycia pozostawiają widoczny ślad nawet w tak krótkim czasie. Płatnikiem batalionu był młody podporucznik też z Kresów, który po dwóch tygodniach doznał zachwiania równowagi psychicznej, stale uśmiechając się głupkowato. Stało to się w czasie bombardowań i ostrzału artyleryjskiego.

Trudno było dowiedzieć się, jak wyglądała wówczas organizacja pododdziałów i większych ugrupowań, w których danym było działać. Wszystko okryte tajemnicą. Po wojnie dowiedziałem się, że wchodziliśmy organizacyjnie w skład ugrupowania Armii Wschód „Polesie” pod wodzą generała Franciszka Kleeberga, który stoczył ostatnią bitwę pod Kockiem w powiecie łukowskim i dostał się do niewoli niemieckiej, w której zakończył życie.

Szybko płynęły dni, nasilały się bombardowania. Niemcy bombardowali przeważnie miasto Brześć. Pewnego dnia, a było to około 9 września, po południu samoloty niemieckie zbombardowały ulicę 3 Maja tak, że nie oszczędzono ani jednego domu. Na tej ulicy było wiele bogatych sklepów różnego rodzaju, należących do kupców żydowskich. Zostały również zbombardowane magazyny intendenckie oraz rzeźnia miejska i dworzec kolejowy. W tym czasie na przeciwnym brzegu Bugu, od strony zachodniej, w cieniu topoli przygotowywaliśmy fury konne do wymarszu w kierunku na Kowel, do czego jednak nie doszło. Już około 7 września zaczęli ukazywać się żołnierze z rozbitych oddziałów, w luźnych grupach i pojedynczo, cofając się przed nacierającymi Niemcami od strony północnej, od Prus Wschodnich. Między innymi spotkałem się z kolegą Raczeko, tego z KOP¹-u. Opowiedział mi o sytuacji na tym odcinku frontu, na którym przebywał od czasu zmobilizowania w marcu 1939 roku. Informacje dotyczące naszych wojsk były niewesołe, przewaga niemiecka była pod każdym względem. Zaopatrzyłem mojego kumpla doli i niedoli w duży kawał słoniny, dwa bochenki chleba oraz konserwy wołowe

¹ KOP – Korpus Ochrony Pogranicza.

i kawę konserwową, po czym pożegnaliśmy się i udał się wraz z innymi w kierunku na Kowel².

Dał się zauważyć większy ruch wojsk polskich w kierunku na wschód, na Kowel, gdzie zamierzano zorganizować większy opór. Jednak w wyniku układów między Niemcami a ZSRR, który wtargnął w granice Polski 17 września, pomimo że Polska miała zawarty układ z ZSRR o nieagresji ani też nie wypowiedziała wojny temu mocarstwu, sprawa oporu przed Niemcami na wschodzie Polski została pogrzebana. Najlepszy dowód, że wszelkie układy zapisane na papierze nie są jeszcze gwarantem zawartych umów. Ważne jest, kto zawiera umowę, kto jest kim, jakie siły i środki są gwarantem. Historia i polityka są to czynniki, które wzajemnie na siebie oddziałują i są od siebie uzależnione.

W bramach wyjściowych z twierdzy ustawiono czołgi starego typu – Renolki³. Odezwały się polskie armaty rzadkim ogniem na pozycje zbliżających się Niemców. Tych dział chyba było niewiele, co wnioskowało się z ilości rzadko oddawanych strzałów. Na wozie zaprzężonym w jedną mocną kobyłę miałem ewakuować się w kierunku wschodnim z bagażem kancelarii żywnościowej, lekami oraz prowiantem na drogę. Do twierdzy przybyło kilku policjantów z Brześcia i przywieźli na furze kilkanaście karabinów jeszcze w spadku po pierwszej wojnie, trochę rewolwerów i amunicji do nich. Wziąłem sobie mały rewolwer typu Browning. Oprócz tego miałem nowy karabin polski, 100 sztuk amunicji, tornister, menażkę i nowe umundurowanie oraz płaszcz zimowy. Do tornistra włożyłem kilka konserw, bochenek chleba i kawałek słoniny. Oficer mój dowódca gdzieś wybył, a ja z kapralem Golcem zostaliśmy gospodarzami. Wszystko zaczęło się dezorganizować i tak nadszedł dzień 12 września, to była środa⁴. Tegoż dnia o godzinie około 11:00 przed południem zostaliśmy ostrzelani przez Niemców z lekkiej artylerii. Wyleciały szyby z okien

² Po wojnie już w Warszawie odnalazłem go w restauracji „Dzik” przy ulicy Nowogrodzkiej jako kucharza, bo był z zawodu kucharzem. Przeszedł koleje tułaczki w ZSRR, po czym znalazł się w ugrupowaniu gen. Władysława Andersa na Bliskim Wschodzie i w rezultacie po wojnie powrócił do rodzinnej Warszawy.

³ Francuskie czołgi lekkie Renault.

⁴ 12 września 1939 r. to wtorek. [red.]

pierwszej kompanii, trafiony został zbiorowy klozet na środku placu koszarowego, w magazynie żywnościowym pocisk wybił kratę i spadł, nie eksplodując, koło wagi, co ujrzałem wieczorem udając się do magazynu. Mosty do twierdzy do każdej bramy zostały zaminowane.

W dniu tym, we środę, około godziny 12 uformowano z nas saperów kompanię około 120 żołnierzy i udaliśmy się na obronę dworca kolejowego w Brześciu, znajdującego się około 3 km od twierdzy. Pomimo że miałem funkcję żywnościowego w magazynie, też zostałem włączony do tej kompanii, a klucze od magazynu pozostawiłem w schronie (piwnicy), gdyż tam było nasze lokum przez cały czas pobytu w twierdzy. Udaliśmy się zwartą kolumną pod wodzą porucznika i kilku podoficerów przez bramę Brzeską i przez most betonowy ponad fosą napełnioną wodą, a raczej breją błotną, w kierunku dworca kolejowego i w odległości około kilometra przed dworcem podzielono nas na drużyny po 12 żołnierzy. W tym szyku należało zająć stanowiska na skłonie ulicy Dąbrowskiego, prowadzącej przez tory kolejowe wiaduktem do dworca. Przyjęliśmy szyk tyraliery i obsadziliśmy tę ulicę od strony południowo-zachodniej. Po naszej stronie był duży plac, na którym było wiele betonowych drenów przeznaczonych na budowę studni czy też innych urządzeń. W dali od nas, bo może w odległości 250 metrów, przechodziły tory kolejowe z Terespoła przez most żelazny na rzece Bug w kierunku dworca kolejowego. Na bocznych torach zapasowych stało wiele zużytych lokomotyw.

W niedługim czasie po zajęciu przez nas stanowisk wyjściowych do ewentualnego ataku, od tyłu naszych pozycji zajęchało kilka czołgów niemieckich i otworzyło ogień na nasze pozycje. Z drenów sypały się kawały betonu i w tej sytuacji każdy z nas zaczął ratować się, jak mógł. Ja z kolegą schroniliśmy się do dreny na skraju tego placu. Wszedł jeszcze do nas kolejarz, lecz nie mógł zmieścić się całkowicie i wystawały mu na zewnątrz obie nogi do kolan, które zostały ucięte jak nożem od strzałów z czołgu. Straszny był ten widok ofiary wojny, który oglądaliśmy pierwszy raz. Czołgi wykonały swoje zadanie i wycofały się za tory kolejowe, a my na komendę zaczęliśmy pośpiesznie wycofywać się

w nieładzie w kierunku twierdzy, skąd przybyliśmy. Kolejarz pozostał. Do twierdzy dotarło nas kilkunastu żołnierzy. Gdzie reszta i co się z nimi stało, nie wiadomo. Przed twierdzą zauważyliśmy nadjeżdżający za nami czołg, a przed nim patrol niemiecki pędzący na motocyklu w kierunku twierdzy. Zauważywszy to, natychmiast zeszliśmy z drogi i w lejach po bombach skryliśmy się z zamiarem ostrzelania Niemców.

Sierżant rozkazał przepuścić Niemców i motocykl niemiecki wjechał do twierdzy przez most betonowy w bramie Brzeskiej, po czym my z ukrycia wyruszyliśmy biegiem do twierdzy, przepuszczeni przez nasze posterunki. Most był zaminowany. Powiadomiliśmy oficera o sytuacji przy dworcu kolejowym, że więcej powracających naszych żołnierzy nie zauważyliśmy. Motocykl został wzięty do niewoli, od jeńców zdobyto wiadomości o sile nacierających Niemców. Gdy pierwszy czołg wjechał na ten betonowy most, to w tym momencie został wysadzony i czołg z załogą zostały zniszczone. Następny czołg zawrócił. Sprawa przybrała nowy obrót, gdyż Niemcy doszli do wniosku, że twierdza jest zaminowana. Po powrocie i po tym chrzcie bojowym ulokowaliśmy się w schronach, czekając na dalsze wydarzenia, oczywiście niewesołe. Rozpoczął się wzmożony ostrzał artyleryjski na twierdzę oraz rażenie bombami zapalającymi. Zaczęły płonąć składy węgla leżące poza obrębem twierdzy, domy mieszkalne oficerskie oraz niektóre segmenty twierdzy. Chociaż duży procent pocisków niemieckich nie eksplodował, stworzyło się piekło od ostrzału artyleryjskiego.

Wyskoczyłem do magazynu żywnościowego, a było to wieczorem w tę środę. W magazynie ujrzałem ten pocisk niewypał przy wadze, który wpadł przez okratowane okno. Chwyciłem skrzynkę drewnianą z konserwami o wadze 40 kg i z tym bagażem zacząłem podążać przez plac koszarowy w kierunku naszego schronu, od którego dzieliła odległość około 150 metrów. W tym momencie nastąpił ostrzał całego placu koszarowego tak zwanymi kartaczami. Zjawisko to było straszne, a zarazem ładne, bo taki pocisk w zetknięciu się z ziemią detonuje, wydając niewielki łoskot i rozpryskując się promieniście, razi otoczenie. Znalazłem się w środku tego ognia. Dźwigając paczkę z konserwami automatycznie z chwilą

wybuchu upadałem na ziemię i dalej biegłem, i tak kilka razy upadałem, zanim dobiegłem do schronu. Goniąc resztkami sił, rzuciłem na schody betonowe do schronu skrzynkę, która rozbiła się staczając się na dół i cała jej zawartość rozsypała się. Koledzy żołnierze rzucili się i rozchwyтали puszki konserw. Powiedziałem im „smacznego”, a co ja przeżyłem, to tylko ja wiem. Czytałem w powieściach takie wyrażenie – ze strachu obłany został zimnym potem. Rzeczywiście doświadczyłem na własnej skórze tego rodzaju zdarzenia. Byłem cały zlany zimnym potem, a siła w tym momencie jest wielka.

Tegoż dnia wieczorem w środę otrzymaliśmy rozkaz wycofania się z twierdzy. Mój pomagier kpr. Golc oczywiście z niezwykłą zapobiegliwością skombinował ciężarówkę, na której znajdowały się dwie beczki z benzyną. Usadawił się w kabinie obok kierowcy, a ja wdrapałem się na wierzch i siedziałem wraz z beczkami, które taczały się, gdy kierowca zapuścił motor na pełny gaz. Pod ostrzałem artyleryjskim z dużą szybkością pokonaliśmy kilometrowy kawałek drogi do wylotu bramy, przez którą mieliśmy się wydostać z twierdzy w kierunku na Kowel.

Ostrzał niemiecki ustał chwilowo, tylko od czasu do czasu bomby zapalające spadały w rejon twierdzy. Oczom naszym ukazał się widok pobojuwiska. Wozy naszego taboru przygotowane do wyjazdu porozbijane przez pociski, konie i żołnierze poszarpani, wnętrza rozwieszane na drzewach rosnących wzdłuż drogi. Zauważyłem moją furę z apteczką oraz innym sprzętem mojego kolegi, z którym poprzedniego dnia przygotowaliśmy się do wyjazdu. Fura rozbita w drzazgi wraz z koniem i woźnicą. Gdy dojechaliśmy do bramy Kowelskiej, ujrzelśmy czołg nasz, starą Renolkę, który zagroził przejście w bramie. Stało tam dwóch pułkowników z pistoletami w ręku, którzy podali nam do wiadomości, że z rozkazu generała Kleeberga żaden żołnierz nie wycofuje się z twierdzy. Zmartwieni tą wiadomością, zawróciliśmy do swych schronów i bardzo przestraszeni otaczającymi nas zniszczeniami, czekaliśmy na dalszy bieg wydarzeń. Mojego pomagiera Golca już więcej nie ujrzałem. Noc przeszła względnie spokojnie, tylko sporadyczne pociski padały na nasz rejon.

W czwartek rano od nowa rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Pocisk trafił w sklep spółdzielni i zaraz rozszedł się zapach wódki z rozbitych butelek. Ogień artyleryjski nie przeszkodził temu, ażeby cała pozostała zawartość znalazła się w rękach śmiałków. Z płonącego domu oficerskiego na czwartym piętrze został wyniesiony sok wiśniowy jako dobra zaprawa do wódki. Z dała za twierdzą zajęli stanowiska ogniowe żołnierze piechoty i doszedł do nas głos „Roty”: *Nie rzucim ziemi*. Pozostała zawartość magazynu żywnościowego została rozdzielona na cały stan osobowy, jaki znajdował się w schronach pod twierdzą. Dalsze zaopatrzenie magazynu zostało zakończone, gdyż magazyny intendentury były już opanowane przez Niemców, a reszta zniszczona podczas bombardowania. Już drugiego dnia ataku, w czwartek, została zniszczona miejscowa elektrownia. Dopływ wody pitnej z kranów przestał działać. Jakie były siły, które brały udział w walkach, gdzie i jak były rozlokowane, to trudno jest opisać, gdyż jako żołnierz jednostki niebojowej, saper, wiedziałem i widziałem to, co działo się najbliżej wokół mnie.

Jak wynikało z obserwacji, to dowództwo znajdowało się gdzieś w kierunku na południowy zachód od twierdzy, ponieważ nasz pluton łącznościowy bez przerwy musiał naprawiać kable telefoniczne, rozciągnięte przez drewniany most łączący twierdzą z lewobrzeżną stroną Bugu w kierunku Terespoła. Most ten był pod stałym ostrzałem z broni maszynowej, lecz nie był niszczonej przez ogień artyleryjski z widocznym zamiarem, że będzie potrzebny do przejścia rzeki po zdobyciu twierdzy.

Pewnego wieczora, w drugim dniu walki w twierdzy, przechodząc przez plac widziałem, że opodal przy bramie żelaznej u wylotu placu koszarowego naszego batalionu, na posterunku na zewnątrz w obrębie twierdzy, stał żołnierz z karabinem i granatami. W tym czasie z placu koszarowego nadjechał w kierunku bramy czarny osobowy samochód, z żądaniem jej otwarcia. W tym samochodzie był pułkownik oraz oficer niższej rangi i kierowca. Żołnierz na posterunku, a był już zaprawiony w boju, bo już zmobilizowany od marca na pograniczu Prus Wschodnich i pod naporem Niemców oparł się w twierdzy, wylegitymował osoby i doszedł do wniosku, że są przypadkowe, więc nakazał zawrócić i razem

ginać. Samochód ten chciał przedostać się poza rejon twierdzy i udać się gdzieś w upatrzonym kierunku, nie ryzykując dalszej walki. Fakt ten pokazuje, jaka w tym czasie istniała sytuacja.

Dni i noce były piękne, gwiazdziste, lecz już chłodne. Atak artyleryjski nasilał się coraz bardziej po pewnych okresach ciszy. Niemieckie ataki piechoty załamywały się, gdy dochodziło do walk wręcz i dlatego artyleria działała aktywnie. Zdarzył się nawet wypadek dywersji ze strony niemieckiej, że oficer polski przybył z tajnym pakietem do dowództwa kierującego obroną, ażeby wojska wycofały się z twierdzy. To zostało sprawdzone i okazało się, że to była dywersja. W nocy z czwartku na piątek ogień artyleryjski wzmógł się do tego stopnia, że stał się huraganowym. Również lotnictwo wzmogło bombardowanie. W sobotę rano ustał ostrzał na kilka godzin, widocznie Niemcy przygotowywali nowy plan ataku. Brak wody powodował pragnienie i gorączkę. Nabranie wody z Muchawca, dopływu Bugu, było trudne z powodu gęstego ostrzału z broni maszynowej, ponadto istniało podejrzenie, że woda mogła być zatruta przez Niemców od strony Brześcia. W sobotę, to już czwartego dnia walk i ataku, od godzin popołudniowych atak artyleryjski oraz piechoty niemieckiej nasilił się bardzo i trwał do godzin wieczornych, po czym nastąpiła cisza. Około godziny 22 został wydany rozkaz opuszczenia twierdzy.

Sierżant Sołtysiak, szef II kompanii w czasie mojej czynnej służby, zrobił zbiórkę schronu i przejściem przez dowództwo batalionu poprowadził nas przez most na Bugu w kierunku na zachód, na Terespol. Oficer naszego 56 batalionu, już zaszyfrowanego wojennego, ppor. rezerwy posiadał kasę, w sumie około 70 tysięcy zł, co było wówczas dużą sumą i torbę tę oddawał, ażeby ktoś zabrał, lecz nikt nie chciał, gdyż była obawa przed odpowiedzialnością za kasę w warunkach wojennych. Dlaczego chciał pozbyć się tej kasy, trudno jest odpowiedzieć. Po opuszczeniu twierdzy, zdążając w kierunku na Terespol, ujrzelśmy cały park saperski po lewobrzeżnej stronie Bugu zdruzgotany ogniem artylerii i bomb lotniczych. Ranni jęczący żołnierze, rozbite wozy, konie poszarpane przez pociski oraz pożary szerzące się wokół to obraz zgrozy tych czterech dni

walk. Nasz wycofujący się oddziałek nie obrał kierunku na Terespol, lecz klucząc przez szuwary nadbużańskie skierował się przez pola kierunku wsi Błotków. Dzięki temu uniknęliśmy ataku Niemców, którzy opanowali most łączący Brześć z Terespołem i starali się oskrzydlić nas od strony zachodniej. Maszerując przez wieś Błotków nocą, widzieliśmy wystraszonych mieszkańców siedzących przy domach i rozmawiających między sobą, wpatrujących się w łunę pożarów Brześcia.

Powrót z wojny

Ruszyliśmy piaszczystą drogą dalej na wschód, w kierunku Kodnia. Patrząc na nasz oddział, można było doliczyć się mniej więcej około 300 żołnierzy. Na postoju zabrałem się do spożycia konserwy i zapach jej zwabił do mnie oficera saperów znajomego jeszcze z czynnej służby. Oczywiście podzieliłem się z nim zawartością puszki i chlebem. W niedzielę rano, będąc już z dala od twierdzy, od tego piekła, widzieliśmy, jak wciąż pociski zapalające spadały na twierdzę, pomimo że już opuściliśmy ją. Widocznie Niemcy nie byli jeszcze pewni naszej nieobecności. Już w niedzielę około południa widzieliśmy odwrót, a raczej marsz w nieznane, oddziałów wraz z taborami, w kierunku przeważnie południowym. Powoli nasza kolumna zaczęła topnieć. Brak zaopatrzenia oraz zdecydowanego dowództwa, gdyż front był już porwany, a naczelne dowództwo ewakuowało się poza granice kraju, odbiło się poważnie na morale i dyscyplinie żołnierza. Każdy na własną rękę zaczął działać. Zgłaszanie się do oddziałów, które wydawały się jeszcze lepiej zorganizowane, nie dawało rezultatu, gdyż żaden oddział nie chciał brać balastu, nie posiadając zaopatrzenia i widoków na dalszą walkę. Była to już druga połowa września i dwa tygodnie uderzenia oddziałów pancernych niemieckich zadały mocny cios, pomimo często heroicznych wyczynów żołnierza polskiego. Poważnym i zasadniczym ciosem było uderzenie ZSRR w dniu 17 września.

Nasz oddział rozbitków z twierdzy stopniał i w grupkach dowolnych szliśmy w kierunku południowo-wschodnim, szukając oparcia w którymś większym oddziale, ażeby ewentualnie wziąć udział w dalszym boju.

Doszliliśmy do miejscowości Łączna na Lubelszczyźnie i dowiedzieliśmy się, że czołgi niemieckie były tu już przed dwoma dniami. Ujrzelśmy rozbity samolot zwiadowczy polski, a na nim pełno chłopców wykręcających różne elementy z rozbitka. Nie mogliśmy zorientować się w sytuacji bojowej kraju, gdzie są i jakie zgrupowania jednostek i w ogóle o wszystkim, co się dzieje nikt nic nie wiedział. Grupa nasza liczyła już zaledwie pięciu żołnierzy rozbitków. Napotkaliśmy pojedyncze fury powracające ze strony wschodniej i dowiedzieliśmy się, jak są uzbrojeni Niemcy, że wojna została zakończona. Na razie nie można było polegać na tych luźnych wiadomościach i należało je sprawdzić w celu podjęcia decyzji, co robić dalej.

W powiecie włodawskim, sąsiadującym od zachodu i północy z powiatem białkopodlaskim, napotkaliśmy w tej wędrówce cerkiew i zabudowania przycerkiewne, no i oczywiście posiadłość miejscowego popa. Widzimy antenę radiową zawieszoną na dwóch tyczkach. Doszliliśmy do przekonania, że tu dowiemy się prawdy o sytuacji militarnej i politycznej, lecz tylko wówczas, gdy zdobędziemy zaufanie batiuszki. Postanowiliśmy z kolegą plutonowym rozmówić się z popem. Ja umiałem rozmówić się łamaną ruszczyzną, a raczej językiem chachłackim, coś w rodzaju białoruskiego z rosyjskim. Kolega pracował w urzędzie gminnym koło Pińska i lepiej ode mnie znał tamtejsze zwyczaje i obyczaje oraz język. Udaliśmy się do mieszkania popa i ujrzelśmy zażyłego batiuszkę o gęstej czarnej brodzie i czarnych chytrych oczach. W jednej izbie zobaczyliśmy kilkanaście kwintali pszenicy ze zbiorów tego roku. Batiuszka dobrze zaopatrzył się na okres wojenny. Nawiązując rozmowę przedstawiliśmy się, że jesteśmy od Pińska, że jesteśmy prawosławni, że chcemy dowiedzieć się o sytuacji wojennej i politycznej. Pop zaczął nas obserwować i początkowo nie spieszył się, aby coś konkretnego powiedzieć. Po pewnym czasie zdołaliśmy zdobyć zaufanie, a szczególną rolę odegrał w tym dialogu mój kolega, gdyż znał duchownych obrządku prawosławnego w tamtych stronach oraz pisma religijne prawosławne, o które to zagadnął nas w rozmowie pop. Ponieważ ta rozmowa utwierdziła popa, że my rzeczywiście szczerze traktujemy sprawę, oświadczył nam: *Tak*, wy

naszy chłopcy, no i ja wam skażu, jak wyglądajet prawda. Powiedział, że zostało zawarte porozumienie między Niemcami i ZSRR odnośnie linii demarkacyjnej na linii Bug – San, że wojna już właściwie jest zakończona, tylko gdzieś tam trwają jeszcze sporadyczne walki, lecz nie mają one większego znaczenia. Armia ZSRR wkroczyła w granice Polski w dniu 17 września.

Wskazał nam bezpieczną drogę do poruszania się, gdyż już rozpoczęły się napady na żołnierzy ze strony ludności cywilnej. Odbierali broń, konie, fury, umundurowanie i nawet mordowali. Po wyjściu od popa postanowiliśmy powracać do swoich domów na własną rękę każdy. Pożegnaliśmy się i ja wraz z dwoma innymi skierowaliśmy się w kierunku na Białą Podlaską przez teren powiatu włodawskiego. Według wskazań tego popa kierowaliśmy się do wsi, w których zamieszkiwali baptyści, którzy kierowali nas dalej. I tak mogliśmy podróżować względnie bezpiecznie i najedzeni.

W pewnej wsi zatrzymaliśmy się u gospodarza, którego drewniane zabudowania były pokryte słomą. Stodoła wypchana zbożem i jeszcze na zewnątrz zboże w stogu. Dwa konie rasy mierzwinki krajowe krępe, silne. Jednym słowem zamożność. Wieczorem ugoszczono nas ugotowanym mlekiem, chlebem i miodem. Gospodarz w średnim wieku, żona, dzieci i brat gospodarza jeszcze kawaler. Zaczęliśmy rozmowę na temat, jak i co nastąpi obecnie. Wyczuło się zadowolenie z zaistniałej sytuacji, że przeminęły rządy polskie, że ZSRR i Niemcy zrobią lepszy porządek. Ludność tamtejsza przepojona była propagandą nacjonalistyczną Samoistnej Ukrainy. Twierdzenie moje szło w kierunku sprecyzowania sytuacji wczoraj, dziś i na najbliższe lata, że ten obecny stan jest bardzo niepewny i nie potrwa długo, że szybko dojdzie do konfliktu między oboma rozbiorcami Polski. To stwierdzenie zaskoczyło gospodarza i zwróciłem mu uwagę, ażeby w przyszłości przypomniał naszą rozmowę, co też na pewno miało miejsce już w czerwcu 1941 roku. Po tej rozmowie poszliśmy spać do stodoły na miękkie siano drugiego pokosu, a gospodarz postanowił pójść na sąsiednią wieś do szkoły, gdzie znajdowało się radio lampowe (wówczas rzadkość)

i przynieść nam świeże wiadomości. Tak też się stało i około godziny 23 przyniósł nam najnowsze wiadomości o tym, że wojna już skończyła się i została ustalona linia demarkacyjna na rzece San – Bug i dalej do Prus Wschodnich. A więc byliśmy utwierdzeni co do wiadomości zdobytych u popa. Pożegnawszy się z gospodarzem, poszliśmy dalej od wsi do wsi, kierowani przez jednych baptystów do drugich. Ciekawa to sekta, która uznaje tylko dobre uczynki i każdego dnia wieczorem taki wyznawca robi rachunek sumienia, ile zrobił dobrych uczynków w ciągu dnia.

Zbliżała się ostatnia dekada września, a my przybliżyliśmy się do swoich rodzinnych stron, bo weszliśmy już na teren powiatu Biała Podlaska. Wykopka kartofli była w pełni. W czasie tej wędrówki od wycofania się z twierdzy aż do przybycia do Hołowczyc nie widzieliśmy ani wojsk niemieckich, ani radzieckich. Udało się uniknąć jednych i drugich. Była to piesza wędrówka, bo nie udało się zdobyć zaprzęgu konnego. W Białej Podlaskiej spotkałem więcej znajomych osób, żołnierzy i cywilnych, powracających do domu z wędrówki wschodniej.

Z Białej Podlaskiej już w pojedynkę udałem się pieszo znanymi mi dobrze traktami, przez wsie Witulin, Leśną Podlaską, Nosów, Stasinów, Kolonie Konstantynowa, Zakalinki, Horoszki, do domu w Hołowczycach. Nie zdawałem sobie sprawy, jak był to niebezpieczny kawałek drogi te 30 km, o czym dowiedziałem się po przybyciu do celu. Wyszło się cało z piekła w twierdzy, natomiast tu w pobliżu domu można było dostać w głowę kilka deko ołowiu od rozbitych oddziałów wycofujących się w kierunku południowym. Był to oddział kawalerii cofający się z terenów północno-wschodnich. Napotykanych pojedynczo żołnierzy rozstrzelowano jako dezertorów. Mentalność godna pożałowania, wielka głupota. Widocznie wódz ten nie znał i nie rozumiał, co dzieje się i nie starał się po drodze dowiedzieć, jak sprawy wyglądają. Nie natrafił na popa, to ten uświadomiłby go.

Dni nadal były pogodne i ciepłe. Gdy podszedłem na wzgórze przed wsią Zakalinki, a było to przed zachodem słońca, ujrzałem na horyzoncie w kierunku na północ obłok czarnego dymu. Był to pożar zabudowań w Mielniku po wschodniej stronie Bugu, spowodowany przez cofającą się

kawalerię polską. Część miejscowej ludności białoruskiej wystawiła bramę tryumfalną dla mających przybyć wojsk sowieckich. Budowniczości bramy zostali powieszani przez kawalerzystów na tej bramie. Następnie oddział ten, przeprawiając się przez Bug około Janowa Podlaskiego, skierował się w stronę Leśnej Podlaskiej i tam rozbili się, zakopując broń w okolicznym lesie, potem wszyscy rozeszli się w różne strony, jak podobnie i my zrobiliśmy.

Powróciwszy do domu zdjąłem ubranie wojskowe, które następnie brat krawiec przerobił na cywilne, no i taką miałem pamiątkę po wojnie. Karabin i bagnet wyrzuciłem do stawu na terenie powiatu włodawskiego.

Wojenna rzeczywistość

Po dwudziestu latach niepodległości pod rządem sanacyjnym różne warstwy ludności różnie reagowały na warunki bytowe. Bezspornie w każdym systemie istnieje pewna część społeczeństwa, która sprawuje władzę bezpośrednio i tym powodzi się dobrze, o czym żartobliwie mówi się, że dobrze być przy żłobie. W tym też czasie z zaciekawieniem, a nawet z utęsknieniem, jedni oczekiwali zmian, jakie nastąpią po wojnie, nawet nie zastanawiając się, w jakim kierunku one pójdą. Rozbity system był źle widziany przez biedotę i mniejszości narodowe. Inni żałowali poprzedniego systemu, a inni odnosili się z rezerwą. W wyniku różnych wydarzeń i układów zawartych między zaborcami ludność mająca pozostać pod panowaniem jednych czy drugich już psychicznie, a nawet organizacyjnie, przygotowywała się do nowych porządków. Lewicowcy prześladowani przez reżim sanacyjny z sympatią odnosili się do ZSRR, ażeby chronić się pod opiekuńcze skrzydła. Wszystkie mniejszości, jak Ukraińcy, Żydzi, Białorusini, wszystko to miało ciągoty w stronę sowiecką. Niemcy oczywiście do Niemców. Okazało się w niedalekiej przyszłości, że wszyscy pomylili się, co nie znaczy, że wszyscy źle wybrali.

Okropności tej wojny nie oszczędzały nikogo na przestrzeni lat 1939-1945. Wojska sowieckie posunęły się aż do Kałuszyńa koło Mińska Mazowieckiego, po czym wycofały się za Bug, obsadzając prawy

brzeg rzeki na mocy układu zawartego w sierpniu 1939 roku, zwanego układem Ribbentrop-Mołotow. Zanim linia graniczna została praktycznie obsadzona, przeminęło parę tygodni. Nasza wieś Hołowczyce, położona po lewej stronie Bugu, podlegała pod panowanie niemieckie, a prawobrzeżna miejscowość Mielnik dostała się pod panowanie sowieckie. Wojska sowieckie, usadowiwszy się po prawej stronie, rozpoczęły swą propagandę i robotę wśród ludności o wyższości swego ustroju. Byli więźniowie polityczni z czasów sprzed wojny, należący do KPP, rozwinęli aktywną działalność, opowiadając się po stronie sowieckiej, ale trwało to dość krótko.

Pewnego wieczora Jan Nikoniuk, przedwojenny komunista, przemawiał do zebranych chłopów mówiąc, że rząd sanacyjny upadł jak spróchniały dąb i już do władzy nie powróci. Oczywiście tak się stało, że nie powrócił, w zasadzie nie powraca do władzy żaden rząd w tej samej formie i składzie, gdy został raz obalony. Były to przedwczesne uciechy, zanim wyklarowały się nowe porządki. Będąc wówczas człowiekiem wolnym i nieposiadającym żadnych obowiązków rodzinnych, obserwowałem wydarzenia ze zdrowym rozsądkiem, nie angażując się politycznie po którejkolwiek stronie. Niemniej miało się więcej zaufania do ZSRR, nie znając istoty rzeczy od jej tak zwanej podszewki, to jest od rzeczywistości. Starsi wiekiem żołnierze sowieccy, spotkawszy się dyskretnie na osobności z chłopami, opowiadali o ustroju, w którym żyli, że jest to ustrój bardzo niedobry dla szerokich rzesz ludności.

Nieliczna część ludności, przeważnie o tradycji białoruskiej, deklarowała się na przejście na stronę sowiecką, po czym niejednokrotnie starała się przedostać z powrotem na swoje dawne miejsce. Żydzi w większości uchodzili na stronę sowiecką, dowiedziawszy się już o stosunku hitleryzmu do tej nacji. Przez ten czas, zanim nie została zamknięta granica, kilkakrotnie udawałem się do Mielnika, ażeby zapoznać się bliżej z sytuacją polityczną i wyczuć ją przynajmniej na niedługą przyszłość. Ponieważ nic mnie nie wiązało ściśle z domem rodzinnym, chciałem udać się na stronę sowiecką i przekonać się naocznie, jaka tam panuje rzeczywistość, jak wygląda reklamowany raj, ten ustrój sprawiedliwości społecznej,

który stworzyli bolszewicy. Był to pomysł niepozabawiony racji. Żołnierze radzieccy agitowali za emigracją na ich stronę.

Pewnego razu idąc do Mielnika, tuż po przekroczeniu Bugu, na pastwisku gęsim zauważyłem wiele działek piechoty, których pilnował żołnierz sowiecki, bojec. Przystanąłem i patrzę na te działka, a wartownik rozkazał mi czym prędzej oddalić się, mówiąc po rusku: *uchadi*, co oznacza *odejść, oddal się*. Pomyślałem sobie: *jak wy ochraniacie tajemnicę, że nawet nie pozwalacie patrzeć na odkryte uzbrojenie*. Okazało się to w niedalekiej przyszłości, w 1941 roku, jak Niemcy uderzyli na niezwy- ciężonych i w niedługim czasie oparli się pod Moskwą oddaloną ponad tysiąc kilometrów. W rezultacie nie było mi dane zobaczyć sowieckich porządków. Pozostawałem pod Niemcami, co również otworzyło mi oczy na wiele zagadnień tego świata i dało poznać barbarzyński system tego świata, stosowany względem innych podbitych narodów przez naród panów, jak siebie nazywali.

Był już październik i pogoda zaczęła się psuć. Nadszedł czas zamknięcia granicy na Bugu i zakończyły się przechadzki tu i tam. W tym czasie po stronie niemieckiej odczuwano brak nafty, potrzebnej do oświetlenia mieszkań, gdyż nie było jeszcze oświetlenia elektrycznego, a ludność zaopatrywała się w ten produkt właśnie od wojsk sowieckich. Wielu kupców żydowskich z okolicznych miasteczek wyemigrowało na stronę sowiecką ze swoim majątkiem, towarami, co dobrze było przyjmowane po tamtej stronie, gdyż gospodarka sowiecka była zacofana, a w szczególności brakowało towarów lekkiego przemysłu. W rozmowie z żołnierzami sowieckimi ludność dowiadywała się o warunkach bytu w ich ojczyźnie. Nierzadko żołnierze zachwycali się warunkami polskimi, gdy tymczasem w Polsce były one powodem niezadowolenia. Z tego można było wyciągnąć wnioski, jakie było życie pod panowaniem tamtejszego systemu. To wszystko stanowiło dowód obiektywnej prawdy, tak potrzebnej do wyrobienia zdania o warunkach życia tu i tam.

Pewnego dnia zebrali się nas kilkunastu mężczyzn u mego wuja Jana Czeżyka i oczekujemy wydarzeń związanych z przekazywaniem sobie zajętych terenów przygranicznych. Pierwszy raz zobaczyliśmy Niemców

tych z 1939 roku i porównywaliśmy z tymi z 1914 roku. Akurat na bruku przed naszym domem, z którego obserwowaliśmy ulicę, spotkały się patrole niemiecki z sowieckim. Patrol niemiecki na motocyklu z przyczepą nadszedł od strony Sarnak, natomiast patrol sowiecki nadszedł od strony Bugu na dwóch konikach rasy ruskiej, niepozornych, lecz wytrwałych jak ten udręczony naród. Patrole zatrzymały się naprzeciw siebie, żołnierze zaszalutowali wzajemnie, po czym dowódcy tych patroli ucałowali się i rozjechali do swych miejsc zakwaterowania. Patrząc na to wydarzenie, zaczęliśmy oczywiście komentować to teatralne wydarzenie. Mówiliśmy, że *teraz całujecie się, a kiedy weźmiecie się za łby*. Otóż trafnie przepowiedzieliśmy, bo chwycili się za „krawaty” i to w niedługim czasie, bo za półtora roku, w czerwcu 1941 roku.

I tak rozpoczęła się nowa era narodu, jednych pod barbarzyńskim systemem Niemiec hitlerowskich, a innych po drugiej stronie Bugu pod władzą nie mniej podłą, pod tak zwaną „sprawiedliwością” na nieludzkiej ziemi.

Pomimo zamknięcia granicy w październiku jeszcze przez prawie cały okres zimy wielu mieszkańców z terenów zajętych przez Niemców, a przeważnie Żydów, starało się przedostać na stronę sowiecką. Pomimo że tam też istniały niewesołe perspektywy, niemniej można było przeżyć, bo po stronie niemieckiej czekała nieuchronna zagłada. Rozpoczęły się nielegalne przekroczenia granicy przez Bug. Byli to ludzie o różnych poglądach politycznych, którzy starali się umknąć represji, lecz przez granicę przechodziło również wielu spekulantów, szpiegów.

Należy stwierdzić na podstawie obserwacji, że przez cały okres od 1939 do momentu uderzenia Niemców w 1941 roku na ZSRR granica ze strony niemieckiej nie była tak bardzo strzeżona, w przeciwieństwie do strony sowieckiej. Okres ten zasługuje na szczególną uwagę, gdyż na podstawie wydarzeń i obserwacji można było przewidywać, jak potoczą się dalsze losy wojny, rozpoczętej przez Niemców wraz z ZSRR. Strona sowiecka obsadziła granicę przez straż graniczną⁵, zaś

⁵ Autor w oryginale pisze niejasno: *przez straż nazwaną pograniczem „Narwi”*. [red.]

Niemcy strażą “Grenzschutz” – ochrona granicy. Placówka niemiecka mieściła się w Sarnakach na plebanii księdza proboszcza, natomiast nad Bugiem był punkt graniczny w pałacyku Zabuże, gdzie również mieścił się urząd nadleśnictwa. Po stronie sowieckiej służba graniczna mieściła się w Mielniku w dwupiętrowej szkole oraz w Sutnie w majątku Pieńkowskiego, oddalonego około 8 km od Mielnika.

Sytuacja rodzinna nie zmieniła się od roku. Młodszy brat Jan przebywał w niewoli niemieckiej od 1939 roku w Stalagu XI B koło Hannoveru w Niemczech Zachodnich. Brat Kazimierz, z zawodu krawiec, przybywszy z Warszawy, gdzie pracował w swym zawodzie, zamieszkał w domu i zaczął prowadzić warsztat krawiecki w Sarnakach. Najmłodszy brat Józef przebywał w domu i pracował w gospodarstwie. Również ja zatrzymałem się w domu rodzinnym, tak że siła robocza była zabezpieczona na gospodarstwie aż nadto. Oprócz nas była jeszcze matka, która zajmowała się gospodarstwem domowym. Życie społeczno-polityczne na razie nie wykazywało większej aktywności. Wszyscy oczekiwali dalszych wydarzeń.

Okupant w niedługim czasie rozpoczął zaprowadzać swoje porządki. Przystąpiono do eksploatacji lasów. Nałożono kontyngenty: dostawy zbóż, ziemniaków, mleka, mięsa, wełny, skór i innych, w zamian dostarczając na rynek niezbędne towary, a najwięcej wódki, ażeby zatruć społeczeństwo, jak również wydrenować wartościowe towary. Nawozów sztucznych dla rolnictwa nie dostarczano, natomiast dostarczano je na majątki, folwarki, które zostały obsadzone przez Niemców. Stan siły pociągowej był znacznie przetrzebiony na potrzeby wojenne. Należy nadmienić, że lata okupacyjne pod względem urodzaju przedstawiały się wyjątkowo. Aura sprzyjała okupantowi.

Coraz bardziej zaciskała się pętla na szyi narodu. Żydzi zostali ograniczeni w poruszaniu się poza obrębem miejsca zamieszkania. Nałożono na nich obowiązek noszenia na przedramieniu opasek z niebieską gwiazdą Syjonu. Utworzono getta zamknięte. Ponadto zaczęto zamykać z powrotem w więzieniach tych, którzy w momencie wybuchu wojny przebywali w więzieniach i zostali wypuszczeni z chwilą rozpoczęcia wojny.

Do takich należał Jan Nikoniuk, który wyrokiem sądu sanacyjnego został skazany na 5 lat więzienia za działalność komunistyczną⁶. W pewien październikowy dzień przybyło trzech agentów niemieckiej policji kryminalnej i zastali go w domu. Nikoniuk w bardzo przemyślany sposób wyprowadził ich w pole, nie przyznając się do tożsamości. Powiedział, że ten, którego szukają, udał się do lasu na robotę. Kazali prowadzić ich do tego lasu i wskazać wśród robotników tego, którego oni szukają. Zaprowadził ich do lasu i zaryzykował ucieczkę, która mu się udała. Następnie przy pomocy osób z Mierzwic przeprawił się łódką na stronę sowiecką i oddał się w ręce tamtych władz. Sowieci osadzili go w więzieniu jako szpiega i dopiero atak niemiecki na ZSRR w 1941 roku spowodował jego wyjście na wolność. Przeżył na tamtym terenie do wyzwolenia w 1944 roku, gdy Niemcy cofali się pod naporem ofensywy radzieckiej. Przez cały czas prowadził młyn i powodziło mu się nieźle.

W lipcu 1944 roku powrócił do rodziny i rozpoczął politykę, od nowa biorąc czynny udział w organizacji już polskiej władzy w wyniku powstania PKWN⁷, władzy montowanej przez sowietów w wyniku układów zawartych w Jałcie i Poczdamie przez zwycięzców: ZSRR, Anglii, Ameryki. Objął on funkcję wójta w Sarnakach. Przy sprawowaniu tej władzy omal nie uniknął aresztowania przez sowieckie NKWD, no i groziła mu wywózka do ZSRR, tam gdzie przebywały setki tysięcy rodaków. W tym czasie działało już podziemie polityczne zorganizowane przez delegaturę Rządu Londyńskiego na kraj i postępowanie tego wójta wydawało się NKWD podejrzanym.

⁶ Jan Nikoniuk – pochodził z Litewnik, jeden z trzech aktywnych sympatyków komunizmu w przedwojennych Hołowczycach (obok Jana Grzymały i Józefa Gałęckiego). Ich przedwojenna aktywność polegała m.in. na wywieszaniu czerwonych flag bądź transparentów na wysokiej topoli we wsi. W latach 30. XX w. był to wystarczający powód, by zostać skazanym. Na początku 1945 r. Nikoniuk został wójtem gminy Sarnaki. W kolejnych latach wyjechał w okolice Słupska, gdzie miał zerwać z komunizmem, a nawet wybudować kapliczkę-figurkę (relacja Stanisława Typy z Hołowczyc, 17 lutego 2015 r., z arch. R. Zubkowicza).

O wyroku dla Nikoniuka autor w oryginalne w sposób niejasny napisał: *Jan Nikoniuk, który powtórnie został zasądzony wyrokiem sądu sanacyjnego na 5 lat więzienia za działalność komunistyczną*. Być może chodziło o wyrok powtórzony w drugiej instancji. [red.]

⁷ PKWN - Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

Wyprawa za Bug

Wydarzenie z października 1939 roku poruszyło opinię miejscową, a najbardziej dało do myślenia innym tym, którzy odsiadywali więzienie za działalność polityczną: Józefowi Gałęckiemu⁸ i Janowi Grzymała⁹. Podczas rozmowy ze mną Jan Grzymała wyraził chęć przejścia na stronę sowiecką z obawy, że tutaj może go spotkać taki sam los jak opisanego wyżej Nikoniuka. Granica była już formalnie zamknięta. Wcześniej nie mógł zdecydować się, lecz zobaczywszy, czym są Niemcy, zdecydował się na emigrację do sowietów jako do systemu, który uznawał za dobry na podstawie propagandowych opowiadań. Posiadając naturę niepozabawioną ryzyka i nie mając nic do stracenia, gnany ciekawością, jak tam jest w tym przysłowiowym raju, postanowiłem razem z nim zaryzykować udanie się na stronę sowiecką. Osobiście nie byłem zagrożony ze strony niemieckiej, lecz kierowałem się ciekawością, bo widząc niewesołe perspektywy pod zaborem niemieckim, chciałem wziąć udział w wyprawie. Zabrałem z domu kawałek chleba i słoniny i razem z Grzymałą udaliśmy się do wsi Klepaczew nad Bugiem, do Sawickiego. W ciemny październikowy wieczór przewieziono nas łódką

⁸ Józef Gałęcki – jeden z trzech aktywnych sympatyków komunizmu w przedwojennych Hołowczycach (obok Jana Grzymały i Jana Nikoniuka). Członek Komunistycznej Partii Polski, po wojnie członek PPR, w początkach stycznia 1946 r. pełnił funkcję prezesa Powiatowego Związku Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Białej Podlaskiej (IPN Lu, 19/134, s. 10). O liderach ruchu komunistycznego z Hołowczyc wspomina m.in. dlatego, że gdy w 1944 r. powstawały terenowe komórki Polskiej Partii Robotniczej, ta w Hołowczycach liczyła aż 60 członków, najwięcej w całym powiecie bialskim, gdzie wszystkich członków był aż 274 (za: J. W. Nowosielski, *Konspiracja w okolicach Sarnak 1939-1953*, Sulejówkę-Sarnaki 2001, s. 60). [red.]

⁹ Jan Grzymała – jeden z trzech aktywnych sympatyków komunizmu w przedwojennych Hołowczycach. Członek Komunistycznej Partii Polski. W 1928 r. Grzymała kandydował do Sejmu w okręgu nr 25 (powiaty bialski, konstantynowski i włodawski) z listy nr 39 Polsko-Ukraińskiego Zjednoczenia Chłopów i Robotników, o czym świadczy jego nazwisko na plakacie wyborczym (Archiwum Państwowe w Lublinie, zesp. Urząd Województwa Lubelskiego 35/2387, druki i pisma ulotne – mniejszości narodowej ukraińskiej, s. 55). Po wojnie członek PPR. W 1945 r. organizował posterunek milicji w gminie Hołowczyce (za: J. W. Nowosielski, dz. cyt., s. 57). Co najmniej w latach 1945-46 naczelnik więzienia w Białej Podlaskiej (IPN Lu, 19/134, s. 10), a następnie – jak w dalszej części pisze autor – naczelnik więzienia w Łomży, w którym przed wojną odbywał wyrok. [red.]

przez Bug. Zrobiono dwa rajdy, gdyż na małej łodzi nie zmieścilibyśmy się we dwóch. Każdy z nas zapłacił po 20 zł, co było równowartością 100 kg żyta. Wcześniej umówiliśmy się, że gdybyśmy się nie odnaleźli po przeprawie, to każdy w pojedynkę uda się do swych znajomych czy kuzynów w Mielniku, bo takich mieliśmy. Tak się też stało. Była ciemna noc i po przeprawie nie mogliśmy się odnaleźć.

Udałem się do kuzynki przez wertepy i miedze, rozdzielające działki na wąskie uprawy, a było ich niemało. Dobrnąłem wreszcie do drogi prowadzącej do Mielnika. Mijałem mieszkańców powracających z zebrania – były dość często organizowane przez władze sowieckie. Kuzynka była zdziwiona i wystraszona moim przybyciem, gdyż groziła surowa kara za przechowywanie kogoś z zagranicy bez natychmiastowego zameldowania władzy miejscowej. Powiedziałem jej, że przybyłem kupić naftę. Przenocowawszy, udałem się do drugiego kuzyna, Toboty, gdyż tak umówiliśmy się z moim kolegą. Po pewnym czasie ujrzałem przez okno mojego kompana w towarzystwie oficera sowieckiego w czapce ze szpicem i z rewolwerem u boku. Kierowali się do mieszkania, w którym zatrzymałem się. Oficer w randze kapitana był w średnim wieku, wysokiego wzrostu, o czarnych włosach, wydatnym nosie, czarnych dużych oczach, powolnych ruchach. Cała osobowość nacechowana spokojem i rozważą. Z wyglądu podobny do plemion kaukaskich, okazało się, że był Gruzinem. Po przedstawieniu mnie przez mojego kolegę podał mi rękę i we trójkę poszliśmy do miejscowego Komitetu, gdzie przesłuchano nas, w jakim celu przybyliśmy. Odbyla się narada oficera z przedstawicielami miejscowej władzy, którzy znali nas, bo byliśmy przecież z przeciwnej strony Bugu, w dodatku mój kompan legitymował się dowodami jako więzień reżimu sanacyjnego.

Ja skromnie jako ten zwykły, przeciętny, tylko to wszystko obserwowałem i analizowałem w swej głowie. Byłem bardzo ciekawy, co będzie dalej. Po formalnościach oficer kazał udać się z nim na południowy skraj Mielnika, na jego kwaterę. Po drodze opowiadał nam, jak to partia Lenina – Stalina doprowadziła Związek Radziecki do rozkwitu i należy wykazywać czujność przed wrogami z zewnątrz oraz inne opowieści

o ważności służby granicznej w obronie ojczyzny radzieckiej. Rutynowa propaganda. Oficer był z jednostki wojskowej, musiał nas przekazać straży granicznej, która mieściła się w oddalonym kilka kilometrów na południe Sutnie. Usiedliśmy na ławie przed domem, a tymczasem on coś pisał przez dłuższy czas w naszej sprawie. Po sporządzeniu pisma takowe zakopertował, po czym wezwał żołnierza w szpiczastej czapie, oddał mu ten pakiet i przekazał nas do jego dyspozycji. Żołnierz rozkazał nam iść naprzód, sam za nami, nastawiając karabin z bagnetem i tak eskortował nas w kierunku Sutna.

Była to niedziela, napotykalismy po drodze kobiety dążące na nabożeństwo do Mielnika. Przyglądały się nam, a my im, a ja w duchu śmiałem się z mojego kumpla tak zasłużonego dla sprawy postępu społecznego, idącego *wpierod* – naprzód – jako przestępca. Oglądałem te znane mi od urodzenia okolice i przypominały mi się majówki urządzone nad Bugiem, lata młodzieńcze i tym podobne. Każdy zakątek tych okolic dobrze znany, każdy pagórek, lasy i wszystko wokół. A tu naraz wojna podzieliła wszystko, podzieliła kraj i ten Bug stał się granicą między dwoma najeźdźcami, odmiennie wrogimi systemami zbrodniczymi, a tak podobnymi treścią.

Sutno, miejscowość położona na wzniesieniu nad Bugiem, wyglądało okazale w porównaniu z okolicą, którą widzieliśmy po drodze z Mielnika. Wchodzimy na teren mająteczku Pieńkowskiego, który opuścił swą posiadłość, uciekając przed sowietami, co było w pełni uzasadnione i zrozumiałe. W jego domu zakwaterował się dowódca placówki granicznej. Zabudowa podobna do innych tego rodzaju posiadłości folwarcznych, rozplanowana według zasad przyjętych w dawnej Polsce. Dom drewniany obszerny o kilku pokojach, stodoła duża, spichlerz niewielki, w którym przyszło nam spędzić jedną ciekawą noc. Przy wejściu w obręb folwarku napotykamy młodego żołnierza z odznaczeniami na piersiach, co było w ich zwyczaju. Był starszy rangą, może kapral. Zmierzył nas wzrokiem od góry do dołu i zagadnął bez ogródek: *Poczemu przekroczyli granicę Sowieckowo Sojuza? Wy znajecie, czto sieriożnaje prawo graniczne? Oznacza to – dlaczego przekroczyliście granicę Związku Sowieckiego,*

czy wy wiecie, że prawo graniczne jest srogie? A my odpowiadamy, że przychodzimy *do was* dobrowolnie i *nie znamy*, że tak groźne jest prawo graniczne. A ten odpowiada nam: *Teraz zobaczycie*. Eskortujący żołnierz wprowadził nas do wnętrza i zdał oficerowi w randze starszego lejtnanta, który wypytał nas szczegółowo, po czym spisał protokół i kazał odprowadzić do spichlerza, pełniącego funkcję tymczasowego aresztu. Zastaliśmy tam kilkanaście osób płci obojga, więcej mężczyzn, rozlokowanych na słomie. Byli to uciekinierzy Żydzi, spekulanci oraz osoby innego pokroju. W takich okolicznościach unikało się rozmów, a tylko obserwowano się to całe towarzystwo. Wieczorem otrzymaliśmy pożywienie: chleb czarny i ryba solona o długości około pół metra, o wadze półtora kg. Ta ryba była przeznaczona na całe towarzystwo. Do dzielenia przystąpił mój kamrat, gdyż był to człowiek żarłoczny i prościak od urodzenia. Do dzielenia żarcia był pierwszym. Ja nie byłem skłonny korzystać z mojej porcji, ponieważ wiedziałem, że po spożyciu słonej ryby występuje duże pragnienie picia, a po tym mogą nastąpić nieprzyjemne perypetie żołądkowe.

Noc październikowa zimna i szron biały pokrył ziemię i dachy zabudowań. W naszym pomieszczeniu były szczeliny w ścianach między dylami drewnianymi, tak że nie brakowało świeżego powietrza, a ponadto można było wyjść na zewnątrz. Posterunek czuwał. W przeciwnym kącie pewna młoda para nie powstrzymała się od przycisków i całusów. Partner podśpiewywał od czasu do czasu refren: *ona chłopców nie lubiła, tylko Janka i Gawryła*. Ta para to podobno byli Żydzi z Łodzi. Położyłem się na słomie, zdjąłem kurtę i okryłem się nią. Było chłodno i niewygodnie, lecz była to fraszka w porównaniu z tym, co przeżyłem niedawno w twierdzy brzeskiej. Mój kolega emigrant, ten zasłużony bohater polityczny, zaczął narzekać, że jeszcze nie miał tak źle. Pomyślałem sobie głośno, że *jakie ty miałeś przeżycia, że to, co tu zaszło, to takie znowuż okropne?* Pomyślałem, że *ty chłopie nie zaglądałeś śmierci w oczy, a może to nastąpić*, no nie pomyliłem się. Minęła „przyjemna” noc i nastał ranek, a z tym pytanie, co dalej. W rozmowie zastanawialiśmy się obaj, czy aby z powrotem nie przerzucą nas na stronę niemiecką. Mój kompan był

pewny, że na pewno pozostanie na dobrobyt w sowieckim raju, ponieważ jest człowiekiem zasłużonym przez swe przejścia i prześladowania za rządów sanacyjnych. Być może, że ja będę z powrotem przywieziony na brzeg niemiecki, czyli do domu. Pomyślałem sobie, że nie będę się smucić z takiego obrotu rzeczy, bo na podstawie pierwszych wrażeń oraz spotkania ze wspomnianymi osobami oceniłem dostаточно ten porządek. Około godziny dziewiątej przybył oficer, dowódca placówki granicznej, po czym wyznaczył nas obu oraz jeszcze jednego z całego towarzystwa i kazał nas odprowadzić nad Bug do łodzi rybackiej. Mój kumpel to chyba był rozczarowany. Żołnierz sowiecki załadował nas do łodzi zalanej w części wodą i przewiózł na przeciwny brzeg, na stronę niemiecką. Bug był spokojny. Wylądowaliśmy w okolicy wsi Borsuki. Nasza eskapada w nieznane zakończyła się bez specjalnych wydarzeń, aczkolwiek takowe mogły mieć miejsce. Ale te doświadczenia dały pewnego rodzaju naukę i otworzyły nam szerzej oczy.

W domu nikt nie wiedział o tej wycieczce do Kraju Rad. Żałowałem, że los nie dał mi poznać tak reklamowanego ustroju. Była to ryzykowna decyzja, jak okazało się później, lecz może przede wszystkim mojemu kamratowi byłoby to lepsze aniżeli pozostanie pod Niemcami. Sądzone mu było być obarczonym ciężkim przeżyciem podczas okupacji niemieckiej i ledwo uszedł z życiem. Ja natomiast przez swą wrodzoną ciekawość zdobyłem jeszcze jeden fakultet życiowy. Doświadczenia nigdy za wiele. We wsi też nikt nie wiedział o naszej wyprawie, co wyszło na dobre w przyszłości.

Pod niemiecką okupacją

Zima 1939-1940 była dość surowa, tak jak i następne do roku 1944. Koniec 1939 roku był okresem przekraczania granicy na Bugu, przeważnie przez Żydów z centralnych rejonów Polski, wszystkich tych, którzy z pewnych poczynań ociągali się z emigracją, lecz przekonawszy się na własne oczy, czym są Niemcy, ostatecznie decydowali się na ucieczki. Do połowy lutego 1940 roku prowadzona była przez Niemców

tak zwana legalna repatriacja z terenów przygranicznych do ZSRR. Taki punkt został otwarty w Białej Podlaskiej.

W godzinach rannych formowano Żydów w szyk trójkowy z łopatami i kilofami i całą kolumnę pędzono do odgarniania śniegu na drogach. Maszerowali, śpiewając w takt następującymi słowami, które zapamiętałem: *my parszywe Żydy, nikt nas nienawidzi, przyszedł Hitler złoty, nauczył nas roboty*. Miejscowe getta żydowskie przetrwały przez zimę i na wiosnę około maja uległy likwidacji – zagładzie w obozie Treblinka oraz innych. Mała część Żydów ratowała się ucieczką do lasów, zaś reszta bez oporu została wyniszczona. W tej sytuacji nie było innych możliwości, ażeby pomóc w ratunku przed zagładą.

Nasz rejon należał do Generalnej Guberni, zaś ziemie zachodnie wcielono do III Rzeszy. Z każdym dniem okupant coraz więcej dręczył ludność. Rozpoczął swe porządki, wprowadzając drakońskie zarządzenia, a przede wszystkim wyznaczając duże kontyngenty na zboże, żywiec oraz różnego rodzaju roboty, jak wyrąb lasu. Nade wszystko stosowano wszelkiego rodzaju łapanek na roboty do Niemiec. W wyniku tej przymusowej wywózki na roboty brat Józef został wywieziony w okolice Drezna, gdzie pracował około dwóch lat. Zwolniony na urlop, pozostał już w domu i uczył się za krawca u starszego brata Kazimierza.

Zabrałem się do pracy w gospodarstwie wraz z bratem Józefem i z matką jako gospodynią domu, która sprawowała normalne obowiązki. Gospodarstwo pozbawione było siły pociągowej, należało jednak uprawiać ziemię, ażeby móc egzystować. Musiałem zapracować na wynajęcie konia, ażeby chociaż jakkolwiek zaorać pole. Trzeba było ciężko pracować przy tarciu drzewa przez trzy dni, ażeby dostać konia do pracy na jeden dzień. Przemęczyłem się tak przez lato roku 1940. Późną jesienią, zebrawszy pieniądze za sprzedane zboże, kupiłem w Łosicach na jarmarku konia, białego na nieszczęście i przetrzymałem go przez zimę, odżywiłem, będąc pewnym, że jestem niezależnym i swobodnie będę mógł uprawiać pole, a tym samym lepiej egzystować. Wszelkie plany przeważnie układają się odwrotnie, gdyż życie jest przekorne, co i w moim przypadku miało miejsce.

Obserwowaliśmy uważnie zachowanie się Niemców, jak również i stronę sowiecką. Należy stwierdzić, że ludność w swej masie odnosiła się z pewną sympatią do strony sowieckiej, abstrahując od jej ustroju. Było to oczywiste ze względu na zorganizowane barbarzyństwo niemieckie, czego nie dało się na razie słyszeć o stronie sowieckiej. Już wczesną wiosną 1941 roku zauważono nasilenie wojsk w rejonie przygranicznym, co wcześniej zauważono i po stronie sowieckiej. Natomiast w pierwszym półroczu tegoż roku siły zbrojne wycofano od granicy dalej na wschód.

Tragedia rodziny Mojżynów

Na roboty do Niemiec został wywieziony mój brat najmłodszy oraz syn sąsiada Stanisław Gałęcki i Teofila Czeżyk. Wszyscy znaleźli się w Saksonii nad Nysą Łużycką. Gałęcki był osobnikiem silnym fizycznie i odważnym. W Niemczech niełatwo mu było przyzwyczaić się do porządków i zakazów niemieckich, stosowanych względem Polaków pobranych na roboty przymusowe. Popadł w konflikt z miejscową władzą, z policją. Aresztowany, pobił żandarma i zbiegł, wróciwszy bezpiecznie do domu. Do niepowodzenia potrzeba mu było na nieszczęście związać się z dziewczyną, również wywiezioną na roboty w to samo miejsce. Pochodziła z powiatu włodawskiego. Dziewczyna została zwolniona z robót, ponieważ była w zaawansowanej ciąży. Oczywiście, przyjechała do swojego partnera, gdzie podzieliła razem z nim tragiczny los, to jest śmierć całej rodziny poprzez rozstrzelanie przez Niemców.

Działo się to jesienią 1940 roku. W dzień pracy w porze popołudniowej, gdy słońce jesienne przypominało piękno minionego lata, zauważyłem bryczkę zaprzęgniętą we dwa konie. To było gestapo z Platerowa. Pojechali do sołtysa Jana Kasperuka mieszkającego niedaleko, zaledwie w czwartym domu od moich zabudowań. W tym czasie Gałęcki rąbał drzewo przy swej stodole koło mojego gospodarstwa. Ogarnęło mnie złe przeczucie. Po pewnym czasie gestapowcy wracając, zatrzymali się przed domem Gałęckiego. Jeden z nich, gruby Niemiec nazwiskiem Szliseman, skierował się do robiącego drzewo, a ten rzucił się do ucieczki. Gestapowiec

zaczął strzelać z rewolweru, lecz spudłował, gdy tymczasem ścigany zdążył uciec. Schwytywanie winowajcy nie udało się, sprawa pozornie ucichła. Po upływie paru miesięcy, w niedzielę przed świętami Bożego Narodzenia, w godzinach przedpołudniowych gestapowcy powtórnie przyjechali, wiedząc już dokładnie, gdzie jest mieszkanie poszukiwanego. On znowuż uciekł przez okno i przesadziwszy płoty, poprzez zabudowania sąsiednie, poza stodołami, w śniegu po kolana, skierował się do pobliskiego lasu. Gestapowcy strzelali z karabinów ręcznych, lecz nie trafili, więc i tym razem udało mu się zbiec cało. Po tym zajściu gestapowcy zabrali matkę jego oraz brata przyrodniego, młodego chłopca i osadzili w areszcie w Sarnakach, traktując jako zakładników. Zażądali, ażeby winowajca zgłosił się dobrowolnie, czego on oczywiście nie uczynił. Po dziesięciu dniach zwolniono zatrzymanych.

Zaczęliśmy przewidywać złe następstwa nie tylko dla rodziny, lecz i dla nas najbliższych sąsiadów, co nie było pomyłką. Organizacje polityczne konspiracyjne zainteresowały się osobą ściganego i zamierzano go skierować do pewnych prac w organizacji, oczywiście z dala od miejsca zamieszkania. Los chciał inaczej. Być może, że rolę odegrał tu fakt związania się z dziewczyną, która utknęła właśnie tu w jego rodzinie. Od momentu drugiego najazdu gestapowców upłynęło kilka miesięcy. Gestapo stwarzało pozory nieinteresowania się jakoby sprawą uchwycenia winowajcy. Marzec tegoż roku był krytycznym w tej sprawie. Pod koniec drugiej dekady marca, około godziny 23.00, gestapowcy z Platerowa dokonali trzeciego najazdu na rodzinę Mojżynów. Gałęcki był pasierbem ojczyma Mojżyna. Był piękny marcowy cichy wieczór i noc oświetlona pełnią księżyca, zwiastująca nadejście wiosny, która w kwietniu rozpoczęła się w pełni, zwiastując urodzajne lato. Cała nasza rodzina spała w najlepsze, jak również sąsiedzi, oprócz Jana Hackiewicza, którego dom stykał się prawie z chałupą Mojżynów. Traf chciał, że Hackiewicz i jego żona nie spali jeszcze i przy zgaszonej lampie mieli możliwość obserwować przez okno całe wydarzenie. Trzej gestapowcy pod wodzą tego Szlisemana przyjechali samochodem do wsi. Pozostawili swój pojazd w odległości około kilometra od domu poszukiwanego, potem pieszo, uzbrojeni w broń

automatyczną, przybyli pod dom Mojżyna. Jeden gestapowiec zaświeceł lampką elektryczną przez okno i zauważywszy poszukiwanego winowajcę, oddał serię z automatu do mieszkania. Gałęcki postrzelony wyskoczył z izby i starał ukryć się na strychu, lecz po pewnym czasie postanowił uciec z domu, wyłamując deski, które stanowiły ścianę chałupy. W tym momencie gestapowiec serią z automatu zastrzelił go. Śmiertelnie ranny Gałęcki wydał głośny jęk, który był słyszany na wsi. Jego wujek Józef Gałęcki wraz z innymi, gdy zauważyli nadjeżdżający samochód z gestapowcami, czuwali, co dalej nastąpi. Po zastrzeleniu Gałęckiego dwaj gestapowcy weszli do mieszkania i głośno krzyczeli nad jego matką, widocznie dopytywali się, gdzie jest poszukiwany. Matka pewnie myślała, że i tym razem udało się synowi uciec i być może tłumaczyła się jak poprzednio, że nic o nim nie wie. Wkrótce jeden z gestapowców wybiegł na drogę przed dom do stojącego dowódcy i coś mu relacjonował, po czym zawrócił do domu. Rozległy się strzały, zastrzelono resztę rodziny: ojczyma Mojżyna, jego żonę matkę zabitego i ciężarną narzeczoną. Następnie gestapowcy udali się do sołtysa z żądaniem okazania spisu ludności i stwierdzenia, kto został zabity. W tym czasie sołtys nie posiadał spisu ludności, ponieważ ten nie był jeszcze zakończony i znajdował się u Józefa Tymoszuka zamieszkałego na wsi około kilometra dalej. Spis ten sporządzaliśmy razem. Po sprawdzeniu i skreśleniu zabitych z rejestru Niemcy nakazali, ażeby natychmiast rano wywieźć zabitych na cmentarz i pogrzebać bez żadnych ceremonii i rozgłosu¹⁰.

Dokonując spisu ludności stałem na stanowisku, ażeby tego Stanisława Gałęckiego nie umieszczać w spisie ludności, gdyż on formalnie został wywieziony do Niemiec na roboty. Sołtys natomiast kazał go umieścić w spisie, gdyż ten faktycznie był w domu rodzinnym, tym bardziej, że już dwa razy gestapowcy chwyтали go. Bardzo słusznie sołtys postąpił, gdyż w przeciwnym razie mogłyby nastąpić przykre następstwa tak dla sołtysa, jak i dla nas sporządzających ten spis.

¹⁰ Cały przebieg wypadków odtworzyliśmy na podstawie uwag rodziny Hackiewiczów, która w tym czasie nie spała i niepostrzeżenie obserwowała to tragiczne zajście przez okno przy blasku księżyca.

Po tym tragicznym wypadku dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów odnośnie przygotowywanego wypadu gestapowców. Tego tragicznego dnia gestapowcy pili wódkę w knajpie Sielickiego w Platerowie i zamierzali wystrzelać kilka rodzin w sąsiedztwie Mojżynów, gdyby nie udało im się zastać poszukiwanego. Nasza rodzina przede wszystkim podzieliłaby ten los. W czasie najazdu gestapowców spałem przy oknie z żoną i małym synkiem Januszem. Zostałem obudzony trzaskiem broni automatycznej gestapowców, po czym rozpoczął się ruch i zamieszanie wśród sąsiadów.

Napaść Niemców na ZSRR

W marcu 1941 roku Niemcy rozpoczęli budowę prowizorycznych dróg w stronę Bugu. W marcu, gdy odwoziłem ziemniaki do Platerowa, widzę Niemców z kompanii roboczych saperskich rzucających kamienie w gliniastą ziemię, tworzących w ten sposób utwardzoną nawierzchnię dla przejazdów samochodowych. W kwietniu na stacji w Platerowie wyładowała się artyleria i zajęła stanowiska nad Bugiem. Ludność okoliczna, widząc to nasilenie siłami zbrojnymi, zaczęła oczywiście interesować się bliżej, jakie to też wydarzenia nastąpią. Z ciekawości zapytywali Niemców, ci odpowiadali, nawet do rzeczy, że w wyniku porozumienia z ZSRR ten pozwoli na przetransportowanie przez swe terytorium ich wojsk, które uderzą na Anglię od strony Bliskiego Wschodu. Tym twierdzeniom nie chciano wierzyć, aczkolwiek nie było ono pozbawione racji. W końcu maja w naszej wsi zakwaterowało się wojsko. Były to oddziały saperskie, po czym przybyła artyleria. W naszej chałupie zakwaterował się kapral artylerii. Z zawodu konfident policji w Berlinie. Trzymał się na dystans i sztywno. Oddałem mu pokój z podłogą, a ja z rodziną gnieździł się w kuchni, izdebce oraz w stodole, spanie na sianie. Było piękne lato.

W czerwcu 1941 roku zauważyliśmy ruchy wojsk nad granicą wzdłuż Bugu. W czerwcu przez dwa tygodnie byłem zaangażowany z furmanką konną do wożenia jodeł ściętych koło Konstantynowa na ułożenie drewnianej nawierzchni na drodze od strony Horoszek

w kierunku Bugu. Ponieważ w tej okolicy istnieją gleby piaszczyste, droga ta została wyłożona sosnowymi i jodłowymi kłocami. Po niej artyleria niemiecka była kierowana w stronę Bugu na ZSRR. Miało to miejsce we wsi Zakalinki leżącej przy drodze prowadzącej w kierunku na Konstantynów i Janów Podlaski. Byliśmy włączeni do jednostek saper-skich. Kwaterowaliśmy w stodołach wraz z końmi i zaprzęgiem, a rano od godziny siódmej do szesnastej woziliśmy drzewo, które Niemcy ścinali. Kompania składała się z żołnierzy austriackich, zaś dowódcą był oficer Niemiec. Byli to sympatyczni żołnierze, stale gwiżdżący walce straus-sowskie. Wyżywienie mieliśmy z kotła żołnierskiego. Wyżywienie dobre. W rozmowie z żołnierzami nie było możliwe dowiedzieć się szczegółów odnośnie dalszych planów wojska, lecz wszystko wskazywało na to, że coś nadchodzi, że nastąpią jakieś ważne wydarzenia i to w niedługim czasie. Pracowaliśmy również i w niedzielę. Pewnej niedzieli woziliśmy piach na ułożoną drewnianą nawierzchnię. Artylerzyści z sąsiedniej wsi Bonin szli na spacer w kierunku Konstantynowa i gapili się na naszą robotę. Jeden z nich, młody blondas, wychowanek hitlerowskich idei, zagadnął Austriaka nakładającego piasek na furę kolegi Karwackiego, dlaczego Polak nie nakłada i podskoczył do Karwackiego, ażeby ten nakładał. Karwacki pokazał mu bat i konia, co oznaczało, że to jest jego zadanie jako woźnicy. Myśleliśmy, że Niemiec uderzy Karwackiego, lecz skończyło się tylko na wymianie zdań po niemiecku i po polsku (ze strony Karwackiego). Karwacki wskazał Niemcowi w kierunku za Bug i powiedział, że *będziesz się mądrzyć, gdy ciebie pogonią tam za Bug*. Austriacy byli zgorszeni tym zajściem. Po kilku dniach postanowiłem uciec do domu, oddalonego zaledwie o kilka kilometrów. Nie chciałem, ażeby z oddziałami wojska maszerować w ogień walki, co miało nastąpić. Obawa okazała się zbyt duża, gdyż wszystkich cywilnych woźniców zwolniono przed uderzeniem na ZSRR.

W domu zastałem więcej żołnierzy, kwaterowali w stodole na klepisku. Była to drużyna piechoty, grzeczni chłopcy, mniej butni lub wcale. W piękne czerwcowe popołudnie wyjechałem w pole w kierunku lasu, ażeby zasiać grykę. Zobaczyłem, że mój las został ścięty, ponieważ

zasłaniał przeciwny brzeg rzeki i mógł utrudniać ostrzał ustawionej u podnóża wzniesienia artylerii, która wyznaczała sobie cele w stronę Bugu – ZSRR. Niemcy opalali się przy wykopanych rowach przeciwlotniczych. Zatrzymałem się, nie wiedząc, co robić i zapytałem Niemca, czy mogę zasiać grykę tuż obok ich stanowiska artyleryjskiego. Odpowiedzieli, że mogę pracować. Po wykonaniu roboty zbieram się do powrotu, ale ośmieliłem się zagadnąć Niemca, ażeby pokazał mi armatę, jak się z niej strzela, ponieważ ja nie widziałem z bliska tej broni. Pokazał mi i objaśnił szczegóły tej rażenia. Nieznacznie odczytałem fabrykę, w której została wyprodukowana. Była to produkcja fabryki Granewskiej Renault. Przypomniałem sobie moment, jak swego czasu bojec sowiecki w 1939 roku nie pozwolił patrzeć na swoje działka piechoty w Mielniku nad Bugiem. Tymczasem Niemiec był pewny zwycięstwa i szpiegowskiego spenetrowania terenu przeciwnika.

Gdy powróciłem do domu, zacząłem kopać prowizoryczny schron, co również czynili sąsiedzi. Niemcy zainteresowali się naszą robotą i początkowo śmiali się, lecz również zaczęli kopać takie same rowy przeciwlotnicze. Kopanie tych rowów okazało się zbyteczne, ponieważ ani jeden pocisk nie spadł do nas ze strony sowieckiej. Aczkolwiek Niemcy byli pewni, że ich błyskawiczny atak przyniesie pożądany skutek, niemniej jednak powątpiewali, co może ich spotkać na dłuższą metę. Zbliżał się dzień uderzenia, dzień 21 czerwca 1941 roku¹¹. Z początkiem drugiej dekady czerwca w zasadzie drogi dojazdowe w kierunku Bugu zostały prowizorycznie zakończone do takiego stopnia, ażeby cięższe pojazdy i artyleria mogły poruszać się swobodnie. Zaznaczył się ożywiony ruch samochodów sztabowych czarnych, dopinających wszystkie „guziki” przygotowywanego uderzenia. Piękny las nadbużański rozbrzmiewał echem pojazdów ciężarowych, dowożących amunicję oraz inne zaopatrzenie na pierwszą linię frontu. Widać było wyraźnie, że plany uderzenia zostały dokładnie opracowane, z iście niemiecką dokładnością. Kompanie saperskie ustąpiły miejsca oddziałom bojowym.

¹¹ W rzeczywistości Niemcy uderzyli o świcie 22 czerwca. Jako oficjalna godzina ataku jest podawana 3:15. [red.]

A co działo się po stronie sowieckiej? Panowała cisza i spokój, tylko straż graniczna pełniła swe obowiązki. Dało się zauważyć, jak pogranicznik bojec z karabinem w ręku odpoczywa w cieniu wierzby w skwarny dzień czerwcowy. W sobotę po południu mój lokator, kapral artylerii, stał się mniej sztywny w obliczu czekającego ataku. Przyniósł butelkę koniaku, przysланą mu z Francji przez brata, który brał udział w kampanii 1940 roku. Zaczęliśmy pić ten trunek najpierw po niemiecku, pod papierosa, lecz ja zaproponowałem, ażeby pić po polsku, zagryzając kielbasą własnej produkcji, co mu przypadło do gustu. Po wysączeniu koniaku postawiłem butelkę tak zwanego ajerkoniaku własnego wyrobu. Był to spirytus gorzelany rozrobiony z żółtkami jajek. Napój upijający, lecz niezły, a może i lepszy do tego francuskiego. I tak gaworzyliśmy o tym, co ma nastąpić. Niemiec głosił swoje zasady wpajane przez ich propagandę. Ja natomiast opowiadałem mu wspomnienia mego ojca z wojny 1914-1918 i wypływające z tego wnioski, że losy wojny są zmienne i trudno jest przewidzieć wynik ostateczny. Zauważyłem, że Niemiec brał do serca nasze wywody. I tak rozeszliśmy się, a był to ostatni dzień jego kwatery w naszym domu.

Tego dnia w godzinach południowych ze stacji w Platerowie odjechały transporty z węglem do ZSRR, a z ZSRR odebrano transport pszenicy. Handel odbywał się normalnie, jak gdyby nic się nie działo. Około godziny 22.00 żołnierze kwaterujący w stodole zostali wyprowadzeni na zbiórkę, na której ich szef sierżant zapoznał z planem dowództwa, że już nad ranem uderzają na ZSRR, że nie należy bać się, a przeciwnika nie brać żywcem do niewoli. Po tej odprawie żołnierze otrzymali każdy butelkę wódki na dodanie animuszu, na odwagę. Jeden z żołnierzy rozbił swą butelkę o kamień, przyniósł do domu swoją zapasową bieliznę i prosił jajek. Był bardzo poruszony tym, że na odprawie powiedziano, ażeby nie brać do niewoli żywcem, lecz zabijać.

Była sobota, więc gestapowcy z Platerowa zostali zaproszeni na zabawę do sowietów na stację kolejową Siemiatycze po prawobrzeżnej stronie Bugu, to jest po stronie sowieckiej. Gestapowcy znając godzinę uderzenia, a była to godzina trzecia nad ranem, opuścili zabawę przed ustalonym terminem i w drodze powrotnej do Platerowa zasztyletowali

wartownika radzieckiego, który pełnił wartę na moście po swej stronie. Niemiec z przeciwnej strony zajął jego miejsce i w ten sposób most kolejowy na Bugu został opanowany na kilkanaście minut przed rozpoczęciem ataku.

W nocy Niemcy z mojej stodoły wymaszerowali w kierunku Bugu na pozycje wyjściowe do ataku. O północy saperzy przerzucili most pontonowy przez Bug na wysokości Trojanu¹², mając tam miejsce bardzo dogodne do takiego przedsięwzięcia – polanę osłoniętą lasem nad zakrętami Bugu. Po moście tym artyleria przeprawiła się za wzgórzem, po północnej stronie Mielnika, już po stronie sowieckiej. W Mielniku znajdowała się placówka graniczna w dwupiętrowym budynku murowanej szkoły. Na sygnał niemieckich rakiet, oznaczający czas uderzenia, artyleria swym ogniem zrobiła masakrę oddziału straży granicznej. Te wszystkie dane pochodzą z relacji świadków, to jest mieszkańców Mielnika, jak również od polskich woźniców będących na podwodach konnych. O tych wydarzeniach opowiedział mi również polski kolejarz spod Kielc, który był zarekwirowany z paroma końmi przy oddziale przekraczającym ten most i udało mu się uciec dopiero w 1941 roku spod Kijowa. Po przekroczeniu Bugu nocował u mnie w domu i opowiadał szczegółowo o swej obecności w kampanii od czerwca do października.

I tak rozpoczął się nowy jakoby rozdział życia pod okupacją niemiecką, który zaznaczył się pewnymi wzmożonymi posunięciami na arenie międzynarodowej. Obudziły się nadzieje, że musi nastąpić coś, co przyspieszy koniec wojny, lecz trwała ona jeszcze kilka lat, do połowy 1945 roku. Zorganizowany opór podziemia przeciw okupantowi dawał nadzieję na wyciągnięcie istotnych korzyści politycznych, licząc na wykrwawienie się

¹² Jest mało prawdopodobne, by most powstał o północy, przed atakiem na ZSRR. Niemniej niemieckie oddziały saperskie były bardzo dobrze przygotowane i bardzo sprawne. W Zabuzu, w sąsiedztwie przeprawy promowej, do południa 23 czerwca, w niecałe dwie doby, powstały obok siebie trzy kolejne przeprawy mostowe: pierwsza na łodziach dla piechoty, kolejna pontonowa, po której przejechały m.in. ciężarówki i pod koniec dnia niemal gotowy był drewniany most na palach. Fotografie mostów wykonywane przez żołnierzy niemieckich zaprezentował Tomasz Nasiłowski w t. II „Rocznika Ziemi Sarnackiej”, s. 133-144. [red.]

obu walczących stron, po czym miało nastąpić uchwycenie władzy, lecz rachuby okazały się płonne.

Na stacji w Platerowie

W czerwcu 1943 roku podjąłem pracę magazyniera w Platerowie odległym około 7 kilometrów od miejsca mego zamieszkania, w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, której założycielem między innymi był mój ojciec. Spółdzielnia ta została założona po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Mieściła się w pomieszczeniach byłego folwarku przy stacji kolejowej Platerów. Równocześnie prowadziłem gospodarstwo rolne rodzinne, na którym główną rolę spełniała moja żona wraz z matką przy pomocy teścia, który posiadał siłę roboczą w postaci dwóch koni. Przez cały tydzień miałem sporo zajęć w magazynie, a w niedzielę odwiedzałem rodzinę.

Środowisko w Platerowie w tym czasie było dość zróżnicowane i ciekawe. W obrębie zabudowań spółdzielni znajdował się dom mieszkalny, w którym mieścił się posterunek Gestapo¹³. W tym czasie mieszkało tam trzech gestapowców wraz z rodzinami. Ich praca polegała na wykrywaniu i unieszkodliwianiu organizowanego przez Polaków podziemia polityczno-militarnego. Na stacji kolejowej oprócz obsługi kolejarzy danego odcinka kolei mieścił się urząd celny, Zollamt. W tym czasie na kolei panował ożywiony ruch wojenny. Transporty jadące na wschodni front oraz pociągi zaopatrzeniowe, jak również osobowe, tak zwane urlaubengi, czyli urlopowe, przewożące rannych żołnierzy w głąb Niemiec.

Wydarzeniem godnym uwagi w czasie trwania mojej pracy w Platerowie należy uznać pomoc ludziom wysiedlonym przez Niemców z powiatu Zamość, którzy zamieszkiwali w barakach, a część z nich była zatrudniona w naszej spółdzielni. Spółdzielnia starała się im pomagać w przetrwaniu

¹³ Gestapo w skrócie oznacza z niemieckiego – Geheim Schutz Polizei – Policja Bezpieczeństwa.

wojny. Był to okres czarnej okupacji, ze wszystkimi jej zasadami i ograniczeniami życia okupowanej ludności.

Zaistniała potrzeba tworzenia funduszy, ażeby stworzyć warunki przetrwania dla ludności. Prowadzono sklepy spożywcze o charakterze zaopatrzenia wojennego i rolnictwa w najniezbędniejsze towary. Prowadzono również magazyn towarów masowych, jak węgiel, wapno, cement, nawozy sztuczne w ograniczonej ilości, nafta na zaopatrzenie reglamentowe, skup zboża (były to raczej ściągane kontyngenty), trochę narzędzi rolniczych itp. Dostarczane przez rolników zboże, przeważnie żyto, wysyłano wagonami według rozdzielników do centralnych magazynów na terenie Niemiec. W trakcie tych wysyłek dokonywano fałszywego ważenia wagonów, a uzyskane nadwyżki pozostawały w magazynie do dyspozycji kierownictwa. Były one rozdysponowywane między innymi na potrzeby pracowników i innych zatrudnionych robotników, jak też tych wysiedleńców. Stawki wynagrodzenia były bardzo małe, nie wystarczały nawet na skromne wyżywienie, nie mówiąc o innych potrzebach dnia codziennego. Na potwierdzenie powyższego podaję fakt, który przyczynił się do nielegalnego rozładunku cysterny nafty przez naszą spółdzielnię, co z kolei przyczyniło się do nasycenia miejscowej ludności w ten tak potrzebny artykuł w tym czasie.

W porozumieniu z polskimi kolejarzami ze stacji kolejowej przetransportowano cysternę z ciekącą naftą, z już celowo uszkodzonymi zaworami. Spółdzielnia prowadziła sprzedaż reglamentową tego artykułu i posiadaliśmy zbiornik oraz potrzebny sprzęt do rozładunku. Okazało się, że nasz sprzęt nie pasował, gdyż cysterna była konstrukcji rosyjskiej. Otworzyliśmy klapę na wierzchu cysterny i wiadrami umocowanymi na kijach, w tak prymitywny sposób zaczęliśmy rozładunek. Okoliczna ludność, zobaczywszy ciekącą naftę, nabierała ją wiadrami do swego użytku. W tym czasie przejeżdżał transport Niemców na front wschodni. Zauważywszy to, zainteresowali się i zameldowali do miejscowego Gestapo. Rozpoczęło się dochodzenie i w rezultacie kolejarz, wagowy Sipko, został zamknięty i przez dziesięć dni przesiedział w areszcie. W końcu, po wyjaśnieniu całej sprawy, został uwolniony, lecz strachu

było co niemiara, gdyż badany był również kierownik Hauer i ja również jako magazynier. Sprawę udało się wspólnie zakręcić i nikt więcej nie ucierpiał, a nafta pozostała, tak pożądany produkt.

Z frontu zaczęły nadchodzić wieści niepokojące dla Niemców, a dodawały otuchy dla ludności. Największym wydarzeniem w tym czasie była klęska Niemców pod Stalingradem, gdzie trzystutysięczna armia niemiecka poniosła druzgocącą porażkę. Front zaczął się łamać. Coraz więcej pociągów z rannymi żołnierzami, oznaczonych znakami czerwonego krzyża, zdążało na zachód do swego kraju. W międzyczasie powstał front zachodni, rozpoczęty przez wylądowanie sił alianckich w Normandii na terenie Francji. Niemcy spuścili z tonu. Stali się mniej butni, lecz jeszcze nie załamywali się. Niemcy z ochrony kolei podczas rozmów mówili, że gdy Ameryka przystąpiła do wojny, to losy wojny układają się na niekorzyść Niemiec. Czas klęski Niemiec hitlerowskich zbliżał się nieuchronnie, a przede wszystkim związane z tym wyzwolenie terenów nadbużańskich, przez nas zamieszkałych. To było marzeniem miejscowej ludności. Informacje o sytuacji na froncie, podawane przez komunikaty radiowe, przeważnie z Londynu oraz przez ulotki AK i tym podobne, donosiły o sytuacji Niemców, o ich porażkach i klęskach. Podziemie polskie mobilizowało siły i posiadane środki w dyspozycji do działania w okresie klęski niemieckiej, przedstawiając swą orientację z obliczonej na wykrwawienie się obu stron walczących na orientację ewentualnego zwycięstwa ZSRR. Rachuby jednakże zawiodły.

Front coraz bliżej

Miesiące czerwiec i lipiec 1944 roku były bogate w wydarzenia. Widocznym było na każdym kroku, że Niemcy znajdują się już na schyłku swego panowania w Europie, a front zbliża się do naszych stron. Zaczęły się naloty ze strony lotnictwa ZSRR, przeważnie nocne, na miasta takie jak Lublin, Brześć, Biała Podlaska. W ludzi wstąpiła nadzieja, że zmiana jest bliska, że Niemcy zostaną wypędzeni na zachód. Zbliżanie się frontu można było poznać po transportach kolejowych, jadących z rannymi

żołnierzami na platformach towarowych wagonów, ocienionych gałęziami z liśćmi przed palącym słońcem. Natarcie wojsk radzieckich następowało szybko, gdyż sygnalizowały o tym huk armat zbliżające się coraz bliżej. Wokół na horyzoncie łuny pożarów. W pewną noc lipcową zatrzymała się na postój we wsi niemiecka kolumna samochodowa, maskując się pod drzewami okalającymi zabudowania gospodarskie. Krótco po ich rozlokowaniu się nadleciały samoloty radzieckie i zawiesiły lampy na spadochronach, oświetlając teren. Zrzuciły kilka bomb, które nie wyrządziły szkód w naszych zabudowaniach. Jedna z nich spadła koło stodoły, zagłębiwszy się w całości w ziemię, nie eksplodując. Jeszcze tam tkwi do dzisiaj. Po tym nalocie Niemcy natychmiast odjechali dalej. Jeszcze przez kilka dni kolumny niemieckich wojsk wycofywały się. Przetrawanie tego ustępowania Niemców było ciężkim przeżyciem dla tutejszej ludności i okolicznych wsi. Nasza wieś Hołowczyce ocalała, gdy tymczasem wieś Bonin została spalona, ponieważ chłop zamknął Niemca w piwnicy, ten zaczął krzyczeć, został uwolniony przez kolegów i dlatego ta wieś została spalona.

Jakie to wszystko wywoływało ciężkie przeżycie, może świadczyć następujący przykład. Wraz z moim sąsiadem Osypiukiem utrzymywaliśmy koleżeństwo, jak to bywa w sąsiedztwie. On posiadał około 10 uli z pszczołami, a ja miałem zapas spirytusu gorzelnego nierektyfikowanego. Połączenie spirytusu z miodem stanowi napój upijający. Obaj od czasu do czasu uprzyjemnialiśmy tym trunkiem życie. W ostatni wieczór, z soboty na niedzielę, której to nocy Niemcy wycofali się, wzięliśmy obaj do rąk szklanki z tym napojem, ażeby wypić na uspokojenie przed strachem i co się okazało? Że nie mogliśmy przełknąć ani kropli ze strachu i przeżyć nerwowych. Położyliśmy się przy drodze w krzakach obok naszych chałup i z niecierpliwością oczekiwaliśmy na dalszy bieg wydarzeń, a w szczególności na ewentualne pojawienie się pożaru, który na naszych oczach trawił wieś Bonin. W pewnym momencie usłyszeliśmy kroki maszerujących niemieckich żołnierzy i brzęk łopatek żołnierskich. Łopatki te są nieodłącznym wyposażeniem żołnierza w polu walki. Przeczekaliśmy tak całą noc lipcową, a rano około godziny ósmej ujrzeliśmy pierwszych żołnierzy sowieckich, saperów ze sprzętem do wykrywania min,

penetrujących drogę, po której nastąpił przemarsz piechoty, samochodów i innych jednostek.

Spółdzielnia pracowała normalnie. Mieliśmy jeszcze zapasy zboża w magazynach z ubiegłorocznych zbiorów, które nie zostały jeszcze rozdysponowane do wysyłki. Jeden magazyn żyta znajdował się w nowo wybudowanej przez Niemców parowozowni przy stacji kolejowej, która nie była jeszcze wykończona. Ten magazyn został przez Niemców spalony wraz z wysadzeniem dworca w ostatnim dniu przed ich ucieczką pod naporem ofensywy radzieckiej. Po ucieczce Niemców miejscowa ludność rzuciła się na rozgrabianie towarów znajdujących się jeszcze w magazynach. Było tam jeszcze około 100 kwintali pszenicy oraz nafta w zbiorniku. W tym czasie spółdzielnia w zasadzie zawiesiła działalność ze względu na zbliżanie się frontu. W takiej sytuacji należało pomyśleć o zabezpieczeniu własnej osoby i rodziny. Była to połowa lipca 1944 roku.

Opuściłem stanowisko pracy i udałem się do domu oddalonego o kilkanaście kilometrów. Po powrocie na gospodarstwo wziąłem się za robotę przy koszeniu żyta. Naloty samolotów sowieckich bliskiego zasięgu wykonywały rajdy coraz częściej na tyły Niemców. Pewnego dnia, gdy kosiłem żyto, zauważyłem na horyzoncie eskadrę samolotów sowieckich typu „Jak”, powracających od strony Siedlec w kierunku na wschód, do swych baz. Było ich dziesięć. Leciały wzdłuż toru kolejowego i ponad mostem kolejowym na Bugu we Fronołowie. W pewnym momencie jednostka węgierska ochraniająca ten most rozpoczęła zmasowany ogień artylerii przeciwlotniczej w kierunku samolotów. Myślałem, że pod takim ogniem artylerii będą spadały, lecz one zatoczyły krąg i zaczęły bombardowanie przeciwnika. Powstała tam panika, podobno słysząc było piski i jęki. Po wykonaniu zadania wszystkie samoloty odleciały do swojej bazy. Ten most był oddalony ode mnie około czterech kilometrów. Za niespełna kilka dni został wysadzony przez Niemców, jak również inne obiekty kolejowe w kierunku Siedlec. Była to niedziela lipcowa, pamiętna na tyle, że w dniu tym Niemcy pod naporem sowieckim wycofali się w kierunku Siedlec oraz na północ w kierunku Prus Wschodnich.

Okres od lipca 1944 do maja 1945 roku obfitował w szczególne wydarzenia. W tym czasie rozpoczął się nowy rozdział w życiu naszych stron, jak również terenów do Wisły. Wkraczające wojska sowieckie były dobrze widziane przez ludność po przeżyciu tak ciężkiego okresu okupacji niemieckiej. Wkraczające oddziały witały przyglądających się im słowami: *siejczas pajdziosz w armiju*, co oznaczało, że niedługo pójdziesz do wojska. Utworzona na terenie ZSRR polska armia wkraczała do Polski wraz z Armią Czerwoną, radziecką.

Należało przystąpić do pracy po tym szoku frontowym. Gospodarstwa zniszczone i ograbione z dobytku. Nie posiadałem konia do pracy, gdyż ustępujący Niemcy zabrali tego, którego wychowałem przez dwa poprzednie lata. Szczęście dopisało, że posiadałem zapas wódki i kiełbasy. Żołnierze ruscy po drodze przemarszu również zagarnęli ludziom napotkane konie i sprzedawali je za wódkę, wędlinę, sało (słoninę). W ten sposób zdobyłem konia sobie i sąsiadowi Czeżykowi, jak również mojemu teściowi, któremu Niemcy zabrali dwa konie. W ten sposób zostaliśmy wyposażeni w siłę pociągową, która w tej sytuacji była zbawienną, gdyż zbliżał się okres prac polowych, a tym samym zapewnienie przyszłych zbiorów. Czekala praca przy zbiorze zbóż, przygotowanie się do siewu zbóż ozimych oraz do wykopków ziemniaków i innych upraw. Praca na roli była kontynuowana razem z teściem, tym bardziej, że zaopatrzyłem oba gospodarstwa w siłę pociągową.

W tym czasie po przerwie udałem się z powrotem do Platerowa na swoje stanowisko magazyniera. Aczkolwiek majątek spółdzielni został zdewastowany i ograbiony, lecz zabudowania ocalały i to dawało możliwość wznowienia działalności. Rolnictwo zaczęło normalną pracę i nawet dobre zbiory zaczęły napływać, również w formie kontyngentów. Tym razem te kontyngenty przeznaczone były dla armii radzieckiej. Handel wojenny zaczął funkcjonować w zakresie takim, jak pozwalały możliwości. Administracja państwowa rozpoczęła działalność w wyniku powstania PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego) w dniu 22 lipca 1944 roku w Chełmie.

Pracowałem jako magazynier w Platerowie, a równocześnie prowadziłem gospodarstwo. W dniu 4 września 1944 roku u sąsiada Karwackiego wybuchł pożar, spowodowany przez jego synka bawiącego się prochem artyleryjskim. To spowodowało pożar jego zabudowań i ogień rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki. Był to wypadek, który zaważył na przyszłych losach moich i mojej rodziny. Zbiory tego okresu spaliły się całkowicie. W spółdzielni pracowałem jeszcze do października. Na uwagę zasługuje fakt wydawania zboża z magazynu dla jednostek sowieckich, co pozwalało wyrobić sobie zdanie o charakterze stosunków panujących w ich szeregach. W armii tej dało się zauważyć pewnego rodzaju beztroskę o żołnierzy na froncie. Bo jeżeli samochód załadowany 2,5 tony zboża zostaje odsprzedany po drodze dla chłopów w terenie za kilka litrów wódki i mięsa na zagrychę, to wiele mówi o charakterze tych żołnierzy. U Niemców czegoś podobnego nie dało się zauważyć. Ta solidność niemiecka, punktualność i obowiązkowość oraz dobra organizacja były przeciwieństwem w stosunku do naszych ówczesnych sojuszników ze wschodu.

Pod władzą sowietów

Na naszym terenie powstawał nowy porządek. Rozpoczęto od organizowania Rejonowych Komend Uzupełnień (RKU). Nasz teren był w zasięgu RKU Siedlce z komisją wyjazdową w Białej Podlaskiej, to jest w mieście wówczas powiatowym. Zaczęto organizować administrację, służbę bezpieczeństwa, wojsko, milicję. Z Hołowczyc do milicji wstąpiło dwóch: Zygmunt Szewczuk i Stanisław Kaźmierczak¹⁴, którzy zostali następnie zastrzeleni przez bojówkę organizacji podziemnej. Organizująca

¹⁴ Funkcjonariusze MO: Zygmunt Szewczuk (lat 36) i Stanisław Kazimierzczuk (lat 37) zginęli 19.05.1945 r. Leżą na sarnackim cmentarzu. W aktach metrykalnych występuje Kazimierzczuk. Forma nazwiska: Kaźmierczak mogła być formą używaną przez mieszkańców wsi. W przeszłości takie oboczności w zapisie nazwiska były spotykane. Nazwisko w formie: Kazimierzczuk występuje w wykazie funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych woj. białkopodlaskiego, którzy „w pierwszych latach władzy ludowej” polegli „z rąk reakcyjnego podziemia”. [wykaz w posiadaniu red.]

się administracja, jak również wszystkie agendy państwowe, zostały opanowane przez system wynikający z ducha PKWN, niemniej jednak agentura krajowa rządu londyńskiego również starała się w miarę możliwości opanować i rozprzestrzeniać swoje wpływy. Czujność potęgi ZSRR nie dawała za wygraną, co widocznym było w formach działania komisarzy wojennych. Taki komisarz zakwaterował się w Horoszkach Małych i czuwał nad działalnością miejscowego Urzędu Gminy Hołowczyce, mieszczącego się między Małymi i Dużymi Horoszkami. Urząd Gminy był obsadzony przez człowieka z AK. Codziennie urzędnicy byli odwiedzani przez komisarza, z którym ustalano plany we wszystkich zakresach, a przede wszystkim dostawy dla wojska, wykonywanie robót na rzecz armii, dostawę fur i ludności do odbudowy mostu na Bugu, zniszczonego przez wycofujących się Niemców. Urzędujący w urzędzie gminnym nawiązali oczywiście bliższe stosunki z komisarzem i indagowali go na temat mającego nastąpić porządku, jaki będzie ostatecznie powojenny układ, gdyż wojna miała się ku końcowi. Komisarz w wyniku takich dyskusji odpowiadał im następująco: *ach wy, Polaczki, tylko politykować* – co oznaczało, że tylko gadacie o polityce zamiast pracować na rzecz zakończenia wojny. Oznaczało to, że do rządzenia to my jesteśmy, sowiety, między aliantami, a ty jeden z drugim słuchaj i wykonuj, co my nadamy. Tak już uzgodniono w Teheranie i Jałcie, a co miało być ostatecznie zdecydowane w Poczdamie.

Już w sierpniu rozplakatowano wezwanie o zgłaszanie się do rejestracji byłych wojskowych, tak szeregowców rezerwy, podoficerów i oficerów, jak również roczników poborowych. Ja jako kapral rezerwy, saper o specjalności minier, musiałem zgłosić się do rejestracji wojskowej, co pociągało ewentualność wcielenia do armii, bo wojna jeszcze nie była zakończona. Niezgłoszenie się do rejestracji było ryzykowne, ponieważ teren był już kontrolowany przez ówczesne władze, a z drugiej strony, z punktu patriotycznego, należało dobijać Niemca. Ostatecznie postanowiłem udać się do rejestracji w Białej Podlaskiej. Piękny dzień sierpniowy 1944 roku sprzyjał dokładnemu rozejrzeniu się w sytuacji w Białej Podlaskiej. Komisja poborowa pracowała w zamku, dawnej siedzibie

starostwa. Obstawa komisji to dwóch młodych cywilów z automatami, z Urzędu Bezpieczeństwa. Wielu młodych i starszych roczników kręci się na placu przed komisją. Jedni idą do wewnątrz, inni gapią się i tacy, którzy przyszli na przesłuchanie. W tamtej sytuacji wahano się, co robić, kogo popierać, a kogo zwalczać. Nie będąc zaangażowanym w żadnej organizacji, chciałem zorientować się, co czynić. Wcześniej pytałem Stanisława Buławskiego, zaangażowanego w AK – co robić. On odpowiedział, że nie pójdzie do rejestracji, a inni to jak sobie chcą. Zginął już po zakończeniu wojny, podobno w wyniku rozgrywek w podziemiu, które działało jeszcze do 1950 roku. Poszedł w południe w pole z córeczką po zieloną paszę dla bydła, wyszło z lasu dwóch osobników z automatami i dokonali zabójstwa.

Podczas prowadzonej rejestracji spotkałem Grobickiego, jednego z byłych dziedziców majątku Hołowczyce. Był on dobrze zorientowany w sytuacji politycznej i na pewno należał do którejś organizacji w podziemiu. Radził mi, ażeby zarejestrować się jako oficer rezerwy. Twierdził, że władze sowieckie, a dokładnie NKWD, zaczną swą działalność w przeciągu kilku miesięcy. Po rozmowie z Grobickim udaliśmy się obaj do rejestracji, gdzie nas ujęto w ewidencji. Grobicki został wcielony do Armii Wojska Polskiego, został komendantem piekarni i szczęśliwie doczekał się końca wojny. W ten sposób uniknął wywózki do obozu w ZSRR. Ówczesne władze sowieckie uważały, że wszystkie organizacje konspiracyjne są wrogo ustawione do ZSRR i należy je zwalczać, co się wkrótce stało.

Okres od sierpnia do końca października 1944 roku był okresem rozpracowywania przez NKWD sytuacji politycznej na zajętych terenach Polski i przygotowanie do wywózki polskiego podziemia.

Moja rejestracja przebiegała sprawnie. Już w sierpniu otrzymałem kartę powołania do wojska. Udałem się do Rady Narodowej do Białej Podlaskiej. Tam poparto moją prośbę i uzyskałem odroczenie od służby wojskowej na okres trzech miesięcy, do listopada. W dalszym ciągu pracowałem na gospodarstwie, bo po pożarze należało zbudować chociaż prowizoryczne nakrycie dla inwentarza.

I tak paralem się trudnościami dnia codziennego, przygotowując się do odejścia do wojska, gdyż dalsza ofensywa była nieunikniona. W tym czasie byłem w kontakcie z ludźmi tworzącymi ówczesną władzę, jak milicję, administrację i inne. Chciałem zabezpieczyć gospodarstwo, a na nim pozostające matkę i żonę wraz z dzieckiem. Oprócz mnie w rodzinie było jeszcze dwóch braci: Kazimierz i Józef. Kazimierz żonaty, a Józef kawaler. Kazimierzowi los oszczędził udziału w wojnie 1939 roku, mimo że był rezerwistą. Brat Józef w roku 1940 został wywieziony do Niemiec na roboty w okolice Drezna. Po pewnym czasie otrzymał urlop, przyjechał do domu i już nie powrócił do Niemiec. To było ryzykowne, lecz obyło się bez żadnych komplikacji ze strony niemieckiej. Jednakże ostrożność obowiązywała i w tym samym czasie został wciągnięty do konspiracji w szeregi AK, o czym ja nie wiedziałem. Pracował razem z bratem Kazimierzem i uczył się od niego zawodu krawca.

Ponieważ należało zabezpieczyć siłę roboczą w gospodarstwie i utrzymać rodzinę, postanowiłem porozmawiać z Janem Grzymałą, byłem więźniem politycznym za rządów sanacyjnych, przed 1939 rokiem, za przynależność do KPP, a który teraz już aktywnie przystąpił do organizowania nowej władzy, a konkretnie do organizowania milicji. To z nim na początku wojny udałem się za Bug do sowietów, pod ich opiekuńcze skrzydła. Chciałem, ażeby przyczynił się on do przyjęcia brata Józefa do milicji, tym samym byłaby gwarancja uniknięcia poboru Józefa do wojska, no i pomoc w gospodarstwie. Grzymała odpowiedział mi, że mój brat Józef nie może być brany pod uwagę, gdyż w swoim czasie nieprzychylnie wyrażał się o nowo utworzonej władzy. Oczywiście zorientowałem się, że jest niewłaściwym dalsze staranie się w tej sprawie. Dało mi to do myślenia, że sprawa od strony politycznej wygląda podejrzanie, co miało się sprawdzić w niedługim czasie.

Podziemie prolondyńskie działało dalej, a nowa władza sobie. Na jej czele siła obecnej wówczas armii ZSRR ze swymi organami, jak NKWD i innymi. Sprawdziły się też przepowiednie Grobickiego, jak również i moje skojarzenia. Pewnego wieczora około godziny dwudziestej drugiej na początku listopada 1944 roku zgarnięto prawie wszystkich

członków miejscowej konspiracji. Spaliśmy wszyscy, a w pewnym momencie usłyszałem podejrzane ruchy i odgłosy przed domem. Za moment pukanie do drzwi. Gdy zapytałem, kto tam, usłyszałem głos rosyjski: *Otkrojtie dwiery* (otwórzcie drzwi). Wszedł bojec i szczególnie zainteresował się bratem Józefem. Poszperał w jego walizce, wypytywał się o posiadane fotografie i tym podobne. Ja widząc to, że przyczepił się szczególnie do jego osoby, powiedziałem do matki cicho, ażeby przygotowała kożuch, bochenek chleba i kawał słoniny. Brat¹⁵ wrócił do domu dopiero w 1946 roku. Niektórym udało się uniknąć wywózki dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności.

Po tym wstrząsie następnego dnia spotykam sąsiadkę Jakubiakową, której syn Kazimierz uniknął aresztowania przypadkowo. Nie spał, bo produkował bimber i usłyszawszy podejrzane ruchy na drodze, ukrył się za obudową studni przy swym domu. Jego matka radziła się mnie, co on ma zrobić. Poradziłem, że będzie najlepiej, gdy zgłosi się do wojska, co też uczynił. Brał udział na froncie Drugiej Armii pod wodzą gen. Świerczewskiego na terenach południowej Saksonii, w Niemczech Wschodnich. Przeszedł ciężkie boje jako obsługa karabinów maszynowych. Z ich kompanii liczącej 150 żołnierzy wyszło z życiem dwudziestu, a wśród tych Jakubiak. Gdy spotkaliśmy się po zakończeniu wojny, to opowiadał mi o swych ciężkich przejściach frontowych i wówczas przypominałem sobie moje doradztwo, ażeby zgłosił się do wojska, co miało być lepsze od internowania. Doradztwo moje mogło być tragiczne w skutkach i gorsze od internowania, z którego wszyscy powrócili, aczkolwiek niektórzy z nadwyrężonym zdrowiem.

Nadszedł wzmógłony czas pracy w gospodarstwie i przygotowanie się do odejścia do wojska. Żona z dzieckiem przeniosła się do swych rodziców, przekazując tam posiadany skromny zapas zboża, konia, krowę oraz inne mniejsze rekwizyty. Po akcji przeprowadzonej przez NKWD przeciwko podziemnym organizacjom, nastąpiło ściąganie kontyngentów

¹⁵ Józef Dudziuk (1919-1982) – aresztowany jesienią 1944 r., uwięziony w obozie w Ostaszku, następnie w Riazaniu, wrócił do Polski w lutym 1946 r. Jest upamiętniony na tablicy Sybiraków, odsłoniętej w 2018 r. na sarnackim cmentarzu parafialnym. [red.]

na rzecz armii i potrzeb organizującego się państwa. U mojego teścia zakwaterował się major radziecki, którego zadaniem było dopilnowanie ściągania kontyngentów. Jak to zwykle bywa, prosty spryt chłopski i jego zapobiegliwość działały w kierunku, ażeby jak najmniej oddawać tego kontyngentu. W tym czasie ludność posiadała spirytus gorzelany z gorzelnii w majątku Hruszniew, oddalonego o kilkanaście kilometrów. Teść posiadał pełną bańkę po mleku, 24 litry tego spirytusu. Oficer miał do dyspozycji ten spirytus oraz na zagrychę grubą słoninę, bochen chleba wiejskiego, kapustę kwaszoną, ogórki. Ten major poczuł się w swoim żywiole i zamiast dopilnowywać ściągania kontyngentów, to dopilnowywał realizacji przerabiania przez swój organizm spirytusu z bańki. Pewnego razu zagadnął mnie teść, że ten major pięknie śpiewa. Zainteresowałem się tym i w rozmowie z majorem dowiedziałem się, że jest on artystą teatru Bolszoi w Moskwie. Śpiewał piękne arie. Niedługo on jednak urzędował i został zastąpiony przez młodszego oficera, który lepiej wywiązywał się ze swych obowiązków.

Organizujące się Wojsko Polskie przeprowadzało organizację armii według wskazań i wytycznych Armii Radzieckiej w oparciu o nowe zasady polityki, odmienne od zasad stosowanych w latach międzywojennych. Po otrzymaniu karty powołania do stawienia się w RKU Siedlce sprawa była już nieodwołalna. Nie miałem wątpliwości, że czeka mnie ciężki okres, gdyż armia ZSRR wraz z jednostkami Wojska Polskiego wyruszała w najbliższym czasie do ofensywy na Niemcy. Byłem jednak na to przygotowany, bo rozumiałem zgłoszenie się do wojska jako konieczność. Podczas okupacji niemieckiej przyrzekłem sobie, że gdy nadarzy się okazja walki z Niemcami, to na pewno skorzystam z niej i właśnie nadarzyła się ta okazja. Człowiek nabrał dużej nienawiści do Niemców, patrząc i doświadczając na własnej skórze ich panowania i wyczynów w stosunku do podbitych narodów. Zachowanie Niemców z pierwszej wojny w porównaniu do tych z drugiej wojny to duża różnica. U tamtych to inne wychowanie militarne, pruskie, a u tych z drugiej wojny to wybitny zdziczały nacjonalizm w oparciu o zbrodnicze zasady

hitleryzmu. Pogarda do innych narodów, szermowanie zasadą wyższości rasy, tworzenie tak zwanego Herrenvolk, narodu panów.

W mundurze LWP

I tak rozpoczął się nowy okres w życiu. Pożegnawszy się z rodziną udałem się do RKU Siedlce. Na punkcie zborym RKU rojno i gwarno. Obsada RKU to oficerowie polscy i widok ten nastroił jakoś optymistycznie, humor poprawił się w porównaniu do minionych dni. Po czynnościach dokonanych przez personel RKU przydzielono mi dziesięciu młodzieńców ochotników, wręczono dokumenty podróży i miałem zadanie odtransportować ich do Lublina, gdyż tam były formowane jednostki wojskowe. Chłopcy młodzi, weseli, jeszcze nie wachali prochu i jechało się na wesoło. Jechaliśmy w wagonach towarowych wysłanych słomą. Wyżywienie każdy posiadał z domu. Po przyjeździe do Lublina zdałem swoich podopiecznych wraz z dokumentami we wskazane miejsce. Ja zostałem wydzielony jako rezerwista i z innymi podobnymi zostaliśmy skierowani na miejsce zakwaterowania. Umundurowano nas, zaprowiantowano, a w następnych dniach przeszliśmy przed komisję lekarską i tak wreszcie zostały zakończone czynności, związane z rozpoczęciem normalnych zajęć.

Dowiedzieliśmy się, że będziemy szkoleni na oficerów przeznaczonych do obsady Rejonowych Komend Uzupełnień na terenie kraju i na terenach, które będą wyzwolone w wyniku ofensywy, która rozpoczęła się 12 stycznia 1945 roku. Zajęcia odbywały się w salach liceum, a ćwiczenia piechoty w terenie. Byliśmy zaplanowani początkowo na obsadę zastępców komendantów RKU. Ostatecznie dostałem przydział do Łodzi. Zaczęliśmy organizować naszą Rejonową Komendę Uzupełnień, komisję poborową.

W okresie zimy 1945 roku wybrałem się samochodem do rodziny w Hołowczycach, gdzie przebywała żona z synkiem Januszem. Była to odległość około 280 kilometrów. Wiózł mnie kierowca żołnierz. Po drodze nic szczególnego nie wydarzyło się. Zastałem rodzinę w porządku. Nawiązałem kontakty z sąsiadami i znajomymi. Nie byłem skrępowany

czasem, lecz zabawiłem krótko, zaledwie dwa dni, gdyż w okolicy operowały uzbrojone grupy AK oraz inne podobne i byłoby ryzykiem przebywać dłużej, bo mogliśmy ryzykować głową, a w najlepszym wypadku być rozbrojeni. Spotkałem się ze starszym gospodarzem Janem Kaźmierczukiem i on opowiadał, co dzieje się w okolicy: operują uzbrojone grupy partyzanckie, nastawione wrogo do powstałej władzy, do wojska i innych. Gdy NKWD internował w głąb ZSRR członków AK oraz innych, to pozostali, którym udało się uniknąć internowania, ukrywali się i organizowali oddziały uzbrojone do walki z władzą i Służbą Bezpieczeństwa. Rozważywszy ten stan, postanowiliśmy czym prędzej wracać do Łodzi. Powróciliśmy, doznając ulgi i spokoju.

Pobyt w Łodzi na tym stanowisku trwał do czerwca, po czym zostałem przeniesiony do Ostrowca Świętokrzyskiego na podobne stanowisko.

W okresie lata 1945 roku, gdy przebywałem na terenie Ostrowca, oddziały radzieckie powracały z zachodu do ZSRR transportami kolejowymi, taborem samochodowym i pieszo. Stada bydła pędzono z zachodu na wschód. Miejscowa ludność wraz z jeszcze istniejącą partyzantką nieraz zabierała dorodniejsze sztuki i tak bywało, że zanim stado dopędzono do granic ZSRR, to takowe stopniało do połowy. Poganiacze zawracali z powrotem na tereny niemieckie po następne stada. Obserwowało się, jak te stada dorodnych krów ledwo poruszały się pod ciężarem nabrakłych [nabrzmiątych] wymion, gdyż nie było możliwości wydojenia, ponieważ takie stado kilkaset sztuk poganiało tylko kilka kobiet, Rosjanek, od czasu do czasu rzucających soczyste klątwy na niesforne stado.

W styczniu 1946 roku zostałem przeniesiony na komendanta RKU do Białej Podlaskiej, do moich rodzinnych stron, co stało się jeszcze ciekawsze i obfitujące w wydarzenia może jeszcze intensywniejsze pod względem politycznym. Moment ten z jednej strony wydawał się pozytywny, bo bliżej rodziny, która znajdowała się u rodziców żony, lecz z drugiej strony okazało się, że to przeniesienie stało się nawet niebezpieczne. O ile w stronach kieleckich istniały zwalczające się przeciwstawne sobie ugrupowania, to na Lubelszczyźnie ten stan był większy.

Jeszcze przed rozliczeniem się z jednostką RKU Ostrowiec udałem się na kilkudniowy urlop do rodziny w Hołowczycach w okresie świąt Bożego Narodzenia. Jechałem trasą na Skarżysko-Kamienna, Dęblin-Siedlce i Platerów. W tym czasie z zachodu powracały jednostki radzieckie. Masy wojsk sowieckich oraz ludności cywilnej ZSRR, które znalazły się w Rzeszy Niemieckiej w wyniku wywózek na roboty, z powrotem do kraju wiozły zdobycze wojenne. Zdarzały się wypadki rabunków, gwałtów przez elementy maruderskie, jak to się często zdarza przy przemarszach wojsk. W Dęblinie musiałem oczekiwać na pociąg, gdyż w tym czasie pociągi kursowały nieregularnie. Kolejarze nasi, widząc te masy powracające do ZSRR, zaoferowali mi, ażebym udał się z nimi na parowozie do miejsca, gdzie wsiądę bezpiecznie na pociąg, co uczyniłem z zadowoleniem i odjechałem do Siedlec. Było to na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia.

Przybyłem na upragnione święta i zacząłem badać na miejscu sytuację pod względem politycznym. Zdawałoby się, że gdy ta straszna wojna w swej grozie została zakończona, to wreszcie naród przystąpi do normalnej pracy. Stało się inaczej i należało jeszcze zaczekać kilka lat, zanim można było otrząchnąć się i odetchnąć normalną atmosferą pokoju.

I tak od stycznia 1946 roku objąłem RKU w Białej Podlaskiej.

W nowej rzeczywistości

W Komendzie w Białej Podlaskiej zastałem obsadę w liczbie pięciu oficerów i dwóch podoficerów oraz dwóch żołnierzy służby czynnej jako pisarzy. Jeden z oficerów, Jaglak, pochodził z miejscowości Górki oddalonych kilka kilometrów od Hołowczyc, gdzie przed zmobilizowaniem był sekretarzem w tamtejszym urzędzie gminnym. Gdy dowiedział się, że ja jestem z tamtego terenu, to oczywiście zaistniało pewnego rodzaju bliższe zaprzyjaźnienie, co w zasadzie jest niezbyt dobre w stosunkach służbowych.

Poszczególne regiony kraju posiadają swą specyfikę, co dało się zauważyć i na tym terenie, znanym od wczesnych lat młodości. Tu w Białej Podlaskiej uczyłem się w szkole handlowej w roku szkolnym 1928/1929.

Znane strony, ludność, zwyczaje i obyczaje Podlasia. Gdy przybyłem na miejsce służby, starałem się zapoznać z sytuacją polityczną, która okazała się nie lepsza niż na kielecczyźnie. Na stanowiskach cywilnych zastałem znane mi osoby: Gałęckiego i Grzymałę. Pochodzili oni z tej samej wsi rodzinnej Hołowczyce. Za rządów sanacji w okresie międzywojennym byli więzieni po cztery lata więzienia za przynależność do nielegalnej KPP. Teraz byli dumni i zadowoleni, że wreszcie doczekali się szczęścia, które w następstwie okazało się nie takie znowuż szczęśliwe, bo w tym czasie można było być skróconym o głowę, mówiąc żartobliwie. Grzymała był naczelnikiem więzienia w Białej Podlaskiej w owym czasie, a następnie przeniesiony na takie stanowisko do Łomży, gdzie w swoim czasie odbywał odsiadkę za komunizm za rządów sanacyjnych. Parodia czasu. Gałęcki zajmował stanowisko kierownika przedsiębiorstwa na teren powiatu bialskiego. Z zawodu rolnik, chłop z kwalifikacjami ciesielskimi i stolarskimi, po pewnym czasie powrócił do swojej rodzinnej wsi i tak doczekał się niewielkiej emerytury partyjnej. Posiadając działkę przyzagrodową, dożył końca żywota i został pogrzebany na cmentarzu w Białej Podlaskiej w miejscu dla bezwyznaniowców.

Z tego okresu warto wspomnieć pewne wydarzenie, które miało miejsce w połowie 1946 roku, około lipca. Pewnego dnia nadszedł transport z ZSRR, złożony z wagonów towarowych z terenów tego mocarstwa, w którym przybyli do kraju deportowani w listopadzie 1944 roku członkowie organizacji Polski podziemnej. W tym transporcie przyjechali moi znajomi, a wśród nich brat Józef. Wyszedłem na stację kolejową w mundurze wojskowym zobaczyć, jak to wszystko się przedstawia. Oczywiście, nie mogłem nikogo zobaczyć, gdyż wagony były zamknięte i pilnowane przez konwojentów sowieckich, być może przez NKWD. Gdy pokazałem się konwojowanym, to ci prosili, ażeby jak najprędzej ich odebrać, bo są głodni. Natychmiast wiadomość rozeszła się na miasto i Czerwony Krzyż wraz z ludnością zorganizowali zbiórkę żywności, no i nakarmiono tych powracających z internowania.

Władze miejscowe, a właściwie Urząd Bezpieczeństwa, rozpoczęli swe czynności. Na placu opodal dworca ustawiono stoły i pisarze rejestrowali

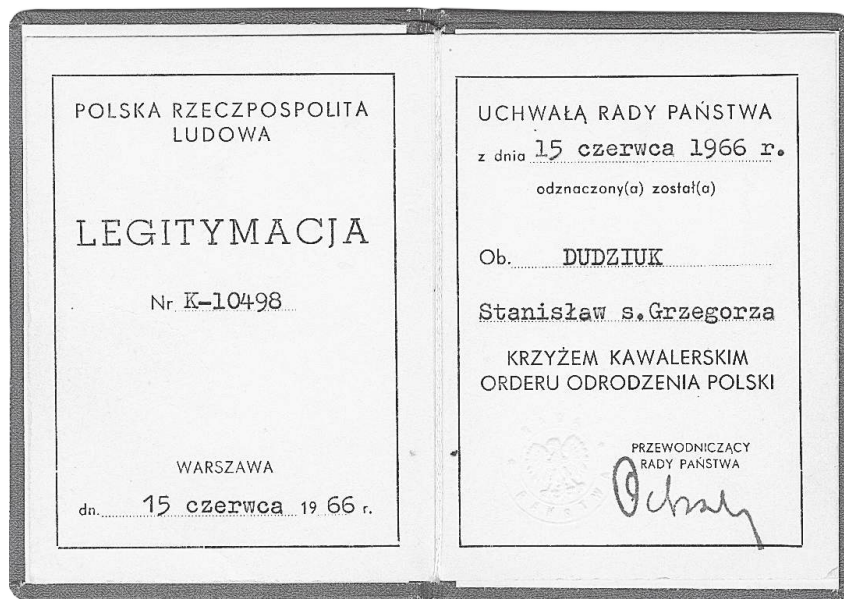
przybyłych kolejno, pobierając odciski palców. Oglądając to wszystko jako człowiek wolny i ciekawski, rozmawiałem z niektórymi wyrywkowo. Zwracali uwagę na to bezpieczniaki, lecz nie oponowali, gdyż widocznie uważali, że powracający nie stanowią już niebezpieczeństwa politycznego, za jakie ich uważano w czasie wywózki w 1944 roku. W następnych miesiącach i latach poznałem szczegóły ich pobytu na „niehumanitarnej ziemi” – jak to określił pisarz Czapski, którego taki sam los spotkał. Jak wynikało z relacji internowanych, to obóz, w którym przebywali, był obozem stosunkowo łagodnym w porównaniu z innymi. Znajdował się w pobliżu Riazania w miejscowości Diagilewo. Mój kolega rówieśnik z Hołowczyc, Józef Karwacki¹⁶, jako internowany namalował mi obraz tego obozu, którego posiadam i przekazuję jako pamiątkę najbliższemu. Karwacki to malarz amator posiadający uzdolnienia malarskie, który już w szkole powszechnej na wsi wyróżniał się zdolnościami do rysunków i malarstwa.

W Białej Podlaskiej przebywałem do jesieni 1946 roku, po czym po pewnych staraniach w Departamencie Kadr MON udało mi się wyrwać z moich rodzinnych stron i zostałem przeniesiony do Białegostoku, gdzie przesłużyłem do jesieni 1949 roku. Później znalazłem się w Warszawie. W październiku 1955 roku zostałem przeniesiony do rezerwy. Jako cywil zostałem skierowany do fabryki łożysk tocznych na stanowisko kierownika administracji. Po trzech miesiącach zaangażowałem się w Centralnym Związku Spółdzielczości Pracy, który mieścił się przy ulicy Żurawiej. Miałem w tej instytucji znajome osoby, co pozwalało mi rokować nadzieję na pewną poprawę warunków materialnych. W wyniku reorganizacji Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy półtora roku później zaangażowałem się do pracy w nowopowstającym Związku Spółdzielczym w Centrali Spółdzielni Ogrodniczych w Dziale Samorządowym. Tu pracowałem od 1957 do 1975 roku, następnie, mając 65 lat, przeszedłem na emeryturę.

¹⁶ Józef Karwacki (1910-1998) – rolnik, artysta-malarz, aresztowany jesienią 1944 r., więziony w Białej Podlaskiej i w Białymstoku, stamtąd zesłany do obozu jenieckiego w Ostaszku, w 1945 r. wywieziony do obozu w Riazaniu (spec-łagier w Diagilewie pod Riazaniem), do Polski wrócił w 1947 r. [red.]



Ukończony tuż przed wojną dwuletni kurs dla pracowników handlu, zorganizowany przez Związek Spółdzielni Spożywców „Społem” w Warszawie, przydał się w pracy spółdzielczej po wojnie.



Legitymacja Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, 1966 r.

Stanisław Dudziuk – ur. 19.04.1910 r. w Hołowczycach, zm. 07.09.2005 r. w Warszawie. Uczestnik walk w rejonie Twierdzy Brzeskiej podczas Wojny Obronnej 1939 r. W okresie powojennym oficer Ludowego Wojska Polskiego. Od 1952 r. do emerytury w 1975 r. pracownik Centrali Spółdzielni Ogrodniczych w Warszawie. Wielokrotnie odznaczany, w 1966 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W jesieni życia zaczął spisywać swoje wspomnienia, które zatytułował „Minione lata 1914-1992”, ukończył je w czerwcu 1993 r.

Halina Sulej z d. Krykowska

Dawne Klimczyce Ferma

Klimczyce, niegdyś położona na wysokim brzegu Bugu wieś, z czasem stała się centrum włości. W latach 80. XIX wieku wyodrębniły się Klimczyce Stare (obecnie Klimczyce-Kolonia) z dworem jako siedzibą właścicieli Podczaskich oraz wieś włościańska Klimczyce Nowe, leżąca w niewielkiej odległości od dworu.

Pierwsze informacje o Klimczycach sięgają końca XV wieku i od tamtego czasu miejscowość wiele razy zmieniała właścicieli. Wchodziła w skład dużej posiadłości ziemskiej z siedzibą właśnie w Klimczycach. Oprócz Klimczyc do majątku należały wsie: Lipno, Binduga, Kózki, Bużka, Grzybów, Rzewuszki, Chlebczyn, Chybów, Rozwadów oraz miasto Sarnaki. W 1847 roku dobra te zakupili Joachim i Józefa z Chudzyńskich Podczascy.

Po ośmiu latach gospodarowania zmarł Joachim Podczaski, były pułkownik wojska polskiego i uczestnik powstania listopadowego, a dobra klimczyckie przeszły wkrótce drogą spadku na własność jego syna Bronisława, który był bardzo dobrym gospodarzem. Wprowadził nowe formy gospodarowania, przeprowadził meliorację gruntów, rozbudował i zmodernizował zabudowania folwarczne, nad brzegiem Bugu postawił murowany spichlerz na zboże, spławiane rzeką do Gdańska. Efekt jego działań wprowadził w zachwyt tak wybitnego krajoznawcę jak Zygmunt Gloger, który w książce „Dolinami rzek” zapisał na temat klimczyckiej posiadłości: „Jak położenie Nepel i Mielnika należy do najpiękniejszych nad Bugiem, tak niezawodnie Klimczyce są najlepiej zamurowanym folwarkiem. Zaczawszy od dworu aż do domów dla czeladzi, wszystko uderza tu nakładem i wykwintem. Cóż to za różnica od owych czasów, kiedy piękna murowana budowla była osobliwością na wsi”.

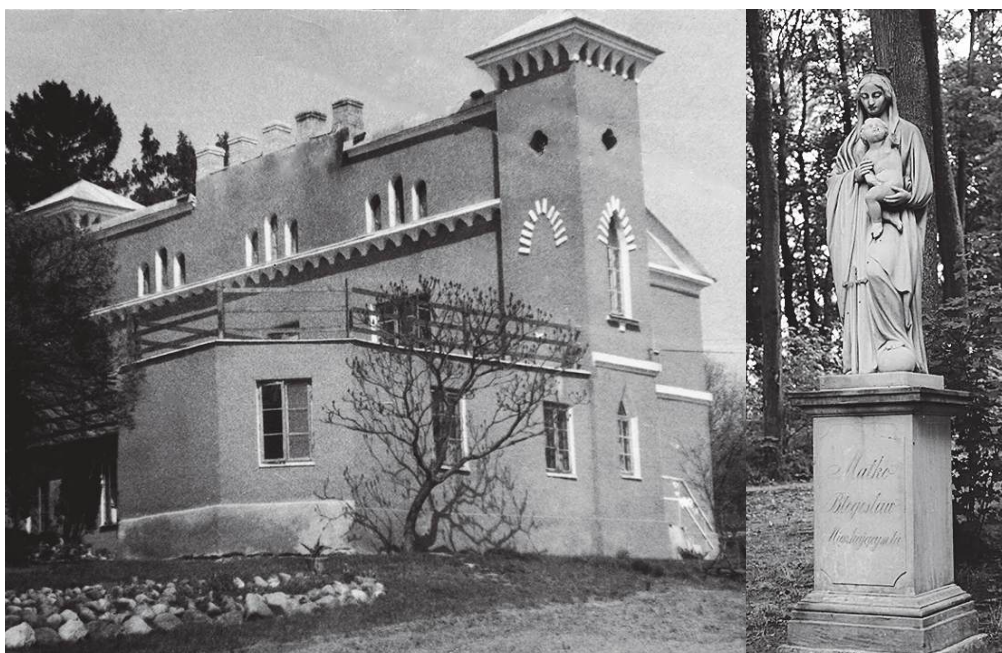
Bronisław Podczaski dokończył rozpoczętą przez rodziców budowę dworu jako głównej siedziby rodu. Był to duży parterowy budynek drewniany, otynkowany, przykryty wysokim, czterospadowym dachem gontowym, w którym znajdowały się dwie półkoliste lukarny. Od frontu na wysokim tarasie postawiono portyk z dwiema drewnianymi kolumnami. To wszystko widać na przedwojennym zdjęciu, bowiem dwór nie przetrwał wojny. Obok dworu stał murowany budynek o dwu kondygnacjach, przeznaczony na kuchnię dworską. Jego też już nie ma.

Pozostałością dawnej świetności jest murowana oficyna dworska tzw. kasztel. Istnieje jeszcze także parterowa oficyna drewniana. Oba budynki po ostatniej wojnie były zamieszkiwane przez potomków Michała Nasiłowskiego.

Po śmierci w 1887 roku Bronisława Podczaskiego, ożenionego z Franciszką Katerlą z Woźnik, właścicielami zostają jego synowie Zygmunt i Józef Augustyn. Z powodu problemów finansowych zaczynają stopniowo wyprzedawać majątek, to znaczy poszczególne folwarki:



Fot. 1. Dwór wzniesiony przez Podczaskich. W latach 30. XX wieku w okresie letnim prowadzono w nim kolonie dla dzieci i pensjonat rodzinny.



Fot. 2. i 3. Kasztel i figura Matki Bożej z Dzieciątkiem (z 1852 r.) – pamiątki po Podczaskich.

Chlebczyn, Grzybów, Rozwadów, Sarnaki, Klimczyce i Bużkę. Aby łatwiej było sprzedać spory folwark Klimczyce, dzielią go na kilka części – Klimczyce Adamów, Klimczyce Ferma, Klimczyce Górne, Klimczyce Marianki i Klimczyce Słowiki, które zostają sprzedane. Część Klimczyce Ferma, gdzie znajdowała się siedziba rodowa, duży drewniany dwór o jedenastu pokojach zwany pałacem, kilka razy zmieniała właściciela, zanim stała się własnością moich przodków.

W 1916 roku tę część zakupił dr Stanisław Nasiłowski, właściciel majątku Puczyce. Był lekarzem i kupując Klimczyce Fermę, w otoczeniu pięknego parku, pragnął stworzyć uzdrowisko dla ludzi po przebytych chorobach płuc. Dokupił jeszcze w Bacikach Średnich dawny dwór myśliwski i przeniósł go do Klimczyc. Działalność swą rozwinął bardzo pręźnie, ale sanatorium działało tylko kilka lat.

Doktor Stanisław Nasiłowski, mój stryjeczny dziadek, zmarł na zawał w 1925 roku. To była straszna tragedia. Osoba ta, godna najwyższego



Fot. 4. i 5. Kasztel przed remontem i po remoncie, 1995 r.

szacunku, powinna pozostać w pamięci potomnych jako prawdziwy człowiek, lekarz i społecznik, bo całe życie tej idei poświęcił. Był szczęśliwy, że mógł pomagać innym w tych trudnych czasach, gdy Polska była w niewoli i po odzyskaniu niepodległości.

Na temat doktora Stanisława Nasiłowskiego napisała artykuł Zofia Czarkowska pt. „Gniazdo w gminie Platerów” z cyklu: „Zabytki ziemi łosickiej” w „Gazecie Łosickiej”. Również w książce Tomasza Dobrowolskiego „750 lat ziemi łosickiej” czytamy o ogromnym oddaniu doktora i jego pracy społecznej dla ludzi potrzebujących opieki i pomocy. To wszystko świadczy o wspaniałej inicjatywie ludzkiej. Dzięki takim społecznikom po długoletniej niewoli naszej ojczyzny można było mieć nadzieję, że Polska naprawdę się odrodzi. Jestem dumna ze swojego przodka.

Po jego śmierci, po podziale rodzinnego majątku, Klimczyce otrzymał mój dziadek Michał Nasiłowski, który wraz z rodziną mieszkał w Lublinie od 1908 do 1926 roku. Babcia Natalia z Braziewiczów zmarła w 1918 roku i została pochowana w Lublinie. Dziadek ożenił się ponownie. Moja mama Janina ukończyła gimnazjum, wujek Bogdan – szkołę leśną.

Dziadek Michał w majątku Klimczyce organizował kolonie dla dzieci z Warszawy, a później w okresie letnim prowadził pensjonat rodzinny. W ostatnich latach przed wojną budynki dworskie wykorzystane były do prowadzenia pensjonatu przez Eugenię Dorochowiczową z Warszawy. Miała ona nawet zamiar kupić część tego majątku, aby nadal organizować wypoczynek letni dla wczasowiczów z miasta. Wszystko jednak skończyło się we wrześniu 1939 roku wraz z wybuchem II wojny światowej.

Moi rodzice, Maria Janina Nasiłowska i Adam Krykowski, pobraли się w 1930 roku w Sarnakach. Po ślubie wyjechali do Brzezin – rodzinnego miasta Tatusia w pobliżu Łodzi. Tatuś pracował w Urzędzie Skarbowym. Po dwóch latach wrócili do Klimczyc, gdyż nie czuli się tam dobrze. Tu nie spotkali się z wielką miłością ze strony dziadka Michała Nasiłowskiego, który mając w swoim majątku tyle budynków mieszkalnych, nie chciał zatroszczyć się o własną córkę, tylko dał jej ziemię do uprawy i kazał budować się w Olszynie nad Bugiem. Z opowieści Rodziców wiem, że

ich życie wtedy było straszne. Prowadzili gospodarstwo rolne. Od dziadka dostali dwa konie i z trudem pokonywali kłopoty dnia codziennego. Lepili swój dom z drewna i gliny jak te jaskółki pod strzechą. Przy budowie, ukończonej w 1936 roku, pomagali im ludzie ze wsi Klimczyce i Binduga. Budynek był duży: siedem pokoi, kuchnia. Potem Rodzice dobudowali do niego ganki, gdyż planowali przyjmować letników. Dom stał blisko rzeki, w lesie zwanym Olszyną. To był teren zalewowy. Każdej wiosny woda z Bugu podchodziła pod sam dom. Groźba zatopienia wszystkich i wszystkiego istniała w każdym roku.

Zanim zbudowali dom, postawili najpierw prowizoryczny budynek gospodarczy, w którym część była przeznaczona do zamieszkania, a część dla zwierząt. W tym skromnym pomieszczeniu wisiał na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej (z którym Mama nigdy się nie rozstawała) i Orzeł Polski w Koronie, godło naszej ojczyzny. Gdy wybuchła II wojna światowa, Tatuś zdjął orła ze ściany i razem z moim jeszcze małym bratem



Fot. 6. Janina Krykowska z dziećmi: Ryszardem i Halinką, koło domu w Olszynie, ok. 1939 r.

Ryszardem schowali do skrzynki i zakopali w ziemi, aby po wojnie znów zawisł na ścianie.

W drugiej połowie września 1939 roku wtargnęli do Klimczyc Sowieci. Wywieźli samochodami 30 łóżek, które wcześniej były używane w pensjonacie, zabrali też wszystko inne, co było im potrzebne. Za Bugiem budowali połowy szpital.

Następnie do Klimczyc wkroczyli Niemcy. Zapowiedzieli, że tu będzie straż graniczna i należy przygotować budynki – kasztel i pałacyk myśliwski – do ich dyspozycji. Pani Dorochowiczowa musiała ustąpić z kasztelu. Przeniosła się do domu mojego dziadka, Michała Nasiłowskiego, który mieszkał w dużej drewnianej oficynie niedaleko pałacu.

Strach ogarnął wszystkich mieszkańców. Wojna szalała. Do Klimczyc zaczęli przyjeżdżać uciekinierzy z Warszawy i innych miast. W moim domu rodzinnym znalazło schronienie wiele osób. Na stałe zamieszkiwało tu 11 osób. Oprócz Rodziców i nas była babcia Nasiłowska, syn babci Stanisław, miał 14-15 lat, dwie jakieś bezdomne osoby bez rodziny, które nie miały nikogo i Józef Pomorzak, którego Niemcy wypędzili, jak i wielu innych. Był bardzo chorym człowiekiem. Nie wiem skąd przybył, tutaj szukał schronienia. Całą wojnę mieszkał u moich Rodziców, którzy zapewnili mu opiekę lekarską. Latem pasł krowy. Każdy coś tam pomagał. Jedliśmy zupę ugotowaną dla wszystkich czy mleko z chlebem. Czasy były ciężkie, ale Rodzice byli bardzo dzielni, a serca mieli otwarte dla wszystkich potrzebujących.

Uciekinierzy z Warszawy, Sulejówka i innych miast znajdowali tu schronienie na dłuższy czas. Franciszka Szoplik z pobliskiej wsi przebywała tu przez całą wojnę, pomagając moim rodzicom i chroniąc się przed wywózką na roboty przymusowe do Rzeszy. Uciekający Żydzi wpadali po kęs chleba i trochę ciepła. Rodzice nikomu nie odmawiali. Każdy choć na moment mógł czuć się bezpieczny i mieć wrażenie, że chociaż przez chwilę ma dach i ciepły kąt, a potem ruszał dalej. Wszystko to było niebezpieczne, jak i czasy, w których to się toczyło. Gdy Niemcy opuścili kasztel, zamieszkało tam m.in. małżeństwo Pietrzykowskich z Sulejówka, których Niemcy wyrzucili z ich własnego domu. Z Warszawy przyjechała

Fot. 7. Przed domem w Olszynie nad Bugiem, od strony południowej na ganku. Od lewej stoją: p. Felicja, p. Urbańska – lekarz-dentysta, Janina Krykowska. Siedzą: Zofia Urbańska, trzymająca na kolanach Adasia Szczęsnowicza, niżej Rysio Krykowski i jego siostra Halinka (ze spuszczoną głową), obok Halinka Szczęsnowicz, przy ganku stoi Adam Krykowski. 1943 r.



Fot. 8. Gospodarstwo Krykowskich w Klimczycach-Kolonii, w Olszynie. Z prawej stoi Adam Krykowski, na koniu Franciszka Szoplik i Halinka Krykowska, na kieracie siedzą Zofia Urbańska oraz Halinka i Adaś Szczęsnowicze, z tyłu stoi Józef Pomorzak. 1942 r.

doktor Urbańska – lekarz stomatolog, z córką Zosią i gospożą Felicią, przybyło również dwoje emerytów – nazywali się Osieccy.

Z okresu wojny mam kilka wspomnień, które mocno utkwiły w pamięci.

Był rok 1940, może 1941. Okupacja niemiecka. Pewnego zimowego popołudnia – a było to w niedzielę – do moich Rodziców przyszli znajomi ze wsi Klimczyce: Kostaruk, Stefaniuk i Bartoszuk (jeśli dobrze pamiętam nazwiska, bo miałam lat sześć czy może siedem, imion ich nie zapamiętałam). W czasie takich odwiedzin toczyły się rozmowy na różne tematy: o gospodarstwie, o sytuacji w kraju, o wojnie, którą ogarnięty był nasz kraj, o niepewnym dniu dzisiejszym i każdym następnym. To wszystko było wielką niewiadomą. Każdy żył jedynie nadzieją, że nic złego się nie stanie. Kiedy dyskusje dobiegły końca, mężczyźni opuścili nas, aby udać się do swoich domów odległych o około kilometr drogi.

Tatęś mój, Adam Krykowski, odprowadzał gości do głównej drogi. Ja chwyciwszy Tatę za rękę, szłam dzielnie obok. W czasie tej krótkiej wędrówki (150 metrów) ujrzelśmy jadące ze wzgórka od strony sąsiada Zygmunta Goławskiego sanki. Koń pędził jak szalony, a tuman śniegu unosił się nad nimi. W pewnym momencie pojazd nagle zatrzymał się obok nas. Z sań wyskoczył Niemiec, chwycił od powożącego bat i wrzeszcząc coś po niemiecku, okładał wszystkich, gdzie popadło i kazał wsiadać na sanki. Powstał zamęt, nikt nie wiedział, o co chodzi. Ja zamarłam ze strachu, zostałam sama na drodze. Sanki pomknęły, były coraz dalej. Z okna naszego domu brat Ryszard obserwował przez cały czas, jak szliśmy drogą i ten zamęt z saniami. Gdy trochę odżyłam, rozejrzałam się niepewnie i ujrzałam w oddali Mamusię idącą od sąsiadów Pradyszczuków. Razem wróciłyśmy do domu, gdzie czekał na nas brat Ryszard. Opowiedziałyśmy Ryszardowi, co się stało. Mama będąc u sąsiadów dowiedziała się, że Niemcy poszukują „polskiego bandyty”, a nie mając pewności, kto to jest, zgarniają wszystkich napotkanych mężczyzn. Wszyscy pasażerowie nieszczęsnych sanek zostali zawiezieni na podwórko Grzegorza Sołtana¹.

¹ W domu Grzegorza Sołtana mieścił się posterunek Grenzschutz, straży granicznej. Obok domu był punkt obserwacyjny. – info. Olgierd Religioni, 10.09.2025 r. [red.]

Następujące relacje pochodzą od mojego Tatusia: – *Wszystkich czterech podchmielony alkoholem Niemiec ustawił w szeregu, cały czas krzycząc, belkocząc nie wiadomo co, odliczał kulki i ładował broń. Staliśmy się przestępcami, bandytami. Spojrzeliśmy ukradkiem jeden na drugiego, dając wzrokiem sygnał do ucieczki.*

Ile musieli mieć odwagi, samozaparcia? Życie w tym momencie stało się największą wartością. Nie byli pewni, czy ten uczyniony krok, ta decyzja podjęta w ułamku sekundy, ocali ich od śmierci. Wszyscy rozbiegli się, każdy w innym kierunku. Chowając się w nadbużańskich zaroślach, pędzili przed siebie, a potem dalej, dalej i dalej. Nikt nie był pewien zwycięstwa życia nad śmiercią. Nad Bugiem cały czas chodzili strażnicy. Ta ucieczka, ukrywanie się, unikanie spotkań z Niemcami trwały cały miesiąc. Tatuś tylko w nocy, upewniwszy się po dłuższej obserwacji zza drzew, że nie ma wroga, ukradkiem podchodził do domu, delikatnie stukał w okno. Mama, dzielna i odważna, zawsze czekała jak żołnierz na warcie. Często porozumienie było bez słów. Wystarczyło, że Tatuś żyje. Czasami wchodził do domu ogrzać się gorącą herbatą, posilić się, ucałować najbliższych i wziąć kawałek chleba pod palto, aby przetrwać. Miał dla kogo żyć. Rodzina, żona, dzieci. Ta myśl, że jest się odpowiedzialnym za kogoś, dodawała skrzydeł i nawet zimno, mróz trzeba było pokonać w jakimś parstku po ziemniakach czy w gęstych zaroślach. Nie pamiętam, czy „bandyta”, jak określali Niemcy, został schwytany, ale Tatuś wracał do domu coraz częściej.

Wojna wojną, wróg wrogiem, ale niektórzy Niemcy też byli ludźmi. Rodzice moi mieszkali jakieś 100 metrów od rzeki, bardzo blisko granicy. W naszej stodole, w której zgromadzona była słoma i siano, Niemcy urządzili sobie bezpieczne schronienie i patrole niemieckie często „zahaczały” o to miejsce. Był tu dobry punkt obserwacyjny na całą okolicę i granicę na Bugu. Krążyli nocami po podwórku i zaglądali w każdy kąt. Wszystko mogło się w tym czasie wydarzyć. A gdy był duży mróz, dobrze było zagrzebać się głęboko i zdrzemnąć nawet do rana. Pewnego ranka poszedł Tatuś po siano. Wbijając widły usłyszał krzyk. Włosy dęba stanęły na głowie. Cofnął widły, a z głębi sąsiedka wyszedł wystraszony

Niemiec. O mały włos byłby straszny wypadek. Niemiec jednak zachował się przyzwoicie, przyznał, że to przecież jego wina, a nie Tatusia. Ów Niemiec pochodził ze Śląska. Został powołany do wojska wbrew swojej woli. Rozpaczwał, że w domu została żona i dwoje dzieci. Też wołałby być z nimi, ale żołnierz musi słuchać rozkazu. Często pytał sam siebie: „Czy ja ich jeszcze kiedyś zobaczę?” W okresie świąt Bożego Narodzenia przyszedł w wigilię do naszych Rodziców z wódką i spędził ten wieczór razem ze wszystkimi przy stole, mówiąc ze łzami: „Ja też mam takie małe dzieci”. Za jakiś czas przyszedł się pożegnać, był rozkaz wymarszu na wschód. Nikt go więcej nie widział.

Pewnego dnia, nie pamiętam dokładnie, który to był rok, przyszła Żydówka z dzieckiem. Uciekała przed Niemcami. Błagała Mamę o pomoc – dziecko głodne, przewinąć trzeba. Niemcy kręcili się wszędzie. Mama nie namyślając się wiele, zaprowadziła ją do pokoju, aby przewinęła dziecko, a sama w kuchni szykowała mleko, aby nakarmić niemowlę. I wtedy do domu wszedł Niemiec. Zobaczył Żydówkę, chciał strzelać. Mama upadła na kolana, błagała o litość. Żołnierz wyprowadził Żydówkę z dzieckiem, nie było słychać strzału. Nie wiadomo, co się z nią stało. Podobnych sytuacji było bardzo dużo.

Często też nocą Żydzi podchodzili pod dom, stukali do okna, prosząc, aby przeprowadzić ich przez granicę. To było niemożliwe. Byłaby to pewna śmierć dla całej rodziny. Niemcy czuwali obok. Żydom nieraz udawało się na własną rękę przekroczyć granicę, pokonać druty kolczaste i po lodzie dotrzeć do wyspy, która często była ich ostatnią przystanią. Widziano potem, gdy rzeką płynęły kry, zamarzniętych ludzi na tych krach. Zbliżała się wiosna, a z nią straszna powódź.

Było lato 1944 roku. Wojska sowieckie zbliżały się. Oddziały niemieckie ściągały na nasz nadbużański teren od wsi Klimczyce do wsi Mężenin. Rozpoczęły się przygotowania do odparcia ataku, może do obrony. Na naszym terenie miała się rozegrać straszna bitwa pomiędzy Niemcami i Sowietami. Mieszkańcy pomagali przy kopaniu okopów. Wszyscy musieli opuścić swoje domy. Więc my wszyscy z kołdrami, poduszkami, ubraniami,

snopkami słomy i z zapasem żywności skryliśmy się w piwnicy w parku. Piwnica znajdowała się pomiędzy budynkiem kuchni a kasztelam. Były tam trzy pomieszczenia: dwa duże i jedno mniejsze. Nie pamiętam, ile tam przebywało osób, ale dużo, około 12 osób.

Konie, dwa piękne białe pólaryby, Tatuś zaprowadził do stajni dziadka Michała Nasiłowskiego. A w naszym gospodarstwie nad Bugiem pozostał inwentarz: świnie, krowy i 100 sztuk drobiu. Codziennie rano patrol niemiecki zaglądał do piwnicy, a jeden z Niemców prowadził moich Rodziców do opuszczonego przez nich obejścia, żeby nakarmili zwierzęta. To trochę jakby wzięte z bajki. Po tej czynności żołnierz odprowadzał Rodziców do piwnicy. Mama codziennie przynosiła mleko po rannym i wieczornym udoju i wszystkich głodnych karmiła. Była bardzo mądrą osobą. Przez całą wojnę suszyła chleb, bo nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Teraz ten chleb się przydał, było go kilka worków.

Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w tej piwnicy. Byliśmy szczęśliwi, że żyjemy. W tym czasie żołnierze niemieccy zarządzili w domach opuszczonych przez właścicieli. Mama miała bardzo dużo książek, a oni wyrzucili przez okno całą bibliotekę do ogrodu. Któregoś dnia padał ogromny deszcz, straszna ulewa była. Książki leżały na dworze kilka dni, a może dłużej. Wszystkie zostały zniszczone. Z tej gromady błota Mama uratowała tylko kilka, m.in. „Dzieła” Słowackiego i „Serce” Amicisa. Są zachowane do dzisiaj.

Bitwa się nie odbyła, front był gdzieś indziej. Niemcy byli dobrymi strategami. Wiedzieli, że to ich ostatnie dni pobytu na tym terenie. Rozkazali naszym rodzicom, żeby wybili wszystkie kury, kaczki itd., oskubali i upiekli. Było tego 100 sztuk. Pewnej nocy, gdy Sowietci przedarli się od wsi Klimczyce i szli w naszą stronę, Niemcy bezszelstnie wycofali się, zabierając pieczone kurczaki i dwa nasze piękne konie. Ślad po nich zaginął. Nadciągnęły tabory wojsk sowieckich. Szli na Berlin. Zaczynała się praca w polu. Żniwa. A koni nie było. Tatuś cały tydzień z kilkoma sąsiadami szukał po bliskich i dalszych lasach białych koni. Niestety, pozostały tylko wspomnienia i zdjęcia.

To były straszne przeżycia.

Od stycznia 1942 roku było nas w domu czworo dzieci w podobnym wieku: Halinka i Adaś Szczęsnowiczowie, mój brat Ryszard i ja. Mama przywiozła dzieci siostry mojego Taty. Mieszkali w Krzywdzie, gdzie ich ojciec był naczelnikiem poczty. Ich mama Maria Krykowska-Szczęsnowicz zmarła przed samą wojną. Ojca, Bronisława Szczęsnowicza, Niemcy aresztowali za działalność konspiracyjną i w 1942 roku zginął w Oświęcimiu.



Fot. 9. Uroczystość z I Komunii św. Grupka dzieci z Klimczyc-Kolonii przy grocie Matki Bożej z Lourdes. Wśród nich: rodzeństwo Krykowskich i Szczęsnowiczów. Z dziećmi ich matki. Sarnaki 1942 rok.

W czasie okupacji uczyliśmy się w domu. Co jakiś czas zmieniały się nasze nauczycielki. Jako pierwsza naszą nauczycielką została pani Pietrzykowska, była osobą wykształconą. I tak „nasza czwórka” rozpoczęła naukę w kl. I, potem w kl. II szkoły podstawowej.

Zgromadzeni przy jednym stole, z zapartym tchem słuchaliśmy wszystkiego, co płynęło z ust naszej pani. Uczyliśmy się czytać, pisać, liczyć, dodawać i odejmować. Wkroczyliśmy w etap nowego życia. Jakie mieliśmy książki – nie pamiętam. W 1942 roku rodzina Pietrzykowskich

powiększyła się o jedną małą istotkę i wyjechała do Sulejówka. W 1944 roku otrzymaliśmy od nich zdjęcia ze wspólnie spędzonych lat 1941-1942.

Po wyjeździe z Klimczyc naszej pierwszej, wspaniałej nauczycielki powstał problem: co dalej z naszą edukacją? Wtedy trafiły do nas panie Urbańskie.

Mieszkańcy Warszawy w dalszym ciągu opuszczali miasto i szukali bezpiecznego schronienia. Taka sytuacja zmusiła również rodzinę doktor Urbańskiej do ucieczki. Mieszkała w Warszawie na Woli, przy ul. Bema, a teraz znalazła spokojny kąt w domu moich Rodziców.

W krótkim czasie pani doktor przeniosła się do Sarnak i leczyła mieszkańcom zęby, a panna Zofia pozostała u nas i w ten sposób mogliśmy rozpocząć dalszą naukę już w klasie III i IV. Była młodą, wykształconą osobą i cudowną, jakże ukochaną panią Zosią.

Zdaję sobie sprawę z tego, że te nasze zajęcia z panią Zosią nie były tak prawdziwe jak w normalnej szkole, ale gdy w pamięci cofam



Fot. 10. Przed domem Krykowskich, w centrum Adam Krykowski, obok niego Franciszka Szoplík obejmuje Halinkę Szczęsnowicz i Rysia Krykowskiego, z lewej Zofia Urbańska z Halinką Krykowską, przed nimi Adaś Szczęsnowicz, 1943 r.



Fot. 11. Na ganku domu Krykowskich, od lewej: Zofia Urbańska, Halinka Krykowska i Halinka Szczęsnowicz, za nimi Franciszka Szoplik.

czas do lat dziecinnych, to wiem, że wszystko, co się działo, miało w naszym pojęciu zupełnie inny wymiar i było czymś nadzwyczajnym, było jak cudowny obraz namalowany pięknymi barwami i taki na zawsze pozostanie w naszych wspomnieniach. Jako dzieci nie zdawaliśmy sobie aż tak bardzo sprawy z tego, co dzieje się dokoła.

Wracając do zajęć lekcyjnych z ukochaną panią Zosią, wiem, że zdobyła jakieś książki zgodnie z wymaganiami kl. IV, ale najczęściej było ich brak i dlatego nasza wiedza nie była pełna, były luki. Najbardziej kulała matematyka. Braki wszelkiego rodzaju dało się odczuć w starszych klasach szkoły podstawowej i w szkole średniej. Patrząc oczami dorosłego człowieka, mogłoby się rzec, że ta nasza nauka była czymś, co przypominało trochę „zabawę w szkołę”. Jednak po głębszej analizie należy stwierdzić, że ta nasza pierwsza szkoła w domu rodzinnym rozbudziła w nas miłość do książek, do pracy i do zdobywania wiedzy w dorosłym życiu. Zawdzięczamy to wszystko kochanym Rodzicom, którzy mimo tragicznych warunków mieli zawsze na uwadze dobro swoich dzieci.

Pani Zosia uczyła nas do wiosny 1944 r. Na wiosnę wyjechała do Warszawy w związku ze śmiercią bliskiej jej osoby. Kontakt bliższy zerwał się, pozostały natomiast listy do Rodziców i zdjęcia. Patrząc z perspektywy lat na te fotografie, możemy chociaż przez moment powspominać dziecinne lata i wszystkie przeżycia.

Pustka zapanowała w domu. Pani Zosi nie było. Rodzice zmartwili się zaistniałą sytuacją, ale dowiedzieli się, że po sąsiedzku, w domu państwa Sylwesiuków mieszka niejaka pani Wilmowska z córką. Przyjechała z Warszawy po stracie męża. Była nauczycielką z prawdziwego zdarzenia. Bardzo ucieszyła się, że może prowadzić z nami zajęcia. Mogliśmy kontynuować naukę. Cieszyliśmy się wszyscy. Z wielką ochotą chodziliśmy na lekcje z nową nauczycielką, panią Wilmowską i razem z jej córką Alicją zdobywaliśmy wiedzę objętą programem klasy IV.

Wojna na naszym terenie skończyła się w lipcu 1944 r. My, dzieci, skończyliśmy również cztery klasy szkoły podstawowej, ale nie mieliśmy świadectw. W Bindudze, 2 kilometry od Klimczyc, uczył w szkole Jan Żmudziński, był kierownikiem szkoły i jedynym w niej nauczycielem. Rodzice zwrócili się z prośbą do niego o umożliwienie nam zdobycia świadectw z ukończenia klasy IV, aby móc kontynuować naukę w klasie V w Sarnakach.

Pan Żmudziński przeegzaminował nas i widocznie stwierdził, że możemy ze swoimi skromnymi wiadomościami przekroczyć próg prawdziwej szkoły, gdzie uczyli prawdziwi nauczyciele i były prawdziwe wymagania. Radość nasza była ogromna, ale wtedy okazało się, że „królowa nauk” – matematyka – to nie wierszyk, którego można nauczyć się na pamięć i recytować. Były kłopoty z przyswajaniem wiedzy.

Jednak nauczyciele rozumieli trudną sytuację pierwszych dni po odzyskaniu wolności w naszym kraju. Sami z bagażem różnych tragicznych przeżyć wojennych, pracowali sumiennie, dawali z siebie wszystko, aby pomóc uczniom wyrównać choć w części braki wiedzy, zdobywanej w domu na zajęciach prowadzonych przez „przypadkowych nauczycieli”. Trochę się więc umiało, trochę nie, ale dzięki wspólnej pracy, a często i wyrozumiałości nauczycieli, przechodziliśmy z klasy do

klasy. Uczyliśmy się z ogromną chęcią i staraliśmy się podążać za innymi, aby nie pozostać w tyle.

Do szkoły w Sarnakach mieliśmy 8 kilometrów drogi. Tę trasę trzeba było pokonywać pieszo dwa razy dziennie przez trzy lata aż do ukończenia szkoły podstawowej. Musieliśmy wstawać o godzinie 4.00 rano, przygotować się, zjeść śniadanie, zapakować kanapki do swoich torebek na drugie śniadanie – i około 6.00 rano wyruszaliśmy w czwórkę do wsi Klimczyce, dalej przez Bindugę, przez las Lipowiec i drogą do Sarnak.

Pamiętam, że w Klimczycach czekaliśmy na koleżankę Danusię Kostaruk, jej ciotecznego brata Edzia, na Witka Klopsa, Mietka Tomaszuka i innych. W Bindudze dołączali następni koledzy: Zenek Tomaszuk, Czesiek Felczuk i jeszcze kilkoro. Z Kózek przychodziła Teresa Klimiukówna, która potem też była nauczycielką, i jej starszy brat. Cała nasza gromadka wędrowała z Bindugi nieistniejącą już drogą koło kapliczki do Lipowca, przy kapliczce w lesie wychodziliśmy na drogę główną i dalej do Sarnak. Powrót również pieszo. Nigdy nie spóźniliśmy się. Byliśmy bardzo obowiązkowi. Okres zimowy szczególnie był trudny w pokonywaniu dużych odległości. Drogi zawiane, ogromne zasy, mróz trzaskający. Nie było autobusów. Byliśmy jeszcze dziećmi, a 8 kilometrów w jedną stronę i droga powrotna do domu – to nie bagatela.

W okresie zimowym czekał na nas w szkole woźny Tomasz Rudnik z kluczami, żeby otworzyć drzwi. Dbał o to, by nikt nie przeziębził się. W piecach zawsze już było napalone. Jesteśmy mu za to wdzięczni. Gdy drogi bardzo zawiąło, a metrowe zasy nie pozwalały małym dzieciom dostać się do szkoły, mieliśmy możliwość pobytu na stacji, może miesiąc lub dłużej. Mieszkaliśmy wtedy u wspaniałych ludzi, Janiny i Tomasza Rudników. Mieszkali blisko szkoły. U nich i pod ich troskliwym okiem czuliśmy się jak w rodzinnym domu. Ich stanowczość i jednocześnie dobroć nie pozwalały nam odczuwać braku Rodziców. Będąc w klasie VII mieszkaliśmy w okresie zimy w innym domu, u pana Pirwitsza, który był piwowarem w sarnackim browarze. Również miło wspominaliśmy ten czas. Klasę VII kończyliśmy bez Halinki i Adasia Szczęsnowiczów. Po rozpoczęciu roku szkolnego pojechali

do babci Antoniny Krykowskiej, do miasta Brzeziny koło Łodzi. Przyjechał po nich wujek Edzio – brat Tatusia.

W szkole w Sarnakach, w której uczyliśmy się od 1944 do 1947 roku, pracowali wspaniali nauczyciele. Wymagali od nas, ale z siebie dali wszystko, żeby przekazać nam jak najwięcej wiedzy. Pani Melania Przesmycka, nasza wychowawczyni w kl. VI – ciepła, czuła, rozumiejąca życie i ludzi. Pani Helena Erchardowa, wychowawczyni w kl. V – dobra, wrażliwa, delikatny uśmiech gościł na jej twarzy. Uczyli nas również Tadeusz Ostrowicz – który był kierownikiem szkoły, jego żona Adela Ostrowicz, Anna Tomaszukowa. Wstyd się przyznać, ale równania i inne działania matematyczne nie bardzo mogły zmieścić się w mojej raczej humanistycznej głowie. Modliłam się po cichu, aby nauczyciel nie wezwał mnie do tablicy. Takie problemy miało wielu uczniów.

Chociaż wojna na naszym terenie zakończyła się w połowie 1944 roku, życie nie było jednak sielanką. Czasy powojenne były niepewne i trudne. Tworzyła się nowa historia.

W naszej okolicy działali partyzanci. Poszczególne grupy przemieszczały się, ukrywały, prowadziły walki, a mieszkańcy uczestniczyli w ich życiu, pomagając im. Jednym z takich ludzi był Marian Pradyszczuk z Kolonii Klimczyce. Wiele, wiele lat po wojnie opowiedział o jednym ze strasznych wydarzeń ze swego życia. Wielokrotnie ścigały go władze UB, a on uciekał, ukrywał się, był wciąż śledzony. Zawsze udzielał pomocy polskim partyzantom na przekór tym, którzy tego nie akceptowali, nie zgadzali się. Jednak pewnego razu nie udało się. Grupa wojska urządziła zasadzkę. Przyszli od strony Kazimierza Sołtana, bezszelestnie dotarli do zabudowań Pradyszczuków, otoczyli dom i wtedy udało się im. Z wielką satysfakcją, dumni z siebie, że mają nareszcie poszukiwanego od tylu miesięcy „bandytę”, jak określali, poprowadzili go drogą w stronę wsi Mężenin.

Była to odległość 3 kilometry drogi. Jeden z żołnierzy kroczył pierwszy, za nim szedł Marian Pradyszczuk, w pewnej odległości za nim grupa kilku

wojskowych z karabinami gotowymi do strzału zamykała ten pochód. O czym rozmyślał pan Marian, idąc na śmierć? Zawsze miał przy sobie różaniec. Zawsze modlił się do Matki Boskiej, prosząc o opiekę i ratunek. Wierzył, że Bóg nie opuści go i w tej chwili. Po długiej wędrówce dotarli do Mężenina, do zabudowań pewnego gospodarza. Weszli na podwórko, skąd było wejście do domu, a dwa metry od progu stała dość duża psia buda, przy której ujadął pies na krótkim łańcuchu. Często tak się zdarza, że w ułamku sekundy, w chwili zagrożenia życia, wpada do głowy myśl, która nigdy nie powstałaby w normalnych warunkach. Żołnierz, który prowadził Mariana Pradyszczuka, jako pierwszy wszedł do domu, a pan Marian, nie widząc idących daleko za nim żołnierzy, wskoczył do psiej budy i tam się schował. Pies, na pewno zdezorientowany całą sytuacją, szczekał jeszcze głośniejsze, ale nie na „gościa” w budzie, tylko na żołnierzy, którzy pojawili się na podwórku. Jakby w nich piorun strzelił, nie wiedzieli, co się stało z „bandytą”. Rozbiegli się. Szukali wszędzie, wracali pod dom, zaglądali tu i tam, a pies nadal szczekał w ich stronę, broniąc niewinnego. Tym razem udało się uniknąć śmierci.

Wiele razy w życiu pana Mariana zdarzały się podobne sytuacje. Moi Rodzice mieszkali jeszcze wtedy nad Bugiem w Olszynie, mieli duży dom z trzema gankami i długim korytarzem wewnątrz. Podłoga była z desek. Właśnie pod tą podłogą w korytarzu pan Marian przesiedział dwa tygodnie, ukrywając się przed ścigającymi go żołnierzami. Wszyscy starali się pomagać sobie wzajemnie w różnych tragicznych sytuacjach, nie patrząc na skutki, jakie mogłyby nastąpić w razie nieudanej akcji.

Wiosną 1946 roku Bug tak mocno wylał, że nie mogliśmy już mieszkać w swoim domu, bo woda zalała całe obejście. Przenieśliśmy się do zabudowań dworskich. Pałac w parku i kuchnia były bardzo zniszczone podczas wojny, zostały rozebrane jeszcze w czasie jej trwania. Zamieszkaliśmy razem z dziadkiem Michałem w kasztelu, tym bardziej, że dziadek był już wdowcem, miał 76 lat i wymagał opieki. Kasztel też był poszarpany. Dach przeciekał w całości, mury popękane, ramy w oknach uszkodzone, szyby powybijane, tynk poodpadał, cegły w murze

powybijane. Ogólna ruina. Trzeba było powoli doprowadzić budynek do takiego stanu, aby można było w nim normalnie żyć.

W 1947 roku, po ukończeniu klasy VII, znaleźliśmy się z bratem Ryszardem w Siedlcach. On rozpoczął naukę w liceum ogólnokształcącym, a ja w pedagogicznym. To był „skok w bardzo głęboką wodę”, nie poradziliśmy sobie, pozostając na drugi rok. To było bardzo przykre dla Rodziców i dla nas. Postanowiliśmy zmienić miejsce nauki. W następnym roku brat dostał się do Liceum Pszczelarskiego w Pszczelej Woli, a ja do Liceum Pedagogicznego w Piotrkowie Trybunalskim (tam mogłam mieszkać u krewnych).

W 1953 roku ukończyłam liceum i w Piotrkowie Trybunalskim odrobiłam roczny staż pracy pedagogicznej. Jesienią zmarł dziadek. Rodzice sami gospodarowali, prowadzili też sad. Starzeli się. Na ich prośbę przyjechałam do Klimczyc w 1968 roku. Od kilku lat mi mówili: „Musisz wrócić do domu”. Po załatwieniu różnych formalności udało się zmienić miejsce pracy i powrócić do rodzinnego domu. Od 1 września 1969 roku rozpoczęłam pracę w Szkole Podstawowej w Lipnie. Uczyłam języka polskiego i innych przedmiotów, gdy była taka potrzeba. W okresie jesiennym i wiosną razem z dwojgiem swoich dzieci dojeżdżałam codziennie do szkoły, podczas zimy mieszkaliśmy w Lipnie. Zimy były bardzo mroźne i śnieżne. Przepracowałam tu 15 lat. W 1984 roku ze względu na zdrowie odeszłam na emeryturę.

Rodzice moi coraz bardziej podupadali na zdrowiu. Kilkakrotnie byli w szpitalach. Tatuś zmarł w czerwcu 1978, Mama w kwietniu 1983 roku. W tych trudnych dla mnie chwilach wspierali mnie bliscy: brat Ryszard, syn Ryszard, Krysia i Tadeusz Nasiłowscy, którzy mieszkali na sąsiedniej posesji. Bardzo pomocni i życzliwi okazali się także sąsiedzi. Miałam wspaniałych sąsiadów: Marian Pradyszczuk, Sabina Wilhelm, Witek Sołtan, Wiesio Żmudziński, Janusz Łopatniuk i inni. Takich rzeczy nie zapomina się nigdy.

W 1980 roku rozpoczęłam przygotowania do remontu domu. Chciałam ocalić od ruiny dom piękny, wybudowany jeszcze przez dawnych właścicieli Podczaskich. To jest zabytek. Po drugie, to był dom mój i moich dzieci, chciałam zostawić im coś po sobie. Pojechałam do Białej Podlaskiej (wtedy to było miasto wojewódzkie) i w urzędzie zajmującym się zabytkami załatwiłam potrzebne sprawy, dokumenty, kosztorys. Musiałam też znaleźć specjalistów i rozpocząć prace, które według wielu ludzi były – jak na moje siły – niewykonalne. Mimo ogromnych trudności sprostałam temu zadaniu i w 1985 roku szczęśliwie dotarłam do końca remontu.

Czas leci nieubłaganie. Mam wspaniałe dzieci i wnuki. Kocham bardzo swoją rodzinę. Starość nadeszła, a z nią różne dolegliwości. W sierpniu 2024 roku ukończyłam 90 lat. Często wspominam przeszłość i zapisuję te wspomnienia. Będąc w liceum pisałam wiersze, do tej pory zachował się zeszyt z tymi wierszami. Od kilku lat ponownie piszę. Gdy patrzę na piękne stare drzewa w dawnym parku dworskim, na kwiaty, które na wiosnę dekorują cały park – budzą się w moim sercu uczucia tęsknoty za



Fot. 12. Kasztel na tle dawnego parku dworskiego, przed nim współczesny sad owocowy. 2000 r.

tym, co przemija – i bólu, że nie wiemy, czy będziemy świadkami nadchodzącego jutra. Swoje uczucia do otaczającej nas przyrody wyraziłam w wierszu „Moje tęsknoty”:

Moje stare lipy, pochylone graby
I wysmukłe klony o rozłożystych konarach,
W dni upalne i gorące dajecie wszystkim tyle cienia,
Wyteżam wzrok, patrzę, podziwiam i kocham was
Całym sercem, bo tak pięknie nigdzie nie ma.
To było tak dawno, minęło wiele dziesiątek lat,
Ale w mojej pamięci pozostał ten park z szerokimi alejami,
Po których jako dziecko kroczyłam wśród potężnych drzew,
Lecz ten cudowny widok gaśnie z mijającymi latami.
Dzisiaj te drzewa, choć stare, też dumnie pną się do nieba,
Cofnij więc pamięć w odległe czasy – namaluj obraz,
Opraw swe dzieło w ramki, powieś na frontowej ścianie
Wśród wielu innych najdroższych pamiątek.
Udekoruj przywołanymi wspomnieniami swój cichy kątek.
Gdy już będziesz siwiuteńka, nie dasz rady chodzić,
Nie pójdziesz żadną dróżką, ścieżką czy alejką,
Wtedy siądziesz cichutko w starym fotelu, uruchomisz
Wyobraźnię, przywołasz tęsknotą wspomnienia,
Pamięć wyślesz w minione odległe lata.
Niech tak jak ty kiedyś wędruje samotnie alejkami,
Niech patrzy, cieszy się, wspomina w myśli, aż serce zapłacze.
Przyjdzie taki dzień, taki czas, że wszystko się skończy,
A tego, co było, już nigdy nie zobaczę.
Takie to jest życie, takie właśnie życie,
Dziś jesteś, jutro cię nie będzie, uwierz w to skrycie.
Tak chciałoby się jeszcze trwać, jeszcze być,
Błądząc po zakamarkach wspomnień tu i tam,
Chciałoby się wzrokiem i sercem ogarniać świat i żyć.
Takie były, takie są i takie będą marzenia

Wszystkich ludzi na tym świecie – ale często
Pozostają tylko ciche echa marzeń – to są wspomnienia.

Halina Sulej z d. Krykowska – ur. w 1934 r., nauczycielka, polonistka, sadowniczka, wnuczka Michała Nasiłowskiego, właściciela majątku Klimczyce Ferma. Ukończyła wyższe studia zawodowe z filologii polskiej (licencjat), studium przedmiotowo-metodyczne, dwuletni kurs bibliotekarski i trzyletni kurs rolniczy. W latach 1954-1969 pracowała w Szkole Podstawowej w Olszycu Szlacheckim, prowadziła teatr szkolny, przez 5 lat była kierownikiem tej szkoły. W latach 1969-1984 – uczyła j. polskiego w Szkole Podstawowej w Lipnie. Za swoją pracę pedagogiczną otrzymała: Złoty Krzyż Zasługi (1976), Medal Komisji Edukacji Narodowej (1984), nagrody Ministra Oświaty (1974, 1979, 1984).

Pomagała synowi prowadzić sad w Klimczycach-Kolonii. Ma dwoje dzieci i czworo wnuków.

Witold Jaszczuk

Rzewuski w czasie wojen

Tekst stanowią fragmenty książki „Z mroku dziejów nasz początek”, napisanej w 2025 roku przez mieszkańca wsi Rzewuski, Witolda Jaszczuka. Autor ma już 83 lata i całe życie spędził w rodzinnej wsi, kontynuując rolnicze tradycje swoich przodków. Tak wyjaśnia genezę książki: „Rzewuski to mała wieś w gminie Sarnaki, powiecie łosickim, województwie mazowieckim. Liczy około 130 mieszkańców, głównie rolników. Od początku swego istnienia należy do parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Sarnakach.

Na pozór niewiele się w niej dzieje. Ale jak w każdej społeczności, historia wsi zawiera sporo różnych ciekawych zdarzeń, a wśród jej mieszkańców znaleźć można osoby, które zapisały się w dziejach nie tylko najbliższej okolicy. Dlatego postanowiłem „wydrzeć” ją z mroku dziejów i przeszłość naszej wsi przekazać współczesnemu pokoleniu.

Materiał do tej pracy miałem skromny. Trochę wiadomości rodzinnych i mimowolnie usłyszanych opowieści od nieżyjących już wiekowych mieszkańców Rzewuszek. Nie wszystkie udało mi się zapamiętać. Niektóre opowiadania były chaotyczne. Tylko dzięki wydrukowi z akt parafialnych mogłem je uporządkować chronologicznie. W niektórych wydarzeniach uczestniczyłem lub je obserwowałem. Korzystałem także z dostępnych materiałów na temat historii regionu”¹.

Drukujemy fragmenty dotyczące I i II wojny światowej, widzianych z perspektywy mieszkańców podlaskiej wsi.

¹ W. Jaszczuk, *Z mroku dziejów nasz początek*, Rzewuski 2025, s. 7.

Pierwsza wojna światowa

Gdy wybuchła I wojna światowa, nasze tereny znajdowały się jeszcze pod zaborem rosyjskim. W Rzewuszkach zostali zmobilizowani do armii carskiej: Paweł Wawryniuk, Hieronim Wawryniuk, Stanisław Szeweluk, Józef Szoplik i kilku innych. Razem z nimi pojechał na punkt zborny do Siedlec Józef Wawryniuk z Lipna. Ale Józef na punkt zborny się nie stawiał. Poszedł do kościoła, pomodlił się i wrócił do domu. Żandarmeria wojskowa poszukiwała go jako dezertera. Do Lipna żandarmi przyjeżdżali najczęściej w nocy. Żona Józefa, Aniela, chcąc opóźnić ich wejście do domu, przeklinała żandarmów, krzyczała, że straszą jej dzieci, a mąż pojechał do Siedlec i od tamtej pory go nie widziała. W końcu musiała otworzyć, bo grozili, że wyłamią drzwi. W tym czasie Józef był już na strychu. Dach był kryty słomą poczerniałą ze starości. Dezertier wyjmował zatrześniak², włożył na dach i zakrywał otwór za sobą. Przy wschodniej stronie domu rósł olbrzymi wiąz. Gałęzie tego drzewa zasłaniały niemalą część dachu. Józef krył się w ich gąszczu. W czasie jednej nocy żandarmi zagrozili, że jeżeli Józef się nie ujawni, to spalą zagrodę. Rozpalili na podwórzu ogień, ale w końcu odjechali. Wtedy sąsiedzi natychmiast ognisko ugasili. Józef odziedziczył ten dom po ojcu Michale. Za życia Michała mieściła się w nim szkoła³.

Po przybyciu okupantów niemieckich w połowie 1915 roku Józef przestał się ukrywać.

Rosjanie ustępując z Królestwa zabierali urzędników, szczególnie prawosławnych, i wszystko, co miało jakąś wartość, inwentarz żywy, urządzenia techniczne. Na końcu tabor kolejowy razem z obsługą. Małżonka Jacka Ludwiczuka z Rzewuszek, Helena z domu Szeweluk opowiadała tak: *Mój ojciec pracował na kolei, dlatego chociaż byliśmy*

² Zatrześniak – snopek słomy zakrywający otwór w dachu krytym strzechą.

³ W latach 1868-1872 w domu Michała Wawryniuka w Lipnie mieściła się szkoła gminna, będąca szkołą rzymsko-katolicką z polskim językiem wykładowym. Lokal wynajmowano za 15 rubli rocznie. Później szkoła została przeniesiona do Sarnak, którym władze carskie odebrały prawa miejskie w ramach represji po powstaniu styczniowym i włączyły jako osadę do gminy Chlebczyn.

katolikami i Polakami, wywieziono nas w głąb Rosji. Mówiła, że dobrze poznała Moskwę, ponieważ kilka lat tam zamieszkiwali. Ojciec pracował na kolei. Ona była już pełnoletnia, zatrudniono ją w fabryce. Z początku źle nie było, pieniądze mieli. Rosjanie to wesoły naród (potańcówki, harmoszka). Niektórzy Polacy, szczególnie młodzi, mieli zamiar tam zostać. Potem zaczęły się bunty, w Moskwie zapanował głód. Matka zachęcała młodsze rodzeństwo Heleny do spania, bo wtedy dzieci nie dopominały się jedzenia. Po rewolucji październikowej⁴ pozwolono im odjechać do Polski.

Po wkroczeniu na Podlasie Niemcy rozwinęli swoją gospodarkę rabunkową. Położenie tutejszej ludności stawało się tragiczne. Żołnierze niemieccy przeprowadzali rewizje i zabierali ludziom wszystko, co im się podobało, także inwentarz: konie, krowy, świnie. W Rzewuszkach jeden Niemiec szedł od domu do domu przez wieś i wyrzucał wszystko z kuferków. Wtedy szafy ubraniowe posiadali tylko najbogatsi. On niczego nie zabierał. Ale za nim wchodziło do mieszkania dwóch Niemców, którzy z całej wsi zabrali tkane domowym sposobem płótno lniane, prawdopodobnie na opatrunki dla rannych.

W Sarnakach w niemieckiej komendanturze służył oficer o nazwisku Wizner. Często bywał w Lipnie, ponieważ w tej wsi upatrzył sobie kochankę. Mąż jej walczył w Prusach Wschodnich i jako rosyjski żołnierz dostał się do niewoli niemieckiej po bitwie pod Tannenbergiem. W czasie jego nieobecności ona zabawiała się z Wiznerem. Ksiądz Krzewski chodząc z tacą nie przyjął od niej datku, mówiąc: *Naprzód się popraw, a potem złożysz ofiarę.*

W Prusach Wschodnich dostał się do niewoli mieszkaniak Rzewuszek Józef Szoplik. Opowiadał, że Niemcy dali jeńcom takiej stawy, że ci co jedli, poumierali. On przeżył, bo nie jadł. Pomimo że był głodny, ta strawa nie przeszła mu przez gardło.

⁴ Powroty z bieżństwa – ewakuacji w głąb Rosji nie nastąpiły od razu po wybuchu rewolucji, było to możliwe dopiero po zakończeniu I wojny światowej. Rozpoczęły się już w 1918 r., większość nastąpiła w latach 1921-1922. Ciekawie o bieżństwie i pobycie w Rosji pisze Jan Kondracki we wspomnieniach „Dziennik tułacza (Moskwa 1917-1918)”, wydanych w 2008 r.

Przed rokiem 1917 wrócił z wojny do Rzewuszek sierżant Stanisław Szeweluk. Zmobilizowany przebywał w Rosji. Narzekał, że źle mu się wiodło. Po przybyciu udawał, że nie ma z czego żyć. Pożyczał od niektórych mieszkańców Rzewuszek drobne sumy pieniędzy, rzekomo na przeżycie. Po wojnie przyjechał go odwiedzić kolega z okolic Huszlewa, z którym Stanisław przebywał w Rosji. Przyjechał bryczką zaprzęzoną w piękne konie, wyglądał na człowieka, któremu wiodło się dostatnio.

Około 1960 roku syn Stanisława, Ludwik Szeweluk, podczas rozbioru starego domu znalazł 40 tysięcy rubli papierowych. Okazało się, że Stanisław Szeweluk wrócił z Rosji z dużym majątkiem. Na pewno w czasie wojny nastąpiła niemała inflacja, ale jeszcze w tamtym czasie ruble miały jakąś wartość. On nie potrafił ich wykorzystać. Być może jeszcze wtedy nie wierzył w upadek carskiej Rosji.

Wojna 1920 roku

Wśród kilku poborowych do Wojska Polskiego wstąpił na ochotnika Józef Gumienniczuk syn Andrzeja. Brał on udział w wyprawie Piłsudskiego na Kijów. Według jego opowiadania Polacy spod Kijowa się wycofali, ponieważ dostarczona amunicja nie pasowała do karabinów, w które żołnierze polscy byli wyposażeni.

Podczas odwrotu los zrzucił, że pułk, w którym on służył, przechodził przez Rzewuski. To musiało być na początku sierpnia 1920 roku, bo wtedy toczyły się walki z bolszewikami na naszym terenie. Według opowiadającego tę historię, żołnierze tego pułku opuścili naszą wieś nie stawiając oporu⁵, ale Józef Gumienniczuk się zatrzymał, oparł karabin na słupku od płota i zaczął strzelać do bolszewików. Żadnego nie trafił, ponieważ odległość była zbyt duża. Kiedy się zorientował, że z polskich żołnierzy we wsi pozostał tylko on, schował się na wyżkach

⁵ Wydaje się niemożliwe, aby polscy żołnierze uciekali bez walki. W pierwszym tygodniu sierpnia 1920 r. w okolicy Sarnak toczyły się zacięte walki między Polakami a bolszewikami. Sarnaki kilka razy przechodziły z rąk do rąk, poległo też sporo żołnierzy z obu stron.

(na poddaszu) w swojej obórcie. Kiedy Rosjanie po Bitwie Warszawskiej⁶ zaczęli bezładnie uciekać, Józef włożył swój mundur i dołączył do pułku, który przechodził w pobliżu.

Na początku sierpnia 1920 roku, tuż przed inwazją bolszewików, do Rzewuszek od strony Lipna przybiegli dwaj młodzi polscy żołnierze. Jeden z nich, zobaczywszy podeszłego w latach gospodarza Antoniego Wawryniuka, rzekł z galicyjskim akcentem: *Zaraz będzieci mieli tu bolszewika*. Na to patriotycznie nastrojony mieszkaniec naszej wsi zapytał: *To jak wy wojujecie?* Młody żołnierz zastanowił się: *Jak ja wojuję? Mnie dwa tygodnie poćwiczyli i na front wysłali. Ja jeszcze nie potrafię karabina nosić*.

Żołnierze byli głodni. Wpadli do najbliższego domu i nie pytając, zjedli stojące na kuchni zimne kartofle. Za nimi przyjechał kozak na koniu, pewnie zwiadowca. Zapytał Teodora Chwedorczuka, czy we wsi są polscy żołnierze. Gospodarz odrzekł, że nie ma. W tym czasie wyszedł z domu ten, który mówił, że nie potrafi nosić karabinu i strzelił. Ranny Rosjanin skręcił na drogę do Sarnak. Jechał jeszcze około dwa kilometry. Za torami kolejowymi próbował się bandażować i zmarł. Tam go mieszkańcy Rzewuszek pochowali, około 100 metrów od kolei⁷.

Następnego dnia do wsi wkroczyli czerwonoarmiści. Kobiety zebrały się w domu Szoplika na modlitwę. Niektóre płakały. Gdy o tym się dowiedział Antoni Wawryniuk, stolarz, który przed I wojną światową uciekł z Warszawy i zamieszkał w Rzewuszkach, rzekł: *Głupie baby, bolszewicy im wolność niosą, a one płaczą*.

Rosjanie w naszej wsi zachowywali się grzecznie. Opowiadali, jaki oni tu porządek robią. „Komandir” tłumaczył chłopom: *Przyszliśmy was wyzwolić spod władzy panów. Bogaci muszą się podzielić swoim dobrem z biednymi*. Na to jeden z mieszkańców odpowiedział, że ich reformy są niewykonalne, ponieważ w naszej wsi nie ma bogatych.

⁶ Bitwa Warszawska, nazywana Cudem nad Wisłą, decydująca bitwa wojny polsko-bolszewickiej, rozegrała się w dniach 13-25.08.1920 r. pomiędzy nacierającą na Warszawę i na północny zachód od niej Armią Czerwoną a Wojskiem Polskim.

⁷ Miejsce to wskazał w 1966 r. mieszkający w pobliżu Władysław Bogdaniuk.

Jednocześnie Armia Czerwona zajęła wszystkie okoliczne miejscowości: Sarnaki, Chlebczyn, Lipno, Kisielew, Bużkę, Franopol i wioski nadbużańskie. Między Lipnem a Chlebczynem na polu „Czerwianka” doszło do starcia między Polakami a Rosjanami. Byli zabici i ranni. Cóрка Józefa Wawryniuka, Klementyna⁸, opowiadała, że miała wtedy już dziewięć lat i dobrze zapamiętała rannych żołnierzy polskich, którzy leżeli w Lipnie w stodole jej chrzestnego, Leona Kazimierczaka. Prosilili oni, żeby kobiety i dzieci przy nich czuwały, niektórzy byli w ciężkim stanie i zmarli.

Jednym z tych żołnierzy był Zygmunt Kamiński, urodzony w 1896 roku w Myszyńcu student Uniwersytetu Warszawskiego, służący w 1 Pułku Aeronautycznym. Został on ciężko ranny nieopodal Lipna, a mieszkająca w pobliżu rodzina Leona Kazimierczaka (wujostwo pierwszego biskupa drohiczyńskiego, Władysława Jędruszaka) zaopiekowała się nim, lecz nie miał szansy przeżyć. Umierając 5 sierpnia 1920 roku, poprosił gospodarza o powiadomienie rodziny o jego śmierci i miejscu tymczasowego pochówku. Kazimierczakowie dotrzymali słowa. Bliscy Zygmunta przybyli na Podlasie w październiku 1920 roku, po ustaniu działań wojennych, aby pochować go w godnym miejscu, w głównej alei na cmentarzu parafialnym w Sarnakach. Klementyna Wawryniukówna była świadkiem, jak dokonano ekshumacji tego żołnierza z grobu tymczasowego przy drodze z Lipna do Sarnak. Zapamiętała, że przyjechali elegancko ubrani ludzie, był z nimi jakiś wojskowy i ksiądz⁹.

W 2021 roku jego grób przykryto kamienną płytą i umieszczono na nim tablicę epitafijną, a w intencji żołnierza została odprawiona msza święta w sarnackim kościele¹⁰.

⁸ Klementyna Jaszczuk z d. Wawryniuk (1911-1996) – matka autora.

⁹ W ekshumacji i pochówku żołnierza uczestniczyli ojciec Walenty i siostra Zofia kpr. Zygmunta Kamińskiego oraz jego starsi bracia: kpt. artylerii WP Wacław Kamiński i dziekan płocki ks. kan. Władysław Kamiński (1886-1963), wówczas kapelan wojskowy.

¹⁰ A. Wasilewska, *Godnie uhonorowany*, „Niedziela Podlaska” nr 34 z 22.08.2021, s. I. Fundatorami były Towarzystwo Miłośników Ziemi Sarnackiej i Towarzystwo Miłośników Torunia.

Józef Wawryniuk z rozkazu bolszewików podwoził rannych Rosjan do Łysowa. Jeździł przez las Kisielewuszczynę. Pilnowany był przez kozaka, który jechał za nim na koniu. Pewnego razu spotkali w lesie czerwonoarmistę, który jechał w odwrotnym kierunku. Obaj Rosjanie się zatrzymali i tak się zagadali, że Józef odjechał już spory kawał drogi. Nie wioził rannego, ponieważ wracał już do Lipna, dlatego skręcił z głównej drogi w las. Zatrzymał się, bo ówczesne wozy wydawały wyraźny odgłos. Słyszał, jak eskortujący Rosjanin krzyczał za nim: *hop! hop!*, ale go nie znalazł. Potem Józef odjechał dalej w las, wóz schował pod gromadę drzewa opałowego złożoną przez mieszkańca Tokar, a do domu wrócił tylko z koniem. Po ustąpieniu bolszewików miał problem z odzyskaniem wozu, ponieważ gospodarz z Tokar nie bardzo chciał oddać.

Oddział bolszewicki w Lipnie miał łączność przewodem naziemnym z oddziałem stacjonującym w Kisielewie. Przewód ten leżał między innymi na ogrodzie Władysława Wasiluka w Lipnie. Żona jego Marianna ten przewód przecięła nożem. Skutek był taki, że obydwa oddziały zaczęły wzajemnie się ostrzeliwać. Po obu stronach byli zabici i ranni.

Małżonka Mikołaja Wawryniuka z Rzewuszek, Teofila, w roku 1920 mieszkanka Kisielewa, opowiadała o zdarzeniu, które miało miejsce w dniu święta Przemienienia Pańskiego (6 sierpnia). Była ona świadkiem, jak do domu jej ojca w Kisielewie przynoszono rannych Rosjan. Z jednego krew tryskała jak z fontanny. Pewnie miał uszkodzoną tętnicę. Położono go, zatamowano krew. Pas jego z pistoletem położono na krześle. Ranny poprosił Teofilę, żeby mu podała pistolet. Ona sięgnęła, żeby mu podać. Na szczęście wszedł sanitariusz i zabrał pistolet, żeby ranny nie odebrał sobie życia.

Po zajęciu Chlebczyna komendant oddziału kazał sołtysowi zrobić podwyższenie z desek, coś w rodzaju trybuny. Zwołano mieszkańców wsi. Bolszewik wszedł na trybunę i zaczął przemawiać do „ludu pracującego”. Mówił, że w Rosji obalono rządy panów, a oni przyszli tutaj, żeby bronić praw robotników i chłopów. Polacy nie muszą się ich bać. Oni tylko zaprowadzą tu sprawiedliwość. Ci, którzy mają więcej niż dwie krowy, muszą się podzielić z tymi, którzy nie mają inwentarza.

Mieszkaniec Chlebczyna Bartoszek dyskutował w tym czasie z ludźmi pod trybuną. Zauważył to „komandir” i zaprosił go, żeby przemówił do zebranych. On nie był przygotowany i rzekł: *Cóż ja wam powiem, moi kochani? Jak wszyscy, tak i ja.* Zszedł z trybuny i wmieszał się w tłum.

O walkach z bolszewikami na naszym terenie w 1920 roku pisał Janusz W. Nowosielski w książce „Ziemia Sarnacka 1900-1920” w rozdziale „Walki na Ziemi Sarnackiej na początku sierpnia 1920 r.”.

Rzewuszki w czasie II wojny światowej

W marcu 1939 roku kilku rezerwistów zostało powołanych do wojska. Między innymi Józef Jaszcuk, ale on po pewnym czasie został zwolniony do domu. 1 września 1939 roku przysłano mu wezwanie ze stawieniem się natychmiastowym. Po jego odjeździe sołtys powiadomił jego małżonkę Klementynę Jaszcuk, a także wszystkich gospodarzy, którzy mieli konie i wozy, że ze swoim sprzężajem mają jechać na punkt zborny do Łysowa. Tam komisja miała gromadzić ten sprzęt na potrzeby wojska. Sołtys przyszedł do gospodarstwa Jaszcuków, pomógł zaprząć konie i kazał jechać. Klementyna była przestraszona, ponieważ konie były młode, dwulatki. Odetchnęła z ulgą, kiedy spotkała na drodze pracownika Józefa Szummera o nazwisku Kłopotek, który w tym samym celu jechał końmi swego pryncypała. Kłopotek zapewnił ją, że w razie kłopotu z końmi on jej pomoże. Cały czas jechała za nim. Do Łysowa dojechali szczęśliwie.

Działała tam już komisja, która pozyskiwała konie i wozy dla wojska. Jakość wozów oceniał mieszkaniec Sarnak Kondraciuk, chyba na imię miał Dominik. Sołtys z Rzewuszek już tam był. Podeszedł do Kondraciuka i prosił, żeby nie zabierał wozu Klementynie. Tłumaczył, że jej mąż pojechał już na wojnę, to niech zostanie chociaż wóz. Kiedy podjechała do komisji, Kondraciuk stwierdził, że wóz jest zniszczony i dla wojska się nie nadaje. Wtedy podeszedł sierżant, obejrzał wóz i kazał Klementynie czekać do wieczora. Jak nie będzie tylu wozów, ile on potrzebuje, to jej wóz zostanie zabrany. Konie zostały zwolnione, ponieważ dwulatki dla wojska były nieprzydatne. Klementyna odjechała na bok i czekała kilka godzin.



Fot. 1. Konie, którymi uciekała Klementyna Jaszczuk podczas niemieckiego nalotu na Łysów, 1939 r.

Nadleciały niemieckie samoloty, zaczęły ostrzeliwać zgromadzonych. Wszyscy wpadli w panikę. Natychmiast uciekła cała komisja, wojskowi i właściciele zaprzęgów. Część uciekających zatrzymała się w lesie. Samoloty ich nie ścigały. Klementyna zabrała swoje konie i pojechała do domu. Wypoczęte konie bez poganiania pędziły do Rzewuszek.

Na początku września 1939 roku przyjechał do Rzewuszek sierżant Aleksander Kondratowicz, kierowca generała Trojanowskiego. Przywiózł on żonę i dzieci na czas wojny do teścia Józefa Szoplika. Zaparkował samochód przed domem, zostawiając radio włączone na rozgłosnię niemiecką. Koło samochodu zebrała się gromadka mieszkańców Rzewuszek. Sąsiad Szoplika, Władysław Bartoszek znał trochę język jidysz, którego nauczył się od sarnackich Żydów. Starozakonni posługiwali się tym bardzo podobnym do niemieckiego językiem. Bartoszek słuchając radia, objaśniał zebranym to, co usłyszał. W końcu machnął ręką mówiąc: *Już po Polsce*. Wtedy z domu wyszedł Kondratowicz i wyłączył radio. Jeszcze tego samego dnia odjechał.

Do Rzewuszek dochodziły niepokojące wieści, że polskie wojsko się cofa, że rząd uciekł do Rumunii, że Niemcy są już pod Warszawą. Ludność cywilna za przykładem rządu uciekała z miasta. Ogólnokrajowy popłoch udzielił się niektórym mieszkańcom naszej wsi. Ktoś rzekomo spotkał uciekającego polskiego żołnierza, który opowiadał straszne wieści, że tam, gdzie dotarli Niemcy, torturują cywilów, wypalając na piersiach swastykę.

Kilkunastu mieszkańców Rzewuszek postanowiło uciekać. Panikę powstrzymał Józef Szoplik. W czasie I wojny światowej przebywał w niewoli niemieckiej. Doświadczył wiele wrogości od Niemców, ale mimo to zapewniał, że nie będą oni mordować ludności cywilnej. Mówił: *Dokąd uciekniecie? Siedźcie w domu, tutaj nie zginiecie.*

Pomimo trwogi zdarzyła się sytuacja komiczna. Jeden z mieszkańców postanowił uciekać sam jeden. Żona ugotowała mu na drogę pół kopy jajek. On idąc przez wieś spotkał bawiące się dzieci. Zapytał je: *Czy będziecie pamiętały Władka K.?* One odpowiedziały, że nie zapomną, wówczas wszystkie ugotowane przez żonę jajka rozdał między dzieci. Poszedł jeszcze kilkaset metrów przed siebie. Przy drodze do Sarnak stoi kapliczka Najświętszej Marii Panny. Tam się zatrzymał, zmówił pacierz i z powrotem przyszedł do domu.

Drugi mężczyzna, który posiadał rower, także nie usłuchał mądrej rady Szoplika i pojechał. Po kilku tygodniach wrócił na piechotę. Wyglądał kiepsko. Opowiadał, że był w pobliżu granicy rumuńskiej, gdzie spotkał dużą liczbę uciekinierów, najwięcej z Warszawy. Głodowano tam, bo trudno już było coś kupić do jedzenia.

Pod koniec września do Rzewuszek dotarła informacja, że Warszawa się poddała. Drogą Sarnaki-Platerów przechodziły w obu kierunkach grupy polskich żołnierzy bez broni. Jedni starali się przedostać do swoich rodzin za Bugiem, drudzy zdążali do domów w kierunku Siedlec. Z jedną z tych grup nawiązały rozmowę kobiety z naszej wsi, kopiące ziemniaki przy tej drodze. Pytały, czy uderzą na Niemców nasi sojusznicy Anglicy i Francuzi. Na to jeden żołnierz odpowiedział: *Wasza polityka to koszyk i motyka. Wojna już się skończyła* – dodał.

Po utworzeniu granicy między Niemcami a Rosją żołnierze zabużaki nie mogli się przedostać do swoich, ponieważ granica była strzeżona. Niemcy przetrzymywali ich w zagrodzie mieszkańca Platerowa, Dunajki. Dożywiała ich hrabina Plater z Hruszniewa i niektóre rodziny z pobliskich wiosek. Jeśli któryś z nich chciał odejść, to nie było problemu. Wystarczyło, że kobieta mieszkająca w pobliżu stwierdziła, że to jej mąż, wtedy Niemcy go zwalniali, ale taki żołnierz nie mógł przedostać się za granicę i często wracał z powrotem do internowania.

Mieszkańców Rzewuszek wróciło z wojny tylko dwóch. Jeden to Mikołaj Wawryniuk, który służył w taborze wojskowym na wschodzie. Żołnierz rosyjski odebrał mu konia i wóz i kazał iść do domu. Drugi to Lucjan Wawryniuk internowany w obozie przejściowym w Górze Kalwarii. Panowały tam okropne warunki. Niemcy trzymali jeńców pod gołym niebem za drutami, a to był październik, noce były zimne. Pewnie dlatego zaczęto ich zwalniać. Każdego dnia 10 jeńców. W grupie, w której zwolniono Lucjana, było kilku mieszkańców naszych okolic, między innymi Wacław Domański (rocznik 1915), późniejszy wójt gminy Sarnaki, a właściwie przewodniczący Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej¹¹.

Dwóch żołnierzy z Rzewuszek zginęło na wojnie: Kazimierz Szymaniuk i Władysław Wawryniuk syn Franciszka. Kilku dostało się do niewoli niemieckiej. Udało się zbiec z niewoli Kazimierzowi Wawryniukowi. Po przybyciu do domu chciał wstąpić do Batalionów Chłopskich, ale podczas przysięgi się roześmiał i dlatego, jako człowiek niepoważny, nie został przyjęty. Po roku pobytu w niewoli do domu przyjechał Piotr Szeweluk. Władze niemieckie przyznały mu kilkutygodniowy urlop. Po upływie tego terminu Piotr do Niemiec nie pojechał. Ścigało go gestapo. Do Rzewuszek prowadziła tylko jedna droga, od wschodniej strony. Piotr mieszkał w zachodniej części wsi. Przejechać tam nie było można, ponieważ na końcu wioski znajdowały się bagniste łąki i przepływał strumyk. Kiedy Niemcy pojawiali się we wsi, to zawsze ktoś z mieszkańców Piotra ostrzegł i on zdążył się schować.

¹¹ Wacław Domański (1915-2007) przez 16 lat pełnił funkcję przewodniczącego PGRN w Sarnakach, w latach 1955-1971.

W tym czasie został puszczony na urlop Antoni Wawryniuk z Lipna. On chciał jechać z powrotem do Reichu, ale rodzina mu odradziła. Zrobił sobie kryjówkę w stodole. Gestapo go poszukiwało. Za niego zabrali młodszego brata Bolesława i przetrzymywali w areszcie gminnym w Sarnakach. Wówczas jego ojciec zwrócił się o ratunek do doktora Stanisława Podwójcica¹². Doktor kazał przyjąć Bolesławowi 25 proszków od bólu głowy. Po tych proszkach aresztowany zaczął wymiotować. Niemcy wezwali doktora Podwójcica, a on stwierdził tyfus. Okupanci natychmiast kazali zabierać chorego rodzicom.

W kampanii wrześniowej 1939 roku brali udział także dwaj bracia Jaszczukowie, synowie Fabiana: Kazimierz i Józef, następnie jako jeńcy wojenni przebywali w niemieckich obozach internowania dla podoficerów i szeregowców wojsk lądowych. Obaj podjęli udaną ucieczkę.



Fot. 2. Kompania szkoleniowa 5 Batalionu Saperów, 1 – Kazimierz Jaszczuk, 2 – Wacław Domański, Kraków 1936 r.

¹² Dr Stanisław Podwójcic (1909-1980) pracował w Sarnakach w latach 1942-1944, 1948-1980. Więcej: A. Wasilewska, *Opowieść o doktorze, który pokochał Sarnaki*, „Rocznik Ziemi Sarnackiej”, 2024, t. 7, s. 211-262.

Krótką historia Kazimierza Jaszczuka

Kazimierz Jaszczuk, najmłodszy syn Fabiana Jaszczuka i Franciszki z Baltaziuków, urodził się w Rzewuszkach 30 czerwca 1915 roku.

Jesienią 1936 roku został powołany do odbycia służby wojskowej. Skierowano go do 5 Batalionu Saperów w Krakowie. Po przeszkoleniu w kompanii szkolnej uzyskał stopień kaprała. Razem z nim przez dwa lata służył Wacław Domański z Chlebczyna, z którym się zaprzyjaźnił. Przeszedł do rezerwy we wrześniu 1938 roku, ale już w marcu 1939 został zmobilizowany w związku ze zbliżającą się wojną. Miał 24 lata.

Po klęsce wrześniowej 1939 roku trafił do niewoli niemieckiej. Przebywał w stalagu XI-B znajdującym się koło Hanoweru, na wschód od miasta Falinkbostell w Dolnej Saksonii (północno-zachodnie Niemcy). Otrzymał tam nr 6147. Z dniem 21 czerwca 1940 został zwolniony z niewoli i skierowany do Arbeitskommando, jednego z „zespołów



Fot. 3. Kazimierz Jaszczuk wśród kolegów, siedzi w środku, 1938 r.



Fot. 4. Kazimierz Jaszczuk w niewoli, stoi drugi z prawej, ok. 1941 r.

roboczych” przeznaczonych do prac w gospodarstwach rolnych na terenie zachodnich Niemiec. Uciekł na początku 1942 roku. Tereny Rzeszy przejechał pociągiem. W Generalnej Guberni kupił sobie rower i tym rowerem przyjechał do domu rodzinnego.

Po powrocie do Rzewuszek zaangażował się w pracę konspiracyjną, wstąpił do Batalionów Chłopskich. W tym czasie we wsi mieszkaly kobiety, które miały kontakty z Niemcami, spotykały się z nimi. Kazimierz sprzeciwiał się karaniu tych kobiet przez członków konspiracji. W jego przekonaniu były one niewinne, gdyż nikt z mieszkańców nie ucierpiał z ich powodu.

Zginął tragicznie w 1943 roku w wyniku nieudanej akcji w Łysowie. Ranny dostał się w ręce Niemców. Został zamordowany pod Łosicami i pogrzebany w miejscu straceń w lesie Artych koło Łosic. Obecnie stoi tam pamiątkowy obelisk.

Przeżycia wojenne mieszkańca Rzewuszek Józefa Jaszcuka

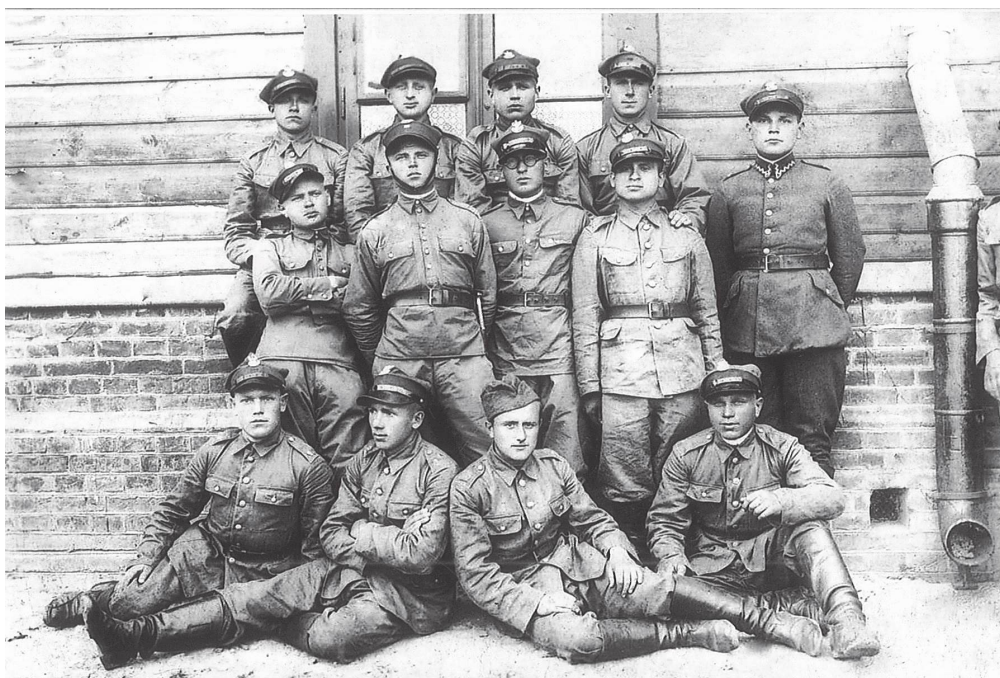
Józef Jaszcuk urodził się 1 marca 1911 roku w Falatyczach. Był starszym bratem Kazimierza. W 1923 roku ukończył cztery oddziały 1-klasowej¹³ Publicznej Szkoły Powszechnej w Rzewuszkach, dla której wynajmowano część domu jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, Józefa Szoplika.

W listopadzie 1932 roku Józef został wcielony do 9 Pułku Artylerii Ciężkiej we Włodawie, do I batalionu, gdzie był kanonierem ładowniczym.

¹³ W okresie międzywojennym stopień organizacji szkoły zależał od liczby uczniów, którzy mieli do niej uczęszczać. Szkoła I stopnia czyli 1-klasowa Publiczna Szkoła Powszechna o jednym nauczycielu posiadała cztery oddziały, w których w ciągu 7 lat (teoretycznie) realizowano program czterech klas. Oddziały I i II były jednoroczne, oddział III był dwuletni, a oddział IV – trzyletni. W praktyce chyba się nie zdarzało, aby dzieci przez siedem lat chodziły do takiej szkoły. Większość kończyła edukację po 4-5 latach. Mogły także, po pomyślnym ukończeniu czwartego oddziału, uczęszczać do szkoły III stopnia, czyli pełnej siedmioklasowej szkoły w Sarnakach. Jednak siedem klas kończyli tylko nieliczni, wielu uczniów poprzestawało na piątej czy szóstej klasie. W Rzewuszkach w 1917 r. powstała szkoła ludowa, przekształcona później w 1-klasową Publiczną Szkołę Powszechną, która w 1926 r. została zamieniona na szkołę eksponowaną czyli filię szkoły w Sarnakach, a w 1931 r. zlikwidowana.



Fot. 5. Józef Jaszczuk w wojsku, stoi pierwszy z prawej, 1933 r.



Fot. 6. Józef Jaszczuk w wojsku, stoi pierwszy z prawej w drugim rzędzie, 1933 r.

Po czterech miesiącach skierowano go do szkoły podoficerskiej, którą ukończył w sierpniu 1933 roku jako bombardier instruktor. W styczniu następnego roku awansował do stopnia kaprała instruktora, a w kwietniu przeszedł do rezerwy.

Po powrocie z wojska ożenił się, w lutym 1935 roku poślubił Klementynę Antoninę Wawryniuk z Lipna, córkę Józefa i Anieli z Sobieckich. W niedługim czasie doczekali się córki.

Jesienią 1937 roku wezwano Józefa do odbycia ćwiczeń rezerwy, które zakończyły się awansem na plutonowego.

Po ogłoszeniu mobilizacji w 1939 roku zgłosił się 1 września do 9 Pułku Artylerii Ciężkiej, który był przeznaczony do obrony stolicy. Po załadowaniu żołnierzy i sprzętu pociąg ruszył do Warszawy. W pociągu Józef zachorował. Lekarza nie było, sanitariusz podejrzewał zapalenie płuc i zaczął go leczyć niekonwencjonalnie. Namoczył prześcieradło w spirytusie, owinął chorego i kazał go położyć na przewożone w sąsiednim wagonie konie. Z koni wychodziła ciepła para. Z początku Józef myślał, że się udusi, ale po pewnym czasie poczuł ulgę. W Warszawie był już na tyle zdrowy, że nie zgłosił się do lekarza, tylko do swego dowódcy. Wraz ze swoimi podwładnymi stacjonował w warszawskich Łazienkach.

Jako dowódca plutonu, który otrzymał rozkaz zaopatrywania lewobrzeżnej Warszawy w amunicję, pociski artyleryjskie i inne materiały wybuchowe, otrzymał do dyspozycji wozy konne i wierzchowego konia dla siebie. Magazyny znajdowały się po prawej stronie Wisły. Żołnierze przewozili materiały wybuchowe przez most Kierbedzia, często dziurawiony przez artylerię niemiecką. Wykorzystywali czasem przerwę w ostrzale, nie zawsze się to udawało. Zabito im kilka koni.

Podczas obrony Warszawy Józef przeżył dwie sytuacje, gdy cudem uniknął śmierci. Pewnego dnia, wraz z jednym ze swoich żołnierzy, pokładli się w okopie nad Wisłą, żeby odpocząć. Przyszedł ogniomistrz i rzekł do Józefa: *Chodź do łaźni, umyjemy się*. Niechętnie, ale poszedł. Kiedy wrócił, z żołnierza nie pozostały nawet szczątki. W okop uderzył pocisk artyleryjski.

Drugie zdarzenie zagrażające życiu nastąpiło wkrótce. Po całodiennej pracy cały pluton poszedł odpocząć. Pokładli się na workach z owsem dla koni w magazynie zbożowym. Nagle jeden z żołnierzy, Antoni Muczko, zerwał się i zaczął uciekać. Popłoch udzielił się wszystkim. Gdy opuścili magazyn, budynek wyleciał w powietrze. Po tym zdarzeniu żołnierze uznawali Antoniego za nawiedzonego.

28 września 1939 nastąpiła kapitulacja Warszawy. Według warunków kapitulacji szeregowi i podoficerowie mieli być zwolnieni do domów, a w niewoli niemieckiej mieli pozostać tylko oficerowie. Józef wpadł do magazynu, załadował cały plecak konserwami i papierosami. Ci, co mieli możliwość zdobycia ubrań cywilnych, uciekali na własną rękę. Ogromna większość wyszła z Warszawy i oddała się w ręce Niemców, między innymi Józef Jaszczuk. Otoczeni przez hitlerowców maszerowali do najbliższej czynnej stacji kolejowej około 20 km. Niektórzy jeńcy byli zmęczeni i chorzy, ale który zasłabł i nie dał rady maszerować, Niemiec strzelał mu w tył głowy i nieboszczyka zostawiali na miejscu. Ta kalwaryjska droga naznaczona była zwłokami polskich jeńców. Zdrowych, którzy jak na ironię przeżyli wojnę, przewieziono pociągami do Prus Wschodnich, do stalagu I-A w miejscowości Stadblack.

Był to największy obóz jeniecki na terenie byłych Prus Wschodnich, zlokalizowany w północnej części dawnego niemieckiego poligonu Stablack, znajdującego się w obecnych Stabławkach w powiecie bartoszyckim w województwie warmińsko-mazurskim. Początkowo jeńców ulokowano w wojskowych namiotach, ogrodzonych drutem kolczastym i zasiekami, z licznymi posterunkami. Wykorzystywano ich do budowy baraków i innych pomieszczeń mieszkalnych, ale także do kopania rowów strzelniczych, pracy w fabrykach amunicji oraz w rolnictwie. Drużyny robocze liczyły 10-12 jeńców, nadzorowanych przez wachmana.

Jako jeniec Józef otrzymał numer 62638. Oficjalnie został zwolniony z obozu 1 czerwca 1940, ale skierowano go do pracy przymusowej w gospodarstwie rolnym w miejscowości Konopki, w pobliżu Białej Piskiej, w okolicy jeziora Śniardwy. Mieszkała tam ludność pochodzenia mazurskiego.



Fot. 7. Józef Jaszczyk w niewoli niemieckiej, stoi czwarty z lewej, wśród jeńców wachman stalagu IA Stablack (obecnie: Stablówki), 1940 r.



POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ
 Nr B.-Inf. 184192/P

Bank Gdański z siedzibą w Gdańsku
 IV Oddział Warszawa
 Nr konta 300009-4444-132

Warszawa, dnia 199 ... r.
 Mokotowska 14. Tel. 628-52-01
 Adres pocztowy:
 00-950 Warszawa, skrytka poczt. Nr 47.

Pan
JASZCZYK Witold
 Rzewuski
 08-220 Sarnaki

dm

W załączeniu przesyłamy Panu zaświadczenie potwierdzające pobyt ojca w niewoli niemieckiej, wydane na podstawie dokumentów posiadanych przez nasze Biuro.
 W celu ewentualnego uzyskania bliższych informacji o pobycie ojca w niewoli niemieckiej radzimy Panu zwrócić się jeszcze do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łąbinowicach-Opolu, ul. Minorytów 3, 45-017 Opole.

Kierownik Biura
 Informacji i Poszukiwań
Elżbieta Rej
 Elżbieta Rej

„ASPEKT” sp. p. c. W-wa, tel. 20-06-09

Fot. 8. Zaświadczenie z PCK o pobycie Józefa Jaszczyka w niewoli.

W poszczególnych gospodarstwach w Konopkach zatrudnionych było 10 jeńców polskich. Ich dzień pracy rozpoczynał się o godz. 4.30. Musieli najpierw zadać paszę dla zwierząt i wydoić krowy, potem odstawić mleko do zlewni, po skromnym śniadaniu praca w polu, a przy omłotach pracowali w całej miejscowości. Postępu w rolnictwie tam nie było, w Prusach Wschodnich zmechanizowane były tylko wielkie majątki. Mali i średni rolnicy uprawiali ziemię sprzętem konnym. Tyle tylko, że w każdej większej wsi był już agregat omłotowy. Wieś Konopki nie była zelektryfikowana.

Za pieniądze, które wypłacano jeńcom w ramach zapłaty za pracę, nie można było kupić prawie nic oprócz wódki. Wachman namawiał, aby zdecydowali się pracować dla Niemców jako pracownicy cywilni. Zapewniał, że ich wynagrodzenia będą zrównane z płacami dla robotników niemieckich. Jednak nikt nie chciał zrezygnować ze statusu jeńca. Inicjatorem odmowy był Józef Jaszczuk, ostrzegał kolegów, że jeśli przyjmą propozycję władz niemieckich, przestanie ich chronić Konwencja Genewska.

Na noc wachman zamykał tych 10 jeńców w pomieszczeniu tak małym, że mieściło się w nim tylko pięć piętrowych łóżek. Przychodził rano i prowadził ich do pracy. Pewnej nocy w tej klitce zabrakło powietrza, myśleli, że się poduszają. Na szczęście jednemu udało się wyjąć szybę z okna.

Kobieta, u której pracował Józef, miała nazwisko Pawłowski. Jej mąż przebywał na froncie francuskim, ona prowadziła gospodarstwo sama. Chleb piekła domowym sposobem, tak jak gospodynie w Polsce. Mówiła, że w Prusach ciasto na chleb przygotowują mężczyźni. Kazała robić to Józefowi. Wówczas on mył dokładnie ręce, czyścił paznokcie. Pewnego dnia, patrząc na to, mówiła: *U nas mówią, że Polacy to brudasy, ale widzę, że to nieprawda.*

Na początku, gdy Józef podwoził ją gdzieś furmanką, to jechali na jednym siedzeniu. Potem wyszło zarządzenie, żeby Niemka (mieszkańców Prus Wschodnich uważano za Niemców) miała siedzenie osobne. Musiał więc zrobić na wozie dwa siedzenia. Kiedyś Józef za oszczędzone pieniądze kupił lalkę, chciał ją wysłać do Rzewuszek dla córki, ale to

było zabronione. Oddał lalkę córeczce swojej gospodyni Pawłowskiej. Zapamiętał, że dziewczynka czasem w domu śpiewała taką piosenkę po polsku: *Negus, Negusie, ratuj Abisynię, bo są zagrożone południowe linie*. Mieszkańcy wioski w domu rozmawiali po polsku.

W roku 1941 zaprzyjaźnił się z pracującym w sąsiednim gospodarstwie Pawłem Ślubowskim, pochodzącym ze wsi Świniary w powiecie przasnyskim. Obaj postanowili uciekać. Przed 20 listopada przez kilka dni przygotowywali żywność na drogę. 20 listopada wieczorem Józef zrobił ostatni obrządek w gospodarstwie Pawłowskiej, postawił latarkę na podwórzu i szybko się oddalił. Na drodze za wsią czekał już Paweł Ślubowski. Natychmiast podążyli do najbliższego lasu. Nie zatrzymując się szli całą noc. Weszli w rozlewiska jeziora Śniardwy. Czekali cały dzień w zaroślach, aby nikt ich nie zauważył. W nocy zaczęli szukać wyjścia z tego terenu. Ale gdzie tylko się zbliżyli, była woda. Dopiero nad ranem trafili na nasyp i tory kolejowe. Torami opuścili teren prawie cały otoczony wodą. Przedarli się na Kurpie i Józef mówił, że tak życzliwych ludzi jak Kurpie to chyba nigdzie więcej nie ma. Przyjmowali ich, a nawet przeprowadzali kilka kilometrów, pokazując drogę. Wkrótce znaleźli się w pobliżu rodzinnej wioski Pawła. On przez całą drogę orientował się po gwiazdach, w którym iść kierunku. W pobliżu tej wsi chyba z radości stracił orientację i pomylił drogi. Okrężnie dotarli do miejsca zamieszkanego przez jego rodzinę. Dwa dni tam Józef wypoczął. Brat Pawła dał mu trochę pieniędzy. Dalej przez Przasnysz, Pułtusk i Nasielsk na piechotę dotarł do Warszawy. W pobliżu Warszawy wymienił płaszcz wojskowy na ubranie cywilne i do Platerowa przyjechał pociągiem. Do domu dotarł 6 grudnia 1941. A w marcu 1942 roku z niewoli niemieckiej wrócił jego brat Kazimierz Jaszczuk.

Okupacyjna codzienność

Nastały ciężkie czasy okupacji niemieckiej. Na właścicieli gospodarstw rolnych nałożono kontyngent: dostawy mięsa, mleka, jaj, zboża. Zabroniony był ubój zwierząt na własny użytek. Świnie ubijano po

kryjomu. Nie osmalano, tylko oparzano w pomieszczeniach. Znaleźli się „specjaliści”, którzy przekładali kolczyki zwierząt ubitych w uszy sztuk słabszych i mniejszych.

Na początku wojny Niemcy przywieźli na Podlasie Polaków wysiedlonych z Pomorza, których u nas nazywano Pomorzakami. W Sarnakach jeden z tych Pomorzan pracował dla Niemców. Za łapówkę wydawał zaświadczenia, że rolnik wywiązał się z kontyngentu. Tych, którzy się nie wywiązywali, zamykano w areszcie, straszono, ale kary nie były tak okrutne jak za działalność polityczną. Za kontyngent nie zabijano. Trzeba przyznać, że po niskich cenach rolnicy mogli nabyć narzędzia rolnicze, pługi, brony, kopaczki do ziemniaków.

W roku 1942 i 1943 do przymusowej pracy w Rzeszy z naszej wsi zostały wywiezione następujące osoby: Stanisław Bartoszek s. Władysława, Jan Bogdaniuk s. Wacława, Polikarp Chwedoreczuk s. Teofila, Aniela Czerwińska c. Władysława, Stanisław Dunajko s. Bronisława, Helena Gumienniczuk, c. Jana, Stanisław Gumienniczuk s. Stanisława, Józef



Fot. 9. Józef Jaszczyk, oparty o drzewo, z córką Janiną (stoi przed nim) wśród Pomorzaków, okres okupacji niemieckiej.

Iwaniuk s. Stefana, Henryk Lewczuk s. Mateusza, Władysław Wawryniuk s. Antoniego. Wszyscy oprócz Polikarpa Chwedorczyka, który zmarł w Niemczech, wrócili do wsi po skończonej wojnie w 1945 roku.

W czasie okupacji zaczęto organizować ruch oporu. W naszej małej wsi działały trzy poważne organizacje: Bataliony Chłopskie (BCh), Armia Krajowa (AK) i Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Do BCh należeli: Władysław Gumienniczuk s. Andrzeja, który prawdopodobnie był tu dowódcą. Z wypowiedzi Czesława Wasiluka z Lipna wynika, że to Władysław przeprowadził ćwiczenia na łąkach Popławy w Lipnie. Z Rzewuszek brali udział: Kazimierz Jaszczuk s. Fabiana, Józef Szoplik s. Józefa, Franciszek Lewczuk s. Mateusza, Polikarp Lewczuk s. Mateusza, Franciszek Dunajko s. Bronisława, Zdzisław Wawryniuk s. Jana, Stanisław Iwaniuk s. Łukasza oraz kilkunastu mieszkańców wsi Lipno.

Do NSZ należeli: przedwojenny oficer Józef Kulesza, Lucjan Bogdaniuk, Władysław Bogdaniuk, Tadeusz Ilczuk. W AK byli: Józef Gumienniczuk s. Andrzeja, Kazimierz Andruszkiewicz, Antoni Czerwiński, Józef Dunajko.

W tym czasie poglądy polityczne skłócały nawet najbliższych. W Rzewuszkach mieszkało dwóch braci Gumienniczuków. Józef o pseudonimie „Latawiec” był w AK, drugi Władysław ps. „Jesion” należał do BCh, on przechowywał w stodole karabin maszynowy. Józef to podejrzwał, ukradł tę broń i zaniósł do swojego dowódcy plutonu, Tadeusza Jakubskiego ps. „Czarny”¹⁴ zamieszkałego w Platerowie. Władysław musiał zameldować o utracie broni w dowództwie BCh. Do Rzewuszek przyszło kilku partyzantów z BCh z porucznikiem na czele. Wyprowadzili Józefa na bagniste łąki za wsią i oficer chciał go rozstrzelać. Władysław zaczął błagać o darowanie życia bratu. Komendant wymyślił inną karę, sprawił Józefowi kąpiel w dole po

¹⁴ Tadeusz Jakubski ps. „Czarny” (1916-2001) – uczestnik wojny obronnej 1939 r., oficer Armii Krajowej. Dowodził plutonem w 8. kompanii AK, na terenie IX Ośrodka Górki-Sarnaki Obwodu AK Siedlce, dowodzonej przez por. Józefa Leguta „Kita”. Jego pluton obejmował swym zasięgiem miejscowości: Platerów, Kisielew, Lipno, Mężenin, Klimczyce, Klimczyce-Kolonię, Chłopków, Rzewuszki, Bindugę, Chlebczyn, Kózki. Jego żołnierze przejęli cały pocisk V2, który uderzył w bagna nad brzegiem Bugu. Po wojnie mieszkał w Sulejówku.



Fot. 10. Kazimierz Jaszczuk i Władysław Gumienniczuk ps. Jesion, koledzy z BCh, ok. 1942 r. Ze zbiorów R. Zubkowicza.



Fot. 11. Młodzież z Rzewuszek. Od lewej stoją: Stanisław Bartoszek, NN, Franciszek Lewczuk, Czesław Wawryniuk, Stefania Gumienniczuk. Leży z prawej Polikarp Lewczuk, 1940 r.

pozyskanym torfie. Bechowcy wrzucili go do wody, a kiedy wyłaził, spychali z powrotem. Gdy był u kresu sił, odeszli.

Przy linii kolejowej Sarnaki-Platerów Niemcy wybudowali bocznice. Na kilka dni przed napaścią Niemiec hitlerowskich na Związek Sowiecki, przed 22 czerwca 1941 roku, na bocznice wjechało olbrzymie działo, z którego pociski padały podobno niedaleko od Białegostoku. Drugie działo, przeciwlotnicze, ustawiono po stronie naszej wsi. Szczęściem dla Rzewuszek było to, że Rosjanie nie zatrzymali ofensywy niemieckiej. Gdyby był silny opór ze strony rosyjskiej, wieś nasza zniknęłaby z powierzchni ziemi. W Rzewuszkach, z południowej strony za wsią, mieszkańcy urządzili okopy, w których mieli zamiar się chronić. Nie były one potrzebne, ponieważ wieś podczas napaści Niemiec na ZSRR i w czasie ich odwrotu nie była atakowana.

Błyskawiczny plan podboju Rosji przez Niemców się nie udał. Stalin zdążył ewakuować zakłady przemysłu zbrojeniowego na Wschód. Rosja dostała wsparcie od Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wojna się przeciągnęła. Zima była sprzymierzeńcem Związku Sowieckiego. Dobrze działający wywiad rosyjski powiadomił, że Japonia nie zaatakuje. Dzięki temu Stalin ściągnął dobrze wyposażone dywizje wschodnie. W 1944 roku mieszkańcy naszej wsi zobaczyli cofających się Niemców, którzy niszczyli za sobą wszystko, a przeważnie mosty i tabor kolejowy. Nie zatrzymało to Armii Czerwonej. Rosjanie pojawili się na Podlasiu w sierpniu 1944 roku.

Przez kilka dni kwaterował w Rzewuszkach oddział rosyjskiej piechoty. Szeregowi rozbiegli się po wsi, prosząc o jedzenie. Koło domu W. Wawryniuka stała kuchnia polowa. Codziennie gotowano tam jakąś kaszę. Żołnierze dostawali chleb czarniejszy od ziemi. Propaganda sowiecka głosiła, że wszyscy ludzie są równi. W praktyce nie było tego widać, ponieważ wyżywienie oficerów było z innego kotła.

Pewnego dnia szeregowi zebrali się na placu na początku wioski i zabawiali się, jak umieli. Jeden grał na harmonii, inni tańczyli kozaka. Z pobliskiego domu wyszła kobieta i zza płota zaczęła się im przyglądać. Podeszedł do niej Rosjanin i rzekł:

- *Ja chaczę z taboj się żenić.*
- *Ale wy może macie w Rosji żonę?* – zapytała kobieta.
- *Miał, tylko ubił jak sobaku* – odpowiedział wojak.
- *To może i mnie ubijecie?* – ona na to, na co on odpowiedział:
- *Niet, ja tiebia liubliu.*

Po odejściu piechoty przez wieś przemaszerował oddział kobiet, uzbrojony w „metalowe tyczki”, podobno były to wykrywacze min.

Chociaż ideologia komunistyczna nie miała we wsi zwolenników, to jednak żołnierzy Armii Czerwonej przyjmowano życzliwie.

W 1944 roku po wkroczeniu wojsk rosyjskich zaczęto mobilizować mężczyzn do wojska polskiego. Józef Jaszczuk został zwolniony ze względu na stan zdrowia. Jesienią 1946 roku został aresztowany przez NKWD. Przewieziono go do aresztu w okolicy Białegostoku. Wzywano na przesłuchania, ale nie bito, ponieważ nic na niego nie mieli. On ciągle powtarzał jedno, że jest małym chłopem i nie należy do PSL ani do żadnej organizacji politycznej, co było prawdą. Tak samo zeznawali na komendzie we Fronołowie jego małżonka Klementyna i wuj Marciniuk. Areszt mieścił się w dworskiej piwnicy, zawsze paliło się tam światło. Aresztowani nie wiedzieli, kiedy jest noc, a kiedy dzień. Ściany zbryzgane były krwią. Śledczy chciał wmówić Józefowi, że popiera PSL, mówił: *Mikołajczyka wam chcetsia (chce się wam Mikołajczyka).*

W Hołowczycach mieszkał przedwojenny komunista Jan Nikoniuk. Klementyna Jaszczukowa poprosiła go o pomoc. On Józefa nie znał, ale dał takie zaświadczenie, że Józef Jaszczuk jest małym chłopem i do żadnej organizacji wyrotowej nie należy. Pismo to Klementyna zaniósła do komendanta NKWD we Fronołowie. Po przeczytaniu oficer odpowiedział, że *jeśli Nikoniuk jeszcze raz takie pismo przyśle, to pójdzie siedzieć tam, gdzie twój mąż.* Prawdopodobnie jakiś rolnik z Mierzwic korzystnie zeznawał na rzecz Józefa Jaszczuka. Kto się naprawdę przyczynił do jego zwolnienia, nie wiadomo. Po miesiącu został zwolniony. Przed uwolnieniem współwięźniów zabużak wróżył mu z kart i mówił, wskazując na damę dzwonkową: *ta blondyna za tobą chłapocze, ciebie zwolnią.*

W 1947 roku został zastrzelony przez NKWD mieszkaniec Rzewuszek Władysław Gumienniczuk ps. „Jesion” s. Andrzeja. Mogiła jego znajduje się tam, gdzie zginął, w lesie koło Litewnik. Tablica zawiera błędną pisownię jego nazwiska „Gumieńczuk”.

O Nesterze słów kilka

Na początku 1940 roku na posterunku granatowej policji w Sarnakach służył Włodzimierz Nester¹⁵. Pochodził on z okolic Lwowa, skąd uciekł po zajęciu tamtych terenów przez Rosjan. W Sarnakach obchodził się okrutnie szczególnie z ludnością żydowską. Mieszkańcy Sarnak Polacy raczej na niego nie narzekali. Wyjątek stanowiło jego zachowanie w Grzybowie, gdzie prawdopodobnie zabierano mieszkańca tej wioski na roboty do Niemiec. Jego matkę Nester podobno szarpał i odciągnął za włosy. Natomiast mieszkaniec Kisielewa, Stanisław Maksymiuk opowiadał, że uniknął wywozu do Niemiec tylko dzięki Nesterowi. Nester pilnował kilkunastu zatrzymanych, żeby nie puciekali. W pewnej chwili podszedł do Maksymiuka i szepnął do ucha: *Idź do domu*. Kiedy się odwrócił, Stanisław uciekł. Nie znał on się z Nesterem i sam się zastanawiał, dlaczego policjant tak z nim postąpił, ponieważ drugi raz już się nigdy nie spotkali.

W Rzewuszkach Nester zapoznał córkę najbogatszego gospodarza we wsi, z którą pod koniec 1943 roku zawarł związek małżeński. Czasy były niepewne, jej rodzice odradzali to zamążpójście. Ona powiedziała, że wyjdzie za Nesterą, nawet jak jej małżeństwo potrwa tylko rok. Kim był i czy naprawdę nazywał się Nester, ciekawiło ludzi we wsi. Przed ślubem nie mógł przedstawić dokumentów z miejsca zamieszkania. Nikt nie wiedział, jaki jest jego stan cywilny i jakiego jest wyznania. Twierdził, że nie może uzyskać dokumentów ze stron rodzinnych, ponieważ Lwów zajęli Rosjanie. Nie wiadomo, czym kierował się ksiądz Bolesław

¹⁵ Włodzimierz Nester (1910-1989) – urodził się w Samborze nad Dniestrem, w obwodzie lwowskim. Po zakończeniu wojny przez kilkanaście lat ukrywał się w Rzewuszkach, o czym nikt postronny nie wiedział.

Kulawik, proboszcz sarnacki, wydając mu zaświadczenie, dzięki któremu młodzi mogli zawrzeć związek małżeński. Ślub odbył się w Siedlcach.

W Rzewuszkach nikt się nie skarżył na Nester. Posiadał on aparat fotograficzny, robił mieszkańcom zdjęcia. Częściowo dzięki jego fotografiom mogę w tej pracy przedstawić życie mieszkańców wioski za okupacji.

Kiedy w sierpniu 1944 roku zbliżali się Rosjanie, Nester uciekł z Sarnak. Został zatrudniony w Przesmykach jako robotnik u swego szwagra, właściciela młyna. Tam rozpoznał go rolnik mielący zboże, mówiąc: *Tu się ukryłeś, ptaszku?* Wtedy on uciekł do Rzewuszek i ukrywał się w domu teścia przez prawie dwadzieścia lat. Dom ten był podwójny. Na jednej stronie mieszkała rodzina Szoplika, na drugiej połowie mieściła się kiedyś szkoła wiejska. Później na pustej stronie po szkole Szoplik założył sklep. W 1944 sklepu już nie było. Po ucieczce z Przesmyk w tym pustostanie Nester wykopał sobie kryjówkę pod podłogą.

Po zajęciu Podlasia przez Armię Czerwoną w Sarnakach uformowała się milicja, do której wstąpili także Żydzi. Przyszli oni do Rzewuszek i jeden z nich zapytał: *Nu, gdzie ten Nester? Żebym ja go dorwał w swoje ręce...* Nie wiedzieli, że on siedzi w kryjówce za oknem. Nawet do głowy im nie przyszło, żeby zrobić rewizję.

Tego, że Nester może się ukrywać u Szoplika, nie przypuszczał nikt z mieszkańców Rzewuszek. Pewnego razu, chyba to było w 1952 roku, Antoni Czerwiński opowiadał, że u Szoplika straszy jakaś pokutująca dusza, ponieważ idąc w nocy z Józefem Dunajką obaj widzieli, jak do domu Szoplika z podwórza szedł duży pies, drzwi frontowe bezszelestnie się otworzyły i zniknął wewnątrz domu. We wsi mało kto dawał wiarę temu, co mówił Czerwiński, ponieważ on lubił zmyślać i koloryzować. W tym wypadku prawdopodobnie mówił prawdę. Była noc, Nester tylko w tym czasie mógł wychodzić na powietrze. Kiedy ich zobaczył, mógł na czworaka uciekać do domu.

Pewnego razu autor tej pracy, bawiąc się z synem Nester Ireneuszem (mogło to być w roku 1951), zauważył, że zawiasy w drzwiach frontowych w domu Szoplika były nasmarowane towotem, a więc bardzo prawdopodobne, że otworzyły się bezszelestnie.

W latach sześćdziesiątych XX wieku sołtysem w Rzewuszkach był Józef Jaszczyk. Spotkawszy go, teściowa Nestera przyznała, że przez wszystkie lata powojenne zięć ukrywa się u nich. *Po co mnie o tym powie- dzieliście?* – zapytał sołtys, na co kobieta odpowiedziała: *Bo on dostał rozstroju nerwowego. Jak nas pozabija, to żebyś wiedział, kto to zrobił.*

Stanisław Iwaniuk s. Łukasza twierdził, że widział u Nestera znak trójkębu, godło Ukraińskiej Powstańczej Armii. Mało to prawdopodobne, ponieważ on bardzo czysto mówił po polsku. Nigdy nie wtrącał ruskojęzycznych słów. Robił wrażenie człowieka inteligentnego. Około roku 1962 do Rzewuszek przyjechali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Zrobili rewizję, odkryli schowek, wyciągnęli Nesterę spod podłogi i aresztowali. Ponieważ nikt nie zgłaszał wobec niego żadnych oskarżeń, wkrótce go zwolniono. Zatrudnił się na kolei. Do śmierci żony w grudniu 1968 roku mieszkał w Rzewuszkach. Po jej śmierci zamieszkał w Warszawie. Zmarł w 1989 roku, został pochowany na cmentarzu w Sarnakach razem z żoną.

Około roku 2000 dom Szoplika rozebrano, porozrzucane książki pozbierał Jan Wawryniuk s. Edwarda. Wszystkie były podpisane Ernest Dusiek. Jan Wawryniuk podejrzewał, że jest to prawdziwe imię i nazwisko Włodzimierza Nester. Książki były na różne tematy, kilka było medycznych (Nester przesadnie dbał o zdrowie). Wszystkie pisane w polskim języku.

Spotkanie z „Młotem” i jego ludźmi

Armia Krajowa została rozwiązana w styczniu 1945 roku. Pozostałe po niej oddziały, które nie złożyły broni, przyjęły nazwę Wolność i Niezawisłość (WiN). Z czasem część oddziałów WiN rozwiązano, a żołnierze skorzystali z amnestii. Inne nadal walczyły z komunistycznym reżimem. Najdłużej trzymały się oddziały na Podhalu i na Podlasiu. Ludność miejscowa sprzyjała partyzantom.

W naszym rejonie po obu stronach Buga działał oddział partyzancki wywodzący się z 5 Brygady Wileńskiej AK, którego komendantem

w pewnym okresie był urodzony we wsi Tokary Władysław Łukasiuk ps. „Młot”.

Łukasiuk podczas służby wojskowej w II Rzeczypospolitej uległ wypadkowi. Złamał nogę i do końca życia utykał. Za sanacji został zwolniony z wojska. Ożenił się w Mężeninie i założył tam sklep. Do dworu w Mężeninie przyjeżdżali w porze letniej przedwojenni działacze komunistyczni, między innymi Wanda Wasilewska. Władysław Łukasiuk był prawdopodobnie agentem rządowym i ich inwigilował. Za okupacji niemieckiej działał w konspiracji jako żołnierz AK, dowodził drużyną podległą plutonowemu Tadeuszowi Jakubskiemu ps. „Czarny” z Platerowa.

Od jesieni 1944 roku musiał się ukrywać przed NKWD, przeszedł do partyzantki. Dołączył do oddziału „Szumnego” działającego po drugiej stronie Bugu, a później do 5 Brygady Wileńskiej AK (przekształconej następnie w 6 Brygadę Wileńską) pod dowództwem majora „Łupaszki”. Podczas służby w partyzantce ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty, co umożliwiło mu kolejne awanse aż do stopni oficerskich. Po aresztowaniu przez UB Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” Władysław Łukasiuk „Młot” został komendantem w stopniu kapitana¹⁶. Odznaczał się dużą odwagą osobistą. Wzięty na podwody Antoni Klukowski z Laskowic był świadkiem potyczki oddziału „Młota” z wojskiem. Wszyscy partyzanci przyłgnęli do ziemi, a „Młot” chodził między nimi, często zmieniając pozycję, to znaczy nie stał w jednym miejscu. W czasie strzelaniny wydawał rozkazy stojąc.

„Młot” dbając o bezpieczeństwo oddziału kwaterował w odległych od wsi gospodarstwach, na tak zwanych koloniach. Zatrzymywał się na dwa albo trzy dni w jednym miejscu i przemieszczał się dalej. Kilkaśmet metrów od wsi Rzewuszek znajdowały się trzy gospodarstwa rolne na koloniach: Czesława Jaszczuka, Józefa Jaszczuka i Władysława Czerwińskiego. Autor tej pracy zapamiętał wtedy „Młota”, ponieważ on i jego partyzanci tutaj kwaterowali.

¹⁶ Więcej informacji na ten temat w publikacji: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Kpt. Władysław Łukasiuk „Młot” podlaski komendant 6 Brygady Wileńskiej AK*, Czaje-Wólka 2006.

Po komasacji gruntów w 1947 roku Józef Jaszcuk przeniósł się ze wsi na kolonię. Pobudował dom i budynki gospodarcze. Dom był drewniany, podpiwniczony (istnieje dotychczas). Część piwnicy, którą nazywaliśmy suteryną, została przystosowana na pomieszczenie mieszkalne, w którym był stół, kilka krzeseł, pod ścianą łóżko. Mieściła się tam też kuchnia, na której można było zagotować strawę, oraz piec do pieczenia chleba, ponieważ chleb wypiekano wtedy domowym sposobem. Rolnik w tamtych czasach, jak miał mąkę, słoninę, naftę do lampy i opał, to więcej niczego nie potrzebował.

Pewnej nocy w kwietniu 1949 roku zastukano do drzwi. Józef Jaszcuk wyszedł i niedługo wrócił przerażony. Poinformował żonę i dzieci, że mają zejść do suteryny, aby tam spać. Zeszliśmy do piwnicy, a dom zajęli ludzie w mundurach. Od strony zachodniej, w zagrodzie Czesława Jaszcuka, przy drodze pozostało tylko kilku wartowników. „Młot” i dwu partyzantów zakwaterowało się u Władysława Czerwińskiego. Następnego dnia przyszedł „Młot” na nasze podwórze. Cały oddział stanął w dwusereg. Śpiewali patriotyczno-religijną pieśń, zapamiętałem tylko kilka słów: *Boże, do wolnej Polski powrócić daj*. Miałem wtedy tylko sześć lat. Przynieśli potem worek słoniny i kazali mamie lepić pierogi z tartych ziemniaków zawijanych w ciasto.

Następnego dnia, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, przyszedł partyzant i położył się obok mnie, nie zdejmując munduru. Na jego piersi zauważyłem ryngraf Matki Bożej z Dzieciątkiem. Ten żołnierz podarował mi orzełka z koroną. Orzełka nie mogłem przyczepić do czapki, ponieważ miał ułamany uchwyt. Chciałem mieć taką czapkę rogatywkę, jakie mieli partyzanci. Po dwóch tygodniach mama znalazła kawałek materiału, poszliśmy do krawca, który uszył mi rogatywkę. Nie byłem w pełni zadowolony, ponieważ moja konfederatka była granatowa.

Ostatniego dnia ich pobytu przyszedł do nas „Młot”, kazał ojcu zaprzęca konia i podwieźć sprzęt, który mieli, za Bug. Rzucili na wóz materiał wybuchowy podobny do surowego ciasta. Ojciec mój, uczestnik wojny 1939 roku, doświadczony żołnierz artylerzysta, z taką bronią spotkał się po raz pierwszy. Oddział wyruszył przodem polną drogą przez grunty wsi

Chlebczyn, za nimi jechał Józef Jaszczuk. Obok niego siedział „Młot”, z tyłu dwóch partyzantów. Jeden z nich usiadł na materiale wybuchowym, a drugi zażartował: *Zaraz ciebie rozerwie na strzępy*. Kiedy dorosłem, dowiedziałem się, że to był plastik, który wybuchał po wyschnięciu.

Przez Bug przeprawili się promem w Kózkach, potem ponad Bugiem szli w kierunku zachodnim, mijając po drodze Wólkę Nadbużną. Przed Ogrodnikami (leżącymi naprzeciw Mężenina) stała położona na uboczu zagroda, przed którą „Młot” kazał się zatrzymać. Mieszkała tam tylko samotna kobieta, która nie chciała ich wpuścić do domu. Wówczas partyzanci wywalili jej całe okno razem z ramami, wleźli do środka i otworzyli drzwi. Kobieta zaczęła ich błagać, żeby odeszli, tłumacząc, że często przejeżdżają obok jej zagrody ubecy. Wtedy „Młot” kazał jechać dalej. Zatrzymali się w okolicy Ogrodnik. Zasada Młota była taka, że woźnica, który ich przywiózł, musiał razem z nimi przebywać w tym miejscu do dnia, w którym oni odchodzili. Józefa Jaszczuka zwolniono po kilku dniach. Partyzanci poszli dalej, on odjechał do domu.

Matka moja już opłakiwała ojca, bo o tej zasadzie partyzantów nie wiedziała. Myślała, że ojciec wpadł w ręce ubeków. W tym czasie wielu mieszkańców wsi wspomagających tych „z lasu” siedziało w więzieniu w strasznych warunkach. Torturowano ich w nieopowiedziany sposób. Podobno UB było gorsze niż NKWD. A ja myślałem wtedy, że mama płacze dlatego, bo wiosenny wiatr zrywał dachówkę z naszych domów.

Po odejściu partyzantów z Ogrodnik ojciec wracał do domu drogami polnymi jak najmniej uczęszczanymi, ponieważ nie miał żadnego alibi, co robi w obcej stronie. Nawet spotkanie ze zwykłym milicjantem mogło być niebezpieczne. Do milicji szli ciemni ludzie, nienawidzący sanacji i nadgorliwie wypełniający rozkazy.

Około dwóch tygodni po powrocie ojca naszą kolonię odwiedzili żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. Jeden z nich zauważył u nas skrzynię z sadzonkami tytoniu, którą ojciec w czasie przymrozków nakrywał oknem. Z początku żołnierz zachowywał się groźnie, potem zaczął zapewniać, że przymknie na to oczy. Mimo to ojciec wziął szpadel i sadzonki zniszczył.

Ja w tym czasie byłem w domu stryja Czesława Jaszczuka. Tam była tylko stryjenka ze swoim najmłodszym synem Piotrem, który był cztery lata ode mnie młodszy. Do domu wszedł żołnierz i pomimo że miałem tylko sześć lat, kazał mi iść ze sobą. Gdy byliśmy na podwórzu, zapytał: *Kto u was dzisiaj pił mleko?* Odrzekłem, że nie wiem, ponieważ mieszkam tam, ręką wskazałem nasz dom. Na podwórzu było jeszcze kilku żołnierzy i dwóch milicjantów z karabinami, na których były założone bagnety. Odniosłem wrażenie, że zachowują się tchórzliwie. Rewidując stodołę kazali mi iść przodem, oni za mną z karabinami gotowymi do strzału. Dzisiaj się dziwię, że wtedy nie odczuwałem żadnego lęku. Kiedy wróciłem, stryjenka zapytała: *Co on do ciebie mówił?* Odpowiedziałem, że pytał, kto u was pił mleko. *Było powiedzieć, że kot* – zażartowała.

Około sto metrów od naszych zabudowań przepływa Chlebczanka. Oddział przeprawił się przez rzekę i rewidował najbliższe gospodarstwa w obrębie Chlebczyna: Władysława Melecha, Antoniego Zakrzewskiego i Antoniego Kowalczuka. Po kilku dniach Julian Wedziuk z Lipna odwiedził Władysława Czerwińskiego, naszego sąsiada. Opowiadał, że do jego mieszkania przyszli żołnierze, którzy ścigali partyzantów. Napchało się ich tylu, że nie można było się ruszyć. Nagle opuścili mieszkanie. Po ich odejściu syn Wedziuka Józef spytał: *Widzieliście, jaką te sukinsyny mają broń?* Wtedy spod łóżka wylaź żołnierz i zaczął mu grozić, ale zaraz wrócił oficer, przeprosił Wedziuka za najście i zabrał swego podwładnego.

Miejscowa ludność nie sprzyjała nowej władzy. Członków Polskiej Partii Robotniczej uważano za zbrodniarzy. Pogardzano także tymi, którzy wstąpili do Milicji Obywatelskiej.

Witold Jaszczuk – ur. 1942 w Rzewuszkach, rolnik, były działacz Związku Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Absolwent SP w Sarnakach, jako ekstern ukończył 3-letnią szkołę rolniczą. Interesuje się historią Polski i świata, tworzy wiersze głównie o treści patriotycznej. W 2025 r. napisał książkę o historii wsi Rzewuszki „Z mroku dziejów nasz początek”.

Blanka Bartoszek

**Było ubogo, ale przyjemnie
– wywiad z panią Sabiną Świć.**

Sabina Świć (z domu Łyczewska) urodziła się w 1937 roku w Hołowczycach. Przez całe swoje życie mieszkała na terenie gminy Sarnaki, w ostatnich latach w Zabuzu. O latach dzieciństwa i młodości opowiada Blance, uczennicy szkoły w Sarnakach¹.

Gdy wybuchła wojna, była Pani małym dzieckiem. Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie.

Rodzice zajmowali się uprawą roli. Miałam wspaniałych rodziców. Kochali mnie bardzo, ja ich też, żyli ze sobą dosyć długo i szczęśliwie. Nie słyszałam tam bardzo jakichś brzydkich słów, bo „cholery” padały raczej na jakieś zwierzęta na podwórku. Dzieciństwo wspominam bardzo dobrze. Ja byłam najmłodsza, najstarszy brat był dziesięć lat ode mnie starszy, drugi osiem lat, a siostra sześć. Starali się chodzić do lasu za grzybami, za jagodami, żeby pomóc rodzicom. Tak jak można było, to się dorabiało wtedy.

Dorabiało się u rodziców czy u jakichś może sąsiadów?

Nie, nie. Byli bogatsi gospodarze. Było kilku bogatszych gospodarzy na wsi i na przykład tata szedł do nich do koszenia w czasie żniw.

¹ Artykuł niniejszy jest rozbudowaną wersją wywiadu przeprowadzonego przez Blankę Bartoszek w ramach „Akademii Młodego Obywatela” – programu prowadzonego przez Fundację Edukacyjną Jana Karckiego. Wywiad opublikowany został w zbiorczej publikacji podsumowującej projekt. Zob. B. Bartoszek, *Było ubogo, ale przyjemnie*, [w:] *Miejsce Urodzenia – historie lokalne spisane przez uczennice i uczniów Akademii Młodego Obywatela im. Jana Karckiego 2024 rok*, Warszawa 2024, s. 57-64.

Najmowali go, bo dobrze kosił. Chłopcy, jak byli mniejsi, to też szli do jakiejś roboty, a jak już umieli orać, to do orki, bo orać też trzeba było umieć. No i do rąbania drewna chłopcy szli. Siostra to raczej zostawała w domu, ona bardzo lubiła sprzątać i pilnowała porządku.

Pani ojciec dobrze kosił, czyli mieliście swoje pole. A może nauczył się tego gdzie indziej?

Mieliśmy, mieliśmy swoje pole, ale za mało żeśmy mieli, żeby się utrzymać. Bo ile to było – dwa i pół hektara. Niewiele na taką rodzinę. A za pracę można było zarobić trochę żyta czy kartofli, bo to też nikt pieniędzy nie płacił wtedy. Kosiłeś – to dostałeś zboże, kopałeś – to dostałeś ziemniaki, a potem jeszcze jakaś inna wymiana gospodarcza. Ważne, że była krowa, która dawała mleko. Dzięki niemu można było trochę przeżyć. Choć nie zawsze było mleko od naszej krowy, jak była zacielona, to już nie było tego mleka. Ale mama z sąsiadkami żyła bardzo dobrze. Raz szła do jednej, przyniosła kubeczek mleka. Raz szła do drugiej, też przyniosła. A potem one przychodziły, jak u nas mleko było. Były warunki sąsiedzkie bardzo dobre, bardzo dobre mieliśmy relacje z sąsiadami i to była fajna sprawa. Teraz tak nie ma.

Opowie Pani coś jeszcze o swoich sąsiadach?

Była taka babka, trochę czarodziejka nie czarodziejka. Wylewała воск. Ja się bałam, bo wystraszyłam się koguta. Wchodziłam gdzieś tam do pomieszczenia, kogut sfrunął i tak się wystraszyłam, że zaczęłam chorować. No i sprowadzili tę babkę, a ja się jeszcze bardziej bałam. Nakryła mnie jakąś dziwną ścierką. Zimną wodę miała w misce – bo jakaś tam miska zawsze była – i воск topiła, ale to musiał być prawdziwy, czysty воск od pszczelarzy, co tam mieszkali po sąsiedzku. Jakies tam modły odprawiała i wylewała na wodę ten воск. To, co wyszło z wosku, to miał być strach, którego się bałam. I rzeczywiście wyszedł taki rozczapierzony kogut. Potem ona to rąbała siekierą czy jakimś tam nożem i wyrzucała daleko tak, żeby się już nikt tego nie bał.

Zadziały chociaż te czary?

Tak. Bo jak człowiek wierzy, to wiara czyni cuda.

Proszę opowiedzieć, jak mieszkaliście?

To było jedno pomieszczenie, w którym spały trzy rodziny prawie, bo byli ciotka z wujkiem, dziadek z babcią i jeszcze inni. No i dzieci były. Ale to było tylko jedno pomieszczenie. Jeden duży pokój z piecem w rogu, gdzie się chleb piekło. Wiem, że to było tak niskie, że już później próbowałam nawet do sufitu dostawać. Za ścianą zawsze była też druga rodzina, to znaczy już ci, co się żenili i zakładali swoje rodziny, to wychodzili tam – za ścianę. Jeszcze na ścianie był przybity dywan, bo to się tak nazywało. To było tkane na krosnach, z wełny, która była w domu przędzona na tak zwanym kółku. Wszystko domowej roboty. A w oknach to też jakieś firanki czy zasłonki, bo ciotka lubiła robić szydełkiem, haftować coś tam. Stał tam jeszcze tak zwany zydeł, to była taka ława z oparciem, gdzie można było sobie posiedzieć, a były też takie z podnoszoną klapą, gdzie można też było spać. Mój wujek był stolarzem i dlatego ten zydeł był taki ładny, miał takie ładne szczebelki. To była jednocześnie ozdoba, ławka i ewentualnie do spania.

Jeśli miała Pani wujka stolarza, to może jeszcze jakieś ozdoby były w domu od niego?

Jeszcze w kącie stał warsztat stolarski. To była taka ciasnota w tym domu, że nie wiem. Ojciec był najstarszy z tego rodzeństwa, a było ich pięcioro: czterech facetów i jedna ciotka. To my mieliśmy za ścianą taką kuchnię, gdzie byliśmy niby osobno już.

Czyli nie było tak, że mieliście tylko jeden pokój?

Ten jeden pokój należał do reszty rodziny, a my mieliśmy kuchnię też. W tamtym pokoju były zamknięte drzwi, żeby tam nie chodzić. Trzeba było przejść przez sień dopiero i tam druga rodzina była. To był bardzo mały dom, w tej chwili jeszcze rośnie ta lipa – w Hołowczycach, bo się urodziłam w Hołowczycach – ma już pewnie ponad sto lat. Pod tę lipę

zawsze się wychodziło wieczorem, na kolację. Stawiało się taboret, bo w domu nie było miejsca, żeby tak usiąść, i tam się jadło kolację. Obiadów wtedy nikt nie gotował. Jadło się śniadanie, na które często były jakieś barszcze albo kapłoniak. Kapłoniak to była potrawa, którą się przyrządzało, zalewając suchy chleb gorącą wodą. Mój ojciec lubił dodać do tego mleko, a jak była słoninka, to można było wtedy skwareczkami okrasić tę wodę. Były zupy, jakieś tam kluski, a jak przyszedł okres dyniowy, to słynne były zupy z dyni. Na wiosnę nas na łąki wysyłali, żeby narwać szczawiu i wtedy były szczawiowe, a jak było jajko, to było już ho, ho, ho – dobrze.

Co się wtedy jadło na zimę?

W zimę to raczej były kartoflanki rozgrzewane i żurek. Żurek to się robiło wtedy, gdy mama piekła chleb, bo w dzieży robiło się zaczyn i część z tego przeznaczano się na żurek. Był też tradycyjny kisiel owsiany – ze zmielonego owsa. Stawiało się go w specjalnym garze i się zakiszało na kuchni, potem się cedziło i zagotowywało. Trzeba było cały czas stać i mieszać ciągle łyżką, żeby się nie przypalił, ale to był bardzo odżywczy posiłek, bo po owsie to i konik dobrze biega.



Patrzę na zdjęcie i widzę również kota. Mogłaby Pani o nim opowiedzieć?

W domu zawsze były koty. Na podwórku były psy, bo taki był zwyczaj, taka była tradycja. Kot nazywał się pewnie Mruczek.

Zdjęcie to było wykonane z jakiejś okazji?

Po prostu chcieli mieć pamiątkę. A ten pan jeździł sobie rowerkiem przez wieś i jeżeli ktoś chciał zrobić zdjęcie, to on wtedy robił, bez okazji większej. A tutaj z tyłu widać fragment choinki, czyli pewnie było robione na Boże Narodzenie.

W co były ubrane te osoby na zdjęciu?

Były ubrane skromnie, jakieś tam sukieneczki, bo była krawcowa sąsiadka. Jak już się miało materiał, to się niosło do krawcowej i szyło się sukieneczki. Byli jeszcze Żydzi, którzy handlowali, to od nich się coś kupiło. Po domach chodziły też handlarki, to było już zaraz po wojnie. Bardzo często zajmowały się handlem wymiennym. Jak ktoś tam miał krowy i masło, to handlarka dostawała mleko, masło, jajka.

Co Pani robiła w dzieciństwie, w czasie wojny?

Ha, ha, no trudno było coś robić. Bawiłam się jak inne dzieci, jeżeli to było możliwe, np. w klasy. Potrzebne były wtedy takie szkiełka, czekało się, kiedy coś się stłucze. Jeśli ktoś miał taki fajny fajansowy talerz, najlepiej z kwiatkami, to się czekało. Były jeszcze takie bieganki różne. Bawiliśmy się w chowanego, w pikra². Nie było nic innego, nie było kupowanych zabawek. Lalki to były robione ze szmat albo z sierści krowy. Bo krowa była zawsze, to była cała żywicielka. Nawet kiedy gdzieś tam bomby leciały, to ona stała uwiązana, przy drzewie w polu, przy tak zwanej kamienicy.

² W grze w pikra (w pikora) brał udział pasterz, strzegący kija wbitego w ziemię i wilki. Każdy uczestnik był wyposażony we własny kij. Wilki (dowolna liczba dzieci) starały się własnymi kijami przewrócić kij wbity w ziemię. Gdy pasterzowi udało się dotknąć swoim kijem wilka, a następnie przewrócić kij wbity w ziemię, dochodziło do zamiany ról.

A Pani te lalki robiła sama czy może z koleżankami albo z kimś z rodziny?

Kręciłam sama jak umiałam, się coś wpychało, żeby głowę zrobić i się zakręcało. Jeszcze się później owijało, żeby wyszła sukienka, jak się miało jakiś ładny sznureczek kolorowy, to się zawiązało. To było bardzo prymitywne, ale to była lalka. Pewnego razu zostawili mnie w domu samą. Chciałam wtedy mieć ładną lalkę i się bawić. Stała tam figurka Matki Boskiej, taka dość spora, nie była z porcelany, tylko z jakiegoś podobnego materiału. I ja chciałam ją ubrać na lalkę. Figurka stała na wyższej półce, więc musiałam stanąć na łóżku, żeby jej dosięgnąć. I jak już ją brałam, to ona mi wypadła i pękła w pół. Ile ja się napłakałam, zanim mama wróciła z pola i to zobaczyła. Ale mówi: „Nie płacz, jakoś to zrobimy” i zaczęła gotować klej z mąki, bo przecież innego kleju nie było, i skleiała tę Bozię, a ja już jej później nie ruszałam.

A pamięta Pani, ile miała wtedy lat?

Miałam wtedy siedem, może osiem lat. To było w rodzinnej chałupie ojca. Potem to przenieśliśmy się tam, skąd mama była. Mama też pochodziła z Hołowczyc, tylko dalej mieszkała. Tam już było większe pomieszczenie, bo była kuchnia, był pokój, była jakaś tam spiżarnia przy tym, dlatego się wyprowadziliśmy. Stamtąd już do szkoły chodziłam.

Czy pamięta Pani coś jeszcze z wojny?

Pamiętam, jak samoloty leciały, a ja mówiłam „Mamo, mamo! Mecki molot leci, chowajmy się!” – że to niemiecki samolot leci, i żebyśmy się chowali. Pamiętam, jak siedziałam w okopie. Okopy to były po prostu jamy wykopane, a nasz był przy kamienicy. Kamienica to była sterta kamieni zebranych na polu. Jak się orało, bronowało, a pole było kamieniste, trzeba było zbierać kamienie. Zsypywało się je w taki stos i to nazywało się kamienica. Zawsze koło niej rosła grusza albo jakieś inne drzewo. Jak kiedyś komuś powiedziałam, że miałam kamienicę, to mówi: „O, to ty bogata byłaś”.

Nasz okop był przykryty i można było się tam wsunąć. Tam była wyniesiona pierzyna, poduszki. Pamiętam, że na noc mama zastawiała ten wlot poduszką, bo w razie jakby jakieś tam kule czy coś trafiło, to się przez to tak nie przebijało. My żeśmy włązili do tej nory i tam spaliśmy. Krowa stała przy gruszy i dopóki Niemcy nie zabrali, to można było ją wydoić, było jakieś pożywienie, to pamiętam trochę.

Pamiętam też dobrych Niemców. Siostrę już wtedy zabierali do kuchni w barakach niedaleko i tam musiała pomagać. Ja wtedy chorowałam. Przyszedł jeden Niemiec i się pytał, dlaczego jestem chora. I ten Niemiec, jak siostra wracała z roboty, to dał jej jeszcze wołowe kości na rosół, żeby mama mi ugotowała.

Naprzeciwko naszego domu był wybudowany drugi dom, tam wujek sobie chyba budował. Nie był całkiem wykończony, ale Niemcy tam stacjonowali. Przychodzili czasem do nas przez drogę po mleko czy coś innego. Był jeden taki, na którego mówiliśmy „Kicy kicy”, bo on mnie brał na rękę i robił mi „kicy kicy”. On mi w takiej szkatułce dał cukierków kilka. Ja przechowywałam tę skrzyneczkę długo, ale już nie mam. Jak odjeżdżali już, to jeden przychodził jeszcze się pożegnać, mówił, że też zostawił tam taką córkę. Tak, że nie wszyscy byli podli, tak samo jak i u nas.

Do nas nie przychodzili tacy, żeby nas bili albo gonili, ale jak się uciekało w pole, to się niewiele widziało. Rodzice też na pewno tak robili, żeby dzieci nie widziały tych najgorszych rzeczy, bo groby były przecież. Po wojnie przyjeżdżali ci, co szukali swoich. Zabierali te ciała. Ale to już mnie nie dotyczyło. Ja miałam wtedy siedem lat. Wtedy dzieci były głupsze jak teraz. Teraz są bardziej rozwinięte i taki siedmiolatek już by pamiętał, ho, ho, ho!

A pamięta Pani rosyjskich żołnierzy?

No, da. Skazitie, czy majetie kuszat' (z ros. No tak. Powiedźcie, czy macie coś do jedzenia). Tak mówili. Przychodzili z garnuszkiem i prosili o jedzenie, i o *kartoszki*. Jak już mieli *kartoszki*, to już było dobrze. Pamiętam też fajne Rosjanki, chodziły w takich krótkich spódniczkach

i w wysokich butach, przy czołgach. I pamiętam, że jak z okopów wracaliśmy, to przez drogę trudno było przejść, bo tyle jechało czołgów.

Chodziła Pani do szkoły w Hołowczycach. Lubila Pani chodzić do szkoły?

Lubiłam, lubiłam chodzić do szkoły i dobrze się uczyłam. Wtedy szkoła była i w prywatnych mieszkaniach, bo było dużo dzieci, nie mieściły się w starej szkole, ona jeszcze stoi. Jak przejeżdżam, to trochę mi się przypomina. Potem żeśmy budowali nową szkołę. W 1951 roku tam chodziłam, nie było światła, nie było wody, nie było nic, bo to było wszystko takie prymitywne jeszcze. A jak ją budowaliśmy, to pamiętam, że mieszałam glinę nogami. Dzieci stały gęsiego i podawały sobie cegłę, bo tam było trochę już z cegły robione. To tak pomagaliśmy w budowie szkoły. Teraz chodzę do tej samej szkoły, do przedszkola swego. My przedszkole mówimy na dom seniora³, bo się bawimy jak przedszkolaki i mamy różne zabawki. (śmiech)

Jak Pani wspomina szkołę i nauczycieli?

Dobrze wspominam. Mnie nauczyciele lubili, uczyłam się dobrze też, w którychś latach to same piątki miałam, a później to już różnie pewnie tam było, ale w każdym razie dobrze wspominam nauczycieli. Byli mili, pomocni. Ale były nauczycielki, które same ledwie co pokończyły szkołę powszechną, naprawdę, taka nauczycielka też była. Fajni, mili, sympatyczni byli i dzieci były grzeczne wtedy. Odnosiły się do nauczycieli inaczej. Inny był szacunek do starszych. Co powiedział nauczyciel, to było święte. W domu nikt nigdy nie mógł na nauczyciela powiedzieć źle. Bo dzisiaj to rozmawiają przy dzieciach o nauczycielach, i to bardzo różnie. Ja byłam grzeczna w szkole. Ci, co nie byli grzeczni, to dostawali linijką tzw. łapę albo klęczenie z rękami w górze. To już była wielka kara dla ucznia. Chłopcy częściej zarabiali, dziewczyny były grzeczniejsze.

³ Pani Sabina wolny czas spędza w „Dziennym Domu Senior+” w Nowych Hołowczycach. Placówka mieści się w budynku dawnej szkoły.

W szkole zostało zrobione moje pierwsze zdjęcie, takie małe było. Wtedy przyjeżdżał fotograf, rozwieszał w szkole jakieś prześcieradło i robił zdjęcia. Później nam też dożywianie zrobili. Mówiło się wtedy, że z Ameryki przysłał jakieś zapasy. Rzeczywiście, dostawaliśmy z pomocy amerykańskiej UNRRA⁴ paczki, jakieś tam ceres z kakao czy inne produkty żywnościowe przysłali. Ja byłam w drugiej czy trzeciej klasie. W szkole była kucharka, był parnik, w którym ona gotowała wodę i robiła kakao. Dzieci swój chleb musiały przynieść i wtedy ona kromkę chleba smarowała margaryną czy tam ceresem, i w kubek się kakao dostawało.

Jeszcze tran dawali, żeby dzieci były mocniejsze, bo to też dar od „cioci Unry”. Stał nauczyciel, w takiej dużej butelce miał tran i jedną łyżkę w garści. Dzieci się ustawiały w kolejkę i jak dał jednemu, on odchodził, nalewał następnemu. Jedno po drugim piło tą samą łyżką. Nie było tak jak teraz, że tam się myje, myje, bo jak to tak, bo tą samą łyżką nie można brać. Jedną łyżką było trzydzieści to trzydzieści, czterdzieści to też, i tak poił nas.

Później to już obiady były, ale nie pamiętam, w której klasie byłam. Ze wsi dawaliśmy a to kartofle, a to marchewkę i kucharka gotowała z nich zupę.

A na przykład na religię to musiałam chodzić daleko, było chyba z 8 km. Chodziliśmy do Sarnak. Kiedyś religia była przy kościele, w takiej katechetycznej salce. Szło się na piechotę. Oj, a z powrotem jak wracałam, to myślałam: „żeby do tego drzewa dojść, żeby do tamtego bzu dojść, żeby jeszcze kawałek”. I to jeszcze bez jedzenia, bo kto tam kanapki robił. Nie było z czego. Te dzieci nie były takie zadbane jak teraz. Nie to, że rodzice nie chcieli, tylko nie było jak. Nie było zwyczaju, żeby ktoś pojechał, przywiózł księdza. Samochodów nie było, bo samochód zobaczyć to była wielka okazja. Dzieci wybiegały na drogę,

⁴ UNRRA – United Nations Relief and Rehabilitation Administration, organizacja międzynarodowa utworzona w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy po zakończeniu II wojny światowej. Największymi odbiorcami były Chiny i Polska. W latach 1945-1947 za pośrednictwem UNRRA do Polski trafiło 2 mln ton różnych towarów.

żeby samochód zobaczyć. Później już ksiądz zaczął dojeżdżać do szkoły. Może rodzice doszli do wniosku, że łatwiej jedną osobę dowieźć, żeby reszta nie chodziła. Naprawdę było żal tych dzieci. Cukierków na drogę nikt nie dawał, bo nie było.

W szkole było zawsze wesoło, nawet jak się wróciło ze zbitym palcem. Dzieci w lecie boso chodziły do szkoły, to jak się szło, jak się podskakiwało i się huknęło w palec, to się go wybiło. Mówiliśmy wtedy: „A widzisz dziadku, nie śmiej się z mojego wypadku, dzisiaj moje, jutro twoje”. Tak to było, ale było wesoło. Też sobie czasami zbiłam palec, ale nawet środków opatrunkowych nie było, to się sypało piaskiem, jak krew leciała, żeby trochę zatamować i poszli dalej.

Moją ulubioną nauczycielką była pani, która uczyła nas historii chyba w czwartej albo piątej klasie. Uczyła też tańczyć i śpiewać i to było fajne, bośmy mieli takie ludowe tańce w szkole, a potem występowaliśmy na scenie i było wesoło.

Jakiego przedmiotu Pani najbardziej lubiła się uczyć?

Lubiłam język polski, bo lubiłam czytać, lubiłam wierszyki mówić, często występowałam w teatrzykach szkolnych. Miałam długie, bardzo ładne włosy, takie dwa warkocze. Mnie do różnych inscenizacji brali. Kiedyś to cała rozrywka była, jeżeli szkolne dzieci występowały z jakimś teatrzykiem, no bo nic innego nie było. Później dopiero się pojawiło kino objazdowe, ale to już były późniejsze lata.

A jak się już pojawiło kino, to Pani lubiła chodzić?

Tak, tak. W szkole wyświetlali nieraz, albo w remizie, bo jak już była remiza wybudowana, to przyjeżdżali do remizy i tam wyświetlali. Lubiłam tam chodzić, bo to była jedyna rozrywka taka.

Pamięta Pani może swój pierwszy film? Ulubiony?

Nie pamiętam już pierwszego filmu. A ulubiony to był jeden z pierwszych, polski film, nazywał się „Zakazane piosenki”. Pamiętam, że były w nim piękne piosenki, których każdy się chętnie uczył. Wtedy

było więcej młodzieży niż teraz, więc my na drogę wychodziliśmy i śpiewaliśmy.

Pani występowała w Hołowczycach tylko czy też gdzieś dalej jeździliście?

A czym było jeździć? Nie było nawet czym jeździć. Jak ktoś miał auto, to sobie przyjechał do nas, żeby nas pooglądać, ale te występy raczej były tak dla rodziców, dla rodzeństwa, sąsiadów. Nie, nie wyjeżdżaliśmy. Nie było wyjazdowych występów wtedy, kiedy ja byłam, bo jak ja później poszłam z domu, to już było inaczej.

A ile lat Pani się uczyła w Hołowczycach?

Do siódmej klasy, bo wtedy jeszcze nie było ósmej, do 1951 roku. Chyba wtedy kończyłam, tak mi się wydaje.

Co Pani robiła po ukończeniu szkoły podstawowej?

Poszłam do średniej szkoły w Siedlcach. Dwa lata byłam w Siedlcach, a potem na Śląsk mnie brat zabrał. Chodziło się do parku, bo ja mieszkalam na stacji naprzeciwko parku. Siedem nas mieszkało w pokoju. Wtedy się nie dostawało do tych internatów. Z okna było widać jezioro. Jak była zima i było zamrożone, to wtedy taka pani przyjeżdżała na łyżwy. Lubiliśmy na nią patrzeć, jak jeździła. Ona była słynna na całe Siedlce, ale naprawdę ona bardzo ładnie tańczyła na tym lodzie.

Pani też chodziła na łyżwy?

Nie. Nie. Ja nie chodziłam. Jakoś ze sportem cały czas byłam trochę na bakier. To, co musiałam ćwiczyć, to tak. Bo był WF w szkole i też taka fajna pani przychodziła ćwiczyć. Jakieś skoki przez kozła, wchodzenie po drabinie i inne takie, ale tak do żadnych zespołów nie należałam.

A jak Pani mieszkała na stacji, to wracała do Hołowczyc?

Chyba ze trzy razy w roku tylko przyjeżdżałam, jakoś na Wszystkich Świętych pierwszy raz. To i pociągiem drugi raz dopiero jechałam.

Bo pierwszy raz pociągami jechałam, jak byliśmy ze szkołą powszechną na wycieczce w Warszawie. A tak to tylko na święta się przyjeżdżało. Trzeba było mieć gotówkę nawet na pociąg, żeby wracać do domu.

Jak Pani była na wycieczce w Warszawie, to jak ona wyglądała wtedy po wojnie?

Same ruiny. To było w 1948 roku. My nocowaliśmy w takich ruinach, znaczy takie fundamenty już były, ale góry nie było żadnej. Pamiętam, że dla jednej dziewczyny, jak stanęła na ruchome schody, to jej oberwało obcas od tenisówki. Ale te schody też wtedy nie były takie precyzyjne, miały taki schodek na górze.

Chciałaby Pani coś jeszcze dopowiedzieć?

Dzięki Bogu, że wojna się skończyła. Nastaly inne czasy. Już można było i śpiewać po polsku, i chodzić, i robić, co się chciało.

Bardzo dziękuję, że zgodziła się Pani porozmawiać ze mną.

Blanka Bartoszek – rodowita mieszkanka Zabuża, uczennica 8 klasy Szkoły Podstawowej w Sarnakach, uczestniczka projektu „Akademia Młodego Obywatela” – realizowanego przez Fundację Edukacyjną Jana Karłowicza.

Barbara Michoń

Nasi Artyści

Zwyczajne, niezwykłe dziewczyny naszej gminy...

Dwie panie, zajmujące się gospodarstwem, pracą zawodową, wychowywaniem dzieci. Tak, jak wiele kobiet naszej gminy, chcące czegoś więcej niż tylko proza życia i codzienny kierat obowiązków. Ale też chęć wyrażania siebie w sztuce (śpiew, muzykowanie, robótki ręczne, produkcja ekologicznych produktów). Takich kobiet w naszej gminie jest wiele. A one mogą być inspiracją dla pozostałych, chcących wyjść z ukrycia...

Bogusława Cieciera z d. Bareja

Urodziła się w 1944 roku w Skórcu. Rozpoczęła naukę w Szkole Podstawowej w Niemojkach, uczęszczała tam 2 lata. Potem nastąpiła przeprowadzka rodziny do Łosic i przez 2 lata chodziła do Szkoły Podstawowej nr 2. Od 1955 roku kontynuowała naukę w Szkole Podstawowej w Sarnakach. Tak częste przeprowadzki były związane z pracą ojca. Po ukończeniu szkoły podstawowej podjęła naukę w Technikum Wikliniarsko-Trzciniarskim w Kwidzynie na Pomorzu. Na początku nie wierzyła we własne możliwości, więc przez rok uczęszczała do zasadniczej szkoły zawodowej o takim samym profilu. Po roku za namową nauczycieli, którzy widzieli w uczennicy duży potencjał intelektualny, przeniosła się do technikum.

W 1964 roku ukończyła szkołę średnią i wróciła do Sarnak. W tych czasach obowiązywał nakaz pracy, więc czekała na decyzję dotyczącą jej kariery zawodowej. Była najstarszym dzieckiem w rodzinie, dlatego musiała podjąć pracę jak najszybciej. W Inspektoracie Oświaty

w Łosicach otrzymała propozycję pracy w Łepkach Starych w charakterze nauczycielki języka polskiego. W ramach doskonalenia zawodowego została skierowana na kurs pedagogiczny do Radzymina koło Warszawy. Niestety, z powodu wykluczenia komunikacyjnego, pani Bogusia musiała z kursu zrezygnować. Była ciężka zima, a dostać się od pociągu do domu było bardzo ciężko. Z Niemojek do Łosic i dalej do Łepek szła pieszo. Tę sytuację wspomina ze smutkiem, bo chciała zostać nauczycielką, zwłaszcza, że bliska koleżanka z Siedlec ukończyła kurs, potem studia i została pedagogiem. Wróciła do Sarnak, wyszła za męża, pojawiły się dzieci. W 1966 roku rozpoczęła pracę w telekomunikacji, na poczcie w Sarnakach. Pracowała tam do 1995 roku, do przejścia na emeryturę. By podreperować domowy budżet, dorabiała jako kucharka. Przygotowywała rodzinne uroczystości, wesela, komunie. Od roku 1996 jest emerytką. Od dziecka przejawiała talent artystyczny, ale praca i wychowanie dzieci pochłaniały tak dużo czasu, że pasje artystyczne poszły w odstawkę.

Od 15 lat działa w Gminnym Ośrodku Kultury. Prowadziła tam warsztaty wikliniarskie. Powstały piękne koszyki i inne użytkowe przedmioty. Odżyła też chęć do muzykowania. Przed Niemojkami wraz z rodziną mieszkała w Iganiach: *ojciec dzierżawił tam gospodarstwo, a w wolnej chwili przygrywał na akordeonie, a my jako dzieci śpiewaliśmy i tańczyliśmy w rytm muzyki. Potem przeprowadziliśmy się do Opola Nowego. Ojciec miał tam zlewnię mleka i odstawił je do Siedlec, później był prezesem GS-u, następnie został milicjantem i zamieszkaliśmy w Niemojkach.*

Sama zaczęła grać, gdy zamieszkali w Łosicach, była wtedy w czwartej klasie, kierownik szkoły pan Stanisław Gołąbek założył zespół instrumentalny i zachęcił ją do gry na mandolinie. Gdy przeprowadziła się do Sarnak, pan Gołąbek polecił ją panu Tadeuszowi Banasiowi, który bardzo wysoko ocenił umiejętności uczennicy i włączył ją do sarnackiego zespołu instrumentalno-wokalnego. Ten okres pani Bogusia wspomina bardzo ciepło: *próby odbywały się po południu. Dawaliśmy koncerty w okolicy, jeździliśmy do Siedlec. W międzyczasie powstał zespół ludowy „Podlasie”. Ze szkolnego zespołu mandolinowego pan Banaś wybrał część osób, które*

wsparty muzycznie „Podlasie”. Znalazłam się w tej grupie. Sprawami organizacyjnymi zajmowała się pani Halina Lisiecka – prezes GS-u, a opiekę artystyczną sprawował pan Tadeusz Banaś. Występowaliśmy w Teatrze Żydowskim w Warszawie, w Ursusie oraz braliśmy udział w każdym okolicznym wydarzeniu. Dawalo to nam dużo radości i było odskocznią od codziennego życia. Grałam do 14. roku życia. Przyszedł czas dorosłości, obowiązków i koniec grania. Wydarzeniem, które było iskrą powodującą powrót do muzykowania, był zakup mandoliny – mojego pierwszego własnego instrumentu.

Po śmierci ojca sprzedała jego akordeon i kupiła mandolinę, by umilić choć trochę to ciężkie, szare życie i to po 50. latach od zaprzestania gry w zespole. Dzieci, które nigdy nie widziały grającej matki, ze zdziwieniem patrzyły na ten zakup. Odpowiedziała im: *Najwyżej powieszę na ścianie jako dekorację. Patrzyłam na instrument, trochę brzdąkałam, by cokolwiek przypomnieć, wreszcie wzięłam pod pachę mandolinę i poszłam do Gminnego Ośrodka Kultury.* Teresa Jakubińska, ówczesna dyrektor, okazała zainteresowanie, bo sama w dzieciństwie też grała w zespole, więc zaczęły wspólnie ćwiczyć i występować. Grupa mandolinowa powoli się rozrastała. Dołączyła z gitarą Agnieszka Chudyba, po jakimś czasie z mandoliną Wanda Banaś – synowa p. Tadeusza Banasia. Z gitarą dołączył Tadeusz Goś i Mirosław Nalepa. Zespół zaczął robić karierę. W tym roku będzie obchodził 15-lecie. *Występujemy w okolicznych gminach, uświetniamy sarnackie uroczystości. Nasz repertuar to utwory patriotyczne, polskie i światowe przeboje, kolędy. Występy cieszą się popularnością, bo mandolina to instrument, który wydaje piękne oryginalne brzmienie, w połączeniu z gitarą chwyta publiczność za serce. Często bisujemy.* Takie koncerty dają niezły zastrzyk energii i chęci do życia. Na początku, kiedy na scenie pojawiają się starsze panie, u publiczności pojawia się konsternacja. Kiedy jednak wybrzmiewają pierwsze dźwięki światowego przeboju, a panie dają czadu, to wzbudzają aplauz i bisy. Pani Bogusia miała również epizod aktorski w przedstawieniu teatralnym „Herody”, w reżyserii Teresy Jakubińskiej. Przy Gminnym Ośrodku Kultury działa

też zespół śpiewaczy „Aura” i tam też występuje. Członkowie chóru spotykają się na próbach, dają profesjonalne koncerty.

Pani Bogusia udowadnia, że jesień życia może być ciekawa. Umiejętności wikliniarskie pozwalają wyczarowywać piękne użytkowe przedmioty, a granie i śpiew jest lekarstwem na duszę, która wiele przeszła. W wieku 43 lat została wdową z czwórką dzieci. Od 25 lat mierzy się z ciężką chorobą córki. Ale stara się nie myśleć o złych rzeczach. Wspomina, jak ciężko było dziecku pochodzącemu ze wsi. Chociażby z wyborem szkoły średniej. Mimo zdolności, ale z braku wiary w siebie wybrała szkołę zawodową. Dobrze, że na jej drodze stanął nauczyciel, który dostrzegł jej możliwości i zachęcił do zmiany szkoły. Ważne też jest miejsce zamieszkania, bo być może jej życie zawodowe potoczyłoby się inaczej, gdyby uzyskała kwalifikacje pedagogiczne. Zastanawia się nad tym z nostalgią, zadumą. Kiedy rozmowa schodzi na tematy artystyczne, na twarzy pojawia się uśmiech, bo jak mówi: *to obecnie jest mój sens życia.*



Fot. 1. Podczas warsztatów wyplatania koszyków przeprowadzonych w Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach.



Fot. 2. Występ z zespołem mandolinowym – p. B. Cieciera druga z prawej.



Fot. 3. Przygotowania do występu w sztuce „Herody”.



Fot. 4. Zespół śpiewaczy „Aura” p. Cieciera pierwsza z lewej.

Jadwiga Waszczuk z d. Kroszka

Kiedy jedziemy drogą wojewódzką 811 z Sarnak do Białej Podlaskiej, mijając Kolonię Płasków, widzimy po lewej stronie baner „Aroniowy Zakątek zaprasza” i drogę skręcającą w lewo. Gospodarzami Zakątka są Jadwiga i Marian Waszczukowie. Ostatnie zabudowania i dalej łąki i las. Cisza, wspaniali gościnni gospodarze, dobre jedzenie, napitki, nieustanne dowcipy gospodarza czynią pobyt w Aroniowym Zakątku radosnym i szczęśliwym. Działalność agroturystyczną prowadzą od 2015 roku. Obejście pełne zieleni, przy wejściu do domu fruwią kwiatki, motyle wydziergane przez panią Jadwigę. Za domem jest wiata, w której również są serwety i inne szydełkowe dekoracje. Jest też piec do wędzenia serów. Idealne miejsce na letnie biesiadowanie. Niepowtarzalna atmosfera domu – serdeczna gospodyni, gawędziarz gospodarz, sypiący żartami, dowcipami jak z rękawa, przyciągają turystów.

Kobieta tego domu – Jadwiga – urodziła się w 1960 roku. Od urodzenia mieszka w Hołowczycach-Kolonii. Do szkoły podstawowej chodziła

do Sarnak, potem kontynuowała naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Łosicach w klasie o profilu biologiczno-chemicznym, następnie w Studium Pocztowo-Telekomunikacyjnym w Lublinie. Po jego ukończeniu otrzymała skierowanie do pracy do Urzędu Poczтового w Hołowczycach. Rozpoczęła tam pracę w sierpniu 1980 roku. Od razu została rzucona na głęboką wodę, bo została naczelnikiem. Potem została przeniesiona do Sarnak. Pracowała tam od marca 2007 roku. Obecnie jest emerytką.

W 1982 roku wyszła za mąż. Mąż Marian przez 16 lat był wójtem gminy Sarnaki. Mają siedmioro dorosłych dzieci i ośmioro wnucząt. Wraz z mężem tworzą kolorowy duet. Oprócz pracy zawodowej, prowadzenia gospodarstwa przejętego od rodziców, wychowywania dzieci, Jadwiga znajdowała czas na realizację swoich pasji. Od lat interesowała się ręcznymi robótkami. Na początku były to prace wykonane na drutach: szaliki, swetry, czapki, nauczyła się tego od mamy. W 1986 roku kupiła maszynę dziewiarską, którą ma do tej pory. Maszyna przyjechała aż z Biłgoraja, bo jej ciocia była tam nauczycielką, sprawnie na niej tkęła i zachęciła Jadwigę do zakupu. Na tej maszynie powstawały cudenka. Powstało arcydzieło: biała wełniana sukienka, w której wystąpiła na weselu sąsiadki. Wtedy większość kobiet potrafiła dziergać na drutach. Był problem z kupnem ubrań, a tak, można było wydziergać to, co się chciało. Teraz chciała przywrócić maszynę do życia. Niestety, ząb czasu ją nadwyreżył i wymaga solidnego przeglądu. Umiejętność robienia na szydełku przyszła później. Nauczyła się podczas zajęć technicznych w szkole. Pamięta, że w 6 klasie na ocenę wydziergała czerwony szalik. Potem, kiedy pojawiły się dzieci, pasje poszły w odstawkę. Ich wychowanie, praca zawodowa i w gospodarstwie nie dawały wiele wolnego czasu.

Emerytura dała możliwość powrotu do robótek, które uspokajają, odstresowują, ćwiczą mózg, pamięć i wraca młodość. Powstają szydełkowe koszyczki, filiżanki, kurki, kaczuski, chusty, serwety i to, co sprawia największą radość wnukom, zabawki – szydełkowe zwierzątka. Powstają też ozdoby choinkowe, którymi są obdarowywane najbliższe osoby. Są też sprzedawane oraz przekazywane na różne akcje charytatywne.



Fot. 1. Jadwiga z mężem na werandzie.



Fot. 2. Przy wędzeniu serów.



Fot. 3. Stado powstałe na szydełku – dzieło artystki.



Fot. 4. Zwierzęta – prezent dla wnuków.

Pani Jadwiga słynie z produkcji wspaniałych podpuszczkowych serów. Powstają białe i wędzone z czarnuszką, suszonymi pomidorami, bazylią, słonecznikiem, orzechami. Dostarcza je na różne uroczystości. Wysyłane są też do Francji, Niemiec. Produkuje też nalewki z tarniny, aronii, wiśni, porzeczek, orzechów.

Ma czas na działalność w kole gospodyń, które nosi nazwę „Nie-zapominajka”. Jest tam skarbnikiem. Panie spotykają się w Domu Seniora w Hołowczycach, mają swoją salę, która została wyremontowana z Funduszu Sołeckiego i wsparcia Urzędu Gminy w Sarnakach. Są bardzo aktywne. Co roku tworzą wieniec dożynkowy na Dożynki Gminno-Parafialne. Już wiosną zbierają i suszą kłosa, a potem przed dożynkami biorą się ostro do pracy. Wspólnie przygotowują potrawy na kulinarne konkursy, wspierają kulinarnie lokalne uroczystości. Lubią spędzać ze sobą czas. Wyjeżdżają do teatru, kina, nawet do SPA. Organizują wspólną wigilię, wieczory kolęd, pieśni patriotycznej.

Z prowadzenia gospodarstwa zostały króliki i kury – to moje zajęcie. Lubię rozwiązywać krzyżówki, szydełkować. Latem zajmować się ogrodem. Czas jesienny przeznaczam na szydełkowanie i tworzenie ozdób choinkowych, którymi obdarowuję bliskich. Choinka w Kole Gospodyń jest udekorowana moimi bombkami, aniołkami. Każdy powinien mieć zainteresowania, nie wolno ograniczać się do telewizji i seriali. Ważny też jest bezpośredni kontakt z ludźmi. Nie wolno zamykać się w czterech ścianach – podsumowuje pani Jadwiga.

Barbara Michoń – nauczycielka Szkoły Podstawowej w Sarnakach. Od 2007 roku dyrektor Zespołu Szkół w Sarnakach. Po zmianach w oświacie – dyrektor Szkoły Podstawowej im. Bohaterów Akcji V2. Absolwentka AWF i Uniwersytetu Warszawskiego.

Trzy łyki statystyki

Od zagrody do fermy, czyli jak przez 100 lat zmieniła się hodowla w naszej gminie.

W 8. tomie rocznika prezentujemy informację nt. hodowli zwierząt gospodarskich w miejscowościach na terenie naszej gminy. Dane nt. całkowitego pogłowia zwierząt, ale też liczby hodowców obrazują ogromną zmianę, jaka zaszła między rokiem 1924 a 2024, a dokonała się zwłaszcza w poprzednich dwóch-trzech dekadach.

Dysponujemy dwoma źródłami danych. Pierwsze to wykaz sporządzony przeszło 100 lat temu na potrzeby podatkowe¹. W marcu 1924 r. w każdej wsi ówczesnej gminy Sarnaki spisano nazwiska hodowców i liczbę posiadanych przez niech koni, krów, świń i owiec. Do dyspozycji mamy więc dane również z miejscowości wchodzących dziś w skład gminy Platerów (jak Lipno, Mężenin), ale brak nam informacji o kilkunastu wsiach, które w okresie międzywojennym przynależały do gminy Hołowczyce.

Drugie zestawienie uzyskaliśmy z Powiatowego Inspektoratu Weterynarii w Łosicach. Ten wykaz prezentuje dane na koniec roku 2024 i obejmuje wszystkie zarejestrowane stada hodowlane zwierząt tych samym gatunków, co sto lat wcześniej. Tym razem dotyczy obszaru całej obecnej gminy Sarnaki².

¹ Archiwum Państwowe w Lublinie, Starostwo Powiatowe Konstantynowskie 407/260. Wykaz jest dostępny on-line. Może być ciekawym źródłem informacji dla osób poszukujących danych nt. własnej rodziny, gdyż zawiera kilkaset imion i nazwisk.

² Ze względu na ochronę danych osobowych posiadamy wyłącznie informacje o wielkości stada i miejscowości, w której jest zarejestrowane, bez nazwisk hodowców i numerów stad.

Oba zbiory danych dzieli wiek. Niestety, nie da się ich porównać w pełnym zakresie. Główne przyczyny są dwie.

Pierwsza to inny obszar historycznej gminy Sarnaki. Jak już wiemy, nie obejmował całej obecnej gminy. Z roku 1924 mamy dane dotyczące 16 miejscowości obecnych w granicach współczesnej gminy Sarnaki. Dziś miejscowości jest dokładnie dwukrotnie więcej – 32. Aby uzyskać obraz skrojony do rozmiarów obecnej gminy, dane z 1924 r. należałoby zapewne podwoić. Wsie w naszej gminie miały podobny charakter, gdy chodzi o ich zagęszczenie, bonitację gruntów. Taka ekstrapolacja jest niewątpliwie uproszczona, ale raczej oddaje stan faktyczny. Uprawniają do niej proporcje liczby ludności odnotowanej tuż po odzyskaniu niepodległości³.

Tabela 1. Zmiany liczby hodowców i pogłowia zwierząt w gminie Sarnaki w latach 1924–2024.

Nazwa miejscowości	Liczba gospodarstw deklarujących hodowlę	Liczba stad zwierząt	Konie		Bydło		Owce		Świnie	
	1924	2024	1924	2024	1924	2024	1924	2024	1924	2024
Binduga	27	1	19		28		18	31	11	
Bużka	30	3	29		39	27	32		16	
Chlebczyn	67	3	56		86	12	66		50	
Chybów	77	10	76		102	249	30		51	
Franopol	38	2	40	1	56	1	30		12	
Grzybów	39	8	43		51	50	24		20	22
Klimczyce	14	0	17		20		14		6	
Klimczyce-Kol.	18	0	39		67		25		34	
Kózki	23	1	19		21	1	0		3	

³ Analizując dane spisu ludności z 1921 r. widzimy, że 16 miejscowości, które ówczesnie i teraz wchodziły w skład gminy Sarnaki, zamieszkiwało 55% ludności mieszkającej we wszystkich wsiach, jakie tworzą obecną gminę. Dane z tego spisu znajdziemy w tej publikacji: A. Wasilewska, R. Zubkiewicz, *Historia i współczesność gminy Sarnaki*, Sarnaki 2015, s. 34.

Nazwa miejscowości	Liczba gospodarstw deklarujących hodowlę	Liczba stad zwierząt	Konie		Bydło		Owce		Świnie	
	1924	2024	1924	2024	1924	2024	1924	2024	1924	2024
Mierzvice N.	37	3	34		41	64	0		17	
Mierzvice St.	57	4	57		100	28	58		49	
Mierzvice-Kol.	b.d.	0								
Płosków	27	2	46		50	8	33		33	
Płosków Kol.	b.d.	1				46				
Rozwadów	16	8	20		27	161	3		3	
Rzewuski	40	20	53	4	71	261	78		27	6
Sarnaki	115	4	70		171	62	11		69	
Terlików	33	8	41		71	121	14	2	25	
Ogółem	681	78	659	5	1001	1091	436	33	426	28
Miejscowości, dla których brak danych z roku 1924 (przedwojenna gmina Hołowczyce)										
Bonin		9				169				20
Bonin-Ogródki		7				65				10
Borsuki		25				321		6		27
Hołowczyce-Kol.		10		8		66		13		
Horoszki D.		4				23				
Horoszki M.		4				31				
Klepaczew		9		18		56		11		9
N. Hołowczyce		14		5		136				13
N. Litewniki		14				42				450
Raczki		4		8		71				
Serpelice		16		5		162		12		21
St. Hołowczyce		7		28		93				
St. Litewniki		17				98				1717
Zabuże		4		3		42				
Ogółem w gminie w 2024 r.		222		80		2466		75		2295

Druga przyczyna to szczegółowość danych. Te sprzed II wojny światowej dotyczą konkretnych gospodarzy. Współczesne, ze względu na ochronę danych osobowych żyjących osób, dotyczą tzw. stad. Stado to zwierzęta tego samego gatunku należące do jednej osoby, nawet jeśli jest to pojedyncze, ujęte w ewidencji zwierzę⁴. Liczba stad nie odpowiada liczbie gospodarstw. Jeśli w gospodarstwie spotkamy krowy i choćby pojedynczego konia, będą to dwa stada. Jednak cechą współczesnych hodowli jest ich wysoka specjalizacja. Z rozmowy z powiatowym lekarzem weterynarii wiemy, że tylko ok. 10 osób w całej gminie utrzymuje różne gatunki zwierząt. **W przybliżeniu możemy więc stwierdzić, że dziś hodowlą krów, koni, świń lub owiec para się w gminie ok. 210 osób (posiadają 222 stada).**

Co jeszcze można zaobserwować w liczbach dotyczących hodowli zwierząt?

Przede wszystkim wyraźnie widać, że zmieniła się liczba gospodarstw, w których utrzymuje się zwierzęta. Przed wojną w 16 miejscowościach znajdujemy aż 681 osób, które posiadały zwierzęta. Najczęściej krowy (620 gospodarstw), a w drugiej kolejności konie (482 gospodarstwa). Ekstrapolując dane, możemy przypuszczać, że na terenie wyznaczonym granicami dzisiejszej gminy zwierzęta utrzymywało aż ok. 1300 rodzin, sześciokrotnie więcej niż współcześnie. Hodowali ok. 6,5 tys. zwierząt czterech gatunków, podczas gdy współcześnie jest to 4916 sztuk.

O ile dawniej normą były gospodarstwa, w których hodowano po kilka zwierząt różnych gatunków, tak współczesny chów – w szczególności bydła i świń – ma charakter fermowy, niespotykany 100 lat temu. W pięciu fermach w gminie utrzymywanych jest po 100 i więcej sztuk trzody chlewnej. W największej – 1000 osobników, czyli więcej, niżli przed wojną w całej gminie. W przypadku hodowli bydła na koniec 2024 r. mieliśmy siedem gospodarstw z pogłowiem przekraczającym 50 osobników. Tymczasem przed wojną niemal 90% gospodarstw posiadało

⁴ Definicja stada pochodzi z *Ustawy z dnia 4 listopada 2022 r. o systemie identyfikacji i rejestracji zwierząt, Dziennik Ustaw 2022 poz. 2727..*

jedną bądź dwie krowy. I tylko jedno gospodarstwo, w Klimczycach-Kolonii, mogło się pochwalić inwentarzem złożonym z 19 sztuk bydła.

Pisząc o dawnych „gospodarstwach”, nie jesteśmy do końca precyzyjni. Oto bowiem w Sarnakach z zaskoczeniem odnajdujemy aż 73 żydowskich właścicieli koni bądź krów (zestawienie z 1924 r. wyszczególniało hodowców wg ich religii). Z zaskoczeniem, bo w powszechnej opinii Żydzi nie posiadali ziemi rolnej, zajmując się rzemiosłem bądź handlem. Tymczasem w Sarnakach aż 66 żydowskich rodzin hodowało krowy (najczęściej jedną, tak było w przypadku 50 rodzin). Żydzi hodowali również 11 koni. Część koni niewątpliwie służyła woźnicom, którzy wykonywali usługowe przewozy do stacji kolejowej w Platerowie.

Dosyć oczywista zmiana to zanik hodowli koni jako zwierząt pociągowych. W przedwojennym wykazie mamy informację o 659 koniach. Rolnictwo i transport tamtych czasów nie mogły się obyć bez koni. Dziś na tym samym obszarze spotkamy tylko pięć koni, co stanowi mniej niż 1% pierwotnej liczby. Zaś w całej gminie 13 hodowców utrzymuje łącznie 80 zwierząt, wykorzystywanych do celów rekreacyjnych bądź z przeznaczeniem na rzeź.

Niemal całkowicie zanikła hodowla owiec. Przed wojną, kiedy skóry owcze i wełna były niezastąpionym surowcem do wytwarzania odzieży, w 16 wsiach naszej gminy mogliśmy spotkać 436 owiec, utrzymywanych w przeszło 300 gospodarstwach. Co ciekawe, niemal 80% właścicieli owiec posiadało tylko pojedyncze zwierzę, co nie przystaje do obrazu licznych stad kojarzonych z wypasem w rejonach górskich. Wyjątkiem jest gospodarstwo w Bindudze, utrzymujące liczne stado owiec tradycyjnej rasy wrzosówka, wypasanych na terenie rezerwatu przyrody Kózki (wypas zapobiega zarastaniu łąk i muraw napiaskowych). Liczba owiec była niemal identyczna, co liczba hodowanych świń. Dziś owce hoduje tylko sześć osób, które łącznie posiadają 80 zwierząt.

Za to 38 hodowców, którzy zajmują się hodowlą świń, posiada łącznie 2295 zwierząt, przy czym w niektórych ze stad, które oficjalnie deklarowały hodowlę świń, na moment aktualizacji zestawienia nie było ani

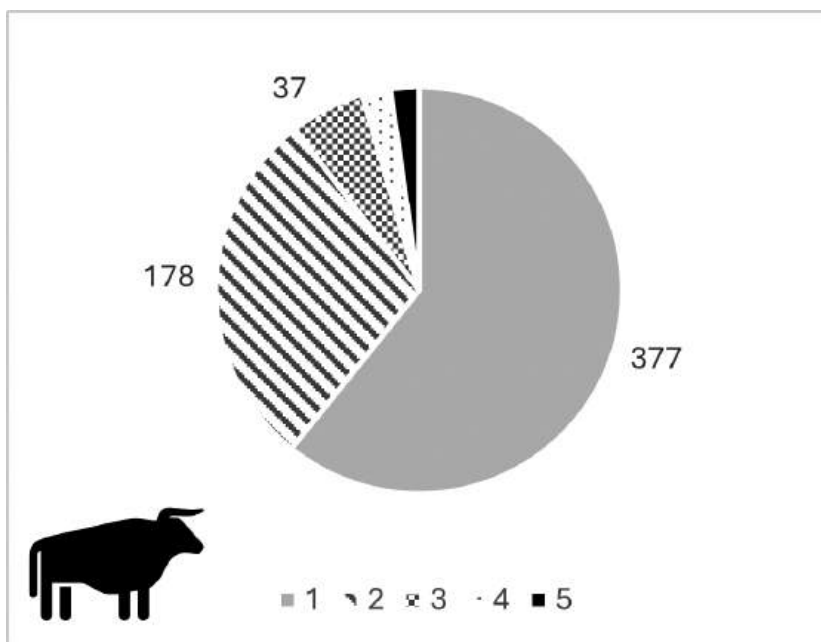
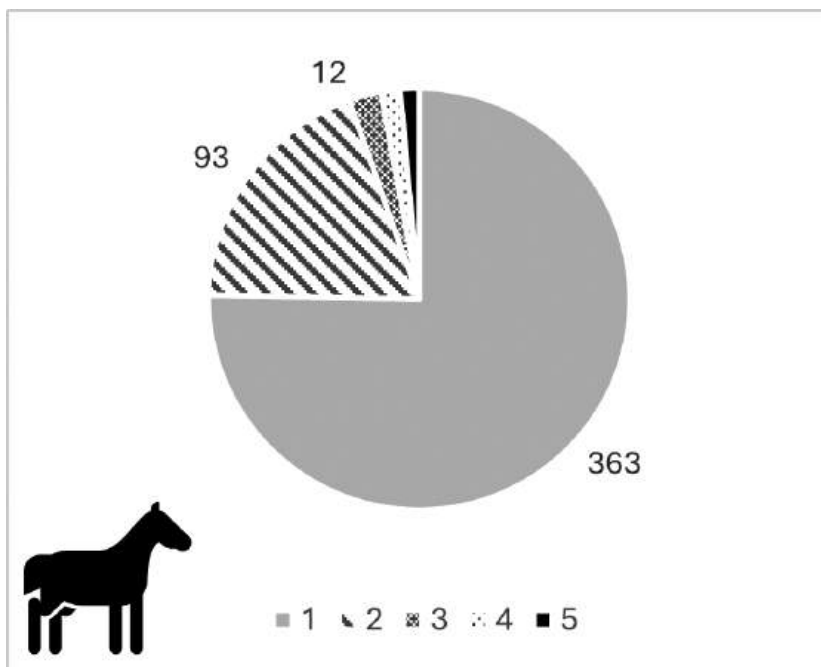
jednego osobnika (sześć przypadków). Co warte odnotowania, aż 94% świń hodowanych jest w Nowych i Starych Litewnikach.

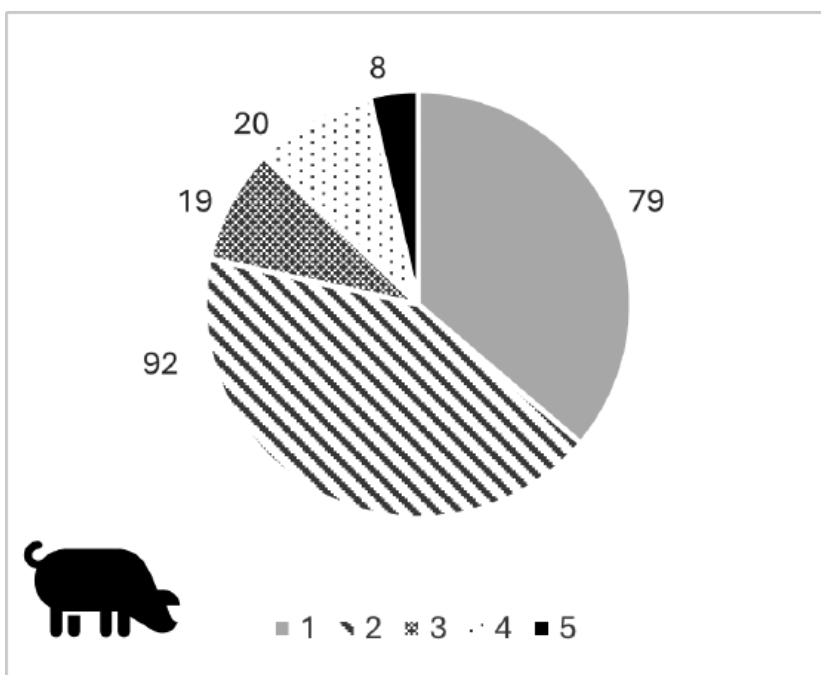
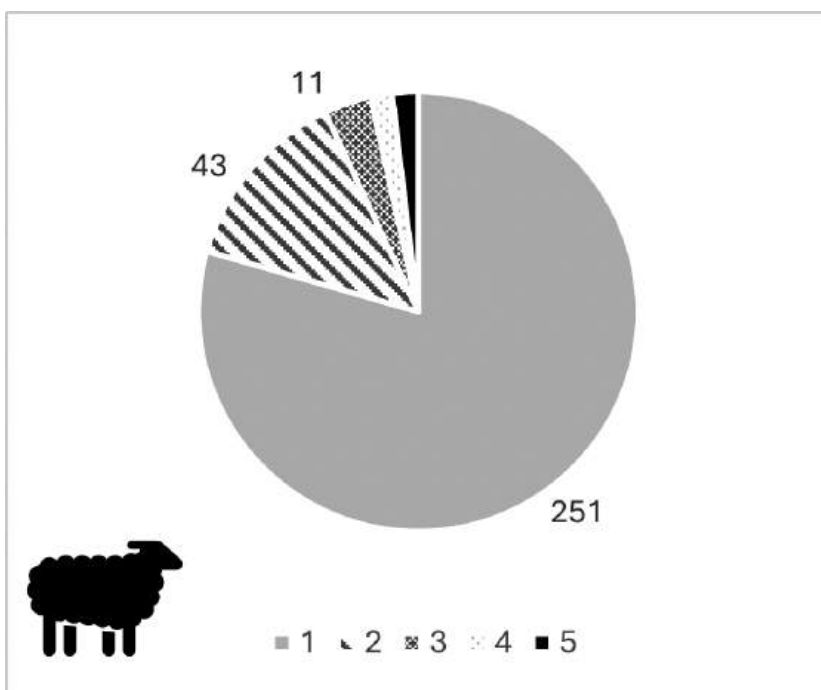
Jedynym gatunkiem, w przypadku którego liczba osobników w hodowli nawet nieco zwiększyła się, to krowy. Zmieniła się jednak charakterystyka hodowli. Dziś krowy przebywają niemalże cały czas w budynkach, karmione paszami, oddają codziennie mleko. Na pastwiskach spotkać można niemal wyłącznie zwierzęta ras mięsnych.

Zmianą wizualną jest zniknięcie zwierząt z krajobrazu wsi. I to nie tylko gatunków, których dziś ubyło, jak konie czy owce. Zniknęły świny, które dawniej można było zobaczyć w obejściach. Współczesne hodowle trzody – szczególnie te największe – prowadzone są w formule zamkniętej. Zwierzęta nie opuszczają chlewni i obór. W 1924 r. można było być pewnym, że w cieplej porze roku niemal wszystkie krowy były wypasane. Szczególny charakter miał wypas we wsiach, które posiadały wspólnotowe pastwiska. Jak np. w Kózkach, gdzie zbiorowy wypas bydła można było oglądać na murawach sąsiadujących z obecną drogą krajową nr 19. Obecnie wg danych Powiatowego Lekarza Weterynarii w Kózkach hoduje się jedną krowę... Mamy też miejscowości, w których nie hoduje się już ani jednego z tradycyjnych zwierząt gospodarskich.

Zanik zagrodowej hodowli i towarzyszące mu zmiany w rolnictwie spowodowały odejście w niebyt wielu obrazów charakterystycznych jeszcze w początkach lat 90. XX w. Jak metalowe bańki z mlekiem, wystawiane co rano przed obejścia, zbierane i odwożone do zlewni mleka przez wozaka (w Sarnakach znajdowała się w miejscu parkingu przed sklepem „Stokrotka”). Brzęk łańcuchów mocowanych na łbach i ciągnących się za krowami w drodze na i z pastwiska. Zniknęła długa pozioma żerdź przy parkanie kościelnym, służąca do przywiązywania koni w zaprzęgach, którymi przyjeżdżano na msze. Czy w końcu sam wygląd dróg gruntowych: dziś pośrodku, między śladami kół, rośnie trawa. Kiedy jeździły po nich wozy konne, końskie kopyta wydeptywały wszelką roślinność.

Rys. 1. Struktura liczby posiadanego pogłowia wybranych gatunków w poszczególnych gospodarstwach w 1924 r.





Opracował R. Zubkowiec

Wydarzyło się w 2024 roku...

I 2024

6 stycznia po raz drugi ulicami Sarnak przeszedł **Orszak Trzech Króli**. W jego organizację zaangażowali się: proboszcz Parafii Św. Stanisława BM w Sarnakach Andrzej Jakubowicz, wikariusz ks. Mariusz Kroll, Gminny Ośrodek Kultury w Sarnakach, Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Akcji V2 w Sarnakach, Przedszkole Samorządowe w Sarnakach, Gminna Biblioteka Publiczna w Sarnakach, OSP Chlebczyn, OSP Hołowczyce, OSP KSRG Sarnaki, KGW Chlebczyn, KGW Chybów, KGW Mierzvice, KGW Sarnaki, KGW Binduga, KGW Franopol, KGW „Nie-zapominajka” – Hołowczyce-Kolonia oraz Gmina Sarnaki.



W dniach 15-17 stycznia (I tydzień) oraz 22-26 stycznia (II tydzień) GOK w Sarnakach zorganizował **zajęcia dla dzieci w ramach ferii zimowych**. W pierwszym tygodniu odbywały się m.in. zajęcia z malarstwa (malarstwo akrylowe martwej natury), prace plastyczne inspirowane zimą metodą dowolną, tworzenie form z gliny w pracowni ceramiki oraz gry i zabawy. Drugi tydzień obejmował m.in. warsztaty robienia lizaków, wycieczkę do Nadleśnictwa Sarnaki z ogniskiem, wyjazd do kina, zajęcia z karate oraz dodatkowe gry i zabawy.



21 stycznia w GOK Sarnaki odbył się pierwszy po czterech latach przerwy **Koncert kolęd i pastorałek**. Wydarzenie było jednocześnie promocją płyty zespołu Aura z utworami świątecznymi oraz płyty pt. „Taniec”,

którą nagrała Mirka Kozłowska-Nalepa (mieszkanca gminy Sarnaki, pisze teksty, komponuje muzykę, śpiewa z własnym akompaniamentem - gitarą dwunastostrunową). Tego wieczoru przed publicznością zaprezentowali się artyści działający w sarnackim GOK: Zespół Śpiewaczy Aura, Gabriela Rybaczuk, Międzypokoleniowa Orkiestra Mandolinowa, Zespół Ludowy Dorosłych. Gościem specjalnym był zespół wokalny Omorfos z Siemiatycz.



29 stycznia wójt Grzegorz Arasymowicz, sekretarz Emilia Borysiak, zastępca kierownika Urzędu Stanu Cywilnego Magdalena Terlikowska i radna Renata Dziwińska złożyli życzenia jednej z najstarszych mieszanek gminy, pani Wandzie Sterniczuk, urodzonej **100 lat** temu w Nowych Litewnikach.

II 2024

3 lutego po raz 11. w hali przy SP w Sarnakach, został rozegrany **Memorial Piotra Nowakiewicza** – wieloletniego nauczyciela sarnackiej placówki, wielkiego miłośnika siatkówki i wychowawcy wielu pokoleń zapalonych siatkarzy. Zawody zgromadziły na starcie rekordową liczbę 15 drużyn z: Białegostoku, Lublina, Siedlec, Białej Podlaskiej, Brańska, Klukowa, Mielnika, Platerowa, Lipna, Łosic, Radzyna Podlaskiego, Starej Kornicy i Sarnak. Sędziowali: Dorota Zubkowicz, Andrzej Bartoszek, Rafał Dydycz, Maciej Kuliński, Marek Żabicki oraz Wojciech Szymański. Po rozegraniu aż 51 meczów wyłoniono zwycięzców, którymi zostały drużyny: KUL Chłopaków z Lublina, wyprzedzając Kadrę Grbicia z Białegostoku i Team Stara Kornica. Kolejne miejsca: 4. Puszcza Mielnicka, 5. ULKS Sarnaki, 6. TKKF Relaks Siedlce, 7. Bażanty Brańsk, 8. RKS Białe Fartuszki, 9. KSK Klukowo, 10. RKS Białe Fartuchy, 11. Biała Erka, 12. Platerów, 13. Niszczyciele Dobrej Zabawy, 14. Miszcze, 15. Starostwo Powiatowe Łosice. Wszystkie drużyny uhonorowane zostały pucharami oraz pamiątkowymi dyplomami. Najlepszą zawodniczką wybrano Karolinę Ostrowską

z białostockiej Kadry Grbicia, najlepszym zawodnikiem okazał się Wiktor Duda z Team Stara Kornica. Zawodnikiem z największym życiowym doświadczeniem okazał się Dariusz Ługowski z Siedlec, zawodnikiem z najmniejszym bagażem życiowym – Jakub Sikora z RKS Białe Fartuszki. Wręczono również nagrodę specjalną dla osobowości turnieju – Pawła Kicki. Atrakcją dodatkową były albumy z fotografiami z poprzednich dziesięciu edycji memoriału. Organizację imprezy tradycyjnie wsparła Jolanta Nowakiewicz (żona Piotra Nowakiewicza), a także sponsorzy: INS-SYSTEM Tomasz Kicka oraz Gospodarstwo Sadownicze Lipno.

III 2024

3 lutego w GOK w Sarnakach odbyły się pierwsze z cyklu **warsztatów malarsko-rysunkowych dla dorosłych**, prowadzonych przez malarkę Iżę Staręgę. Spotkanie cieszyło się dużym zainteresowaniem i zapoczątkowało serię zajęć rozwijających umiejętności artystyczne mieszkańców gminy.



W dniach 4-10 marca GOK i GBP w Sarnakach zorganizowały **Tydzień Kobiet** z okazji Dnia Kobiet. 4 marca w GOK odbyły się zajęcia fitnessu tanecznego, 6 marca panie wzięły udział w zajęciach „Zdrowy kręgosłup”, a 8 marca zorganizowano babski wieczór przy kawie, połączony z pokazem kosmetyków i warsztatami rękodzielniczymi. 9 marca w bibliotece odbyły się warsztaty decoupage oraz spotkanie z psychologiem. Finałem obchodów był koncert Adriana Litewki, finalisty programu *The Voice of Poland*, który przyciągnął liczne grono uczestników do sali widowiskowej GOK w niedzielę 10 marca.



6-13 marca i 20-24 marca miały miejsce **blokady dróg zorganizowane przez rolników**. Jeden z ok. 600 punktów blokadowych, jakie zorganizowano w całej Polsce, znajdował się na skrzyżowaniu DK-19 i dróg powiatowych 2007W i 2045W w Kózkach. W protestach rolników wyrażających

sprzeciw wobec Zielonego Ładu i napływu niekontrolowanych produktów rolnych z Ukrainy brało udział kilkadziesiąt osób wraz z ciągnikami rolniczymi, które w określonych godzinach blokowały przejazd. Ruch odbywał się wahadłowo, powodując utrudnienia dla kierowców.



7 marca **ze stanowiska nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnaki został odwołany** mgr inż. Andrzej Wybranowski, który pełnił tę funkcję od 1 marca 2016 r. Andrzej Wybranowski był członkiem komitetu redakcyjnego „Rocznika Ziemi Sarnackiej” oraz autorem dwóch artykułów: „Raport o formach ochrony przyrody realizowanych na terenie Nadleśnictwa Sarnaki” – t.3/2020 oraz „Flora sarnackich lasów – zarys problematyki” – t.5/2022.



11 marca **na stanowisko nadleśniczego powołano** dr. inż. Mirosława Potapiuka, dotychczasowego inżyniera nadzoru w Nadleśnictwie Chełm. Obecny nadleśniczy zna nasze nadleśnictwo, gdyż pracował tu już w latach 90. XX w. Zastępcą nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnaki pozostaje nadal Ireneusz Sójka.



21 marca członkowie Klubu Wartkiego Seniora i Stowarzyszenia „Przyjazne Mierzvice” tradycyjnie pożegnali zimę i powitali wiosnę topiąc marzannę w Bugu w Mierzvicach.



31 marca, w Niedzielę Palmową, w kościele w Serpelicach odbyło się wielkopostne przedstawienie pt. „**Golgota**”, przygotowane przez amatorską grupę teatralną z Serpelic. Tradycja wystawiania tej sztuki w Serpelicach sięga roku 1949, kiedy to o. Anioł Dąbrowski wraz z mieszkańcami Serpelic i okolicznych miejscowości odegrali ją po raz pierwszy.

Wiosną 2024 roku rozpoczęła się budowa nowego mostu na rzece Bug, łączącego miejscowości Kózki i Turna. To ważny etap realizacji 25-kilometrowego odcinka drogi ekspresowej S19 Malewice-Chlebczyn, mającego strategiczne znaczenie komunikacyjne. Most przez Bug będzie obiektem o długości około 200 metrów, połączonym z estakadami po obu stronach, dłuższą (325 m) na lewym brzegu i krótszą (135 m) na prawym. Całość buduje turecka firma Kolin İnşaat Turizm Sanayi ve Ticaret Kavaklıdere, z którą w 2021 r. zawarto kontrakt o wartości 665 mln zł. Inwestycja wpisuje się w międzynarodowy korytarz transportowy Via Carpatia i ma znacząco poprawić płynność ruchu oraz bezpieczeństwo podróżnych, tworząc nowoczesne połączenie między województwami podlaskim i mazowieckim. Nowy most będzie drugą przeprawą w tym rejonie i odciążą istniejący most na drodze krajowej nr 19 w Kózkach, zbudowany w latach 1949-1952.

W marcu i kwietniu wielu mieszkańców i gości gminy Sarnaki po raz kolejny dołączyło do 6. edycji **ogólnopolskiej akcji „Operacja Czysta Rzeka”**, której celem jest sprzątanie rzek, ich brzegów oraz terenów przyległych. Lokalnie akcję koordynują sztaby. W naszej gminie były to: sztab GOK/GBP w Sarnakach, sztab „Czysta Rzeka z PZW Sarnaki”, sztab Serpelice „Sprzątamy nad rzeką”, sztab „Bużka nad Sarenką”, sztab OSP KSRG, MDP SARNAKI i Przyjaciele, sztab „Chybów Akcji”, sztab z Borsuk „Czysto nad Bugiem”.

IV 2024

7 kwietnia odbyła się pierwsza tura **wyborów samorządowych**. W gminie Sarnaki wystarczyła jedna tura, bo kandydat na wójta – **Grzegorz Marek Arasymowicz** (KWW Grzegorza Arasymowicza) – uzyskał ponad 50% głosów. Wójt zdobył 64,68% głosów, a jego kontrkandydat, Adam Wawryniuk (KWW Nowe Sarnaki 2024), uzyskał 35,32%

poparcia. W **skład Rady Gminy Sarnaki** weszli: z KWW Grzegorza Arasymowicza – Justyna Marianna Filipiuk, Wiesław Jan Popławski, Adam Roman Bartoszewski, Mieczysław Józef Bartoszewski, Renata Agnieszka Dziwińska, Szczepan Stanisław Juńczyk, Jarosław Melech, Ewa Osik, Jolanta Edyta Radziwonka, Dariusz Henryk Romańczuk, Ewa Stefaniuk, Daniel Jacek Tyszko; z KWW Nowe Sarnaki 2024 – Andrzej Mariusz Klimaszewski, Daniel Adam Wawryniuk oraz z KKW Trzecia Droga PSL-PL2050 Szymona Hołowni – Leszek Grzegorz Kordaczuk. **Do Rady Powiatu Łosickiego** z okręgu nr 3 (gminy Sarnaki i Platerów) mandaty uzyskali: Barbara Michoń i Marian Rosolski (KWW PiS), Michał Michaluk i Grażyna Kasprowicz (KWW Trzecia Droga PSL-PL2050 Szymona Hołowni), Sylwester Siennicki (KWW Odnowa). Ostatni z nich uzyskał mandat w wyniku losowania, ponieważ otrzymał taką samą liczbę głosów jak kandydat Mateusz Stefaniuk. Następnie został wybrany do Zarządu Powiatu Łosickiego.



14 kwietnia **zespoły taneczne z GOK Sarnaki** wzięły udział w XI Podlaskim Festiwalu Tańca Nowoczesnego w Bielsku Podl. Ich występy zostały ocenione bardzo wysoko: I miejsce w kategorii *Show Dance* dla zespołów w wieku 9-12 lat, II miejsce w kategorii *Miniatura Taneczna* (formacja 9-12 lat) i III miejsce w kategorii *Show Dance* (formacja 13-18 lat).



20 kwietnia Zespół Ludowy Dorosłych z GOK w Sarnakach wziął udział w powiatowych eliminacjach do **58. Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych**, które odbyły się w Drelowie. W kategorii śpiewaczej zaprezentowało się 7 zespołów. Zespół z Sarnak **zakwalifikował się do etapu wojewódzkiego**. Na przesłuchaniu 19 maja w Lublinie również osiągnął sukces i rekomendację do udziału w finale festiwalu w Kazimierzu Dolnym. Zespół wykonał pieśń „Oj hynie, hynie”, przekazaną Tadeuszowi Banasiowi (związany z Sarnakami organista, nauczyciel muzyki, pasjonat podlaskiego folkloru, zbieracz ludowych przyspiewek,

żył w latach 1904-2000) w 1955 r. przez Stanisławę Grzegorzczuk, mieszkankę Kolonii Chlebczyn. Okazało się, że utwór ten znajduje się również w zbiorze pieśni Oskara Kolberga. Festiwal w Kazimierzu odbywał się 23 czerwca, a w wydarzeniu wzięło udział ponad 600 artystów z 12 województw.



W kwietniu oddano do użytku **kort tenisowy w Borsukach**. Powstał w ramach realizacji gminnego projektu „Budowa boiska tenisa ziemnego w miejscowości Borsuki”.

V 2024

3 maja w ramach **gminnych obchodów Święta Konstytucji 3 Maja** w Sarnakach odprawiono uroczystą mszę św. za Ojczyznę oraz w intencji strażaków. Po mszy zebrani przemaszerowali pod pomnik Józefa Piłsudskiego, gdzie odśpiewano hymn państwowy i złożono kwiaty.



7 maja odbyła się **I uroczysta Sesja Rady Gminy Sarnaki IX kadencji**. Sesję inauguracyjną otworzył Radny Senior Szczepan Juńczyk. Bożena Bağlaj, przewodnicząca Gminnej Komisji Wyborczej, wręczyła zaświadczenia o wyborze nowo powołanym członkom Rady, a wójt gminy Sarnaki Grzegorz Arasymowicz złożył uroczyste ślubowanie. Przewodniczącą Rady wybrana została Justyna Filipiuk, wiceprzewodniczącym został Wiesław Popławski.



80 lat temu, **12 maja 1944 r. Niemcy aresztowali uczniów szkoły sarnackiej** za kradzież broni (z magazynu znajdującego się w budynku szkoły, gdzie była siedziba niemieckiej komendantury) dla miejscowej placówki Armii Krajowej. Wszyscy zostali straceni na Pawiaku w Warszawie, a byli to: Stanisław Nieścior (lat 14), Józef Pffeifer (lat 14),

Alfred Miłkowski (lat 15), Ryszard Wiśniewski (lat 15). W 1991 r. zostali uhonorowani tablicą pamiątkową na ścianie szkoły w Sarnakach.

●

12 maja druhowie z OSP KSRG Sarnaki zorganizowali strażacki **Piknik Rodzinny z OSP Sarnaki**. Odbyły się pokazy ratownictwa medycznego i ratownictwa technicznego, a dużym zainteresowaniem cieszył się symulator dachowania, który udostępniło OSP Stołpno. Organizatorzy przygotowali wiele atrakcji dla najmłodszych m.in. gry i zabawy, dmuchańce i poczęstunek dla wszystkich uczestników wydarzenia.

●

12 maja w świetlicy OSP w Borsukach odbyło się pierwsze z **cyklu wspólnych spotkań przy posiłku z seniorami 60+** w ramach III edycji programu Danie Wspólnych Chwil z Fundacją Biedronki. KGW Borsuki po raz pierwszy przystąpiło do realizacji projektu, którego celem jest przeciwdziałanie samotności i wykluczeniu społecznemu seniorów. Do końca roku odbyło się sześć takich spotkań, niektóre z nich uatrakcyjniły występy zespołów ludowych z GOK w Sarnakach. Odbyła się też prelekcja o ziołolecznictwie, którą poprowadziła Karolina Morawska z Mierzwic.

●

18 maja **Teatr „MY” z GOK w Sarnakach otrzymał wyróżnienie** podczas VI Festiwalu Twórczości Artystycznej Seniorów „Wiecznie Młodzi” w Siedlcach. Aktorów nagrodzono za spektakl „Trzy świnki”. Festiwal zorganizował Miejski Ośrodek Kultury. Teatr „MY” to amatorska grupa teatralna, w której występują seniorki z gminy Sarnaki: Teresa Jakubińska, Barbara Sołtan, Agnieszka Chudyba, Mirka Kozłowska-Nalepa i Wanda Krasuska.

●

19 maja po raz piąty odbyła się konferencja naukowa współorganizowana przez szkołę i Gminną Bibliotekę Publiczną w Sarnakach, promująca

wydanie 7. tomu „Rocznika Ziemi Sarnackiej”. Tym razem pod hasłem „**Nasza Bohaterska**”. Prelegenci



przybliżyli ciekawe tematy związane z lokalną historią – bardziej i mniej odległą. Wystąpili: Sławomir Kordaczuk, prof. Zygmunt Gałęcki, prof. Dorota Rembiszewska, dr Michał Konopski, dr Marcin Urynowicz, Rafał Zubkowicz, Tomasz Dobrowolski, dr Witold Bobryk, Wiktoria Dudziuk i Agata Wasilewska. Jedną z niespodzianek była wizyta Stanisława Zejermana z Izraela, reprezentującego pochodzącą z Sarnak rodzinę – a będącą przedmiotem prelekcji dr. Marcina Urynowicza. Konferencję uzupełniły: wystawa rękodzieła Anny Jurzyk oraz zdjęcia związane z Akcją V2. Poczęstunek dla gości, prelegentów i organizatorów przygotowało KGW „Nie-Zapominajka” z Hołowczyc Kolonii. Wsparli finansowo i rzeczowo: Gmina Sarnaki, Nadleśnictwo Sarnaki, Tartak Sarnaki, KORPOL Sarnaki, Delikatesy Centrum, Gospodarstwo Sadownicze „Samo Jabłko”.



Wydany w 2024 r. **siódmy tom „Rocznika Ziemi Sarnackiej”** jest najobszerniejszy z dotychczas wydanych, liczy 476 stron. Znajduje się w nim łącznie 20 artykułów ukazujących wieloaspektowe spojrzenie na najbliższe okolice. Zawartość Rocznika została podzielona na dwie części. W pierwszej jest dziesięć opracowań obudowanych aparatem naukowym i poddanych procesowi recenzowania. W drugiej części także dziesięć artykułów: siedem premierowych materiałów o charakterze wspomnieniowym oraz trzy stałe rubryki: *Trzy łyki statystyki*, *Nasi Artyści* i *Wydarzyło się w 2023 r.* Niezmiennie zespół redakcyjny stanowią pasjonaci lokalnej historii, a wydawcą Rocznika jest Gminna Biblioteka Publiczna w Sarnakach, która rozpowszechnia aktualny numer oraz udostępnia online na stronie internetowej www.biblioteka.sarnaki.pl poprzednie Roczniki.





21 maja Szkoła Podstawowa w Sarnakach uroczyście świętowała z okazji **80. rocznicy Akcji V2 i 17. rocznicy nadania szkole imienia Bohaterów Akcji V2**. Uroczystość rozpoczęła msza św. Następnie zebrani przeszli przed pomnik Józefa Piłsudskiego. Tu przedstawiciele

uczniów ze szkoły w Sarnakach i Niepublicznej Szkoły Podstawowej im. Akcji III Most z Przybysławic uroczyście wciągnęli flagę na maszt, a zgromadzeni odśpiewali „Mazurka Dąbrowskiego”. Kolejnym punktem programu obchodów było złożenie kwiatów przed pomnikiem „AK w operacji V2”, a następnie spotkanie w szkole. W obchodach uczestniczyli: Alicja Cichoń – kierownik Delegatury w Siedlcach Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego, Michał Michaluk – wicestarosta powiatu łosickiego, Grzegorz Arasymowicz – wójt gminy Sarnaki, ks. prał. dr Andrzej Jakubowicz – proboszcz parafii Sarnaki, Ireneusz Sójka – zastępca nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnaki, Bożena Bagłaj – dyrektor CUW Sarnaki, Emilia Borysiak – sekretarz gminy Sarnaki, Justyna Filipiuk – przewodnicząca RG w Sarnakach, radni powiatowi i samorządowi, Agata Wasilewska – prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej, Marian Waszczuk i Andrzej Lipka – byli wójtowie gminy Sarnaki, emerytowani nauczyciele i pracownicy szkoły, Katarzyna Taras – dyrektor Przedszkola Samorządowego w Sarnakach, Magdalena Rudnik – dyrektor GOK w Sarnakach, Violetta Zawadka – dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Sarnakach, seniorzy z DD Senior+ w Nowych Hołowczycach, członkowie TMZS i wielu mieszkańców. Po przemówieniach gości, uczniowie SP w Sarnakach i Przybysławicach przybliżyli zebranym okoliczności Akcji V2 z maja 1944 r. oraz jej dalsze następstwa: Akcję III Most oraz współpracę między szkołami. Był to też element realizowanego przez grupę uczniów i nauczycieli projektu „80. rocznica przejścia broni V2

– dwie miejscowości – jedna historia”, którego namacalnym efektem jest broszura informacyjna. Kilkunastostronicowa ulotka została wydana dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Totalizator Sportowy.



VI 2024

1 czerwca na placu przy GOK w Sarnakach odbyła się radosna impreza z okazji **Dnia Dziecka**. W programie znalazły się występy grup tanecznych, pokazy karate, gry i konkursy, kącik kulinarny dla dzieci, warsztaty artystyczne, zabawa z dużymi bańkami mydłanymi oraz wiele innych atrakcji. Wszystkie zostały przygotowane z myślą o najmłodszych przez panie z GOK i GBP w Sarnakach.



4 czerwca na cmentarzu w Konstantynowie odbyły się uroczystości pogrzebowe śp. Józefa Bosia ps. „Lot”, „Franek”, urodzonego w 1924 r. we wsi Bonin (gm. Sarnaki), Żołnierza Niezłomnego zamordowanego w 1952 r. na Pomorzu Zachodnim. Jego szczątki odnalazł IPN w bezimiennym grobie w 2021 r. na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie. W uroczystościach uczestniczyli m.in. krewni zmarłego, przedstawiciele prezydenta RP, Sejmu, Instytutu Pamięci Narodowej, Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, władz samorządowych województwa lubelskiego, powiatu bialskiego oraz gmin Sarnaki i Konstantynów, delegacja z Kamienia Pomorskiego, służby mundurowe. Gminę Sarnaki reprezentowała delegacja w składzie: wójt gminy Grzegorz Arasymowicz, dyrektor CUW Bożena Bağlaj i prezes TMZS Agata Wasilewska oraz delegacje ze szkół w Sarnakach i Serpelicach pod opieką nauczycieli Rafała Dydyca i Sławomira Gaca wraz z pocztami sztandarowymi OSP Serpelice i SP im. Bohaterów Akcji V2 w Sarnakach.



7 czerwca w **Nadleśnictwie Sarnaki** odbył się **Dzień Otwarty**. Organizatorzy przygotowali m.in. stoisko edukacyjne, gry i zabawy dla dzieci, stoisko leśniczego i strażnika leśnego, zwiedzanie izby i ścieżek edukacyjnych, obozowisko „Zanocuj w lesie”, a także warsztaty łucznicze i pokazy ptaków drapieżnych. Dodatkowo Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Tygiel Doliny Bugu” przygotowało quiz przyrodniczy, a dla miłośników kina – projekcję filmów przyrodniczych. Partnerami wydarzenia byli: Łosice.info, LOT Nad Bugiem, Fundacja W Zielone Gramy oraz GOK Sarnaki.



16 czerwca **Ochotnicza Straż Pożarna w Klepaczewie** obchodziła **100-lecie**. Jubileusz rozpoczął się od mszy św. w intencji strażaków w kościele w Serpelicach. Wręczono odznaczenia dla zasłużonych członków jednostki, a Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza z Serpelic zaprezentowała pokaz pierwszej pomocy. Z okazji jubileuszu strażacy otrzymali basen na wodę, który ma usprawnić działanie podczas akcji gaśniczych. Aktualnie zarząd jednostki OSP Klepaczew stanowią: prezes Waldemar Bobiński, wiceprezes – naczelnik Wojciech Stanisław Świć, zastępca naczelnika Daniel Jacek Tyszek, sekretarz Jan Kowalczyk, skarbnik Jerzy Stanisław Czeżyk, gospodarz Tomasz Tyszek.



20 czerwca br. w Mazowieckim Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie odbyła się uroczysta ceremonia wręczenia odznaczeń państwowych. Wojewoda Mazowiecki Mariusz Frankowski uhonorował zasłużonych mieszkańców Mazowsza za osiągnięcia w różnych dziedzinach działalności społecznej, kulturalnej oraz sportowej. Wśród 17 osób wyróżnionych znaleźli się: **Agata Wasilewska**

– **Srebrny Krzyż Zasługi i Rafał Zubkowicz – Brązowy Krzyż Zasługi**, którzy zostali docenieni za działalność na rzecz społeczności lokalnej.



22 czerwca w Mierzwicach, w miejscu lokalnie zwanym „na kamieniach”, odbyły się **„Wianki nad Bugiem”** – cykliczna impreza organizowana przez Stowarzyszenie „Przyjazne Mierzwice”. W programie znalazły się m. in.: tradycyjne puszczanie wianków, konkurs wiedzy o Mierzwicach, konkurs „Piekielny schabowy na czas”, występy zespołów. Uczestnicy spotkania posilali się przysmakami serwowanymi na regionalnych stoiskach i bawili się podczas „Potupajki pod gwiazdami”.



23 czerwca **ks. pral. dr Andrzej Jakubowicz**, proboszcz parafii pw. św. Stanisława BM w Sarnakach i dziekan dekanatu sarnackiego, świętował 40. rocznicę święceń kapłańskich. W latach 1991-1992 był wikariuszem w tej parafii, od 2008 r. jest proboszczem.



30 czerwca parafianie z Serpelic podczas mszy św. **pożegnali proboszcza o. Szczepana Dzyra OFMCap**, który zakończył trwającą od 2018 r. posługę w Parafii pw. Św. Piotra i Pawła w Serpelicach, a z dniem 1 lipca został wikarym w Klasztorze Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów w Mogilnie. Jednocześnie serpelicką wspólnotę opuścił o. Piotr Pawlita. W ich miejsce przybyli o. Jarosław Konopko i o. Łukasz Szokaluk OFMCap, który został proboszczem parafii serpelickiej. Natomiast Gwardianem klasztornej wspólnoty został o. Krzysztof Kurzątkowski.

VII 2024

80 lat temu, w lipcu 1944 r. wycofujący się Niemcy wysadzili stalowy most kolejowy na Bugu we Fronołowie, a w Sarnakach dwa młyny i miejscową elektrownię oraz podpalili zabudowania.

●

10 lipca minęło **30 lat od sakry biskupiej** Biskupa Seniora Antoniego Pacyfika Dydyca, która odbyła się 10 lipca 1994 roku w katedrze w Drohiczynie. Bp Antoni Dydycz pochodzi z Serpelic.

●

14 lipca na placu gminnym za Nadleśnictwem w Sarnakach odbyła się coroczna impreza „**Gmina Sarnaki bawi się całą rodziną**”, znana też jako Dzień Sarnak. Wydarzenie rozpoczął XII Gminny Festiwal Piosenki Wakacyjnej dla Dzieci z udziałem 13 młodych wokalistek. W kategorii klas I-III zwyciężył duet Hanna Borkowska i Amelia Osik, II miejsce zajęła Anieli Głuchowska, III – duet Zofia i Marcelina Raczyńskie, a wyróżnienie otrzymała Julia Wawryniuk. W kategorii klas IV-VIII I miejsce ex aequo zdobyły Kornelia Dziecioł i Hanna Filipiak, II miejsce – Monika Klimaszewska, III – duet Marysia Chybowska i Ala Wawryniuk, a wyróżnienia trafiły do Jagody Michalak i Mileny Klimaszewskiej. Na scenie zaprezentowały się lokalne zespoły: AURA, Zespół Ludowy z GOK w Sarnakach, Marysieńki ze Starych Szpaków, Leśnianki z Leśnej Podlaskiej oraz Kapela sChodowa. Wieczór taneczny uświetniły koncerty zespołów Freestyle, Spontan i gwiazda wieczoru – BOYS, a imprezę zakończyła dyskoteka z DJ-em. Dla dzieci przygotowano animacje, warsztaty i konkursy. Dorośli korzystali z oferty stoisk oraz degustowali lokalne przysmaki serwowane przez siedem Kół Gospodyń Wiejskich z terenu gminy. Sponsorami wydarzenia byli: Dwór w Zabuzu Hotel & Spa, Delikatesy Centrum Sarnaki, Magdalena i Ireneusz Szawłowsy. Organizacyjnie wsparły wydarzenie jednostki OSP z Hołowczyc, Chlebczyna, Sarnak, Mierzwic i Litewnik. Organizatorami wydarzenia byli: Gmina Sarnaki, GOK w Sarnakach, GBP w Sarnakach, a partnerem wydarzenia: Samorząd Województwa Mazowieckiego.

●

27 lipca na placu przy strażnicy OSP w Sarnakach miało miejsce uroczyste powitanie nowego średniego samochodu ratowniczo-gaśniczego (warta

ponad 2 mln zł Scania) dla OSP Sarnaki. W uroczystości uczestniczyli: członek Zarządu Województwa Mazowieckiego Janina Ewa Orzełowska, kierownik Delegatury Urzędu Mazowieckiego w Siedlcach Alicja Cichoń, starosta powiatu łosickiego Bożena Niedzielak, wicestarosta Michał Michaluk, wójt Grzegorz Arasymowicz, radni powiatu łosickiego i gminy Sarnaki, mieszkańcy, pracownicy Urzędu Gminy w Sarnakach oraz drużyny i druhowie z OSP Sarnaki i zaprzyjaźnionych jednostek strażackich. Poświęcenia wozu bojowego dokonał ks. prałat dr Andrzej Jakubowicz.



80 lat temu, 30 lipca 1944 r. Rosjanie bez walki zajęli Sarnaki.



31 lipca wóz strażacki Mercedes Atego, który do tej pory służył w jednostce OSP Sarnaki, przekazany został pod opiekę strażaków ochotników z OSP Hołowczyce.

VIII 2024

W dniach 2-4 sierpnia odbyła się V edycja Nadbużańskiego Festiwalu Teatrów dla Dzieci „**Gaducha**” – wydarzenia, które już na stałe wpisało się w wakacyjny kalendarz gminy Sarnaki, zainicjowanego przez Magdalenę Rudnik, dyrektor GOK w Sarnakach. Patronat nad wydarzeniem objął Rzecznik Praw Dziecka. Od piątku do niedzieli spektakle grane były w Sarnakach na placu przy GOK oraz w sali widowiskowej GOK. Natomiast w sobotę spektakl i warsztaty odbyły się także w Mierzwicach w świetlicy wiejskiej, a w niedzielę w Serpelicach, w filii Gminnej Biblioteki Publicznej. Dziecięca publiczność obejrzała familijne komedie wykorzystujące technikę pantomimy, spektakle lalkowe (marionetkowe, kukiełkowe, lalki typu muppet), musical, teatr uliczny. W programie festiwalu znalazło się 12 tytułów spektakli dla dzieci granych przez 10 zespołów teatralnych. Jako wydarzenia towarzyszące odbyły się warsztaty i animacje, a także koncert. Natomiast w niedzielę można było odwiedzić

strażnicę OSP Sarnaki i skorzystać z zaproponowanych przez strażaków aktywności. Jak co roku, między spektaklami można było posilić się domowym jedzeniem przyrządzonym przez lokalne KGW. Dla widzów dorosłych zaplanowano recital aktorsko-wokalny. Z okazji jubileuszowej, 5. edycji, przygotowano tort oraz konkursy z nagrodami, dotyczące wiedzy o festiwalu. Organizatorami festiwalu byli: GOK w Sarnakach oraz Urząd Gminy Sarnaki, przy wsparciu m.in. GBP. Partnerem wydarzenia był Samorząd Województwa Mazowieckiego. Wstęp na wszystkie wydarzenia był bezpłatny. Festiwal „Gaducha” po raz kolejny udowodnił, że kultura i dobra zabawa mogą iść w parze, integrując lokalną społeczność oraz promując sztukę teatralną wśród dzieci i młodzieży.



18 sierpnia członkinie Koła Gospodyń Wiejskich z Mierzwic nad Bugiem wraz z własnoręcznie wykonanym wieńcem dożynkowym reprezentowały gminę Sarnaki podczas **Dożynek Powiatu Łosickiego**, które odbyły się w Starej Kornicy. W konkursie na najpiękniejsze stoisko dożynkowe gminę Sarnaki reprezentowały panie z KGW Boninki z Bonina, których stoisko zdobyło wyróżnienie.



18 sierpnia w kościele w Serpelicach odbył się pierwszy koncert muzyki klasycznej w ramach wydarzenia **„Koncerty Klasyczne w gminie Sarnaki”** – przystanku muzycznego 6. Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej. W koncercie pt. „W kręgu Moniuszki i Chopina” wystąpili wybitni artyści: Edyta Piasecka (sopran), Sławomir Naborczyk (tenor) oraz Michał Goławski (fortepian i śpiew). Zaprezentowali utwory operowe i pieśni S. Moniuszki, I.J. Paderewskiego, M. Karłowicza, F. Chopina oraz dzieła instrumentalne. Koncert odbył się w Serpelicach, miejscu niegdyś bliskim Bogusławowi Kaczyńskiemu, który spędzał tam niejedne wakacje. Wydarzenie zorganizowali Gminny Ośrodek Kultury w Sarnakach oraz Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego, a poprowadzili je Magdalena Rudnik

– dyrektor GOK w Sarnakach i Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej.



22-25 sierpnia w Serpelicach nad Bugiem odbyło się po raz 18. ogólnopolskie spotkanie młodych „**Golgota Młodych**”, organizowane przez Zakon Braci Mniejszych Kapucynów z prowincji warszawskiej. W wydarzeniu uczestniczyło około 500 osób. Hasło tegorocznego spotkania brzmiało: „Światłocień” i nawiązywało do ludzkiej natury jako połączenia światła i cienia, inspirowanej encykliką *Amoris laetitia*. Program obejmował Eucharystie, medytacje, konferencje tematyczne, warsztaty i nabożeństwa.



24 sierpnia, w **ramach zmian personalnych w parafiach** diecezji drohiczyńskiej, wikariusz ks. Łukasz Redosz rozpoczął posługę duszpasterską w parafii Sarnaki. Zastąpił ks. Mariusza Krolla, który został powołany na proboszcza parafii Gnojno, a w parafii Sarnaki pełnił posługę w latach 2022-2024.



24 sierpnia w Sarnakach, na placu za Nadleśnictwem, odbyły się **zawody sportowo-pożarnicze OSP**, w których rywalizowały cztery jednostki z gminy Sarnaki: OSP Chlebczyn, OSP Hołowczyce, OSP KSRG Serpelice oraz OSP KSRG Sarnaki. I miejsce zajęła jednostka OSP KSRG Sarnaki, II miejsce – OSP KSRG Serpelice, III – OSP Hołowczyce, a IV – OSP Chlebczyn.



25 sierpnia w Sarnakach odbyły się **zawody sportowo-pożarnicze Młodzieżowych Drużyn Pożarniczych z terenu gminy Sarnaki**. Wzięły w nich udział trzy drużyny: mieszana drużyna MDP Serpelice oraz drużyny dziewcząt i chłopców z MDP OSP Sarnaki. W kategorii chłopców I miejsce zdobyła drużyna MDP OSP Sarnaki, II miejsce – MDP Serpelice,

natomiast w kategorii dziewcząt I miejsce również przypadło drużynie MDP OSP Sarnaki.



25 sierpnia w świetlicy wiejskiej w Mierzwicach odbył się „**Mierzwicki Dzień Rodziny 2024**”. Mieszkańcy wzięli udział w warsztatach kulinarnych przygotowanych przez Akademię Małego Kuchcika. Dzieci, pod okiem instruktora i przy wsparciu rodziców, przygotowały donuty, mydełka glicerynowe, zapiekanki oraz magiczne soczki wieloowocowe. Panie z KGW „Mierzvice nad Bugiem” serwowały kawę w pięciu odsłonach. Był też czas na rodzinne rozgrywki w piłkarzyki i ping-ponga oraz wspólne ognisko.



26 sierpnia podczas sesji zwyczajnej Rady Gminy Sarnaki wójt gminy symbolicznie przekazał tablice z napisem „Sołtys” nowo wybranym **sołtysom na kadencję 2024–2029**. Tablice odebrało 31 przedstawicieli sołectw: Janusz Radziwonka – sołectwo Binduga, Agnieszka Chwedoruk – Bonin, Anna Tyszko – Bonin-Ogródki, Edyta Radywoniuk – Borsuki, Anna Osiej – Chlebczyn, Franciszek Wawryniuk – Chybów, Ewa Osik – Franopol, Agata Melech – Grzybów, Jarosław Czeżyk – Nowe Hołowczyce, Magdalena Gregorcuk – Stare Hołowczyce, Marian Waszczuk – Hołowczyce-Kolonia, Zofia Chwesiuk – Horoszki Duże, Grzegorz Chwedczuk – Horoszki Małe, Jerzy Czeżyk – Klepaczew, Marzanna Stefańska – Klimczyce, Hanna Religioni – Klimczyce-Kolonia, Mariola Grochowska – Kózki, Anna Szymaniuk – Nowe Litewniki, Anna Rumowska – Stare Litewniki, Jolanta Kulińska – Nowe Mierzvice, Dominik Chybowski – Stare Mierzvice, Janusz Chorko – Mierzvice-Kolonia, Wiesław Bobryk – Płosków, Beata Jodłowska – Płosków-Kolonia, Stanisława Kowaluk – Raczki, Ewelina Chybowska – Rozwadów, Marianna Iwaniuk – Rzewuszki, Urszula Bodzon – Sarnaki, Krzysztof Tymoszek – Serpelice, Roman Onopiuk – Terlików, Łukasz Żegunia – Zabuzę.

●

31 sierpnia, tradycyjnie w ostatnią sobotę sierpnia, po raz 79. pątnicy przemierzali trasę z **Sarnak do Sanktuarium Matki Bożej Leśniańskiej** w Leśnej Podlaskiej. Pielgrzymce przewodniczył ks. Łukasz Redosz.

●

31 sierpnia sprawowanie funkcji wicedyrektora Szkoły Podstawowej w Sarnakach zakończyła Jolanta Chromiec. Od 1 września stanowisko to objęła Jolanta Korowajczuk.

IX 2024

Od 1 września bracia kapucyni z Serpelic dojeżdżają do Horoszek Dużych, gdzie w tamtejszym kościele w niedziele odprawiają jedną Mszę świętą i zapewniają duszpasterską obsługę parafii. Zmiana ta związana jest z przeniesieniem dotychczasowego proboszcza parafii Matki Bożej Anielskiej w Horoszkach Dużych, ks. Rafała Roguziaka, który 31 sierpnia zakończył pełnioną od 1 lipca 2017 r. posługę w Horoszkach i został przez biskupa drohiczyńskiego Piotra Sawczuka mianowany rektorem rektoratu Czaje.

●

1 września przy kościele w Sarnakach odbyły się **gminno-parafialne dożynki** – tradycyjne święto dziękczynienia za zebrane plony. Uroczystość rozpoczęła msza św. celebrowana przez ks. proboszcza dr. Andrzeja Jakubowicza. Podczas dożynek zaprezentowano 13 pięknych wieńców dożynkowych oraz dekorowane stoiska z lokalnymi potrawami. W konkursie na „Najpiękniejszy wieniec dożynkowy” zwyciężyła wieś Hołowczyce-Kolonia, II miejsce zajęły Mierzvice, a III – Kamianka. Wyróżnienia otrzymały wieńce przygotowane przez mieszkańców wsi: Rzewuszki, Binduga, Chlebczyn i Lipno. Pozostałe wsie otrzymały nagrody wójta za udział w konkursie: Chybów, Nowe Hołowczyce, Stare Hołowczyce, Terlików, Klimczyce, Sarnaki. W konkursie na „Najpiękniejsze stoisko dożynkowe” I miejsce zdobyła

wieś Chlebczyn, II – Rzewuszki, III – Sarnaki, a wyróżniono Chybów, Lipno i Kamiankę.



1 września stacja telewizyjna TTV wyemitowała pierwszy z jedenastu odcinków drugiej serii programu **„Żony Podlasia”**, opowiadającego o codziennym życiu pozornie zwykłych kobiet z malowniczych wsi wschodniej Polski. Jedną z uczestniczek programu jest Karolina Morawska, mieszkanka Starych Mierzwic, pasjonująca się zielarstwem i tradycyjnym ziołolecznictwem, prezeska Stowarzyszenia „Przyjazne Mierzwice” oraz działaczka społeczna. W programie razem z siostrami Julią i Emilią, mamą Teresą oraz mieszkańcem Mierzwic Sławomirem Józwiakiem w ciekawy i humorystyczny sposób prezentują uroki życia w nadbużańskiej wsi.



7 września w kościele parafialnym pw. św. Stanisława BM w Sarnakach odbył się **koncert „Perły muzyki klasycznej”**, drugi z cyklu „Klasyczne Koncerty w Gminie Sarnaki” – Przystanki Muzyczne Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego. Wystąpili: Ewa Biegas (mezzosopran), Aleksandra Blanik (sopran), Monika Radecka (sopran), Władysław Szymański (organy) i Ewa Zając (skrzypce), a koncert poprowadzili Ewa Arasymowicz i Krzysztof Korwin-Piotrowski. W programie znalazły się głównie utwory o treści religijnej m.in. Bacha, Mozarta, Händla, Moniuszki, Donizettiego i Nowowiejskiego. Organizatorem wydarzenia były: GOK w Sarnakach, Fundacja ORFEO i wójt gminy Sarnaki, przy wsparciu Samorządu Województwa Mazowieckiego.



8 września odbył się **festyn wiejski w Starych Litewnikach** z okazji pozyskania i poświęcenia wozu strażackiego przekazanego przez OSP Hołowczyce dla OSP Stare Litewniki.

●

14 września w Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach po raz ósmy zorganizowano **Narodowe Czytanie**. Tym razem uczestnicy czytali utwór Juliusza Słowackiego „Kordian”. W wydarzeniu wzięło udział kilkunastu wykonawców, a jego organizatorami były Gminna Biblioteka Publiczna oraz GOK w Sarnakach. Wśród czytających znaleźli się: Magdalena Rudnik, Anna Klimaszewska, Katarzyna Chybowska, Agata Obrępańska, Dorota Szpura, Jolanta Chromiec, Anna Obzejta, Agata Wasilewska, Irena Szpura, Grzegorz Arasymowicz i Urszula Bodzon. Wydarzenie uświetnił także recital patriotyczny Mirki Kozłowskiej-Nalepy.

●

We wrześniu, w wyniku rekordowych opadów deszczu spowodowanych przez niż genuński w dn. 11-15 września, nastąpiła powódź w południowo-zachodniej Polsce, obejmująca województwo dolnośląskie, opolskie i śląskie. Gmina Sarnaki aktywnie zaangażowała się w **pomoc poszkodowanym przez powódź**. Mieszkańcy gminy zorganizowali zbiórkę darów, które 21 września zostały dostarczone do mieszkańców wiejskiej gminy Kłodzko, jednej z najbardziej dotkniętych przez katastrofę. Transport z darami dotarł bezpiecznie do miejscowości Żelazno, gdzie zostały one przekazane potrzebującym. W akcję pomocy włączyli się strażacy, szkoły, przedszkola, Koła Gospodyń Wiejskich, stowarzyszenia oraz wolontariusze. Ich zaangażowanie pozwoliło na zebranie i przekazanie niezbędnych darów dla osób dotkniętych powodzią.

●

19 września odbyło się w Urzędzie Gminy Sarnaki podpisanie umów o dofinansowanie **wsparcia KGW, OSP i stowarzyszeń w ramach konkursu „Działalność wspomagająca rozwój wspólnot i społeczności lokalnych”**. Umowy ze strony Samorządu Województwa Mazowieckiego podpisała członek Zarządu Janina Ewa Orzełowska.

Do gminy Sarnaki trafiły łącznie 42 tys. złotych dla:

- OSP KSRG Sarnaki „Zakup wyposażenia dla OSP Sarnaki” – 7 000,00 zł

- Stowarzyszenie Malowniczy Zakątek Borsuki nad Bugiem – „Zakup wyposażenia dla Stowarzyszenia Malowniczy Zakątek Borsuki nad Bugiem” – 4 500,00 zł
- Koło Gospodyń Wiejskich w Borsukach – „Zakup wyposażenia dla KGW w Borsukach” – 6 200,00 zł
- Nadbużańskie Stowarzyszenie „Przyjazne Mierzvice” – „Zakup wyposażenia dla stowarzyszenia” – 3 500,00 zł
- KGW Mierzvice-Kolonia „Zakup wyposażenia dla KGW Mierzvice-Kolonia” – 6 000,00 zł
- Ochotnicza Straż Pożarna w Klepaczewie – „Zakup wyposażenia do świetlicy wiejskiej w Klepaczewie” – 7 000,00 zł
- KGW DD Senior+ w Nowych Hołowczycach – „Zakup wyposażenia dla KGW w Nowych Hołowczycach” – 7 000,00 zł
- Koło Gospodyń Wiejskich we Franopolu – „Zakup wyposażenia dla KGW we Franopolu” – 4 000,00 zł



22 września w remizie OSP Serpelice odbył się **dzień otwarty OSP KSRG Serpelice** połączony z podsumowaniem akcji „Bezpieczne Wakacje z MDP Serpelice”. Strażacy otrzymali nowy sprzęt: wentylator oddymiający, zestaw szybkiego działania oraz 2 szt. podpór. Koszt sprzętu to 43 500 zł, z czego 50% pochodzi z budżetu Województwa Mazowieckiego (program „Mazowsze dla straży pożarnych”), a pozostałe 50% z budżetu gminy Sarnaki. Marszałek województwa przekazał druhom z Serpelic dodatkowo 5 szt. ubrań specjalistycznych (nomex). W czasie spotkania strażacy z MDP Serpelice zaprezentowali profesjonalny pokaz udzielania pomocy poszkodowanemu w wypadku, odbyły się warsztaty z użycia sprzętu gaśniczego i pokaz wielkoformatowej gry „Mali Ratownicy”. Prezesem jednostki w 2024 r. był Mirosław Kuzaka, a instruktorami MDP Sławomir Gac i Michał Kroszka.



27 września podczas uroczystej gali w siedzibie Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy **Gminna Biblioteka Publiczna w Sarnakach została laureatem Nagrody im. Kierbedziów** w kategorii „Działalność Biblioteczna”.



Pamiątkową statuetkę i dyplom odebrali: Violetta Zawadka pełniąca funkcję p.o. dyrektora GBP w Sarnakach z pracownikami biblioteki Anną Klimaszewską i Iwoną Walczuk wraz z wójtem gminy Sarnaki Grzegorzem Arasymowiczem. To prestiżowe wyróżnienie przyznawane przez Bibliotekę Publiczną m.st. Warszawy – Bibliotekę Główną Województwa Mazowieckiego – honoruje bibliotekarskie instytucje z Mazowsza, które działają wzorcowo i wykraczają poza oczekiwania. W uzasadnieniu podkreślono, że placówka w Sarnakach pełni funkcję biblioteki powiatowej od 2016 r., nadzorując merytorycznie inne biblioteki z powiatu łosickiego, a nagroda stanowi uznanie jej wzorowej działalności w zakresie propagowania kultury i czytelnictwa wśród mieszkańców małych miejscowości. W tym roku na podstawie porozumienia pomiędzy powiatem łosickim a gminą Sarnaki powierzono GBP w Sarnakach pełnienie funkcji biblioteki powiatowej dla powiatu łosickiego na kolejne 5 lat.



28-29 września w Chlebczynie odbył się po raz kolejny Festiwal Zdrowia – **Topinamburiada** – impreza poświęcona topinamburowi, ale przede wszystkim spotkaniom ludzi pełnych pasji i energii. W programie znalazły się występy artystów ludowych, warsztaty rękodzielnicze i kulinarne, wykłady o zdrowej żywności oraz stoiska lokalnych producentów. Uczestnicy mogli również własnoręcznie zebrać z pola ekologiczny topinambur, jabłka, pigwowiec i inne plony z gospodarstwa Wiktora Rytla, inicjatora i organizatora Topinamburiady. Nieodłącznym elementem

imprezy są wykłady prowadzone przez ekspertów w dziedzinie zdrowej żywności, ziół i zdrowego stylu życia.



29 września drużyny OSP i MDP z Serpelic i Sarnak wzięły udział w **Powiatowych Zawodach Sportowo-Pożarniczych o Puchar Starosty Powiatu Łosickiego**, które odbyły się w Olszance. Do rywalizacji stanęło 16 drużyn OSP oraz 13 drużyn MDP, w tym dwie kobiece. OSP Sarnaki zajęła 8. miejsce w klasyfikacji generalnej, OSP Serpelice uplasowała się na 13. miejscu. W rywalizacji młodzieżowych drużyn pożarniczych (MDP) drużyny męskie z Sarnak zajęły 6. i 8. miejsce, drużyna męska z Serpelic była 13., natomiast żeńska drużyna z Serpelic osiągnęła 2. miejsce.

X 2024

80 lat temu, jesienią 1944 r. NKWD rozpoczęło **aresztowania** członków niepodległościowych organizacji podziemnych z czasów okupacji niemieckiej. Z terenu obecnej gminy Sarnaki około 50 osób zostało wywiezionych w głąb Rosji, głównie do obozów w Borowiczach, Ostaszkanie, Riazaniu, skąd wrócili po dwóch lub trzech latach. Upamiętnia ich Tablica Sybiraków na sarnackim cmentarzu parafialnym, odsłonięta w 2018 r.



W dniach 3-6 października w szkole w Sarnakach odbył się **XVIII Międzynarodowy Turniej Szachowy im. Bohaterów Akcji V2**, organizowany przez ULKS Sarnaki wraz ze Szkołą Podstawową oraz Urzędem Gminy Sarnaki pod patronatem wójta Grzegorza Arasymowicza. Turniej obejmował trzy kategorie: A (z rankingiem ELO), B (dla roczników 2011 i młodszych) oraz turniej błyskawiczny blitza. Najlepsi w kategorii A: 1. Mirosław Grabarczyk (Płock), 2. Szymon Baran (Jastrzębie-Zdrój), 3. Vladimir Chubar (Kijów). W kategorii B (młodszy zawodnicy): 1. Jordan Mathias (Orłowa, Czechy), 2. Wiktor Skrzydlak (KSz Skoczek Pieścirogi), 3. Paweł Czarnocki (ULKS Sarnaki). W klasyfikacji dziewcząt zwyciężyły

podopieczne pomysłodawcy i głównego organizatora turnieju, trenera sarnackich szachistów Wojciecha Szymańskiego: 1. Magda Korowajczuk, 2. Marianne Philippe, 3. Alicja Dydycz. W turnieju błyskawicznym (blitz) najlepszy okazał się Mirosław Grabarczyk, przed Michałem Praszakiem i Ignacym Czachurskim. W trakcie imprezy odbyły się także: konferencja dla trenerów, rodziców i opiekunów, pokaz sprzętu OSP Sarnaki oraz wspólne spotkanie z muzyką i tańcem w remizie strażackiej. W turnieju wzięło udział 104 zawodników z Polski, Czech, Ukrainy, Mołdawii i Norwegii.



6 października sześć par małżeńskich, spośród dziewięciu, które zawarły związek małżeński w 1974 roku, obchodziło **50-lecie pożycia małżeńskiego – Złote Gody**. Uroczystość rozpoczęła się mszą świętą w kościele parafialnym w Sarnakach, po czym jubilaci udali się do GOK. Jubilatów i zaproszonych gości powitała zastępca kierownika USC, Magdalena Terlikowska. Wójt gminy Sarnaki złożył życzenia i gratulacje oraz udekorował jubilatów Medalami za Długoletnie Pożycie, przyznanymi przez Prezydenta RP, a Alicja Cichoń, Kierownik Delegatury Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Siedlcach, odczytała list gratulacyjny od wojewody mazowieckiego Mariusza Frankowskiego i wręczyła im listy gratulacyjne od wojewody. Kwiaty wręczyła sekretarz gminy Sarnaki, Emila Borysiak.

Złote Gody obchodzili: Barbara i Kazimierz Adamiukowie, Grażyna i Tadeusz Bogdaniukowie, Janina i Michał Czarnoccy, Anna i Henryk Jakimiukowie, Zofia i Stanisław Kuchtowie, Danuta i Kazimierz Marczakowie, Ewa i Tadeusz Pawłowscy, Marianna i Antoni Pióro, Zofia i Bogdan Wawryniukowie. Spotkanie urozmaicił występ kabaretu Łzy Sołtysa.



100 lat temu, 13 października 1924 r., po dziewięciu latach powrócił do Sarnak przez Warszawę z niewoli rosyjskiej duży, ważący 195 kg dzwon. Został wywieziony w 1915 r., gdy na polecenie ustępujących przed Niemcami władz rosyjskich zdjęto wszystkie dzwony kościelne i polecono, aby na dzień 18 lipca dostarczyć je na wojskową platformę

kolejową w Siedlcach w celu przewiezienia na „przechowanie w Dvinskij Artyleryjskij Arsenal”. Dwa mniejsze dzwony nie wróciły nigdy.



15 października w kościele w Serpelicach odbyła się msza św. w ramach obchodów XXIV Dnia Papieskiego, którą celebrował JE Ks. Abp Henryk Nowacki – były nuncjusz apostolski w krajach skandynawskich i bliski współpracownik św. Jana Pawła II. W swoim kazaniu Arcybiskup mówił o „Ewangelii starości i cierpienia” w życiu Papieża Polaka, podkreślając, że tak jak 10 czerwca 1999 r. w Drohiczynie, również tym razem przy relikwiach św. Jana Pawła II obecny był biskup senior diecezji drohiczyńskiej, JE O. Bp Antoni Pacyfik Dydycz. Przed rozpoczęciem Eucharystii dr Rafał Dydycz przypomniał zgromadzonym o wizycie swojego ojca, Witolda Dydycza, w Watykanie oraz o słowach św. Jana Pawła II, który przyznał, że zna Serpelice, bo tam był. Po mszy św. uczestnicy otrzymali obrazki z relikwią – fragmentem sutanny Papieża Polaka.



20 października w GOK w Sarnakach odbył się tradycyjny **Dzień Seniora**, organizowany w ramach zadania publicznego pt. „Akademia Seniora”. Wydarzenie miało na celu integrację seniorów z gminy oraz zapewnienie im atrakcyjnego programu kulturalnego i edukacyjnego. W programie były: poczęstunek, upominki i występ z przesłaniem „Muzyka z moich lat” w wykonaniu zespołu Two&Teraz. W ramach obchodów seniorzy mogli skorzystać z różnorodnych form wsparcia i aktywności przygotowanych przez organizatorów: KGW w Nowych Hołowczycach „DD Senior+” we współpracy z GOK Sarnaki, Gminą Sarnaki i GOPS Sarnaki.

XI 2024

W dn. 4-15 listopada odbyło się **6 koncertów promujących stroje oraz tańce i piosenki południowego Podlasia** w ramach zakończonego projektu pn. „Zakup strojów ludowych dla zespołów tanecznych

i wokalnych działających przy Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach” realizowanego w ramach programu EtnoPolska. Edycja 2024. Koncerty odbyły się w: Borsukach dla KGW Borsuki oraz tamtejszych seniorów, Przedszkolu Samorządowym w Sarnakach, Środowiskowym Domu Samopomocy w Litewnikach Nowych, Dziennym Domu Senior+ w Nowych Hołowczycach, Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Serpelicach i w Szkole Podstawowej w Sarnakach.



8 listopada w Nowych Litewnikach **uroczystym przemarszem patriotycznym ze Środowiskowego Domu Samopomocy na mogiły miejscowych bohaterów**, którzy oddali życie za Ojczyznę, rozpoczęło się świętowanie w gminie Sarnaki Narodowego Święta Niepodległości.



10 listopada po Mszach św. w kościele parafialnym w Serpelicach prezentowano **patriotyczną akademię w wykonaniu dzieci ze szkoły w Serpelicach**. Przed kościołem zorganizowano też kiermasze ciast przygotowanych przez rodziców uczniów Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Serpelicach, a dochód ze sprzedaży słodkości przekazany został na pomoc poszkodowanym we wrześniowej powodzi.



10 listopada coroczny wspólny wieczorny **spacer z flagami i pochodniami na Grób Nieznanego Żołnierza w Mierzwicach** z okazji Święta Niepodległości zorganizowało Nadbużańskie Stowarzyszenie „Przyjazne Mierzvice”.



11 listopada w Sarnakach miały miejsce **główne obchody 106. rocznicy Odzyskania Niepodległości**. Po mszy św. w kościele parafialnym w Sarnakach, odprawionej przez ks. proboszcza dr. Andrzeja Jakubowicza odbył się uroczysty przemarsz prowadzony przez poczty sztandarowe OSP Sarnaki i Hołowczyce oraz szkoły w Sarnakach, druhow z OSP

Sarnaki i MDP Sarnaki pod pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie odśpiewano hymn, a wójt, przedstawiciele Rady Gminy, SP w Sarnakach i Towarzystwa Miłośników Ziemi Sarnackiej złożyli kwiaty i zapalili znicze, upamiętniając lokalnych bohaterów.



11 listopada w sarnackiej szkole odbyła się **XIX Biesiada Pieśni Patriotycznych**. Przybyłych powitały Violetta Zawadka, Magdalena Rudnik i Barbara Michoń – przedstawicielki trzech instytucji organizujących spotkanie oraz wójt gminy Sarnaki. Następnie wykład o lokalnej legendzie dr. Stanisławie Podwójcicu wygłosiła Agata Wasilewska. Tradycyjnie biblioteka przygotowała wystawę zdjęć „Oni tworzyli naszą historię”. Wyznacznikiem doboru fotografii była obecność na nich osób, które w znaczący sposób wpłynęły na lokalną historię i życie społeczności sarnackiej. Kolejnym punktem programu były występy dwóch zespołów działających przy GOK-u: Zespołu Śpiewaczego Aura oraz Zespołu Ludowego przy akompaniamencie Tadeusza Gosia. Repertuar zawierał polskie pieśni patriotyczne i ludowe. Po przerwie kawowej rozpoczęła się ostatnia część Biesiady – wspólne śpiewanie pieśni patriotycznych, zakończone uroczystym odśpiewaniem „Roty”. Biesiadę zorganizowały wspólnie: Szkoła Podstawowa, Gminny Ośrodek Kultury i Gminna Biblioteka Publiczna.



10 lat temu, 12 listopada 2014 r., formalnie zarejestrowane zostało **Stowarzyszenie „Przyjazne Mierzvice”**. Od początku jego istnienia prezesem jest Karolina Morawska, wiceprezesem Sławomir Józwiak, sekretarzem Małgorzata Radzikowska, a skarbnikiem Lucyna Demianiuk. Pierwszą inicjatywą stowarzyszenia była reaktywacja Święta Morza nad Bugiem w 2014 roku. Od tego czasu stowarzyszenie organizuje liczne imprezy w Mierzwicach, w tym m.in.: Wianki nad Bugiem, spływy pontonowe, powitanie wiosny, potupajki patriotyczne, Urodzinki

Wszystkich, potupajki przebierańców, a także spacerzy z pochodniami na Grób Nieznanego Żołnierza i inne wydarzenia kulturalne i społeczne.



13 listopada podczas jubileuszowej 20. Gali Rankingu Samorządów „Rzeczypospolitej” wójt gminy Sarnaki Grzegorz Arasymowicz odebrał z rąk byłego premiera Jerzego Buzka prestiżowe wyróżnienie. **Gmina Sarnaki uplasowała się na 6. miejscu w Polsce** spośród około 1500 gmin wiejskich, osiągając jeden z najwyższych wyników w kraju. Ranking ocenia m.in. jakość zarządzania, zrównoważony rozwój oraz skuteczność działań lokalnych władz.



17 listopada na mszy św. o godz. 11.00 podziękowano za posługę o. Łukaszowi Szokalukowi, który Decyzją Ministra Prowincjalnego został przeniesiony do klasztoru w Bydgoszczy. Nowym proboszczem został mianowany dotychczasowy gwardian klasztoru – o. Krzysztof Kurzątkowski. Do klasztoru w Serpelicach przyszedł o. Piotr Gudalewski.



17 listopada odbył się w GOK w Sarnakach **koncert podsumowujący realizację projektu „Zakup strojów ludowych dla zespołów tanecznych i wokalnych** działających przy Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach”. Dzięki dotacji z Narodowego Centrum Kultury w kwocie 62 000 zł zakupionych zostało 45 kompletów strojów ludowych. Wkład własny GOK wyniósł 7 322, 76 zł i został wypracowany przez zespoły poprzez organizację kiermaszów z rękodziełem i kolędowanie. Zgodnie z założeniami projektu stroje są zgodne z tradycją regionu. Dla dzieci zakupiono strój podlaski nadbużański, strój dla dorosłych został zaprojektowany w oparciu o kwerendy w muzeach oraz przeprowadzone badania etnograficzne na terenie gminy Sarnaki. Podczas koncertu można było posłuchać, jak przebiegała realizacja projektu, jakie były trudności, a także z jakich elementów składały się tradycyjne stroje ludowe.

Dopełnieniem były występy artystyczne zespołów z GOK oraz zaproszonych artystów, którzy reprezentowali różne części Podlasia. Podczas występów zaprezentowały się dzieci z wiązką tańców i piosenek podlaskich, zespół ludowy dorosłych zaprezentował nowe stroje oraz piosenki z okolic Klepaczewa, mieszkańiec gminy Zdzisław Kasjaniuk zaśpiewał piosenki swojej mamy. Gościnnie wystąpił zespół śpiewaczy z Białej Podlaskiej oraz Katarzyna i Daniel Sawczukowie „Las się żyje”. Dopełnieniem wydarzenia była wystawa dawnych elementów ubioru ludowego. Patronat Honorowy nad wydarzeniem objął wójt gminy Sarnaki Grzegorz Arasymowicz, partnerzy projektu: Fundacja Korzenie i Skrzydła z Białej Podlaskiej, Fundacja Nadbużański Uniwersytet Ludowy w Husince.

●

28 listopada wójt gminy Grzegorz Arasymowicz wspólnie z Justyną Filipiuk przewodniczącą Rady Gminy Sarnaki wzięli udział w Gali Rankingu Gmin Województwa Mazowieckiego, organizowanej przez Fundację Rozwoju Demokracji Lokalnej i Urzędu Statystycznego w Warszawie. W kategorii Gminy Wiejskie **gmina Sarnaki została uhonorowana tytułem Lidera Powiatu Łosickiego.**

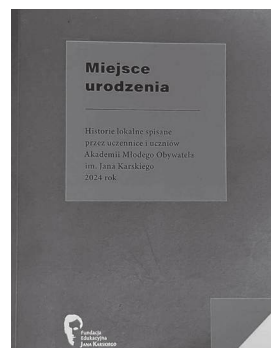
●

XII 2024

●

W grudniu wydana została książka pt. „**Miejsce urodzenia**” – zbiór wywiadów, które z najstarszymi członkami rodzin lub sąsiadami przeprowadzili uczniowie SP w Sarnakach: Blanka Bartoszek, Sława Czekanowska, Filip Czeżyk, Gabriel Głuchowski, Jakub Kaczor, Hanna Kalinowska, Monika Klimaszewska, Jakub Książkowski, Gabriela Miękus, Weronika Naumiuk, Ignacy Obzejta, Magdalena Stachowicz, Adam Stefaniuk, Rafał Uziębło, Zuzanna Woźniak, Krystian Wyganowski, Łucja Zawistowska i Aleksandra Zubkowicz. To efekt udziału uczniów, pod opieką nauczyciela historii Rafała Dydcza oraz Jolanty Czarnockiej-Kołaczkowskiej

i Barbary Michoń, w „Akademii Młodego Obywatela” – projekcie Fundacji Edukacyjnej Jana Karckiego. Młodzież uczestniczyła w warsztatach dotyczących historii lokalnej i umiejętności przeprowadzania badania i interpretacji, odbyła czterodniową wycieczkę do Warszawy, podczas której zwiedziła najważniejsze miejsca historyczne, ukazujące różnorodność kulturową i spotkała się ze świadkami historii. Głównym zadaniem projektowym było przeprowadzenie rozmowy ze starszym mieszkańcem gminy Sarnaki dotyczącej historii rodziny lub okolicy. Materiały zebrane przez uczniów zostały przesłane do Fundacji, tam przygotowane do druku i opublikowane.



270 lat temu, dzięki staraniom Aleksandra Łukasza Butlera, 13 grudnia 1754 r. **Sarnaki uzyskały prawa miejskie**, które utraciły w 1869 roku w ramach carskich reform administracyjnych Królestwa Polskiego po powstaniu styczniowym. Sarnaki były miastem przez 115 lat.



10 lat temu, 15 grudnia 2014 roku, na profilu Facebook Gminnej Biblioteki Publicznej w Sarnakach Violetta Zawadka, dyrektor GBP i prowadząca profil, zamieściła pierwszą fotografię w cyklu „**stare zdjęcie**”, przedstawiającą kiermasz książek na placu przed kinem w Sarnakach w latach 50. XX wieku. Od tego czasu raz w tygodniu publikowane jest zdjęcie ukazujące ludzi, miejsca lub wydarzenia z historii gminy Sarnaki. Stare kadry cieszą się niesłabnącą popularnością. Obecnie pokazne elektroniczne archiwum GBP zawiera fotografie przekazane m.in. przez Teresę Jakubińską (archiwum GOK), Cecylię Nowosielską (ze zbiorów jej męża, płk. Janusza W. Nowosielskiego), Agatę Wasilewską, Rafała Zubkowicza oraz sympatyków biblioteki i lokalnej historii, którzy pragną ocalić je od zapomnienia.



19 grudnia w Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach odbyło się **Samorządowe Spotkanie Oplatkowe** Urzędu Gminy Sarnaki, podczas którego kolędował Zespół Śpiewaczy Aura.



20 grudnia w Sarnakach uruchomiono **sygnalizację świetlną**. Światła zlokalizowano na drodze krajowej nr 19 (DK19) w centrum miejscowości, w miejscu, gdzie łączy się z drogą wojewódzką nr 811.



W okresie od Wigilii do 2 lutego 2025 r. w parafii i Klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów w Serpelicach działała tradycyjna **żywa szopka**. Oprócz Świętej Rodziny, można tam było zobaczyć osiołka, kozy, owce, kury, króliki, bażanty i papugi, a nawet kucyki z klasztornej zagrody. Ta bogata tradycja, realizowana od kilku lat przy klasztorze kapucynów, cieszy się niezwykłym zainteresowaniem.



29 grudnia decyzją biskupa Piotra Sawczuka kościół parafialny pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Sarnakach został oficjalnie wpisany na listę **kościółów jubileuszowych** w ramach Roku Jubileuszowego Diecezji Drohiczyńskiej. Znalazł się w gronie świątyń, w których pielgrzymujący wierni mogą otrzymać łaskę odpustu według wskazań Stolicy Apostolskiej.



W 2024 r. gmina Sarnaki wspólnie z innymi władzami gmin i powiatów Mazowsza wydała **zbiór „Legendy Mazowsza”**, zawierający m.in. legendę, której akcja toczy się w nadbużańskich lasach pt. „O wiewiórach... i Królowej Bonie”, autorstwa Ewy Arasymowicz. Inicjatorem projektu, którego celem było wyróżnienie bogatej

kultury ludowej i lokalnych podań regionu nadbużańskiego, był wójt gminy Sarnaki Grzegorz Arasymowicz wraz ze starostą łosicką Bożeną Niedzielak.



Zeskanuj
kod QR audio
i posłuchaj legendy
„O wiewiórach
... królowej Bonie”



Inwestycje na terenie gminy zakończone w 2024 r.

- **Kózki-Serpelice-Borsuki** – przebudowa drogi powiatowej, tzw. „Nadbużanki”, w ramach inwestycji wykonano prawie 10 km drogi z pasem ścieżki rowerowej. Prace współfinansowały gmina i powiat. Koszt 27,8 mln zł, dofinansowanie 24 mln zł;
- **Sarnaki** – przebudowa ul. Żeromskiego, koszt 837 tys. zł, dofinansowanie 760 tys. zł;
- **Bonin Ogródki** – przebudowa 937 m drogi gminnej, koszt 973 tys. zł, dofinansowanie 471 tys. zł;
- **Mierzvice-Kolonia** – przebudowa drogi, koszt 701 tys. zł;
- **Rzewuszki** – przebudowa drogi gminnej, koszt 373 tys. zł, w 100% pokryty rządowego funduszu Polski Ład;
- **Zabuże** – przebudowa 550 m drogi gminnej, koszt 516 tys. zł, dofinansowanie 190 tys. zł;
- **Zakup autobusu szkolnego**, koszt 723 tys. zł, dofinansowanie z UM Województwa Mazowieckiego 300 tys. zł;
- **OSP Sarnaki** – zakup średniego samochodu ratowniczo-gaśniczego wraz z wyposażeniem, koszt 2,23 mln zł, dofinansowanie 1,8 mln zł;
- **Borsuki** – budowa boiska do tenisa ziemnego, koszt 338 tys. zł, dofinansowanie 195 tys. zł (program „Mazowsze dla Sportu”);
- **OSP w Hołowczycach** – przebudowa remizy, koszt 326 tys. zł, dofinansowanie 178 tys. zł (instrument wsparcia zadań ważnych dla równomiernego rozwoju woj. mazowieckiego);
- **Binduga** – zakup wyposażenia gastronomicznego do świetlicy, koszt 103 tys. zł, dofinansowane 82 tys. zł (program „Mazowsze dla lokalnych centrów integracyjnych”);

- **OSP Stare Litewniki** – ocieplenie ścian i stropu remizy, koszt 44 tys. zł, dofinansowanie 40 tys. zł (program „Mazowsze dla straży pożarnych – Mazowieckie strażnice”);
- **Nowe Hołowczyce** – budowa placu zabaw z elementami siłowni zewnętrznej w miejscowości, koszt 31 tys. zł, dofinansowanie 14 tys. zł (program „Mazowiecki Instrument Aktywizacji Sołectw Mazowsze 2024”);
- **OSP Serpelice** – zakup wentylatora oddymiającego, zestawu szybkiego działania oraz dwóch podpór ratowniczych, koszt 43 tys. zł, dofinansowanie 22 tys. zł (program „Mazowsze dla straży pożarnych – OSP ”);
- **Nauka pływania** – dla 50 uczniów klas I-III z terenu gminy, uczniowie uczestniczyli w bezpłatnych zajęciach na pływalni w Siemiatyczach. Koszt 29 tys. zł, dofinansowanie z Ministerstwa Sportu 10 tys. zł;
- **Bonin** – poprawa nawierzchni drogi powiatowej Bonin – Kazimierzów (w gm. Stara Kornica), koszt 129 tys. zł podzielili w równych częściach gmina i powiat;
- **Modernizacja oświetlenia ulicznego** – wymiana 161 szt. lamp sodowych na LED w: Hołowczycach, Nowych i Starych Litewnikach, Płoskowie, Rozwadowie, Serpelicach, Terlikowie. Koszt 122 tys. zł, dofinansowanie 98 tys. zł z funduszu Polski Ład;
- **Modernizacja oświetlenia ulicznego** – odrębny projekt wymiany 94 lamp w Borsukach, Klepaczewie, Horoszkach Małych i Horoszkach Dużych. Koszt 67 tys. zł, zadanie zrealizowane w ramach promesy z Polskiego Ładu;
- **OSP w Sarnakach** – instalacja gazowa oraz montaż pieca gazowego, koszt 48 tys. zł;
- **Klepaczew** – zakup ciągnika z osprzętem do stacji uzdatniania wody, koszt 799 tys. zł, sfinansowany z Polskiego Ładu;
- Odbiór, transport oraz przekazanie do unieszkodliwienia **materiałów zawierających azbest** z terenu gminy, koszt 17 tys. zł, dotacja z WFOŚiGW 16 tys. zł.



Projekty realizowane przy współpracy z innymi podmiotami i instytucjami:

- Zakup wyposażenia dla OSP Sarnaki. Całkowity koszt zadania 42 176,15 zł, kwota dofinansowania z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej 15 000,00 zł, dotacja udzielona Stowarzyszeniu z budżetu gminy Sarnaki w kwocie 15 000,00 zł.
- Program „Czyste Powietrze” realizowany w ramach Porozumienia z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska w Warszawie. W ramach porozumienia w Urzędzie Gminy jest prowadzony punkt informacyjno-konsultacyjny dla mieszkańców, którzy chcą skorzystać z dofinansowania w ramach programu. Dofinansowanie obejmuje termomodernizację budynku, modernizację c.o. i c.w.u. oraz montażu instalacji fotowoltaicznej.
- Prace renowacyjne, remontowe oraz budowlane w kościele w Horoszkach Dużych. Koszt całkowity prac wyniósł 448 950,00 zł. W ramach projektu gmina Sarnaki udzieliła dotacji dla parafii w Horoszkach Dużych w kwocie 348 950,00 zł, w tym 341 971,00 zł uzyskano jako dofinansowanie z Rządowego Programu Fundusz Polski Ład Odnowa Zabytków. Gmina Sarnaki udzieliła wsparcia merytorycznego w zakresie pozyskania na zadanie 92 680,71 zł z budżetu Województwa Mazowieckiego.
- Prace budowlane i restauratorskie: zabytkowych 52-głosowych organów oraz parkanu cmentarnego w Sarnakach. Koszt całkowity prac w roku 2024 wyniósł 142 343,31 zł. W ramach projektu gmina Sarnaki udzieliła dotacji dla parafii w Sarnakach w kwocie 142 343,31 zł, w tym 130 055,90 zł uzyskano jako dofinansowanie z Rządowego Programu Fundusz Polski Ład Odnowa Zabytków. Prace zakończą się w 2025 roku.
- Doposażenie centrów integracji społecznej (świetlic) przy współpracy z Kołami Gospodyń Wiejskich, Ochotniczymi Strażami Pożarnymi i Stowarzyszeniami złożono 8 wniosków, w sumie uzyskano

45 200,00 zł dofinansowania na zakup wyposażenia. Dofinansowanie pochodziło z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego.



W 2024 roku w **parafii Sarnaki** odbyło się 7 chrztów, 10 ślubów, 30 pogrzebów, 30 dzieci przystąpiło do I Komunii, a 26 osób przyjęło sakrament bierzmowania. W **parafii Serpelice** udzielono 39 chrztów (3 z parafii) i 24 ślubów (1 z parafii), odprawiono 9 pogrzebów (1 spoza parafii), 7 dzieci przystąpiło do I Komunii świętej (3 z parafii). W **parafii Horoszki Duże** udzielono 1 chrztu, odprawiono 1 pogrzeb, nie było ślubów.



Na dzień 31 grudnia 2024 r. w gminie Sarnaki **zameldowanych** było 4348 mieszkańców (-9 w stosunku do 2023 r.): Binduga – 104 (-2), Bonin – 84 (+1), Bonin-Ogródki – 25 (+1), Borsuki – 232 (-4), Bużka – 37 (-5), Chlebczyn – 158 (-2), Chybów – 242 (+1), Franopol – 94 (+4), Grzybów – 104 (-1), Hołowczyce-Kolonia – 88 (-2), Horoszki Duże – 130 (-3), Horoszki Małe – 61 (+1), Klepaczew – 99 (+5), Klimczyce – 67, Klimczyce-Kolonia – 84 (+13), Kózki – 54 (+4), Mierzvice-Kolonia – 40 (+1), Nowe Hołowczyce – 217 (-4), Nowe Litewniki – 223 (-6), Nowe Mierzvice – 56 (+2), Płosków – 57 (+4), Płosków-Kolonia – 20 (+1), Raczki – 45 (-1), Rozwadów – 41 (-3), Rzewuski – 139, Sarnaki – 980 (-22), Serpelice – 286 (+6), Stare Hołowczyce – 180 (+4), Stare Litewniki – 113 (+2), Stare Mierzvice – 92, Terlików – 86, Zabuze – 110 (-4).



Na **pobyt czasowy** w 2024 r. zameldowanych było 55 mieszkańców (-5 w stosunku do 2023 r.): Bonin – 2, Bonin-Ogródki – 1, Borsuki – 1, Chlebczyn – 1, Chybów – 4, Franopol – 3, Grzybów – 1, Horoszki Duże – 1, Klepaczew – 1, Klimczyce – 1, Klimczyce-Kolonia – 6, Kózki – 2, Mierzvice-Kolonia – 2, Nowe Hołowczyce – 3, Nowe Litewniki – 2, Nowe Mierzvice – 2, Rzewuski – 1, Sarnaki – 4, Serpelice – 11, Stare

Hołowczyce – 1, Stare Litewniki – 1, Stare Mierzvice – 1, Terlików – 1, Zabuze – 1.



Mieszkańcy gminy Sarnaki w 2024 r.

wiek	mężczyzn	kobiet	ogółem
0-2	33	39	72
3	8	11	19
4-5	24	24	48
6	16	15	31
7	9	15	24
8-12	103	98	201
13-15	55	68	123
16-17	42	39	81
18	14	28	42
19-65	1429	-	1429
19-60	-	1140	1140
>65	400	-	400
>60	-	738	738
ogółem	2133	2215	4348



Najstarsi mieszkańcy gminy Sarnaki w 2024 r.

wiek	ogółem
80	25
81-89	165
90	6
91-99	44



W 2024 r. **zmarło** 55 mieszkańców gminy (-9 w stosunku do 2023 r.) osób, a **urodziło się** 18 (-10): Binduga – 0, Bonin – 0, Borsuki – 0, Chlebczyn – 0, Chybów – 2, Franopol – 0, Grzybów – 0, Hołowczyce-Kolonia – 0, Horoszki Duże – 1, Horoszki Małe – 1, Klepaczew – 1, Klimczyce-Kolonia – 2, Kózki – 1, Mierzvice-Kolonia – 0, Nowe Hołowczyce – 1, Nowe

Litewniki – 1, Nowe Mierzvice – 0, Płosków – 1, Raczki – 0, Rozwadów – 0, Rzewuski – 1, Sarnaki – 2, Serpelice – 0, Stare Hołowczyce – 3, Stare Litewniki – 0, Stare Mierzvice – 0, Zabuze – 1.



W 2024 r. **Urząd Stanu Cywilnego** sporządził: 8 aktów urodzenia (w tym 8 transkrypcji aktów zagranicznych), 40 aktów małżeństwa (w tym 5 transkrypcji zagranicznego aktu małżeństwa, 2 małżeństwa cywilne poza lokalem USC, 2 małżeństwa cywilne w USC, 31 małżeństw konkordatowych), 23 akty zgonu. Uwaga – niezgodność między liczbą aktów zgonu i narodzin a liczbą zgonów i urodzeń wynika z faktu, że akta sporządzają też urzędy w miejscu, gdzie umierają lub przychodzą na świat mieszkańcy gminy (np. szpitale).



Ewidencja **wyjazdów Ochotniczych Straży Pożarnych** z gminy Sarnaki w 2024 r.: OSP Sarnaki – 106 wyjazdów (Pożar – 17, Miejskowe Zagrożenie – 69, Alarm Fałszywy – 1, Wyjazd Gospodarczy – 18), OSP Serpelice – 61 (P – 5, MZ – 47, WG – 9), OSP Stare Hołowczyce – 32 (P – 5, MZ – 21, WG – 6), OSP Stare Litewniki – 7 (P – 1, MZ – 3, WG – 3), OSP Chlebczyn – 4 (P – 2, MZ – 2), OSP Rzewuski – 3 (P – 2, MZ – 1), OSP Borsuki – 1 (MZ – 1), OSP Klepaczew – 1 (MZ – 1), OSP Mierzvice – 0, OSP Grzybów – 0. Źródło statystyk wyjazdów: Raport o stanie gminy Sarnaki za rok 2024.



W 2024 r. na terenie gminy Sarnaki odnotowano łącznie 52 przestępstwa takie jak: 29 przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, 3 przestępstwa przeciwko rodzinie i opiece, 2 przestępstwa z Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, 1 przestępstwo dotyczące kłusownictwa. Policjanci zatrzymali 8 nietrzeźwych kierujących.

Na terenie gminy Sarnaki doszło do 124 wykroczeń, z czego 63 to wykroczenia przeciwko bezpieczeństwu i porządkowi w komunikacji

(m.in. zagrożenie bezpieczeństwa w ruchu drogowym, kierowanie pojazdami przez osoby nieposiadające uprawnień, kierowanie pojazdami innymi niż mechaniczny w stanie nietrzeźwości, przekroczenia dopuszczalnej prędkości). Pozostałe 61 wykroczeń to wykroczenia porządkowe takie jak: wykroczenia przeciwko instytucjom państwowym samorządowym i społecznym, wykroczenia przeciwko obyczajności publicznej, wykroczenia przeciwko urządzeniom użytku publicznego, wykroczenia z ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, wykroczenia dot. szkodnictwa leśnego, polnego, ogrodowego.

W ciągu roku 2024 funkcjonariusze przeprowadzili 483 interwencje, odpowiadając na sygnały od mieszkańców i instytucji, oraz 48 wywiadów środowiskowych, niejednokrotnie wspólnie z przedstawicielami pomocy społecznej. W zakresie przeciwdziałania przemocy domowej wszczęto 5 procedur Niebieskiej Karty – dwie z nich zakończone, a trzy pozostają w toku.

Rejon Gminy Sarnaki obsługiwany jest przez dzielnicowego asp. Tomasza Niedźwiedzia, wspieranego przez funkcjonariuszy Ogniwa Patrolowo-Interwencyjnego, Ogniwa Ruchu Drogowego, a także Prewencję Kryminalną.

Mieszkańcy chętnie korzystali z narzędzia, jakim jest Krajowa Mapa Zagrożeń Bezpieczeństwa. W 2024 roku za jej pomocą zgłoszono 16 miejsc zagrożonych, m.in. dotyczących spożywania alkoholu w miejscach niedozwolonych, znęcania się nad zwierzętami, grupowania się małoletnich zagrożonych demoralizacją, dzikich wysypisk śmieci, aktów wandalizmu, wałęsających się bezpańskich psów, kłusownictwa, przekraczania prędkości. Każde zgłoszenie zostało sprawdzone przez funkcjonariuszy Komendy Powiatowej Policji w Łosicach.

Codzienne działania Policji w gminie Sarnaki to nie tylko reagowanie na naruszenia prawa, ale ścisła współpraca z lokalnymi instytucjami: szkołami, GOPS, komisją ds. rozwiązywania problemów alkoholowych, sądami, a także mieszkańcami – których zaangażowanie i czujność są nieodzownym elementem wspólnego budowania bezpieczeństwa.



W 2024 r. **Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej w Sarnakach** kierowany przez Agnieszkę Bartoszek objął wsparciem systemu pomocy społecznej 135 rodzin, w tym 274 osoby w rodzinach, co daje 8,1% ogółu ludności gminy. W GOPS w Sarnakach zatrudnionych jest 9 osób: 1 kierownik, 3 pracowników socjalnych, 1 inspektor, 2 referentów, 1 asystent rodziny, 1 młodszy opiekun w ośrodku pomocy społecznej.

Ustawa o pomocy społecznej nakłada na gminę obowiązek udzielania pomocy osobom i rodzinom znajdującymi się w trudnej sytuacji życiowej. Pomocy udziela się w szczególności z powodu ubóstwa, bezdomności, bezrobocia, niepełnosprawności, długotrwałej lub ciężkiej choroby, przemocy w rodzinie, bezradności w sprawach opiekuńczo-wychowawczych i zdarzeń losowych. W ramach pracy z rodzinami, realizując założenia ustawowe, wydano 219 decyzji. W 2024 roku dominującym powodem przyznania pomocy, podobnie jak w latach poprzednich, pozostało ubóstwo – 43 rodziny objęto wsparciem. Innymi powodami udzielania świadczeń były: długotrwała choroba – 50 rodzin, niepełnosprawność – 34 rodziny, bezrobocie – 16 rodzin.

W 2024 r. Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej w Sarnakach udzielił następującej pomocy:

- zasiłki okresowe – 13 osób,
- zasiłek celowy (żywność) – 33 osoby
- dożywianie dzieci (obiady w szkole) – 42 osoby,
- prace społecznie użyteczne (prace wykonywane przez bezrobotnych bez prawa do zasiłku na skutek skierowania przez starostę, organizowane przez gminę – prace porządkowe: sprzątanie, zbieranie śmieci z pasa przydrożnego) – 3 osoby,
- stypendium szkolne – 9 osób,
- procedura Niebieskiej Karty – 15 procedur,
- w ramach programu operacyjnego Pomoc żywnościowa na lata 2021-2027 wydano 426 paczek żywnościowych,
- specjalistyczne usługi opiekuńcze – 1 osoba,

- pobyt w Domach Pomocy Społecznej – 9 mieszkańców gminy Sarnaki,
- fundusz alimentacyjny – 160 świadczeń,
- zasiłek rodzinny – 2438 świadczeń,
- zasiłki stałe – 19 osób,
- bon energetyczny (jednorazowe świadczenie pieniężne wprowadzone w Polsce na rok 2024 jako forma wsparcia dla gospodarstw domowych w opłaceniu rachunków za prąd i energię) – złożono 430 wniosków, pozytywnie rozpatrzono 382,
- dodatek osłonowy (świadczenie pieniężne od państwa, które ma pomóc gospodarstwom domowym o niższych dochodach w pokryciu rosnących kosztów życia (np. energii, żywności, ogrzewania), przyznawany na wniosek mieszkańca, zależy od dochodu i liczby osób w gospodarstwie) – wpłynęło 350 wniosków, pozytywnie rozpatrzono 333,
- Karta Dużej Rodziny – wydano 29 sztuk dla 16 rodzin,
- refundacja podatku VAT dla odbiorców paliw gazowych – przyznano dla 8 gospodarstw domowych,
- obliczenie wysokości przeciętnego miesięcznego dochodu przypadającego na jednego członka gospodarstwa domowego do Programu „Czyste powietrze” – wydano 116 zaświadczeń,
- postępowania wobec dłużników alimentacyjnych – 12 osób.

Na terenie gminy Sarnaki zatrudniony jest asystent rodziny, który współpracował z 8 rodzinami (w których jest 13 dzieci) przeżywającymi trudności w wypełnianiu funkcji opiekuńczo-wychowawczych.

GOPS brał udział w akcjach charytatywnych oraz współpracował z organizacjami pozarządowymi: „Fundacja Pozytyw” w Łosicach, Bank Żywności w Siedlcach, Caritas Diecezji Drohiczyńskiej, Fundacja „Słoneczna Strona Ulicy”.



W 2024 roku w **Dziennym Domu Senior+ w Nowych Hołowczycach** przebywało 17 seniorów, na koniec grudnia 2024 roku zostało 15 seniorów.

Poza usługami opiekuńczymi Dom zapewniał seniorom zajęcia manualne, muzyczne, komputerowe, zajęcia rehabilitacyjne i z terapeutą zajęciowym. Ponadto odbyły się:

- imieniny uczestników DD Senior + w Nowych Hołowczycach,
- 2 spotkania z dietetykiem z Banku Żywności w Siedlcach,
- 2 warsztaty kulinarne w ramach projektu KGW w Nowych Hołowczycach DD Senior+,
- warsztaty z Terapeutą dla Seniorów z powiatu łosickiego – 6 spotkań, w ramach projektu KGW w Nowych Hołowczycach DD Senior+,
- warsztaty Rękodzielnicze dla Seniorów z powiatu łosickiego – 6 spotkań, w ramach projektu KGW w Nowych Hołowczycach DD Senior+,
- warsztaty gimnastyczno-ruchowe dla Seniorów z powiatu łosickiego – 15 spotkań, w ramach projektu KGW w Nowych Hołowczycach DD Senior+,
- 4 wycieczki Krajoznawcze (Białowieża, Siedlce-Sokołów Podlaski, Serock-Pułtusk, Góra Kalwaria-Czersk-Warka) dla seniorów z powiatu łosickiego w ramach projektu KGW w Nowych Hołowczycach DD Senior+,
- Dzień Seniora dla Seniorów z Powiatu Łosickiego,
- warsztaty międzypokoleniowe z Fundacji Pozytyw,
- spotkania informacyjne ze służbami tj.: z Pracownikami Socjalnymi z GOPS w Sarnakach, Policja, ZUS, KRUS, Straż Pożarna,
- udział w turnieju boccia oraz turnieju ping-ponga organizowanym przez Środowiskowy Dom Samopomocy w Nowych Litewnikach,
- wspólna Wigilia Seniorów z Kołem Gospodyń Wiejskich w Nowych Hołowczycach „DD Senior+”,
- udział w challengu „KozuchWygra”,
- warsztaty dietetyczne „Zdrowy i aktywny nadbużański senior”,
- spotkanie wielkanocne,
- wyjazd do gospodarstwa agroturystycznego „Leśne zacisze”,
- udział w obchodach 80. rocznicy Akcji V2 w Sarnakach,
- różnego rodzaju warsztaty w ramach współpracy z Fundacją Pozytyw,

- współpraca z Publicznym Przedszkolem Samorządowym w Sarnakach, Przedszkolem Dobry Start z Łosic, Gminnym Ośrodkiem Kultury w Sarnakach.

Głównym celem funkcjonowania takiej placówki na terenie gminy Sarnaki jest aktywizacja Seniorów, ograniczanie skutków niepełnosprawności, pomoc w rozwiązywaniu codziennych problemów utrudniających funkcjonowanie.



W 2024 roku **Środowiskowy Dom Samopomocy w Nowych Litewnikach** obejmował wsparciem 50 osób niepełnosprawnych z terenu gmin: Sarnaki, Łosice, Platerów, Olszanka, Stara Kornica, Huszlew, Przesmyki oraz Korczew. W ŚDS, kierowanym przez Sylwestra Siennickiego, zatrudnieni są: kierownik, psycholog, 5 terapeutów, terapeuta zajęciowy, instruktor terapii, pracownik socjalny, opiekun, pracownik posiadający inne specjalistyczne kwalifikacje zawodowe odpowiadające rodzajowi i zakresowi usług świadczonych w domu, główny księgowy.

ŚDS w Nowych Litewnikach jest wyodrębnioną jednostką organizacyjną gminy Sarnaki, zorganizowaną w celu wykonywania zadań z zakresu administracji rządowej określonych w ustawie o pomocy społecznej i ustawie o ochronie zdrowia psychicznego. Jest placówką pobytu dziennego, przeznaczoną dla osób dorosłych z niepełnosprawnością intelektualną, przewlekłe psychicznie chorych oraz osób z niepełnosprawnościami sprzężonymi, które nie wymagają leczenia szpitalnego, potrzebują natomiast pomocy w przygotowaniu do życia w środowisku rodzinnym i społecznym, w szczególności w celu zwiększenia stopnia zaradności i samodzielności życiowej, a także integracji społecznej.

Celem ŚDS jest osiągnięcie przez te osoby umiejętności jak najbardziej samodzielnego pełnienia ról życiowych i społecznych. Ważnym elementem w pracy Domu jest integracja ww. osób ze społecznością lokalną poprzez ich społeczną aktywizację.

ŚDS w ramach bieżącej pracy terapeutycznej realizuje działania wynikające z rozporządzenia Ministra Pracy i Polityki Społecznej z dnia

9 grudnia 2010 r. (Dz. U. z 2020 poz. 249) w sprawie środowiskowych domów samopomocy zapewniając:

1. Trening funkcjonowania w życiu codziennym,
2. Trening umiejętności interpersonalnych i rozwiązywania problemów,
3. Trening umiejętności komunikacyjnych,
4. Trening umiejętności spędzania czasu wolnego,
5. Poradnictwo psychologiczne,
6. Pomoc w załatwianiu spraw urzędowych,
7. Pomoc w korzystaniu ze świadczeń zdrowotnych,
8. Terapię ruchową,
9. Wyżywienie w postaci posiłku przygotowywanego w ramach treningu kulinarnego,
10. Terapię zajęciową przygotowującą do dalszego samorozwoju.



W 2024 r. starania o utworzenie **Centrum Opiekuńczo-Mieszkalnego przy ŚDS w Nowych Litewnikach** zakończyły się sukcesem. Powiat Łosicki, jako organ prowadzący, pozyskał około 3 mln zł na realizację tej inwestycji. Powstanie ośrodek całodobowego wsparcia dla 20 osób z niepełnosprawnościami. Zakończenie inwestycji i rozpoczęcie zajęć z mieszkańcami planowane jest na grudzień 2026 r. W dalszej perspektywie przewidziano także utworzenie Zakładu Aktywności Zawodowej, w którym osoby z niepełnosprawnościami będą mogły pracować i świadczyć usługi cateringowe na rzecz COM i ŚDS. Dzięki temu w Nowych Litewnikach funkcjonować będzie kompleks wspierający osoby z niepełnosprawnościami z powiatu łosickiego oraz sąsiednich gmin.



W 2024 r. w gminie Sarnaki funkcjonowały dwie ośmioklasowe **szkoły podstawowe**: Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Akcji V2 w Sarnakach (dyrektor Barbara Michoń) oraz Szkoła Podstawowa w Serpelicach, wchodząca w skład Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Serpelicach (dyrektor Małgorzata Podgródna) oraz dwa **przedszkola** – Przedszkole

Samorządowe w Sarnakach (dyrektor Katarzyna Taras) i Przedszkole Samorządowe w Serpelicach. We wrześniu 2024 r. naukę w tych szkołach rozpoczęło 281 uczniów (218 w Sarnakach i 63 w Serpelicach) w 19 oddziałach: 12 oddziałów w Sarnakach, 7 oddziałów w Serpelicach (brak klasy V). Do Przedszkola Samorządowego w Sarnakach uczęszczało 68 dzieci, do Przedszkola w Serpelicach – 21 dzieci.

W SP w Sarnakach zatrudnionych jest 34 nauczycieli (w tym pełnozatrudnionych 28), z czego nauczycieli początkujących – 4, mianowanych – 7 i dyplomowanych – 23. W ZSP w Serpelicach – 16 nauczycieli (w tym pełnozatrudnionych 13), z czego początkujących – 8; mianowanych – 2 i dyplomowanych – 6. W Przedszkolu Samorządowym w Sarnakach zatrudnionych jest 12 nauczycieli (w tym pełnozatrudnionych 9), z czego początkujących – 3, mianowanych – 4 i dyplomowanych – 5. Etaty pracowników niepedagogicznych: SP w Sarnakach – 11 pełnoetatowych pracowników obsługi, ZSP w Serpelicach – 7 pracowników (6,5 etatu) z tego $4\frac{1}{4}$ w szkole i $2\frac{1}{4}$ w przedszkolu, Przedszkole Samorządowe w Sarnakach – 7 pracowników.

Wspólną obsługę rachunkowo-finansową placówek oświatowych z terenu gminy Sarnaki prowadzi Centrum Usług Wspólnych w Sarnakach.



W 2024 roku **Gminny Ośrodek Kultury w Sarnakach**, kierowany przez Magdalenę Rudnik, konsekwentnie realizował działania na rzecz rozwoju i upowszechniania kultury. W instytucji zatrudnieni byli: dyrektor (pełny etat), główny księgowy (0,1 etatu), starszy instruktor (0,3 etatu), młodszy instruktor (0,4 etatu) oraz instruktor artystyczny (0,6 etatu).

W 2024 r. w GOK prowadzono zajęcia nauki gry na ukulele i gitarze, zajęcia taneczne, taneczno-fitnessowe oraz „zdrowy kręgosłup”. Działały cztery grupy zajęć pozaszkolnych dla dzieci – zajęcia plastyczne, w których uczestniczyło cotygodniowo łącznie ok. 50 dzieci. Prowadzono także cztery sekcje instrumentalne (keyboard, mandoliny, gitara rytmiczna, ukulele). Instruktorzy dodatkowo realizowali zajęcia taneczne w przedszkolu oraz zajęcia rękodzielniczo-plastyczne w Domu

Senior+. W 2024 r. przy GOK działały: zespół śpiewaczy Aura, międzypokoleniowy zespół mandolinowy Tremolo, kabaret Łzy Sołtysa, dziecięce zespoły taneczne, Zespół Ludowy Dorosłych, Dziecięcy Zespół Ludowy oraz Teatr „MY”.

GOK zorganizował lub współorganizował 37 wydarzeń, w tym 5 plenerych, w których łącznie uczestniczyło około 8000 osób. Najważniejsze z nich zostały opisane w kalendarium. Zespoły działające przy GOK były zapraszane do występów przez inne instytucje oraz grupy formalne i nieformalne, a także brały udział w konkursach i przeglądach.

Placówka współpracowała z Gminną Biblioteką Publiczną w Sarnakach, a także z: Łosickim Domem Kultury, GOK w Platerowie, Bialskim Centrum Kultury i GOK w Białej Podlaskiej. Partnerami działań były również: szkoły, przedszkola i jednostki OSP z terenu gminy, parafia w Sarnakach, ULKS, Koła Gospodyń Wiejskich z Mierzwic, Sarnak, Kornicy, Makarówki i Borsuk, Fundacja Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego oraz DD „Senior+” w Nowych Hołowczycach.

W 2024 r. GOK pozyskał dofinansowanie z Narodowego Centrum Kultury w ramach programu EtnoPolska 2024 w wysokości 62 000 zł na zadanie „Zakup strojów ludowych dla zespołów tanecznych i śpiewaczych działających przy Gminnym Ośrodku Kultury w Sarnakach”. Dodatkowe środki – 88 750 zł – przyznał Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego na organizację wydarzeń: „Gmina Sarnaki bawi się całą rodziną”, „Nadbużański Festiwal Teatrów dla Dzieci GADUCHA” oraz „Klasyczne koncerty w Gminie Sarnaki”.



W 2024 r. **Gminna Biblioteka Publiczna w Sarnakach**, w której funkcję dyrektora do początku lutego, a następnie p.o. dyrektora pełniła Violetta Zawadka, prowadziła statutową działalność obejmującą gromadzenie, opracowywanie oraz udostępnianie zbiorów. W GBP zatrudnieni byli: dyrektor, instruktor powiatowy oraz bibliotekarz. Zakupiono i opracowano 144 książki ze środków organizatora oraz 131 książek z dotacji ministerialnej. Do księgozbiorów GBP w Sarnakach i filii w Serpelicach

wprowadzono 442 dary książkowe oraz 13 egzemplarzy „Rocznika Ziemi Sarnackiej”, t. 6/2023. Biblioteka zakupiła dostęp do platformy Legimi (20 kodów miesięcznie). W bibliotece w Sarnakach przeprowadzono cztery selekcje księgozbioru, w wyniku których z inwentarza usunięto książki zniszczone, zaczytane i zbędne – łącznie 861 woluminów.

GBP aktywnie prowadziła działalność kulturalno-oświatową, organizując m.in.: okolicznościowe wystawy książek, promocję działań w mediach społecznościowych, konkursy czytelnicze, warsztaty decoupage dla dorosłych, zajęcia dla przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych (w Sarnakach i Serpelicach), współpracę z GOK przy licznych wydarzeniach kulturalnych i imprezach lokalnych.

Od początku istnienia „Rocznika Ziemi Sarnackiej” GBP pełni rolę jego wydawcy, a w siedzibie biblioteki odbywają się spotkania komitetu redakcyjnego.

W bibliotece działa również punkt informacji turystycznej z materiałami dostarczonymi przez Lokalną Organizację Turystyczną. Dwie bibliotekarki uczestniczyły w dwudniowym szkoleniu wyjazdowym dla pracowników PIT. Biblioteka zapewniała mieszkańcom i przyjezdnym szereg e-usług (bezpłatnych) oraz usług reprograficznych (odpłatnych).

W 2024 r. GBP została uhonorowana prestiżową Nagrodą im. Kierbedziów przyznawaną przez bibliotekę wojewódzką za wyróżniającą się działalność biblioteczną.

Opracowanie na podstawie informacji uzyskanych
od osób związanych z funkcjonowaniem instytucji
na terenie gminy Sarnaki
oraz informacji dostępnych w Internecie, prasie
i „Raporcie o stanie gminy Sarnaki w 2024 r.”.

Redakcja

**In memoriam
Antoni Pacyfik Dydycz 1938 – 2025**



14 września 2025 roku dotarła do naszej redakcji smutna informacja o śmierci biskupa seniora diecezji drohiczyńskiej dr. Antoniego Pacyfika Dydycza, serpelickiego rodaka, członka Rady Naukowej „Rocznika Ziemi Sarnackiej”.

Urodził się w rodzinie rolniczej w nadbużańskich Serpelicach 24 sierpnia 1938 roku jako drugi syn Michała i Janiny z d. Adamiuk. Został ochrzczony

25 września 1938 roku w kościele parafialnym w Konstantynowie. W rodzinnej wsi ukończył szkołę podstawową, a następnie od roku 1952 kontynuował edukację w Gimnazjum Biskupim w Lublinie. Podczas nauki podjął decyzję o wstąpieniu do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, 14 sierpnia 1954 roku w Łomży rozpoczął roczny okres próby. Profesję czasową złożył w Nowym Mieście n. Pilicą 15 sierpnia 1955 roku, przyjmując imię zakonne – Pacyfik. Szkołę średnią kontynuował w Niższym Seminarium Duchownym OO. Kapucynów w Nowym Mieście (Seminarium Serafickie). Ponieważ niższe seminarium, jako szkoła niepaństwowa, nie umożliwiała uzyskania matury, egzamin dojrzałości zdał eksternistycznie w 1957 roku w II Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kochanowskiego w Krakowie. W latach 1957-1963 kontynuował formację zakonną w Wyższym Seminarium Duchownym OO. Kapucynów w Łomży. Profesję wieczystą złożył 26 sierpnia 1961 roku w Nowym Mieście n. Pilicą. 29 czerwca 1963 roku biskup łomżyński Czesław Falkowski udzielił mu święceń kapłańskich, które miały miejsce w kościele kapucyńskim pw. Matki Bożej Bolesnej w Łomży.

Po święceniach kapłańskich skierowany został do Lublina, gdzie pracował jako katecheta. Jednocześnie w latach 1964-1967 studiował socjologię na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, uzyskując w czerwcu 1967 roku absolutorium. Obowiązki zakonne spowiadały, że pracę magisterską pt. *Społeczne uwarunkowania postaw światopoglądowych młodzieży średnich szkół technicznych* obronił w 1970 roku. Wspomniane obowiązki to przeniesienie do Białej Podlaskiej, gdzie kapucyni objęli nową placówkę, a O. Pacyfik pełnił w latach 1967-1976 funkcję gwardiana tamtejszego klasztoru, jednocześnie ucząc religii w bialskich szkołach średnich. Następnie w latach 1976-1982 przez dwie kadencje kapituła prowincjonalna wybierała go na Prowincjała Warszawskiej Prowincji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów. W tym czasie był również przewodniczącym Konferencji Wyższych Przełożonych Męskich i Żeńskich Zakonów i Zgromadzeń Franciszkańskich (1978-1982). W tym okresie, pośród innych rozlicznych zajęć, zapoczątkował w roku 1980 coroczne wakacyjne kapucyńskie spotkania z młodzieżą, które przez lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte w ostatnią niedzielę lipca gromadziły w Serpelicach

kilkutysięczne rzesze młodych i osób starszych. Inną inicjatywą, jaka miała wówczas miejsce, było rozpoczęcie przez br. Adama Krajewskiego budowy Kalwarii Podlaskiej w Serpelicach w 1981 roku.

Po dwóch kadencjach kierowania prowincją warszawską, w czasie kapituły generalnej 9 czerwca 1982 roku, został wybrany definitorem generalnym zakonu. Tę funkcję pełnił w latach 1982-1994 w Kurii Generalnej Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów w Rzymie. W jego gestii były sprawy zakonne w Europie Środkowowschodniej. Czynnie uczestniczył w przemianach społecznych doby upadku komunizmu. Przyczynił się do odrodzenia zakonu w Czechach, Słowacji, Węgrzech, a także w nowo powstałych republikach poradzieckich: Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie.

29 marca 1994 roku na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu uzyskał stopień naukowy doktora historii na podstawie rozprawy pt. *Dzieje Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów na Litwie od wieku XVIII do roku 1993*. Uzyskanie stopnia naukowego doktora było przepustką do kolejnego awansu, 20 czerwca 1994 roku został mianowany przez papieża Jana Pawła II biskupem ordynariuszem drohiczyńskim, na miejsce pochodzącego z Lipna (parafia Sarnaki) zmarłego biskupa Władysława Jędruszka. Święcenia biskupie – z rąk ks. abp. Józefa Kowalczyka, nuncjusza Apostolskiego w Polsce – otrzymał 10 lipca 1994 roku i tego też dnia odbył ingres do katedry drohiczyńskiej. Jako zawołanie biskupie przyjął słowa *Populus Tuus – hereditas Tua* (*Lud Twój – dziedzictwem Twoim*). Podczas swej dwudziestoletniej posługi biskupa ordynariusza w nowo utworzonej diecezji drohiczyńskiej (1991) zasłużył się w działalności organizacyjnej.

Przeprowadził I Synod Diecezji Drohiczyńskiej. Utworzył w Drohiczynie dom św. Antoniego dla księży emerytów i muzeum diecezjalne. Doprowadził do powstania Domu Miłosierdzia i rozbudowy gmachu Wyższego Seminarium Duchownego w Drohiczynie. Ustanowił diecezjalne ruchy i stowarzyszenia katolickie: Akcję Katolicką, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Apostolat Maryjny, Rodziny Nazaretańskie, Armata Bianca. Przyczynił się także do utworzenia Drohiczyńskiego Towarzystwa Naukowego, Inicjatywy Antynarkotykowej i Młodzieżowego Ośrodka Ekumenicznego. Był szczególnie wrażliwy na katechizację młodych, to w nich widział szansę na rozwój

kościół, dlatego też od 1999 roku przez wiele lat organizował Diecezjalne Dni Młodzieży w rodzinnych Serpelicach w Święto Podwyższenia Krzyża 14 września, kiedy to na Kalwarii Podlaskiej spotykały się setki młodzieży z całej diecezji. W lokalnej pamięci zostanie również zapamiętany jako gorliwy propagator inicjatywy budowy nowego kościoła w Sarnakach. W uznaniu zasług dla naszej lokalnej społeczności w 2019 roku przyznano mu tytuł „honorowego obywatela gminy Sarnaki”. Jednak za najważniejsze wydarzenie jego biskupiej posługi uznawał zorganizowanie wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Drohiczynie 10 czerwca 1999 roku. Ponadto w ramach Konferencji Episkopatu Polski objął funkcję przewodniczącego Zespołu Pomocy Kościołowi na Wschodzie i wiceprzewodniczącego Komisji ds. Instytutów Życia Konsekwentnego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego. Łącznie przez 14 lat był przewodniczącym Komisji ds. Trzeźwości, a następnie Zespołu ds. Apostolstwa Trzeźwości. Był również członkiem Zespołu ds. Kontaktów z Konferencją Episkopatu Litwy oraz Komisji Mieszanej: Biskupi – Wyżsi Przełożeni Zakonni. Po uzyskaniu w 2013 roku emerytalnego wieku 75 lat, złożył rezygnację z pełnienia funkcji ordynariusza, którą to rezygnację papież Franciszek przyjął 29 marca 2014 roku.

Za swą działalność otrzymał wiele odznaczeń, w tym Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Pełniąc funkcję ordynariusza nie zaprzestał działalności pisarskiej. Podczas swego życia opublikował około dwudziestu książek i ponad 600 artykułów.

Pomimo wielu zajęć znalazł również czas, aby wspierać działalność „Rocznika Ziemi Sarnackiej”. Objął honorowy patronat nad konferencją „Nasza Niepodległa” (2018), „Nasza Najbliższa” (2022), „Nasza Niezapomniana” (2023), „Nasza Bohaterska” (2024) oraz „Nasza Różnorodna” (2019), kiedy to był gościem honorowym i wygłosił wykład dotyczący historii Podlasia. W tomie IV Rocznika (2021) zamieszczony został jego artykuł: *O Kalwarii Serpelińskiej słów parę!*, gdzie wspomina początki tego dzieła. Kiedy utworzono Radę Naukową Rocznika, z przyjemnością zgłosił swój akces i do końca życia służył życzliwą radą.



Lasy Państwowe
DLA LASU, DLA LUDZI



Nadleśnictwo Sarnaki Zapraszamy

KONTAKT:

Nadleśnictwo Sarnaki

ul. 3 Maja 6/4
08-220 Sarnaki
tel. 83 359 91 51
fax 83 359 92 46
sarnaki@lublin.lasy.gov.pl



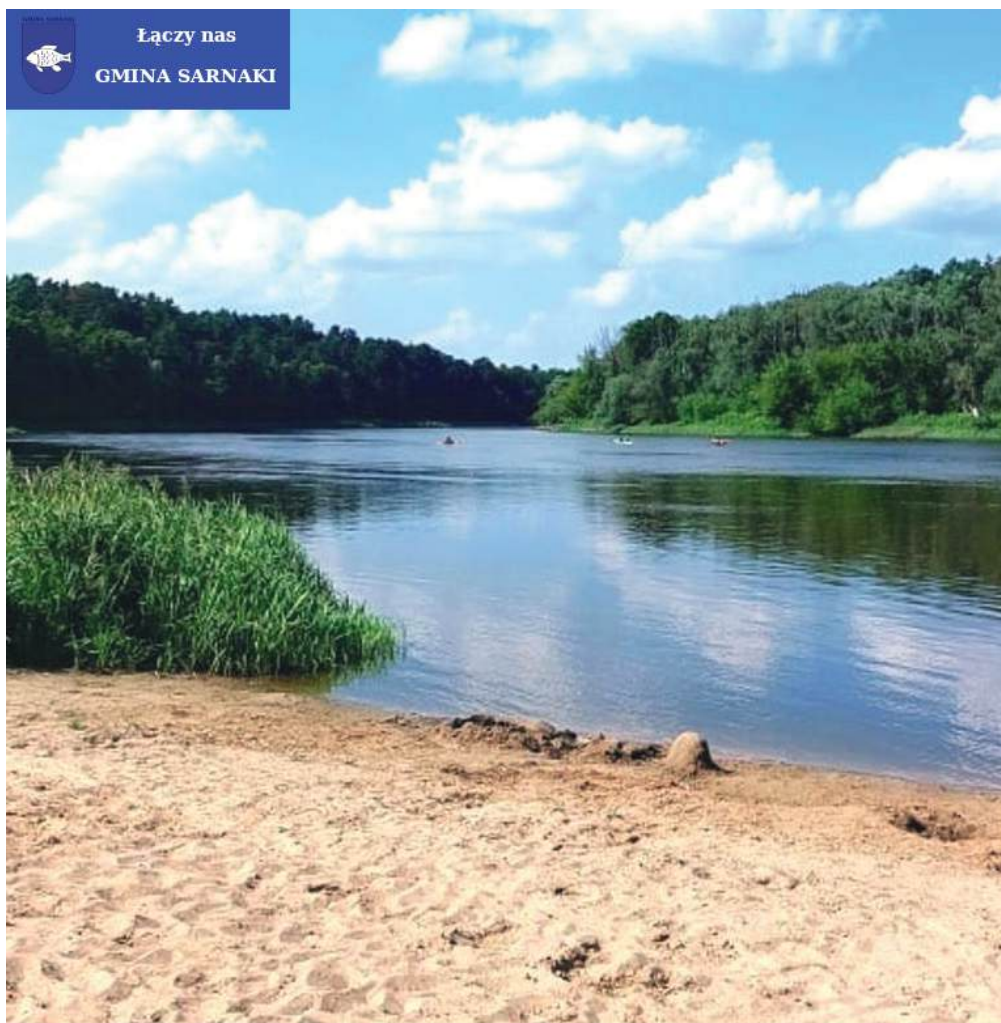
Nadleśnictwo Sarnaki



<http://www.sarnaki.lublin.lasy.gov.pl>



Łączy nas
GMINA SARNAKI



KONTAKT:

Gmina Sarnaki

ul. Berka Joselewicza 3
08-220 Sarnaki
tel. 83 359 91 98
fax. 83 888 89 19

gmina@sarnaki.pl



Gmina Sarnaki

<http://sarnaki.pl>

dr n. med. Marcin Błóński

**Specjalista ortopedii i traumatologii
narządu ruchu**



www.marcinblonski.pl

TARTAK SARNAKI

SARNAKI, tel. 503 111 848, WB@TARTAKSARNAKI.PL

więźba dachowa, tarcica, całówka, kantówka,
łaty, płyta OSB, sztachety, szalówka, podbitka,
podłógówka, deska tarasowa



PHU "KORPOL"

**Mieczysław Korowajczuk
Chybów 68A, 08-220 Sarnaki
Magazyn, ul. Kolejowa 48**

email:

**korowajczuk@wp.pl
tel./fax: 83 3599574,
504 055 353**

OFERUJEMY:

- MATERIAŁY BUDOWLANE
- MATERIAŁY WYKOŃCZENIOWE
- STAL
- NAWOZY
- ŚRODKI OCHRONY ROŚLIN
- WĘGIEL
- PASZE
- TRANSPORT, HDS, WYWROTKA
- ODSŃIEŻANIE
- WAŻENIE DO 60T
- PROWADZIMY SKUP OWOCÓW



Gospodarstwo Sadownicze
Alina Paluch i córka

Rada naukowa:

1. Witold Bobryk – Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy
2. Andrzej Buczyło – Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk
3. Małgorzata Burta – Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
4. Roman Drozd – Akademia Pomorska w Słupsku
5. Oleh Duch – Lwowski Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki
6. Bp Antoni Pacyfik Dydycz – Drohiczyn
7. Tomasz Kempa – Uniwersytet Mikołaja Kopernika
8. Robert Kozyrski – Katolicki Uniwersytet Lubelski
9. Paweł Krokosz – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
10. Jerzy Kuzicki – Uniwersytet Rzeszowski
11. Marzena Liedke – Uniwersytet w Białymstoku
12. Beata Lorens – Uniwersytet Rzeszowski
13. Janusz Mieczkowski - Uniwersytet Szczeciński
14. Tomasz Nowak – Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach
15. Tomasz Osiński – Instytut Pamięci Narodowej oddział w Lublinie
16. Rita Trimonienė – Uniwersytet Szawelski
17. Leonid Tymoszenko – Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny w Drohobyczu
18. Marcin Urynowicz – Instytut Pamięci Narodowej w Warszawie
19. Wojciech Walczak – Uniwersytet w Białymstoku
20. Roman Wysocki – Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej

Recenzenci tomu 8/2025:

1. dr hab. Adam Bobryk prof. UPH
2. dr Rafał Dmowski UPH

